

Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa



JIM BUTCHER

AKTA DRESDENA
GRA POZORÓW

*Magia.
Potrafi zabić.*

**JIM
BUTCHER**
AKTA DRESDENA
GRA POZORÓW

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2021**

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE
ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚCIE PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY
O AUTORZE

Tytuł oryginału:

The Dresden Files – Book Fifteen. Skin Game

Copyright © 2015 by Jim Butcher

Copyright for the Polish translation

© 2021 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja Korekta: Magdalena Górnicka Ilustracja na okładce: Chris McGarth

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-66712-91-1

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

*Dla Lori, Julie i mamy.
Naprawdę mi pomogłyście. Dziękuję.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W mojej głowie siedziała tykająca bomba zegarowa, a jedyna osoba, której mogłem powierzyć jej wydobycie, nie pojawiła się ani nie rozmawiała ze mną od ponad roku.

To wystarczająco dużo czasu, by zacząć stawiać sobie pytania. Kim jestem? Co zrobiłem ze swoim życiem?

Komu mogę zaufać?

To ostatnie to grubszy problem, który nie daje ci spokoju w chwilach zwątpienia. Czasami, kiedy budzisz się w nocy, zastanawiasz się, czy obdarzyłeś zaufaniem właściwych ludzi. A kiedy zostajesz sam, z jakiegokolwiek powodu, analizujesz wszystkie najdrobniejsze informacje o danej osobie, szukając w pamięci detali, które mogłeś przeoczyć.

Przepełnia cię to strachem. Zaczynasz myśleć, że być może ostatnio popełniłeś jakieś straszliwe błędy. Pragniesz działać, ale kiedy tkwisz na wyspie na środku jeziora Michigan, masz ograniczone możliwości rozładowania napięcia.

Postawiłem na zwyczajowe rozwiązanie. Ganiałem długimi tunelami pełnymi demonów, potworów i koszmarów, ponieważ to łatwiejsze od ćwiczenia na siłowni.

Tunele o ścianach z ziemi i kamienia były szerokie jak niektóre z podziemnych ulic pod Chicago i wiły się pośród czegoś, co przypominało korzenie, choć na tej głębokości nie mogło być częścią żadnego drzewa. Co kilka metrów wznosiły się kopce z lśniących bladozielonych kryształów kwarcu. W ich wnętrzu kryły się mroczne postaci. Niektóre miały rozmiary średniej wielkości psa. Inne były wielkie jak domy.

Właśnie skończyłem pokonywać jeden z olbrzymich kopców i biegłem w stronę kolejnego, pierwszego w ciągu trzech wzniesień o rozmiarach mojego świętej pamięci volkswagena.

– Parkour! – zawołałem i skoczyłem. Odbiłem się dłońmi od szczytu kopca i przesadziłem go jednym susem. Wylądowałem po drugiej stronie, przetoczyłem się przez ramię i zerwałem na nogi.

– Parkour! – wykrzyknąłem przed następnym kopcem i przeskoczyłem go, tym razem opierając się tylko na jednej dłoni i ustawiając ciało w poziomie. Po wylądowaniu nie zwolniłem biegu.

– Parkour! – wrzasnąłem przed trzecim kopcem i przeleciałem nad nim po długim łuku głową naprzód.

Zamierzałem wylądować na rękach, zwinnie się przetoczyć i pomknąć dalej, ale nic z tego nie wyszło. Źle oszacowałem wysokość skoku, zaczepiłem stopą o jeden z kryształów i runąłem po drugiej stronie wzniesienia, uderzając twarzą o piach.

Przez chwilę leżałem na ziemi, odzyskując oddech. Niespecjalnie przejąłem się upadkiem. Zaliczyłem ich już wiele. Przetoczyłem się na plecy i stęknąłem.

– Harry, masz zdecydowanie za dużo czasu.

Mój głos odbił się echem w tunelu, siódmym z trzynastu.

– Parkour – odpowiedziało odległe echo.

Potrząsnąłem głową, podniosłem się i powędrowałem w stronę wyjścia. Spacerowanie tunelami pod wyspą Demonreach zawsze stanowiło nie lada doświadczenie. Kiedy biegłem, szybko mijałem kolejne kopce.

Kiedy szedłem, tkwiący w nich więźniowie mieli czas, żeby do mnie przemawiać.

Spełnię każde twoje pragnienie, zawodził jedwabisty głos w mojej głowie.

Krew i władza, bogactwo i siła, mogę dać ci to wszystko, obiecywał drugi.

Pewnego dnia, śmiertelniku, będę wolny, a wtedy wyszę szpik z twoich kości, warknął kolejny.

Skłoń przede mną głowę w strachu i grozie!

Znienawidź mnie, pozwól się pożreć, a wtedy spełnię twoje marzenia.

Uwolnij mnie albo cię zniszczę!

Zaśnij. Zaśnij. Śpij i wpuść mnie do swojego wnętrza...

Krewbólśmierćkrewmięśokrewbólśmierć...

BLARGLE SLORG NOTH HARGHLE FTHAGN!

Sami wiecie.

Normalka.

Ominąłem niewielki kopiec – jego mieszkaniec ostatnim razem przesłał do mojego umysłu obraz, za którego sprawą przez dwie noce nie mogłem zmrużyć oka – po czym przeszedłem obok jednego z ostatnich kopców na drodze do wyjścia.

Kiedy go mijałem, mieszkaniec kopca westchnął w myślach i przesłał mi charakterystyczny obraz człowieka przewracającego oczami. *Oho. Ktoś nowy.*

Przystanąłem i uważnie przyjrzałem się kopcowi. Z zasady nie rozmawiałem z więźniami. Jeśli ktoś był zamknięty w podziemiach Demonreach, musiał być

istotą rodem z koszmarów, którą niewielu ludzi było w stanie zrozumieć – nieśmiertelną, dziką i w dodatku obłąkaną, jak wściekłe zwierzę, które najadło się szaleju.

Ale... ja także byłem w zamknięciu od wielu miesięcy, uwięziony na tej wyspie i w jej podziemnych jaskiniach. Nie miałem wyboru. Coś tkwiło w mojej głowie i tylko wyspa mogła nad tym zapanować. Czasami ktoś mnie odwiedzał, ale zimowe miesiące były niebezpieczne na jeziorze Michigan, ze względu na pogodę i lód, a wiosna dopiero zaczynała odmieniać świat. Od dawna z nikim się nie widziałem.

Dlatego przyjrzałem się kopcowi, który miał wielkość trumny, i spytałem:

– O co chodzi?

Oczywiście o ciebie, odpowiedział więzień. Czy w ogóle masz pojęcie, co oznacza słowo zastój? Oznacza, że nic się nie dzieje. To, że tutaj stoisz, chodzisz, a nawet, na Boga, mówisz do mnie, wywraca wszystko do góry nogami. To typowe dla takich nowicjuszy jak ty. Jak to się mówi? A tak. Pryskaj stąd.

Uniosłem brwi. Jak dotąd każdy więzień, który próbował się ze mną komunikować, albo chciał się uwolnić, albo bredził bez sensu. Ten gość brzmiał jak... Brytyjczyk.

– Aha – odrzekłem.

Nie słyszałeś, Strażniku? Pryskaj.

Przez chwilę rozważałem, czy z czystej złośliwości nie potraktować jego prośby dosłownie, ale uznałem, że fizjologiczny humor nie przystoi Magowi Białej Rady i Strażnikowi Demonreach, czym dowiodłem, że nie mają racji wszyscy ci, którzy uważają mnie za przerośniętego rozwydrzonego młokosa.

– Kim jesteś? – spytałem.

Długo milczał, a potem do mojej głowy wpłynęła myśl pełna straszliwego znużenia i czysto emocjonalnej rozpacz, jakiej sam doświadczałem tylko w najtragiczniejszych chwilach życia. Jednakże dla tej istoty taki ból nie był najgorszym momentem, tylko ciągłym stanem. *Kimś, kto musi tutaj być. Odejdź, chłopcze.*

Zalała mnie potężna fala nudności. Powietrze nagle stało się zbyt jasne, delikatny blask kryształów był zbyt przeszywający. Cofnąłem się o kilka kroków od kopca i wtedy to okropne doznanie zelżało, ale przyplływ emocji i tak wywołał u mnie gwałtowny ból głowy, przez który nie byłem w stanie utrzymać się na nogach.

Opadłem na jedno kolano i zacisnąłem zęby, żeby stłumić wrzask. Bóle głowy stawały się coraz dotkliwsze i chociaż przez całe życie musiałem radzić sobie z cierpieniem, chociaż dysponowałem potęgą Rycerza Zimy, już przed kilkoma tygodniami zaczęły rozkładać mnie na łopatki.

Przez chwilę czułem tylko ból i przytłaczające mdłości.

W końcu te odczucia powoli zaczęły słabnąć, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem nad sobą rosłą postać w mrocznej pelerynie. Miała trzy albo trzy i pół metra wzrostu i proporcje muskularnego człowieka, chociaż tak naprawdę nigdy nie widziałem istoty pod peleryną. Postać wpatrywała się we mnie, a jej oczy miały postać dwóch punkcików zielonego, ognistego światła lśniących w głębi kaptura.

– STRAŻNIKU – zagrzmiała. – CHWILOWO POWSTRZYMAŁEM PASOŻYTA.

– Najwyższy czas, Alfredzie – szepnąłem.

Usiadłem i przyjrzałem się sobie. Wyglądało na to, że dość długo leżałem na ziemi. Pot na mojej skórze wysechł. Niedobrze. Przedwieczny duch wyspy przez rok nie dopuszczał, by ta rzecz w mojej głowie mnie zabiła. Jeszcze kilka tygodni temu wystarczyło, by się pojawił i wypowiedział jedno słowo, a ból zniknął.

Tym razem trwało to ponad godzinę.

Cokolwiek znajdowało się w mojej głowie – jakiegoś rodzaju duchowa istota, która wykorzystywała mnie, by rosnąć w siłę – najwyraźniej przygotowywało się, by mnie uśmiercić.

– ALFREDZIE? – powtórzył duch. – TO MA BYĆ MOJE NOWE IMIĘ?

– Pozostańmy przy Demonreach – odrzekłem.

Potężny duch przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– JESTEM WYSPĄ.

– Owszem – przyznałem, podnosząc się z ziemi. – Jej duchem. Jej *genius loci*.

– A ZARAZEM JESTEM ODRĘBNĄ ISTOTĄ. NACZYNIEM.

Przyjrzałem się duchowi.

– Wiesz, że „Alfred” to żart, prawda?

Duch wbił we mnie wzrok. Nieistniejący wiatr poruszył skrajem jego peleryny.

Załamłem rękę.

– No dobrze. Przyda ci się także imię. Niech będzie Alfred Demonreach.

Oczy istoty na chwilę rozbliły jaśniej i duch skłonił głowę pod kapturem.

– ONA TU JEST.

Gwałtownie podniosłem głowę i szybciej zabiło mi serce. W mojej głowie odezwały się ciche echa bólu. Czyżby wreszcie odpowiedziała na moje wiadomości?

– Molly?

– NIE NOWICJUSZKA. JEJ NOWA MATKA.

Poczułem, że moje ramiona i szyja sztywnieją.

– Mab – odezwałem się niskim, surowym głosem.

– TAK.

– Fantastycznie – szepnąłem.

Mab, Królowa Powietrza i Ciemności, Monarchini Zimowego Dworu Sidhe, pani i nauczycielka wszystkich niegodziwych mieszkańców Krainy Elfów – moja szefowa – ignorowała mnie od miesięcy. Wysyłałem do niej coraz częstsze wiadomości, ale bez żadnego odzewu. Do dzisiaj.

Co się zmieniło? Dlaczego pojawiła się teraz, po tylu miesiącach milczenia?

– Ponieważ, głupku, czegoś chce – mruknąłem pod nosem. Zwróciłem się w stronę Demonreach. – W porządku, Alfredzie. Gdzie?

– NABRZEŻE.

Sprytnie. Demonreach, jak każde więzienie w historii, równie skutecznie powstrzymywało gości przed dostaniem się do środka, jak więźniów przed ucieczką. Kiedy cholerny Kroczący z Zewnątrz pojawił się ze swoją drużyną, żeby wyzwolić więźniów, udało się go powstrzymać dzięki wysiłkom obrońców wyspy i kilku kluczowych sojuszników.

Przez ostatni rok poznawałem tajemnice wyspy i jej systemy obronne, o których istnieniu nawet nie wiedziałem, a które mógł uruchomić tylko Strażnik. Gdyby Kroczący spróbował ponownie, mógłbym go załatwić na własną rękę. Nawet Mab, mimo całej swojej potęgi, powinna mieć się na baczności, gdyby spróbowała sprawiać mi kłopoty na terenie Demonreach.

Właśnie dlatego stała na nabrzeżu.

Spodziewała się, że będę niezadowolony. Najwyraźniej czegoś potrzebowała.

Wiedziałem z doświadczenia, że kiedy Królowa Powietrza i Ciemności postanawia, że czegoś od ciebie chce, najlepiej wczołgać się do jakiejś dziury i zasypać ziemią.

Jednakże moja głowa lekko pulsowała bólem. W ciągu ostatnich kilku lat bóle głowy stopniowo stawały się coraz dotkliwsze, ale dopiero niedawno odkryłem ich przyczynę – cierpiałem na przypadłość, która wymagała wyleczenia, zanim coś, co zagnieździło się w mojej łepetynie, postanowi się z niej wyrwać. Nie śmiałem opuścić wyspy, dopóki nie wydobrzeję, a jeśli Mab w końcu postanowiła odpowiedzieć na moje wiadomości, nie miałem innego wyjścia, jak się z nią spotkać.

Zapewne właśnie z tego powodu nie pojawiła się wcześniej.

– Cholerne elfy i ich intrygi – mruknąłem do siebie. Potem ruszyłem do schodów, którymi mogłem wydostać się ze Studni na powierzchnię wyspy. – Trzymaj się w pobliżu i uważaj – poleciłem duchowi.

– SPODZIEWASZ SIĘ, ŻE ZECHCE CIĘ SKRZYWDZIĆ?

– Być może – odrzekłem, ruszając po schodach. – Tak czy inaczej, chodźmy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mój brat i ja zbudowaliśmy nabrzeże Whatsup Dock przy jednej z trzech niewielkich plaż Demonreach, tej położonej najbliżej luki w kamiennych rafach otaczających wyspę. Na wzgórzu nad plażą kiedyś leżało miasteczko, ale mieszkańcy opuścili je jakieś sto lat temu, po tym jak mroczna energia otaczająca ohydne istoty uwięzione pod wyspą stopniowo doprowadziła ich do szaleństwa.

Po miasteczku pozostały ruiny, częściowo pochłonięte przez las, jak zwłoki powoli pożerane przez grzyb i mech. Czasami zastanawiałem się, jak długo będę w stanie pozostawać na wyspie, zanim ja też oszaleję.

Przy nabrzeżu zacumował drogi jacht silnikowy, biały z mnóstwem chromowanych elementów, który był tutaj równie nie na miejscu jak ferrari w zagrodzie dla bydła. Zobaczyłem dwóch majtków, ich marynarskie stroje wyglądały jak kostiumy. Kanty były zbyt prosto zaprasowane, a ubrania za czyste i zbyt dokładnie dopasowane. Kiedy na nich patrzyłem, nie miałem wątpliwości, że są uzbrojeni i wyszkoleni w zabijaniu. Byli sidhe, władcami elfów, roslymi, pięknymi i niebezpiecznymi. Nie robili na mnie wrażenia.

Głównie dlatego, że nie byli tak urodziwi ani groźni jak kobieta, która stała na samym końcu nabrzeża, z czubkami drogich butów oddalonymi o kilka centymetrów od brzegu Demonreach. Kiedy wokół ciebie krąży rekin, trudno przejmować się dwiema barakudami pływającymi w pobliżu.

Mab, Królowa Powietrza i Ciemności, miała na sobie szyty na miarę biznesowy żakiet w kolorze papieru gazetowego usmarowanego węglem i mrożonych barwinków. Pod spód włożyła bluzkę, śnieżnobiałą jak jej włosy, kunsztownie ufryzowane w stylu z lat czterdziestych. Na jej uszach i szyi lśniły ciemnoniebieskie i ciemnoniebieskie opale, pasujące do zmieniających się odcieni zimnych, pozbawionych wyrazu oczu. Była blada, piękna w sposób wymykający się prostemu opisowi i przepełniała mnie zdrową, racjonalną grozą.

Zszedłem na nabrzeże po starych kamiennych stopniach wyciętych w zboczu i zatrzymałem się na wyciągnięcie ręki od Mab. Nie ukloniłem się, tylko oficjalnie skinąłem głową. Na łodzi znajdowali się także inni sidhe, którzy byli świadkami naszego spotkania. Już dawno odkryłem, że chociaż nie jestem w stanie

urazić dumy Mab, nie toleruje ona braku szacunku dla swojego urzędu. Byłem pewien, że gdyby Rycerz Zimy otwarcie przeciwstawił się jej w obliczu jej Dworu, stanowiłoby to deklarację wojny, a mimo wszystkiego, co już wiedziałem o wyspie, nie miałem zamiaru do tego doprowadzić.

– Moja Królowo – odezwałem się przyjemnym głosem. – Jak twoje knowania?

– Doskonale, mój Rycerzu – odpowiedziała. – Jak zwykle. Wejdz na pokład.

– Dlaczego? – spytałem.

Lekko skrzywiła usta, ale w jej oczach pojawił się błysk zadowolenia.

– Jestem przewidywalny, prawda? – dodałem.

– Pod wieloma względami – odrzekła. – Mam ci odpowiedzieć dosłownie?

– Byłbym wdzięczny.

Mab pokiwała głową. Potem lekko się pochyliła, jej spojrzenie nabrało głębi i odezwała się głosem zimniejszym i surowszym od zmrożonego kamienia.

– Ponieważ ci każę.

Przełknąłem ślinę, a mój żołądek wywinął fikołka.

– Co się stanie, jeśli odmówię? – spytałem.

– Dasz mi wyraźnie do zrozumienia, że będziesz mi się opierał, jeśli spróbuję bezpośrednio zmusić cię do wykonywania moich rozkazów – odrzekła Mab. – Staniesz się wtedy dla mnie bezużyteczny, ale jako że chwilowo wołałabym nie kłopotać się szkoleniem zastępstwa, nie poniesiesz żadnych konsekwencji.

Zamrugąłem zdziwiony.

– Żadnych? Mógłbym ci się przeciwstawić, a ty byś po prostu... odeszła?

– Owszem – potwierdziła Mab i odwróciła się. – Umrzesz za trzy dni, a do tej pory już zdążę znaleźć kogoś na twoje miejsce.

– Eee, co takiego?

Mab umilkła i obejrzała się przez ramię.

– Pasożyt w twoim wnętrzu wydostanie się wtedy na zewnątrz. Z pewnością zauważyłeś, że ból staje się coraz bardziej dokuczliwy.

Jeszcze jak. Do tego cierpienie się nawarstwia.

– Psiakrew – warknąłem na tyle cicho, by nie usłyszały mnie zbiry na pokładzie. – Wrobiłaś mnie.

Mab odwróciła się w moją stronę i posłała mi ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Każdego przekłętego dnia posyłałem Toota i Lacunę do ciebie i Molly. Żadne z nich nie dotarło, prawda?

– Są elfami – odrzekła Mab. – A ja jestem Królową Elfów.

– A moje wiadomości do Molly?

– Kiedy się z tobą pożegnałam, mój Rycerzu, utkałam sieci, które miały przechwycić wszystkie zaklęcia opuszczające wyspę – wyjaśniła. – Wiadomości,

które wysłałeś do niej za pośrednictwem swoich przyjaciół, zostały zmienione zgodnie z moimi potrzebami. To bardzo użyteczne, że nawet najdrobniejsza doza nieufności może prowadzić do niezrozumienia. Twój przyjaciele próbują cię odwiedzić od kilku tygodni, ale lód na jeziorze w tym roku wyjątkowo długo się utrzymuje. Niestety.

Zazgrzytałem zębami.

– Wiedziałaś, że potrzebowałem jej pomocy.

– Wciąż tak jest – odparła lakonicznie.

Trzy dni.

Na wszystkie dzwony piekieł.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby po prostu grzecznie poprosić mnie o pomoc?
– spytałem.

Uniosła bladą brew.

– Nie jestem twoją klientką.

– Więc od razu przechodzisz do wymuszenia?

– Nie mogę cię do niczego zmusić – odrzekła rzeczowym tonem. – Dlatego muszę się postarać, by wyręczyły mnie okoliczności. Obezwładniający ból nie pozwoli ci opuścić wyspy, a nie możesz posłać po pomoc, jeśli na to nie pozwolę. Kończy ci się czas, mój Rycerzu.

– Dlaczego? – spytałem przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego zapędziłaś mnie w kozi róg?

– Może dlatego, że to konieczne. Może po to, żeby uchronić cię przed sobą samym. – W jej oczach błysnęła odległa furia, niczym burza na horyzoncie. –

A może po prostu dlatego, że mogę. Ostatecznie powody nie mają znaczenia. Liczy się tylko to, co jest.

Kilka razy odetchnąłem, starając się, by gniew nie pobrzmiwał w moim głosie. Zważywszy na to, czym się zajmowała, zmanipulowanie mnie i grożenie mi śmiercią według jej standardów mogło być grzeczną prośbą. Ale nie musiałem być tym zachwycony.

Poza tym miała rację. Jeśli Mab powiedziała, że pozostały mi trzy dni życia, to nie żartowała. Nie miała możliwości ani powodu, by wprost mnie okłamywać. A jeśli to była prawda, o czym niestety byłem przekonany, to miała mnie w garści.

– Czego chcesz? – zapytałem. Zabrzmiałem niemal grzecznie.

To pytanie wywołało na jej ustach uśmiech zadowolenia. Skinęła głową, jakby z uznaniem.

– Chciałabym, żebyś wykonał dla mnie pewne zadanie.

– Czy tak się składa, że muszę to zrobić poza wyspą?

– Oczywiście.

Wskazałem palcem swoją skroń.

– W takim razie mamy problem z obezwładniającym bólem. Najpierw musisz mnie uleczyć.

– Gdybym to zrobiła, nigdy byś się nie zgodził – odpowiedziała spokojnie. – A wtedy musiałabym cię kimś zastąpić. Dlatego, ze względu na swoje zdrowie i bezpieczeństwo, założysz to. – Wyciągnęła w moją stronę otwartą dłoń.

Leżał na niej niewielki kamień, ciemnoniebieski opal. Nachyliłem się i uważnie go obejrzałem. Był osadzony w srebrnej wkładce – kolczyku.

– On powinien powstrzymać pasożyta na wystarczająco długi czas – wyjaśniła. – Załóż go.

– Nie mam przekłutych uszu – zaprotestowałem.

Mab uniosła brew.

– Jesteś Rycerzem Zimy czy małym mazgajem?

Skrzywiłem się.

– Podejdź tutaj i to powtórz.

Wtedy Mab spokojnie zeszła na brzeg Demonreach i stanęła przede mną, tak że nasze stopy niemal się stykały. Miała ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i niemal nie musiała podnosić ręki, żeby ująć w palce płatek mojego ucha.

– Zaraz – odezwałem się. – Chwileczkę.

Znieruchomiała.

– Lewe.

Przekrzywiła głowę.

– Dlaczego?

– To... Chodzi o pewne zwyczaje śmiertelników. Po prostu przekłuj lewe ucho.

Wypuściła powietrze nosem. Potem pokręciła głową i chwyciła mnie za drugie ucho. Poczułem gorące ukłucie bólu, a potem powolne pulsowanie niemal uwodzicielskiego chłodu, niczym dotyk jesiennego wieczornego powietrza, gdy otwierasz okna w sypialni i śpisz jak kamień.

– Gotowe – powiedziała Mab, umieszczając kolczyk na miejscu. – Było tak trudno?

Posłałem jej nieprzychylnie spojrzenie i dotknąłem kamienia lewą dłonią. Moje opuszki potwierdziły to, o czym donosiło ucho – opal był zimny w dotyku.

– Skoro już mam coś, co pozwoli mi bezpiecznie opuścić wyspę, mogę rozkazać Alfredowi, by natychmiast wtrącił cię do celi, i samodzielnie rozwiązać swoje problemy. Co mnie może powstrzymać? – spytałem bardzo cicho.

– Ja – odrzekła Mab. Na jej ustach pojawił się bardzo delikatny, bardzo chłodny uśmiech. Uniosła palec, a ja zobaczyłem szkarłatną kropelkę mojej krwi na jej bladej skórze. – Gdyby Mab zniknęła, twój śmiertelny świat poniósłby sro-

gie konsekwencje. Ciebie spotkałby jeszcze gorszy los, gdybyś tego spróbował. Możesz sprawdzić, magu. Chętnie to zobaczę.

Przez chwilę rozważałem tę możliwość. Tak bardzo się przede mną zabezpieczyła, że z pewnością chciała mnie nakłonić do zrobienia czegoś paskudnego. Nigdy nie chciałem służyć Mab. Nie mogłaby być moją szefową, gdybym uwięził ją w kryształach kilkadziesiąt metrów pod wodami jeziora Michigan. Zresztą zasłużyła sobie na dłuższy pobyt w zamrażarce. Mab była autentycznym złoczyńcą.

Tylko że... była *naszym* złoczyńcą. Chociaż potrafiła być okrutna i straszna, chroniła świat przed istotami, które były jeszcze gorsze. Usunięcie jej z tego układu mogło spowodować katastrofę.

Zresztą bądź wobec siebie szczery, Dresden. Boisz się. A gdybyś spróbował ją załatwić i nie trafił? Pamiętasz, co się stało z ostatnim gościem, który zdradził Mab? Nigdy jej nie pokonałeś. Nie byłeś nawet blisko.

Powstrzymałem drżenie. Uznałaby to za oznakę słabości, a tej nie należy okazywać elfom. Wypuściłem powietrze i oderwałem wzrok od jej lodowatych oczu.

Mab lekko skłoniła głowę w geście zwycięstwa. Potem okręciła się na pięcie i wróciła na nabrzeże.

– Zabierz wszystko, czego potrzebujesz. Wyruszamy natychmiast.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jacht Mab zabrał nas do przystani Belmont, gdzie nietypowo ciepły poranek stopił lód. Moje ucho od czasu do czasu pulsowało zimnem, ale głowa nie bolała i kiedy zacumowaliśmy, przeskoczyłem przez reling i wylądowałem na molo z dużym marynarskim workiem w jednej i nową laską maga w drugiej dłoni.

Mab z godnością zeszła po trapie i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Parkour – wyjaśniłem.

– Jesteśmy umówieni – odrzekła, mijając mnie.

Czekała na nas limuzyna, a w niej kolejni dwaj sidhe w kostiumach ochroniarzy. Zawieźli nas Lake Shore Drive do centrum miasta, gdzie skręcili w stronę Chicago Loop i zatrzymali się przed Carbide & Carbon Building, potężnym grafitowym gmachem, który przypominał mi monolit z *Odysei Kosmicznej 2001*, nie licząc mosiężnych zdobień. Zawsze uważałem, że wygląda bardzo barokowo i czadowo, a potem otwarto w nim Hard Rock Hotel.

Przed budynkiem czekali dwaj kolejni sidhe w strojach ochroniarzy, wysocy i nieludzko piękni. Niezauważalnie wszyscy zmienili się z nieskazitelnych modeli w zbirów o kwadratowych szczękach, z krótko przystrzyżonymi włosami i słuchawkami w uszach – urok, legendarna moc iluzji elfów. Mab nie kłopotowała się zmianą wyglądu, nie licząc założenia okularów przeciwsłonecznych od znanego projektanta. Czterech osiłków otoczyło nas, gdy weszliśmy do budynku, i razem pomaszerowaliśmy do czekającej windy. Cyfry na wyświetlaczu wkrótce wskazały ostatnie piętro, a następnie przeskoczyły na kolejny poziom.

Drzwi otworzyły się i zobaczyłem wewnątrz ekstrawaganckiego apartamentu. Z głośników płynęła muzyka Mozarta, w takiej jakości, że przez chwilę szukałem wzrokiem żywych muzyków. Za oknami, które sięgały od podłogi do znajdującego się ponad cztery metry wyżej sufitu, rozciągał się widok na jezioro i wybrzeże na południe od hotelu. Posadzki wykonano z polerowanego twardego drewna. W pomieszczeniu posadzono tropikalne drzewa, a także jaskrawe kwitnące rośliny, które przeprowadzały czynną napaść na zmysł węchu. Meble stały rozsiane po całym wnętrzu, niektóre na podłodze, inne na platformach wznoszących się na różnych poziomach. Były tutaj także bar i niewielka scena z syste-

mem nagłośnienia, a schody po przeciwnej stronie poddasza prowadziły na wzniesioną platformę, która, sądząc po łożku, zapewne służyła jako sypialnia.

Za drzwiami windy czekała na nas kolejna piątka zbirów w czarnych garniturach i z dopasowanymi kolorystycznie śrutówkami w dłoniach. Kiedy drzwi się otworzyły, przeładowali broń, ale w nas nie wycelowali.

– Kim pani jest? – odezwał się jeden z nich, znacznie młodszy od pozostałych.

Mab wpatrywała się w nich intensywnie zza okularów przeciwsłonecznych. Potem uniosła brew, tak nieznacznie, że żaden z pewnością tego nie zauważył.

Stęknąłem, poruszyłem dłonią i szepnąłem „*Infriga*”.

Nie włożyłem w zakłęcie dużej mocy, ale to wystarczyło, by wysłać wiadomość. Z nagłym chrzęstem dolne dwie trzecie ciał zbirów, ich buty, broń i trzymające ją dłonie, pokryły się grubą warstwą szronu. Zaskoczeni mężczyźni drgnęli i syknęli z niezadowoleniem, ale nie rzucili broni.

– Pani nie rozmawia ze sługusami – odezwałem się. – Zresztą dobrze wiecie, kim jest. Jeśli któryś z was, tumany, ma choćby kawałek mózgu, niech natychmiast powiadomi waszego szefa, że ona tu jest, zanim poczuje się obrażona.

Młody zbir, który się wcześniej odezwał, chwiejnym krokiem ruszył w głąb poddasza, omijając mur drzew i kwiatów, podczas gdy pozostali stanęli naprzeciwko nas, beznamiętni, ale wyraźnie niepewni.

Mab popatrzyła na mnie i zapytała szeptem:

– Co to było?

– Nie zamierzam zabijać śmiertelników, tylko po to, żeby coś udowodnić – odpowiedziałem grzecznie.

– W tym samym celu byłeś gotów zabić jednego z moich sidhe.

– Gram w twojej drużynie, ale nie pochodzę z twojego miasteczka – odrzekłem.

Zerknęła na mnie ponad krawędziami szkieł.

– Taka delikatność nie przystoi Rycerzowi Zimy.

– Nie chodzi o delikatność, Mab – odparłem.

– Nie – przyznała. – Chodzi o słabość.

– No cóż, jestem tylko człowiekiem – odrzekłem, odwracając się.

Mab nie spuszczała ze mnie wzroku, lodowatego i ciężkiego jak śnieżna pokrywa.

– Na razie.

Wcale nie zadrzałem. Po prostu czasami miewam skurcze mięśni. To wszystko.

Zbir potrafiący mówić po ludzku wrócił i pokłonił się w pas przed Mab, starając się nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego.

– Wasza Wysokość. Zapraszam dalej. Pani straż może tutaj zaczekać, razem z tą czwórką, a ja panią do niego zaprowadzę.

Mab nawet nie drgnęła w odpowiedzi na jego słowa. Po prostu wyszła z windy, stukając obcasami o posadzkę, rytmicznie jak metronom, a my staraliśmy się dotrzymać jej kroku.

Okrążyliśmy żywopłot, za którym wcześniej zniknął zbir, i dotarliśmy do rozbudowanej platformy, na którą prowadziły trzy szerokie stopnie. Całą konstrukcję otaczała roślinność, upodabniając ją do przytulnej altanki. Ustawiono na niej drogie meble do siedzenia, tworzące idealne warunki do rozmowy, i właśnie tam czekała na nas osoba, z którą była umówiona Mab.

– Proszę pana – odezwał się zbir. – Jej Wysokość królowa Mab oraz Rycerz Zimy.

– Którego nie trzeba przedstawiać – rzekł mężczyzna głębokim, donośnym głosem.

Rozpoznałem go. Ten głos kiedyś był łagodny i potoczny, ale teraz zabrzmiał nieco chrapliwie i szorstko, niczym jedwab ślizgający się po żwirze.

Z jednego z foteli wstał mężczyzna średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała. Miał na sobie czarny jedwabny garnitur, czarną koszulę i znoszony szary krawat. Miał ciemne włosy naznaczone siwizną oraz ciemne oczy i poruszał się z gracją węża. Na jego ustach gościł uśmiech, ale w oczach nie było wesołości, gdy obrócił się w moją stronę.

– No proszę. Harry Dresden.

– Nicodemus Archleone. Słyszę, że moje cięcie przysłużyło się twojemu głosowi.

Coś nieprzyjemnego błysnęło w głębi jego oczu, a głos stał się jeszcze bardziej szorstki. Jednak uśmiech nie zniknął.

– Od dawna nikt nie był tak blisko jak ty.

– Może zaczynasz robić błędy na starość – odrzekłem. – Zaczyna się od drobiazgów. Na przykład zapomniałeś pozbawić języka jednego ze swoich zbirów. Poczuj się wykluczony, jeśli tylko on będzie mógł mówić.

Nicodemus uśmiechnął się jeszcze szerzej. Już wcześniej spotkałem jego bandę popleczników. Wszyscy mieli wycięte języki.

Odwrócił się w stronę Mab i zgiął w pół, bardziej elegancko niż kiedykolwiek byłem w stanie. To były maniery z innej epoki.

– Wasza Wysokość.

– Nicodemusie – odpowiedziała Mab lodowatym tonem. A potem, bardziej neutralnym głosem, dodała: – Andurielu.

Nicodemus nawet nie drgnął, ale jego cholerny cień skłonił głowę. Nieważne, ile razy widziałem takie akcje, wciąż przyprawiały mnie o dreszcze.

Nicodemus był Rycerzem Poczerniałego Denara, a dokładniej rzecz biorąc, był najważniejszym z nich. Miał przy sobie jedną z trzydziestu srebrnych monet, która zawierała esencję upadłego anioła Anduriela. Z Denarianami lepiej nie zadzierać – chociaż anioły nie mogły swobodnie korzystać ze swojej mocy, gdyż pętała je więź z ich śmiertelnymi partnerami, były równie niebezpieczne jak najgorsze istoty kryjące się w cieniach, a kiedy łączyły siły z takimi szaleńcami jak Nicodemus, stawały się o wiele gorsze. Z tego, co wiedziałem, Nicodemus siał ferment od dwóch tysiącleci. Był bystry, bezwzględny i twardy, a zabicie człowieka znaczyło dla niego tyle samo co wyrzucenie pustej puszkę po piwie.

Kiedyś wygrałem nasze starcie. Jemu też raz się to udało. Żaden z nas nie był w stanie zabić drugiego.

Na razie.

– Proszę o chwilę cierpliwości – rzekł Nicodemus do Mab. – Zanim przejdziemy dalej, jestem zmuszony zająć się drobną kwestią dotyczącą wewnętrznego protokołu.

Przez ułamek sekundy wyczuwałem w powietrzu atmosferę niezadowolenia, aż w końcu Mab się odezwała.

– Oczywiście.

Nicodemus ponownie się uklonił, a potem oddalił się o kilka kroków i zwrócił w stronę zbira, który nas przyprowadził. Przywołał go do siebie gestem.

– Podejź, bracie Jordanie.

Jordan stanął na baczność, przełknął ślinę, a następnie podszedł sztywnym krokiem, przystanął dokładnie przed Nicodemusem i ponownie wyprostował się jak struna.

– Przeszedłeś próby Bractwa – odezwał się Nicodemus ciepłym głosem. – Twoi towarzysze mają o tobie najwyższe mniemanie. Poza tym z niezachwianą odwagą stawiałeś czoło niebezpiecznemu wrogowi. W mojej ocenie wykazałeś się lojalnością oraz oddaniem naszej sprawie w stopniu wykraczającym poza ramy jakiegokolwiek przysięgi. – Położył dłoń na ramieniu młodzieńca. – Masz jakieś ostatnie słowa?

W oczach chłopaka zabłyśły emocje, a jego oddech przyśpieszył.

– Dziękuję, panie.

– Dobrze powiedziane – szepnął Nicodemus z uśmiechem. – Deirdre.

Druga osoba w altance wstała. Była to młoda kobieta w prostej czarnej sukience. Miała szczupłą, surową twarz i ciało obdarzone nieznacznie zarysowanymi, eleganckimi krągłościami, które przywodziły na myśl brzytwę. Jej długie ciemne włosy pasowały do czarnych oczu, identycznych jak u Nicodemusa, a kiedy podeszła do Jordana, posłała mu niemal siostrzany uśmiech.

A potem się przemieniła.

Najpierw mroczne kule jej oczu upodobniły się do jam wypełnionych ognistym karmazynowym blaskiem. Druga para oczu, lśniąca zielono, otworzyła się ponad pierwszymi. Twarz kobiety się wykrzywiła, kości poruszyły się pod skórą, która zafalowała, a następnie stężała i pociemniała, przybierając brzydki fioletowy kolor świeżego siniaka i grubiejac jak u zwierzęcia. Suknia zamigotała i zniknęła, ukazując dotychczas podkurczone nogi, a znacznie wydłużone stopy wyglądały, jakby zginały się w przeciwną stronę. Zmieniły się także jej włosy – urosły, wysuwając się z jej czaszki jak dziesiątki wijących się węży, po czym upodobniły się do twardych, metalicznych i czarnych jak noc wstęg, które szeleściły, poruszały się i samoistnie falowały.

W tym samym czasie cień Nicodemusa urósł, chociaż oświetlenie w pomieszczeniu nie uległo zmianie. Rozciągnął się za jego plecami i rozlał po ścianie, aż w końcu całkowicie objął tę część ogromnego poddasza.

– Będziecie świadkami przemiany brata Jordana w giermka Jordana – odezwał się cicho.

Zielone oczy Deirdre rozblęły, gdy delikatnie uniosła zakończone pazurami dłonie do twarzy młodzieńca. Następnie zbliżyła się i pocałowała go rozchyłonymi ustami.

Mój żołądek wywinął koziołka. Nie dałem tego po sobie poznać.

Głowa Deirdre drgnęła do przodu, a ciało Jordana zeszywniało. Zza pieczęci jej ust wyrwał się stłumiony krzyk, który szybko się urwał. Zobaczyłem, jak Deirdre zaciska zęby, a po chwili gwałtownie szarpnęła głową do tyłu, jak rekin wyrrywający kęs z ofiary. Odchyliła głowę do tyłu w straszliwej ekstazie, a ja zobaczyłem między jej zębami zakrwawiony język Jordana.

Fontanna krwi trysnęła z ust młodzieńca. Wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, a następnie zatoczył się i opadł na jedno kolano.

Deirdre kilkakrotnie szarpnęła głową, jak mewa pożerająca rybę, wydając przy tym ciche odgłosy przełykania. Potem zadrżała i powoli otworzyła płonące oczy. Odwróciła się i podeszła do Nicodemusa z fioletowymi ustami poczerwiałymi od krwi.

– Gotowe, ojciec – wyszeptała.

Nicodemus pocałował ją w usta, a fakt, że zrobił to z językiem, tym razem zaszokował mnie jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zobaczyłem to po raz pierwszy.

Po chwili oderwał się od ust Deirdre.

– Powstań, giermku Jordanie.

Młodzieniec chwiejnie dźwignął się na nogi. Dolna połowa jego twarzy była zalana krwią, która skapywała mu po brodzie i szyi.

– Przyłóż do rany lód i idź do lekarza, giermku – polecił Nicodemus. – Gratuluję.

Oczy Jordana ponownie rozbłysły, a usta wykrzywił makabryczny uśmiech. Odwrócił się i pośpiesznie oddalił, zostawiając za sobą krwawe ślady.

Skrecało mnie w żołądku. Pewnego dnia będę musiał się nauczyć trzymać głowę na kłódkę. Nicodemus właśnie okaleczył chłopaka, tylko dlatego, że pozwoliłem sobie na drobną złośliwość. Zacisnąłem zęby i postanowiłem, że to, co się stało, będzie stanowiło przypomnienie, z jakim potworem mam do czynienia.

– Już po wszystkim – odezwał się Nicodemus do Mab. – Przepraszam za wszelkie niedogodności.

– Dokończymy nasze sprawy? – spytała Mab. – Mój czas jest cenny.

– Oczywiście – zgodził się Nicodemus. – Wiesz, dlaczego się z tobą skontaktowałem.

– Owszem – przyznała Mab. – Anduriel kiedyś zaoferował mi usługi swojego... współnika. Teraz spłacam ten dług, używając ci swojego człowieka.

– Chwileczkę. Co takiego? – wtrąciłem się.

– Doskonale – rzekł Nicodemus i podał Mab wizytówkę. – Spotkamy się tutaj w naszym skromnym gronie o świcie.

Mab sięgnęła po wizytówkę i pokiwała głową.

– Zgoda.

Chwyciłem wizytówkę, zanim zdążyła ją przyjąć.

– Wcale nie – rzuciłem. – Nie zamierzam pracować z tym psychopata.

– Raczej socjopata – odrzekł Nicodemus. – Chociaż ze względów praktycznych te określenia są stosowane niemal wymiennie.

– W każdym razie paskudny z ciebie typ i ani trochę ci nie ufam – burknąłem i odwróciłem się do Mab. – Powiedz, że nie mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie – odparła surowym tonem. – Pójdiesz z Archleone i udzielisz mu wszelkiej możliwej pomocy, dopóki nie wypełni swojego zadania.

– Jakiego zadania? – spytałem ostro.

Mab na niego popatrzyła.

Nicodemus posłał mi uśmiech.

– To niezbyt skomplikowane, chociaż trudne, nie przeczę. Obrabujemy skarbiec.

– Nie potrzebujesz do tego niczyjej pomocy – odparłem. – Możesz poradzić sobie z każdym skarbcem na świecie.

– To prawda – przyznał Nicodemus. – Ale ten skarbiec nie znajduje się tutaj, tylko w Podziemnym Świecie.

– W Podziemnym Świecie? – spytałem.

Miałem złe przeczucia.

Nicodemus uśmiechnął się bez emocji.

– Do kogo należy? – spytałem. – Czyj skarbiec zamierzasz obrabować?

– Przedwiecznej istoty o ogromnej mocy – odpowiedział szorstkim głosem i uśmiechnął się szerzej. – Być może znasz go pod imieniem Hades, władca Podziemnego Świata.

– Hades – powtórzyłem. – Ten Hades. Grecki bóg.

– Właśnie on.

Powoli przeniosłem wzrok na Mab.

Jej twarz była piękna i doskonała. Mały kolczyk podtrzymujący mnie przy życiu rytmicznie pulsował chłodem.

– Aha – odezwałem się cicho. – Na wszystkie dzwony piekieł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mój mózg zwiększył obroty.

Zostałem przyparty do muru, ale to nie było dla mnie nic nowego. Przez lata takie sytuacje nauczyły mnie, że warto za wszelką cenę zyskać nieco przestrzeni, czasu lub wsparcia.

Złowiłem nieprzejednane spojrzenie Mab.

– Musimy postawić jeden warunek – stwierdziłem.

Zmrużyła oczy.

– Jaki warunek?

– Wsparcie – odrzekłem. – Chcę, żeby towarzyszyła mi jeszcze jedna para oczu. Ktoś, kogo sam wybiorę.

– Dlaczego?

– Ponieważ Nicodemus to morderczy morderca – wyjaśniłem. – A jeśli werbuje drużynę, zapewne będzie się składała z takich samych drani. Chcę pomocnika, który zadba o to, żeby któryś z nich nie strzelił mi w plecy, gdy tylko popatrzę w inną stronę. W końcu tylko wypożyczasz Rycerza Zimy. Nie pozbywasz się go.

Mab uniosła brew.

– Cóż...

– Obawiam się, że to wykluczone – odezwał się Nicodemus. – Wszystko już zostało zaplanowane i nie ma miejsca na dodatkowe osoby.

Mab bardzo powoli odwróciła ku niemu głowę.

– O ile pamiętam – odparła arktycznym tonem – kiedy sam użyczyłeś mi swoich usług, zabrałeś ze sobą swój pomiot. Uważam, że ten warunek zapewnia symetrię.

Nicodemus zmrużył oczy. Wziął głęboki wdech, a potem lekko skłonił głowę.

– Nie mam pełnej władzy nad wszystkimi zaangażowanymi stronami. Nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa ani twojego Rycerza, ani jego... dodatkowego pomocnika.

Mab niemal się uśmiechnęła.

– A ja nie mogę zagwarantować twojego bezpieczeństwa, Sir Archleone, jeśli sprzeniewierzysz się warunkom umowy zawartej w dobrej wierze. Proponuję rozejm do chwili wykonania zadania.

Nicodemus przez chwilę się nad tym zastanawiał, aż wreszcie skinął głową.

– Zgoda.

– A więc załatwione – rzekła Mab i wyjęła wizytówkę z mojej dłoni. – Idziemy, mój Rycerzu?

Wbiłem wzrok w Nicodemusa i jego córkę o zakrwawionych ustach. Włosy Deirdre zgrzytały i szeleściły, ocierając się o siebie jak długie, kręte paski blachy.

Za cholere nie pomogę temu szaleńcowi.

To jednak nie był odpowiedni czas ani miejsce na takie deklaracje.

– Tak – odpowiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Dobrze.

Nawet na chwilę nie odwracając się plecami do Denarian, podążyłem za Mab do windy.

Na dole budynku odwróciłem się w stronę ochroniarzy Mab.

– A teraz wyjdźcie i przyprowadźcie samochód – poleciłem, ale żaden z nich nawet nie drgnął. – W porządku. Zadeklarowaliście w jakimś formularzu, co ma się stać z waszymi szczątkami, prawda?

Sidhe zamrugali. Popatrzyli na Mab.

Mab wpatrywała się przed siebie. Widywałem posągi, które silniej manifestowały swoje pragnienia.

Ochroniarze wyszli.

Zaczekałem, aż zamkną się za nimi drzwi windy, po czym poruszyłem palcem i szepnąłem „Hexus”, wkładając w to niewielką dawkę siły woli. Śmiertelni magowie i technologia to kiepskie połączenie. Sama bliskość kogoś używającego magii wystarczy, by uszkodzić większość urządzeń elektronicznych. A kiedy mag rzeczywiście próbuje zniszczyć takie urządzenia, niewiele z nich może mu się oprzeć.

Panel kontrolny windy zaiskrzył i poczerniał. Żarówki zgasły z trzaskiem, podobnie jak światła awaryjne, i wnętrze windy nagle pograżyło się w ciemności, którą przełamywała tylko odrobina dziennego światła sączącego się pod drzwiami.

– Postradałaś zmysły? – spytałem Mab.

Nie podnosząc głosu.

W kabinie było wystarczająco dużo światła, żebym zobaczył błysk jej oczu, gdy na mnie popatrzyła.

– Nie zamierzam pomagać temu palantowi – warknąłem.

– Zrobisz dokładnie to, czego się od ciebie wymaga.

– Nie zrobię – odparłem. – Wiem, jak to działa. Cokolwiek on robi, będą z tego same problemy. Komuś stanie się krzywda, a ja nie będę w tym uczestniczył. Nie pomogę mu.

– Najwyraźniej niezbyt uważnie mnie słuchałeś – odpowiedziała Mab.

– Najwyraźniej nic nie rozumiesz – odburknąłem. – Są takie rzeczy, których po prostu się nie robi, Mab. Jedną z nich jest pomaganie takiemu potworowi w osiągnięciu jego celów.

– Nawet jeśli odmowa będzie cię kosztowała życie?

Westchnąłem.

– Nie widziałaś, co się działo przez ostatnie dwa lata? Masz jeszcze jakieś wątpliwości, że wolę umrzeć niż stać się częścią czegoś takiego?

Jej zęby błysnęły bielą w ciemności.

– A jednak tutaj jesteś.

– Naprawdę zamierzasz to przeforsować? – spytałem. – Już chcesz stracić swojego nowego lśniącego rycerzyka?

– Trudno mówić o stracie, jeśli nie chce wykonywać prostych poleceń – odparła Mab.

– Będę wykonywał polecenia. Już to robiłem.

– Owszem, na swój nieudolny sposób.

– Po prostu nie tym razem.

– Zrobisz to, o co zostaniesz poproszony – odrzekła Mab i zbliżyła się do mnie o krok. – W przeciwnym razie czekają cię konsekwencje.

Przełknąłem ślinę.

Ostatni Rycerz, który rozgniewał Mab, błagał mnie, żebym go zabił. Biedak był za to wdzięczny.

– Jakie konsekwencje? – spytałem.

– Pasożyt – wyjaśniła Mab. – Kiedy cię zabije i z ciebie wyjdzie, odszuka wszystkich, których znasz. Wszystkich, których kochasz. Następnie doszczętnie ich zniszczy – zaczynając od pewnego dziecka.

Moje ręce pokryły się gęsią skórą. Mówiła o Maggie. Mojej córce.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – wyszeptałem. – Jest chroniona.

– Nie przed czymś takim – odpowiedziała obojętnym tonem. – Nie przed istotą stworzoną z twojej esencji, podobnie jak ona. Twoja śmierć przywoła na świat śmiertelne stworzenie, mój Rycerzu, które będzie wiedziało wszystko to, co ty, o twoich sojusznikach. Kochankach. Rodzinie.

– Tak się nie stanie – odrzekłem. – Wrócę na wyspę. Poinstruuję Alfreda, żeby uwięził tę istotę, gdy tylko się uwolni.

Mab tym razem szczerze się uśmiechnęła. Wyglądało to groźniej od jej surowego spojrzenia.

– Moje słodkie dziecko. – Pokręciła głową. – A dlaczego uważasz, że pozwolę ci wrócić?

Zacisnąłem pięści i zęby.

– Ty... ty suko.

Mab mnie spoliczkowała.

No dobrze, to nie do końca oddaje to, co się stało. Jej ręka się poruszyła. Jej dłoń trafiła w mój lewy policzek, a po chwili prawa strona mojej czaszki trzasnęła o drzwi windy. Moja głowa odbiła się jak piłeczka pingpongowa, nogi zrobiły się miękkie jak z gumy i przyjrzałem się z bliska marmurowej posadzce. Metal zabrzączał jak gong i wciąż wibrował dwie minuty później, kiedy powoli usiadłem. A może to była moja głowa.

– Cenię twoje sugestie, pytania, myśli i argumenty, mój Rycerzu – odezwała się Mab spokojnym głosem. Z gracją przesunęła jedną stopę i oparła czubek obcasa na moim gardle. Tylko lekko nacisnęła, ale ból był piekielny. – Ale jestem Mab, śmiertelniku. Nie masz prawa mnie osądzać. Rozumiesz?

Nie mogłem się odezwać, ponieważ jej obcas naciskał moją krtani. Lekko kiwnąłem głową.

– Jeśli chcesz, możesz mi się sprzeciwić – ciągnęła. – Nie mogę ci tego zabronić. Jeśli tylko jesteś gotowy zapłacić za to cenę.

Cofnęła stopę z mojego gardła.

Usiadłem i rozmasowałem szyję.

– To niezbyt mądry sposób na podtrzymanie zdrowych relacji zawodowych – wychrypiałem.

– Uważasz mnie za głupią, mój Rycerzu? – spytała. – Zastanów się.

Zmierzyłem ją wzrokiem. Mówiła z całkowitym spokojem. Nie spodziewałem się tego po tym, co jej powiedziałem, po moim sprzeciwie. Nigdy nie cofała się przed okazywaniem oburzenia, gdy czuła, że są ku temu powody. Taki idealny spokój... nie był dla niej nietypowy, ale spodziewałem się, że znacznie bardziej się przejmie. Mój bunt zagrażał jej planom, a to nigdy nie wprowadzało jej w dobry nastrój.

Chyba że...

Zamknąłem oczy i powtórzyłem w myślach jej słowa.

– Poleciałś mi, żebym poszedł z Archleone i udzielił mu wszelkiej możliwej pomocy, dopóki nie wypełni swojego zadania – powiedziałem powoli.

– Zgadza się. A to zadanie, jak sam stwierdził, polega na usunięciu zawartości pewnego skarbcza. – Pochyliła się, chwyciła mnie jedną ręką za koszulę i podniosła tak łatwo, jakbym był pieskiem chihuahua. – Nie powiedziałam, co masz zrobić potem.

Zamrugalem. Kilkakrotnie.

– Chcesz... – zacząłem i od razu urwałem. – Chcesz, żebym go oszukał?

– Oczekuję, że spłacisz mój dług, wypełniając moje polecenia – odrzekła Mab. – A potem... – W ciemności znów ujrzałem jej chytry uśmiech. – Potem masz być sobą.

– Cokolwiek Nicodemus knuje tym razem... ty też chcesz go powstrzymać – wydyszałem.

Lekko przekrzywiła głowę.

– Dobrze wiesz, że nie uszanuje rozejmu – dodałem cicho. – W którymś momencie spróbuje mnie załatwić. Zdradzi mnie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Dlatego oczekuję od ciebie jeszcze skuteczniejszej i bardziej kreatywnej zdrady.

– A zarazem zamierzasz dotrzymać słowa i mu pomóc? – spytałem ostro.

Jej uśmiech stał się bardziej drapieżny.

– Czy nie na tym polega gra? – spytała. – Kiedy byłam młodsza, uwielbiałam takie wyzwania.

– No tak – odrzekłem. – Kurczę. Dzięki.

– Kapryśność nie przystoi Rycerzowi Zimy. – Odwróciła się w stronę drzwi windy, na których widniało potężne wgniecenie w kształcie łba maga, a one otworzyły się ze zgrzytem sprzeciwu. – Jeśli to dla mnie zrobisz, zadbam o bezpieczne usunięcie pasożyta.

– W drużynie Nicodemusa jest jego córka i Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze – odrzekłem. – Będę miał związane ręce i oczekujesz, że wyjdę z tego cało?

– Jeśli chcesz przeżyć, jeśli zależy ci na życiu twoich przyjaciół i rodziny, zrobisz coś więcej – rzuciła Mab, wychodząc z windy. – Nie tylko wyjdiesz z tego cało, ale obedrzesz ich żywcem ze skóry.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Trzeba przyznać Mab, że w pewnym sensie prosi cię o zrobienie czegoś, w czym jesteś dobry – zauważyła Karrin Murphy.

Zamrugalem.

– Co to ma niby znaczyć?

– Masz tendencję do wykręcania się z układów, w które się wplątujesz, Harry – odrzekła. – Robiłeś to nie raz.

– Czyli nie powinienem się przeciwstawiać? – spytałem ostro.

– Raczej powinieneś się skupić na tym, żeby w ogóle nie pakować się w takie sytuacje, ale to tylko opinia skromnej byłej policjantki.

Siedzieliśmy w salonie Karrin, w małym domu z różanym ogrodem, który odziedziczyła po babci. Popijała herbatę, a jej muskularne ciało leniwie spoczywało zwinięte w kłębek na końcu kanapy. Siedziałem w fotelu naprzeciwko niej. Mój wielki szary kocur, Mister, prężył się i mruczał na moich kolanach, gdy czochnąłem go po grzbiecie.

– Dobrze się nim opiekowałaś – zauważyłem. – Dziękuję.

– Lubię jego towarzystwo – odrzekła. – Chociaż nie jestem pewna, czy nie byłoby mu lepiej z tobą.

Zacząłem drapać Mistera za uszami, tak jak lubił najbardziej. Jego mruczenie przypominało odgłos miniaturowej motorówki. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknię za tym futrzakiem, dopóki nie podbiegł do mnie i nie przywarł bokiem do mojej pizszczeli. Mister ważył prawie piętnaście kilogramów. Zastanawiałem się, jak drobna Karren broniła się przed powaleniem na podłogę za każdym razem, gdy wylewnie ją witał. Może stosowała jakieś techniki aikido.

– Możliwe – odrzekłem. – Już się... zadomowiłem. A na wyspie nie ma niczego wystarczająco dużego, by mu zagrażać. Ale zimy są tam mroźne, a on się starzeje.

– Wszyscy się starzejemy – zauważyła Karrin. – Zresztą tylko na niego popatrz.

Mister przewrócił się na grzbiet i radośnie podgryzał moje opuszki palców oraz trącał łapami moje przedramiona i dłonie, nie wysuwając pazurów. Ow-

szem, był starym kocurem, który nosił na ciele ślady licznych bitew, miał kikut ogona i nadszarpnięte ucho, ale jednocześnie był cholernie uroczy i nagle łyzy stały mi w oczach.

– No tak – odrzekłem. – W końcu jest moim kumplem, prawda?

Niebieskie oczy Karrin uśmiechnęły się do mnie ponad krawędzią filiżanki. Gdyby nie charakter, byłaby jak dziecko. Złocistobrązowe włosy, które chyba jeszcze nigdy nie były tak długie, związała w kucyk. Miała na sobie spodnie do jogi, podkoszulek bez rękawów i flanelową koszulę, a kiedy się u niej pojawiłem, właśnie ćwiczyła sztuki walki.

– Oczywiście – zgodziła się. – Mógłbyś też podejść do tego od drugiej strony.

– Co masz na myśli?

– Mógłbyś tutaj zamieszkać – wyjaśniła, po czym dodała, nieco zbyt pośpiesznie: – W Chicago. Naprawdę mógłbyś wrócić do miasta.

Zmarszczyłem czoło, nie przestając bawić się z kotem.

– Nie... Kiedy następny dziwoląg spali moje mieszkanie, mogę nie mieć tyle szczęścia co ostatnim razem.

– Ostatnim razem skończyłeś ze złamanym kręgosłupem i na usługach potwora – przypomniała Karrin.

– No właśnie. A tylko dzięki autentycznej boskiej interwencji nie zginął żaden z moich sąsiadów. – Pokręciłem głową. – Wyspa nie jest przyjemnym miejscem, ale nikt nie będzie tam szukał kłopotów.

– Poza tobą – odrzekła łagodnie. – Boję się, co się z tobą stanie, jeśli zostaniesz tam zbyt długo. Taka izolacja ci nie służy, Harry.

– To konieczne – stwierdziłem. – Bezpieczniejsze dla mnie i wszystkich dookoła mnie.

– Co za bzdury – odparła bez złości. – Po prostu się boisz.

– Żebyś wiedziała – przyznałem. – Boję się, że jakiś dziwoląg o owadzich oczach zabije niewinnych ludzi, ponieważ przypadkiem znajdą się niedaleko mnie.

– Nie, wcale nie to cię przeraża. – Machnęła ręką. – Nie chcesz, żeby to się stało, i będziesz z tym walczył, jeśli do tego dojdzie, ale nie tego się boisz.

Zmarszczyłem czoło, opuszczając wzrok na Mistera.

– Naprawdę... nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Pogódź się z tym – powiedziała Karrin, jeszcze łagodniej. – Harry, kiedy wampiry porwały Maggie... zburzyły twoje życie. Odebrały ci wszystko, co znałeś. Twoje biuro. Twój dom. Nawet tamtego błazeńskiego starego grata.

– Niebieski Chrabąszcz wcale nie był błazeński – sprzeciwiłem się ostro. – To była machina sprawiedliwości.

Nie patrzyłem na nią, ale słyszałem w jej głosie wesołość, a także coś, co mogło uchodzić za współczucie.

– Jesteś przywiązany do swoich nawyków, Harry. A oni odebrali ci wszystkie znajome miejsca i przedmioty. To cię zraniło.

Coś mrocznego i wściekłego poruszyło się w moim wnętrzu, grożąc wyrwaniami się na wolność. Powstrzymałem to.

– Dlatego idea fortecy, znajomego miejsca, którego nikt nie może ci zabrać, tak bardzo do ciebie przemawia – stwierdziła Karrin. – Nawet jeśli to oznacza odcięcie się od wszystkich.

– To nie tak – odparłem.

Chodziło o coś innego.

Ale czy na pewno?

– Poza tym jestem zadowolony – dodałem.

– Wcale nie – odrzekła Karrin spokojnie. – Daleko ci do zadowolenia. Musisz to sobie uświadomić.

Futro Mistera było miękkie i bardzo ciepłe w dotyku. Jego łapy delikatnie muskały moje dłonie. Miał ostre zęby, którymi delikatnie kąsał mnie po nadgarstkach. Już zapomniałem, jak wielką przyjemność sprawiały mi dotyk i bliskość tego futrzaka.

Jak mogłem o tym zapomnieć?

(„*Jestem tylko człowiekiem*”).

(„*Na razie*”).

Powoli pokręciłem głową.

– To... nie jest najlepsza chwila na analizowanie moich uczuć.

– Wiem o tym – przyznała. – Ale nie widziałam cię od miesiący. A jeśli nie będę miała kolejnej okazji? – Odstawiła filiżankę na spodek. – Wiem, że masz zadanie do wykonania, ale musisz zrozumieć, że twoi przyjaciele się o ciebie martwią. To też jest ważne.

– Moi przyjaciele – odrzekłem. – Więc to... grupowy projekt?

Karrin przez chwilę mi się przyglądała. Potem wstała i stanęła obok fotela. Przez kilka sekund się zastanawiała, a następnie odgarnęła mi włosy z oczu.

– Chodzi o mnie, Harry.

Poczułem, że zamykają mi się oczy. Przywarłem do ręki Karrin. Jej skóra była niezwykle gorąca w porównaniu z lodowatymi palcami Mab, które musnęły mnie wcześniej. Przez jakiś czas tak trwaliśmy, a gardłowe mruczenie Mistera rozbrzmiewało w pomieszczeniu.

W dotyku drugiego człowieka kryje się wielka moc. Nieustannie dajemy temu wyraz za pomocą drobnych gestów. Nie bez powodu ludzie witają się uściskiem dłoni, trzymają się za ręce, przybijają piątki czy zderzają się pięściami.

To ma swój początek w naszych najwcześniejszych wspomnieniach, gdy przychodzimy na ten świat oślepieni światłem i kolorami, ogłuszeni chaotycznym dźwiękiem, miotając się w zaskakująco olbrzymiej przestrzeni bez żadnych punktów orientacyjnych, drżąc z zimna, trawieni głodem, w zrozumiałym sposobie przerażenia i oszołomieni. A co zmienia ten pierwotny stan grozy?

Dotyk czyichś dłoni.

Dłoni, które otaczają nas ciepłem i przytulają. Dłoni, które prowadzą nas do schronienia, wygody, pożywienia. Dłoni, które nas podtrzymują, dotykają i pocieszają podczas pierwszego kryzysu i kierują ku pierwszemu schronieniu przed cierpieniem. Pierwszym, czego się uczymy, jest fakt, że czyjś dotyk może złagodzić ból i wszystko naprawić.

Oto prawdziwa moc. Tak fundamentalna, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z jej istnienia.

Oparłem się głową o dłoń Karrin i ponownie zadrzałem.

– W porządku – powiedziałem cicho. – W porządku. To też jest ważne.

– Dobrze – odrzekła. Jeszcze przez chwilę trzymała palce w moich włosach, a potem cofnęła rękę. Zabrała nasze filizanki i odniosła je do kuchni. – A więc dokąd się wybrałaś po opuszczeniu hotelu?

– Słucham? – zdziwiłem się.

Jej głos płynął do mnie z kuchni.

– Z tego, co mi mówiłaś, wyszedłeś od Nicodemusa jakieś trzy godziny temu. Co robiłaś od tamtej pory?

– Eee... no tak.

Wróciła do pokoju i popatrzyła na mnie z uniesionymi złocistymi brwiami.

– A gdybym ci powiedział, że musisz mi zaufać?

Zmarszczyła czoło i przekrzywiła głowę, ale po chwili na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Szukałaś informacji, prawda?

– Eee... Powiedzmy, że dopóki nie będę wiedział więcej na temat tego, z czym muszę się zmierzyć, zamierzam być dużo bardziej dyskretny niż zwykle.

Zmarszczyła czoło.

– Powiedz, że nie robisz tego, by mnie chronić.

– Skopałabyś mi tyłek – odrzekłem. – Robię to, żeby chronić siebie.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Chyba.

– Nie dziękuj mi. Wciąż coś przed tobą ukrywam. Ale uważam, że to konieczność.

– Czyli mam ci zaufać.

– Tak.

Rozłożyła ręce.

– No dobrze. Więc jaki masz plan? Zakładam, że chcesz, abym zwerbowała oddział wsparcia i czekała na rozwój wydarzeń, podczas gdy ty i Thomas będziecie się bawili ze złoczyńcami.

Pokręciłem głową.

– Nic z tych rzeczy. Chcę, żebyś poszła ze mną.

To na chwilę odebrało jej mowę. Jej oczy lekko się rozszerzyły.

– Z tobą. Kiedy będziesz napadał na greckiego boga.

– Technicznie rzecz biorąc, to będzie włamanie – odrzekłem. – Gdyby ktoś wycelował spluwę w Hadesa, zasługiwałby na wszystko, co go spotka.

– Dlaczego ja? – spytała. – Thomas ma noże i nadludzką siłę.

– Nie potrzebuję noży ani nadludzkiej siły – odparłem. – Jaka jest pierwsza zasada bezpieczeństwa na ulicy?

– Czujność – odpowiedziała natychmiast. – Niezależnie od tego, jakim jesteś twardzielem, jeśli nie zobaczysz, że zbliżają się kłopoty, nie będziesz w stanie się obronić.

– Właśnie. Jesteś mi potrzebna, ponieważ nie masz nadludzkich zdolności. Nigdy ich nie miałaś. Nigdy na nich nie polegałaś. Potrzebuję dodatkowej pary oczu. Muszę wiedzieć, co się dzieje, mieć kogoś, kto będzie mnie pilnował, zwracał uwagę na szczegóły. Jako detektyw dostrzegłaś, że nadprzyrodzone zjawiska są prawdziwe, podczas gdy wszyscy inni starali się je wytłumaczyć. Stawiałaś czoło najgorszym wrogom i przeżyłaś. Nie znam nikogo bardziej spostrzegawczego.

Karrin przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem powoli pokiwała głową.

– I uważasz... że jestem na tyle zwariowana, by się zgodzić?

– Potrzebuję cię – odrzekłem.

Spochmurniała.

– Idę po broń.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karrin zawiozła nas pod adres z wizytówki swoim nowym samochodem, jednym z tych niewielkich japońskich SUV-ów, które tak lubią w Consumer Reports. Dotarliśmy na miejsce mniej więcej dziesięć minut przed zmierzchem.

– Opuszczona rzeźnia – zauważyła. – Elegancko.

– Myślałem, że zburzono i przebudowano dzielnicę zagród dla bydła.

Karrin zaparkowała i sprawdziła pistolet SIG, który trzymała w kaburze pod pachą.

– Prawie w całości. Pozostało kilka ruin.

Ruiną, o którą chodziło, był długi dwupiętrowy budynek o prostej kanciastej konstrukcji, ciągnący się przez całą przecznicę. Był zapadnięty, brudny, pokryty plamami i graffiti. Koszmarek, który zapewne stał tutaj od czasów drugiej wojny światowej. Na boku budynku widniał niemal nieczytelny napis: SPÓŁKA MIĘSNA SULLIVANA. Wokół niego wznosiły się odnowione kamienice przeznaczone na biura, ale zauważyłem, że żadna z pracujących w nich osób nie zdecydowała się zostawić auta od strony rzeźni.

Nie musiałem wysiadać z samochodu, by poczuć energię otaczającą budynek – mroczną, złą aurę, która skłania ludzi i zwierzęta do omijania pewnych miejsc, pozornie bez powodu. Ruch uliczny bezmyślnie kłębił się po obrzeżach okolicznych przecznic, naśladując ruchy Browna. W każdym mieście są takie miejsca, do których ludzie nie chcą się zapuszczać. Nie uciekają z nich z wrzaskiem, ale tak się składa, że nikt nigdy nie znajduje powodu, by skręcić w daną ulicę albo na niej przystanąć. Nie bez powodu.

W takich miejscach dzieją się złe rzeczy.

– Wchodzimy? – spytałem Karrin.

– Poobserwujmy przez chwilę – odrzekła. – Zobaczymy, co się wydarzy.

– Jasne, pani obserwatorco.

– Wyobraź sobie, że właśnie kopię cię w kostkę – syknęła Karrin. – Nie zrobię tego naprawdę, ponieważ to poniżej mojej godności.

– Od kiedy?

– Nie chcę, żeby przeszły na mnie twoje chłopackie zarazki – odparła, patrząc na ulicę. – Co chce zdobyć Nicodemus?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – A jeśli nawet powie, możemy bezpiecznie założyć, że skłamię.

– W takim razie odwróćmy to pytanie. Co takiego ma Hades?

– Otóż to. Moje źródła donoszą, że jest kolekcjonerem nadprzyrodzonego świata. Słynie z tego. Dzieła sztuki, skarby, klejnoty, biżuteria, antyki, ma wszystko.

– Nicodemus nie wygląda na amatora antyków.

Parsknąłem.

– To zależy. Są różne antyki. Stare monety. Stare miecze.

– Uważasz, że może chodzić o jakiś magiczny artefakt?

– Tak, o coś konkretnego – przyznałem. – Wszystko inne mógłby zdobyć z innych źródeł.

– A może chce coś osiągnąć poprzez sam akt włamania?

Wzruszyłem ramionami.

– Na przykład co? Nie licząc wkurzenia potężnego i patologicznie mściwego cholernego greckiego bóstwa. Ci goście traktują takie sprawy osobiście.

– No tak. A jeśli chce sprawić, by włamanie wyglądało na robotę kogoś innego?

Stęknąłem.

– Warto to rozważyć. Ale mam wrażenie, że istnieją na to prostsze sposoby niż włamanie do czyjejś wersji piekła. – Zmarszczyłem czoło. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Zamierzasz zabrać ze sobą któryś z mieczy?

Karrin posiadała dwa miecze, których ostrza wykuto z wykorzystaniem gwoździ z Krzyża (tak, tego Krzyża). Były to potężne talizmany, które dzierżyli Rycerze Miecza, naturalni wrogowie Nicodemusa i jego drużyny trzydziestu szaleńców ze srebrnikami (tak, tymi srebrnikami).

Zmarszczyła czoło, nie przestając obserwować ulicy, i przez chwilę nie odpowiadała. Kiedy wreszcie się odezwała, miałem wrażenie, że starannie dobiera słowa.

– Wiesz, że muszę ostrożnie się z nimi obchodzić.

– To broń, a nie szklane figurki, Karrin – odrzekłem. – Jaki jest sens posiadania dwóch świętych mieczy służących do walki ze złem, jeśli od czasu do czasu, no wiesz, nie walczysz nimi ze złem?

– Miecze są dziwne – odparła. – To najskuteczniejsze napędzane siłą mięśni narzędzia do zabijania. Ale zarazem są delikatne. Jeśli niewłaściwie się ich

używa, pękają jak szkło.

– Denarianie są na polu bitwy – zauważyłem. – To przeciwko nim miały być używane miecze.

– Miały być używane przeciwko temu, co tkwi wewnątrz monet. Natomiast osoby, które dzierżą monety, miały być ocalone – odrzekła ze współczuciem w głosie. – Właśnie dlatego ich nie zabrałam. Nie chcę ocalić tych zwierząt, Harry. Poza tym nie wystarczy użyć mieczy przeciwko właściwemu wrogowi. Trzeba ich użyć z właściwego powodu, w przeciwnym razie można je stracić na zawsze. Nie zamierzam się do tego przyczynić.

– Więc po prostu będą u ciebie beczynnymi leżakami? – spytałem.

– Przekażę je komuś, kto według mnie będzie je mądrze i dobrze wykorzystywał – odpowiedziała spokojnie. – Ale tacy ludzie nie pojawiają się każdego dnia. Bycie strażnikiem mieczy to poważne zadanie, Harry. Przecież wiesz.

Westchnąłem.

– Tak, wiem. Ale Nicodemus i jego córka są w tamtym budynku i przydałaby nam się każda przewaga.

Karrin nagle się uśmiechnęła. Przemieniło to jej twarz, chociaż oczy nie przestały lustrować okolicy.

– Musisz mieć odrobinę wiary.

– Wiary?

– W to, że jeśli Rycerz Miecza ma się tutaj pojawić, to tak się stanie. Sanya może w każdej chwili nadejść ulicą i wsiąść do naszego samochodu.

Skrzywiłem się na tę myśl, chociaż Karrin zapewne miała rację. Kiedy Rycerz Miecza ma zainterweniować, zawsze się pojawia, niezależnie od tego, kto i co stanie mu na drodze. Widziałem to nie raz. Ale... jakaś część mnie nie chciała rezygnować z przewagi, jaką dałyby nam miecze.

Oczywiście właśnie na tym polega wiara – na odpuszczeniu i zaufaniu Komuś Innemu.

Może magowie po prostu mają trudności z oddawaniem kontroli. Zwłaszcza gdy dysponują tak wielką osobistą mocą. Kiedy ktoś już uzyska dostęp do pierwotnych potęg, które stworzyły wszechświat, nie jest mu łatwo wypuścić je z rąk. To by z pewnością tłumaczyło, dlaczego prawie żaden ze znanych mi magów nie był choć odrobinę religijny.

Poza tym to wyraźnie pokazywało, dlaczego nigdy, przenigdy nie mógłbym zostać Rycerzem. Oczywiście nie licząc tego, że pracowałem dla królowej niegodziwych elfów i wchodziłem w konszachty z takimi palantami jak Nicodemus.

Karrin zerknęła we wsteczne lustro i skupiła wzrok.

– Samochód – powiedziała cicho.

Gdyby to był film szpiegowski, spokojnie obserwowałbym przybyszów w lusterku albo w specjalnych lustrzanych okularach. Ale nie jestem szpiegiem, nie jestem spokojny i nie przywiązuję zbytnej wagi do dyskrecji, więc okręciłem się na siedzeniu i wyjrzałem przez tylną szybę.

Biały sedan z naklejką wypożyczalni na zderzaku podjechał do krawężnika w połowie przecznicy. Zadrżał przy tym, jakby jego silnik odmawiał współpracy, mimo że auto było nowe. Zanim całkowicie się zatrzymało, drzwi od strony pasażera otworzyły się i z samochodu wysiadła kobieta.

Robiła oszałamiające wrażenie – była smukła, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i mocno kręcone ciemne włosy sięgające niemal do pasa. Nosiła ciemne okulary, jeansy oraz gruby, obcisły szkarłatny sweter, który wypełniała wyraźniej niż większość kobiet. Jej kowbojki śmiało uderzały o asfalt, gdy przemierzała ulicę długimi krokami, kierując się do starej rzeźni. Wysunęła do przodu ostry podbródek, mocno zacisnęła usta i kroczyła tak, jakby była pewna, że ma wolną drogę – a przynajmniej powinna mieć.

– Niezła laska – zauważyła Karrin neutralnym tonem. – Człowiek?

Nie wyczuwałem od niej żadnych nadprzyrodzonych wibracji, ale zagrożenie można rozpoznać na więcej sposobów.

– Nie jestem pewien – odrzekłem. – Ale chyba wiem, kim ona jest.

– Kim?

– Czarnoksiężnikiem.

– To mag, który zszedł na złą drogę, prawda?

– Tak. Kiedy byłem w Straży, rozsyłano plakaty z podobiznami poszukiwanych czarnoksiężników, żeby Strażnicy mogli ich rozpoznać. Nie polowałem na nich, ale również otrzymywałem te przesyłki.

– Dlaczego tego nie robiłeś? – spytała. – Podobno są niebezpieczni.

– Większość z nich to niebezpieczne dzieci – odparłem. – Dzieciaki, których nikt nie nauczył Praw Magii lub nawet im o nich nie powiedział. – Wskazałem kobietę głową. – Ona nazywa się Hannah Ascher. Ukrywała się dłużej niż jakikolwiek inny czarnoksiężnik w najnowszej historii. Myśleliśmy, że sześć lat temu zginęła w pożarze w... Australii, jeśli się nie mylę.

– Ty kiedyś utonąłeś. Jak dużą presję wywierała na tobie Rada, gdy już było po wszystkim?

– Masz rację – przyznałem.

– Co ona przeskrobała? – spytała Karrin.

– Pierwotnie? Ascher spaliła trzech mężczyzn żywcem, od środka.

– Jezu.

– Zabiła jednego Strażnika, jeszcze zanim rozpocząłem służbę. Trzech kolejnych posłała do szpitala.

– Tych magów szkolono, żeby polowali na czarnoksiężników, a ona ich załatwiła?

– Owszem. Pewnie dlatego teraz nie boi się tam wejść.

– My też się nie przestraszymy – odrzekła Karrin.

– Nie ma mowy – zgodziłem się.

– Wysiada kierowca.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i auto opuścił łysy, masywny mężczyzna średniego wzrostu ubrany w drogi czarny garnitur. Rozpoznałem go, jeszcze zanim zdjął okulary przeciwsłoneczne i odsłonił oczy przypominające małe zielone agaty. Karrin także go poznała i cicho warknęła. Schował okulary do kieszeni, poprawił coś, zapewne broń, w kaburze pod pachą, a następnie pośpiesznie ruszył w ślad za Ascher, z wyrazem rozdrażnienia na twarzy o tępych rysach.

– Binder – powiedziała.

– Ernest Armand Tinwhistle – dodałem. – Nic dziwnego, że z takim głupawym nazwiskiem zdecydował się na przydomek.

Chociaż tak naprawdę to nie on go wybrał. Przydomek Binder, czyli „Wiążący”, nadali mu Strażnicy, gdy odkryli, że jakimś cudem zdołał związać i zmusić do posłuszeństwa cały klan istot z Nigdynigdy. Potrafił przywołać skromną horde humanoidalnych istot, które najwyraźniej nie odczuwały bólu ani strachu i były gotowe bez wahania poświęcić życie. Binder był jednoosobową armią, a ja powiedziałem temu małemu palantowi, że jeśli ponownie zobaczę go w moim mieście, to go wykończę. Kazałem mu się trzymać z dala, tymczasem on właśnie się tutaj pojawił.

Przez jakieś trzy sekundy nie mogłem myśleć o niczym więcej poza pozbawieniem go życia. Musiałbym to zrobić szybko, sprzątnąć go, zanim zdoła przywołać swoich kumpli, na przykład skrócić mu kark. Otworzyć drzwi auta. Wysiadając, przywołać rozbłysk światła, żeby go oślepić, skoro właśnie zdjął okulary. Kilkanaście szybkich kroków, potem chwyt za szczękę i tył głowy, gwałtowny ruch w górę i w bok, a następnie postawienie tarczy, na wypadek gdyby jego mózg pozostał przy życiu na tyle długo, by rzucić na mnie śmiercionośną klątwę.

– Harry – odezwała się Karrin cichym, surowym głosem.

Uświadomiłem sobie, że ciężko dyszę, a mój oddech zmienia się w szron, gdy moc Rycerza Zimy zaczęła przejmować kontrolę nad moimi odruchami zgodnie z pierwotnym pragnieniem obrony terytorium przed intruzem. Temperatura w samochodzie spadła, zupełnie jakby Karrin podkręciła klimatyzację. Woda skraplała się na szybach.

Kiedy Zima zbudziła się we mnie, zamknąłem oczy i ją powstrzymałem. Robiłem to tak często w ciągu ostatniego roku spędzonego na wyspie, że prawie weszło mi to w krew. Nie da się stłumić wyjącego, prymitywnego pragnienia

przemocy, które towarzyszy mocy Zimy, za pomocą zwykłych technik głębokiego oddychania. Odkryłem tylko jeden skuteczny sposób. Musiałem dopuścić do głosu swój racjonalny umysł. Dlatego powtórzyłem w myślach tabliczkę mnożenia i kilka podstawowych matematycznych wzorów, co zajęło mi kilka sekund, a następnie przeciwstawiłem bezlitosną logikę pragnieniu zamordowania Bindera na ulicy.

– Po pierwsze, świadkowie – wyszeptałem. – Chociaż okolica jest opustoszała, to wciąż Chicago i ktoś może zwrócić na mnie uwagę. Po drugie, tam jest Ascher, która może stanąć po jego stronie i uderzyć na mnie od tyłu, zanim zdążę się obronić. Po trzecie, jeśli facet okaże się na tyle zwinny, by nie dać się pochwycić, zaatakują mnie z dwóch stron.

Gdzieś w moim wnętrzu Zima warknęła i splunęła z rozczarowaniem, ale wycofała się i odpłynęła z moich myśli. Chociaż pozostawiła mnie zmęczonym i osłabionym, mój oddech i temperatura ciała wróciły do normy.

Patrzyłem, jak Binder ociężałym truchtem dogania Ascher. Rozmawiając cicho, weszli do dawnej rzeźni.

– Po czwarte, zabijanie ludzi jest złe – mruknąłem pod nosem.

Zdałem sobie sprawę, że Karrin na mnie patrzy. Zerknąłem na jej twarz. Trudno było cokolwiek z niej wyczytać.

Dotknęła mojej dłoni.

– Harry? Wszystko w porządku?

Nie poruszyłem się ani nie odpowiedziałem.

– Mab – rzuciła. – To o nią chodzi, prawda? Właśnie to ci zrobiła.

– Chodzi o Zimę – odrzekłem. – To moc, ale... bardzo prymitywna. Brutalna. Ona nie myśli. Jest czystym instynktem, uczuciami, emocjami. A kiedy jest w tobie i pozwolisz, żeby emocje przejęły nad tobą kontrolę, ona...

– Upodabnia cię do Lloyda Slate'a – przerwała mi Karrin. – Albo tamtej suki Maeve.

Cofnąłem dłoń.

– Już mówiłem, że to nie jest właściwa chwila na rozmowę o uczuciach.

Przypatrywała mi się przez kilka sekund.

– No cóż, to strasznie popieprzone.

Parsknąłem cichym śmiechem, tak że łzy prawie stanęły mi w oczach, a niedawno rozbudzona Zima znów drgnęła w moim wnętrzu.

Odważyłem się spojrzeć Karrin w oczy.

– Nie chcę taki być – powiedziałem.

– Więc się z tego wyplącz – odparła.

– Z tego można wyjść tylko nogami do przodu.

Pokręciła głową.

– Nie wierzę w to. Zawsze istnieje jakieś wyjście. Sposób na polepszenie sytuacji.

O rany.

Chciałbym w to wierzyć.

Na zewnątrz zachodziło słońce. Zachód słońca to nie tylko przesunięcie się gwiazdy poniżej względnego horyzontu planety, ale także zmiana w nadprzyrodzonej energii. Nie wierzycie? Oddalcie się kiedyś od światła cywilizacji i usiądźcie samotnie gdzieś, gdzie nie ma żadnych budynków, samochodów, telefonów ani tłumów. Usiądźcie w ciszy i poczekajcie, aż zacznie robić się ciemno. Poczujcie, jak wydłużają się cienie. Poczujcie, jak istoty, które nie ujawniają się za dnia, poruszają się i wychodzą z kryjówek. Właśnie tak wasze ciało tłumaczy tę energię waszym zmysłem. Dla maga takiego jak ja zachód słońca jest jak pojedyncze uderzenie w niewyobrażalnie ogromny bęben.

W nocy z ukrycia wychodzą mroczne istoty.

Nie miałem teraz czasu zastanawiać się, na czym stoję. Miałem tylko trzy dni na oszukanie Nicodemusa Archleone i jego drużyny oraz usunięcie tego czegoś, co tkwi w mojej głowie, unikając przy tym śmierci, swojej i mojej przyjaciółki. Musiałem skupić się właśnie na tym.

Później będę się zajmował innymi sprawami.

– Już czas – odezwałem się do Karrin i otworzyłem drzwi samochodu. – Chodźmy. Mamy robotę do wykonania.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wysiedliśmy z niewielkiego SUV-a Karrin i ruszyliśmy w stronę budzącej niepokój dawnej rzeźni pełnej groźnych istot. Co dość dobrze podsumowuje, jaki miałem dzień.

Czasami mam wrażenie, że każdy mój dzień tak wygląda.

Bez wyjątków.

Z drugiej strony nie jestem pewien, jak bym sobie poradził w innych okolicznościach. W pewnym momencie swojego życia musiałem się z tym zmierzyć – doświadczenie i skłonności predysponują mnie do siania zniszczenia.

– Szkoda – westchnęła Karrin.

– Szkoda, że co?

– Że nie zdążyliśmy zabrać cię do fryzjera. Sam się strzygłeś? Może bez lustra?

Lekko speszony dotknąłem swoich włosów.

– Pomagał mi Generał. Poza tym ja się nie czepiam twoich męskich buciorów.

– Mają stalowe okucia – odpowiedziała spokojnie. – Na wypadek gdybym musiała kopnąć w tyłek kogoś, kto nazwie je męskimi buciorami. Naprawdę pozwoliłeś, żeby Toot pomagał ci w stryżeniu włosów?

– Na pewno nie mogłem pozwolić, żeby to zrobił Alfred. Pewnie zdarłby ze mnie włosy lodowcem albo coś w tym stylu.

– Jaki Alfred?

– Demonreach.

Karrin zadrżała.

– Aha, to coś.

– Nie jest taki zły – odrzekłem. – Trudno go nazwać miłym towarzyszem, ale nie jest okropny.

– Jest demonem, który wpędził całe miasteczko w obłąd, żeby nikt go nie niepokoił.

– Mógłby zrobić coś znacznie gorszego – odparłem. – Jest jak wielki brzydki pies. Każdy policjant wie, o czym mówię.

– Cieszymy się, że jest w naszym domu podczas włamania, ponieważ doprowadza włamywacza do obłądu i miasto może wymazać ten incydent z akt.

– Otóż to. A wtedy nikt nie pamięta o twoich brzydkich męskich buciorach.

Dotarliśmy do drzwi. Oboje wiedzieliśmy, dlaczego sobie dogryzamy. Nie kierowała nami złośliwość.

Baliśmy się.

Zamierzałem wejść jako pierwszy. Mój opleciony zakłębiami czarny skórzany płaszcz stanowił lepszą zbroję niż kamizelka kuloodporna, którą nosiła Karrin. Zacisnąłem dłoń na swojej nowej lasce i przygotowałem umysł do postawienia tarczy, gdyby to było konieczne. Już kiedyś to robiliśmy: gdyby coś nas zaatakowało, ja bym to powstrzymał, a ona zaczęłaby dziurawić to kulami.

Karrin skrzyżowała ręce na piersi, zbliżając dłoń do rękojeści pistoletu, i skinęła głową. Odwzajemniłem gest, upewniłem się, że mam szczelnie zapięty płaszcz, i otworzyłem drzwi.

Nic nie wyskoczyło na nas z wrzaskiem z ciemności. Nikt nie zaczął do nas strzelać. Jak dotąd było nieźle.

Za drzwiami ciągnął się długi korytarz. Na jego końcu paliło się światło, które oświetlało drogę. Stare i popękane wewnętrzne ściany budynku przez kilkadziesiąt lat pokrywano kolejnymi warstwami graffiti. Noc przyniosła zimny wiatr znad jeziora, a budynek skrzypiał i stękał. W powietrzu unosiła się woń pleśni i czegoś jeszcze, czegoś niemal poza granicą percepcji, co działało mi na nerwy – bardzo starej śmierci.

– Te dziwolągi spod ciemnej gwiazdy zawsze spotykają się w najbardziej uroczych zakątkach – odezwała się Karrin.

– Gromadzi się tutaj mroczna energia – wyjaśniłem. – Dzięki niej nikt przypadkowy tutaj nie wejdzie i im nie przeszkodzi. No i sprawia, że czują się jak w domu.

– Wiem, że dawno nie spaliłeś żadnego budynku – powiedziała Karrin – ale jeśli najdzie cię ochota...

Na końcu korytarza znaleźliśmy schody prowadzące na górę. Ruszyliśmy po nich w milczeniu i dotarliśmy do drzwi, za którymi znajdował się balkon wychodzący na dużą dwupoziomową halę fabryczną o długości około stu metrów. Wciąż znajdowały się tam pozostałości przenośnika do transportu wołowych tusz z rzeźni do stacji przerobu, ale cała maszyna zniknęła. Pozostały tylko ciężkie metalowe ramy, w których kiedyś tkwiły urządzenia, oraz kilka zardzewiałych, starych wagoników, zapewne dawniej przewożących pakunki z żeberkami, stekami i mieloną wołowiną.

Na środku hali sześć nowiutkich lamp jaskrawo oświetlało ogromny drewniany stół konferencyjny otoczony okazałymi skórzanymi fotelami. Drugi stół

był zastawiony naczyniami z różnymi potrawami i napojami, obok których stał drogi ekspres do kawy. Metr dalej znajdowała się niewielka zagroda z siatki, w której stało kilkanaście niespokojnych brązowych kóz.

Kozy. Hmm.

Nicodemus przysiadł na krawędzi stołu konferencyjnego ze styropianowym kubeczkiem w dłoni i uśmiechał się przyjaźnie. Ascher właśnie zajmowała miejsce w fotelu, który jeden ze strażników Nicodemusa usłużnie odsunął od stołu. Siedzący obok Binder skinął głową do Nicodemusa i skrzyżował ręce na piersi z miną człowieka, który jest gotowy cierpliwie czekać. Deirdre, w ludzkiej postaci, podeszła do stołu, trzymając w dłoniach kubki z kawą, i z sympatycznym uśmiechem podała je nowo przybyłym.

Na kładkach ponad halą pełniło straż sześciu pozbawionych języka ludzi Nicodemusa, a giermek Jordan, który już doprowadził się do porządku, czekał na nas po przeciwnej stronie balkonu. Miał broń, ale trzymał ją w kaburze.

– Cześć, Jordanie – odezwałem się. – Co to za kozy?

Popatrzył na mnie beznamiętnie i nic nie odpowiedział.

– Nie podoba mi się, że nad nami będą ludzie z bronią – mruknęła Karrin. – Chrzanić to.

– Właśnie – zgodziłem się. – Powiedz swojemu szefowi, że zejdziemy dopiero, kiedy jego sługusy znajdą sobie inne zajęcie.

Jordan sprawiał wrażenie urażonego moimi słowami.

– Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz, Jordanie – dodałem. – Przekaż mu moje słowa albo sobie pójdę. Ciekawe, jak mu wtedy wytłumaczysz, że straciłeś ważnego pomocnika.

Jordan zacisnął zęby, ale po chwili okręcił się sztywno, zszedł po starych metalowych schodach i zbliżył się do Nicodemusa. Napisał coś w niewielkim notatniku i podał go swojemu szefowi.

Nicodemus podniósł wzrok i uśmiechnął się. Potem oddał notatnik Jordanowi, pokiwał głową i coś powiedział.

Jordan zacisnął usta i trzykrotnie przeszywająco zagwizdał, co natychmiast zwróciło uwagę strażników. Potem zakręcił palcem nad głową, a oni zeszli z kładek i do niego dołączyli, po czym oddalili się ku przeciwnej stronie hali.

Ascher i Binder obejrżeli się na mnie, ona z fascynacją i zainteresowaniem, a on ze zrozumiałą obawą. Kiedy strażnicy zniknęli z pola widzenia, ruszyłem w dół schodów, a Karrin szła krok za mną, nieco z boku.

– Stałeś się bardziej podejrzliwy, Dresden – odezwał się Nicodemus, gdy się zbliżyłem.

– Wobec ciebie nie da się być zbyt podejrzliwym, Nicky – odparłem.

Nicodemusowi nie spodobało się to poufale przezwisko. Na jego twarzy błysnęła irytacja.

– Chyba nie mogę cię za to winić. Od zawsze jesteśmy przeciwnikami. Nigdy dotychczas nie zdarzyło nam się współpracować.

– Ponieważ jesteś dupkiem – odrzekłem. Usiadłem w fotelu dwa miejsca od Bindera. Popatrzyłem na niego spokojnie, a potem znów zwróciłem się do Nicodemusa: – Już mamy sprzeczne interesy.

– Czyżby?

Wskazałem kciukiem Bindera.

– Ten facet. Zapowiedziałem, że kiedy znów spróbuje działać w Chicago, będziemy mieli problem.

– Chryste – rzucił Binder z silnym londyńskim akcentem, po czym popatrzył na Nicodemusa. – Mówiłem, że będzie kłopot.

– Jakiegokolwiek masz pretensje do pana Tinwhistle, to twój osobisty problem, Dresden – rzekł Nicodemus. – Dopóki nie wykonamy zadania, masz go traktować jako kolegę po fachu i sojusznika. Jeżeli tego nie zrobisz, nie uznaję długu Mab za spłacony i będę zmuszony poinformować wszystkich o tym niefortunnym fakcie.

Czyli: ucierpi dobre imię Mab. Dobrze wiedziałem, kto za to zapłaci.

Obejrzałem się przez ramię na Karrin, która stała w gotowości za moimi plecami z nieobecny wyrazem twarzy, nie skupiając wzroku na niczym konkretnym. Lekko wzruszyła ramionami.

– W porządku – rzuciłem, odwracając się do Nicodemusa. Zerknąłem na Bindera. – Daję ci trzydniową dyspensę, Binder. Ale pamiętaj, że kiedy będzie po wszystkim, odpowiesz za to, co zrobiłeś w moim mieście. Na twoim miejscu miałbym się na baczności.

Binder przełknął ślinę. Ascher wstała z fotela.

– Cześć – odezwała się z serdecznym uśmiechem. – Nie znamy się. Jestem Hannah. Odczep się od mojego partnera, zanim stanie ci się krzywda.

– Wiem kim jesteś, ślicznotko – odparłem, nie wstając. Położyłem łaskę na stole. – Poza tym właśnie odpuściłem twojemu partnerowi. W przeciwnym razie widziałabyś tutaj plamy krwi. Bądź grzeczna, Ascher.

Uśmiech zniknął z jej twarzy i zmrużyła ciemne oczy. Nieśpiesznie stuknęła paznokciami o blat, jakby coś rozważała. Jej usta wykrzywił kpiący grymas.

– A więc to jest ten niesławny Dresden. – Ascher przeniosła wzrok na Karrin. Była od niej o trzydzieści centymetrów wyższa. – A to twoja ochrona? Poważnie? Ochroniarze nie powinni być nieco więksi?

– Reprezentuje cech Manczkinów – odpowiedziałem. – Chętnie będzie go reprezentowała także po twoim trupie, jeśli nie okażesz jej odrobiny szacunku.

– Chciałabym to zobaczyć – odparła Ascher.

– Nie zdążysz – odpowiedziała Karrin cicho.

W pomieszczeniu na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, mimo że Karrin nawet nie drgnęła. Wiedziałem, że stoi nieruchomo, nie patrzy na nikogo konkretnego, ale wszystkich obserwuje. Wyglądała groźnie – jeśli wie się, jak wyglądają naprawdę niebezpieczni ludzie. Acher to wiedziała. Zauważyłem, że napięła szyję i ramiona oraz zacisnęła zęby.

– Spokojnie, Hannah – odezwał się Binder łagodnym głosem. Wiedział, jak szybko Karrin posługuje się bronią. Kiedy ostatnio był w mieście, rozprawiła się z kilkoma jego sługusami. – Dresden zawarł rozejm. Wszyscy jesteśmy zawodowcami, prawda? Spokojnie.

– Panie i panowie – przemówił Nicodemus cierpliwym ojcowskim tonem. Oczywiście usiadł u szczytu stołu. – Czy możemy zabrać się do pracy?

– Jak najbardziej – odrzekłem, nie odrywając wzroku od Bindera i Ascher, która w końcu pociągnęła nosem i wróciła na swoje miejsce.

– Zapraszam do stołu, panno Murphy – zaproponował Nicodemus.

– Dziękuję, postoję – odparła Karrin.

– Wedle uznania – odrzekł Nicodemus swobodnym tonem.

Deirdre zgarnęła plik teczek i rozdała je wszystkim osobom siedzącym przy stole. Rozmyślnie pominęła Karrin, która ją zignorowała. Otworzyłem ciekawą teczkę i zobaczyłem stronę tytułową z napisem: DZIEŃ PIERWSZY.

– Wszyscy obecni znają nasz główny cel, chociaż na razie nie będę wchodził w szczegóły – odezwał się Nicodemus. – Jestem przekonany, że nie muszę podkreślać, jak ważna jest dyskrecja. Nasz cel dysponuje wieloma sposobami zdobywania informacji, a jeśli dowie się o naszym przedsięwzięciu, z pewnością położy mu gwałtowny i ostateczny kres.

– Mamy trzymać gęby na kłódkę – rzuciłem na tyle głośno, by zirytować pozostałych. – Rozumiemy.

Nicodemus ponownie obdarzył mnie niewesołym uśmiechem.

– Żeby przekonać was, jak zyskowna może to być operacja, gwarantuję, że po zdobyciu celu każde z was otrzyma dwa miliony dolarów.

Karrin na chwilę wstrzymała oddech. Mój żołądek podskoczył.

O kurczę. Dwa miliony dolarów.

Oczywiście nie zamierzałem przyjąć pieniędzy Nicodemusa. Nie robiłem tego dla forsy. Ona także. Ale oboje nie byliśmy zbyt zamożni i wciąż wisiły nam nad głową rachunki do zapłacenia. Na gwiazdy i kamienie, za dwa miliony dolców można kupić mnóstwo zupy rāmen.

– Poza tym możecie zabrać ze skarbcza, co tylko zechcecie – dodał Nicodemus. – Znajdują się tam nieprzebrane bogactwa, więcej, niż zdołalibyście

wywieźć pociągiem.

– Jakie bogactwa? – spytał Binder. – Chodzi o gotówkę?

– Można tak powiedzieć – odrzekł Nicodemus z nutą pogardy w głosie. – Ale podejrzewam, że zgromadzone tam pieniądze mają raczej wartość kolekcjonerską. Prawdziwy skarb to złoto. Klejnoty. Dzieła sztuki. Bezcenne historyczne artefakty. Trafił tam praktycznie każdy rzadki i cenny przedmiot, który zaginął w tajemniczych okolicznościach w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat. Moim zdaniem napełnienie kilku plecaków kamieniami szlachetnymi byłoby rozwiązaniem najbardziej zyskownym i najtrudniejszym do wykrycia, ale jeśli zapragniecie zabrać coś bardziej charakterystycznego, nie będę was powstrzymywał, dopóki nie spowolni to naszej wędrówki. Myślę, że w ten sposób każde z was będzie w stanie dołożyć do swojego honorarium jego dziesięciokrotność.

Zatem nie dwa miliony dolarów.

Dwadzieścia dwa miliony.

To taka góra pieniędzy, że niemal nie potrafiłem jej sobie wyobrazić... co samo w sobie działało na wyobraźnię.

– A na czym tobie zależy? – spytała Ascher, wyraźnie podejrzliwa. – Skoro jesteś gotów zapłacić każdemu z nas po dwa miliony dolarów, to z pewnością nie brakuje ci pieniędzy. Nie potrzebujesz plecaka brylantów.

Ta uwaga sprawiła, że nieco bardziej ją polubiłem. Jej ton dodatkowo spotęgował ten efekt.

Nicodemus się uśmiechnął.

– Wyjaśnię to, zanim wejdziemy do skarbcza. Na razie zdradzę jedynie, że chodzi o pojedynczy, niewielki przedmiot o względnie małej wartości pieniężnej.

Łziesz, pomyślałem.

– Jak już mówiłem Dresdenowi, miał on okazję poznać mnie wyłącznie jako wroga. Swoją reputację w większości zawdzięczam moim przeciwnikom, oczywiście tym, którzy uszli z życiem. – Uśmiechnął się i upił łyk kawy. – Ale ten medal ma dwie strony. Nie da się działać tak długo jak ja, zdradzając swoich sojuszników. To po prostu niepraktyczne. Owszem, w starciu z wrogiem używam każdej możliwej broni, ale nie mam zwyczaju odwracać się od swoich współników ani ich porzucać. Nie powodują mną sentymenty. Na przestrzeni wieków współpracowałem z wieloma osobami i wiem, że zdrada to kiepska długoterminowa inwestycja. Źle odbija się na interesach.

Łziesz, pomyślałem. Ale być może z mniejszym przekonaniem niż poprzednio. To, co mówił, miało sens. W nadprzyrodzonym świecie było mnóstwo ludzi i istot, które żyły wiele stuleci. Jeśli narazisz się magowi w młodości, trzysta lat później możesz odkryć, że wcale o tym nie zapomniał i przez cały ten czas gromadził wpływy niezbędne, by pokazać ci, że twoje postępowanie było niewła-

ściwe. Jeśli narazisz się wampirowi, może nie dawać ci spokoju przez tysiąclecia.

Dlatego sojusze między nadprzyrodzonymi istotami były możliwe tylko dzięki bezwzględnemu pragmatyzmowi. Widziałem to na przykładzie swojego dziadka i zawodowego zabójcy zwanego Ogarem Piekieł. Doświadczyłem tego, gdy przez całe lata mierzyłem się z różnymi złoczyńcami, którzy przeważnie byli gotowi zawrzeć ze mną jakiś układ. Cholera, sam to zrobiłem wobec Mab, a ona teraz robiła to ponownie, przekazując mnie w ręce Nicodemusa.

Niewykluczone, że Nicodemus się zmienił. A przynajmniej równie poważnie jak ja podchodził do tego sojuszu. Musieliśmy coś dla niego wykraść i uciec. Byłem przekonany, że dopóki tego nie zrobimy, będzie wobec nas uczciwy.

A potem wszystko rozsypie się jak domek z kart.

Z drugiej strony Nicodemus zadał sobie sporo trudu, by wymazać pamięć o swoich czynach, niszcząc dotyczące ich materiały z ostatnich stuleci. Ktoś, kto naprawdę się zmienił, nie stara się za wszelką cenę ukryć tego, co zrobił.

Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Mab dała mu słowo. Musiałem grać zgodnie z zasadami, dopóki nie zdobędziemy naszego łupu w Hadesie albo dopóki Nicodemus nie spróbuje wbić mi noża w plecy.

Czysta przyjemność.

Przerzuciłem strony i znalazłem zdjęcie znajomej kobiety, której nie widziałem od... na dzwony piekieł, czyżby od prawie dziesięciu lat? Nie zmieniła się zbyt wiele przez ten czas, może tylko wyszczuplała i spoważniała. Nie byłem pewien, czy ucieszy ją mój widok, i nie miałem najmniejszych wątpliwości, co pomyśli o Nicodemusie.

Pewnie zechce się dowiedzieć, jak stałem się człowiekiem, któremu dziesięć lat temu przytrafiło się coś takiego.

Nicodemus kontynuował swój wykład.

– Wejście do celu w Nigdynigdy wymaga znalezienia jego odpowiednika w świecie śmiertelników. To oznacza, że musimy włamać się do silnie strzeżonego budynku w prawdziwym świecie, zanim będziemy mogli zacząć działać w Nigdynigdy.

Uniosłem rękę.

– Zgodnie z tym... – zaczął Nicodemus, po czym urwał i westchnął. – Tak, Dresden?

– Chyba sobie kpisz – rzuciłem. – Ona nigdy nie będzie z tobą współpracować.

– Pewnie nie – zgodził się Nicodemus. – Ale może współpracować z tobą. Potrzebujemy specjalisty od systemów zabezpieczeń, który zna się na nadprzyrodzonym świecie. Jest niewiele takich osób. Jesteśmy z nią umówieni

na jednej z lokalnych imprez za około półtorej godziny. Razem z panną Ascher skontaktujecie się z nią i przekonacie ją, żeby się do nas przyłączyła.

– A jeśli odmówi? – spytałem.

– Postaracie się być bardziej przekonujący. Jest nam potrzebna, jeśli chcemy wykonać zadanie.

Zacisnąłem zęby i skinąłem głową. Psiakrew, jeśli Nicodemus tak jej potrzebuje, to, być może zawałając sprawę, zdołam pokrzyżować mu plany.

– Zgoda. Ale pójdę tam z Murphy.

– Nie – sprzeciwiła się Ascher. – Ja tam pójdę z Binderem.

– Obawiam się, że to oficjalne przyjęcie – odrzekł Nicodemus. – Przygotowałem odpowiednie stroje i tożsamości dla Dresdena i panny Ascher. Nie mogą z nich skorzystać panna Murphy ani Binder. Ale panna Murphy może być kierowcą. Ma odpowiednie obuwie.

Nie usłyszałem, jak Karrin zazgrzytała zębami, ale wiedziałem, że to zrobiła.

– Binder – odezwał się Nicodemus. – Mam dla ciebie inne zadanie. Odbierzesz z dworca kolejowego czwartego... przepraszam, panno Murphy, piątego... członek zespołu. Zastrzegł sobie, że musi na niego czekać ktoś, kogo zna.

Binder skinął głową.

– Kto to?

– Goodman Grey.

Binder pobladł.

– Aha. No tak, kiedyś współpracowałem z tym dżentelmenem.

– Kim on jest? – spytała Ascher.

– To człowiek... któremu lepiej nie wchodzić w drogę – odrzekł Binder. – Ale jest zawodowcem. Ja go odbiorę. Tak będzie łatwiej.

Ascher zacisnęła usta, jakby nie była tym zachwycona, ale pokiwała głową.

– Niech będzie. – Popatrzyła na stół i uśmiechnęła się. – No, Dresden, najwyższa pora elegancko się ubrać.

– Ojej, co za zabawa – mruknąłem.

Zamknąłem teczkę, zasłaniając zdjęcie Anny Valmont.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Deirdre przyniosła mi torbę z ubraniami i skierowała mnie do małej kuchni dla pracowników i pomieszczenia socjalnego, w którym rozstawiono kolejne lampy. Zamknąłem za sobą drzwi i otworzyłem torbę. W środku znajdował się czarny smoking ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami. Przyjrzałem mu się i oceniłem, że jest dobrze dopasowany.

Przez chwilę dręczyły mnie paranoiczne złe przeczucia. A jeśli jedynym celem tych przygotowań jest skłonienie mnie do zdjęcia płaszcza, by ktoś mógł zastrzelić mnie z broni maszynowej przez ścianę? Już wiedziałem, jakie to uczucie zostać postrzelonym, i nie chciałem ponownie tego doświadczyć. Wizje Sonny'ego Corleone tańczyły w mojej głowie.

Mimo to nie sądziłem, by tak się miało stać. Karrin stała na straży na zewnątrz pokoju. Niemożliwe, żeby mnie nie ostrzegła, gdyby ktoś przygotowywał się do strzału. Poza tym Nicodemus wcielał w życie swoje plany. Nie sądziłem, by chciał narażać na szwank swój wizerunek „wiernego współnika”, dopóki nie zdoła wszystkich oszukać w bardziej efektywny i ostateczny sposób. Gdyby po prostu kazał mnie zamordować, Mab potraktowałaby to jako osobistą obrazę. Nieważne, jak długo działasz w branży. Jeśli staniesz na drodze Mab, może zapomnieć o swoim kolejnym planie pięcioletnim.

Dlatego zrzuciłem płaszcz, rozebrałem się i zacząłem wkładać smoking.

Właśnie byłem w najbardziej krytycznym punkcie tego procesu, gdy drzwi ponownie się otworzyły i Hannah Ascher wkroczyła do środka, niosąc własną torbę z ubraniami.

Powoli i beznamiętnie zmierzyła mnie wzrokiem, a z jej twarzy nie schodził kpiący grymas.

Jestem pewien, że temperatura w pomieszczeniu tak naprawdę nie wzrosła, ale nie dałbym za to głowy. Niektóre kobiety mają w sobie coś nieuchwytnego i niezdefiniowanego, co różnie się nazywa, w zależności od towarzystwa. Sam zawsze określam to mianem żaru lub ognia. Nie musi to iść w parze

z atrakcyjnością seksualną, ale często tak jest; z pewnością było tak w przypadku Hannah Ascher.

Zwracałem baczną uwagę na jej ciało i oczy. Jej wyraz twarzy powiedział mi, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak na mnie działa, i wcale jej to nie przeszkadza. Mógłbym powiedzieć, że moje libido wskoczyło na wyższe obroty, ale to nie oddawało potęgi czysto fizycznego głodu, który nagle mnie opanował.

Hannah Ascher była cholernie pociągającą kobietą. A ja od tak dawna tkwiłem na tej wyspie.

Odwróciłem twarz i próbowałem ją ignorować, jednocześnie rozkładając szarfę do smokingu. Potężni magowie nie tracą nad sobą panowania tylko dlatego, że obok nich staje ktoś ubrany w same bokserki.

– Psiakrew, Dresden – odezwała się, odsuwając się o kilka kroków i ponownie mierząc mnie wzrokiem. Jej usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu.
– Trenujesz coś?

– Eee – odrzekłem. – Parkour.

Ta odpowiedź wyraźnie ją rozbawiła.

– No cóż, wyraźnie ci to służy. – Powiesiła torbę z ubraniami na kłamce szafki i rozpięła ją na oślep, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Masz tak wiele blizn. – Miała długie ręce. Jej palce musnęły moje ramię. – Skąd się wzięła ta?

Pod wpływem jej dotyku dreszcz przeszył mój kręgosłup i brzuch. Nie miało to nic wspólnego z magicznym przymusem. Byłem wyczulony na takie bzdury od chwili, gdy zszedłem na brzeg. To było coś gorszego – zwykła czysta chemia. Moje ciało czuło, że Ascher jest dokładnie tym, czego potrzebuję, i nie zwracało uwagi na mój mózg.

Odsunąłem się i skarciłem ją wzrokiem.

– Mogłabyś tego nie robić?

Skrzyżowała ręce na piersiach i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Oczywiście. Skąd ją masz?

Z ponurą miną zwróciłem się w stronę swojego smokingu.

– FBI mnie postrzeliło, jakieś dwanaście lat temu.

– Serio? – spytała Hannah. – Ładnie się zagoiła.

– Tak to już jest z nami magami.

– Twoja lewa dłoń – zauważyła. – To poparzenie.

– Sługus wampira – wyjaśniłem. – Domowej roboty miotacz ognia.

– Który Dwór?

– Czarny.

– Ciekawe – stwierdziła i jednym płynnym ruchem ściągnęła sweter.

Jej ciało było tak miłe dla oka, jak można się było spodziewać po ułożeniu swetra, a nawet bardziej. Moje libido wyraziło energiczne uznanie.

Pośpiesznie odwróciłem się do niej plecami.

– Ejże.

– Chyba żartujesz? – spytała z wesołością w głosie. – Naprawdę się odwracasz? Z takiego powodu? Myślałam, że jesteś twardzielem, Dresden?

– Co nie zmienia faktu, że się nie znamy, panno Ascher – odparłem.

– Łatwo to naprawić, prawda? – spytała prowokująco. – Nagle stałam się panną Ascher? Ciekawe dlaczego.

Kątem oka dostrzegłem jej czarny aksamitny biustonosz, który wylądował na blacie. Wzdłuż krawędzi ozdobiły go koronki. Pośpiesznie wciągnąłem spodnie, zanim zdążyłem się skompromitować.

– Posłuchaj, pracujemy razem – odrzekłem. – Możemy po prostu skupić się na naszym zadaniu?

– Znacznie mniej blizn masz na plecach – zauważyła. – Rzadko uciekasz, prawda?

– Cały czas uciekam – odparłem, wciskając ręce w rękawy koszuli. – Ale jeśli ktoś często pozwala się atakować od tyłu, nie ma blizn, tylko trafia do dołka w ziemi.

Jej buty zastukały o posadzkę. Skarpetki i jeansy dołączyły do biustonosza.

– Ta złodziejka, którą mamy odebrać – odezwała się. – Znacie się, prawda?

– W pewnym sensie. Ukradła mi samochód.

Ascher parsknęła śmiechem.

– Pozwoliłeś jej na to?

– Oddała go – wyjaśniłem. – Kiedyś wydostałem ją z tarapatów.

– Myślisz, że namówisz ją do współpracy z nami?

– Gdyby chodziło tylko o mnie, byłoby łatwiej.

– A może spróbujesz pokrzyżować nam plany i zadbasz o to, żeby się nie przyłączyła – dodała cierpko. – W końcu tak przepadasz za Nicodemusem.

Oho. Bystra babka.

– Co takiego? – spytałem.

– Biorąc pod uwagę twoją odpowiedź, zakładam, że nie masz twarzy pokerzysty. – Zaszaleścił materiał. – Nie martw się. To jedna z moich specjalności. Dobrze czytam ludzi.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że w tej chwili jesteś nakręcony bardziej niż dwadzieścia zegarów. Jesteś nerwowy, przestraszony, wściekły, no i tak bardzo potrzebujesz seksu, że za chwilę wybuchniesz. Widywałam facetów wychodzących z więzienia, którzy nie byli aż tak wyposzczeni jak ty.

Przerwałem zapinanie spinek do mankietu.

– Nie żartuję, widzę, że nie jesteś w pełni sił. Powinieneś rozładować napięcie. Dobrze by ci to zrobiło.

– Jesteś specjalistką, co? – spytałem. Mój głos zabrzmiał nieco szorstko.

– Od tego? – odrzekła wyzywająco. – Owszem, jestem niezła. Zapniesz mi sukienkę?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi do mnie plecami. Była ubrana w efektowną małą czarną ozdobioną lśniąco czarnymi cekinami. Jej nogi robiły ogromne wrażenie. Sukienka nie miała pleców, ale kilka centymetrów nad biodrami znajdował się krótki suwak. Byłem pewien, że zdołałaby sama go zapiąć, ale i tak podszedłem i go zasunąłem.

Pachniała jak dzikie kwiaty oświetlane późnopołudniowym słońcem. Jej długie, kręcone włosy dotykały grzbietów moich dłoni.

Poczułem, jak budzi się we mnie Zima i łakomie wyczekuje, aż dam upust swoim potrzebom. To nie była dobra wiadomość. Zima uważa, że seks jest niemal równie przyjemny jak przemoc, a jedno doskonale łączy się z drugim. Jak czekolada z masłem orzechowym.

Zacząłem dokonywać obliczeń w myślach i ponownie się odsunąłem, skupiając się na smokingu i tabliczce mnożenia, na wkładaniu skarpetek na stojąco, próbując nie zwracać uwagi na to, że Ascher wciąż na mnie patrzy.

– Kurczę – odezwała się w końcu. – Nie raz się poparzyłeś.

Zaciągnąłem zawiązany krawat i wyprostowałem go bez patrzenia.

– No właśnie.

– W porządku – odrzekła spokojnie. – Nie chcesz się zabawić w pracy, nie ma sprawy. Podoba mi się twój styl. Ale to zlecenie jest ważne dla mnie i mojego partnera. Dlatego się postaraj. Jeśli nas oszukasz, będziesz miał kłopoty.

– Naprawdę uważasz, że dasz radę magowi Białej Rady? – spytałem.

– Jak dotąd mi się udawało – odparła bez cienia zuchwałości.

Odwróciłem się w jej stronę i stwierdziłem, że dzięki butom na wysokim obcasie prawie dorównuje mi wzrostem. Zapinała bransoletkę z brylantami na lewym nadgarstku.

Podszedłem i chwyciłem palcami końcówki bransoletki.

– Powinnaś wysłuchać także moich warunków – powiedziałem, słysząc w swoim głosie echa Zimy, która czyniła go cichym, lodowatym i surowym. – To miasto jest moim domem. Jeżeli skrzywdzisz tutaj jakichkolwiek śmiertelników, pozbędę się ciebie jak śmiecia. A jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby wbić mi nóż w plecy, przypomnij sobie, jak wyglądają. Tylko spróbuj, a pošlę cię do ziemi.

Zapiąłem bransoletkę i podniosłem wzrok. Ascher miała niewzruszoną minę, ale dostrzegłem kryjącą się pod spodem niepewność. Nieco za szybko cofnęła

rękę, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby się spodziewała, że ją uderzę.

Już wcześniej toczyłem słowne potyczki z potworami i niebezpiecznymi ludźmi. Po prostu nigdy nie musiałem tego robić w tak intymnych okolicznościach, podczas wspólnego przebierania się lub zakładania biżuterii. W geście Ascher było coś, co sprawiło, że dostrzegłem w niej przede wszystkim człowieka, kobietę, a dopiero potem niebezpiecznego maga. Z kolei ja otwarcie jej groziłem, przez co zapewne stałem się dla niej przede wszystkim groźnym Strażnikiem Białej Rady i nadprzyrodzonym bandziorem, a dopiero potem istotą ludzką.

Wspaniale. Harry Dresden, dręczyciel kobiet. To nie najlepszy początek współpracy z kimś, z kim będziemy musieli stawić czoło intrygom i niebezpieczeństwom.

Może następnym razem po prostu przystawię jej splotę do głowy.

– Świetnie wyglądasz – odezwałem się znacznie łagodniejszym głosem. – Bierzmy się do pracy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

The Peninsula to jeden z najelegantszych hoteli w Chicago, a jego salę balową można mierzyć w hektarach. Ważne imprezy w nocnym życiu mojego miasta rzadko zaczynają się przed dwudziestą – ludzie potrzebują czasu na powrót z pracy do domu i zadbanie o urodę, by wyglądać olśniewająco – zatem kiedy pojawiliśmy się na miejscu około dziewiętnastej trzydzieści, wykazaliśmy się nieeleganckim pośpiechem.

– Zaczekam na ulicy – rzuciła Karrin z przedniego siedzenia czarnego samochodu, który zapewnił nam Nicodemus. Wcześniej sprawdziła, czy nie ma w nim materiałów wybuchowych, a ja przyjrzałem mu się pod kątem mniej fizycznych zagrożeń.

– Nie jestem pewien, jak długo to potrwa – powiedziałem. – Gliny pozwolą ci tutaj stać?

– Wciąż znam kilku funkcjonariuszy – odrzekła. – Ale jeśli będę musiała, pokręcę się po okolicy. Gdybyś wpadł w tarapaty, odpal flarę. – Podała mi plastikowe pudełko z różą do butonierki w kolorze zachodzącego słońca. – Nie zapomnij o swoim znaku rozpoznawczym.

– Nie będę go potrzebował – odparłem. – Bez trudu ją rozpoznam.

– A ona ciebie – zauważyła Karrin. – Jeśli nie będzie wiedziała, że macie porozmawiać, może cię unikać. Nietrudno się zorientować, że nadchodzisz.

– Dobrze. – Otworzyłem pudełko i udało mi się ukłuć w palec szpilką, gdy próbowałem przypiąć to cholerstwo do klapy.

– Proszę bardzo. – Ascher wzięła ode mnie kwiat, wytarła szpilkę chusteczką i przekazała ją Karrin, razem ze znajdującą się na niej odrobiną krwi. Potem zręcznie przymocowała kwiat do mojego smokingu. Nie starała się mnie kokietować, ale jej sukienka miała głęboki dekolt, więc mogłem się napatrzeć do woli. Staralem się nie skorzystać z okazji i prawie mi się udało.

– Gotowe – powiedziała Karrin i wysiadła.

Okrążyła auto i otworzyła przede mną drzwi. Stałem na chodniku i pomogłem wysiąść Ascher, która pokazała kształtne nogi pracownikom hotelu,

tak że w ogóle nie zwrócili uwagi na mnie. Karrin wróciła do samochodu i sprawnie odjechała, a ja podałem Ascher ramię i wprowadziłem ją do budynku.

– Postaraj się tak nie wyglądać – mruknęła Ascher pod nosem, kiedy znaleźliśmy się w windzie.

– To znaczy jak? – spytałem.

– Jakbyś się spodziewał, że za chwilę ninja wyskoczą z pojemników na śmieci. Jesteśmy na przyjęciu.

– Wszyscy wiedzą, że ninja nie istnieją – odparłem. – Ale coś się stanie. Możesz być pewna.

– Nie, jeśli będziemy działać zgodnie z planem.

– Będziesz musiała mi zaufać – powtórzyłem. – Zawsze coś się dzieje. Nieważne, jak zręcznie działasz, jak sprytny masz plan i jak prosta jest misja – coś idzie nie tak. Nic nigdy nie jest łatwe. Tak to działa.

Acher zmierzyła mnie wzrokiem.

– Masz bardzo negatywne podejście. Odpręż się i dajmy radę. Próbuje się aż tak nie rozglądać. No i uśmiechnij się, na miłość Boską.

Uśmiechnąłem się.

– Może mniej zaciskaj zęby.

Drzwi otworzyły się i ruszyliśmy korytarzem do sali balowej. Przed wejściem stali dwaj ochroniarze w hotelowych liberjach, którzy starali się wyglądać przyjaźnie i pomocnie. Szybko się do nich zbliżyłem i pokazałem wytłoczone zaproszenie oraz fałszywe dokumenty tożsamości. Muszę to przyznać Nicodemusowi – nie stosował półśrodków i stawiał na obłądną jakość produkcji. Fałszywe prawo jazdy (wystawione na nazwisko Howard Delroy Oberheit, jak uroczo) wyglądało bardziej autentycznie niż mój prawdziwy dokument z Illinois. Ochroniarze dokładnie przyjrzeni się prawu jazdy i mnie, ale nie dostrzegli fałszerstwa. Ascher (z domu Harmony Armitage) posłała im szeroki uśmiech i zagadnęła ich wesoło, a oni nawet nie spojrzeli na jej dokumenty.

Nie mogłem ich winić. Ascher wyglądała jak typowy uczestnik takiego eleganckiego przyjęcia. We mnie hotelowe osiłki rozpoznały pokrewną duszę – tylko wyższą i obdarzoną efektowniejszymi bliznami. Ale dzięki towarzystwu Hannah wpuścili mnie do środka.

Wnętrze udekorowano w chińskim stylu. Z sufitu zwisały poławie czerwonej tkaniny dzielące salę na części, papierowe lampiony lśniły wesoło, były także bambusowe stojaki, a nawet ogródek zen z idealnie ukształtowanymi piaszczystymi ścieżkami. Obsługa składała się w większości z kobiet w czerwonych jedwabnych tunikach z mandarynkowymi kołnierzykami. Pracownicy firmy cateringowej w białych garniturach i czarnych krawatach właśnie kończyli rozstawiać szwedzki stół. Kiedy weszliśmy, usłyszałem zespół

muzyczny – siedem instrumentów dętych, perkusję i pianino – grający jakiś klasyczny balowy utwór.

Powoli rozejrzałem się po sali, ale nigdzie nie dostrzegłem Anny Valmont.

– Ta złodziejka, z którą mamy się spotkać – zagadnęła Ascher. – Kim ona jest?

– Kiedyś należała do gangu tak zwanych Myszy Kościelnych – odrzekłem. – We trójkę specjalizowali się w okradaniu kościołów w Europie. Nicodemus kilka lat temu zwerbował ich, żeby ukradli dla niego Całun Turyński.

Ascher przekrzywiła głowę.

– I co się stało?

– Zdobyli go. Podejrzewam, że próbowali podbić cenę. Nicodemus i Deirdre zabili dwoje z nich i wykończyliby też Annę, gdybym nie zainterweniował.

Nieco szerzej otworzyła oczy.

– A teraz Nicodemus chce, żeby mu pomogła?

Cicho parsknąłem przez nos.

– Tak.

Ascher przez chwilę przypatrywała mi się spod przymrużonych powiek.

– Aha.

– No co? – spytałem.

– Po prostu... podziwiam tę manipulację – odrzekła. – Nie podoba mi się, ale nie sposób jej nie docenić.

– To znaczy? – zdziwiłem się.

– Nie rozumiesz?

– Staram się nie myśleć w taki sposób. – Obsługa odkryła srebrne tace z mięsem i po chwili do moich nozdrzy dotarła woń pieczonego kurczaka i wołowiny. Mój żołądek głośno dał o sobie znać. Od dawna żywiłem się tym, co sam ugotowałem nad kominkiem. To wystarczyło, żeby przeżyć, ale biorąc pod uwagę moje zdolności kulinarne, trudno nazwać te potrawy jedzeniem. Szwedzki stół pachniał tak wspaniale, że tylko czekałem, aż ślina zacznie mi kapać z ust.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, ktoś inny cię wyręczy – odezwała się Ascher. – Zresztą musisz się bronić... Hej, jesteś równie głodny jak ja?

– Mhm – odpowiedziałem. – No i wygląda na to, że mamy trochę czasu do zabicia.

– Zatem nalot na szwedzki stół nie byłby nieprofesjonalny?

– Nawet Pitt i Clooney musieli jeść – odrzekłem. – Chodźmy.

Przypuściliśmy szturm na szwedzki stół. Spiętrzyłem na swoim talerzu rozsądną, jak mniemałem, ilość jedzenia. Ascher nie bawiła się w takie subtelności. Łapczywie nałożyła sobie po trochu niemal każdej potrawy. Podeszliśmy do jednego z licznych stolików ustawionych na obrzeżach sali

balowej, podczas gdy zespół grał kolejny numer. Wybrałem stół, który zapewniał nam widok na wejście, i wypatrywałem przybycia Anny Valmont.

Na razie się nie pojawiała, za to przyszło kilka znanych chicagowskich osobistości i sala powoli zaczęła się wypełniać. Obsługa odbierała od gości płaszcze i krążyła po sali z tacami jedzenia i napojów, a pracownicy firmy cateringowej bezustannie wchodzili i wychodzili drzwiami dla obsługi, niczym armia mrówek robotnic, na bieżąco uzupełniając zapasy jedzenia na szwedzkim stole. Odniosłem wrażenie, że jest to dla nich niezwykle ważne, i rozważałem ponowne uszczuplenie tych zapasów, tylko po to, by zapewnić im zajęcie. Staram się być miły dla innych.

Właśnie brałem do ręki swój pusty talerz, by zademonstrować współczucie i humanitaryzm, gdy nagle jedna z kobiet z hotelowej obsługi dotknęła mojej ręki.

– Przepraszam, panie Oberheit, telefon do pana. Może pan odebrać tutaj.

Podniosłem na nią wzrok i otarłem usta serwetką.

– Dobrze, już idę. – Skinąłem głową do Ascher. – Zaraz wracam.

Wstałem i powędrowałem w ślad za kobietą do oddzielonej zasłoną niszy w ścianie, gdzie stał aparat telefoniczny. Znaleźliśmy się z dala od pozostałych gości.

– Panno Valmont – odezwałem się do kobiety. – Miło znów panią widzieć.

Anna Valmont odwróciła się w moją stronę z delikatnym i niezbyt przyjemnym uśmiechem. Kiedy ostatnio ją widziałem, była tlenioną blondynką. Teraz miała czarne włosy ostrzyżone na pazia. Była szczuplejsza niż zapamiętałem, niemal zbyt chuda, jak młoda dzika kotka. Wciąż była ładna, chociaż jej rysy straciły młodzieńczy blask, a oczy stały się bardziej surowe i czujne.

– Dresden – odpowiedziała. – „Pan Oberheit”? Naprawdę?

– Czy kiedykolwiek krytykowałem twoje przydomki? – spytałem.

To wywołało u niej przelotny uśmiech.

– Kim jest ta striptizerka?

– Nie znasz jej i lepiej z nią nie zadzierać – odrzekłem. – Poza tym striptizerki są w porządku. Jak się miewasz?

Sięgnęła pod tunikę i ostrożnie wyjęła grubą kopertę.

– Masz pieniądze czy nie?

Uniosłem brew.

– Pieniądze?

Znów się uśmiechnęła, chociaż tym razem nieco drapieźnie.

– Znamy się od dawna, Dresden, ale nie robię niczego za darmo i nie mam czasu na czcze pogawędki. Ludzie, którym musiałam się narazić, żeby to zrobić,

nie mają w zwyczaju przebaczać i depczą mi po piętach przez cały tydzień. Tę kopertę zrobiono z papieru błyskowego. Dawaj forszę albo dane i ja rozplniemy się w powietrzu.

Miałem mętlik w głowie. Nicodemus przygotował jakieś zadanie dla Anny Valmont – tylko dlatego mógł wiedzieć, że się tutaj pojawi i będzie szukała faceta z różą w kolorze zachodzącego słońca. I dlatego należało podejrzewać, że informacje, które kazał jej zabrać ze sobą, również są cenne.

Pośpiesznie się rozejrzałem. Z miejsca, w którym stałem, nie widziałem ani stołu, ani Ascher.

– Zrób to – powiedziałem, odwracając się do Valmont. – Zniszcz je, szybko.

– Myślisz, że tego nie zrobię? – spytała, ale po chwili zamilkła, marszcząc czoło. – Chwileczkę... Co ty knujesz?

– Niczego nie knuję – odpowiedziałem cicho. – Posłuchaj, Anno, to skomplikowana sprawa i nie mam czasu wszystkiego tłumaczyć. Zniszcz dane i znikaj. Oboje dobrze na tym wyjdziemy.

Przekrzywiła głowę i popatrzyła na mnie sceptycznym wzrokiem, po czym nieświadomie przycisnęła do siebie kopertę, jakby chciała ją ochronić.

– Płacisz mi sto tysięcy z góry i obiecujesz kolejne sto tysięcy po dostarczeniu danych, a potem każesz je zniszczyć? Przecież to nie jest jedyny egzemplarz.

– To nie ja cię zatrudniłem – odrzekłem z naciskiem. – Na dzwony piekieł, kiedyś ukradłaś mi samochód. Myślisz, że mam tyle forsy? Mam za zadanie tylko odebrać przesyłkę, a ty nie chciałabyś mieć nic wspólnego z tą ekipą. Wycofaj się, póki możesz.

– Wykonałam zadanie, więc powinnam dostać zapłatę – odparła. – Jeśli chcesz zniszczyć dane, nie ma sprawy. Ale zapłać za nie. Sto tysięcy dolarów.

– A może dwa miliony? – odezwała się Ascher. Wślizgnęła się do niszy, trzymając w dłoni kieliszek szampana ze śladami szminki na krawędzi.

Anna popatrzyła na nią ostro.

– Co takiego?

– Gwarantowane dwa miliony – powtórzyła Ascher. – A może nawet dwadzieścia, jeśli wykonamy zadanie.

Zazgrzytałem zębami.

Przez chwilę Valmont zerkała to na mnie, to na Ascher.

– To zadanie było testem.

– Otóż to – przyznała Ascher. – Nie brakuje ci umiejętności ani odwagi. To duża akcja. Dresden robi to, co zawsze, czyli próbuje cię ochronić przed złym światem. Ale to szansa na łup, który pozwoli ci spędzić resztę życia na własnej wyspie.

– Akcja? – odezwała się Anna. – Na czyje zlecenie?

– Nicodemusa Archleone – odpowiedziałem.

Oczy Anny spoważniały.

– Współpracujesz z nim?

– To długa historia – odrzekłem. – Zresztą nie robię tego z wyboru.

Ale już rozumiałem, o czym wcześniej mówiła Ascher. Nicodemus wybrał Annę Valmont i wysłał mnie po nią, ponieważ chciał zbadać jej motyw. Anna była coś winna zarówno mnie, jak i Nicodemusowi. Nawet jeśli nie zgłosiła się po to, by mi pomóc, mogła zrobić to z zemsty, licząc na okazję do zdradzenia Nicodemusa w najmniej korzystnym dla niego momencie. Dał jej wiele powodów do zaangażowania w tę sprawę. Pieniądze były tylko wisienką na torcie.

Valmont nie brakowało bystrości.

– Dwadzieścia milionów – powtórzyła.

– W najlepszym wypadku – odrzekła Ascher. – Gwarantowane dwa.

– Nicodemus Archleone – odezwałem się. – Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, gdy zawarłaś z nim umowę?

– Próbowaliśmy go okantować, a on zrobił to skuteczniej – oparła Anna. Zerknęła na Ascher, podczas gdy dwie kolejne osoby z hotelowej obsługi minęły niszę. – Co się stanie, jeśli odmówię?

– Przegapisz łup życia – odrzekła Ascher. – Nicodemus będzie musiał zrezygnować z akcji. – Popatrzyła na mnie. – A Dresden będzie miał przechłapanie.

To była prawda, skoro Ascher przyłapała mnie na próbie pokrzyżowania im planów. Musiałbym ją zabić – na co nie byłem gotowy – by powstrzymać ją przed wyjawieniem prawdy Nicodemusowi, który następnie rozpowiedziałby wszystkim, że Mab nie dotrzymuje słowa. Mab z kolei by mnie za to ukrzyżowała i wcale nie mówię metaforycznie. Co gorsza, byłem przekonany, że coś takiego nadszarpnęłoby potęgę Mab nie tylko w politycznym sensie, a przecież miała ona do wykonania ważne zadanie.

Byłem pewien, że Nicodemus wie o tym wszystkim.

Palant.

– Czy to prawda? – spytała Valmont.

Zazgrzytałem zębami i nie odpowiedziałem. Minęła nas czteroosobowa grupka pracowników firmy cateringowej z dużą tacą.

– A więc tak – orzekła Valmont. – Ta akcja dojdzie do skutku?

– Będzie cholernie niebezpieczna – ostrzegłem.

– Jest z nami Binder – dodała Ascher. – Wiesz, kim on jest?

– Najemnikiem – przytaknęła Valmont. – Ma reputację człowieka, który zawsze wychodzi z tarapatów obronną ręką.

– Wiadomo – odrzekła Ascher. – Jest moim partnerem. Moje zadanie polega na powstrzymaniu Dresdena przed nadmiernie szlachetnymi czynami.

– Naprawdę? – spytała mnie Valmont.

– Psiakrew – mruknąłem.

Valmont pokiwała głową. Potem zwróciła się do Ascher:

– Możemy porozmawiać chwilę na osobności?

Ascher uśmiechnęła się i skinęła głową. Wzniosła toast w moim kierunku, napiła się i wycofała z niszy.

Valmont nachyliła się i ściszyła głos.

– Nie zależy ci na pieniądzach, Dresden. Nie współpracujesz też z nim z wyboru. Chcesz go wyprowadzić w pole.

– Tak – przyznałem.

Coś zapłonęło w oczach Valmont.

– Dasz radę?

– Nie zdoła wykonać tego zadania sam – odrzekłem.

– Może się wydarzyć wiele rzeczy – zauważyła Anna.

– Albo możesz się wycofać, a wtedy do niczego nie dojdzie. Straci miliony, które już zapłacił, i będzie musiał zrezygnować z akcji.

– A wtedy po prostu gdzieś się schowa i być może nie wyjdzie przez kolejne pięćdziesiąt lat, a ja już nigdy nie będę miała okazji, by mu się odpłacić.

– Albo zginiesz, próbując – odparłem. – Zemsta nie jest mądrym rozwiązaniem, Anno.

– Owszem, jeśli można na niej zarobić. – Kilka razy nerwowo zastukała zębami. – Jak duże będziesz miał kłopoty, jeśli zrezygnuję?

– Ogromne – przyznałem, a kolejna grupa pracowników firmy cateringowej minęła nas, dźwigając olbrzymią tacę. – Ale sądzę, że powinnaś to zrobić.

W jej głosie pojawiła się nuta obrzydzenia.

– Ty byś to zrobił. Chryste. – Pokręciła głową. – Nie jestem małą dziewczynką, którą musisz chronić, Dresden.

– Walczysz w innej kategorii wagowej niż ci ludzie, Anno – odrzekłem. – To nie jest obelga, tylko prawda. Cholera, ja też nie chcę brać w tym udziału.

– Nie liczy się siła, Dresden, tylko spryt. – Pokręciła głową. – Może potrzebujesz mojej pomocy bardziej, niż ci się wydaje.

Miałem ochotę rwać włosy z głowy.

– Nie rozumiesz? – spytałem. – On chce, żebyś właśnie tak myślała. Jest manipulantem, który działał w świecie, zanim pojawił się na nim twój ród, a teraz cię wrabia.

Jej głos ociekał nienawiścią.

– Zabił moich przyjaciół.

– Cholera, jeśli spróbujesz go oszukać, zabije cię równie szybko.

– A jednak ty to robisz. – Starannie schowała kopertę pod tuniką. – Ostatnim razem byłam pewna, że mam wszystko pod kontrolą i nie potrzebuję twojej pomocy, ale okazało się, że bez niej sobie nie poradzę. Tym razem przyszła kolej na ciebie. Przyprawdź striptizerkę i powiedz jej, że powinniśmy czym prędzej ruszać.

– Dlaczego?

Dotknęła koperty pod tuniką.

– Jak wspominałam, dotychczasowi właściciele stali się dość natarczywi po tym, jak zabrałam te materiały z ich archiwum.

– Kto to jest?

– Fomory.

– A niech mnie... ci goście? – Westchnąłem i w tym samym momencie zabrzmiały dęciaki i zespół zaczął grać swinga. – No dobrze, chodźmy...

Pracownicy firmy cateringowej ponownie nas minęli, tym razem w ośmioosobowej grupie, zgodnie przemieszczając się w swoich identycznych strojach. Nagle upuścili na podłogę dwie wielkie tace. Dudnienie perkusji zagłuszyło brzęk lśniących metalowych pokrywek, spod których wyślizgnęły się dwie wijące się istoty.

Przez chwilę nie byłem pewien, na co patrzę. Widziałem tylko dwa kłębiące się fioletowo-szare cielska upstrzone barwnymi cętkami. Po chwili z tego kłębowiska rozwinęły się chwytne macki otaczające dziwaczne bulwiaste ciała i w naszą stronę chwiejnie pomknęły dwa stworzenia przypominające tułów bezwłosego goryla przytwierdzony do macek ogromnej ośmiornicy. Poprzedzała je fala smrodu zgniłych ryb, a za sobą pozostawiały ślady żółtawej mazi.

– Na dzwony piekiel – zakląłem. – Mówiłem jej, że nic nie jest proste.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak nazwać takie paskudztwa, zastanawiałem się z osobliwym spokojem, gdy adrenalina zalała mój umysł. Ośmiogoryle? Gorylornice? Jak skutecznie spuścić manto czemuś, co nawet nie ma nazwy?

Ale przede wszystkim bezimienne ohydne potwory są cholernie przerażające. Zawsze lękamy się tego, czego nie rozumiemy, a pierwszym krokiem ku zrozumieniu jest ustalenie, jakim słowem będziemy daną rzecz określać. Mam w zwyczaju nazywać wszystko, co staje na mojej drodze, a jeszcze nie ma nazwy. Imię ma moc – nie tylko magiczną, ale przede wszystkim psychologiczną. Coś strasznego, czego nazwę znamy, ma nad nami mniejszą władzę i mniej nas przeraża niż bezimienny potwór.

– Ośmiokongi – stwierdziłem ponuro. – Dlaczego to muszą być ośmiokongi?

– Żartujesz sobie? – Anna Valmont westchnęła. Jej ciało napięło się jak drżąca struna, ale nie wpadła w panikę. – Dresden?

Po drugiej stronie sali zespół zaczął grać przy wtórze dudniącej perkusji refren swingowego numeru. Ośmiokongi toczyły się w naszym kierunku, wymachując dziesięcioma kończynami, należącymi do ośmiornicy i goryla, a ich niemal ludzkie oczy płonęły wściekłą nienawiścią. Jednakże nie to niepokoiło mnie najbardziej. Fomory stanowiły mieszanekę nadprzyrodzonych istot ocalałych z kilkunastu mrocznych mitologii i panteonów, które cierpliwie czekały przez ostatnie dwa tysiące lat, by w końcu wyłonić się spod powierzchni oceanów po zniszczeniu Czerwonego Dworu. Przez ostatnie dwa lata dawały się wszystkim we znaki i doprowadziły do zniknięcia tysięcy ludzi. Nikt nie wiedział dlaczego, ale tajni śludzy Fomorów działający na lądzie wyglądali jak ludzie, mieli skrzela i zachowywali się jak na potwory przystało – właśnie nimi bardziej się martwiłem.

Za ośmiokongami przyczaili się śludzy w uniformach pracowników firmy cateringowej. Dobyli czegoś, co wyglądało jak ciężkie pałki, i skupili wzrok na Valmont. Przypominali stado dzikich psów. Pojawili się tutaj po to, by schwytać Annę żywcem. Trudno sobie wyobrazić, co ludzie, których kręci łączenie goryli z ośmiornicami, mogą zrobić ze schwytaną złodziejką.

Nie miałem przy sobie swojego magicznego sprzętu. To ograniczało moje możliwości w coraz bardziej zatłoczonym miejscu publicznym. Co gorsza, zdołali się do nas zbliżyć, nim nas zaatakowali. Nie mogliśmy uciec i nie mieliśmy czasu na subtelne rozwiązania.

To dobrze. Nigdy nie byłem subtelnym gościem.

Przywołałem siłę woli, zebrałem ją w spójną masę i przykucnąłem, wyciągając w dół prawą rękę. Następnie wykrzyknąłem „*Forzare!*” i wstałem, jednocześnie zataczając ręką szeroki łuk i uwalniając ładunek niewidzialnej mocy.

Fala czystej energii kinetycznej wyleciała ze mnie w formie półksiężyca i trafiła oba ośmiokongi oraz całą ósemkę sług, przewracając ich na podłogę.

Gwałtowne uderzenie magii posłało w powietrze także tace z ciężkimi pokrywkami, z których jedna przebiła krawędzią jedno z sięgających od podłogi do sufitu okien sali balowej. Zaklęcie zahaczyło prawdziwego pracownika hotelu, który runął na ziemię, jakby podciął go futbolista. Wiszące płachty czerwonej tkaniny załopotwały pod wpływem miniaturowego huraganu, a niektóre zerwały się i pofrunęły przez salę. Dwa małe stoliki zawirowały na podłodze razem z krzesłami, a niemal wszystkie żarówki w pomieszczeniu nagle pękły, syjąc deszczem iskier.

Ludzie zaczęli krzyczeć, gdy zapadła ciemność, ale zespół wciąż miał wystarczająco dużo światła i tylko na chwilę zgubił rytm, po czym grał dalej. Ośmiokongi poleciały na kilka metrów do tyłu, po czym rozpostarły macki i chwyciły się podłogi, rycząc wściekle, a ten przerażający dźwięk sprawił, że w sali balowej wybuchła prawdziwa panika. Kilka sekund później ktoś najwyraźniej włączył alarm przeciwpożarowy, ponieważ w powietrzu rozbrzmiało przeszywające zapętlone mechaniczne wycie.

A zatem: Harry Dresden – jeden; spokojne zgromadzenie – zero.

Chwyciłem Valmont za rękę i rzuciłem się w bok, drugą ręką odgarniając szkarłatną tkaninę i pędząc przed siebie na oślep. Wiedziałem, że Fomory za chwilę będą nam deptać po piętach. Zaklęcia, które mogłyby je zabić lub unieruchomić, spowodowałyby jeszcze więcej przypadkowych zniszczeń i mogłyby kogoś zabić we względnie niewielkim wnętrzu sali balowej. Jedynie odrzuciłem wrogów, ale nie próbowałem wygrać walki, tylko wydostać się stąd w jednym kawałku.

Nie wiedziałem, gdzie się podziała Ascher, ale Fomory ścigały Valmont. Ascher przetrwała wieloletnie polowania ze strony Białej Rady. Uznałem, że zdoła wydostać się z hotelu bez mojej pomocy.

– Co robimy?! – zawołała Anna.

– Wychodzimy!

– Oczywiście. Ale jak?

– Schodami przeciwpożarowymi! – odpowiedziałem. – Nie mam zamiaru utknąć z jedną z tych istot w windzie!

Wypadliśmy z za przesłaniających widok zasłon, a ja potknąłem się o krzesło, zatoczyłem i boleśnie uderzyłem biodrem o szwedzki stół. Pewnie bym upadł, gdyby Valmont nie pociągnęła mnie za rękę.

Wskazałem drzwi, z których korzystali pracownicy firmy cateringowej, i ruszyłem z miejsca.

– Tamtędy! Schody przeciwpożarowe są w korytarzu po prawej.

– Też widziałam tabliczki – odburknęła.

Pospiesznie wybiegliśmy z sali, skręciliśmy za róg i stanęliśmy oko w oko z dwoma sługami Fomorów, większymi i cięższymi od typowych ludzi, ubranymi w bardziej typowe dla siebie stroje – czarne spodnie i czarne golfy.

Słudzy mieli także broń maszynową.

Nie mówię o karabinach automatycznych, ale ciężkiej broni, do której amunicję przynosi się w cholernej skrzyni. Dwaj faceci w golfach zapewne mieli za zadanie pilnować schodów i nie zamierzali marnować czasu. Kiedy tylko wyłoniłem się z rogu, jeden z nich uniósł broń i zaczął strzelać seriami po trzy albo cztery pociski.

W filmach, kiedy ktoś strzela do głównego bohatera z broni maszynowej, trafia we wszystko, co znajduje się wokół, ale nie w niego. Ale prawdziwe karabiny maszynowe nie działają w taki sposób. Zdolny strzelec może się nimi posługiwać z dużą celnością i wystrzeliwuje wystarczająco dużo pocisków, by zawsze trafić w cel. Wielokrotnie. Właśnie po to produkuje się broń maszynową. Kiedy ktoś do ciebie strzela, masz dwa wyjścia – schować się albo zostać wielokrotnie postrzelonym. Stałem w odległości niecałych piętnastu metrów, w prostym pustym korytarzu. Facet nie mógłby spudłować, nawet gdyby próbował.

Odrzuciłem do tyłu prawą rękę i pchnąłem Annę Valmont za swoje plecy, a jednocześnie uniosłem lewą rękę, przywołałem nieco siły woli i warknąłem: „*Defendarius!*”.

Coś mocno szarpnęło moją łydkę, a potem przywołana siła woli zastygła w twardą barierę, która oddzieliła nas od strzelca. Pociski uderzyły w tarczę przy wtórze rozbłysków światła, ukazując jej kształt kopuły o nierównych krawędziach. Odczułem każde z potężnych uderzeń w całym ciele, niczym bicie wielkiego bębna w zbyt hałaśliwym nocnym klubie. Takie pociski stworzono specjalnie do przebijania osłon. Mogły zabić żołnierza kryjącego się za grubym drzewem, rozerwać ciało osłonięte kamizelką kuloodporną albo rozbić w proch betonową ścianę.

Bez pomocy narzędzi ogniskujących musiałem poświęcić mnóstwo energii, by powstrzymać pociski i je spowolnić, by nie odbiły się rykoszetem. Taka amunicja przebiłaby ściany i podłogi budynku tak łatwo, jakby były zrobione z miękkiego sera. Gdybym nie spowolnił odbitych pocisków, mogliby zginać niewinni ludzie oddaleni nawet o pięć pięter. Metalowe naboje zagrzechotały na podłodze wokół moich stóp.

To nie powstrzymało faceta w golfie. Powoli ruszył naprzód niezdarnym krokiem strzelca wyszkolonego w walce na krótki dystans, który przez cały czas utrzymuje oczy, głowę i ramiona na tym samym poziomie. Zbliżając się, wypuszczał krótkie serie z broni, wypełniając korytarz światłem i ogłuszającym hukiem, a ja z najwyższym trudem powstrzymywałem pociski.

Podtrzymywanie tarczy wymagało nie lada wysiłku i po kilku sekundach musiałem przykłęknąć na jedno kolano, tym samym zmniejszając wielkość osłony. Musiałem jeszcze trochę wytrzymać. Kiedy goście skończy się amunicja, będzie musiał zmienić broń albo magazynek, a wtedy będę miał okazję do kontrataku.

Tylko że drugi z facetów szedł obok niego i nie strzelał. Był gotowy przejąć pałeczkę, gdy tylko jego kompanowi skończy się amunicja. O, nie. Nie wiedziałem, czy wytrzymam aż tak długo.

Bardzo mi brakowało mojej bransoletki z tarcz, ale nie miałem jej przy sobie, kiedy ocknąłem się pod wyspą Demonreach, i nie miałem czasu ani środków, by zrobić nową. Wystarczyłaby moja laska, ale niełatwo przemycić taki przedmiot na oficjalne przyjęcie.

Potrzebowałem nowego planu.

Valmont coś do mnie krzyknęła. Tak bardzo się koncentrowałem, że za pierwszym razem ledwie ją usłyszałem.

– Zamknij oczy! – wrzasnęła. Potem napięła się, poruszyła i coś przeleciało nad blado połyskującą górną krawędzią mojej tarczy, po czym zagrzechotało u stóp faceta w golfie.

Strzelcy zareagowali natychmiast i odskoczyli, a chwilę później błysnęło oślepiające białe światło i powietrze w korytarzu poruszyło się, jakby pod wpływem machnięcia dłoni olbrzyma.

Nie zacisnąłem powiek w porę i stanęły mi przed oczami czerwone i fioletowe plamki, a w uszach usłyszałem przeciągły pisk, ale tarcza osłoniła mnie przed siłą niewielkiego wybuchu i byłem na tyle przytomny, że zdołałem chwiejnie wstać i wydostać się z zabójczego korytarza. Valmont ciągnęła mnie za rękę.

– Jezu Chryste – rzuciła wściekłym głosem. – To tylko jakieś przekłete dokumenty. Do drugich schodów!

Po powrocie z zalanego migoczącym światłem korytarza do sali balowej bezskutecznie czekałem, aż mój wzrok przywyknie do ciemności.

– Jeszcze nic nie widzę – powiedziałem i poczułem, że Anna bierze mnie za rękę. – Dobrze, ruszaj!

Valmont puściła się biegiem, a ja mknąłem za nią na oślep, trzymając się jej dłoni jak dzieciak o wzroście koszykarza NBA, próbując nie upaść. Zapewne pokonaliśmy już większość sali balowej, gdy Valmont nagle się zatrzymała. Podeszwy moich wypożyczonych butów nie zapewniały zbyt dobrego tarcia i prawie się wywróciłem, zanim zdołałem stanąć.

– Co się stało?

– Cicho – syknęła. – Jedna z tych istot jest przy drzwiach.

– Masz więcej granatów błyskowo-hukowych? – spytałem, ścisząc głos.

– Większość dziewczyn nie nosi przy sobie ani jednego – odparła poważnie. – Sama nie wiem, ile zaliczyłam akcji od naszego ostatniego spotkania. Jeśli przejdziesz przez te drzwi, wszystko się sypnie.

– Taki napis kazałem sobie wyhaftować na ręcznikach – odrzekłem.

Mocno zamrugałem i udało mi się dostrzec sylwetkę jednego z ośmiokongów, który czekał przy drzwiach. A raczej czekał nad nimi, ponieważ rozpostarł macki na suficie i przywarł do niego jak olbrzymi pajak, zwieszając w dół małpie łapy. Valmont zatrzymała się za kolumną, chowając się w cieniu, który powstał za sprawą awaryjnych lamp świecących w korytarzu za ośmiokongiem.

– Kurczę, ale brzydali. – Ponownie zamrugałem. – No dobrze, trzymaj się blisko mnie.

– Widzisz coś?

– Prawie. Spróbujemy uciec. Jeśli na nas ruszy, odtrączę go i pobiegniemy jak struś pędziwiatr.

– Jak struś pędziwiatr – odezwała się Valmont oschle. – Dobrze wiedzieć, że pracuję z dojrzałym zawodowcem.

– Niech ci będzie, zatem przeprowadzimy błyskawiczną ewakuację. – Chwyciłem ją za rękę lewą dłonią, uwalniając prawą. – Ruszamy.

Pobiegliśmy w stronę drzwi.

Ośmiokong zaczął zsuwać się po ścianie, brudząc ją oślizgłymi mackami i chrapliwie postępując, ale nie spadł nam na głowy i chociaż byłem gotowy do uwolnienia kolejnej porcji energii, udało nam się przemknąć kilka centymetrów od czubka najbliższej macki i wypaść na korytarz. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem.

Dlatego w mojej głowie natychmiast rozległ się alarm.

Na drugim końcu korytarza znajdowały się drzwi, ale ja nie miałem zamiaru zwalniać. Staranowałem je ramieniem, wykorzystując ciężar całego ciała i pełną

moc Rycerza Zimy.

Nie chcę powiedzieć, że jestem silny, kiedy korzystam z tej mocy, ale zdarzało mi się podnosić samochody. Może nie jest to nadludzka siła jak w komiksach, ale jestem potężnym gościem i sporo ważę, więc rozbiłem drzwi i wyrwałem zamek z drewnianej ramy, jakby ta była na wpół przegniła. Przebiłem się na drugą stronę, czując nieprzyjemne gorące pulsowanie w ramieniu, i pociągnąłem Valmont za sobą.

Drugi ośmiokong czekał po wewnętrznej stronie korytarza i już ku nam opadał. Gdybyśmy przystanęli choć na chwilę, dopadłby nas oboje. Zamiast tego wpadłem na stojak zmiotkami i mopami w głębi dużego schowka, złamałem kilka trzonków i wybiłem potężną dziurę w płycie gipsowej. Odbiłem się od niej oszołomiony, wciąż mając przed oczami rozmazane plamy.

– Dresden! – krzyknęła Valmont.

Obróciłem się i zobaczyłem, jak chwyta się ciężkiej metalowej półki ze środkami czyszczącymi. W którymś momencie puściłem jej dłoń. Nagle coś szarpnęło ją za nogę i oderwało od półki.

Błyskawicznie ją złapałem, zanim została wywleczona ze schowka. Zauważyłem fioletowo-szarą mackę owiniętą wokół jej kostki. Rzuciłem się naprzód, wykorzystując całą siłę nóg, i gwałtownie zatrzasnąłem drzwi, odcinając końcówkę macki ośmiokonga.

Za drzwiami rozległ się wściekły ryk.

– Schowaj się za mnie, schowaj się za mnie! – zawołałem do Valmont, dociskając drzwi nogami.

Przecisnęła się obok mnie w ciemnym wnętrzu schowka, dotykając mnie smukłymi, twardymi kończynami. Po chwili rozległ się trzask i pomieszczenie zalało światło malutkiej latarki, a Anna zaczęła oglądać zawartość półek.

Spodziewałem się, że ośmiokong spróbuje staranować drzwi, ale tylko kilkakrotnie lekko w nie uderzył, po czym przy wtórze głośnego jęku wyrwał je i połamał na kawałki. Mignęło mi kilka macek trzymających kawałki drewna, a następnie stwór wpadł do pomieszczenia, nisko pochylony, napędzany siłą kolejnych macek oraz małych łap.

Krzyknąłem i kopnąłem go obiema nogami w klatkę piersiową, na tyle mocno, że ryknął zaskoczony i wypadł na korytarz – ale jego macki przytrzymały się z nadnaturalną siłą futryny, zatrzymały go i znów pchnęły w moją stronę.

Uniosłem dłoń i wrzasnąłem „*Forzare!*”. Druga fala energii kinetycznej przeszła powietrze i trafiła ośmiokonga, napierając na niego. Przez kilka sekund siła mojej woli ścierała się z siłą macek i łap.

Tarcza, którą postawiłem w korytarzu, zbyttno mnie osłabiła. Czułem, że zaczynam się chwiać, a zakęcie traci moc. Ośmiokong coraz bardziej zbliżał się do miejsca, w którym leżałem z wyciągniętą ręką. Na skraju mojego pola widzenia pojawiły się małe gwiazdki.

Nagle rozległ się wrzask, intensywne piskliwe wycie o czysto mechanicznym brzmieniu. Rozbłysło niebiesko-białe światło, tak jaskrawe, że granat błyskowy Valmont wyglądał przy nim jak flesz aparatu fotograficznego, a powietrze rozdarło się przy wtórze miniaturowego grzmotu. W miejscu głowy ośmiokonga pojawiła się ognista kula wielkości moich dwóch pięści.

Pękła ułamek sekundy później, jak bańka mydlana.

A kiedy zniknęła... pozostały tylko poczerniała kość i obłok drobnego czarnego pyłu.

Ośmiokong zadrżał i zaczął wymachiwać wszystkimi dziesięcioma kończynami, ale nie trwało to długo. Bezgłowy trup jeszcze przez chwilę się miotał, a poczerniałe szczątki czaszki odłączyły się od ciała i potoczyły po podłodze, rozpadając się na kawałki.

Hannah Ascher stanęła nad ciałem z eleganckimi butami w dłoni i ogniem w ciemnych oczach.

– Dresden? Nic ci nie jest?

Przez chwilę tylko na nią patrzyłem.

Na wszystkie dzwony piekieł.

Nie zrozumcie mnie źle. Jestem magiem Białej Rady. Ale to, czego właśnie doświadczyłem, było niesamowitym pokazem precyzji i mocy, jakiego nie spodziewałbym się nawet po starszym członku Rady, a co dopiero po czarnoksiężniku młodszym ode mnie. Magia ognia bywa kapryśna. Jeśli chcesz użyć mocy wystarczającej do zadania obrażeń, będzie ci trudno nad nią zapanować. Im wyższa temperatura płomieni, tym szybciej ogień się rozprzestrzenia, pochłania i niszczy. To zakęcie rzucono z chirurgiczną precyzją.

Sam również nieźle sobie radzę z ogniem.

Ale Hannah Ascher była naprawdę dobra.

Bogowie, nic dziwnego, że Strażnicy jeszcze jej nie schwytali.

– Dzięki – rzuciłem, wstając z podłogi. A potem odepchnąłem ją z drogi, gdy pierwszy ośmiokong wpadł przez drzwi i rzucił się na nas, wymachując mackami.

Zdążyłem unieść ręce, zanim masywne cielsko powaliło mnie na ziemię. Próbowałem się bronić, ale nie miałem żadnego punktu zaczepienia – leżałem przygwożdżony przez mięsistą sieć macek, które szarpały mnie i kęsały przez ubranie. Z trudem udało mi się uwolnić głowę spod tej oślizgłej, cuchnącej masy

i zaczerpnąć powietrza, a dzięki temu mogłem zobaczyć, jak Anna Valmont wychodzi ze schowka i sypie ośmiokongowi w oczy kubek jakiegoś proszku.

Bestia wrzasnęła z bólu, a połowa jej macek natychmiast mnie puściła, by bezskutecznie osłonić twarz i głowę. Stwór wił się, straszliwie cierpiąc, a ja zdołałem znaleźć oparcie dla jednej nogi i zepchnąłem go z siebie. Wstałem z podłogi.

– Uciekajcie! – zawołałem do Ascher i Valmont. – Szybko! Uciekajcie!

Nie trzeba ich było namawiać. Popędziliśmy korytarzem, zostawiając za sobą wrzeszczącego ośmiokonga, a następnie zbiegliśmy po schodach.

– Proszę bardzo – warknąłem na Ascher. – Wydostaliśmy ją i już nam pomaga. Zadowolona?

– Tak, Dresden – odrzekła naburmuszonym tonem. – Jestem zadowolona. Wprost zachwycona. Nie posiadam się z radości. A teraz zamknij się i biegnij.

Uciekłem z hotelu, brocząc krwią, która plamiła mój podarty smoking.

Wcale mi to nie przeszkadzało.

Ciekawe, czy Nicodemus dostanie zwrot kaucji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy biegliśmy po schodach, Anna Valmont zdjęła tunikę i spodnie, pod którymi miała skąpą sukienkę. Kiedy zrzuciła buty i skarpetki, bez trudu wmieszała się w tłum eleganckich kobiet uciekających z budynku. Niewielka torebka ukryta na biodrach pod tuniką zmieniła się w kopertówkę. Anna zerwała z głowy perukę i rozpuściła sięgające ramion, modnie ufryzowane włosy w kolorze ciemny blond. Założyła okulary przeciwsłoneczne i przywłaszczyła sobie buty na obcasie należące do Ascher. Nieco przyśpieszyła kroku, dogoniła poprzedzającą nas grupkę i zręcznie się w nią wmieszała. Kiedy dotarliśmy na parter, bezkształtna, niska brunetka w uniformie obsługi hotelowej zniknęła, a wysoka, smukła blondynka w czarnej sukience wybiegła z budynku razem z resztą gości.

Valmont nie była głupia. Słudzy Fomorów czekali na zewnątrz, podszywając się pod pracowników firmy cateringowej, i obserwowali wszystkich wychodzących swoimi obojętnymi oczami przypominającymi ślepiec płazów.

– Odwróć ich uwagę, a ty zaprowadź ją do samochodu – szepnąłem do Ascher, kiedy wyszliśmy na ulicę.

Następnie wskazałem palcem najbliższego ze sług i ryknąłem:

– Ej, ty!

Mężczyzna zwrócił na mnie wzrok. Poczulem, że pozostali też to zrobili. Dobrze. Im więcej z nich patrzyło w moim kierunku, tym większe szanse miała Valmont, by wymknąć się niepostrzeżenie. Podszedłem do sługi, jakbym szukał zaczepki.

– Co wy wyprawiacie? Słyszałem, że niektórzy lubią świeże sushi, ale to już przesada.

Słudzy Fomorów nie słyną z ciętego języka. Mężczyzna tylko wbił we mnie wzrok i cofnął się niepewnie o pół kroku.

– Mam ochotę was pozwać! – zawołałem, wymachując ręką jak pijak. – Widzicie, jak wygląda mój smoking? Coś mi dzisiaj odebraliście. Spokój umysłu mojej garderoby!

Zwracałem już na siebie uwagę rozmaitych osób – ewakuowanych gości, pracowników hotelu, przechodniów na chodniku. Nieczęsto spotyka się zalanego krwią dryblasa w podartym smokingu, którzy wydziera się wniebogłosy, nawet w Chicago. Syreny wyły coraz bliżej. Służby ratownicze już były w drodze. Pojawiali się pierwsi policjanci na motocyklach i w wozach patrolowych, którzy w mgnieniu oka przybyli do serca miasta.

Sługa też to zauważył. Niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– No właśnie – odezwałem się nieco ciszej. – Nie wiem, którym Fomorom służycie, ale powiedzcie waszemu szefowi, że Harry Dresden wrócił i nakazuje mu trzymać się z daleka od Chicago. W przeciwnym razie wybije mu zęby. – Na chwilę zamilkłem. – Oczywiście zakładając, że je ma. W każdym razie coś wybije. Z pewnością. Przekażcie mu to.

– Śmiesz mu grozić? – wyszeptał sługa.

– Po prostu stwierdzam fakty – odparłem. – Lepiej się stąd zwijajcie ze swoją ekipą. Zanim zacznę zrywać wam kołnierzyki i pytać policjantów oraz reporterów, co jest nie tak z waszymi szyjami.

Sługa długo przypatrywał mi się pustymi oczami. Potem gwałtownie się odwrócił i zaczął się oddalać. Jego towarzysze w strojach firmy cateringowej podążyli za nim.

– Subtelnie – odezwała się Karrin.

Obróciłem się i zobaczyłem ją kilka metrów za sobą, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i dłonią blisko rękojeści pistoletu. Gdyby sługa albo któryś z jego kompanów dobyli broni, mogłaby szybko wyrównać szanse.

– Murph – zwróciłem się do niej. – Wydostali się?

– Czekają. – Zlustrowała mnie zboliałym wzrokiem. – Jezu, Harry. Nic ci nie jest?

– Trochę boli. Trochę piecze. Ale jestem cały.

– Krwawisz – zauważyła, podchodząc bliżej. – Twoja noga. Nie ruszaj się. – Przykłękła i nagle zdałem sobie sprawę, że ma rację – moja noga krwawiła, miałem mokrą nogawkę, a krew skapywała na wypożyczone buty. Karrin szybko podwinęła zakrwawiony materiał.

– Ktoś cię postrzelił – stwierdziła.

Zamrugąłem.

– Co takiego? Niczego takiego nie czuję. Jesteś pewna?

– Masz przestrzeloną na wylot łydkę – oceniła. – Po obu stronach są niewielkie otwory. Chryste, musieli stać blisko.

– M-dwieście czterdzieści – powiedziałem. – Z niecałych dziesięciu metrów.

– Miałeś szczęście, że kula ominęła kość i nie obróciła się. – Wyjęła chustkę z kieszeni. – Właśnie przed tym przestrzegał cię Butters. Nie czujesz własnych

obrażeń. Muszę założyć ci opaskę uciskową, nim zajmę się raną. Uwaga.

Ze skrzytem ramion obwiązała chustką moją łydkę i mocno zacisnęła. Poczułem lekkie mrowienie i pieczenie, ale nic więcej. Nagle uzmysłowiłem sobie, że Zima krąży we mnie jak lodowaty wiatr, tłumiąc ból.

Zdałem sobie także sprawę, że Karrin klęczy u moich stóp. Zima w moim wnętrzu uznała, że to całkiem interesujące. W mojej piersi zatrzepotało coś, co bardzo przypominało paniczny lęk, ale pobudziło mnie i wytrąciło z równowagi bardziej niż strach, który czułem podczas walki kilka minut wcześniej.

– No tak – odburknąłem, zmuszając się do odwrócenia wzroku. – Co my tu jeszcze robimy? Zbierajmy się.

Karrin wstała i podniosła na mnie wzrok, rozdarła między troską a znacznie mroczniejszymi uczuciami. W końcu pokiwała głową.

– Tam czeka samochód. Chodź za mną.

Kiedy znaleźliśmy się w aucie, obejrzałem się przez ramię na Ascher i Valmont. Odjechaliśmy w tej samej chwili, w której pojawiła się większość służb ratunkowych. Valmont wpatrywała się w okno z nieodgadnioną miną, skryta za okularami przeciwsłonecznymi. Ascher oglądała się na zamieszanie, które pozostawiliśmy za sobą.

Kiedy wreszcie zauważyła, że na nią patrzę, na jej usta wypłynął szeroki uśmiech, a ciemne oczy zamigotały.

– Cholera, to było mocne – stwierdziła.

– Dla niektórych bardziej – odrzekła Karrin. – Panno Ascher, odwiozę panią do rzeźni, gdzie spotka się pani ze swoim partnerem.

Ascher zmarszczyła czoło.

– A wy?

– Dresden został postrzelony.

Ascher zamrugwała.

– Kiedy?

– Kiedy mnie stamtąd wyciągał – odpowiedziała Valmont, nie przestając patrzeć przez okno. – Postrzelili go, gdy mnie zasłonił.

– Zabiorę go do kogoś, kto może pomóc – wyjaśniła Karrin. – Powiedz Nicodemusowi, że Valmont jest z nami.

Ascher spochmurniała i popatrzyła na Annę.

– Właśnie tego chcesz?

– Nie spotkam się z tym gościem bez Dresdena – odrzekła Valmont. – Gdybyś była bystra, też byś tego nie zrobiła.

– Daj jej spokój – odezwałem się cicho. – Ascher to duża dziewczynka. Potrafi sama podejmować decyzje.

– Jasne – odrzekła Valmont.

Ascher długo patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Słyszałam wiele opowieści o tobie.

– Czyżby? – spytałem.

– Czarnoksiężnik, który został Strażnikiem. A potem odmówił Radzie polowania na czarnoksiężników.

Wzruszyłem ramionami.

– To prawda.

– Nie zabili cię za to? – spytała Ascher.

– Toczyła się wojna. Potrzebowali każdego wojownika.

– Słyszałam też inne rzeczy. Niewiarygodne. Że pomagasz ludziom. Że jesteś gotów walczyć z każdym.

Poruszyłem jednym ramieniem. Lekko zabolalo.

– Czasami.

– On zawsze taki jest? – spytała Ascher.

– Tylko kiedy się wykrwawia – odpowiedziała Karrin. – Zazwyczaj gęba mu się nie zamyka.

– Ejże – zaprotestowałem.

Karrin zerknęła na mnie z cieniem wesołości w oczach.

Leniwie poruszyłem jednym ramieniem.

– Niech będzie.

– Skoro taki z ciebie twardziel, to dlaczego nie zamiotłeś nimi podłogi? – spytała Ascher.

Na chwilę zamknąłem oczy. Nie miałem ochoty tłumaczyć Ascher, że Rycerz Zimy został stworzony jako maszyna do zabijania, która działa bez namysłu. Nie miałem ochoty tłumaczyć, co mogłoby się stać, gdybym wypuścił tego dzinna z butelki w środku jednego z najbardziej eleganckich hoteli w Chicago. Karrin miała rację. W przeszłości zdarzało mi się obracać całe budynki w spalone ruiny. Pożar w hotelu Peninsula mógłby zabić setki ludzi. A gdybym stracił panowanie nad instynktami, które zaszczepiła we mnie Zima, ofiar mogłoby być znacznie więcej.

Po zakończonej walce na śmierć i życie miałem natomiast ochotę zerwać z niej sukienkę i sprawdzić, co się stanie dalej. Ale takie myśli były dziełem Zimy. W większości. Nie miałem zamiaru dopuszczać ich do głosu.

– Nie przyszliśmy tam po to, żeby zabijać Fomory – odparłem. – Mieliliśmy znaleźć Valmont. Udało się i tylko to się liczy.

– Gdyby nie ja, tamten stwór rozerwałby was na strzępy – zauważyła Ascher.

– Więc dobrze, że się pojawiłaś – odrzekłem. – Jesteś dobra, muszę ci to przyznać. Trudno z taką wprawą posługiwać się magią ognia. Masz talent.

– W porządku. – Ascher najwyraźniej dała się udobruchać. – Nie masz pojęcia, jak wielu facetów, z którymi pracowałam, nie potrafiło przyznać, że uratowała ich dziewczyna.

– Ojej – westchnąłem, zerkając na Karrin. – To dla mnie takie nowe doświadczenie.

Karrin parsknęła i zatrzymała samochód. Dotarliśmy do rzeźni.

– Powiedz Nicodemusowi, że wrócimy o świcie – poprosiłem.

Valmont nic nie powiedziała. Zdjęła nieco za duże buty i oddała je Ascher.

– Jasne – odrzekła Ascher. – Tylko nie wykrwaw się na śmierć. To wszystko jest zbyt ciekawe.

– E tam – mruknąłem.

Posłała mi kolejny uśmiech i wymknęła się z limuzyny. Karrin nie czekała, aż Ascher wejdzie do budynku, tylko od razu odjechała.

Obejrzałem się przez ramię na Valmont.

– Wszystko w porządku?

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nicodemus. On naprawdę tam jest?

– Zgadza się.

– A ty go załatwisz?

– Jeśli mi się uda – odrzekłem.

– W takim razie wszystko w porządku. – Znów wbiła wzrok w ciemność za szybą. – W porządku.

Karrin przez chwilę ze zmarszczonym czołem przyglądała się Valmont w lusterku. Potem mocniej zacisnęła zęby i przeniosła wzrok na drogę.

– Dokąd? – spytałem ją cicho.

– Do mnie – odpowiedziała. – Zadzwoiłam do Buttersa, kiedy tylko w hotelu uruchomił się alarm. Będzie na nas czekał.

– Nie chcę mieszać w to nikogo innego – odparłem.

– Zamierzasz przeciwstawić się Rycerzom Poczerniałego Denara – zauważyła Karrin. – Naprawdę uważasz, że możesz to zrobić na własną rękę?

Mruknąłem coś pod nosem i zamknąłem oczy.

– Tak sądziłam – odrzekła.

Opony limuzyny szeptały na ulicach miasta, a ja przestałem zwracać uwagę na cokolwiek innego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Karrin mieszkała w skromnym domu w Bucktown, który wyglądał, jakby należał do staruszki – głównie dlatego, że kiedyś rzeczywiście tak było, a Karrin nigdy nie miała czasu ani serca, żeby zmienić kolor, wystrój i otoczenie domu, które wybrała jej babcia. Kiedy dotarliśmy na miejsce, na ulicy już stało kilka samochodów. Karrin nie zatrzymała się, tylko przejechała na tyły domu.

Nim zaparkowała, odwróciłem się w stronę Valmont.

– Co to za materiały? – spytałem.

– Teczka jednego z miejscowych biznesmenów – odpowiedziała od razu.

– Znam go?

Wzruszyła ramionami, sięgnęła do torebki i podała mi teczkę, którą zwinęła w rulon. Rozwinąłem ją i wyteżyłem wzrok, a Karrin zapaliła lampkę na suficie. Po pięciu sekundach światło zamigotało i zgasło.

– Nic nie może być proste w twoim towarzystwie, prawda? – zganiała mnie.

Pokazałem jej język, wyciągnąłem spod koszuli srebrny pentagram mojej matki i wysłałem do niego delikatny strumień siły woli. Srebro rozjarzyło się błękitno-białym magicznym światłem, przy którym mogłem czytać.

– Harvey Morrison – odczytałem na głos. – Pięćdziesiąt siedem lat, bankier inwestycyjny, doradca finansowy i doradca do spraw bezpieczeństwa ekonomicznego. – Zamrugąłem i popatrzyłem na Karrin. – Co to takiego?

– Opiekuje się pieniędzmi bogaczy – wyjaśniła.

Mruknąłem pod nosem i wróciłem do lektury.

– W lecie żegluje, kiedy jest ładna pogoda, gra w golfa, dwa razy do roku spędza długi weekend w Las Vegas. Nie ma żony ani dzieci. – W teczce znajdowało się zdjęcie. Podniosłem je do światła. – Przystojny facet. Trochę jak Clooney, tylko z zakolami. Wymienia ulubione filmy, książki, muzykę. Mam tu całą jego biografię. Wychował się w tej okolicy, skończył dobre szkoły, rodzice zmarli, kiedy był w college'u.

– Dlaczego on? – spytała mnie Karrin.

Obejrzałem się na Valmont.

Wzruszyła ramionami.

– Sprawiał wrażenie zwyczajnego gościa. Żadnych łapówek ani defraudacji, czego należy oczekiwać od kogoś na tym stanowisku.

– Sami uczciwi ludzie? – spytałem z minimalną nutą cynizmu.

– Sprytni oszuści – odparła. – Jest zaufanym funkcjonariuszem publicznym, jak setki innych w tym mieście.

– Problemy z hazardem?

Wzruszyła ramionami.

– Nic takiego nie wynika z zebranych materiałów. Fomory nie uznają go za cel podatny na manipulację.

– Mają teczki finansistów? – spytałem.

– Od dwóch lat skupują informacje z wszelkich możliwych źródeł – odrzekła Valmont. – Dużo ich to kosztuje. W tej branży to sprzedający dyktują ceny.

– Jak to?

– Wszyscy kupują – wyjaśniła Valmont. – Fomory, Biały Dwór, Venatori, Svartalves, każda nadprzyrodzona ekipa, której nie zależy na dyskrecji. Właśnie dlatego podjęłam się tego zadania – to już trzecie w tym miesiącu. Jeśli znasz jakieś pikantne sekrety i chcesz szybko zarobić, Dresden, mogę cię skontaktować z poważnymi kupcami.

Zamrugalem, rozważając tę propozycję.

– Od kiedy specjalizujesz się w nadprzyrodzonych sprawach?

– Od czasu, gdy potwory zabiły dwójkę moich najlepszych przyjaciół. – Poruszyła jednym ramieniem. – Postanowiłam dowiedzieć się więcej i zaskoczyło mnie, jakie to proste. Oni tak naprawdę nie starają się ukrywać przed ludźmi.

– Nie ma takiej potrzeby – przyznałem. – Większość ludzi nie chce wiedzieć i nie uwierzyłaby, gdybyś pokazała im prawdę.

– Już to zrozumiałam – odrzekła Valmont.

– Dlaczego on? – powtórzyła Karrin. – Na czym zależy Nicodemusowi?

Zacisnąłem usta i z namysłem wciągnąłem powietrze przez zęby.

– Na dostępie – odpowiedziałem. – Na pewno.

– Co masz na myśli?

Uniosłem zdjęcie Harveya.

– Ten facet może dla nas zdobyć coś, do czego nie ma dostępu nikt inny. To jedyna sensowna możliwość.

– Czyimi pieniędzmi on obraca? – spytała Karrin.

Przejrzałem zawartość teczki.

– Hmm... tutaj jest lista klientów. Osoby prywatne, firmy, majątki, fundusze. Większość oznaczono tylko liczbami albo znakami zapytania. Kilka podpisano jako nieznanne.

– Typowe – stwierdziła Valmont. – Tacy goście działają bardzo dyskretnie. Co Nicodemus ci zdradził na temat tego zadania?

– Powiedział, jaki jest ostateczny cel, i że ty będziesz brała w tym udział. Nie podał żadnych szczegółów.

– Trzyma cię w niewiedzy – zauważyła. – Chce, żebyś zdawał sobie sprawę z nagrody, ale trudno będzie ci go zdradzić, jeśli nie będziesz pewien, co cię czeka.

– Palant – mruknąłem. – Zatem wciąż nie wiemy, co zamierza Nicodemus, ale założę się, że Harvey będzie kolejnym etapem.

– To ma sens – przyznała Karrin.

– W porządku, ale nie informujmy innych ekip z Chicago o wszystkich szczegółach. Gramy o poważną stawkę. Jeśli ktoś się o tym dowie, postawimy w złym świetle Mab, a to może mnie zaprowadzić na krzyż.

Karrin się skrzywiła.

– Więc chcesz ukrywać przed nimi całą prawdę i stopniowo dawkować im informacje?

– Nie chcę – odparłem. – Muszę. Dostrzegam ironię sytuacji, ale, jak już mówiłem, zamierzam rozegrać to dyskretnie.

Zamknąłem oczy i skontrolowałem swoje ciało. Moje kończyny przenikało niewyraźne uczucie dyskomfortu i zmęczenia, a w plecach czułem słabe kłucie, które mogło zwiastować skurcz mięśni. Srebrna wkrętka w uchu wciąż wydawała się nieco za ciężka i pulsowała zimnem w lekko nieprzyjemny sposób.

Intuicja podpowiadała mi, że środek przeciwbólowy Mab tak naprawdę mi nie pomaga, a jedynie maskuje ból. W hotelu wykorzystałem mnóstwo energii na rzucenie zaledwie dwóch zaklęć, a bez pomocy narzędzi kosztowało mnie to dużo wysiłku. Byłem zmuszony skorzystać z mocy Zimy, żeby pozostać przy życiu. Nie miałem pojęcia, jak ta moc może wpływać na moje zdolności – ponieważ, o ile wiem, nigdy nie było Rycerza Zimy, który jednocześnie byłby magiem – ale byłem przekonany, że im częściej będę się podpierał tą zimną, mroczną siłą, tym łatwiej będzie mi to przychodziło i tym łatwiej będzie ona mogła mnie zmieniać.

Cokolwiek znajdowało się w mojej głowie, było blisko doprowadzenia do mojej śmierci. Nagle zrozumiałem, że dar Mab to obusieczna broń. Owszem, pozwalał mi działać i pakować się w kłopoty, ale zarazem osłabiał mnie na tyle, że coraz bardziej polegałem na mocy Zimy. W ten sposób Mab zapewne mówiła mi, że powinienem częściej z niej korzystać.

Ale wcześniej czy później mnie to zmieni, tak jak każdego z moich poprzedników.

Jeśli już się to nie stało.

Bałem się.

Po dłuższej chwili Karrin przerwała ciszę.

– Na razie zrobimy to po twojemu. Chodźmy do środka.

Zmusiłem się do odpędzenia czarnych myśli i towarzyszącego im lęku.

– Masz moje rzeczy? – spytałem.

– W bagażniku.

Wysiadłem i powlokłem się do bagażnika auta. Wyjąłem swój marynarski worek i laskę, po czym zarzuciłem na ramię przyjemnie ciężki płaszcz, który zamierzałem włożyć, gdy tylko opatrzę rany i przebiorę się w coś wygodniejszego. Może nawet położę się w nim spać.

To był taki dzień.

Zatrzymałem się na pokrytej płytkami podłodze w kuchni Karrin, żeby nie pobrudzić krwią dywanu, i zastałem tam czekającego na mnie Waldo Buttersa.

Butters był cherlawym facetem po czterdziestce, ale na podstawie budowy ciała można było pomylić go z kimś znacznie młodszym. Miał czarną czuprynę, która nigdy nie dawała się uczesać, wąski haczykowaty nos, na którym nosił okulary, oraz długie, eleganckie palce.

– Harry – odezwał się, kiedy wszedłem, i wyciągnął dłoń. – Musimy przestać spotykać się w taki sposób.

Uścisnąłem jego rękę i posłałem mu zmęczony uśmiech.

– Właśnie, w przeciwnym razie nigdy nie będę w stanie spłacić twojego rachunku.

Krytycznie zmierzył mnie wzrokiem.

– Co ci się przytrafiło, do diabła? Wdałeś się w bójkę z zamiatarką do ulic?

– Ośmiokongi – wyjaśniłem. – Plus facet w golfie z bronią maszynową.

– Prawa łydka – odezwała się Karrin, wprowadzając Valmont do mieszkania i zamykając za nią drzwi. – Został postrzelony.

– A wy pozwalacie mu chodzić w takim stanie? – ostro spytał Butters.

Karrin posłała mu spojrzenie, od którego zsiadłoby się mleko.

– Następnym razem schowam go do torebki.

Butters westchnął.

– Posłuchaj, Harry, wiem, że nie czujesz bólu, ale nie jesteś nietykalny. Ból nie towarzyszy nam bez przyczyny. – Machnął ręką w stronę jednego z krzeseł w kuchni. – Siadaj, siadaj.

Kuchnia była malutka. Usiadłem. Butters był lekarzem, chociaż obecnie spędzał większość czasu na krojeniu trupów jako lekarz sądowy w Illinois, a jako że rany postrzałowe wzbudzają niepokój w szpitalach, opatrywał u mnie takie obrażenia w bardziej dyskretnych okolicznościach.

Odwinął moją nogawkę i mruknął coś pod nosem.

– Położymy go na stole – poprosił. – Pomóście mi go rozłożyć.

– Jasne – odrzekła Karrin.

Przez chwilę mocowali się z kuchennym stołem, aż w końcu Karrin trąciła mnie łokciem.

– No dalej, Harry, przecież cię nie podniosę.

Mimo to wzięła mnie pod rękę i pomogła mi położyć nogi na stole. Przyszło mi to z dużo większym trudem, niż powinno.

– Butters, potniesz mój smoking? – spytałem.

– Nie ruszaj się – odrzekł, wyjmując nożyczki z torby z przyborami lekarskimi.

– Świetnie – rzuciłem z uśmiechem. – Na chwilę zamknę oczy.

– Karrin, pójdziesz posiedzieć z Andi? Nie jest łatwo pracować w takich warunkach, więc ostatnie, czego potrzebuję, to tłok.

– W porządku – odpowiedziała. – Będziemy w salonie.

– No dobrze, Harry – rzekł Butters. – Bierzmy się do pracy.

– Jak się wam układa z Andi? – spytałem. – Wciąż dobrze?

Nie zareagował na pytanie o swoją dziewczynę.

– Spróbuj się nie poruszać.

Posłuchałem go. Kolczyk pulsował, fale sennego zimna wypływały z niego nieco szybciej niż rano. Butters dźgnął czymś ranę po kuli, a ja uświadomiłem sobie, że zapewne zaboląoby mnie to jak cholera, gdyby nie obecność Zimy w moim zmęczonym ciele. Na chwilę otworzyłem oczy i zobaczyłem, że pociera ranę jakimś plastikowym przyrządem, prawdopodobnie smarując ją antybiotykiem.

Wsuwał go do dziury w mojej nodze.

Zadrżałem i ponownie zamknąłem oczy.

Pierwszy dzień współpracy z Rycerzami Poczerniałego Denara i już zostałem postrzelony i poturbowany przez dwa ohydne potwory – a wszystko to podczas wykonywania względnie prostego i bezpiecznego zadania, biorąc pod uwagę czekającą nas operację.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że drugi dzień będzie jeszcze gorszy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Otwórz oczy, głupcze. Ona jest przed...

Gwałtownie poderwałem głowę ze stołu i zamrugałem. Jakiś głos bardzo wyraźnie przemawiał do mojego ucha wystraszonym, rozgniewanym tonem.

– Co takiego?

Minęło sporo czasu. Butters stał przy zlewozmywaku i mył swoje przybory. Znieruchomiał, a potem obejrzał się na mnie przez ramię i się skrzywił.

– Leż spokojnie.

Posłuchałem. Kolczyk w moim uchu był jak kawałek lodu, który przyprawił mnie o dreszcze.

– Mówiłeś coś? – spytałem.

– Nie – odpowiedział, marszcząc czoło. – Nie było z tobą kontaktu, człowieku. Dałem ci odpocząć.

– Był tutaj ktoś jeszcze?

– Nie, Harry.

– Mógłbym przysiąc, że...

Patrzył na mnie z wyczekiwaniem, unosząc brew.

– Że co?

Pokręciłem głową.

– Może coś mi się przyśniło.

– Jasne – odrzekł Butters.

– Wyjdę z tego, doktorze?

Parsknął.

– Jeśli nie przyplącze się zakażenie, powinieneś się wylizać. Nie, chwileczkę – powinieneś poleżeć w szpitalu pod kroplówką, a potem spędzić tydzień w łóżku. Ale znając ciebie, zapewne będziesz dalej robił te same idiotycznie niebezpieczne rzeczy. Teraz po prostu się przy tym nie wykrwawisz.

Uniosłem głowę i przyjrzałem się sobie. Moje ubranie zniknęło, nie licząc spodni, którym brakowało większej części prawej nogawki. Zadałem bolesny cios budżetowi akcji Nicodemusa. Butters zabandażował kilka skaleczeń i zszył

dwa z nich, a także krawędzie dziury w mojej nodze – w sumie założył kilkanaście szwów, a także...

– Co trzyma te skaleczenia, klej błyskawiczny?

– Klej i szwy, a gdybym potrafił zalepić je szczelnie taśmą klejącą, to też bym to zrobił.

– Wezmę ze sobą rolkę, na wszelki wypadek – odrzekłem. – Mogę się ubrać? Butters westchnął.

– Postaraj się nie poruszać za szybko, dobrze? No i uważaj, kiedy będziesz wstawał. Sądzę, że nie straciłeś dużo krwi, ale przez jakiś czas możesz mieć zawroty głowy.

Powoli się podniosłem i znalazłem swój marynarski worek. Wyjąłem z niego czyste ubrania i je włożyłem. Wyrzuciłem pozostałości smokingu.

– Więc czym się teraz zajmujecie? – spytał Butters. – Karrin jest bardziej dyskretna niż zazwyczaj.

– Najlepiej, żebym na razie nie zdradzał za dużo – odparłem. – Ale zanim zrobię cokolwiek innego, muszę spłacić dług.

Butters zmarszczył czoło.

– Co takiego?

Skończyłem się ubierać, sięgnąłem do worka i wyjąłem kawałek dębowego drewna. Potrzebowałem prawie miesiąca i kilku prób, żeby właściwie oddać proporcje, ale ostatecznie zdołałem wyrzeźbić całkiem przyzwoitą replikę ludzkiej czaszki. Następnie ozdobiłem ją za pomocą narzędzi, które wykonałem z kilku zakrzywionych i spiczastych fragmentów poroża jelenia dostarczonego przez Alfreda. Teraz czaszkę pokrywała elegancka gęstwina runicznych inskrypcji i symboli przypominających te na mojej lasce.

– Pracowałem nad nią cztery miesiące – powiedziałem i podałem ją Buttersowi. Nie wiedziałem, kto jeszcze przebywa w domu i jak wiele może usłyszeć, dlatego nie chciałem wspominać o Bobie Czaszce. Duch doradca był zbyt cenny i podatny na atak, by rozpowiadać o nim na lewo i prawo. – Przekaż ją naszemu wspólnemu przyjacielowi i powiedz mu, że jesteśmy kwita. On poinstruuje cię, co z nią zrobić.

Butters kilkakrotnie zamrugał.

– Czy to jest... to, o czym myślę?

Podszedłem bliżej i ściszyłem głos niemal do szeptu.

– Zapasowe naczynie dla niego – potwierdziłem. – Nie tak przyjemne jak to, które ma, ale w razie potrzeby powinno ochronić go przed światłem słońca. Zawarłem z nim układ. Teraz spłacam swój dług.

– Harry. – Butters powoli pokręcił głową. – Jestem pewien, że będzie bardzo zadowolony.

– Nie, nie będzie. – Parsknąłem. – Będzie jęczał i narzekał, że jest strasznie prymitywna. Ale ją dostanie, a to jest najważniejsze.

– Dziękuję – rzekł Butters grzecznym tonem, a następnie schował drewnianą czaszkę do swojej torby. – Zaniosę mu ją.

Zamrugąłem.

– Człowieku, nic ci nie jest?

Przez chwilę na mnie patrzył, a potem odwrócił się w stronę zlewozmywaka, w którym mył swoje przybory.

– To był długi rok – powiedział. – Poza tym od pewnego czasu mam problemy ze snem. To wszystko.

To nie było wszystko. Nie jestem geniuszem w kwestii kontaktów społecznych, ale widziałem, że wyraźnie coś go niepokoi.

– Butters? – zagadnąłem.

Pokręcił głową i odezwał się znacznie ostrzejszym i chłodniejszym tonem, niż się spodziewałem.

– Powinieneś przestać dopytywać, Harry.

– Tak, a oprócz tego powinienem jeść więcej warzyw – odparłem. – Ale nie oszukujmy się, tak się nie stanie. Co się dzieje?

Westchnął.

– Harry... czytałeś kiedyś *Smętarz dla zwierzaków*?

Zmarszczyłem czoło.

– Tak, dawno temu... – Coś lekko ścisnęło mnie w żołądku. – Co chcesz powiedzieć? Sądzisz, że wróciłem do życia jako ktoś inny?

– Byłeś martwy, stary – odrzekł Butters. – Ludzie... Posłuchaj, kiedy tutaj mieszkałeś, pod wieloma względami pełniłeś rolę szeryfa w mieście. Kiedy umarłeś, różne istoty zaczęły ściągać do Chicago. Nie tylko Fomory. Ghoule kręciły się po okolicy. Coś wylazło z Miasta Na Dole. Wampiry zaczęły kontrolować ludzi. Nawet cywile zaczęli coś zauważać. Molly robiła, co mogła, ale płaciła za to ogromną cenę...

Obserwowałem jego twarz, kiedy to mówił. Skupiał wzrok na punkcie oddalonym o kilometr, coraz wolniej poruszał rękami.

– Potem pojawił się twój duch i to było... no wiesz. Dziwaczne. Ale wszyscy doszliśmy do wniosku, że w końcu nie żyłeś tak jak my, więc i umarłeś inaczej.

– Technicznie rzecz biorąc, to był kod niebieski... – zacząłem.

– Wtedy tego nie powiedziałaś – zauważył Butters.

Otworzyłem usta i od razu je zamknąłem. Miał rację. Nie powiedziałem. To znaczy wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale on miał wystarczająco dużo czasu, by przywyknąć do myśli, że już nie jestem magiem.

– Potem znów się pojawiaasz, kiedy sprawy zaczynają przybierać coraz gorszy obrót – ciągnął ze słabym uśmiechem. – Twardziel Harry powraca z martwych. Nawet nie wiesz, co to dla nas znaczyło. Posiadasz tę moc od tak dawna, że nie masz pojęcia, jak wygląda życie bez ciebie. Nie wiesz, jakie to uczucie bezsilnie patrzeć, jak ludziom dzieje się krzywda, i tylko od wielkiego święta móc kogoś uratować. – Roześmiał się gorzko. – Owszem, czaszka wiele mi powiedziała, ale nie wiem, czy wiedza o tym, co się dzieje, mogła nam pomóc, skoro nie mieliśmy wystarczająco dużo siły, by robić cokolwiek poza mało znaczącymi drobiazgami – i to nie wtedy, gdy naprawdę tego potrzebowaliśmy.

– Butters – odezwałem się.

Nie usłyszał mnie.

– A potem nasz obrońca nagle wraca, gdy już myśleliśmy, że odszedł na zawsze i wszystko zaczęło się sypać. – Pokręcił głową i łzy napłynęły mu do oczu. – To było jak kroplówka z czystej nadziei, stary. Superman znów narzucił pelerynę. Szeryf wrócił do miasteczka.

Pochyliłem głowę. Wiedziałem, co się za chwilę stanie, i wcale mi się to nie podobało.

– Tylko że... wcale nie wróciłeś, prawda? Zatrzymałeś się na Wyspie Strachów. Niczego nie robiłeś. A potem zniknęła także Molly i zostaliśmy z niczym. Will i Georgia w zeszłym roku trafili do szpitala. Przez pewien czas nie byliśmy pewni, czy przeżyją. Mają małą córeczkę, która prawie została sierotą. W ciągu ostatnich dwóch lat każdy stracił kogoś bliskiego albo zna ludzi, których to dotknęło. A ty siedziałeś na Wyspie Strachów.

– Musiałem – odrzekłem.

Butters zacisnął zęby.

– Spróbuj spojrzeć na to z mojej perspektywy, Harry. Od czasu Chichén Itzá nie byłeś sobą. Czy w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Zawarłeś pakt z Mab – odrzekł. – Umarłeś. Ukazał się twój duch, stwierdził, że nie żyjesz, i kazał nam robić różne rzeczy. Potem wróciłeś do życia, tylko że teraz dysponujesz dziwną elfią mocą Zimy. Dzień po twoim powrocie zniknęła Molly, która dostała taką samą moc. Wróciłeś rok temu, ale mieszkasz na wyspie, na którą nikt nie może się dostać, nie rozmawiasz z nami, nie pomagasz, nie ma cię tutaj. – Po raz pierwszy na mnie popatrzył. – Nie jesteś sobą. Nie jesteś człowiekiem, którego znamy. Który co tydzień wpadał na partyjkę. Z którym jeździliśmy do kina samochodowego.

Wcisnąłem dłoń do kieszeni.

– Wiem, że ludziom przytrafiają się różne rzeczy – ciągnął. – Być może zachowujesz się tak z ważnych powodów. Ale... nic nie zastąpi twojej

obecności. Tracimy ludzi. Dzieciaki. Staruszków. Cholera, jakiś czas temu grasował tu potwór, który zabijał domowe zwierzaki. – Znów zaczął myć przybory lekarskie. – To wystarczy, żeby stać się nieco cynicznym. A teraz pojawiaasz się, ale nie chcesz powiedzieć, czym się zajmujesz. Ludzie martwią się, że zejdiesz na złą ścieżkę, tak jak poprzedni Rycerze Zimy. – Obrócił się i popatrzył na mnie surowym, zbolalym wzrokiem. – A kiedy obudziłeś się po tym, jak cię pozszywałem, co zrobiłeś najpierw? „Cześć, Butters”? „Jak się masz, Butters”? „Przepraszam, że poturbowałem twoją dziewczynę”? „Nie chciałem zniszczyć twojej pracowni komputerowej, stary”? Nie. Od razy zaczynasz opowiadać o spłaceniu długu. Jak jakiś elf.

Poczułem lodowaty ucisk w żołądku. Butters nie znał wszystkich faktów i nie widział pełnego obrazu, ale...

Nie mylił się.

Zaczął wrzucać swoje rzeczy do torby, ale wciąż przemawiał łagodnym głosem.

– Boję się, stary. Wiem, co tam się teraz dzieje, i jestem przerażony. Powiedz mi, Harry. Czy powinienem się obawiać tego, że Superman spędza coraz więcej czasu z Luthorem? Czy kiedy wreszcie dowiem się, w co pakujesz Karrin, trochę się uspokoję? Ponieważ nie jestem pewien, czy wciąż cię znam.

Minęło chyba piętnaście sekund, zanim zdołałem odpowiedzieć.

– Nie uspokoisz się – odrzekłem cicho. – I nadal nie mogę o tym z tobą rozmawiać.

– Szczerść. – Pokiwał głową. – No nic, przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. W lodówce jest sok pomarańczowy. Napij się. W ciągu następnych kilku dni spożywaj dużo płynów.

Podniósł torbę i wyszedł z kuchni.

Wyglądał na co najmniej tak zmęczonego jak ja. Widziałem, jak bardzo się boi i jak ten strach go zniszczył. Miał wątpliwości, co w jego świecie świadczyło o sprycie. Miał wątpliwości co do mnie. Bolało mnie to, ale uznałem, że to zrozumiałe. Może nawet mądre. Poza tym był ze mną szczery. To wymagało odwagi. Gdybym naprawdę zmieniał się w potwora, wystawiłby się w ten sposób na atak. A jednak to zrobił, co oznaczało, że nie był pewien i postanowił podjąć ryzyko.

Co zaś najważniejsze, kiedy potrzebowałem jego pomocy, pojawił się i mi jej udzielił.

Butters był dobrym człowiekiem.

No i miał rację.

Usłyszałem ciche głosy dobiegające z salonu. Butters rozmawiał z Karrin i jakąś inną kobietą – zapewne Andi. Po chwili drzwi otworzyły się i zamknęły.

Zapadła cisza charakterystyczna dla opustoszałego domu.

Karrin pojawiła się w drzwiach.

– Słyszałaś, co? – spytałem.

– Owszem. – Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę soku pomarańczowego.

Wzięła plastikowy kubek z szafki i go napełniła. Podała mi sok.

Skrzywiłem się, wypłem trochę i wbiłem wzrok w naczynie.

– Zgadzasz się z nim? – spytałem.

– Rozumiem go.

– Ale czy się z nim zgadzasz?

– Ufam ci – odrzekła.

Dwa słowa. Ale jakże ważne. Zwłaszcza w jej ustach. Przez chwilę wisiały między nami, wypełniając pomieszczenie, a ja poczułem, że częściowo opuszcza mnie napięcie.

Podniosłem na nią wzrok i uśmiechnąłem się półgębkiem. Odwzajemniła uśmiech.

– Może nie powinnaś – powiedziałem.

Zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły.

– Może jestem dużą dziewczynką, która potrafi samodzielnie podejmować decyzje.

– Może i tak – przyznałem.

– To był ciężki rok. Jesteś zmęczony i wystraszony. Ludzie czasami tracą wiarę. Zobaczysz, że zmienią zdanie.

– Dzięki – odrzekłem cicho.

Położyła dłoń na mojej ręce i ścisnęła.

– Przygotowałam pokój gościnny dla Valmont – powiedziała. – Ciebie ulokuję w moim pokoju. Ja będę spała na kanapie.

– Wystarczy mi kanapa – zaprotestowałem.

– Nie mieścisz się na niej, głąbie. Poza tym to ty dałeś się postrzelić, pamiętasz? Musisz być w jak najlepszej formie, jeśli ma się nam udać.

Zamieszałem sok pomarańczowy w kubku. Miała rację.

Mister pojawił się w drzwiach i natychmiast do mnie doskoczył. Odsunąłem zranioną nogę, tak że uderzył ramieniem tylko w lewą pizszczel. Nachyliłem się, żeby podrapać go za wystrzępionym uchem.

– Gdzieś ty się podziewał, futrzaku?

– Dziwne, z jakiegoś powodu znika zawsze wtedy, gdy pojawia się Andi – zauważyła Karrin.

Przypomniałem sobie chaos, jaki panował w salonie w moim dawnym mieszkaniu, i się uśmiechnąłem.

– Może nie jest kociarą – stwierdziłem.

– Wypij sok – poleciła, a ja jej posłuchałem. Potem ponownie napełniła kubek i dopilnowała, żebym go opróżnił. – W porządku. Valmont już się położyła. Prześpij się. Jutro wcześniej zaczynamy i musisz być w formie.

To nie była moja pierwsza akcja i wiedziałem, że Karrin ma rację. Nie da się przetrwać takich sytuacji, jeśli bez powodu rezygnuje się z odpoczynku. Poza tym tego wieczoru miałem już dosyć atrakcji. Wystarczyło mi kłopotów jak na jeden dzień.

Ruszyłem w stronę sypialni Karrin, ale zatrzymałem się, gdy wszedłem do salonu. Na stoliku zobaczyłem broń palną. Było jej mnóstwo – leżała na rozłożonych szmatach, gdzie ją czyszczono, stała oparta o pobliskie krzesło, obok którego już czekała duża torba. Był tutaj ulubiony niewielki belgijski karabinek Karrin, a także dwa pistolety, które wyglądały jak rodem z filmu science fiction.

– Nowe zabawki? – spytałem.

– Jestem dziewczyną, Harry – odpowiedziała zadowolonym tonem. – Lubię gadżety.

– Czy to bazooka?

– Nie, to wyrzutnia rakiet AT-cztery. Znacznie lepsza od bazooki.

– Na wypadek gdybyśmy musieli zapolować na dinozaury? – spytałem.

– Właściwe narzędzie do właściwej roboty – odpowiedziała.

– Mogę się nią pobawić?

– Nie, idź do łóżka.

Usiadła na kanapie i zaczęła rozkładać jeden z pistoletów. Przez chwilę się wahałem. Czy mam prawo wciągać ją w taki konflikt?

Czym prędzej odpędziłem te myśli i zadałem sobie kolejne pytanie: czy w tej chwili mogę ją jeszcze powstrzymać?

Karrin podniosła wzrok i uśmiechnęła się, składając broń tak szybko i odruchowo, jak inni ludzie wiążą buty.

– Do zobaczenia rano, Harry.

Pokiwałem głową. Najlepszym sposobem, żeby przez to przejść, było skupienie się na czekającym nas zadaniu. Karrin nie odstąpi ode mnie, nawet gdybym tego chciał.

A więc przestań się wahać, Harry, skoncentruj się i tak załatw Nicodemusa i spółkę, żeby już nigdy nie mieli okazji jej skrzywdzić.

– Tak – odpowiedziałem. – Do zobaczenia rano.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jakikolwiek element mocy Zimy wspomagał mnie podczas akcji, najwyraźniej nie był już mną zainteresowany, gdy znajdowałem się w bezpiecznym miejscu.

Miałem zbyt wiele szwów, by wskoczyć pod prysznic, ale jak najdokładniej umyłem się gąbką nad umywalką pełną ciepłej wody z odrobiną mydła, a następnie padłem na łóżko. Po najwyżej dziesięciu sekundach odległe zmęczenie stało się wyraźniejsze, a delikatne pieczenie i tępy ból wywołany dziesiątkami skaleczeń i siniaków pochłonęły całą moją uwagę.

Byłem zbyt wyczerpany, by się tym przejmować. Przez minutę albo dwie zastanawiałem się, czy nie wstać po aspirynę, ale potem sen zakradł się zniecierpliwiony i mnie znokautował.

Śniłem.

To był jeden z tych gorączkowych snów, hałaśliwych, jaskrawych i niespójnych. Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów – tylko że nie potrafiłem nadażyć za biegiem wydarzeń i czułem, że kiedy tylko skupiam na czymś wzrok, wszystko się zmienia, a gdy tylko uzmysławiam sobie, co się dzieje we śnie, ten z rykiem podąża w nowym kierunku, dezorientując mnie i pozostawiając w tyle, jakby moje stopy ugrzęzły w błocie. Przez cały czas byłem świadomy obecności kilku innych Harrych Dresdenów, którzy, nieco oddaleni, również pogrążali się w chaotycznym tańcu, równoległe do mnie. Od czasu do czasu przystawaliśmy, by pozdrowić się machnięciem ręki i wymienić grzeczne skargi.

Pod koniec zobaczyłem, że jadę jakąś nieznaną drogą w swoim wielobarwnym garbusie, Niebieskim Chrabąszczu, i mrużąc oczy, próbuję coś dostrzec w ulewnym deszczu. Moja uczennica, Molly, siedziała obok mnie.

Miała dwadzieścia kilka lat i wyglądała ślicznie, chociaż jak na mój gust wciąż była nieco za szczupła. Jej włosy, które już jako nastolatka zaczęła farbować na przypadkowe kolory, teraz były długie i miały kolor jasny blond. Była ubrana w stare markowe jeansy, niebieski T-shirt z wyblakłym symbolem recyklingu i sandały.

– Nienawidzę takich snów – odezwałem się. – Żadnej fabuły, tylko przypadkowe dziwaczne wydarzenia. Mam tego dosyć na jawie.

Popatrzyła na mnie, jakby wystraszona, i kilkakrotnie zamruła.

– Harry?

– Jasne, że tak – odrzekłem. – Przecież to mój sen.

– Nie – odparła. – Niezupełnie. Jak to robisz?

Oderwałem dłonie od kierownicy, pomachałem palcami i odezwałem się dramatycznym głosem:

– To czary.

Molly parsknęła serdecznym śmiechem.

– Dobry Boże, to był wypadek, prawda? A więc wreszcie opuściłeś wyspę? Jak głowa?

Zamrugalem zaskoczony.

– Chwileczkę. Molly?

– To ja – odrzekła z uśmiechem i nachyliła się w moją stronę. Objęła mnie i oparła głowę na moim ramieniu. Jej dotyk cechowało ciepło nietypowe dla snu, poczucie obecności, które trudno było zakwestionować. – Kurczę, miło znów cię widzieć, szefie.

– Jak to możliwe? – spytałem.

– Dobrze pytanie. Od Nowego Roku chyba z pięćdziesiąt razy byłem atakowana w swoich snach. Sądziłam, że moje zabezpieczenia są szczelne.

– Atakowana? Przez kogo? – spytałem.

– Och, głównie sidhe – odrzekła lekceważącym tonem.

– Chwileczkę, nie jesteś ich księżniczką?

– W ciele, owszem – przytaknęła, patrząc na mnie lśniąco oczami. – Ale w snach mogą działać anonimowo, więc każdy śmieć uważa się za twardziela. To jak internet dla elfów.

– Banda palantów – skwitowałem.

– Nie, nic z tych rzeczy – zaprotestowała. – Zrozum, Harry, Maeve była naprawdę okropną Panią Zimy. Mam zadanie do wykonania i sidhe chcą się upewnić, że mu podołam. Dlatego mnie testują.

– Atakując cię? – spytałem.

– Dyskretnie, tam, gdzie Mab nie może tego zobaczyć – odrzekła Molly. – To mi trochę przypomina chwile, gdy mama zostawiała pod moją opieką młodsze rodzeństwo. Tylko że oni są nieco bardziej złowrodzy.

Zamrugalem, a ona parsknęła śmiechem.

– Wreszcie się uśmiechasz, to dobrze – zauważyła. – Pojawiają się, a ja spuszczam im łomot. To nic osobistego – ciągnęła. – Potem wracam do swoich zajęć. To dlatego się do ciebie nie odzywałam. Przepraszam. Muszę ogarnąć jakieś sto pięćdziesiąt lat zaległych spraw Maeve. A jaka jest twoja wymówka?

– Przez ostatnie pół roku codziennie wysyłałem do ciebie wiadomości.

Molly wytrzeszczyła, a następnie zmrużyła oczy.

– Mab – zgadła.

– Mab.

– Grrr. Potrzebujesz mnie?

– Na przedwczoraj. Mam w głowie coś, co zabije mnie w ciągu dwóch dni. Demonreach twierdzi, że możesz pomóc. Wygląda na to, że Mab też tak uważa.

Niebieskie oczy Molly stały się zimne jak lód.

– W przeciwnym razie nie przechwytywałyby twoich wiadomości. Co za suka. Gdybym wiedziała... – Przygryzła dolną wargę. – Kazała mi robić coś, z czego nie mogę się szybko wyplątać.

– Nie byłoby to dla ciebie wygodne? – spytałem.

– W tej chwili znajduję się pod trzema kilometrami lodu – odpowiedziała. – Dostanie się tutaj zajęło mi cały dzień. Właśnie dlatego teraz śpię. Jak wygląda sytuacja?

Opowiedziałem jej.

– Mój Boże, Harry! – zawołała. – Nicodemus, naprawdę? Sanya też tam jest?

– Nie – odrzekłem, ale szybko się zreflektowałem. – Przynajmniej na razie.

– Któryś z Rycerzy się pojawi – stwierdziła. – Tak to działa. Ja też zaraz ruszam w drogę. – Zrobiła zmartwioną minę i świat we śnie po chwili zaczął migotać.

Nagle znalazłem się pośród całego stada Niebieskich Chrabąszczy, w których siedziały różne wersje Harry'ego Dresdena i Molly Carpenter. Musiałem wymijać je slalomem.

– ...na miejsce, kiedy tylko zdołam... – dobiegł mnie głos Molly z oddali, a potem zostałem w samochodzie sam.

Ruch uliczny stawał się coraz bardziej intensywny i dezorientujący, aż w końcu rozległy się głośny pisk opon i chrzęst miażdżonego metalu. Rozbłysło jasne światło i poczułem, że spadam w przesadnie elegancki i powolny sposób.

Radio zatrzeszczało i po chwili jakaś kobieta odezwała się głosem spikerki odczytującej najnowsze wiadomości.

– Z ostatniej chwili, Harry Dresden, mag z Chicago, pędzi na oślep ku zagładzie, ponieważ nie chce przyjąć do wiadomości prostych i oczywistych faktów, które ma przed sobą. Dresden zignorował kilka mistrzowsko umieszczonych ostrzeżeń i wskutek tego spodziewamy się, że umrze w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin...

Wydobyłem się ze snu i usiadłem na łóżku, dygocząc i oblewając się potem, instynktownie wyczuwając zagrożenie, przekonany, że już nie jestem sam w pokoju.

Częściowo miałem rację.

Karrin niemal bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi i podeszła do łóżka w bladym odbitym świetle ulicznej latarni. Miała na sobie długi, wyblakły T-shirt wydziału policji w Chicago, a włosy związała w prosty kucyk. W opuszczonej dłoni trzymała swój ulubiony pistolet SIG.

– Cześć – szepnęła i przystanęła obok łóżka. – Usłyszałam jakiś hałas. Wszystko w porządku?

Potarłem oczy dłonią. Czy Molly tylko mi się przyśniła? A może to było coś więcej? Wiedziałem, że w kwestii snów może się wydarzyć wiele zwariowanych rzeczy, a ta wizja była niesamowicie rzeczywista, lecz to niczego nie dowodziło.

– Sny – mruknąłem. – Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

– Nie spałam. Mamrotałeś coś i chodziłeś po pokoju.

Usłyszałem, jak odkłada pistolet na stolik przy łóżku. Była ode mnie oddalona o jakieś pół metra i z tej odległości czułem jej zapach. Czyste ubranie, jakiś kwiatowy dezodorant, skóra rozgrzana słońcem, nuta rozpuszczalnika do czyszczenia broni. Po chwili dotknęła dłonią mojego czoła.

– Masz temperaturę – zauważyła. – Sny wywołane gorączką są najgorsze. Nie ruszaj się. – Poszła do łazienki i po chwili wróciła z papierowym kubkiem i czterema pigułkami. – Ibuprofen – wyjaśniła. – Jak twój żołądek?

– W porządku – wyszeptałem. – To skaleczenia i siniaki mnie martwią. – Podała mi wodę i lekarstwo, a ja je połknąłem i odstawiłem kubek. – Dzięki.

Zabrała kubek i odwróciła się, żeby wyrzucić go do kosza, a wtedy światło wydobywające się z łazienki ukazało wypukłości mięśni na jej nogach. Próbowałem nie zwracać uwagi na to, jak bardzo mi się podoba ten widok.

Ale Karrin się zorientowała.

Znieruchomiała, zerknęła na mnie i zauważyła, że na nią patrzę. Obróciła się i zgasła światło w łazience. Kiedy się poruszyła, zobaczyłem jeszcze większy fragment jej nóg. Znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Karrin się nie poruszała.

– Twoje oczy – odezwała się cicho. – Patrzyłeś tak na mnie tylko kilka razy. Tak... intensywnie.

– Wybacz – odpowiedziałem chrapliwym głosem.

– Nie przepraszaj. – Rozległ się cichy szelest materiału. Poczulem, że przysiadła na krawędzi łóżka. – Myślałam... o tym, o czym rozmawialiśmy w zeszłym roku.

Nagle poczułem suchość w gardle, a moje serce przyśpieszyło.

– Co masz na myśli?

– To. – Jej dłoń dotknęła mojej piersi, a następnie przesunęła się do szczęki. Potem Karrin zmieniła pozycję w ciemności i odnalazła ustami moje usta.

To był dobry pocałunek. Powolny. Ciepły. Jej miękkie, delikatne wargi łagodnie badały moje usta. Słyszałem, jak jej oddech przyśpiesza. Wplotła palce w moje włosy, jej krótkie paznokcie drapały mnie po głowie, a potem zsunęły się po szyi na ramię.

Zalała mnie gwałtowna fala gorącego pożądania, a Zima zbudziła się we mnie z dzikim wyciem, domagając się zaspokojenia. Każda cząstka mojego ciała była świadoma obecności Karrin, dotyku jej ciepłego ciała kryjącego się pod delikatną warstwą tkaniny. Ciała, które mogłem posiąść.

Nie poruszyłem się. Zamiast tego przerwałem pocałunek z cichym jękiem.

– Karrin.

– Wiem – odrzekła, ciężko dysząc. Nie odsunęła się i czułem jej gorący oddech na swojej skórze. – Twój układ z Mab. On tobą włada. Wiem.

Chwyciła moją dłoń i pokierowała ją na swoje biodro. Po chwili przesunęła ją niżej, pod krawędź koszulki, a następnie w górę. Poczułem miękką skórę i napięty mięsień uda, a potem krągłość biodra, gdy powiodła moją dłoń na swoją talię. Była naga pod koszulką.

Zamarłem. W przeciwnym razie zrobiłbym coś gwałtownego i dzikiego.

– No co? – westchnęła.

Coś we mnie, co nie miało nic wspólnego z Zimą, oburzyło się tym, że się zatrzymałem, nakłaniało mnie, żebym zaczął poruszać palcami, usunął z drogi tę koszulkę, dalej badał jej ciało. Odpędziłem te myśli ciosami kija.

Ona była zbyt ważna. W takich sprawach nie mogłem kierować się hormonami.

Niestety moja głowa nie dostarczała myśli do moich ust.

– Nie jesteś... Nie jestem pewien, czy mogę... Karrin, chcę tego, ale...

– W porządku – odrzekła cicho.

– Nie jestem pewien – powtórzyłem.

Pragnąłem jej, ale chciałem, by nie opierało się to tylko na pożądaniu. Tego mogłem mieć pod dostatkiem – pośród sidhe Zimy łatwo o bezmyślny, pusty seks.

Coś takiego może cię wyjałować, jeśli na to pozwolisz. Karrin to odwaga, lojalność, inteligencja i serce – znacznie więcej niż zwykła potrzeba i żądza.

Próbowałem to wyjaśnić. Słowa wylały się ze mnie chaotycznym strumieniem. Nawet nie byłem pewien, czy wypowiadam je we właściwej kolejności.

Po kilku niepewnych chwilach zakryła moje usta dłonią. Kiedy się odezwała, usłyszałem wesołość w jej głosie.

– Miałam cały rok, żeby to przemyśleć, Harry. Nie chcę obudzić się pewnego dnia i uświadomić sobie, że byłam zbyt wystraszona, by wykonać kolejny krok. – Nachyliła się i delikatnie pocałowała jedną z moich powiek. – Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela jak ty. – Pocałowała drugą powiekę. – Wiem też, że od dawna jesteś sam. Podobnie jak ja. A teraz jestem tutaj. Pragnę tego. Ty tego pragniesz. Więc proszę, przymknij się i coś z tym zrób.

Moje palce same się wyprostowały, rozkoszując się ciepłem i gładkością napiętej skóry na jej zaokrąglonym biodrze, a ona zadrżała i cicho westchnęła.

Coś się we mnie zbudziło. Objąłem ją drugą ręką i posadziłem na sobie. Ciało Karrin składało się niemal wyłącznie z mięśni, ale była drobna, a ja miałem teraz więcej siły niż kiedykolwiek w życiu. Wciągnąłem ją na siebie, czując, jak jej piersi napierają na mnie przez bawełnianą koszulkę, i mocniej zacisnąłem dłonie na jej plecach, po czym przesunąłem je w dół, czując miękkość i ciepło, wywołując u niej kolejne westchnienie.

– Nie wiem, czy potrafię kontrolować... – stęknąłem. – Nie chcę cię skrzywdzić.

W odpowiedzi ponownie odnalazła ustami moje wargi, a jej pocałunek był gorący i łapczywy jak ogień. Odwzajemniłem go i nasze języki zatańczyły razem, a Karrin zaczęła spychać pościel z łóżka.

– Sparuję z wikingami, Harry – warknęła. – Nie jestem ze szkła. Potrzebujesz tego. Oboje tego potrzebujemy. Zamknij się, Dresden. – Znów zamknęła mi usta pocałunkiem, a ja przestałem myśleć o czymkolwiek innym.

Pocałunek stał się gorętszy, a jej ręce były bardziej śmiałe. Raz za razem nieprzytomnie wodziłem palcami po jej plecach, od karku, wzdłuż gibkich mięśni obok kręgosłupa, aż do krągłości bioder i ud. Jej usta wędrowały między moją szczęką, uchem i szyją, a dreszcze zmysłowych doznań przeszywały moje ciało, aż w końcu nie mogłem tego dłużej wytrzymać.

Warknąłem i przetoczyłem się, przygważdżając ją do łóżka, a ona westchnęła. Chwyciłem ją za nadgarstki i mocno przycisnąłem je do materaca, a następnie zsunąłem się wzdłuż jej ciała, odnajdując ustami jej kobiecość. Smakowała cudownie, a kiedy penetrowałem ją ustami i językiem, wydawała stłumione westchnienia. Drżenie jej wyginającego się do tyłu ciała i coraz bardziej rozpaczliwe ruchy bioder świadczyły o rosnącym podnieceniu. Obróciła nadgarstki, wykorzystując je jako punkty podparcia, by móc się poruszać, a potem nagle ucichła i wygięła się w drżący łuk.

Po kilku sekundach znów zaczęła dyszeć i dygotać, a ja zobaczyłem w bladym świetle latarni jej poczerwieniałą od pożądania twarz i zamknięte oczy. Stwardniałem tak bardzo, że aż czułem ból. Przesunąłem się w górę jej ciała, tym razem przygważdżając jej nadgarstki do łóżka nad jej głową.

– Tak – syknęła. – Teraz. Proszę.

Mój Boże, czasami najbardziej seksowną rzeczą, jaką może zrobić kobieta, jest udzielenie mężczyźnie pozwolenia.

Nie powstrzymywałem się.

Była śliska i rozgrzana, a ja z trudem powstrzymywałem się przed tym, by po prostu ją pojąć. Jakaś częśćka mnie zdołała zwolnić bieg spraw i zacząłem na nią napierać, aż uniosła nogi, wbiła pięty w moje biodra i mocno wciągnęła mnie do swojego wnętrza.

Potem już nawet nie próbowałem nad sobą panować.

Uwolniła nadgarstki z mojego uścisku i zarzuciła mi ręce na szyję. Gwałtownie pociągnęła mnie w dół, ale różnica wzrostu utrudniała nam pocałunek, a nie zamierzałem się od niej odsuwać. W końcu jakoś sobie poradziłem. Całowaliśmy się łapczywie, nasze oddechy mieszały się, a ciała poruszały się w jednym rytmie. Wiła się pode mną i przewracała oczami, poddając się rosnącemu pożądaniu, aż w końcu ponownie wygięła się w łuk i zadrzała, wydając ciche westchnienie. Nie przerywałem ani na chwilę, a ona reagowała coraz bardziej gorączkowo, odpowiadając ruchami bioder na każde moje pchnięcie.

– Teraz – westchnęła. – Nie powstrzymuj się. Nie powstrzymuj się.

I tak już nie mogłem i nie chciałem tego zrobić. Podparłem się rękami na łóżku, żeby jej nie przygniatać, i mogłem myśleć tylko o tym, jak jest mi wspaniale, o coraz silniej wzbierającej rozkoszy.

– Tak – syknęła Karrin. – Dalej.

Z drżeniem dotarłem na skraj...

...i wtedy poczułem, że coś zimnego i twardego przyciska się do mojej skroni.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Karrin przykładła mi do głowy pistolet. Nagle druga para oczu, lśniąca piekielnym fiołkowym światłem, otworzyła się ponad jej brwiami, a na czole pojawił się płonący symbol tej samej barwy o kształcie nieco przypominającym klepsydrę.

Jej głos się zmienił, stał się niższy, bardziej dźwięczny i zmysłowy.

– Nie ma nic gorszego od furii wzgardzonej kobiety – zamruczała.

A potem nacisnęła spust.

Usiadłem na łóżku Karrin, tłumiąc urywany krzyk.

Kilkakrotnie zamrugałem, próbując uporządkować myśli, przeganiając resztki snu. Srebrny kolczyk w moim uchu był jak kawałek zmrożonego ołowiu, ciężki i lodowaty. Oddychałem z trudem i byłem pokryty cienką warstwą potu, a niektóre ze skaleczeń nieprzyjemnie piekły. Bolało mnie całe ciało, a jeszcze gorsza była frustracja wynikająca z niezaspokojonej seksualnej żądzy.

Z jękiem opadłem na posłanie.

– Daj spokój – westchnąłem. – Nawet we śnie? Co za cholerny absurd!

Po chwili rozbłysło światło na korytarzu i otworzyły się drzwi sypialni.

Karrin stanęła na progu, ubrana w T-shirt wydziału policji w Chicago i luźne szorty, ze swoim pistoletem SIG w opuszczonej dłoni.

– Harry? – odezwała się. – Czy wszystko...? – Urwała, przyjrzała mi się i uniosła złotą brew.

Chwyciłem poduszkę, szybko położyłem ją na kołdrze na wysokości swoich bioder i westchnąłem.

Patrzyła na mnie przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Zachowaj energię na walkę, olbrzymie – powiedziała. Zaczęła się odwracać, lecz nagle znieruchomiała. – Ale kiedy już wypłaczemy się z tego zamieszania...

Uśmiechnęła się i znów zerknęła na poduszkę. Miała niesamowity uśmiech, zarazem wesoły i niegrzeczny.

– Wtedy musimy porozmawiać.

Wściekle się zaczerwieniłem.

Ponownie posłała mi uśmiech.

– Do zobaczenia rano.

Zamknęła oczy i zostawiła mnie samego w łóżku.

Kiedy przypomniałem sobie jej uśmiech, nie byłem rozczarowany.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Karrin, Valmont i ja pojawiliśmy się w rzeźni o świcie. Kiedy wspinałem się po schodkach na kładkę, Jordan i jeden z pozostałych giermków zaczęli pośpiesznie oddalać się od siebie, z minami nastolatków, których przyłapano na czymś, czego nie powinni robić. Jordan wpychał do kieszeni mały notes.

– Cześć, Jordanie – odezwałem się pogodnie. – Co robisz?

Storpedował mnie wzrokiem.

Podszedłem i uśmiechnąłem się do niego z góry.

– Proszę, pokaż mi ten notatnik.

Jordan dalej wbijał we mnie wzrok. Zerknął na drugiego z giermków, który teraz stał w odległości kilkunastu metrów na skrzyżowaniu dwóch kładek, gdzie najwyraźniej powinien pełnić wartę. Giermek rozsądnie go zignorował.

Wyciągnąłem dłoń.

– Zrób mi tę przyjemność. Będę tutaj stał, dopóki nie zdecydujesz się współpracować albo dopóki Nicodemus nie zacznie cię szukać.

Usta Jordana wykrzywił nieprzyjemny grymas. W końcu wyjął notatnik z kieszeni i z traskiem położył mi go na dłoni.

– Dzięki – powiedziałem, otwierając notes na stronie, na której ostatnio pisano.

To już 10 kóz.

Odpowiedź zapisano kanciastym, ciężkim charakterem pisma – zapewne zrobił to drugi z giermków.

CO Z TEGO?

To, że jedna zaginęła wczoraj wieczorem, a kolejna w ciągu ostatniej godziny. Gdzie się podziały?

MÓWIŁEŚ O TYM LORDOWI?

Oczywiście.

CO POWIEDZIAŁ?

Nic.

A WIĘC TYLE POWINIENEŚ O TYM WIEDZIEĆ.

Coś tutaj z nami jest. Coś groźnego. Nie czujesz?

MORDA W KUBEŁ I SKUP SIĘ NA SWOJEJ ROBOCIE.

Ale co, jeśli...

Tutaj zapiski nagle się urywały.

Kiedy skończyłem czytać, oddałem notatnik Jordanowi.

– To niezbyt dobrze zwiastuje, kiedy twój szef nie chce słuchać żadnych pytań, chłopcze.

Karrin znacząco chrząknęła.

– Och, ja czekam na pytania – odparłem przeciągle. – Po prostu nie od razu na nie odpowiadam. – Oddałem notatnik Jordanowi. – Właśnie po to Nick trzyma tutaj kozy, prawda? Coś karmi.

Jordan pobladł, ale nic nie odpowiedział.

– Twój szef, chłopcze, skrzywdził wielu dobrych ludzi – dodałem. – Niektórych z nich zabił.

Przez chwilę wspominałem Shiro. Stary Rycerz oddał za mnie życie, a Nicodemus zabił go w paskudny sposób.

Wciąż mi za to nie zapłacił.

Jordan musiał wyczytać te emocje z mojej twarzy, ponieważ cofnął się o krok, przełknął ślinę, a jedna z jego dłoni przesunęła się w stronę paska śrutówki.

– Gdybyś był sprytny, uciekłbyś z tego miejsca – powiedziałem. – Gdy tylko Nicodemus uzna, że to dla niego wygodne, spisze cię na straty. Nie wiem, co wam obiecał – może własną monetę. Własnego anioła w butelce. Byłem na waszym miejscu i zapewniam, że nie warto.

Jordan wyglądał nie tylko na zmartwionego, ale także sceptycznie nastawionego.

Zapewne niewielu ludzi potrafi zrezygnować z Poczerniałego Denara, gdy już go zdobędą.

– Możesz mi wierzyć – ciągnąłem. – Cokolwiek wam powiedział, Upadli to paskudna sprawa. – Skinąłem głową i minąłem go. Karrin i Valmont przyśpieszyły kroku, żeby mnie dogonić, gdy schodziłem do hali fabrycznej.

– Jaki to miało sens? – spytała Karrin.

– Zasiałem ziarna buntu – wyjaśniłem.

– To fanatycy – odparła. – Naprawdę uważasz, że zdołasz ich do czegokolwiek przekonać?

– Jest fanatykiem, ale jednocześnie dzieciakiem – stwierdziłem. – Ile ma lat, dwadzieścia trzy? Ktoś powinien wyznać mu prawdę.

– Nawet jeśli wiesz, że cię nie posłucha?

– To już nie zależy ode mnie – odrzekłem. – Ale mam wybór co do tego, czy powiem mu prawdę. Dlatego to zrobiłem. Reszta w jego rękach.

Westchnęła.

- Jeśli dostanie rozkaz, zastrzeli cię bez mrugnięcia okiem.
- Możliwe.
- W zagrodzie jest dzisiaj tylko dziesięć kóz – zauważyła.
- Właśnie. Strażnicy sądzą, że coś tutaj je porywa.
- Sądzą? Ale nie widzieli, co to jest?
- Najwyraźniej nie.

Karrin rozejrzała się po magazynie. W pobliżu zagrody z kozami stało co najmniej ośmiu albo dziesięciu groźnie wyglądających uzbrojonych mężczyzn.

- Trochę mnie to niepokoi.
- Co ty nie powiesz – odrzekłem. – Nie ma tutaj zbyt wielu kryjówek. Dam ci znać, jeśli coś zauważę.
- Myślisz, że to coś było tu z nami wczoraj?
- Pewnie tak.

Mruknęła coś pod nosem.

- Wcale nie przyprawia mnie to o dreszcze. Nie możesz użyć Wejrzenia?
- Mógłbym to zrobić. – Wejrzenie, bezpośrednio postrzeganie magii za pomocą umysłu, pozwala przejrzeć każdą iluzję, urok czy zasłonę. Niestety ma też swoje wady. – Ale kiedy ostatnio to zrobiłem, zobaczyłem coś, co sprawiło, że zwinąłem się w kłębek i przez dwie godziny bełkotałem bez sensu. Nie możemy sobie teraz na to pozwolić. Będę musiał zastosować bardziej subtelne podejście.

- Subtelne – odezwała się Valmont. – Ty.

Pociągnąłem nosem i zignorowałem tę uwagę, gdyż na nic innego nie zasługiwała.

- Ach – westchnął Nicodemus, kiedy weszliśmy w krąg światła wokół stołu. – Pan Dresden. Cieszę się, że dotarliście punktualnie. Pączka?

Zerknąłem na stół z przekąskami. Rzeczywiście, piętrzyły się na nim pączki rozmaitych rodzajów. Niektóre nawet z posypką. Ślina wartkim strumieniem napłynęła mi do ust.

Ale to były pączki ciemności. Złe, przeklęte pączki, które skaziło nasienie mroku...

...i które oczywiście mogło odkupić wyłącznie przejście przez ogniste, oczyszczające piekło układu trawiennego maga.

Okrążyłem stół i podszedłem do tacy z pączkami, obserwując wszystkich zgromadzonych.

Nicodemus i Deirdre wyglądali tak samo jak poprzedniego dnia. Binder i Ascher siedzieli nieco dalej i cicho ze sobą rozmawiali. Binder, ubrany w czarny stonowany garnitur, jadł jakieś ciasto, którego nie rozpoznawałem.

Przed Ascher stał talerz pokryty resztkami pączków, które nawet w tej chwili starała się ocalić przed ogniem piekielnym. Przebrała się w jeansy i sweter i związała włosy. Kiedy mówiła, pojedyncze luźne kosmyki lekko podskakiwały. Skinęła mi głową, a ja odwzajemniłem gest.

Nieco z boku siedział pospolicie wyglądający mężczyzna, którego nie widziałem poprzedniego dnia. Dobiegał czterdziestki, był średniego wzrostu i sprawiał wrażenie dobrze zbudowanego, jakby pod jego jeansami i luźną markową kurtką sportową kryło się więcej mięśni, niż można by przypuszczać na pierwszy rzut oka. Miał twarz o wyraźnie zarysowanych rysach, przyjemną, ale niespecjalnie przystojną. Dzięki delikatnie ciemnej karnacji oraz typowej fizjonomii mógł uchodzić za mieszkańca dowolnego kraju na zachodniej półkuli, jak również kilku innych zakątków świata. W ciemnych włosach miał kilka pasemek siwizny.

Jedno w nim nie było przeciętne – jego oczy. Miały złocistobrunatny kolor z plamkami brązu, ale nie to było najdziwniejsze. Charakteryzował je blask, niemal jak gra światła, półmetaliczny refleks, który pojawiał się na sekundę, a następnie znikał. To nie były oczy człowieka. Pod każdym względem wyglądały ludzko, ale było w nich coś dziwnego.

Niepokoilo mnie w nim coś jeszcze...

Wyglądał na całkowicie odprężonego.

Nikt w tym cholernym budynku nie był zrelaksowany. To było niepokojące miejsce naznaczone mroczną energią. Pełne niebezpiecznych istot. Wiem, że ja sprawiałem wrażenie spiętego. Karrin schowała się za obojętnym obliczem, ale widziałem, że w każdej chwili może się uciec do przemocy. Binder wyglądał, jakby próbował obserwować wszystkich jednocześnie, by ocenić, kiedy należy się wycofać, a Ascher wypatrywała celów. Nicodemus i jego córka siedzieli z wystudiowaną obojętnością na twarzach, udając pewność siebie i spokój, ale byli paranoikami z natury. Kiedy na nich patrzyłem, wiedziałem, że są gotowi w każdej chwili rzucić się do walki. Nawet Valmont sprawiała wrażenie, jakby mogła natychmiast skoczyć w dowolnym kierunku, jak szczur, który puszcza się biegiem przez odsłonięty teren, by dopaść czegoś, co chce zjeść.

Każdy z nas za pomocą mowy ciała ostrzegał pozostałych, że jesteśmy potencjalnie agresywni, a przynajmniej czujni.

Ale nie ten nowy gość.

Siedział swobodnie na krześle, z półprzymkniętymi oczami, jakby walczył z sennością. Przed nim stał do połowy opróżniony styropianowy kubek z kawą. Z nudy nakreślił na nim kciukiem kilka linii i rozegrał sam ze sobą kilka partii w kółko i krzyżyk. Nie było w nim nawet cienia agresji ani czujności, nieufności ani ostrożności.

Właśnie dlatego włosy na karku stanęły mi dęba.

Ten facet był albo głupi, albo szalony. A do tego tak niebezpieczny, że nic sobie nie robił z obecności pozostałych osób – a Nicodemus nie miał w zwyczaju werbować głupców ani szaleńców.

Poczęstowałem się pączkiem i kawą. Popatrzyłem pytająco na Karrin i Valmont, ale żadna z nich nie miała ochoty ocalić pączków przed złowrogim wpływem Nicodemusa. Nie każdy może być wojownikiem jak ja.

– Ucieszyła mnie wiadomość, że wczorajsza akcja zakończyła się powodzeniem – odezwał się Nicodemus. – Witamy w naszej drużynie, panno Valmont.

– Dziękuję – odrzekła Valmont, starając się zabrzmieć neutralnie. – Nie jestem w stanie wyrazić, jak jestem zadowolona.

Na ustach Nicodemusa pojawił się uśmiech wąski jak ostrze noża.

– Czyżby?

Odwzajemniła pozbawiony wyrazu uśmiech. Potem usiadła obok mnie, wysyłając tym samym wyraźny sygnał do zgromadzonych. Karrin tak jak poprzednio stanęła za moimi plecami.

– Rozumiem, że macie akta? – spytał Nicodemus.

Sięgnąłem za pazuchę i na chwilę znieruchomiałem, po czym zacząłem wyciągać teczkę, odrobinę zbyt pośpiesznie.

Wszyscy podskoczyli na swoich miejscach albo wykonali zbliżony gest. Binder drgnął. Nicodemus lekko zacisnął palce na blacie. Włosy Deirdre poruszyły się, jakby zamierzały ożyć i stwardnieć. Ascher lekko poruszyła ramieniem, jakby powstrzymała się przed uniesieniem ręki w obronnym geście.

Nieznajomy wciąż wyglądał na leniwego i pewnego siebie. Być może lekko się uśmiechnął.

Położyłem teczkę na blacie i wskazałem głową nowego.

– Kto to jest? – spytałem.

Nicodemus przyglądał mi się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Przedstawiam wszystkim Goodmana Greya. Pan Grey łaskawie zgodził się pomóc nam w naszym przedsięwzięciu. Już opowiedziałem mu o każdym z was.

Grey uniósł głowę i powiódł wzrokiem wzdłuż stołu.

Zatrzymał spojrzenie na Karrin.

– Nie o każdym – rzekł. Mówił dźwięcznym barytonem z bardzo delikatnym akcentem, który mógł pochodzić z głębokiego Południa. – Mam wrażenie, że nie wspomniłeś o tej kobiecie, Nicodemusie.

– To Karrin Murphy – odrzekł Nicodemus. – Była funkcjonariuszka wydziału policji w Chicago.

Grey przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

– Nagranie z loup-garou. Byłaś na nim razem z Dresdenem.

– Nastawiłeś wehikuł czasu na daleką przeszłość – zauważyłem. – Tamto nagranie zaginęło.

– Tak – rzekł Grey niezbyt sympatycznym tonem. – Ale nie mówiłem do ciebie, magu, prawda?

Wszyscy zgromadzeni zwrócili uwagę na jego ripostę. Znieruchomieli i w ciszy czekali, co się wydarzy.

Przebywając w towarzystwie takich ludzi jak Mab, uczysz się, że nie należy okazywać słabości drapieżnikom. Zwłaszcza tak pewnym siebie.

– Jeszcze nie – odparłem. – Mam pytanie: jak gruba według ciebie jest ściana za twoimi plecami? Czy kiedy za kilka sekund przez nią przelecisz, zburzysz ją w całości, czy tylko wybijesz dziurę wielkości twojej głowy i ramion?

Grey zamrugał, a następnie posłał mi szeroki uśmiech.

– Serio? Już rwiesz się do bitki? Jesteś tutaj od dwóch minut.

Odgryzłem kęs pączka, przełknąłem (był boski) i odparłem:

– Nie jesteś najgroźniejszym, co widziałem. Daleko ci do tego.

– Och – odrzekł Grey. – Co ty nie powiesz.

Chociaż nawet nie drgnął, powietrze nagle zgęstniało.

Karrin przerwała pełną napięcia ciszę, kładąc mi na ramieniu drobną dłoń.

– To ja byłem na tym nagraniu – powiedziała.

Grey przeniósł na nią wzrok.

– Strzeliłaś tuż obok ucha tego idioty, żeby załatwić gościa, który stał za nim. To wymaga nie lada determinacji. Brawo.

– Od tamtego czasu nauczyłam się lepiej strzelać – odparła.

Grey uniósł brew.

– Cholera, oboje mi grozicie? – Zwrócił wzrok na Valmont. – A ty, siostrze? Chcesz się przyłączyć?

Valmont nie popatrzyła mu w oczy.

– Nie znam cię – odrzekła.

Grey parsknął. Przez chwilę mi się przyglądał.

– Nicodemusie?

– Słucham?

– Potrzebujesz tego maga w dalszej części planu?

– Obawiam się, że tak.

– A Murphy?

– Raczej nie.

Grey wypuścił powietrze nosem, a jego oczy rozbłysły.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – Odłożymy to na później, Dresden?

– Jasne – odpowiedziałem. – Nicodemusie?

Tym razem Nick odezwał się ostrożniejszym głosem.

– Tak?

– Co potrafi ten palant?

– Jestem jedyną osobą na świecie, która może się dostać tam, dokąd chcecie wejść – wyjaśnił Grey flegmatycznym tonem.

– Czyżby? – spytałem. – Dlaczego? Czym się zajmujesz?

Grey się uśmiechnął.

– Wszystkim. W tym tygodniu otwieram drzwi.

– Już otworzyłeś jedno z napisem „solidne lanie” – zapewniłem go. – W końcu do nich dotrzemy.

Grey patrzył na mnie beznamiętnie. W końcu leniwie wstał i usiadł na krześle obok Deirdre i Nicodemusa, co było kolejnym czytelnym sygnałem. Wypił łyk kawy i popatrzył na Karrin tak, jak puma może patrzeć na małą kozicę stawiającą swoje pierwsze kroki: ze spokojnym, cierpliwym zainteresowaniem.

– Dziękuję, panowie, że postanowiliście na razie zapomnieć o tej różnicy zdań – rzekł Nicodemus grzecznie. Wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko zmianie miejsca przez Greya ani jego zainteresowaniu Karrin. – Dresden, czy mogę zakładać, że jesteś gotowy do pracy?

– Niczego nie zakładaj, bo wyjdiesz na głupka – odparłem i odgryzłem kolejny kęs pączka. – Tak, niech ci będzie.

– Poproszę o akta.

Stęknąłem i pchnąłem teczkę w jego stronę. Nicodemus od razu przekazał ją Greyowi.

Grey otworzył teczkę i zaczął czytać. Jego wzrok przeskakiwał między kolejnymi stronami, jakby był w stanie zapoznać się z ich zawartością jednym spojrzeniem. Skończył po sześciu albo siedmiu sekundach.

– No i co? – spytał Nicodemus.

– To wystarczy do łatwiejszej części zadania – odrzekł Grey. – Ale żeby załatwić sprawę porządnie, będę potrzebował próbki. Świeżej.

– Dodamy ją do dzisiejszej listy – zapewnił Nicodemus. Skinął głową do Deirdre, która wstała i okrążyła stół, rozdając cienkie brązowe koperty oznaczone napisem DZIEŃ DRUGI. Wszyscy je dostaliśmy. Otworzyłem swoją i przeczytałem napis na stronie tytułowej:

PRZYGOTOWANIA DO FAZY PIERWSZEJ:

BRONŃ

ZAKŁĘCIA

WEJŚCIE.

– Dzisiaj czeka nas sporo pracy – oznajmił Nicodemus. – Binder, już zamówiłem broń dla twoich ludzi, ale będziemy musieli jeszcze zająć się obsługą i ładowaniem. Może panna Murphy zechce wam w tym pomóc?

– Jasne – odpowiedziała. – Czemu nie.

Nicodemus się uśmiechnął.

– Panna Valmont w swojej teczce znajdzie schemat drzwi skarbcza. Będzie musiała je otworzyć, nie uszkodzając ich przy tym. Dzisiaj zaplanujecie, w jaki sposób dotrzecie na miejsce, i sporządzicie listę niezbędnego sprzętu. Przekażcie ją któremuś z giermków.

Valmont przewróciła strony i ze zmarszczonym czołem przyjrzała się schematowi.

– To Fernucci – powiedziała.

– Tak.

– Nie mówię, że to niemożliwe, ale jeszcze nigdy nie udało mi się otworzyć takich drzwi i nie znam nikogo, kto by tego dokonał – stwierdziła. – Łatwiej je wysadzić.

– Ale tego nie zrobimy – spokojnie odrzekł Nicodemus. – Życie jest pełne wyzwań. Liczę, że staniesz na wysokości zadania.

– Świetnie. – Pokręciła głową. – Zamierzamy okraść Vegas czy co? Kto w tym mieście ma taki skarbiec?

– Porozmawiamy o tym podczas wieczornego zebrania – odrzekł Nicodemus.

– Panno Ascher, panie Dresden. Faza pierwsza wymaga wejścia na teren strzeżonego budynku. Być może będziemy musieli przedostać się przez ścianę, schludnie i bez wybuchów, a z całą pewnością przyda nam się jakiś hałaśliwy i widowiskowy sposób na odwrócenie odwagi lokalnych sił porządkowych. To zadanie dla was dwojga.

Stęknąłem i popatrzyłem na Ascher.

– Wolisz zająć się ścianą czy hałasem?

– Powiedział, że ma być hałaśliwie i widowiskowo – odpowiedziała Ascher swobodnym tonem. – To specjalność Dresdena.

– Poza tym nie chcemy, żeby budynek zawalił się nam na głowę – mruknęła Karrin.

Pociągnąłem nosem.

– W porządku. Zatem narobię hałasu.

– Uwolnić wystarczającą dawkę energii, by otworzyć przejście, ale nie spowodować wybuchu? To niełatwe – oceniła Ascher. – Mogę użyć w tym celu pewnego zaklęcia, które znam, ale będę musiała poćwiczyć.

– Ma pani czas do zmroku – rzekł Nicodemus. – Deirdre, zaprowadzisz pana Greya do fabryki i pomożesz mu w zdobyciu próbki.

– Nie – zaprotestowałem. – Niech oni zostaną. Ja przyniosę próbkę.

Nicodemus gwałtownie podniósł na mnie wzrok.

Wyszczrzyłem zęby.

– Grey jest zmiennokształtnym, prawda? – spytałem. – Użyjesz go do skopiowania tego biedaka Harveya.

– A jeśli nawet? – spytał Nicodemus lodowatym tonem. Nie spodobało mu się, że przejrzałem kolejny etap jego planu.

– Harvey mieszka w moim mieście – odparłem. – Jeśli wypuścisz tę dwójkę psycholi na ulice Chicago, skończy w kostnicy. Dlatego ja się tym zajmę. Zdobęde próbkę, której potrzebuje twój sobowtór, ale nikogo przy tym nie zabiję.

– Co za nuda – odezwał się Grey.

– Być może, ale dzięki temu zachowasz życie – odrzekłem. – Poza tym, nie sądzisz, że gdyby ktoś znalazł jego ciało, zanim ruszymy do akcji, zdołałby się domyślić, że szykuje się włamanie? Lepiej podejść do tego sprytnie.

Grey westchnął i popatrzył na Nicodemusa.

– Daję słowo, skąd ty bierzesz tych ludzi?

Nicodemus ani na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku.

– Zgoda – rzekł w końcu. – Finezyjne rozwiązanie wydaje się mądrzejsze. – Jego ciemne oczy złowrogo rozblęły. – We trójkę nie powinniście mieć problemu z wykonaniem tego zdania.

– Co takiego? – spytałem.

– Grey, Deirdre i Dresden zajmą się tym punktem planu, podczas gdy pozostali będą działali tutaj. – Na chwilę zamilkł. – Chyba że pan Dresden zamierza wycofać swoje wsparcie.

Zazgrzytałem zębami. Miałem ochotę zdzielić go pięścią w nos, ale to nie postawiłoby Mab w najlepszym świetle.

– Nie zamierzam – powiedziałem.

– Biorę Deirdre i pana Greya na świadków.

Przeniosłem wzrok na Deirdre, która obserwowała mnie z szerokim, paskudnym uśmiechem i wytrzeszczonymi oczami. Jej włosy zaczęły ślizgać się tam i z powrotem po ramionach żakietu.

Grey tylko patrzył na mnie ze spokojnym uśmiechem. Wykonał lekki ruch ręką, udając, że wbija w coś szpilkę. A może ją wyciąga.

– Świetnie – mruknąłem. – Wycieczka.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Harvey miał biuro przy Logan Square, na drugim piętrze kamienicy, którą dzielił z bankiem Chase. Przejechałem obok budynku, a potem dwukrotnie okrążyłem plac czarną limuzyną Nicodemusa, wykorzystując ten czas do namysłu. Był słoneczny poranek, który zapowiadał łagodny wiosenny dzień.

– Dosłownie kręcisz się w kółko – zauważył Grey, który siedział na fotelu pasażera.

– Harvey dzieli budynek z bankiem – wyjaśniłem.

Grey westchnął z niezadowoleniem.

– Co to za różnica? – rzuciła Deirdre z tylnego siedzenia.

– Mają na miejscu co najmniej jednego uzbrojonego strażnika, a zapewne więcej – odrzekł Grey. – Poza tym każdy może błyskawicznie uruchomić alarm i wezwać lokalną policję.

– W takim razie szybko go schwytemy i uciekniemy – zaproponowała Deirdre.

– Porwanie w biały dzień – odrzekłem. – Na oczach przechodniów, klientów banku oraz... – Kiedy to mówiłem, po drugiej stronie ronda na placu pojawił się biały sedan z niebiesko-białymi zderzakami i błękitnym poziomym paskiem na karoserii. – Policji z Chicago, która regularnie patroluje te okolice.

Grey westchnął.

– On ma rację. Musimy być cierpliwi.

– Nie mogę bez końca okrążyć placu – zauważyłem, obracając kierownicą. – Skręcimy w najbliższą ulicę i spróbujemy znaleźć miejsce do parkowania, z którego będziemy widzieli budynek.

Zobaczyłem we wstecznym lusterku, że Deirdre się skrzywiła.

– Najprościej byłoby wejść, dyskretnie go zabić i zabrać to, czego potrzebujemy. Nikt o niczym się nie dowie, dopóki nie odkryją ciała.

– Słusznie – zgodził się Grey.

– Owszem, to najprostsze rozwiązanie – zgodziłem się. – Co prawda nie wiemy, jaki ma dzisiaj grafik, kto przyjdzie do jego biura, dokąd on sam ma się

wybrać ani kto może podnieść alarm, jeśli zniknie, ale dlaczego takie niewygodne drobiazgi jak fakty miałyby wam stać na drodze?

Deirdre popatrzyła na mnie spode łba. Jej włosy kilka razy gwałtownie poruszyły się do przodu i do tyłu, jak ogon pobudzonego kota. Zignorowałem ją i powoli wjechałem na ulicę naprzeciwko banku. Było jeszcze wcześniej, więc zdołałem znaleźć miejsce parkingowe z widokiem na drzwi biura Harveya i nieudolnie się na nie wcisnąłem.

– Tam stoi jego samochód – zauważył Grey w tej samej chwili co ja. – Facet wcześniej zaczyna pracę.

– Może ją kocha.

– Co za nuda – syknął Grey. Rozparł się na siedzeniu z półprzymkniętymi oczami.

– A więc? – odezwała się Deirdre. – Co robimy?

– Czekamy na rozwój wydarzeń – odrzekł Grey.

– Harvey w końcu wyjdzie, chociażby po to, żeby zjeść lunch – powiedziałem. – Podążymy za nim, aż znajdzie się w miejscu, w którym nie ma alarmów ani tłumu gliniarzy.

Deirdre się to nie spodobało.

– Nie mamy całego dnia.

– Tatuś powinien o tym pomyśleć, zanim postanowił działać, nie zdradzając nikomu swoich planów – odparłem. – Mogliśmy zacząć wiele dni temu.

– Cierpliwości, panno Archleone – poradził Grey, ledwie poruszając ustami. Wyglądał na kogoś, kto nie ma nic przeciwko długiemu oczekiwaniu. Widocznie już wcześniej stał na czatach. – Mamy trochę czasu, a poza tym zawsze możemy zadziałać bardziej bezpośrednio, jeśli zmienimy zdanie.

Zaczęliśmy czekać.

– Dlaczego? – nagle spytał mnie Grey po dwóch godzinach spędzonych w ciszy.

– Dlaczego co? – odparłem. Musiałem skorzystać z toalety, ale nie chciałem się oddalać, obawiając się, że towarzysząca mi dwójka wykorzysta okazję i zabije Harveya.

– Ten człowiek nic dla ciebie nie znaczy – rzekł Grey. – Dlaczego to takie ważne, czy przeżyje?

– Ponieważ zabijanie ludzi jest złe – odparłem.

Grey lekko się uśmiechnął.

- Mówię poważnie – rzekł.
- Ja też.
- Skąd u ciebie taka irracjonalna zasada moralna, Dresden? – zapytał. – Słyszałem o twojej reputacji. Nie masz problemów z zabijaniem.
- Tylko jeśli to konieczne – odpowiedziałem. – Jeżeli nie muszę zabijać, to tego nie robię. Poza tym tak jest mądrzej.
- Grey otworzył oczy i obrócił głowę w moim kierunku.
- Mądrzej?
- Jeśli zabijesz człowieka, zawsze znajdzie się ktoś, kogo to zabolii – wyjaśniłem. – Może nawet wiele takich osób. Usuniesz jednego wroga, ale zyskasz trzech.
- Naprawdę uważasz, że jest ktoś, kto będzie gotowy pomścić Harveya, jeśli odbierzemy mu życie? – spytał Grey.
- W końcu dla kogoś pracuje – zauważyłem. – Do tego dochodzą policja i FBI. Jeśli go ukatrupimy, możemy ostrzec nasz cel i zwrócić uwagę ludzi, którzy są w stanie pokrzyżować nam plany.
- Ich też zabijemy – wtrąciła ponuro Deirdre.
- Myślałem, że nam się śpieszy – odburknąłem zjadliwie, po czym znów zwróciłem się do Greya. – Sęk w tym, że zabicie kogoś na dłuższą metę niemal nigdy nie jest mądre. Czasami to konieczne, żeby przetrwać, ale im częściej to robimy, tym liczniejsze stają się szeregi naszych wrogów i w tym większe kłopoty się pakujemy.
- Grey przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym wzruszył ramionami.
- Jest w tym odrobina sensu. Powiedz mi, magu, czy ochrona tego człowieka zapewnia ci pewnego rodzaju satysfakcję?
- Tak.
- Uniósł brwi.
- Interesujące...
- Doskonale, teraz już chcesz zatrzymać go przy życiu – dodałem. Możliwe, że zabrzmiałem odrobinę sarkastycznie. – Łatwo poszło.
- Grey znów rozparł się na siedzeniu, a jego spojrzenie straciło ostrość.
- Dla mnie to bez różnicy. Nie przeszkadza mi zabijanie z powodów zawodowych i nie muszę tego robić, kiedy to przejaw głupoty.
- Mówiłeś, że sprawia ci to radość.
- Grey obnażył zęby w uśmiechu.
- Zawsze. Ale tylko dlatego, że coś jest przyjemne, nie oznacza, że jest właściwe.
- Popatrzcie – odezwała się z naciskiem Deirdre.

Tak też zrobiłem. Do budynku Harveya zbliżały się trzy osoby ubrane w płaszcze. Minęły frontowe wejście i ruszyły w stronę schodów na tyłach. Byli to dwaj mężczyźni, dosyć masywni, oraz drobna kobieta.

Cała trójka poruszała się ze skupieniem i determinacją typowymi dla drapieżników.

– Kłusownicy – zauważył Grey. W jego głosie dało się usłyszeć gardłowe warczenie.

Uważniej przyjrzałem się kobiecie, a następnie obejrzałem się przez ramię na Deirdre.

– Czy to...?

Szeroko otworzyła oczy i krótko skinęła głową.

– Moja matka.

Fantastycznie.

Polonius Lartessa była kolejnym z Rycerzy Poczerniałego Denara, nosicielką Imariela, a także żoną Nicodemusa, z którym pozostawała w separacji, i czarownicą, której obecność zawsze zwiastowała kłopoty.

– Co ona tutaj robi? – spytałem ostro.

Deirdre intensywnie wpatrywała się w kobietę.

– Nie jestem pewna. Powinna być w Iranie. Nie miała wiedzieć, że... – Deirdre gwałtownie urwała.

A więc to tak. Żona wtrącała się w sprawy Nicodemusa – zakładając, że Deirdre mówi prawdę, co nie było pewne.

– Nie możemy pozwolić, żeby odebrała nam czynnik – spokojnie rzekł Grey. Rozpiął pas i wysiadł z samochodu. – Chodźcie.

Deirdre przygryzła wargę, ale ruszyła za Greyem, a ja do nich dołączyłem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Grey – odezwałem się, próbując za nim nadążyć.

– Tak?

– Dlaczego rozpoczęcie walki z Tessą jest lepsze od zaatakowania Harveya?

– Nie jest – odrzekł. – Ale w przeciwnym razie możemy go stracić. To niedopuszczalne.

– Więc go nie stracimy – powiedziałem – Jak dobrze naśladujesz Nicodemusa?

Grey zmrużył metaliczne oczy.

– Co masz na myśli?

– Podejdźcie do nich i odwróćcie ich uwagę – wyjaśniłem. – Jedna wielka szczęśliwa rodzinka. Ja wejść frontowymi drzwiami i wyprowadzę Harveya. Po cichu.

Grey przez chwilę to rozważał, aż wreszcie skinął głową.

– Wątpię, żeby udało mi się oszukiwać jego żonę przez dłużej niż kilka chwil. Ale w końcu tyle ci wystarczy.

Deirdre się skrzywiła.

– Po prostu jak najmocniej zaciśnij usta i nic nie mów. On się tak zachowuje, kiedy jest wściekły. Ja będę mówiła.

Grey szeroko się uśmiechnął. Następnie mrugnął do mnie i po prostu się roztopił.

W jednej chwili pospolity mężczyzna w jeansach i sportowej kurtce przemienił się w Nicodemusa, ubranego w czarny garnitur. Zmiana dotyczyła nie tylko wyglądu, ale także postury, chodu, sposobu trzymania głowy czy chytrego, ostrożnego spojrzenia.

– Ależ dziękuję, Deirdre – odezwał się, idealnie naśladując chrapliwy głos Nicodemusa. – Kochane z ciebie dziecko.

Deirdre przez chwilę wpatrywała się w Greya z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. W końcu odezwała się do mnie.

– Pośpiesz się. Imariel wkrótce zda sobie sprawę, że Anduriel zniknął.

Pokiwałem głową i ruszyłem biegiem. Przeskoczyłem wysokie ogrodzenie z kutego żelaza znajdujące się za budynkiem (parkour!) i popędziłem uliczką niewiele szerszą od moich ramion, która prowadziła pomiędzy bankiem a sąsiednim budynkiem. Bank odgradzał mnie od Tessy i jej oprychów. Byłem jak wiewiórka chowająca się za pniem drzewa. Zatrzymałem się na rogu, by sprawdzić, czy zniknęli mi z oczu, a kiedy się upewniłem, że mam wolną drogę, przebiegłem przed frontową ścianą banku i wspiąłem się po schodach do biura Harveya, przeskakując po trzy stopnie.

Na drzwiach wejściowych widniało proste logo z napisem USŁUGI POWIERNICZE MORRISON. Wszedłem i znalazłem się w gustowniej i spartańsko wyposażonym biurze. Nikt nie siedział za biurkiem w recepcji, a otwarte drzwi prowadziły do gabinetu.

– Chwileczkę! – zawołał mężczyzna z drugiego pomieszczenia. – Zaraz przyjdę.

Nie zamierzałem czekać. Widziałem po rozkładzie biura, że tylne wejście prowadzi prosto do gabinetu Harveya, a Tessa i jej ludzie mogli się pojawić w każdej chwili.

Gabinet był równie elegancki jak hol wejściowy, ale bardziej zagracony sprzętem – komputerami, urządzeniami biurowymi, regałami i szafkami. Sam mężczyzna siedział za biurkiem w koszuli z podwiniętymi rękawami, pochylony nad klawiaturą komputera, na której szybko pisał, jednocześnie śledząc liczby i wykresy przesuwane na ekranie.

Kiedy tylko wszedłem do gabinetu, komputer zaczął dziwnie brzęczeć i w powietrzu uniosła się woń spalonej izolacji. Po chwili ekran zrobił się niebieski i wypełniły go białe litery.

– Co jest? – mruknął oszołomiony Harvey. Uderzył dłonią w bok monitora. – Co jest? To chyba żart... – Zwrócił na mnie wzrok, wyraźnie rozdrażniony, ale zamarł, gdy zobaczył moją minę oraz laskę maga. – Eee, kim pan jest, do diabła?

– Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć – odrzekłem.

– Słucham?

– Nie mamy czasu na wyjaśnienia – odparłem. – To nie twoja wina, ale wpakowałeś się w poważne kłopoty, Harvey. Za chwilę tylnymi drzwiami wejdzie pewna kobieta z dwoma wynajętymi oprychami. Nie przyszli tutaj po to, żeby sprzedać ci prenumeratę czasopisma.

– Co takiego? Jest pan umówiony?

– Kpisz sobie? – warknąłem i podszedłem do jego biurka. – Rusz się i chodź ze mną.

– Chwileczkę, młody człowieku – wyjąkał Harvey. – Nie pozwolę, żeby mi rozkazywano w moim własnym miejscu pracy. Jeżeli pan natychmiast nie

wyjdzie, wezwę władze.

Nie mieliśmy czasu na takie przepychanki. Dlatego okrążyłem biurko, chwyciłem go lewą ręką za ramię i dźwignąłem na nogi.

– Proszę natychmiast mnie puścić! – zawołał.

– Próbuję ci pomóc – powiedziałem, siłą wyciągając go do holu. – Później mi za to podziękujesz...

Frontowe drzwi się otworzyły i do biura weszło dwóch kolejnych oprychów, innych niż ci, którzy towarzyszyli Tessie. Cholera. Nie rozglądałem się uważnie, kiedy wchodziłem. Oczywiście, skoro my pomyśleliśmy o tym, żeby zabezpieczyć oba wejścia, Tessa i jej ludzie z pewnością zrobili to samo.

Mężczyźni nas zobaczyli i natychmiast sięgnęli pod kurtki, gdzie mieli kabury z bronią.

Byłem szybszy. Lewą ręką pchnąłem Harveya za siebie, a prawą uniosłem laskę, jednocześnie przywołując gwałtowne wyładowanie siły woli i wykrzykując „*Forzare!*”.

Runy wyrzeźbione na lasce rozjarzyły się bladym zielono-białym światłem, a fala energii uderzyła w obu mężczyzn. Jeden z nich tak mocno grzmotnął o ścianę, że zrobił w niej wgłębienie, a kolejny zatoczył się, wypadł na zewnątrz i runął ze schodów.

Bandzior, który uderzył o ścianę, okazał się twardy. Odbił się od niej, wyszarpnął z kabury pistolet z tłumikiem, przyklęknął i wycelował w Harveya.

Nie miałem czasu postawić tarczy, zwłaszcza że nie dysponowałem specjalistycznym magicznym narzędziem. Dlatego okręciłem się, zasłaniając Harveya, jak najniżej pochyliłem głowę i przygarbiłem ramiona.

Pistolet zakaszłał, *klak, klak, klak*. Pociski trafiły mnie w plecy, ale powstrzymały je ochronne energie, które za pomocą magii mozolnie wplotłem w skórzany płaszcz. Naliczyłem osiem uderzeń, z których każde przypominało trafienie piłką baseballową podczas meczu dziecięcej ligi – były bolesne, ale nie nadszarpnęły moich sił. Potem pistolet ucichł i usłyszałem metaliczny szczęk wyjmowanego magazynka.

Okręciłem się na pięcie i machnąłem końcem laski w stronę strzelca. Ciężki dębowy drąg trafił go w nadgarstek i wytrącił mu z ręki nowy magazynek. Następnie uderzyłem na odlew i zdzieliłem faceta w szczękę tuż pod uchem, tak że runął na podłogę, upuszczając broń.

Odkopnąłem pistolet na bok i podniosłem Harveya. Osłupiały wpatrywał się w leżącego mężczyznę.

– Ten... ten człowiek właśnie próbował pana zabić.

– Nie – odparłem. – Próbował zabić ciebie. Serio, stary, czego nie zrozumiałeś w „chodź ze mną, jeśli chcesz żyć”?

Pociągnąłem Harveya za sobą i tym razem nie stawiał oporu. Ruszyliśmy w stronę drzwi, gdy nagle z gabinetu dobiegł brzęk tłuczonego szkła.

– Co to było? – wydyszał Harvey.

– Kłopoty – odpowiedziałem. – Szybciej.

Biegłem przodem z laską w ręku, gotowy do rzucenia zaklęcia tarczy, gdyby się okazało, że drugi ze strzelców na nas czeka, ale nie było po nim śladu.

– Jesteś w całkiem dobrej formie, Harvey – powiedziałem, sprowadzając go po schodach. – Uprawiasz jogging?

– Eee, pływam – odrzekł. – No i ćwiczę jogę.

– Nie, Harvey. Biegasz. Każdego ranka przed śniadaniem przebiegasz maraton. Spraw, żebym w to uwierzył. Rusz się. – Popędziłem chodnikiem, od czasu do czasu lawirując między przechodniami. Harvey próbował dotrzymać mi kroku, dysząc ciężiej, niż należało się spodziewać przy takim wysiłku. Minęliśmy bank i dotarliśmy do kolejnego ciągu kamienic, gdy nagle usłyszałem za sobą krzyk. Tessa pojawiła się w drzwiach biura Harveya. Skupiła na mnie wzrok i nawet z tej odległości czułem złość w jej spojrzeniu. Wskazała mnie palcem, a dwóch oprychów rzuciło się w pogoń.

Skreśliłem w kolejną uliczkę między budynkami, próbując zatoczyć okrąg i wrócić do miejsca, w którym Grey i Deirdre mogli czekać z posiłkami, ale nigdzie ich nie widziałem. Zobaczyłem, że Tessa wychodzi przez tylne drzwi prowadzące do gabinetu Harveya i pośpiesznie rusza za nami. W okolicy nie było zbyt wielu przechodniów i Tessa w biegu zrzuciła płaszcz. Po chwili przyjęła demoniczną postać i zaczęła nas doganiać.

Najwidoczniej naprawdę zależało jej na pokrzyżowaniu planów męża i nie przejmowała się tym, że narobi zamieszania. Zapewne nawet chciała zaalarmować policję. Z przyjemnością zmieni się w ohydneho robala i rozerwie Harveyowi czaszkę.

– Cholera – rzuciłem, uciekając uliczką, oddalając się od biura Harveya i swoich towarzyszy.

Nie miałem dużego wyboru. Tessa miała przewagę liczebną. Mogłem spróbować sił w walce z nią i grupką uzbrojonych bandziorów, ale nie byłbym w stanie jednocześnie chronić Harveya. Gdybym stanął do walki, schwytałiby go. Dlatego uciekałem, żeby zapewnić sobie czas do namysłu.

Nagle uświadomiłem sobie, że wcale nie muszę ich pokonać w walce. Wystarczy ich spowolnić albo zatrzymać do chwili, gdy Deirdre i Grey mnie dogonią. Nie sądziłem, by moim towarzyszom chociaż trochę na mnie zależało, ale potrzebowali Harveya, by wcielić w życie swój plan, a im bardziej się oddalałem, tym bardziej ryzykowałem, że przypadkowo zgubię swoje wsparcie.

Dotarliśmy do opuszczonego budynku o oknach zabitych deskami i ścianach pokrytych graffiti. Musiał mi wystarczyć. Obróciłem się w jego stronę, wypuściłem z laski kolejne wyładowanie energii i wybiłem dziurę wielkości kubła na śmieci w sklejce i znajdującej się pod spodem szybie.

– Chodź! – zawołałem. – Trzymaj się blisko mnie.

– Co pan robi?

– Bawimy się w chowanego – odrzekłem i wskoczyłem do budynku.

Harvey przez chwilę patrzył na mnie z szeroko otwartymi ustami, ale potem obejrzał się na Tessę.

Pobladł i wytrzeszczył oczy. Wydał kilka zduszonych odgłosów, a potem rzucił się do otworu, prawie przewracając się na potłuczone szkło. Chwyciłem go i postawiłem na nogi.

Budynek kiedyś był sklepem i jego wnętrze składało się w większości z jednego dużego pomieszczenia. Tu i ówdzie walały się stojaki na ubrania, a panujący bałagan świadczył o tym, że już dawno go opuszczono. Światło wpadało tylko przez szpary wokół zasłoniętych deskami okien oraz przez otwór, który wybiłem. Wszędzie pełzały cienie.

Wszedłem głębiej, po omacku potykając się o śmieci zalegające na podłodze, czekając, aż mój wzrok, przywykły do światła wiosennego poranka, przyzwyczai się do mroku. Prawie wpadłem na ścianę, ale po chwili dostrzegłem drzwi prowadzące do toalet i biur znajdujących się na tyłach sklepu.

Wepchnąłem Harveya do korytarza, a następnie wszedłem tam za nim, odgradzając go od reszty sklepu. Uniosłem laskę do poziomu i przygotowałem zakłęcie tarczy. Nie była to idealna pozycja obronna, ale czułem się pewniej niż na ulicy. Wszyscy wrogowie musieli nadejść z jednego kierunku.

– Nie pokazuj się – poradziłem. – Nigdzie nie odchodź.

– Powinniśmy uciekać – wydyszał. – Prawda? Zawiadomić policję?

– Gliniarze mają lepsze rzeczy do roboty niż dać się zabić – odparłem.

Zamrugął.

– Słucham?

– Serio, tego cytatu też nie rozpoznajesz? Na dzwony piekieł, Harvey, oglądasz czasem filmy?

Cienie poruszyły się w promieniu światła wpuszczonym przez mój prowizoryczny portal i jakieś postaci weszły do opuszczonego sklepu. Trzej faceci z bronią, potem czwarty, a za nim coś, co mogło być modliszką, tylko sto razy za dużą – z wyłupiastymi, wielościennymi ślepiami, nad którymi lśniła zielenią druga para oczu.

Tessa natychmiast mnie zauważyła. Pomknęła w moją stronę, poruszając się ze straszliwą, owadzią szybkością, a ja odpaliłem zakłęcie tarczy. Runy na lasce

ponownie rozbłysły zielono-białym światłem i delikatna zasłona niebiesko-zielonego światła wylała się z dębowego drąga, zakrywając wejście.

Tessa zatrzymała się jakieś trzy metry przed drzwiami. Potem wskazała jej długą nogą i odezwała się całkowicie zwyczajnym ludzkim głosem:

– Ognia.

Strzelcy się nie wahali. Ich pistolety z tłumikami zakaszłały, a na tarczy pojawiły się iskry i rozbłyski światła w miejscach, w które uderzały pociski. Powstrzymanie ich nie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Poddźwiękowa amunicja i tak jest powolna, a każdy z pocisków uderzał z niepełną prędkością.

– Wstrzymać ogień – odezwała się modliszka.

Jej ludzie przestali strzelać.

Olbrzymi robal przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę. Potem jego szczęki zaczęły się coraz szerzej rozwierać i spomiędzy nich, spod chitynowej osłony zsuwającej się do tyłu jak kaptur, wyłoniła się głowa Tessy. Jej skórę i włosy pokrywała jakaś lśniąca maź. Dziwnie było na nią patrzeć. Bez ubioru, który mógłby dodać jej powagi, wyglądała jak nastolatka, a jej pozorną młodość podkreślał fakt, że miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Była ładna, typowa licealistka z sąsiedztwa.

Oczywiście chodziła po tym świecie tysiąc lat przed założeniem pierwszego liceum.

– Witaj, Dresden – odezwała się Tessa.

– Cześć, Tesso – odpowiedziałem.

– Szlachetny bohater Harry Dresden, w służbie Nicodemusa Archleone – powiedziała. – Czyżby Lasciel w końcu namówiła cię do przyjęcia jej monety?

– Z pewnością wiesz, że nie – odparłem.

Wzruszyła jednym ramieniem. Ten ruch wyglądał wyjątkowo niepokojąco przy jej owadzim ciele.

– Rzeczywiście. Ale nie wyobrażam sobie, co innego mogłoby skłonić takiego człowieka jak ty do współpracy z kimś pokroju mojego męża.

– To długa historia – odrzekłem. – A teraz idź sobie.

Pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie mogę. Masz coś, czego pragnę. Chcę, żebyś mi to dał.

– Nic by z tego nie wyszło – odpowiedziałem smutnym tonem. – Nie mógłbym cieszyć się chwilą, ponieważ za bardzo bym się bał, że później odgryziesz mi głowę.

– Nie pochlebiaj sobie – rzuciła. – Oddaj mi śmiertelnika. Jeśli będę musiała odebrać go siłą, podzielisz jego los.

– Kim jesteś? – spytał Harvey drżącym, oszołomionym głosem. – Co ci zrobiłem, u licha?

Tessa cmoknęła.

– Nie zamartwiaj się takimi pytaniami, człowieczku. Już niedługo nie będziesz musiał o nich myśleć.

– Mój Boże – jęknął Harvey.

– Zawrzyjmy układ – odezwałem się. – Odejdź, a nie wezwę specjalisty od tępienia robactwa.

W odpowiedzi uniosła owadzią nogę i wysyczała jakieś słowo. Promień zgniózielonego światła pomknął w stronę mojej tarczy. Zacisnąłem zęby i ją utrzymałem, odbijając atak i czując rosnące zmęczenie wywołane podtrzymywaniem zaklęcia.

– To nie są negocjacje – powiedziała. – Już przegrałeś. Jesteś w potrzasku i nie możesz wiecznie utrzymywać tarczy. Oddaj mi go, a zagwarantuję ci bezpieczne przejście.

Oczywiście miała rację. Nie mogłem bez końca utrzymywać tarczy; czułem, że wkrótce opadnę z sił. Kiedy tylko zaklęcie przestanie działać, ona i jej chłopcy rzucają się na mnie i to będzie koniec. Być może nie była szczerą, gdy obiecywała bezpieczne przejście, ale jeśli mówiła prawdę...

W takim razie stanąłem przed szansą pokrzyżowania planów Nicodemusa. Gdyby Tessa, jedna z członkiń jego kręgu, stanęła mi na drodze i mnie pokonała, nie byłaby to moja wina. Mógłbym położyć kres całemu temu zamieszaniu i jednocześnie obronić reputację Mab, której z pewnością spodobałoby się takie wyjście.

Wystarczyło, żebym pozwolił Tessie zabić Harveya.

Nie. Nie byłem gotowy oddać kogokolwiek w ręce jednego z tych potworów. Być może dokonałem w życiu kilku błędnych wyborów, ale aż tak się nie zatraciłem. Poza tym nie mogłem ufać jej słowom. Zamiast puścić mnie wolno, równie dobrze mogła postanowić zabić mnie dla zabawy.

– A może wrócisz do zarobaczonego motelu, z którego wypęzłaś? – odparłem.

Pokręciła głową i się roześmiała.

– Cóż za marnotrawstwo potencjału. – Potem zwróciła się do swoich sług: – Bierzcie ich obu.

Strzelcy zrobili coś, czego się nie spodziewałem – rzucili broń i zaczęli się rozbierać. Dygotali przy tym, a ich ciałami targały skurcze. Ich stawy trzaskały, a ciało się marszczyło. Koszule pękały, rozsądzone od środka przez nieludzko rozrośnięte ramiona, twarze wydłużały się w niemal psie pyski, a zęby zmieniały się w kły i ciosy. Dłonie stawały się grubsze i dłuższe, a z końców palców wyrastały okazałe pazury.

– MójBożeMójBożeMójBoże – szeptał Harvey, panicznie dysząc. – Co to jest?

– Ghoule – powiedziałem ponuro. – Silne, szybkie, trudne do zabicia.

– Co one zrobią?

– Rozedrą ściany, rzucą się na nas ze wszystkich stron, zabiją nas i pożrą – wyjaśniłem.

W całkowitym milczeniu ghoule zaczęły fachowo rozrywać płyty gipsowe po obu stronach bronionego przejścia, by wcielić ten plan w życie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przedzieranie się przez płytę gipsową to zaskakująco hałaśliwy proces. Pęka ona z głośnym chrzęstem i trzaskiem. Ghoule potrafią rozorać pazurami kilkunastocentymetrowy kamienny mur mauzoleum, by dostać się do smakowitego trupa, więc nie miały kłopotu z gipsem i drewnem. Ich pazury i zgarbione ramiona miarowo zagłębiały się w ścianie.

Mieliśmy najwyżej minutę, nim przedrą się na drugą stronę i rzucają się na nas z obu stron.

– Zbliżają się – sapnął Harvey. – Dopadną nas. Co robimy?

Moje serce także biło dużo szybciej niż jeszcze przed chwilą. Ghoule to nie żart. A zamknięta, ciasna przestrzeń taka jak ta to najgorsze miejsce, w jakim mag może się z nimi mierzyć. Wzmocniony czarami płaszcz niewiele pomoże, gdy któryś z nich wbije zęby w moją głowę. Nieważne, jak wiele razy stawiasz czoło niebezpieczeństwu, kiedy grozi ci śmierć i zdajesz sobie z tego sprawę, po prostu się boisz, koniec kropka.

Strach – prawdziwy, srebrzysty, naładowany adrenaliną – wstrząsnął moim ciałem.

– Eee – odrzekłem, starając się nie panikować. – Spróbujemy...

Zamierzałem powiedzieć „wycofać się”. Naprawdę. Ale Tessa wpatrywała się we mnie z triumfującą miną i nagle poczułem gniew. Tessa była wyjątkowa. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, posłała dobrego człowieka na kilka miesięcy do szpitala i trwale go okaleczyła. Tylko cudem, dosłownie, uszedł z życiem.

Skrzywdziła mojego przyjaciela.

Zima wezbrała we mnie wraz z gniewem i nagle uznałem za znacznie ważniejsze to, że wciąż nie zapłaciła za swój czyn.

– Stań za mną i trzymaj się blisko – warknąłem.

– Co takiego? – wykrztusił Harvey.

Z satysfakcją zauważyłem, że triumfalna mina na ułamek sekundy zniknęła z oblicza Tessy, być może za sprawą mojego wyrazu twarzy. Opuściłem tarczę, uniosłem łaskę prawą ręką, przyzwałem Zimę i warknąłem „*Infriga!*”.

Podmuch arktycznego powietrza omiół salę wystawową, błyskawicznie pokrywając wszystkie znajdujące się w niej obiekty – posadzkę, sufit i ściany – warstwą szronu. Pod wpływem nagłej zmiany temperatury powietrze wypełniła zmroźona mgła, na tyle gęsta, że ograniczyła widoczność do niecałych dwóch metrów, co dawało przewagę naszej dwójce, a naszym znacznie liczniejszym wrogom utrudniało skoordynowanie działań.

Ruszyłem naprzód przez mgłę, zbliżając się do Tessy, by mieć ją w zasięgu wzroku, nim się otrząśnie i zacznie manewrować w moją stronę. W idealnym świecie znalazłbym ją uwięzioną w bryle zmrożonego lodu Zimy, ale była czarownicą i to doświadczoną. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że wycofuje się chwiejnym krokiem, zasłaniając się skrzyżowanymi owadzimi odnóżami. Widziałem ją nieostro przez ścianę lodu w kształcie litery C, która nie zdołała całkowicie jej pochłonąć.

Uniosłem laskę i warknąłem „*Forzare!*”.

Zmroźona ściana rozpadła się na ostre jak nóż kawałki krystalicznego lodu, zabójcze jak obłok odłamków. Tessa próbowała rzucić się w bok, ale oszołomiła ją intensywność ataku i nie wzięła poprawki na oblodzoną posadzkę, po której ja stapałem równie pewnie jak po boisku do koszykówki. Owadzie odnóża ślizgały się rozpaczliwie, a lodowe pociski wbijały w pokryte chityną ciało, rozchlapując dookoła ciemnozielony ichor. Ludzka głowa Tessy na powrót schowała się za pyskiem modliszki. Rozżarzone zielone oczy otworzyły się nad ślepiami owada, płonąc nieśmiertelną wściekłością. Po chwili przez kłębiącą się mgłę widziałem już tylko oczy upadłego anioła towarzyszącego Tessie.

– Hej, Imarielu! – warknąłem. – Dla ciebie też coś mam! *Fuego!*

Wypowiadając te słowa, posłałem wzdłuż laski siłę woli złączoną z żywiołem ognia, nasycając drewno srebrzysto-białym płomieniem samego Stworzenia. Kometa Ognia Duszy, wielkością dorównująca piłce do koszykówki, pomknęła w powietrzu przy wtórze triumfalnego chóralnego akordu i trafiła w lśniące oczy z hukiem i furją, wyrzucając w powietrze kłęby pary i jeszcze więcej mgły. Oczy zniknęły z piekielnym wrzaskiem wściekłości, który przypominał gwizd czajnika, a z przeciwnej strony budynku dobiegł ogłuszający trzask pękających cegieł.

Przynajmniej zyskałem nieco czasu. Okręciłem się na pięcie i pociągnąłem Harveya za sobą w tej samej chwili, gdy najszybszy bądź najbardziej fartowny z ghoulu wynurzył się z mgły i skoczył na moją głowę.

Nie miałem czasu rzucić zaklęcia. Nie musiałem tego robić. Czując pełną moc Zimy wciąż przenikającą moje kończyny, zamachnąłem się ciężką dębową laską i zadałem skaczącemu ghoulowi cios, w który włożyłem całą siłę rąk, ramion, bioder i nóg. Trafiłem stwora w ramię przy wtórze obrzydliwego

wilgotnego chrzęstu pękającej kości i członków wyrywanych ze stawów. Powaliłem ghoula na ziemię, jakby był natarczywym kociakiem, a on wydał przeciągły zaskoczony wrzask bólu.

Przypomniałem sobie parę młodych magów, brata i siostrę, których ghoule kilka lat temu zamęczyły na śmierć i których nie zdołałem obronić. Miałem z tymi istotami rachunki do wyrównania. Kopnąłem powalonego ghoula na tyle mocno, że przejechał po oblodzonej podłodze, i chociaż przywoływanie takiej mocy znacznie mnie osłabiało, ponownie uwolniłem się Zimy, wołając „*Infriga!*”.

Stwór nie potrafił się obronić przed taką magią. Po chwili na jego miejscu spoczywała biała bryła lodu w kształcie ghoula. Bryła sunęła z chrzęstem po zamrożonej posadzce...

...aż zatrzymała się przy wyposażonych w pazury stopach pozostałych trzech ghouli.

Cała trójka przez ułamek sekundy wpatrywała się z zaskoczeniem w bryłę lodu, a potem jednocześnie wbiła we mnie nienawistny wzrok i zawarczała z furją.

Ojej...

Czas zwolnił, gdy ghoule przykucnęły, szykując się do ataku.

Zamknięcie jednego z nich w lodzie mogło się udać. Zrobienie tego z kolejną trójką to już inna para kaloszy. Gdybym zajął się jednym, pozostała dwójka dopadłaby mnie, zanim zdołałbym wypowiedzieć zaklęcie, a cztery ghoule odjął dwa ghoule to i tak o dwa za dużo. Kiedy wrogowie mają taką przewagę liczebną, nawet jeśli poniosą dwukrotnie większe straty, i tak wygrają i cię zjedzą.

Musiałem zmienić zasady walki.

Ghoul po mojej lewej stronie wydawał się najszybszy, więc skoczyłem w lewo, wabiąc go w swoją stronę i nieco odciągając od jego kompanów. Kiedy oderwał się od ziemi, wycelowałem w niego laską, przywołałem moc Zimy i zawołałem „*Glacivallare!*”.

Rozległ się wrzask i od podłogi do sufitu uniosła się kurtyna lodu o grubości pół metra, przecinając pomieszczenie po skosie. Lód otarł się o pięty skaczącego ghoula i z rozdzierającym zgrzytem uderzył o sufit przed pozostałą dwójką.

Dobrze to wymierzyłem. Znowu czekała mnie walka jeden na jednego. Poczulem przyływ triumfalnych uczuć.

Trwało to może ćwierć sekundy, a potem ghoul staranował mnie jak zawodowy futbolista. Który przy okazji jest wygłodniałym kanibalem.

Uderzył we mnie na tyle mocno, by połamać mi żebra, więc musiałem mieć nadzieję, że trzask, który usłyszałem, wywołał poruszający się lód. Upadliśmy

ciężko na ziemię, ja na spodzie, a mój płaszcz przejechał kawałek po twardej powierzchni, rozpraszając część energii zderzenia.

Ghoul doskonale wiedział, co robi. Już kilkakrotnie mierzyłem się z tymi istotami i zdawałem sobie sprawę, że podczas walki zazwyczaj poddają się ślepej furii i polegają na brutalnej sile, szarpiąc i rozdzierając wszystko, czego zdołają osiągnąć. Ten osobnik tak nie robił. Chwycił obiema rękami moją laskę i szarpnął ją w bok, demonstrując fantastyczną siłę przygarbionych ramion. Jednocześnie nachylił łeb, próbując osiągnąć mojego gardła i błyskawicznie mnie uśmiercić. Na tyle dobrze znałem się na walce wręcz, by docenić jego technikę i zdyscyplinowanie. Nie miałem naprzeciwko siebie rozwścieczonego pijanego amatora, tylko wyszkolonego żołnierza albo mistrza sztuk walki.

Przez wiele lat sam także nauczyłem się kilku technik, od Karrin i innych. Natychmiast stawiałem opór ghoulowi próbującemu wyrwać mi laskę, a potem ją puściłem, jednocześnie skręcając ciało i pchając ghoula z całych sił nogami, by odrzucić go w bok.

Nie udało mi się go rzucić, ale pozbawiłem go równowagi i jednocześnie mocno pchnąłem w nowym kierunku, dzięki czemu upadł na lód, nim jego szczęki zbliżyły się do mojego gardła. Gdy tylko uwolniłem się od jego ciężaru, rozpaczliwie przetoczyłem się w przeciwną stronę, wykorzystując siłę pchnięcia.

Zerwałem się na nogi, nieco szybciej niż ghoul, i w myślach sięgnąłem po zaklęcie ognia, ale bez laski, która umożliwiła mi wydajniejsze i skuteczniejsze skupienie energii, byłem odrobinę za wolny. Ghoul wstał, szorując pazurami po lodzie, i natychmiast na mnie ruszył, wymachując moją własną przeklętą laską, jakby wiedział, jak się nią posługiwać.

Krzyknąłem i zacząłem robić uniki. Gdybyśmy stali na ulicy, rozbiłby mnie na miękką papkę, której nawet nie musiałby gryźć. Ale nie staliśmy na ulicy. Walczyliśmy w lodowato zimnym wnętrzu niewielkiego sklepu pokrytego warstwą lodu Zimy. Lód co chwilę dawał się ghoulowi we znaki, zmuszając go do łapania równowagi, podczas gdy dla Rycerza Zimy był gładki i bezpieczny jak parkiet w szkole tańca. Chowałem się za pustymi stojakami na ubrania, dwa z nich pchnąłem w stronę ghoula, mając nadzieję, że go przewrócę, stale zmieniałem kierunek ruchu, chcąc zwiększyć dystans lub zmusić przeciwnika do utraty równowagi. Wystarczył mi ułamek sekundy, by rzucić kolejne zaklęcie i zakończyć walkę.

Problem polegał na tym, że ghoul o tym wiedział. Atakował mnie sprytnie i szybko, mocno trzymając się na nogach, a dopóki tak było, utrzymywał się między nami pat. Wystarczyło, żeby przytrzymał mnie na tyle długo, by jego kompani przedarli się przez ścianę lub ją ominęli, a byłbym załatwiony.

Na gwiazdy i kamienie, przydałyby mi się pierścienie mocy. Albo bojowa różdżka, bransoletka z tarcz i wszystkie inne magiczne narzędzia, jakie kiedykolwiek zaprojektowałem. Ale kiedy moje laboratorium wraz z całym wyposażeniem zostało zniszczone, drastycznie ograniczyło to moje możliwości produkcyjne. A jako że na całą zimę utknąłem na wyspie, gdzie dysponowałem bardzo ograniczonymi zasobami i korzystałem tylko z tego, co mój brat zdołał przywieźć mi łódką, wciąż nie miałem okazji stworzyć czegoś tak skomplikowanego i dalece spersonalizowanego jak nowe laboratorium. Udało mi się sporządzić laskę i drewnianą czaszkę, nad którymi pracowałem żmudnie i w ślimaczym tempie, ponieważ musiałem się zadowolić niewielkim zestawem noży i resztką papieru ściernego, która pozostała po budowie doku.

Przygotowanie! Psiakrew, Harry. Kluczem do przetrwania jako mag jest przygotowanie!

Słyszałem, jak potężne ciosy spadają na moją lodową ścianę, i chociaż nie widziałem jej za mgłą, wyczuwałem zmiany w brzmieniu uderzeń, które świadczyły o tym, że lód kruszy się i pęka.

– Mój Boże! – wykrzyknął Harvey w panice.

Jego też nie widziałem i na chwilę o nim zapomniałem. Zapewne był tam, gdzie go zostawiłem, w odległości około metra od ściany, skąd dokładnie widział, co się dzieje.

Pozostałe dwa ghoule już przebijały się na drugą stronę.

Coś we mnie zaczęło wrzeszczeć do wtóru Harveyowi.

Przyszedł czas na rozpaczliwe ryzyko.

Gwałtownie zmieniłem kierunek i zaszarżowałem na wojownika ghoulu.

Laska pomknęła w stronę mojej głowy. Uniosłem lewą rękę, by zablokować cios, próbując przyjąć go na umięśnione przedramię. Chociaż nie czułem bólu, pod wpływem uderzenia białe światło rozbłysło mi przed oczami. Rękaw płaszczki tylko trochę złagodził cios. Wplecione w niego obronne zaklęcia miały za zadanie spowalniać i rozpraszać szybko poruszające się obiekty, takie jak pociski, oraz uniemożliwiać penetrację przez ostre przedmioty. Duże tępe narzędzie nie jest zbyt subtelne, ale cholernie trudno się przed nim obronić.

Znalazłem się w zasięgu broni i czym prędzej uderzyłem głową w pysk ghoulu. Stwór zawył z zaskoczenia i gniewu, nagle się zatrzymując, a ja pchnąłem go jedną ręką, wkładając w to całą siłę, jaką dawała mi Zima.

Ghoul zatoczył się do tyłu o kilka kroków i nie utrzymał się na nogach!

Iskra nadziei podsycała moją siłę woli. Kiedy ghoul upadł, triumfalnie ryknąłem „*Infriga!*”.

Zima zawyla w niewielkim sklepie po raz piąty w ciągu minuty, okrywając powalonego wojownika lodowatym zimnem i kłębiącą się mgłą. Przez kilka

sekund ciężko dyszałem, aż w końcu mgła się rozwiła i zobaczyłem ghoulą uwięzionego w lodowym sarkofagu.

– Harvey! – zaskrzeczałem. – Harvey, odezwij się!

– Mój Boże! – łkał Harey. – Mój Boże!

– Może być – mruknąłem i pośpieszyłem w stronę jego głosu.

Dotarłem do niego w chwili, gdy pozostałe dwa ghoule przebiły się przez ścianę. Harvey wydał z siebie szokująco piskliwy dźwięk i zaczął w bezradnej panice ślizgać się po lodzie.

Uniosłem oszronioną prawą dłoń, przywołałem siłę woli, by rzucić kolejne zaklęcie...

...i zobaczyłem przed sobą białą pustkę. Zamrugąłem i nagle znalazłem się na lodzie obok Harveya, zastanawiając się, jak tam trafiłem.

Zima, zrozumiałem. Przywołałem zbyt wiele mocy, za szybko, nie dając sobie szansy na odpoczynek. Zużyłem rezerwy magicznej energii i prawie przypłaciłem to utratą przytomności. Ale przecież nie czułem się magicznie wyczerpany.

Oczywiście, że nie, ty głąbie. Jesteś Rycerzem Zimy.

Zamrugąłem dwukrotnie, a potem popatrzyłem na swoją lewą rękę, w której czułem jakieś osobliwe pulsowanie.

Rękaw mojego płaszcza przebijało od środka coś spiczastego. Dopiero kiedy skupiłem się na tym, na co patrzę, i przeanalizowałem ten widok, uświadomiłem sobie, że to moja złamana ręka.

Dwumetrowy fragment lodowej ściany nagle odłamał się i z jękiem runął na podłogę.

Wstałem, podpierając się sprawną ręką, w chwili gdy dwa pozostałe ghoule przeszły przez otwór.

Żadnej magii.

Żadnej broni.

Żadnych możliwości.

Wyszczrzyłem buntowniczo zęby i wydałem z siebie bezradny warkot, a ghoule rzuciły się naprzód.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Oba ghoule rzuciły się na mnie, uznając mnie za najgroźniejszy cel w zasięgu wzroku i ignorując szlochającego Harveya. Nie miałem im tego za złe. Podjąłbym taką samą decyzję.

Wszyscy troje się pomyliliśmy.

Ghoul natarły na mnie z różnych kątów, przez co mógłbym trafić tylko jednego z nich, oczywiście gdybym miał energię, by przywołać kolejne uderzenie Zimy. To oznaczało, że jeden z ghoulu musiał zejść na bok, by mnie zaatakować. Drugi po prostu przeskoczył nad wrzeszczącym Harveyem.

To jego najpierw zabił Goodman Grey.

Kiedy ghoul był w powietrzu, oczy Harveya nagle stały się lodowate i spokojne, a jedna z rąk wystrzeliła w górę. Nie widziałem samej przemiany, a jedynie odniosłem wrażenie, że ręka na sekundę całkowicie zmieniła kształt, upodabniając się do twardego, zakrzywionego do wewnątrz sierpa poruszającego się z niezwykłą szybkością. Rozległ się świst, a tuż po nim głucho uderzenie, jakby szkolnej gilotyny do papieru, tylko bardziej wilgotne i mięsiste, i nagle górna i dolna połowa ciała ghoulu zawirowały na odmiennych osiach.

Wtedy drugi ghoul mnie dopadł, a ja z trudem zdołałem powstrzymać go przed wbiciem mi zębów w szyję, mimo że korzystałem z mocy Zimy. Gdyby nie płaszcz, pazury stworza rozdarłyby mi tułów w ciągu tej sekundy, której Grey potrzebował, by do mnie dotrzeć.

Bardziej wyczułem ruch, niż go zobaczyłem, i nagle coś, co trochę przypominało goryla, chwyciło ghoulu w potężne dłonie i odrzuciło go z taką mocą, że usłyszałem odgłos kończyn wyskakujących ze stawów. Ghoul uderzył o wciąż stojącą część ściany i ją przebił, chlapiąc płynami ustrojowymi. Zanim zniknął po drugiej stronie, jakiś rozmazany kształt, który skojarzył mi się z polującym wielkim kotem, dopadł go w powietrzu i przygniótł do ziemi, znikając we mgle za ruinami ściany.

Ghoul wydał z siebie pojedynczy słaby, bulgoczący wrzask.

Potem umilkł.

Coś poruszyło się po drugiej stronie ściany. Po kilku sekundach ktoś przeciągle odetchnął i pojawił się Goodman Grey, który spokojnie przeszedł przez pozostałości ściany. Ktoś konał, dygocząc na podłodze za nim, chociaż nie widziałem żadnych szczegółów – i nie miałem ochoty. Ghoul jest trudny do zabicia i zawsze umiera w paskudny sposób. Stwór, którego Grey przeciął na pół, wciąż skrobał o podłogę w dwóch różnych miejscach za kłębami mgły.

Grey obejrzał się, zacisnął usta i pokiwał głową.

– Dobry ruch, rozdzielić ich w taki sposób, zwłaszcza we mgle. Masz głowę na karku. Rzadko się to widuje u ludzi w twoim wieku.

– Zawsze jest ich więcej – odezwałem się, wstając z podłogi.

Miałem poczucie, że w obecności Goodmana Greya lepiej nie siedzieć na ziemi ze złamaną ręką, brocząc krwią. Lepiej nie prowokować takich drapieżców, a w tej chwili ten mało charakterystyczny facecik przerażał mnie bardziej niż ghoule i Tessa razem wzięci.

Zdołałem powstrzymać drżenie głosu.

– Gdzie Harvey?

– Tutaj – odrzekł Grey. Wyglądał na równie odprężonego jak wcześniej, jakby właśnie wyrzucił do kosza papierowy kubek, a nie rozerwał na strzępy dwa ghoule. Zatrzymał wzrok na mojej rannej ręce. – Miałem tylko kilka sekund, żeby dokonać podmiany, a on nie chciał się zamknąć. Musiałem go ogłuszyć.

Posłałem mu surowe spojrzenie. Potem podszedłem do zamrożonego ghoula, który odebrał mi laskę, schyliłem się i ją szarpnąłem. Lód posłusznie się pokruszył, oddając mi moje narzędzie. Razem z laską odłamały się dwa palce ghoula. Strąciłem je z grymasem na twarzy i odwróciłem się do Greya.

– Pokaż – poprosiłem.

Na chwilę uniósł brwi. Być może lekko się uśmiechnął, ale po chwili pokiwał głową i zachęcił mnie gestem, żebym poszedł za nim. Najwyraźniej w ogóle nie bał się odwracać do mnie plecami.

Na dzwony piekieł. Niewykluczone, że zmiennokształtny miał oczy z tyłu głowy.

Zaprowadził mnie na bok hali sklepowej, gdzie stały stare metalowe regały, na których kiedyś znajdowały się czasopisma. Chwycił jeden z nich i bez trudu go odsunął.

Po drugiej stronie leżały zwłoki Harveya Morrisona.

Jego gardło zostało równo przecięte czymś ostrym. Na podłodze wokół niego panował nieziemski bałagan. Harvey miał otwarte oczy i wbijał niewidzący wzrok w sufit. Krew wciąż wypływała z jego ciała, ale widziałem po bladym kolorze skóry, że jest za późno na pomoc. Był martwy. Jego ciało jeszcze tego nie przyswoiło.

Powoli podniosłem wzrok na Greya.

Zmiennokształtny popatrzył na Harveya, delikatnie marszcząc czoło. Potem zerknął na mnie.

– Hmm, wyszło trochę niezręcznie.

– Uważasz, że to zabawne? – spytałem. Wiedziałem, że mój głos kipi od emocji.

– Uważam, że to śmierdzi – odparł Grey i znów popatrzył na Harveya. – Ja go tylko podduśłem.

– Właśnie coś takiego byś powiedział, gdybyś próbował mnie oszukać.

– Wcale nie – zaprzeczył Grey. – Powiedziałbym ci, że poderżnąłem mu to tchórzowskie gardło, ponieważ tak było łatwiej.

– Naprawdę?

– Nie boję się ciebie, Dresden. Kłamanie w przekonujący sposób wymaga mnóstwa wysiłku i staje się nudne po kilku stuleciach. Przeważnie nie zadaję sobie tyle trudu. – Trącił ramię Harveya czubkiem buta. – Ale ktoś bardzo się postarał, żeby to zrobić. Śpieszył się. Natychmiast uciekł.

– Gdzie jest Deirdre? – spytałem.

– Miała przegonić swoją matkę po tym, jak ty rozkrwawiłeś jej nos. – Przyklęknął na podłodze obok Harveya i nachylił się, węsząc jak ogar. – Zobaczymy... – Zastanawiał się przez chwilę. – Za dużo świeżej krwi i przekłętego smrodu ghouli. Nic się przez nie nie przebiję. – Podniósł na mnie wzrok. – A może tobie się uda?

– Gdybym miał dwadzieścia cztery godziny na zebranie sprzętu i kolejne pięć albo sześć na przeszukanie tego miejsca, być może coś bym znalazł – odparłem.

Patrzyliśmy na siebie. Chyba obaj myśleliśmy, że ten drugi coś ukrywa. Tylko że ja naprawdę nie miałem pojęcia, co się dzieje, podczas gdy Grey z pewnością wyczuł coś więcej, o czym nie wspomniał. Mimo wszystko wyglądał na podejrzliwego.

Najwyraźniej pomyślał o mnie to samo. Westchnął z rozdrażnieniem.

– Magu, wiesz, że mówię prawdę, zgadza się?

– Owszem – odrzekłem. – Jestem pewien, że tak. W końcu jesteśmy godnymi zaufania skautami.

Moje słowa wywołały na jego twarzy prawie szczery drwiący uśmiech. Nachylił się i zamknął oczy Harveya jedną ręką, jakby chciał mu okazać szacunek. Potem przesunął palcami po gęstniejącej kałuży krwi.

– Co robisz? – spytałem.

– Biorę to, po co przyszliśmy – odrzekł. – Będę potrzebował próbki krwi. Powiesz Nicodemusowi, gdzie jestem.

– To znaczy gdzie?

– W biurze Usług Powierniczych Morrisona, aż do końca dnia – odpowiedział. – Celem oszczędzenia Harveya było uniknięcie sytuacji, w której ktoś mógłby zauważyć jego zniknięcie. Dlatego on nie może zniknąć.

– Będiesz do wieczora udawał eksperta finansowego i powiernika przed ludźmi, których nigdy wcześniej nie widziałeś? – spytałem głosem ociekającym od sarkazmu.

– Tak – odrzekł Grey spokojnie.

Poczułem, że moje brwi się unoszą.

– Jesteś aż tak dobry?

– Lepszy.

Jego oczy dziwacznie rozblęły, a ja zadrzałem.

– A co z ciałem Harveya?

– Nie miał rodziny. A ty masz dwa ghoule na lodzie – zauważył. – Zostaw wszystko tak, jak jest. One się nim zajmą, kiedy się odmrożą.

Zazgrzytałem zębami.

– Może powinienem je wykończyć. Różniły się od typowych ghouli. Nie chciałbym znów się z nimi mierzyć.

– Jak wolisz – odparł Grey. – Ja muszę już iść.

Zaczął chleptać świeżą krew z dłoni. Skrzywił się, potem zadrzał, a po chwili wyglądał identycznie jak trup leżący u jego stóp, wliczając ubranie. Nachylił się i wyjął okulary z kieszeni koszuli Harveya. Wytarł z nich krew rogiem koszuli, a następnie je założył.

– Lepiej pokaż komuś tę rękę, co?

Popatrzyłem nieobecny wzrokiem na swoją złamaną rękę.

– Grey – odezwałem się.

– Tak?

– Nie zostawię ciała Harveya jako żer dla ghouli. Jeśli masz z tym problem, możemy to teraz przedyskutować.

Grey popatrzył na mnie oczami Harveya i skinął głową.

– To twoja decyzja. Sam się tym zajmij.

Następnie ruszył przez szybko rzednącą mgłę w stronę wybitej przeze mnie dziury w witrynie i zniknął na ulicy.

Popatrzyłem na zwłoki Harveya.

– Przykro mi – powiedziałem. Miałem wrażenie, że to nie wystarczy. Zamierzałem obiecać, że ukarzę jego mordercę, ale Harveya już to nie obchodziło.

Umarli nie potrzebują sprawiedliwości. Ona jest ważna dla tych, którzy zostają i patrzą na zgliszczą.

Zasłoniłem ciało Harveya ciężkimi regałami. Policja pewnie znajdzie go za kilka dni. Nie było w tym zbyt wiele godności, ale nie miałem innego wyjścia, a poza tym nie miałem ochoty po dotarciu do skarbcza w Hadesie przekonać się, że czeka tam na nas banda mitycznych twardzieli. Dlatego zrobiłem to, co mogłem.

Nie pozostało mi zbyt wiele magicznej energii. Ale miałem jedną sprawną rękę oraz duży i ciężki kij. Użyłem ich do rozbicia ghouli na kawałki, a potem także wyszedłem ze sklepu i powlokłem się do wypożyczonego samochodu, czując się zmęczony, chory i bezużyteczny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nie byłem pewien, dokąd zmierzam. Chciałem po prostu jechać przed siebie.

Jakaś część mnie zauważyła z niepokojem, że nie zachowuję się racjonalnie. To wszystko nie miało sensu. Miałem poważnie złamaną rękę. Śpieszyliśmy się. Poza tym zostawiłem Karrin samą z resztą drużyny, chociaż akurat byłem przekonany, że Ascher ani Binder nie zabiliby jej bez przyczyny, a Nicodemus nie miał ku temu dobrego powodu. Na razie. Ale musiałem polegać na słowie Greya, że rzeczywiście udał się tam, dokąd zamierzał. Równie dobrze mógł wrócić do magazynu i zainteresować się Karrin. To było mało prawdopodobne, ale i tak nie podobało mi się, że ją tam zostawiam.

Z drugiej strony nie mogłem teraz tam pojechać. Nie z tak pokiereszowaną ręką. Okazanie słabości drużynie nie wchodziło w grę.

Upewniłem się, że moja ręka nie krwawi. Kiedy na nią patrzyłem, prawie zderzyłem się z samochodem, który zatrzymał się przede mną. Pomimo wsparcia, jakiego udzielała mi moc Rycerza Zimy, obrażenia zaczynały mi doskwierać. Co prawda nie czułem bólu, ale Zima musiała skądś czerpać energię, a najbardziej sensownym źródłem byłem ja sam. Ból nie był dokuczliwy, ale wywoływała go autentyczna kontuzja, a jego tłumienie wyczerpywało mnie i rozpraszało.

Potrzebowałem pomocy.

No właśnie. Pomocy. Powinienem pojechać do Buttersa, żeby nastawił mi rękę i założył szynę.

Ale zamiast tego zatrzymałem się przed ładnym, prostym domem w stylu kolonialnym w Bucktown. To był uroczy budynek, bezpretensjonalny i bardzo zadbane. Przed nim wznosił się okazały dąb, dwa kolejne rosły na tyłach, a podwórko od frontu otaczał świeżo pomalowany biały płotek. Nowa skrzynka na listy, własnoręcznie zbudowana i rzeźbiona, stała na słupku obok bramy. Metaliczne złote litery na boku głosiły: CARPENTEROWIE.

Zaparkowałem i nerwowo popatrzyłem na dom.

Nie byłem tutaj od swojej ostatniej wizyty w Chicago w poprzednim roku. Wtedy przed przyjazdem upewniłem się, że nikogo nie zastanę, jak tchórz.

Zabrałem swojego psa, Myszka, na potajemną misję.

Dzięki temu udało mi się zrećźnie uniknąć pierwszego spotkania z moją córką od chwili, gdy wyniosłem ją z zalanej krwią świątyni w Chichén Itzá, pozostawiając za sobą tysiące martwych wampirów Czerwonego Dworu oraz ciało jej matki, która zginęła z mojej ręki.

Nosiła imię Maggie. Miała ciemne włosy i oczy, tak jak Susan, jej matka.

Piękna Susan, którą zawiodłem, tak samo jak Harveya.

A potem zabrałem Molly Carpenter ze sobą i naraziłem ją na spotkanie z najniebezpieczniejszymi istotami, jakie znałem. Przez to, że mi pomagała, padła ofiarą rozgrywek sidhe i obecnie już nie była człowiekiem.

Molly, którą zawiodłem, tak samo jak Harveya.

Po co tutaj przyjechałem, do diabła?

Wysiadłem z samochodu i powlokłem się do bramy. Po chwili wahania otworzyłem ją i podszedłem do drzwi wejściowych.

Zapukałem, zastanawiając się, kogo zastanę w domu. Był środek dnia. Dzieciaki poszły do szkoły. Przez chwilę rozważałem ucieczkę. Co miałem nadzieję osiągnąć? Co mogłem tutaj zrobić, co pomogłoby mi skutecznie zdradzić Nicodemusa?

Nie było w tym za grosz logiki.

Gdy tak stałem na werandzie domu Michaela Carpentera, nagle uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu płaczę. Ponownie zastanowiłem się, czy nie zachować się jak dziecko i nie uciec. Ale moje stopy się nie poruszyły.

Po chwili dobry człowiek otworzył drzwi.

Michael Carpenter miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i chociaż nie był już tak umięśniony jak w czasach, gdy był aktywnym Rycerzem Krzyża, wciąż wyglądał, jakby mógł bez wysiłku rozerwać na strzępy większość ludzi. Jego brązowe włosy wyraźniej znaczyła siwizna, a broda była jeszcze bardziej potargana. Na jego twarzy dostrzegłem kilka nowych zmarszczek, zwłaszcza wokół oczu i ust – uznałem, że to od częstszego uśmiechania się. Miał na sobie jeansy i niebieską roboczą koszulę flanelową. Podpierał się laską.

Został ranny, walcząc u mojego boku, ponieważ byłem zbyt wolny, by temu zapobiec. Zawiodłem także Michaela.

Jego sylwetka rozmyła mi się i rozmazała przed oczami.

– Chyba potrzebuję pomocy – wychrypiałem ledwie słyszalnym szeptem. – Chyba się pogubiłem.

W jego głębokim, delikatnym głosie nie było nawet cienia wahania.

– Wejź – powiedział mój przyjaciel.

Poczułem, jak coś pęka w mojej piersi, i wydałem z siebie pojedynczy szloch, który zabrzmiał jak chrapliwe, stłumione stęknięcie.

Usiadłem przy stole kuchennym Michaela.

W jego domu była duża kuchnia, która wyglądała na schludniejszą i mniej zagraconą niż ostatnim razem, gdy ją widziałem. Znajdowały się w niej dwie duże spiżarnie, niezbędne w celu wyżywienia całej armii krewnych. Przy niezastawionym stole mógł zasiąść nawet tuzin osób.

Rozejrzałem się, mrużąc oczy. Kuchnia zawsze była nieskazitelnie czysta, ale teraz sprawiała wrażenie jeszcze bardziej uporządkowanej i lepiej zorganizowanej.

Michael zauważył, że się rozglądam, i się uśmiechnął.

– Mniej osób zajmuje tę samą przestrzeń – rzekł w końcu z mieszanką dumy i żalu. – To prawda, co mówią. One naprawdę szybko dorastają.

Podszedł do lodówki, wyjął dwa piwa w brązowych butelkach bez etykiet i postawił na stole. Potem otworzył je otwieraczem w kształcie Mjólnira, młota Thora.

Wziąłem do ręki otwieracz i przeczytałem znajdujący się na nim napis.

– „Ktokolwiek godzien jest dzierżyć młot, ten zyska Thora moc”.
A przynajmniej otworzy piwo.

Michael się uśmiechnął. Stuknęliśmy się butelkami i wypiliśmy po łyku. Potem położyłem rękę na blacie.

Zerknął na mój rękaw i powoli wypuścił powietrze.

– Pomogę ci – powiedział.

Zdjąłem płaszcz, z jego pomocą, a kiedy ściągałem rękaw, poczułem delikatne ukłucia. Przyjrzałem się swojej ręce.

Kość nie przebiła skóry, ale wyglądało na to, że wystarczy lekko ją popchnąć, by to zrobiła. Moje przedramię spuchło jak ugotowana parówka. Skóra wokół sterczącej kości była fioletowa i plamista. Pokrywało ją coś, co wyglądało jak odciski. Michael rozprostował moją rękę na stole i zaczął delikatnie naciskać opuszkami palców.

– Złamanie kości promieniowej – odezwał się cicho.

– Zostałeś lekarzem?

– W wojsku byłem sanitariuszem – odrzekł. – Widziałem mnóstwo złamań. – Podniósł wzrok. – Rozumiem, że nie chcesz iść do szpitala?

Pokręciłem głową.

– Oczywiście. – Westchnął i jeszcze kilka razy dźgnął palcem rękę. – To chyba czyste złamanie.

– Możesz nastawić kość?

– Być może. Ale bez rentgena będę musiał to zrobić na wycucie. Jeśli mi nie wyjdzie, kość krzywo się zrośnie.

– Taki sprzęt i tak by wysiadł w mojej obecności – odparłem.

Pokiwał głową.

– Kiedy skończę, będziemy musieli od razu unieruchomić nadgarstek.

– Nie wiem, czy mogę sobie na to pozwolić.

– Nie masz wyjścia – odrzekł surowo. – Kiedy nastawię kość, wystarczy jeden skręt nadgarstka, by ją przesunąć w miejscu złamania. Musisz ją unieruchomić i zabezpieczyć, w przeciwnym razie końce kości będą się o siebie ocierały, zamiast się zrosnąć.

Skrzywiłem się.

– Możesz założyć gips?

– Ręka jest zbyt opuchnięta – odrzekł. – Na razie założymy szynę i zaczekamy, aż opuchlizna ustąpi. Mógłbym zadzwonić do doktora Buttersa.

Skrzywiłem się, gdy to zaproponował.

– On... w tej chwili jest wobec mnie odrobinę nieufny. Poza tym wiesz, jak nie lubi pracować z żywymi ludźmi.

Michael przez chwilę patrzył na mnie ze zmarszczonym czołem, uważnie przyglądając się mojej twarzy.

– Rozumiem – powiedział w końcu i pokiwał głową. – Zaczekaj tutaj.

Wstał i wyszedł tylnymi drzwiami, kierując się do warsztatu. Po kilku chwilach wrócił z torbą na narzędzia i rozłożył jej zawartość na blacie. Umył ręce, a potem oczyścił moje przedramię chusteczkami nawilżonymi płynem antybakteryjnym. Następnie chwycił mój nadgarstek i rękę silnymi, kanciastymi dłońmi.

– Będzie bolało – ostrzegł.

– E tam – odparłem.

– Stawiaj opór – polecił, a potem zaczął ciągnąć jedną ręką, a drugą delikatnie naciskać wystającą kość.

Okazało się, że nawet moc Rycerza Zimy ma swoje ograniczenia. A może po prostu wyczerpała się energia. Moją rękę przeszył tępy pulsujący ból, taki sam, jaki czuje się po zanurzeniu kończyny w lodowatej wodzie, tylko znacznie silniejszy. Byłem zbyt zmęczony, żeby krzyknąć.

Poza tym.

Należało mi się.

Po minucie czystych, okropnych doznań zmysłowych Michael odetchnął.

– Chyba jest na swoim miejscu. Nie poruszaj nią.

Siedziałem w miejscu i ciężko dyszałem, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Michael owinał moją rękę kilkoma warstwami gazy, początkowo bardzo powoli, ale potem z rosnącą pewnością siebie, gdy doszły do głosu dawne odruchy. Następnie wziął prostokątny kawałek blachy aluminiowej, który przyniósł z warsztatu, przyjrzał się pobieżnie mojej ręce i za pomocą kombinerek zręcznie wygiął blachę w kształt litery U. Nałożył ją na moją dłoń na wysokości knykci, pozostawiając wolne palce i kciuk. Szyna zabezpieczała rękę aż do łokcia. Zdjął ją, lekko poprawił kąt zgięcia i ponownie nałożył. Potem owinał szynę grubszym bandażem.

– I jak? – spytał, kiedy skończył.

Bardzo ostrożnie poruszyłem ręką.

– Nie mogę skręcać nadgarstka. Oczywiście to stanowi pewien problem.

– Czyżby?

Staralem się mówić jak najbardziej beztroskim tonem.

– Tak, nie mogę skręcać nadgarstka. A co, jeśli znajdę się w śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji, z której będę mógł się wydostać wyłącznie skręcając lewy nadgarstek? To możliwe. Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że tak się stanie.

Odsunął się ode mnie, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

Zrezygnowałem z żartobliwego tonu.

– Dziękuję, Michaelu. – Wziąłem głęboki wdech. Nie było sensu mówić nic więcej. To pewnie złamana ręka skłaniała mnie do otworzenia się przed drugim człowiekiem. – Powinienem już iść.

Zacząłem wstawać.

Michael chwycił swoją laskę, zaczepił nią o moją kostkę i spokojnie wyszarpnął spode mnie nogę. Opadłem na krzesło.

– Harry – odezwał się z namysłem. – Ile razy uratowałem ci życie?

– Kilka.

Pokiwał głową.

– O co prosiłem cię w zamian?

– O nic – odrzekłem. – Nigdy.

Ponownie pokiwał głową.

– Zgadza się.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

W końcu bardzo cicho się odezwałem.

– Nie wiem, czy wciąż jestem po stronie dobra.

Przełknąłem ślinę.

Michael słuchał.

– Jak to możliwe po tym wszystkim, co zrobiłem? – spytałem.

– A co takiego zrobiłeś?

Odpowiedziałem dopiero po minucie.

– Wiesz o Mab. O tym, czym się stałem. Jaki układ zawarłem.

– Wiem także, że zrobiłeś to, by dzięki tej mocy ocalić swoją córkę.

– Nie wiesz o Susan. – Popatrzyłem mu w oczy. – Zabiłem ją, Michaelu.

Nie wiem, jak wyglądałem, ale łzy nagle stanęły mu w oczach.

– Och, Harry. – Spuścił wzrok. – Przemieniła się, prawda? Co się stało?

– Ten sukinsyn, Martin – odpowiedziałem. – On ją... wrobił. Sprzedał rodzinę, która opiekowała się Maggie. Myślę, że zrobił to, żeby postawić mnie na kursie kolizyjnym z Czerwonym Królem i być może bardziej zaangażować Biały Dwór w wojnę. Ale znał także sekrety Czerwonych. Pracował dla nich. Był kimś w rodzaju podwójnego albo potrójnego agenta – sam nie wiem. Raczej nie miał jakiegoś dalekosiężnego planu... ale dostrzegł swoją szansę. Czerwony Król zamierzał zabić Maggie, by rzucić rytualną klątwę rodową. Klątwa miała zabić mnie i... innych ludzi z mojej rodziny.

Michael uniósł brwi.

– Ale rytuał już się rozpoczął i Martin dostrzegł okazję, by zniszczyć cały Czerwony Dwór. Wszystkich bez wyjątku. Wyznał Susan swoją zdradę, a ona straciła nad sobą panowanie... – Zadrzałem, wspominając tamte wydarzenia. – Przewidziałem to. Dostrzegłem, co on robi. Może mógłbym go powstrzymać... nie wiem... ale tego nie zrobiłem. A on ją zabił. Rozerwał jej gardło. Wtedy... zaczęła się zmieniać i...

– I dokończyłeś rytuał – rzekł cicho. – Zabiłeś ją. Zabiłeś ich wszystkich.

– Najmłodszy wampir na świecie – dodałem. – Całkiem nowy. A oni wszyscy wywodzili się z jednego źródła – zapewne z Czerwonego Króla. Ich własna klątwa ich zniszczyła. Cały ród.

– Wszystkie wampiry z Czerwonego Dworu były zabójcami – rzekł Michael łagodnym głosem. – Każdy z nich w jakimś momencie postanowił odebrać komuś życie, żeby zaspokoić pragnienie. Właśnie dlatego się przemienili. Na skutek własnego wyboru.

– Nie płaczę po Czerwonym Dworze – rzuciłem z pogardą. – Ale skutki ich zniknięcia... Sam nie wiem. Być może żałuję, że nie zrobiłem tego inaczej. Bardziej planowo.

– Historia uczy nas, że nie da się elegancko zburzyć imperium zbudowanego na bólu i strachu.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie.

– Panowało wtedy spore zamieszanie – powiedziałem. – Chciałem po prostu uratować Maggie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Kiedy Susan zaczęła się przemieniać... jak ją obezwładniłeś?

Przez dłuższą chwilę siedziałem w ciszy, próbując zapomnieć tamten moment.

– Ona... ona się zmieniała. Ale rozumiała, co się dzieje.

– Poświęciła się – zgadł Michael.

– Pozwoliła, żebym ją poświęcił – warknąłem w nagłym przypiływie furii. – To różnica.

– Tak – przyznał Michael cicho. – Zapłaciłeś za to wysoką cenę. Musisz nosić to brzemię.

– Pocałowałem ją. A potem poderznąłem jej gardło.

Po moich słowach zapadła cisza.

Michael wstał i położył dłoń na moim ramieniu.

– Harry – odezwał się cicho. – Tak mi przykro. Przykro mi, że stanąłeś przed tak okropną decyzją.

– Nigdy nie chciałem... – Przełknąłem ślinę. – Nie chciałem, żeby to wszystko się wydarzyło. Żeby Susan stała się krzywdą. Żeby układ z Mab stał się faktem. Nie zamierzałem dotrzymać słowa.

W oczach Michaela pojawił się dotkliwy ból.

– Ach – szepnął. – Ciekawiło mnie to... co stało się potem.

– To była moja sprawka – odpowiedziałem. – Wszystko zorganizowałem. Uznałem, że... jeśli zniknę, zanim Mab będzie miała okazję mnie przemienić, wszystko będzie dobrze.

– Pomyślałeś... – Michael nabrał powietrza i usiadł. – Pomyślałeś, że jeśli umrzesz, wszystko będzie dobrze?

– W porównaniu z zostaniem psychotycznym potworem na usługach Mab? – spytałem. – W porównaniu z pozwoleniem, by Czerwoni zabili moją córkę i mojego dziadka? Tak. Uznałem, że tak będzie korzystniej.

Michael na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Pokręcił głową. Potem popatrzył na sufit, a na jego twarzy odmalowała się mieszanka smutku, frustracji i bólu.

– A teraz coś żyje w moim wnętrzu – ciągnąłem. – Popycha mnie, Michaelu. Bezustannie popycha mnie do... robienia różnych rzeczy.

Uważnie mi się przyjrzał.

– A teraz... Na dzwony piekieł, teraz Mab zmusiła mnie do współpracy z Nicodemusem Archleone. Jeśli tego nie zrobię, to coś, co we mnie siedzi, wyrwie się na wolność, zabije mnie i zapoluje na Maggie.

– Co takiego?

– Właśnie tak. Nicodemus zamierza obrabować czyjś skarbiec, a Mab oczekuje, że spłacę jakiś dług, który ona ma wobec niego. Utworzył własną Złą Ligę Zła, żeby wykonać to zadanie, a ja zostałem jej członkiem. Co gorsza,

wciągnąłem w to Murphy i nawet nie wyjawilem jej wszystkiego. Ponieważ nie mogę.

Michael powoli pokręcił głową.

– Mam oczy dookoła głowy, człowieku, i próbuję robić to, co zawsze – chronić ludzi przed potworami – tylko że sam stałem się jednym z nich. Nie mam pojęcia, gdzie mogłem... co innego mógłbym zrobić... – Przełknąłem ślinę. – Pogubiłem się. Dokładnie wiem, jak tutaj dotarłem, ale i tak czuję się zagubiony.

– Harry...

– A moi przyjaciele – ciągnąłem. – Nawet Thomas... Tkwiłem na tej wyspie potępionych przez rok. Cały rok, Michaelu, a oni odwiedzili mnie zaledwie kilka razy. Tylko Murphy i Thomas, pojawili się może sześć razy w ciągu ponad roku. Cholera, to tylko czterdziestominutowy rejs łódką. Ludzie wybierają się dalej do kina. Oni wiedzą, w co się zmieniam. Nie chcą patrzeć, jak to się dzieje.

– Harry – odezwał się Michael cichym, łagodnym głosem. – Jesteś... jesteś...

– Głupcem – szepnąłem. – Potworem. Potępionym.

– ...taki arogancki – westchnął Michael.

Zamrugąłem.

– Przywykłem do pewnej dawki pychy z twojej strony, ale... to nie mieści się w głowie. Nawet według twoich standardów.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Arogancki – powtórzył z naciskiem. – W niewyobrażalnym stopniu.

Przez chwilę tylko mu się przyglądałem.

– Wybacz – powiedział. – Wiem, że oczekujesz ode mnie słów mądrości, może kilku uwag o Bogu, twojej duszy, przebaczeniu i odkupieniu. Oczywiście to wszystko dobre rzeczy, o których warto rozmawiać we właściwym czasie, ale... bądźmy szczerzy, Harry. Nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym nie wskazywał ci, że zachowujesz się jak kompletny idiota.

– A tak jest? – spytałem nieco zbity z tropu.

Przyglądał mi się przez chwilę ze złością i bólem na twarzy. W końcu rozpogodził się, a jego oczy wesoło rozbłysły. Nagle zrozumiałem, po kim Molly odziedziczyła uśmiech. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało coś, co przypominało śmiech.

– Tak, Harry. Ty idioto. Właśnie tak jest.

– Nie rozumiem – odrzekłem.

Popatrzył na nasze puste butelki. Tak się często zdarza z piwami z minibrowaru Maca. Poszedł do lodówki i otworzył następne dwie butelki za pomocą mocy Thora, po czym postawił jedną z nich przede mną. Stuknęliśmy się szyjkami i wypiliśmy po łyku.

– Harry – odezwał się po chwili namysłu. – Czy jesteś idealny?

– Nie – odrzekłem.

Pokiwał głową.

– Wszechwiedzący?

Parsknąłem.

– Nie.

– Czy potrafisz cofnąć się w czasie i zmienić to, co już się wydarzyło?

– Teoretycznie? – spytałem.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Słyszałem, że czasami coś takiego da się zrobić. Ale podobno to skomplikowane. No i nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać – dodałem.

– Więc potrafisz to zrobić?

– Nie.

– Innymi słowy, pomimo całej swojej wiedzy i niesamowitych umiejętności... jesteś tylko człowiekiem.

Zmarszczyłem czoło i pociągnąłem łyk piwa.

– W takim razie dlaczego wymagasz od siebie doskonałości? – spytał Michael. – Naprawdę uważasz, że jesteś lepszy od nas wszystkich? Że twoje moce czynią cię człowiekiem wyższej jakości? Że dzięki swojej wiedzy znajdujesz się na wyższym poziomie egzystencji niż inni ludzie na świecie?

Popatrzyłem na butelkę i poczułem się... zawstydzony.

– To arogancja, Harry – rzekł Michael łagodnie. – Tak głęboko zakorzeniona, że nawet nie zdajesz sobie z niej sprawy. A wiesz, skąd się wzięła?

– Nie?

Ponownie się uśmiechnąłem.

– Ponieważ ustanowiłeś dla siebie wyższe standardy. Uważasz, że fakt posiadania większej mocy zobowiązuje cię do tego, żeby robić więcej.

– Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie – odrzekłem, nie podnosząc wzroku.

Michael parsknął śmiechem.

– Jak na kogoś, kto bezustannie powtarza, że nie ma wiary, zaskakująco sprawnie cytujesz Pismo Święte. Właśnie o tym mówię.

Zerknąłem na niego.

– O czym?

– Nie pakowałbyś się w takie tarapaty, gdyby ci nie zależało.

– I co z tego?

– Potworom nie zależy – odrzekł Michael. – Potępionym nie zależy, Harry. Jedynym sposobem na utratę odkupienia jest jego świadome odrzucenie. Możemy to zrobić tylko wtedy, gdy przestaje nam zależeć.

Kuchnia rozmazała mi się przed oczami.

– Tak sądzisz?

– Powiem ci, co sędzę. Sędzę, że nie jesteś idealny. A to oznacza, że czasami podejmujesz błędne decyzje. Ale... szczerze mówiąc, nie wiem, czy sam postąpiłbym inaczej, gdyby chodziło o życie jednego z moich dzieci.

– Nie ty – odparłem cicho. – Nie zrobiłbyś tego, co ja.

– Nie potrafiłbym tego zrobić – stwierdził Michael. – Poza tym nie musiałem być na twoim miejscu i stać w obliczu takiego wyboru. – Wskazał głową sufit. – Dziękuję za to Bogu. Więc jeśli przyszedłeś po to, żebym cię osądził, Harry, to tak się nie stanie. Ja też popełniam błędy. Zawodzę. Jestem człowiekiem.

– Ale te błędy mogą mnie zmienić – odparłem. – Mogę stać się taki sam, jak ludzie otaczający Nicodemusa.

Michael parsknął.

– Nic z tego.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ znam cię, Harry Dresdenie – odrzekł Michael. – Jesteś chorobliwie uparty. Nigdy się nie poddajesz. Nie wierzę, że naprawdę zamierzasz pomóc Nicodemusowi w osiągnięciu jego celu.

Poczułem, że kącik moich ust wędruje do góry.

– Ha. – Michael wyprostował się na krześle i łyknął piwa. – Tak myślałem.

– To nie jest proste – odpowiedziałem. – Muszę mu pomagać w jego dążeniach. Technicznie rzecz biorąc.

Michael zmarszczył nos.

– Elfy. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tacy z nich legaliści.

– Jestem Rycerzem Zimy i też tego nie pojmuję.

– To dziwnie pocieszające – stwierdził Michael.

Parsknąłem śmiechem.

– Może i tak.

Jego oblicze spoważniało.

– Nicodemus zna się na zdradzie jak ryba na wodzie – rzekł. – Z pewnością wie, jakie masz zamiary. Jest sprytny, Harry. Przetrwał całe wieki.

– To prawda – przyznałem. – Z drugiej strony ja też nie jestem całkiem bezużyteczny.

Jego oczy rozbłysły.

– To także prawda.

– No i mam Murphy – dodałem.

– To dobrze. – Michael dla podkreślenia swych słów stuknął butelką o blat. – Ta kobieta ma zarówno mózg, jak i serce.

Przygryzłem wargę i podniosłem na niego wzrok.

– Ale... Michaelu, ona nie była... przez ostatni rok...

Westchnął i pokręcił głową.

– Harry... czy wiesz, czym ta wyspa jest dla nas wszystkich?

Pokręciłem głową.

– Kiedy ostatnio tam byłem, zostałem dwukrotnie postrzelony – przypomniał.

– Spędziłem miesiąc na intensywnej terapii. Nie wstawałem z łóżka przez cztery miesiące. Nie chodziłem przez prawie rok. Moje biodro i plecy doznały nieodwracalnych uszkodzeń, a z fizycznego punktu widzenia było to najdłuższe, najboleśniejsze i najbardziej dotkliwie upokarzające doświadczenie w całym moim życiu.

– No tak – przyznałem.

– A kiedy te wydarzenia powracają do mnie w nocnych koszmarach, wiesz, co mi się śni?

– Co?

– Wyspa – odrzekł Michael. – Jej... obecność. Wypełniająca ją wrogość. – Zadrżał.

Michael, Rycerz Krzyża, który bez zmruczenia oka stawiał czoło śmiercionośnym duchom, demonom i potworom, drżał ze strachu.

– To okropne miejsce – powiedział cicho. – Wpływ, jaki wywiera... To oczywiste, że ciebie nawet nie tknie, ale ja nie mógłbym tam wrócić z własnej woli.

Zamrugalem.

– Ale wiem, że Molly tam wróciła. A teraz mówisz mi, że Karrin także. No i Thomas. Wielokrotnie. – Pokręcił głową. – To... oszałamiające, Harry.

– Nigdy... nigdy nic nie mówili – odrzekłem. – Co prawda nie zostawali na noc, ale...

– Oczywiście, że nie. Zadręczasz się już zbyt wieloma sprawami, które nie są twoją winą. Ludzie, którym na tobie zależy, nie chcą dodatkowo cię obciążać. – Na chwilę zamilkł. – Ale założyłeś, że chodzi o ciebie.

Dopiłem piwo i westchnąłem.

– Arogancja. Teraz jest mi głupio.

– To dobrze – rzekł Michael. – Każdy czasami powinien tak się poczuć. To pomaga nam zrozumieć, jak wiele jeszcze musimy się nauczyć.

To, co mówił o wyspie, miało sens. Przypomniałem sobie, jaki ogarnął mnie niepokój, gdy po raz pierwszy się tam pojawiłem. Jestem utalentowany i wyszkolony w dziedzinie obrony przed magicznymi atakami, więc instynktownie się osłoniłem, unikając najgorszego. Jak to mag. Wkrótce potem zmierzyłem się z Demonreach w rytualnym wyzwaniu, co pozwoliło mi zostać Strażnikiem i zapewniło ochronę przed jego złą wolą.

Thomas nie był tak wyszkolony i nie dysponował takimi siłami obronnymi. Molly, która była bardziej ode mnie wyczulona na taki rodzaj energii, z pewnością bardzo cierpiała. A Karrin, która już wcześniej padła ofiarą parapsychofizycznego ataku... psiakrew.

Wszyscy cierpieli dla mnie i z mojego powodu, bez choćby jednego słowa skargi – a ja byłem niezadowolony, że nie chcieli przyjąć na swoje barki jeszcze większego ciężaru.

Michael miał rację.

Skupiałem się wyłącznie na sobie.

– Przyszło mi do głowy, że gdybym nie został Rycerzem Zimy... Miałabyś innego osiłka – stwierdziłem. Nawet powiedziała mi, kogo wzięłaby na cel – mojego brata, Thomasa. Zadrzałem na samą myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby pokusy Zimy dołączyły do tych, z którymi już się zmagam. – Ktoś inny musiałby dźwigać to brzemie. Być może ktoś, kogo ono by zniszczyło.

– Dopiero teraz na to wpadłeś? – zapytał Michael. – Pomyślałem o tym pięć sekund po tym, gdy usłyszałem wieści.

Roześmiałem się i sprawiło mi to prawdziwą przyjemność.

– Proszę bardzo – rzekł Michael, kiwając głową.

– Dziękuję.

Byłem mu wdzięczny za wiele rzeczy. Michael to zrozumiał. Skłonił głowę.

– Oczywiście jest jeszcze jeden drażliwy temat, o którym nie wspomnieliśmy. No właśnie.

Maggie.

– Nie chcę, żeby przeze mnie znów stała się celem – powiedziałem.

Michael westchnął.

– Harry – odezwał się, jakby przemawiał do niezbyt bystrego dziecka. – Nie jestem pewien, czy zauważyłeś, ale ostatni potwór, który podniósł rękę na twoje dziecko, nie skończył najlepiej. Podobnie jak jego przyjaciele. Oraz współpracownicy. Oraz wszyscy, którzy dla niego pracowali. Oraz większość ludzi, których znał.

Zamrugalem.

– Niezależnie od tego, czy taki był twój zamiar, wysłałeś wyraźny sygnał do innych drapieżników, którzy mogą dowiedzieć się o tym, co was łączy.

– Sądzisz, że Nicodemus by się zawahał? – spytałem. – Choćby przez sekundę?

– Przed porwaniem jej z tego domu? – spytał Michael z uśmiechem. – Niech tylko spróbuje.

Uniosłem brwi.

– Tuzin aniołów chroni ten dom – rzekł Michael. – To część mojego pakietu emerytalnego.

– Ona nie zawsze jest w domu – zauważyłem.

– Kiedy wychodzi, towarzyszy jej Myszek. Zarejestrowaliśmy go jako jej opiekuna. Chroni ją przed atakami paniki.

Zakrztusiłem się ze śmiechu, próbując wyobrazić sobie Myszka w szkole podstawowej.

– Wywołując takie ataki u wszystkich wokół?

– Jest prawdziwym dżentelmenem – zapewnił Michael wesoło. – Dzieci go uwielbiają. Nauczyciele pozwalają najlepszym uczniom bawić się z nim na przerwach.

Wyobraziłem sobie tego byka na szkolnym podwórku, jak biega za Maggie i innymi dzieciakami z głupkowatym psim uśmiechem na pysku, radośnie przystaje na wszystkie zabawy, poruszając się niezwykle ostrożnie, by nikogo nie skrzywdzić, i bezwstydnie domaga się drapania po brzuchu przy każdej możliwej okazji.

– To wspaniale – przyznałem.

– Dzieci często takie są – odrzekł Michael.

Przygryzłem wargę.

– A co, jeśli... Michaelu, ona tam była. Była w świątyni, kiedy... – Podniosłem wzrok. – A jeśli pamięta, co zrobiłem?

– Niczego nie pamięta – odrzekł Michael.

– Coś takiego... zawsze w końcu wraca.

– Jeśli tak się stanie, to czy nie uważasz, że zasługuje na to, żeby poznać prawdę? – spytał Michael. – Całą prawdę? Kiedy będzie gotowa?

Odwróciłem wzrok.

– To, czym się zajmuję... Nie chcę, żeby odbiło się na niej.

– Ja też nie chciałem, żeby to wpłynęło na moje dzieci – odparł Michael. – Prawie mi się udało. No i nie żałuję swoich decyzji. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby je ochronić. Jestem z tego zadowolony.

– Mój szef stosuje trochę inną politykę.

– To fakt.

– Muszę już iść – powiedziałem. – Czas mnie goni.

– Nie skończyliśmy rozmawiać o Maggie – odrzekł stanowczo. – Ale niedługo wrócimy do tego tematu.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Jest tutaj bezpieczna. Czy jest... szczęśliwa?

– Przez większość czasu – odpowiedział uprzejmie. – To twoja córka, Harry. Potrzebuje cię. Ale chyba nie tak bardzo, jak ty potrzebujesz jej.

– Nie wiem, jak możesz mówić mi coś takiego po tym, co spotkało Molly.

Przekrzywił głowę.

– A co ją spotkało?

– Chyba... chyba słyszałeś o Molly, prawda? – spytałem.

Zamrugnął.

– Ostatnio świetnie sobie radzi. Widziałem się z nią w ostatni weekend. Straciła mieszkanie czy co?

Popatrzyłem na niego z rozpaczą.

O niczym nie wiedział.

Michael nie wiedział, że jego córka została Zimową Panną. Nie powiedziała mu.

– Harry – odezwał się z niepokojem. – Nic jej nie jest?

Na cholerne dzwony piekieł. Nie powiedziała swoim rodzicom?

To w jej stylu. Nie robił na niej wrażenia legion niegodziwych elfów, ale bała się powiedzieć rodzicom o swojej nowej pracy.

Ale to był jej wybór. Nie miałem prawa stawać jej na drodze.

– Nie, wszystko z nią w porządku – rzuciłem pośpiesznie. – Po prostu, po prostu...

– Och... – Na twarzy Michaela pojawiło się zrozumienie. – No tak. Już jest... po wszystkim. Zdołaliśmy się z tym uporać.

Nie byłem pewien, o czym mówi, ale dzięki tej zmianie tematu nie wpakowałem Molly na minę. Postanowiłem popłynąć z prądem.

– Świetnie. W każdym razie jeszcze raz ci dziękuję. Zbyt wiele razy mi pomagałeś.

– Jeśli uznasz, że już wystarczy, grzecznie stuknę cię w głowę.

– Będziesz musiał, żeby to do mnie dotarło – odparłem.

– Wiem. – Wstał i wyciągnął rękę.

Uścisnąłem jego dłoń.

– Michaelu – zagadnąłem. – Czy kiedykolwiek za tym... tęsknisz?

Zmarszczki wokół jego ust i oczu się pogłębiły.

– Za walką? – Wzruszył ramionami. – Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę spędzać czas z żoną i dziećmi.

Zmrużyłem oczy.

– To... nie była odpowiedź.

Puścił do mnie oko. Potem odprowadził mnie do drzwi, podpierając się laską.

Kiedy wsiadłem do samochodu, lodowaty ból w mojej ręce osłabł do mrowienia. Dochodziłem do siebie. Zanim wrócę, wezmę jakieś leki przeciwzapalne, żeby zmniejszyć opuchliznę. Nie czułem bólu, ale to nie oznaczało, że nie powinienem starać się odciążać moc Zimy i zachować siły na później. Z tego samego powodu musiałem zatroszczyć się o kilka przedmiotów.

Cokolwiek zaplanował Nicodemus, miało dojść do skutku w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin, więc musiałem być gotowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dotarłem do rzeźni tuż przed tym, jak wysiadła skrzynia biegów w pożyczonym samochodzie.

Prawdę mówiąc, poprawiło mi to humor. Już dawno nie popsulem żadnego auta za sprawą swojej magiczności. Poza tym nie mogło trafić na sympatyczniejszego faceta. Na chwilę boleśnie zatęskniłem za swoim starym volkswagenem, ale miało to równie mało sensu jak wszystkie inne rzeczy, które robiłem tego dnia. Niebieski Chrabąszcz był niewygodny, ciasny i dziwacznie pachniał, nie wspominając o tym, że poskładano go z części kilku różnych garbusów z końca lat sześćdziesiątych, a ja musiałem wyglądać absurdalnie, gdy siedziałem skulony za kierownicą. Ale to było moje auto i chociaż daleko mu było do wyścigówki, przeważnie mnie nie zawodziło.

Wypchaj się, wypożyczona limuzyno. Wbudowany komputer z GPS-em przetrwał dwie przecznice.

– Jordanie! – huknąłem, wchodząc do budynku. Rzuciłem w stronę giermka Denarian papierową torbę z dwoma cheeseburgerami. – Posil się, kolego. Są gorące, więc uważaj, żeby ser nie poparzył ci język... Och, no tak, przepraszam.

Jordan skrzywił się i zaczął balansować torbą oraz śrutówką, aż w końcu opanował obie. Po przyjacielsku klepnąłem go w ramię i ruszyłem dalej. Wskazałem strażnika na kolejnym posterunku. – Ty nie dostaniesz cheeseburgerów. Nie mówiłeś do mnie miłych rzeczy jak Jordan.

Strażnik w milczeniu patrzył na mnie spode łba. Oczywiście tylko udawał. Nikt nie mógł się oprzeć moim blefom i męskiej charyzmie. W głębi serca marzył o zostaniu moim przyjacielem. Byłem tego pewien.

Kiedy zszedłem do hali, Karrin podniosła wzrok znad długiego stołu całkowicie zapełnionego bronią palną. Śledziła moje kroki z czujnością... a także pewną dozą niedowierzania.

– Harry? – spytała, kiedy zszedłem z ostatniego stopnia.

– A kto inny? – spytałem. – Nie licząc tego palanta Greya, tylko że on jest zbyt zajęty udawaniem Harveya, żeby udawać mnie. – Postawiłem przez Karrin kolejną papierową torbę z Burger Kinga, a następnie upuściłem na podłogę

wyładowany worek marynarski, który zabrałem ze sklepu z demobilem i dźwigałem na ramieniu. – Uznałem, że możesz być głodna.

Zerknęła na torbę ze śmieciowym żarciem.

– Na pewno nie aż tak.

– Chwileczkę, Annie Oakley. Nie wierzę, że powiedziałaś mi coś takiego – odrzekłem. – Prosto w oczy.

Jej usta powoli rozszerzyły się w uśmiechu, a oczy poweselały.

– Harry.

– Chciałem... – Wypuściłem powietrze z płuc. Po rozmowie z Michaeliem czułem się o dwadzieścia ton lżejszy, przynajmniej wewnątrz. – Może i masz rację. – Poczułem, że z mojej twarzy znika uśmiech. – Harvey nie żyje.

Nagle otrzeźwiała i przebiegła po mnie wzrokiem, zatrzymując się na mojej ręce.

– Co się stało?

– Polonius Lartessa pojawiła się razem z oddziałem ghouli i go załatwili – wyjaśniłem. – Chyba że zrobiła to Deirdre. Albo Grey. Kiedy to się stało, musiałem się zmagać z ghoułami.

– Kto ci opatrzył rękę?

– Dobry człowiek.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem uniosła brwi.

– Aha – odezwała się, a jej oczy rozbłysły. – Aha. To wiele wyjaśnia.

– Owszem – przyznałem, lekko balansując na palcach. – Sęk w tym, że ktoś próbuje storpedować naszą akcję, nim zaczęliśmy.

– Cóż za zbrodnia – odrzekła Karrin.

Stęknąłem.

– Jeśli Tessa stara się powstrzymać Nicodemusa, ciekawe, dlaczego to robi.

– Ponieważ jest jej mężem? – zasugerowała oschle.

– To może wywołać żądzę zemsty, nie przeczę – przyznałem. – Ale... sam nie wiem. Nie lubię działać na oślep.

– No to co teraz zrobimy?

Przygryzłem wargę.

– Dla nas nic się nie zmieniło. Chociaż...

– Chociaż co? – spytała.

– Ktoś odpowie za śmierć Harveya, nim to zamieszanie dobiegnie końca – odrzekłem.

– Tak, z tym muszę się zgodzić.

Dokładnie przyjrzałem się stołowi.

– Uzi – zauważyłem.

– To klasyka – stwierdziła. – Proste, godne zaufania, trwałe i nie jest karabinem automatycznym.

To była dobra wiadomość dla niewinnych przechodniów w Chicago. Amunicja do pistoletu maszynowego zazwyczaj nie przebija kilku ścian i nie trafia jakiegoś przypadkowego gościa siedzącego w swoim mieszkaniu w odległości kilku przecznic. To nie znaczy, że taka broń nie jest szalenie niebezpieczna, ale mniej niż AK-47. Nicodemus nie kierował się przezornością. Albo kupił to, co było dostępne, albo miał jakiś powód, by ograniczyć liczbę przypadkowych ofiar.

– Czy oprychy Bindera potrafią się nimi posługiwać? – spytała.

– Tak sądzę – odrzekłem. – Ostatnim razem bardzo szybko przyzwyczaili się do nowej broni. Zapytam Bindera.

– O co zapytasz Bindera? – wtrącił się Binder, który nadszedł z głębi fabrycznej hali. W jednej ręce niósł kanapkę, w drugiej kubek z czymś, co mogło być herbatą.

– O wilku mowa – rzuciłem.

Binder uklonił się grzecznie, kręcąc młynka kanapką.

– Twoi... ludzie – zagadnęła Karrin. – Potrafią się posługiwać uzi czy będą potrzebowali lekcji?

– Poradzą sobie – odrzekł Binder pewnym, a nawet buńczuczным tonem. – Nie każ im rozkładać ani naprawiać broni, a także nie wymagaj zabawnej wymiany zdań przed strzałem, ale nie mają problemów z pociąganiem za spust i przeładowywaniem. – Spojrzenie jego przenikliwych, paciorkowatych oczu zatrzymało się na szynie na mojej ręce. – Ktoś nie potrafi bawić się z innymi?

Nagle zaczął pośpiesznie rozglądać się po rzeźni. Widziałem, że oblicza coś w myślach. Jeden Harry, brak Deirdre, brak Greya.

– Nic im nie jest – powiedziałem. – Napotkaliśmy opór, kiedy poszliśmy po księgowego.

– Chwileczkę – przerwał mi Binder, unosząc dwa palce.

Odwrócił się i odszedł, łapczywie pożerając kanapkę, a po chwili wrócił, prowadząc Hannah Ascher. Ascher zrezygnowała ze swetra na rzecz podkoszulka bez rękawów i wyglądała, jakby przed chwilą zeszała z bieżni. Lekko dyszała, a jej skóra lśniła od potu. Drobinki popiołu przyczepiły się do włosów na jej przedramionach i rozmasały na jednym policzku. Jak zawsze wyglądała straszliwie intrygująco – faceci mogli sobie wyobrazić, jak wygląda podczas...

– No dobrze – odezwał się Binder. – Kontynuujmy.

– Wyśledziliśmy księgowego – powiedziałem. – Nagle pojawiła się żona Nicodemusa z ekipą ghoulów i go zaatakowała. Księgowy zginął.

– Żona to zrobiła? – spytała Ascher.

– Kobiety – rzucił Binder z pogardą.

Karrin i Ascher wbiły w niego wzrok.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Jestem o sto lat starszy od was, młokosy – dodał. – Nie zmienię zdania.

– Jestem pewien, że to nie ja zabiłem Harveya – ciągnąłem. – Intuicja podpowiada mi także, że nie zrobił tego Grey. Ale poza tym wiem tyle samo, co wy.

– Co nie? – zagadnął Binder, porozumiewawczo kiwając do mnie głową. – Kobiety.

Karrin posłała mi bardzo poważne spojrzenie.

Odkaszlnąłem.

– Samica jest bardziej śmiercionośna od samca?

Parsknęła i wzięła do ręki kolejne uzi.

– Nie rozumiem. Dlaczego żona Nicodemusa miałyby krzyżować mu szyki? – spytała Ascher.

– Może chce przejąć tę akcję – zasugerował Binder tęsknym tonem. – Chodzi o kupę forsy.

– Nie – zachnąłem się. – Nie zależy jej na pieniądzach.

– Obawiałem się, że to powiesz – odrzekł. – Sprawa osobista?

– Powiem tylko, że określenie „patologiczna” nawet w niewielkim stopniu nie opisuje tej rodziny.

– Jasna cholera – syknął Binder. – Dlaczego teraz wszyscy muszą się kierować osobistymi motywami? Nikt już nie ma zawodowej dumy. – Storpedował mnie wzrokiem. – Wliczając tu obecnych, do cholery.

– Nie przeklinaj. – Ascher się skrzywiła.

– Odpieprz się – odparł. – Gdzie są Deirdre i Grey?

– Grey podszywa się pod księgowego – wyjaśniłem. – Nie mam pojęcia, co robi Deirdre.

Binder warknął.

– Hej – odezwała się Ascher. – Czy ktokolwiek sprawdzał, ile kóz jest w zagrodzie?

– Osiem – odpowiedzieli jednocześnie Karrin i Binder.

Pośpiesznie policzyłem.

– Zjada po jednej kozie na każdy posiłek.

Wszyscy na mnie popatrzyli.

Wzruszyłem ramionami.

– Coś tutaj jest. Logika tak podpowiada.

Ascher i Binder rozejrzeli się po hali fabrycznej. Ascher skrzyżowała ręce na piersi, jakby nagle zrobiło jej się bardzo zimno.

– Jest duże – zauważyła Karrin spokojnie. – Skoro tyle je.

– Właśnie – przytaknąłem.

– No i ciche.

– Tak.

– I bardzo, bardzo szybkie.

Binder pokręcił głową.

– Jasna cholera.

– Co to jest? – spytała Ascher.

– To może być wiele różnych rzeczy – odrzekł Binder. – Żadna z nich nie jest przyjemna. – Popatrzył na mnie, mrużąc oczy. – Sądysz, że to może być nasz goryl?

– Tam, dokąd się wybieramy, możemy potrzebować istoty o takiej sile – stwierdziłem.

Ascher się skrzywiła.

– Albo ma nas sprzątnąć, kiedy już wykonamy zadanie.

– W takim wypadku nie mielibyśmy szansy się o niej dowiedzieć – oceniła Karrin.

– Chyba że Nicodemus chce, żebyśmy właśnie tak myśleli – wtrącił Binder.

Podobało mi się, że zaczęliśmy się jednoczyć. Im więcej osób zdołam przekonać do przeciwstawienia się Nicodemusowi, gdy wszystko się posypie, tym lepiej.

– Nie zagłębiajmy się w tej króliczej norze – zasugerowałem. – Mamy wystarczająco dużo problemów, nie musimy dodawać do nich paranoi.

– Racja – zgodził się Binder. – Robota za dwadzieścia milionów od łebka, niewidzialny potwór skradający się w okolicy oraz psychotyczna była, która próbuje nam przeszkodzić w nadeptnięciu na odcisk cholernego greckiego boga. Żadnych powodów do popadania w paranoję.

– Słuchajcie, w najlepszym wypadku to oznacza, że Nicodemus nie mówi nam wszystkiego – stwierdziłem.

– To już wiedzieliśmy – odrzekła Ascher.

Wzruszyłem jednym ramieniem.

– W najgorszym wypadku to oznacza, że ktoś z wewnętrznego kręgu przekazuje informacje naszym przeciwnikom.

Ascher zmrużyła oczy.

– Ciekawa uwaga od kogoś, kto sam jest przeciwnikiem.

Machnąłem ręką.

– Na razie gram zgodnie z zasadami. Dostanę się do skarbcza i z niego wyjdę, ponieważ jeśli tego nie zrobię, Mab urwie mi głowę. – Tak naprawdę roztrzaskałaby ją na kawałki, ale nie musiałem przedstawiać szczegółów. – Dopóki nie wykonamy zadania, nie będę próbował wykoleić pociągu.

Ascher nie wyglądała na przekonaną. Binder sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Karrin skończyła przegląd uzi i wzięła do ręki kolejną sztukę.

– Ash, pozwól proszę – odezwał się Binder i wskazał głową drugi koniec hali.

Ascher skinęła głową i razem się oddalili, idąc blisko siebie i rozmawiając po cichu.

Karrin odprowadziła ich wzrokiem.

– Jak, myślisz, o czym rozmawiają? – spytała.

– O tym samym, co my – odrzekłem. – Zastanawiają się, kiedy ktoś zostawi ich na lodzie i jak się z tego wykaraskają w jednym kawałku.

– Albo może sami coś knują – zasugerowała.

– Niewykluczone – przyznałem. – Ale... niczego nie spróbują, dopóki nie będą mieli plecaków wypchanych klejnotami.

– Skąd wiesz?

– Binder. Jest najemnikiem, to bardzo proste.

– Chyba że tylko chce, żebyśmy tak myśleli – odparła Karrin.

– Racja. – Powoli wypuściłem powietrze. – To wszystko będzie się sprowadzało do odgadnięcia, kto nie jest tym, na kogo wygląda.

– A ktoś w ogóle jest? – spytała Karrin, pewnymi ruchami sprawdzając broń.

– Słuszna uwaga – przyznałem. – Ale będziemy musieli rozpoznać motywy pozostałych. Ten, kto sprawniej odczyta pragnienia innych, wygra.

Kąciki jej ust zadrżały.

– W takim razie możemy mieć kłopot. Ponieważ twoje motywy... nigdy nie były tajemnicą, Harry.

– Nie dla ciebie – odrzekłem. – Ale w oczach kogoś takiego jak Nicodemus z pewnością jestem obłąkany.

Karrin parsknęła śmiechem.

– Wiesz co? Chyba masz rację. – Przeładowała uzi, chwyciła wyrzucony magazynek, odłożyła broń na stół i pokiwała głową. – Gotowe. Czterdzieści sztuk.

Stęknąłem.

– Czy dobrze pamiętam, że jakiś gość w Biblii miał czterdziestu żołnierzy, z którymi musiał stawić czoło całej armii?

– Gideon. Miał trzystu żołnierzy.

– Myślałem, że to byli Spartanie.

– Też, ale oni oprócz tych trzech setek mieli ze sobą jakieś cztery tysiące innych Greków.

– Trzystu lepiej się sprawdza w filmie. Więc kto miał czterdziestu ludzi?

– Przez tyle dni i nocy deszcz padał na arkę Noego.

– Aha... Byłem przekonany, że ktoś miał czterdziestu ludzi.

– Alibaba?

– To nie było jego wojsko – odparłem. – On ich okradł.

– Może znów przypominają ci się jakieś kreskówki – zasugerowała Karrin.

– Pewnie tak. – Popatrzyłem na pistolety. – Czterdzieści demonów w garniakach z pistoletami maszynowymi w garści.

Skrzywiła się.

– Właśnie. Będę potrzebowała około trzech godzin, żeby załadować magazynki.

– Kto jest tak twardy, że trzeba go atakować z czterdziestką demonów uzbrojonych w uzi?

Karrin pokręciła głową.

– Może to jakiś obiekt wojskowy?

Stęknąłem.

– Nie zabiera się tylu spluw, jeśli nie zamierza się ich użyć – dodała Karrin. – Jeśli dojdzie do tego, że oprychy Bindera otworzą ogień do ludzi...

– Na pewno nie będziemy beczynnie na to patrzeć – zapewniłem ją.

Pokiwała głową.

– Dobrze. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Czy Mab nie będzie niezadowolona, jeśli się wycofasz?

– Jej Zmrożona Wysokość może się wkurzyć, ale jeśli stwierdzi, że jest zaskoczona, zaśmieje się jej w twarz.

– Ale to może oznaczać, że cię zabije – odrzekła Karrin cicho.

– Może spróbować – odparłem, starając się zabrzmieć buńczucznie.

Karrin odwróciła wzrok, nieco zbyt gwałtownie. Nie musiała powstrzymywać łez, ale przez chwilę wyglądała, jakby była młodsza o dziesięć lat. Pokiwała głową. Miałem wrażenie, że chce coś powiedzieć.

– Karrin? – zagadnąłem.

Pokręciła głową.

– Muszę załadować magazynki.

– Pomóc ci?

– Jasne.

Zabraliśmy się do ładowania stu dwudziestu trzech magazynków dziewięciomilimetrową amunicją. To jakieś trzy tysiące osiemset pocisków. Nawet przy użyciu narzędzi do szybkiego ładowania zajęło nam to sporo czasu.

Pracowaliśmy w całkowitej ciszy, którą od czasu do czasu zakłócali przechodzący strażnicy albo serie delikatnych głuchych uderzeń dobiegających z przeciwnego końca fabrycznej hali, gdzie Ascher zapewne ćwiczyła zakłęcia łamiące.

Kiedy kończyliśmy, z przeciwnej strony dobiegł nas odgłos kroków, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem zbliżającego się Nicodemusa, za którym człapali jego dwaj giermkowie. Deirdre szła obok nich, w swojej ludzkiej postaci, z nieprzyjazną i trudną do odczytania miną.

– Broń gotowa? – spytał Nicodemus, nawet się nie zatrzymując.

– Co do sztuki.

– Doskonale. Zapraszam do stołu konferencyjnego.

– Po co? – spytałem. Moja lewa ręka nie nadawała się do niczego poza przytrzymywaniem magazynków, do których ładowałem naboje, a opuszki palców prawej dłoni miałem obolałe.

Nicodemus minął mnie i obejrzał się przez ramię, zatrzymując wzrok na szynie.

– Grey wrócił. Czas porozmawiać o naszym celu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ponownie zgromadziliśmy się przy stole konferencyjnym, a Anna Valmont wślizgnęła się na krzesło obok mnie.

– Cześć – zagadnąłem. – Jak ci idzie, gumowa kobieto.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się słabo.

– W tej drużynie pełnię rolę człowieka-gumy. To ktoś, kto może dostać się do miejsc, do których nikt inny nie potrafi się wcisnąć. Gumowa kobieta służy do innych celów – dodała kpiąco.

– Jasne – odrzekłem, mrużąc oczy i kiwając głową. – Rozumiem. Więc jak ci idzie, człowieku-gumo?

Valmont cicho zachichotała.

– Muszę przyznać, że chętnie jako pierwsza w historii poradziłabym sobie z jednym z tych potworów od Fernucciego.

– To możliwe?

Powoli pokiwała głową.

– Myślę, że tak.

Grey powoli wszedł do hali i usiadł przy stole, tak samo jak rano.

– Proszę o spokój – odezwał się Nicodemus, kiedy Grey zajął miejsce obok Deirdre. – Szybko się z tym uporamy i zrobimy przerwę na posiłek, jeśli to wszystkim odpowiada.

– Mnie na pewno – odrzekła Ascher. Była bardziej spocona i brudna niż kilka godzin wcześniej, ale wyglądała na wyraźnie zadowoloną z siebie. – Umieram z głodu.

– Doskonale cię rozumiem – powiedział Nicodemus. – Deirdre?

Deirdre ponownie okrążyła stół, rozdając teczki, na których widniał tylko napis CEL.

– Chciałem o coś zapytać – odezwałem się. – Czy ten mistrzowski plan zakłada ubezpieczenie zdrowotne?

– Dresden. – Nicodemus westchnął.

– Ponieważ takie rzeczy będą coraz ważniejsze. Wiem, że rząd zapewne ma dobre zamiary, ale ci wszyscy ludzie, dają słowo.

Nicodemus wbił we mnie wzrok.

– Warto byłoby też pomyśleć o ubezpieczeniu na życie. – Podniosłem wzrok na Ascher i mrugnąłem. – Może powinniśmy ogłosić strajk, dopóki nie dostaniemy pełnego pakietu.

Ascher posłała mi uśmiech.

– Zawsze byłem zdania, że ubezpieczenie to zakład przeciwko sobie – stwierdziła.

– Nie – sprzeciwił się Binder. – Według moich doświadczeń to liczenie na uśmiech losu.

– Dzieci – rzucił Nicodemus. – Czy możemy się skupić na najpilniejszych sprawach?

– Ale jeszcze nie zdążyłem zanurzyć warkoczyków Deirdre w swoim kałamarzu – zaprotestowałem.

Deirdre popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami.

– No dobrze – dałem za wygraną.

– Każde z was potrafi coś, co jest nam potrzebne do osiągnięcia celu – ciągnął Nicodemus. – Posiadłość władcy Podziemnego Świata, skarbiec numer siedem...

– Chodzi o Ha...

– Czy możemy nie wymawiać jego imienia w ciągu następných dwudziestu czterech godzin, panie Dresden? – przerwał mi Nicodemus zboląłym głosem. – Chyba że chcemy, żeby czekał tam na nas wszystkich? Owszem, prawdopodobieństwo, że zwróci na nas uwagę, jest niezwykle małe, ale warto zastosować się do kilku prostych zasad.

– Niech będzie – odrzekłem, chociaż uznałem, że Nicodemus przesadza.

Imię Hadesa pojawiało się w tak wielu książkach i filmach oraz w programach tyłu kursów dotyczących mitologii prowadzonych na całym świecie, że zapewne słyszał je dziesiątki albo setki tysięcy razy każdego dnia.

Za każdym razem, gdy wypowiadamy imię nadprzyrodzonej istoty... zwracamy na siebie jej uwagę, jakbyśmy dzwoniли na jej pager. Gdybym mógł posiadać telefon, który działałby dłużej niż godzinę i starał się zwrócić moją uwagę dziesięć tysięcy razy dziennie, wrzuciłbym to cholerstwo do jakiejś dziury. Potężne nadprzyrodzone istoty, zwłaszcza tak podobne do ludzi jak greccy bogowie, zapewne reagowały w podobny sposób. Ale gdybym kilkakrotnie wspomniał imię Hadesa podczas godzinnej albo dwugodzinnej pogawędki, prawdopodobnie nie wychwyciłby tego pośród reszty hałasu. Aby sygnał dotarł do celu, wymagane było jego rozmyślne i rytmiczne powtarzanie, co najmniej trzykrotne.

Z drugiej strony... zawsze istniało ryzyko, że Hades poczuje, że wypowiadam jego imię, i postanowi zwrócić na mnie uwagę. To nie byłoby wskazane. Dlatego chociaż odgryzłem się Nicodemusowi, postanowiłem się zamknąć.

– Kiedy dostaniemy się do skarbcza w Podziemnym Świecie... – zaczął Nicodemus.

Podniosłem rękę.

– Mam pytanie.

Lewa powieka Nicodemusa zadrgała.

Nie chciałem czekać na jego odpowiedź.

– Planujesz po prostu wskoczyć do skarbcza? Psiakrew, nawet Herkulesowi się to nie udało. Musiał odbyć daleką podróż. Przeżyć przygodę z psem i tak dalej. Naprawdę uważasz, że po prostu ominiemy wszystkie zabezpieczenia otaczające krainę władcy Podziemnego Świata?

To zwróciło uwagę wszystkich, nawet Greya. Popatrzyli na Nicodemusa zainteresowani odpowiedzią.

– Tak – odrzekł ten beznamiętnym tonem.

– Aha – powiedziałem. – Tak po prostu?

– Kiedy znajdziemy się w skarbcu, od naszego celu będą nas oddzielały trzy bramy – dodał Nicodemus, jakby moje pytanie nie było na tyle ciekawe, by poświęcać mu więcej czasu. – Brama Ognia, Brama Lodu i Brama Krwi.

– Fajnie – stwierdziłem.

– Ascher rzecz jasna została wybrana ze względu na swoją biegłość w magii ognia – ciągnął Nicodemus. – Dresden, ty jako Rycerz Zimy oczywiście zajmiesz się Bramą Lodu.

– No tak – odparłem. – Oczywiście. A co z Bramą Krwi?

Nicodemus uśmiechnął się sympatycznie.

Jasne. Stary Nick zapewne przelał więcej krwi niż my wszyscy razem wzięci, nie licząc Deirdre.

– Czego dokładnie wymaga otwarcie każdej z tych bram?

– Gdybym wiedział, nie werbowałbym specjalistów – odparł Nicodemus. – Każde z nas skupi się na konkretnej bramie, a reszta drużyny wesprze te działania, które uzna za istotne. Kiedy się przedostaniemy, znajdziemy się wewnątrz skarbcza. Jest on dosyć duży. Będziecie mieli kilka minut na zabranie tego, na co macie ochotę. Potem zarządzę odwrót. Każdy, kto zostanie w tyle, będzie zdany na siebie.

Ponownie podniosłem rękę, ale nie czekałem na pozwolenie.

– Czego tam szukasz?

– Słucham? – zdziwił się Nicodemus.

– Skarbiec numer siedem to bardzo konkretne miejsce. A ciebie nie obchodzą pieniądze. Dlatego ciekawi mnie, co tak bardzo cię tam pociąga.

– To nie twoja sprawa – odparł Nicodemus.

Parsknąłem.

– A żebyś wiedział. Wszyscy nadstawiamy karku, a jeśli coś pójdzie nie tak, możemy się narazić na gniew bóstwa. Chcę wiedzieć, co jest tego warte, nie licząc dwudziestu milionów. W końcu wiele rzeczy może się posypać. Może ktoś zabije cię po drodze... a może ja postanowię zabrać to coś dla siebie.

Binder mruknął potakująco, a Karrin i Valmont pokiwały głowami. Nawet Ascher sprawiała wrażenie zaciekawionej. Grey z namysłem zacisnęła usta.

– Jeśli polegnę, wy wszyscy już dawno będziecie martwi – odrzekł Nicodemus spokojnie.

– Poproszę o więcej szczegółów – powiedziałem. – Ten układ zaczyna śmierdzieć. Rozsądny człowiek mógłby zrezygnować po tym, co dzisiaj zaszło.

Wokół stołu rozległy się szmery.

– Co się dzisiaj stało? – spytała Valmont.

Opowiedziałem jej o Tessie i jej ghoulach, o Deirdre i Harveyu. Usta Valmont zmieniły się w cienką linię. Wiedziała lepiej od nas, co zostaje ze śmiertelnika po ataku Denerianina, a dwaj z trzech potencjalnych podejrzanych byli Rycerzami Monety.

– To nie ma żadnego znaczenia dla naszej misji – odezwał się Nicodemus.

– A właśnie że ma – odparłem. – Nie wiem, jak wy, ale ja uważam, że ostatnim, czego nam trzeba, jest wplątanie się w sprawę jego szalonej byłej, która szuka zemsty.

– Nie o to chodzi – zaprotestował Nicodemus.

– Więc o co? – spytałem. – Przez całe życie mam do czynienia z Białą Radą i przywykłem do tego, że traktuje się mnie jak grzyba...

– Jak to? – zdziwiła się Ascher.

– Trzyma pod kloszem i karmi gównem – spokojnie wyjaśnił Binder.

– Aha.

– ...ale to już lekka przesada, nawet dla mnie. Prosisz, żebyśmy przystali na twój plan dostania się do niezdożytego skarbcza. Wymagasz, byśmy uwierzyli, że nasz łup będzie czekał tuż obok tego, na co ty masz chrapkę. Chcesz, żebyśmy zaufali, że Tessa nie prowadzi z tobą świętej wojny, przez którą wszyscy zginiemy, ale nie chcesz nam powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. – Popatrzyłem na swoich współników w zbrodni. – Zaufanie wymaga wzajemności, Nicodemusie. Czas dać coś od siebie.

– A jeśli nie, to co zrobicie?

– Być może odejdziemy, pozostawiając twoje puste obietnice, skoro nie masz cienia dowodu na ich poparcie – odrzekłem.

Nicodemus zmrużył oczy.

– Dresden i jego kobieta oczywiście są w tej kwestii zgodni.

Karrin się skrzywiła.

Nicodemus ją zignorował.

– A co z pozostałymi?

– Jest tak, jak powiedział – odrzekła Valmont.

Ascher skrzyżowała ręce na piersiach i zmarszczyła czoło.

Binder westchnął.

– Dwadzieścia... milionów... funtów. Pomyśl, dziewczyno.

– Nie wydamy ich, jeśli będziemy martwi, po tym jak wsadzimy głowę nie tam, gdzie trzeba, i ktoś nam ją utraci – stwierdziła Ascher stanowczo.

Nicodemus pokiwał głową.

– Grey?

Grey przez chwilę trzymał złączone palce przed ustami.

– Niepokoi mnie osobisty aspekt tego incydentu. Takie zadanie wymaga pełnego profesjonalizmu. Bezstronności.

Binder mruknął coś pod nosem, zgadzając się ze słowami Greya.

– Nie zrezygnuję z zadania, którego się podjąłem... przecież wiesz, jak działałam, Nicodemusie – ciągnął Grey. – Ale potrafię zrozumieć, że może to zrobić inny zawodowiec o niższych umiejętnościach i standardach.

Nicodemus przez chwilę przyglądał mu się z namysłem.

– Co zatem radzisz?

– Mag ma trochę racji – rzekł Grey. – Jest irytującym, upartym osłem, ale nie jest głupi. Nie zaszkodzi zdobyć się na odrobinę zaufania, by zrównoważyć to, czego od nas żądasz.

Nicodemus przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem skinął głową.

– Nie należy zatrudniać eksperta, by następnie ignorować jego opinię – przyznał, po czym zwrócił się do pozostałych: – Skarbiec siódmy zawiera, poza typową porcją złota i klejnotów, liczne religijne artefakty zachodniego świata. Zamierzam zdobyć pewien kielich.

– Co takiego? – spytał Binder.

– Kielich – odpowiedział Nicodemus.

– Robimy to wszystko dla jakiegoś kieliszka – upewnił się Binder.

Nicodemus pokiwał głową.

– To proste ceramiczne naczynie, trochę jak filiżanka do herbaty, tylko bez uszka. Dosyć stare.

Opadła mi szczęka, a jednocześnie wydałem odgłos, jakbym się krztusił.

Grey zacisnął usta i przeciągle gwizdnął.

– Chwileczkę – odezwała się Ascher. – Czy ty mówisz o tym, o czym wydaje mi się, że mówisz?

– Jezus Maria – westchnęła Karrin.

Nicodemus skrzywił się w jej kierunku.

– Panno Murphy, proszę.

Posłała mu nieprzyjemny uśmiech.

Binder załapał chwilę później.

– Cholerny Święty Graal? Czy on sobie robi jaja?

Valmont odwróciła się w moją stronę ze zmarszczonym czołem.

– On naprawdę istnieje?

– Owszem – przytaknąłem. – Ale zaginął ponad tysiąc lat temu.

– Wcale nie zaginął – spokojnie poprawił mnie Nicodemus. – Trafił do kolekcji.

– Kielich, do którego zebrano krew Chrystusa – odezwał się Grey z namysłem i wbił wzrok w Nicodemusa. – Do czego może ci się przydać ten starość?

– Ma wartość sentymentalną – odrzekł Nicodemus z prostodusznym uśmiechem i wyprostował cienkie pasma szarego krawata. – Również kolekcjonuję podobne artefakty.

Krawat nie był krawatem w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale kawałkiem starego sznura z Pętlą – tego samego, na którym powiesił się Judasz po zdradzeniu Jezusa, o ile dobrze zrozumiałem. Sprawiał on, że Nicodemusa praktycznie nie dało się zabić. Nie wiedziałem jednak, czy ktokolwiek inny na świecie odkrył to, co ja: że Pętla nie zapewnia ochrony przed nią samą. Ostatnim razem, gdy skrzyżowały się nasze ścieżki, prawie udusiłem Nicodemusa za jej pomocą – dlatego teraz mówił tak chrapliwym głosem.

Odniosłem wrażenie, że Grey nie uwierzył w odpowiedź Nicodemusa, ale i tak go ona zadowolila. Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Proszę bardzo. Dowiedzieliście się czegoś nowego. To wam wystarczy?

– Tessa – odezwał się. – Dlaczego chce ci przeszkodzić w zdobyciu Graala?

– Oczywiście chce go zdobyć dla siebie – odrzekł Nicodemus. – Poradzę sobie z nią, nim zaczniemy działać. Nie wpłynie to na naszą akcję. Macie moją osobistą gwarancję.

Grey rozłożył ręce.

– Proszę bardzo. Mnie to wystarczy. Binder?

Krępy i niski mężczyzna zmrużył oczy i po chwili namysłu powoli pokiwał głową.

– Ash?

– W porządku – odpowiedziała Ascher. – Jasne. Mnie też to wystarczy, na razie.

– Ale... – zacząłem.

Ascher przewróciła oczami.

– Och, nie bądź takim... – Zwróciła się do Bindera. – Zrzęda?

– Zrzęda – potwierdził.

– Nie bądź takim zrzędą, Dresden – powiedziała. – Jestem głodna.

Wiedziałem, że jeśli zmuszę Nicodemusa do ustępstw, osłabię jego władzę, ale jeśli inni staną w jego obronie, to go tylko wzmocni. Nadszedł czas spróbować innego podejścia.

– Nie tylko ty – stwierdziłem i wskazałem zagrodę dla kóz. – Zanim dokądkolwiek się wybiorę, chcę wiedzieć, co porywa zwierzęta.

– Ach – westchnął Nicodemus. – Więc o to chodzi.

– Właśnie o to.

– Czy to ważne?

Storpedowałem go wzrokiem.

– Raczej tak. – Po chwili rozmyślnie podniosłem głos, by niósł się dalej. – Nie wiem, jaką wielką, brzydką, cuchnącą i głupią poczwarę tutaj trzymasz, ale na pewno nie zasługuje na nasze towarzystwo. Zważywszy na nasz cel, nie widzę sensu, żeby zabierać ze sobą bezmyślną górę mięśni.

Grey się skrzywił.

Poczułem to niemal natychmiast. Włoski na moim karku nagle stanęły dęba. Jakąś część mnie ogarnął autentyczny strach, instynktowna reakcja prymitywnego tyłomózgowia: duży drapieżnik wpatrywał się we mnie i miał złe zamiary.

– Wreszcie zwróciłem twoją uwagę – mruknąłem pod nosem, po czym podniosłem głos, zwracając się do Nicodemusa: – Rzecz w tym, że Grey ma rację. Przyszedł czas podzielić się kilkoma szczegółami. Kim jest ostatni członek drużyny?

– Z pewnością nie zamierzałem nikogo przestraszyć – rzekł Nicodemus. – Ale chyba patrzę na sprawy nieco inaczej niż wy, dzieci. Rozumiem wasze obawy.

Gówno prawda. Doskonale wiedział, co robi, przygotowując zagrodę z kozami i zaszczepiając tę ideę w naszych głowach. Od początku chciał, żebyśmy wiedzieli, że trzyma w odwodzie coś wielkiego, złego i niebezpiecznego.

– Jeśli nie macie nic przeciwko – odezwał się – najwyższa pora się przedstawić.

Skóra na moim karku mrowiła, jakby chciała znaleźć bezpieczną kryjówkę. Najpierw poczułem smród. Ciężki, ostry, zwierzęcy – smród dużego stworzenia przebywającego tuż obok. Po kilku sekundach kozy wpadły w panikę, zaczęły biegać tam i z powrotem po zagrodzie i rozpaczliwie meczeć.

– Co, u diabła? – mruknęła Valmont, rozglądając się niepewnie.

Nie wyciągałem szyi tak jak ona. Zamiast tego rozpostarłem swoją świadomość, swoje magiczne zmysły, szukając w powietrzu delikatnych wibracji magicznych energii. Nigdy nie potrafiłem utkać zasłony tak skutecznej, by maskowała woń, ale to nie oznaczało, że taka sztuka jest niemożliwa. Główną słabością tkania zasłon jest fakt, że to nadal magia i ktoś o odpowiednio wyczulonych zmysłach, kto jest przekonany, że ma do czynienia z zasłoną, może odnaleźć źródło magicznej energii, jeśli się postara.

Odnalazłem je po chwili intensywnego skupienia – jakieś trzy metry za sobą.

Swobodnie obróciłem się na krześle, skrzyżowałem ręce, wbiłem wzrok w pustą przestrzeń, z której płynęła energia, i czekałem, starając się sprawiać wrażenie znużonego.

Powoli się pojawiła – całkowicie nieruchoma postać. Przypominała człowieka, ale tylko w ogólnym zarysie. Pokrywały ją warstwy żylastych mięśni o nieludzkich proporcjach – było ich tak wiele, że widziałem je pod grubą warstwą szarawego, potarganego futra pokrywającego całe ciało. Istota miała około trzech metrów wzrostu. Jej potężne ramiona przechodziły w szyję grubą jak pień drzewa, a głowa również miała osobliwy kształt. Była bardziej kanciasta niż ludzka czaszka, miała szerokie czoło i łuki brwiowe przypominające górskie granie. Oczy lśniły głęboko pod brwiami, jak noże zabójcy w jaskini. Stwór miał grubo ciosane, prymitywne rysy twarzy oraz olbrzymie dłonie i stopy. Już kiedyś spotkałem podobne istoty.

– Na gwiazdy i kamienie – szepnąłem.

Masywne brwi uniosły się i opadły. Przez chwilę miałem wrażenie, że w oddali rozległ się grzmot, ale potem uświadomiłem sobie, że ten niemal poddźwiękowy łoskot dobiega z piersi istoty.

Warczała. Na mnie. Przełknąłem ślinę.

– Oto Genoskwa – odezwał się Nicodemus, przerywając pełną oszołomienia ciszę. – On oczywiście zna was wszystkich, ponieważ pojawił się jako pierwszy.

– Całkiem spory – rzekł Binder bardzo łagodnym głosem. – Na czym polega jego zadanie?

– Podzielam obawy Dresdena dotyczące dostępu do skarbcza – stwierdził Nicodemus. – W przeszłości wejść i wyjść z posiadłości naszego celu strzegli potężni strażnicy. Genoskwa zgodził się do nas dołączyć w roli przeciwwagi, na wypadek gdybyśmy napotkali takie zabezpieczenia.

– To ogr? – spytała Ascher.

– Nie, należy do Leśnego Ludu – odpowiedziałem natychmiast.

Warczenie Genoskwy chyba przybrało na sile, ale było tak niskie, że nie miałem pewności.

– Co to za różnica? – spytał Ascher.

– Kiedyś widziałem, jak jeden członek Leśnego Ludu walczy z dwudziestoma ghouliami – odrzekłem. – To nie była równa walka. Gdyby dał z siebie wszystko, żaden z ghoulów by nie przeżył.

Genoskwa parsknął przez nos. Był to odgłos pełen wściekłości i rozpalonej, stężonej nienawiści.

Uniosłem dłonie. Rzadko miewałem do czynienia z taką potęgą, fizyczną, ale nie tylko, jaką wykazał się Rzeką w Ramionach – przedstawiciel Leśnego Ludu, którego kilkakrotnie spotkałem, więc uznałem, że w miarę możliwości warto załagodzić wszelkie konflikty.

– Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Myślałem, że Nicodemus trzyma tutaj trolla. Nie zdawałem sobie sprawy, że to jeden z Leśnego Ludu. Już kiedyś współpracowałem z Rzeką w Ramionach. Może słyszałeś o...

Nawet nie wiem, co się wydarzyło. Zakładam, że Genoskwa się zbliżył i mnie uderzył. W jednej chwili próbowałem nawiązać z nim porozumienie, a już po sekundzie leciałem cztery metry nad posadzką hali fabrycznej, wirując w powietrzu. Zobaczyłem stół konferencyjny, okna, sufit oraz zaskoczony oblicze Jordana, który patrzył na mnie z kładki, a potem grzmotnąłem o ceglana ścianę i światło wypełniło moją czaszkę. Nawet nie zauważyłem, kiedy spadłem na podłogę, a może po prostu tego nie pamiętam.

Pamiętam za to, że stanąłem do walki. Genoskwa przeszedł nad stołem – po prostu zrobił nad nim krok – i zbliżył się do mnie cicho jak kot w trzech długich krokach, poruszając się lekko jak tancerz, mimo że ważył pewnie z czterysta kilogramów.

Posłałem w jego stronę uderzenie Zimy, a on wykonał pogardliwy gest i wypluł jakieś burkliwe, nieprzyjemne słowo. Lód, który powinien go otoczyć, po prostu... wniknął w posadzkę wokół niego. Moja magia spłynęła po stworze jak energia błyskawicy po piorunochronie.

Miałem pół sekundy, by uświadomić sobie, że moja najpotężniejsza broń właśnie odniosła skutek porównywalny z ciosem gąbkową poduszką, a potem Genoskwa ponownie mnie uderzył.

Salta w powietrzu. Kolejny rozbłysk światła po trafieniu w ścianę. Zanim zdążyłem spaść, znalazł się obok mnie, a jego ogromne dłonie wbiły zardzewiały stary gwóźdź w mój lewy mięsień piersiowy.

Kiedy stalowy gwóźdź przebił moją skórę, straciłem kontakt z mocą Rycerza Zimy i znów stałem się tylko sobą.

A to oznaczało ból.

Mnóstwo bólu.

Moc Zimy powstrzymywała między innymi ból złamanej ręki, a kiedy została wyeliminowana, całe cierpienie w jednej chwili zalało mój mózg, przeładowując go dręczącymi doznaniem. Zacząłem się miotać i wrzeszczeć, chwyciłem obiema rękami nadgarstek Genoskwy, starając się odepchnąć jego rękę i gwóźdź, który wciąż trzymał, ale równie dobrze mógłbym próbować przepchnąć budynek. Nie byłem w stanie nawet nim zachwiać, a co dopiero go przesunąć.

Nachylił się – potężny, szary i cuchnący – i zbliżył brzydki pysk do mojej twarzy, ciężko oddychając ustami. Jego oddech śmierdział krwią i zgniłym mięsem. Odezwał się zaskakująco gładkim i łagodnym basem.

– Możesz to uznać za przyjacielskie ostrzeżenie – powiedział z surowym akcentem i goryczą. – Nie jestem mięczakiem z Leśnego Ludu. Jeśli jeszcze raz wymienisz mnie w jednym zdaniu z tym kochającym świstaki kwiatozercą Rzeką w Ramionach, pożrę twoje wnętrze na twoich oczach.

– Frmph – odpowiedziałem. Pomieszczenie wirowało jak w pijackiej wizji w jakiejś zwariowanej kreskówce. – Glngh.

Gwóźdź najwyraźniej także osłabił moc kolczyka Mab. Ktoś wbił mi szpikulce w obie skronie i nagle straciłem oddech.

Genoskwa gwałtownie się cofnęła, jakbym nie był wart jego zainteresowania. Odwrócił się w stronę pozostałych, podczas gdy ja rozpaczliwie szarpałem gwóźdź sterczący z mojej piersi.

– A wy róbcie wszystko, co wam każe Nicodemus – odezwał się do ludzi zgromadzonych przy stole. – W przeciwnym razie uknęę wam głowy. – Napiął potężne dłonie, a ja nagle zauważyłem, że jego palce są zakończone paskudnymi, brudnymi pazurami. – Jestem tutaj od dwóch dni i nikt z was mnie nie zauważył. Wczoraj wieczorem chodziłem za niektórymi z was po mieście. Nikt mnie nie dostrzegł. Jeśli nie wykonacie swojego zadania, nie zdołacie się przede mną ukryć.

Ludzie przy stole wpatrywali się w niego, oszołomieni i milczący, a ja zrozumiałem, że mój plan podważenia władzy Nicodemusa nad drużyną właśnie spalił na panewce.

Genoskwa najwyraźniej był zadowolony z wrażenia, jakie zrobił. Podeszedł do zagrody i chwycił jedną z kóz, jakby ta była przekąską w barze, a nie zwinnym zwierzęciem, rozpaczliwie walczącym, by uniknąć czekającego je losu, po czym skreślił jej kark jedną ręką i zniknął, jeszcze gwałtowniej, niż się pojawił.

Karrin po chwili znalazła się przy mnie i chwyciła gwóźdź drobnymi, silnymi rękami, ale ból był zbyt silny.

Odpływałem.

– No cóż – niewyraźnie usłyszałem głos Nicodemusa. – To była jego kolacja.

Znikałem, znikałem.

Zniknąłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Od bardzo dawna nie byłem w tym miejscu.

To było płaskie, puste podłoże w jakiejś rozległej, otwartej i nieoświetlonej przestrzeni, z jakiegoś powodu pozbawionej echa, jakby nie było ścian odbijających dźwięki. Stałem w kręgu światła, chociaż nie dostrzegałem nad sobą jego źródła.

Ale po raz pierwszy znalazłem się tutaj sam.

– Hej! – zawołałem w pustkę. – Moja podświadomość nie może tak po prostu zniknąć! Jeśli chcesz coś powiedzieć, to się pośpiesz! Jestem zajęty!

– Dobrze, dobrze – rozległ się głos w ciemności. – Już idę. Nie gorączkuj się. Zaszurały kroki, a potem... pojawiłem się ja.

Chociaż to nie do końca byłem ja. Raczej mój sobowtór, mentalny obraz, który pojawiał się już kilkakrotnie w przeszłości i o którym wolałbym nie wspominać psychiatrom, którzy podpisali klauzulę sprawozdawczą. Możecie go nazwać moją podświadomością, moim id, głosem mojego wewnętrznego palanta, nieważne. Był częścią mnie, która rzadko wychodziła na powierzchnię.

Był ubrany na czarno. Miał na sobie skrojoną na miarę czarną koszulę, czarne spodnie i drogie czarne buty. A także bródkę.

Nigdy nie twierdziłem, że moje wewnętrzne „ja” jest szczególnie wyrafinowane.

Oprócz zwyczajowego stroju nosił na lewej piersi spinkę w kształcie płątka śniegu, wykonaną ze srebra z taką dbałością o szczegóły, że można było dostrzec krystaliczne kształty na jej powierzchni. Kurczę. Nie byłem pewien, co to oznacza, ale biorąc pod uwagę, jak mijał mi dzień, zapewne nic dobrego.

Ktoś mu towarzyszył.

Była to niewielka postać, okryta czymś, co przypominało czarny koc z miękkiej wełny. Poruszała się powoli, przygarbiona, jakby straszliwie cierpiała, uwieszona na rękę mojego sobowtóra.

– Eee – odezwałem się. – Co takiego?

Mój sobowtór uśmiechnął się kpiąco.

– Jak to możliwe, że nigdy nie miałeś zielonego pojęcia, co się dzieje w twojej głowie? Zauważyłeś tę tendencję? Nie niepokoi cię ona czasem?

– Staram się za dużo o tym nie myśleć – odparłem.

Parsknął.

– Na dzwony piekiel, to prawda. Musimy porozmawiać.

– Dlaczego nie możesz po prostu zsyłać snów, jak każda podświadomość?

– Próbowałem – odrzekł, naśladowując głos Łosia Superktosia. – Ale ktoś stara się za dużo nie myśleć.

Uniosłem brew.

– Chwileczkę. Tamten... tamten sen z Murphy? To twoje dzieło?

– Wszystkie sny są moim dziełem, durniu – odrzekł mój sobowtór. – Daję słowo, stary, jesteś chyba najbardziej niezaspokojonym człowiekiem na świecie.

– Słucham? Może nie zauważyłeś, ale potrafię zachować zimną krew w każdej sytuacji.

– Nie niespokojnym, kretynie, tylko niezaspokojonym. Seksualnie. Co jest z tobą nie tak?

Zamrugłem urażony.

– Jak to?

– Dobrze ci szło z Susan – odrzekł. – A Anastasia... Kurczę, doświadczenia nie można przecenić.

Poczułem, że się czerwienię, ale przypomniałem sobie, że rozmawiam ze sobą.

– No i co?

– Ale co ze wszystkimi okazjami, które przegapiłeś, tępaku? – spytał. – Miałeś do dyspozycji cień anioła i mogłeś liczyć na wszystkie doznania zmysłowe, jakie tylko sobie wymarzysz, ale czy skorzystałeś z jej propozycji? Nie. Miałeś stale podsuwa ci dziewczyny. Wystarczyłby jeden telefon i zabawiłoby się z tobą kilka nadludzko seksownych sidhe, ale ty wolisz grać w klasy nad klatkami zapomnianych demonów. Cholera, nawet Hannah Ascher dobrałaby się do ciebie, gdybyś zechciał.

– To się nazywa parkour – odparłem usprawiedliwiającym tonem. – A to, że nie idę do łóżka ze wszystkim, co ma waginę, nie oznacza, że jestem niezaspokojony. Nie chcę, żeby to się ograniczało wyłącznie do seksu.

– Dlaczego nie? – spytał mój zszokowany sobowtór. – Idźcie i rozmnażajcie się, do diaska! Pijcie z kielicha życia! *Carpe femme!* Na miłość boską, zabaw się z kimś.

Westchnąłem. Jasne. Moje id nie musiało się przejmować konsekwencjami. To było moje instynktowne, prymitywne oblicze, napędzane najbardziej

pierwotnymi impulsami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy słowa *id* oraz *idiota* mają to samo źródło.

– Nie zrozumiesz tego – odrzekłem. – Musi pojawić się coś więcej niż pociąg fizyczny. Potrzeba szacunku i uczucia.

– Jasne – odparł jadowitym tonem. – Więc dlaczego jeszcze nie przeleciałeś Murphy?

– Ponieważ... – odpowiedziałem, coraz bardziej zbity z tropu. – Jeszcze nie było... Mieliliśmy mnóstwo... Słuchaj, po prostu się odpieprz.

– Ha! – zakrzyknął mój sobowtór. – Najwyraźniej przeraża cię to, że mógłbyś się do kogoś zbliżyć. Boisz się, że zostaniesz zraniony i odrzucony. Znowu.

– Wcale nie – odparłem.

– Daj spokój. Mam stałą łączność z twoim tyłomózgowiem. Mam twoje lęki na płycie blu-ray. – Przewrócił oczami. – Zupełnie jakby ona nie czuła tego samego.

– Murphy niczego się nie boi – odrzekłem.

– Dwaj byli mężowie, z których ostatni ożenił się z jej młodszą siostrą. Równie dobrze mógłby jej wysłać kartkę z wiadomością: „Byłbym tobą zainteresowany, gdybyś nie była taka przebojowa. No i stara”. A ty jesteś cholernym magiem, który będzie żył przez stulecia. Nic dziwnego, że przeraża ją myśl o związaniu się z tobą.

Zmarszczyłem czoło.

– Naprawdę tak uważasz?

– Nie, głupku. Ty tak uważasz.

Parsknąłem.

– No dobrze, koleś, skoro jesteś taki mądry, to powiedz, co mam zrobić.

– Jeśli posiadanie czegoś prawdziwego jest dla ciebie takie ważne, to bądź mężczyzną i ją zdobądź – odpowiedziała moja podświadomość. – Jutro oboje możecie już nie żyć. Wybieracie się do krainy umarłych, na litość boską. Na co jeszcze czekasz, do diabła?

– Eee – odrzekłem.

– Pozwól, że odpowiem za ciebie. – Westchnął ciężko. – Molly.

Zamrugąłem.

– Eee, nie. Molly jest dzieckiem.

– Była dzieckiem – odparł mój sobowtór. – Jeśli zapomniałeś, jak się liczy, przypominam ci, że zbliża się do trzydziestki. Jest niewiele młodsza od ciebie, a proporcjonalna różnica stale się kurczy. Poza tym lubisz ją, ufasz jej i macie mnóstwo wspólnego. Weź się za nią.

– Koleś, daj spokój – oburzyłem się. – Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– To byłoby poważne pogwałcenie zaufania.

– Ponieważ jest twoją uczennicą? – spytał. – Już nie. Na dzwony piekieł, człowieku, tak naprawdę została twoją szefową. A przynajmniej awansowała na wyższą pozycję.

– Nie będę o tym rozmawiał – odparłem.

– Niezaspokojenie i wyparcie – skwitował mój sobowtór zjadliwie. – Marsz do terapeuty.

Postać obok niego cicho się odezwała.

– Racja – przytaknął mój sobowtór. – Mamy niewiele czasu. Murphy wyciąga gwóźdź.

– Czasu na co? – spytałem. – No i kto to jest?

– Serio? Nie zamierzasz ani trochę korzystać ze swojej intuicji?

Skrzywiłem się, ale po chwili szerzej otworzyłem oczy.

– Chwileczkę... Czy to... czy to jest ten pasożyt?

Okryta całunem postać zadrżała i wydała z siebie zbolące stęknienie.

– Nie – odrzekł mój sobowtór. – To istota, którą Mab i ten głupek Alfred nazywają pasożytem.

Kilkakrotnie zamrugałem.

– Co takiego?

– Posłuchaj, stary. Musisz sam to rozpracować. Pomyśl, dobrze? Nie mogę stale do ciebie mówić. Pogranicze snu to moja specjalność, ale musisz wyjść mi naprzeciw.

Zmrużyłem oczy.

– Zaraz. Twierdzisz, że pasożyt tak naprawdę wcale nie jest pasożytem. Ale to oznacza...

– Koło się obraca – odezwał się mój sobowtór tonem komentatora sportowego. – Tłusty, leniwy, stary chomik prawie zapomniał, jak wprawić je w ruch, ale teraz to robi. Odpadają drobinki rdzy. Pajęczyny powoli się zrywają.

– Chrzań się – rzuciłem z rozdrażnieniem. – Jakoś nie pojawiaasz się z mnóstwem dobrych rad, odkąd... – Urwałem i zamilkłem na długą chwilę.

– Ach – westchnął sobowtór i wskazał na mnie, jednocześnie stając na palcach. – Aha! Aha, ha, ha, coś zaczyna ci świtać!

– Odkąd dotknąłem monety Lasciel – wyszeptałem.

– Pójdź za tą myślą – zachęcił mój sobowtór. – Co się stało potem?

– Dotknięcie monety sprawiło, że w mojej głowie pojawił się odcisk Lasciel – ciągnąłem. – Niczym ślad stopy w glinie, o identycznym kształcie jak oryginał. Próbowala mnie skusić, żebym przyjął prawdziwą Lasciel, ale odmówiłem.

Mój sobowtór zakręcił dłonią, zachęcając mnie do mówienia.

– A potem?

– A potem odcisk zaczął się przemieniać. Lasciel była niezmienna, ale jej odcisk był częścią mnie. Sylwetką wyrytą w glinie, która mogła się zmieniać razem z nią.

– I co?

– Nadałem jej imię – odrzekłem. – Nazwałem ją Lash. Stała się niezależną magiczną istotą. Dobrze się dogadywaliśmy, do chwili... – Przełknąłem ślinę. – Do chwili parapsychicznego ataku. Silnego. Zasłoniła mnie przed nim i została zniszczona.

– Tak – zgodził się mój sobowtór cicho. – Ale... zrozum, jej czyn był aktem miłości. A ty byłeś z nią związany najbliżej, jak to możliwe, ponieważ dzieliliście tę samą przestrzeń mentalną. To zabawne, że czujesz się nieswojo na myśl o zamieszkaniu z kobietą, ale nie miałeś problemu z tym, że jedna z nich dosłownie żyła w twojej głowie.

– Co masz na myśli?

– Chryste, to ty powinieneś reprezentować intelekt – zachnął się mój sobowtór. – Pomyśl. – Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, wyraźnie pragnąc, żebym zrozumiał.

Mój żołądek runął w niewyobrażalną otchłań i opadła mi szczęka.

– Nie, to nie... to niemożliwe.

– Kiedy mamusia i tatuś bardzo się kochają – odezwał się mój sobowtór, jakby przemawiał do małego dziecka – mieszkają ze sobą, przytulają się, całują i zbliżają do siebie...

– Jestem... – Zrobiło mi się trochę niedobrze. – Chcesz powiedzieć, że... jestem w ciąży?

Mój sobowtór wyrzucił ręce w górę.

– Nareszcie zrozumiał.

Przez liczne lata działalności jako mag miałem do czynienia z różnymi koncepcjami, formułami i mentalnymi modelami, od dziwacznymi po przyprawiające o obłęd. Ale żadna z nich nie mogła mnie na to przygotować. Ani trochę. Nigdy.

– Jak to... Czy to w ogóle... Co, u diabła, człowieku? – spytałem ostro.

– Duchowy byt – spokojnie odpowiedział mój sobowtór. – Zrodzony z ciebie i Lash. Kiedy ona się dla ciebie poświęciła, był to akt bezinteresownej miłości, a miłość jest siłą stwórczą. Nic więc dziwnego, że akt miłości może się stać aktem stworzenia. Pamiętasz to, prawda? Co się stało po jej śmierci? Wciąż mogłeś grać muzykę, którą ci dała, mimo że odeszła? Słyszałeś echa jej głosu?

– Tak – przyznałem oszołomiony.

– To dlatego, że pozostała jej częśćka – wyjaśnił mój sobowtór. – Stworzona z niej i ciebie.

Bardzo delikatnie pociągnął czarny koc.

Wyglądała na dwanaście lat, czyli doświadczała ostatnich kilku tygodni prawdziwego dzieciństwa, zanim burza hormonów zapoczątkuje łańcuch gwałtownych zmian, które wprowadzą ją w okres dojrzewania. Miała ciemne włosy, tak jak ja, ale jej oczy lśniły krystalicznym niebiesko-zielonym kolorem, który często widywałem w oczach Lash. Miała nieco znajome rysy i nagle instynktownie uświadomiłem sobie, że jej oblicze powstało z twarzy ludzi obecnych w moim życiu. Kanciasty, zrównoważony podbródek Karrin Murphy, zaokrąglone policzki Ivy oraz linia szczęki Susan Rodriguez. Jej nos pochodził od mojej pierwszej miłości, Elaine Mallory, a włosy od pierwszej uczennicy, Kim Delaney. Wiem to, ponieważ to były moje własne wspomnienia.

Niepewnie trzepotała powiekami i dygotała tak mocno, że ledwo trzymała się na nogach. Na jej rzęsach osiadł szron, który zaczynał rozprzestrzeniać się także na policzki.

– Jest bytem duchowym – wyszeptałem. – Mój Boże. Jest duchem intelektu.

– Tak się dzieje, gdy śmiertelnicy zadają się z duchami – potwierdził mój sobowtór z naciskiem.

– Przecież Mab powiedziała, że ona jest pasożytem.

– Wielu ludzi określa tak w żartach płody – odrzekł.

– Mab nazwała ją potworem. Powiedziała, że skrzywdzi moich najbliższych.

– Jest duchem intelektu, tak samo jak Bob. Narodziła się z ducha upadłego anioła i umysłu jednego z najpotężniejszych magów Białej Rady. Przyjdzie na świat pełna wiedzy i potęgi, ale nie będzie miała pojęcia, co z nimi zrobić. Wielu ludzi uznałoby to za potworne.

– Ach! – krzyknąłem i chwyciłem się za głowę.

Już zrozumiałem. Mab nie kłamała. Nie do końca. Psiakrew, nawet powiedziała mi, że pasożyt powstał z mojej esencji. Mojej duszy. Mojej... tożsamości. Duchy intelektu muszą wzrastać, a w mojej głowie jest ograniczona ilość miejsca. Ten wypełniał ją przez lata, powoli się rozszerzając, wywierając na mnie coraz większą parapsychiczną i psychologiczną presję, która dawała o sobie znać w postaci przybierających na sile migren.

Gdybym zdawał sobie sprawę, co się dzieje, mógłbym wcześniej zareagować i wymyślić znacznie łatwiejsze rozwiązanie. Ale teraz... ciąża była przenoszona i zapowiadał się trudny poród. Jeśli nie znajdę pomocy, będę w takich samych tarapatach jak samotna rodząca kobieta, która napotyka komplikacje. Bardzo możliwe, że moja głowa nie wytrzyma gwałtownego oddzielenia się takiej istoty, która wyrwie się na wolność ze zbyt małej przestrzeni, kierując się instynktem przetrwania. Możliwe, że oszaleję albo nawet umrę.

Jeśli tak się stanie, nowo narodzony duch intelektu zostanie zupełnie sam, przerażony światem, którego nie będzie rozumieć, ale o którym będzie bardzo dużo wiedzieć. Duchy takie jak Bob lubią udawać, że są w pełni racjonalne, ale nimi także kierują emocje i przywiązania. Nowy duch będzie szukał więzi. Dlatego spróbuję znaleźć ludzi, którzy byli dla mnie najważniejsi.

Zadrzałem, wyobrażając sobie, jak Maggie zyskuje niezwykle groźną wymyśloną przyjaciółkę.

– Widzisz? – zagrzmiałem. – Teraz już rozumiesz? Właśnie dlatego nie należy sypiać z kim popadnie!

– To ty jesteś mózgiem – odrzekł mój sobowtór. – Wymyśl coś. – Światła zamigotały, a on rozejrzał się na wszystkie strony. – Uch, gwóźdź wychodzi z ciała.

Miał rację. Czuję słabe ukłucie bólu w piersi i słabnące echo cierpienia w głowie. Szron dalej pokrywał dziewczynkę, a ona westchnęła i ugięły się pod nią kolana.

Mój sobowtór i ja pochyliliśmy się i podtrzymaliśmy ją, zanim upadła.

Podniosłem małą. Prawie nic nie ważyła. Nie sprawiała wrażenia groźnej. Wyglądała jak zwykle dziecko.

Zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Szron pokrywał jej ciało cienkimi warstwami. Zakłęcie przenikające kolczyk Mab otuliło ją snem i ciszą, unieruchamiając ją – chwilowo – i zmieniając w piękny biały posąg.

Nawet nie wiedziałem, że tam jest, a przecież byłem za nią całkowicie odpowiedzialny.

Jeśli się nią nie zajmę, zabije mnie, przychodząc na świat.

Podąłem ją ostrożnie swojemu sobowtórowi.

– Dobrze – powiedziałem. – Poradzę sobie.

Przejął ją delikatnie i pokiwał głową.

– Wiem, że jest dziwaczna. Ale to twoje potomstwo. – Jego ciemne oczy rozbliły. – Chroń swoje potomstwo.

Pierwotne instynkty w pełnej krasie.

Wymordowałbym cały naród, żeby obronić swoje dziecko. Właśnie patrzyłem na przyczynę takiego stanu rzeczy. Ten instynkt był także częścią mnie.

Wzięłem głęboki wdech i skinąłem głową.

– Zajmę się tym – obiecałem.

Owinął dziewczynkę kocem i odwrócił się, żeby ponieść ją z powrotem w ciemność. Zabrał ze sobą światło i mrok znów mnie połknął.

– Hej! – zawołał z oddali.

– Co?

– Nie zapomnij o tamtym śnie! Nie zapomnij, jak się skończył!

- Co to znaczy? – spytałem.
 - Ty skończony idioto! – warknął mój sobowtór.
- A potem zniknął wraz ze wszystkim innym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Otworzyłem oczy i zobaczyłem sufit sypialni Karrin. Było ciemno. Leżałem. Światło wpełzało do pokoju pod drzwiami i było dla mnie niemal zbyt jasne.

– Właśnie to staram się powiedzieć – odezwał się Butters. – Nie wiem. Nie ma żadnych oficjalnych wytycznych dotyczących leczenia cholernego Rycerza Zimy. Możliwe, że jest w szoku. Możliwe, że ma krwotok do mózgu. A może po prostu jest bardzo śpiący. Cholera, Karrin, właśnie po to istnieją szpitale i lekarze!

Karrin odetchnęła.

– No dobrze – odpowiedziała bez emocji. – A co możesz mi powiedzieć?

– Ma złamaną rękę – odrzekł Butters. – Dosyć poważnie, sądząc po opuchliznie i sińcach. Ktokolwiek uszkodził tę aluminiową szynę – czyżby opatrywano go w jakimś warsztacie? – odnowił złamanie. Ponownie nastawiłem kość, chyba, i umieściłem rękę w szynie, ale bez odpowiedniego sprzętu nie mogę mieć pewności, czy dobrze to zrobiłem, a taki sprzęt zapewne by wybuchł, gdyby Dresden się do niego zbliżył. Jeśli nieprawidłowo nastawiłem rękę, ta może zostać trwale uszkodzona. – Ciężko westchnął. – Dziura w klatce piersiowej to nic poważnego jak na jego standardy. Gwóźdź nie przebił mięśni. Ale cholerstwo było zardzewiałe, więc mam nadzieję, że Dresden dostał zastrzyki przeciwtężcowe. Zaszyłem ranę i zmyłem krew z gwoździa.

– Dziękuję – powiedziała Karrin.

W głosie Buttersa dało się wyczuć znużenie.

– Tak – westchnął. – Jasne. Karrin... czy mogę ci coś powiedzieć?

– Słucham?

– Ten jego układ z Mab – rzekł Butters. – Wiem, że wszyscy uważają, że dzięki niemu zmienił się w kogoś w rodzaju superbohatera. Ale uważam, że to nie w porządku.

– Widziałam, jak się rusza – odpowiedziała Karrin. – Widziałam, jaki jest silny.

– Ja też – przyznał Butters. – Posłuchaj... ludzkie ciało to zadziwiająca maszyna. Naprawdę. Jest zdolne do niesamowitych wyczynów, o które

większość ludzi go nie podejrzewa, ponieważ jest zbudowane tak, by siebie chronić.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Inhibitory – wyjaśnił Butters. – Każdy człowiek jest mniej więcej trzykrotnie silniejszy, niż mu się wydaje. Pod względem czystej mechaniki typowa gospodyni domowa jest równie silna jak ciężarowiec. Adrenalina może jeszcze bardziej podkreślić nasze możliwości.

Usłyszałem niechęć w głosie Karrin.

– Mówisz o sytuacjach, w których matka podnosi samochód, pod którym jest uwięzione jej dziecko.

– Właśnie tak – zgodził się Butters. – Ale ciało nie może przez cały czas funkcjonować w taki sposób, ponieważ się rozerwie. Po to mamy inhibitory – żebyśmy nie zrobili sobie krzywdy.

– Co to ma wspólnego z Dresdenem?

– Uważam, że cała ta moc Rycerza Zimy tak naprawdę polega na wyłączeniu inhibitorów – stwierdził Butters. – Nie zyskał aż tyle masy mięśniowej. To jedyne rozwiązanie, które ma sens. Ciało jest zdolne do oszałamiających popisów siły, ale z założenia mają to być wyczyny, na które zdobywamy się raz albo dwa razy w życiu, a z powodu braku inhibitorów i zdolności odczuwania bólu Dresden robi to przez cały czas. Co więcej, nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Karrin milczała przez kilka sekund, przyswajając to, co usłyszała.

– Co to dla niego oznacza? – spytała w końcu.

– Im częściej polega na swoim „darze” – odrzekł Butters, a ja usłyszałem w jego głosie, że ujął to ostatnie słowo w cudzysłów – tym bardziej rujnuje swoje zdrowie. Jego ciało ma niezwykle zdolności regeneracji, ale wciąż jest tylko człowiekiem. Ma ograniczenia i jeśli nie zacznie się oszczędzać, w końcu dadzą one o sobie znać.

– Jak myślisz, co się wtedy stanie?

Butters mruknął z namysłem.

– Wyobraź sobie... futbolistę albo boksera, którzy rozsypują się wkrótce po trzydziestce, ponieważ za bardzo obciążali organizm. Taki los czeka Dresdena, jeśli się nie opamięta.

– Jestem pewna, że kiedy mu to wytłumaczymy, chętnie poszuka pracy w bibliotece – odparła Karrin.

Butters parsknął.

– Możliwe, że to samo dotyczy innych procesów w jego ciele – dodał. – Na przykład wytwarzania testosteronu i innych hormonów, co może wpływać na

jego percepcję i osąd sytuacji. Nie jestem pewien, czy on jeszcze dysponuje jakąkolwiek mocą. Podejrzewam, że tylko ma takie wrażenie.

– To fakt czy teoria?

– Teoria oparta na silnych przesłankach – odrzekł. – Bob pomógł mi ją opracować.

Sukinsyn. Nie odzywałem się, tylko przez chwilę nad tym rozmyślałem.

Czy to mogła być prawda? Przynajmniej częściowo?

Przypominało to inny układ, który zawarłem z elfami – kiedy moja matka chrestna, Lea, zaoferowała mi moc, dzięki której miałem pokonać swojego dawnego mentora, Justina DuMorne'a. Potem przez jakiś czas mnie torturowała, zapewniając, że dzięki temu nabiorę siły. Tak się stało, ale z perspektywy czasu zrozumiałem, że sam to sobie wmówiłem.

Czyżby elfy znów sobie ze mnie zakpiły?

Ale przecież... ostatecznie jestem w stanie podnieść cholerny samochód.

Jasne, że tak, Harry. Ale jakim kosztem?

Nic dziwnego, że Rycerze Zimy pełnią tę funkcję dożywotnio. Jeśli Butters miał rację, zaraz po tym, jak odbiera im się tę funkcję, pogrążają się w agonii swoich okaleczonych ciał.

Podobnie jak ja zmieniłem się w pełną bólu galaretę, kiedy Genoskwa wbił we mnie gwóźdź.

– Obawiam się, że on się zmienia – rzekł Butters cicho. – Oraz że o tym nie wie.

– I kto to mówi – odparła Karrin. – Batman.

– To się zdarzyło tylko raz.

Karrin nie odpowiedziała.

– No dobrze, kilka razy – przyznał Butters. – Ale nie wystarczyło, żeby obronić tamte dzieciaki przed zabiciem.

– Kilkoro z nich wyciągnąłeś, Waldo – odrzekła Karrin. – Uwierz mi, to sukces. Przeważnie nie da się zrobić nawet tyle. Ale nie rozumiałeś sedna moich słów.

– Jakiego sedna?

– Odkąd jesteś w posiadaniu czaszki, ty też się zmieniasz – wyjaśniła Karrin. – Współpracujesz z nadprzyrodzoną istotą, która potrafi napędzić mi strachu. Potrafisz robić rzeczy, których kiedyś nie umiałeś. Wiesz rzeczy, których wcześniej nie wiedziałeś. Zmieniła się twoja osobowość.

Przez chwilę panowała cisza.

– Naprawdę?

– Jesteś poważniejszy – zauważyła. – Powiedziałabym, że bardziej... skupiony.

– Tak, odkąd wiem, co tam się naprawdę dzieje. To nie jest wpływ jakiejś siły z zewnątrz.

– Chyba że po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy – odrzekła Karrin. – Wiem o tobie tyle samo, co ty o Dresdenie.

Butters westchnął.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Nie sędzę – odparła. – Chodzi o... decyzje, Waldo. O wiarę. Masz przed sobą zestaw faktów, które można dopasować do kilku różnych prawd. Musisz wybrać, co pokieruje twoimi decyzjami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Możesz pozwolić, by motywował cię strach – odrzekła Karrin. – Może masz rację. Może Dresden zmienia się w potwora bez swojej wiedzy i wbrew swojej woli. Może pewnego dnia zmieni się w coś, co zabije nas wszystkich. Nie mylisz się. Coś takiego może się zdarzyć. Mnie też to przeraża.

– Więc dlaczego się ze mną spierasz?

Karrin na chwilę zamilkła, zanim odpowiedziała.

– Ponieważ... strach to straszliwa i podstępna rzecz, Waldo. Potrafi skazić i splamić wszystko, czego dotknie. Jeśli pozwolisz, żeby wpływał na niektóre z twoich decyzji, wcześniej czy później przejmie nad tobą pełną kontrolę. Postanowiłam, że nie będę żyła w strachu przed tym, że moi przyjaciele zmieniają się w potwory.

– Tak po prostu?

– To zajęło dużo czasu – przyznała. – Ale ostatecznie wolę wierzyć w ludzi, na których mi zależy, niż pozwolić, by moje lęki ich zmieniły, choćby w moich własnych oczach. Podejrzewam, że wcale nie dostrzegasz, co się dzieje z Harrym.

– Jak to? – spytał Butters.

– Tak wygląda człowiek, który walczy o swoją duszę – odrzekła. – Ktoś taki potrzebuje zaufania swoich przyjaciół. Jeśli będziemy patrzeć na niego, jakby był potworem, pomożemy mu się w niego zmienić.

Butters długo milczał.

– Powiem to tylko raz, Waldo – odezwała się Karrin. – Chcę, żebyś mnie wysłuchał.

– Dobrze.

– Musisz zdecydować, po której stronie drogi będziesz szedł – powiedziała łagodnie. – Odwróć się od swoich lęków albo uchwycić się ich i pobiegnij za nimi. W każdym razie musisz dokonać wyboru. Jeśli będziesz próbował iść środkiem, skończysz rozerwany na strzępy.

W głosie Buttersa zabrzmiała gorycz.

– Mam wybrać: my albo oni?

– Nie chodzi o wybranie strony, ale o poznanie siebie. O zrozumienie, dlaczego podejmujesz takie, a nie inne decyzje. Kiedy to zrozumiesz, będziesz wiedział, którądy pójść.

Podłoga zaskrzypiała. Może Karrin się do niego zbliżyła. Wyobraziłem sobie, jak kładzie dłoń na jego rękę.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Waldo. Lubię cię. Szanuję. Myślę, że znajdziesz odpowiedź.

Zapadła długa cisza.

– Andi czeka z posiłkiem – odrzekł w końcu Butters. – Lepiej już pójść.

– Dobrze. Jeszcze raz ci dziękuję.

– Tak... jasne.

Kroki. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Samochód zawarczał, a potem odjechał.

Usiadłem na łóżku i zacząłem wodzić prawą ręką po omacku, aż odnalazłem lampkę. Światło mnie oślepiło. Czuję się nieswojo – zapewne na skutek uderzenia głową o ściany. Ponownie straciłem koszulę. Butters dodał kolejną porcję bandażu i cuchnących antybiotyków do mojej kolekcji medycznych trofeów. Moja ręka znów została obandażowana razem z aluminiowymi szynami i wisiała na temblaku.

Wstałem z łóżka i chwiejnie powlekłem się do drzwi sypialni. Karrin otworzyła je, gdy do nich dotarłem, i przez chwilę przyglądała mi się ze zmartwioną miną.

– Boże, zmieniasz się w potwora – powiedziała. – W mumię. Kawałek po kawałku.

– Nic mi nie jest – odrzekłem. – Prawie.

Zacisnęła wargi i pokręciła głową.

– Jak dużo słyszałeś?

– Wszystko, co nastąpiło po zwyczajowym zastrzeżeniu: „Tak naprawdę nie jestem lekarzem”.

Jej usta drgnęły.

– On po prostu... Martwi się, to wszystko.

– Rozumiem – odrzekłem. – Myślę, że dobrze to rozegrałaś.

W jej oczach zapłonęła iskra.

– Wiem, że tak.

– Batman? – spytałem.

– On chyba... – skrzyżowała ręce na piersi – ...próbował naśladować ciebie. Kiedy ty i Molly zniknęliście z miasta, na ulicach zrobiło się niebezpiecznie.

Ludzie Marcone'a zaczęli walczyć z Fomorami w obronie swojego terytorium, ale ich ochrona kosztuje. Nie każdy może sobie na nią pozwolić.

Skrzywiłem się.

– Psiakrew – mruknąłem. – Przekłęta Mab. Mogłem tutaj wrócić już wiele miesięcy temu.

– Waldo robi, co może. A może więcej niż większość ludzi, skoro ma czaszkę.

– Bob nigdy nie miał być używany w terenie – odparłem. – Jest bardzo wartościowy, dopóki nie zwróci na siebie uwagi. Kiedy zostanie zidentyfikowany, wrogowie będą mogli stawić mu opór albo go ukraść, a wtedy staną się znacznie potężniejsi. Właśnie dlatego starałem się nie wynosić go z laboratorium.

– Fomory zaczęły porywać dzieci w ostatnie Halloween – oznajmiła Karrin. – Sześciolatek. Prosto z ulicy.

Skrzywiłem się i spuściłem wzrok pod wpływem jej upartego spojrzenia.

– Coś wymyślimy – powiedziała. – Jesteś głodny?

– Umieram z głodu.

– Chodź.

Poszedłem za nią do kuchni. Wyjęła dwie pizze Pizza 'Spress z piekarnika, gdzie trzymała je, żeby nie ostygły. Ledwie zdążyła je postawić na stole, zacząłem się łapczywie obżerać. To była moja ulubiona pizza. Niezbyt dobra, ale moja ulubiona, ponieważ przez długi czas tylko na nią mogłem sobie pozwolić i do niej przywykłem. Miała dużo sosu i mało sera, a mięso pojawiało się w śladowych ilościach, ale skórka była gruba, gorąca, krucha i wypełniona smakołykami, które powoli cię zabijały.

– Prezent dla ciebie – odezwała się Karrin.

– Mmmmnghf? – spytałem.

Rzuciła na stół teczkę.

– Od Gary'ego Paranoika, Obywatela Paranetu.

Przełknąłem kęs i powstrzymałem się przed odgryzieniem kolejnego.

– Tego samego, który w zeszłym roku załatwił łodzie? Wariata, który ma rację?

– Właśnie od niego – potwierdziła Karrin.

– Ha – mruknąłem, żując pizzę. Otworzyłem teczkę i zacząłem przeglądać zadrukowane kartki z rozmazanymi obrazami.

– To z Iranu – powiedziała Karrin. – Gary twierdzi, że przedstawiają funkcjonującą elektrownię atomową.

Na zdjęciach niewątpliwie znajdowała się jakaś instalacja, ale nie potrafiłem jej rozpoznać.

– Myślałem, że one mają wielkie wieże.

– Podobno są pogrzebane wewnątrz tego wzgórza za budynkiem – wyjaśniła Karrin. – Zobacz ostatnie kilka zdjęć.

Na ostatnich stronach instalacja wyglądała inaczej. Słupy czarnego, tłustego dymu wydobywały się z kilku budynków. Na innym zdjęciu na ziemi leżały ciała żołnierzy. A na ostatniej fotografii, na zboczu wzgórza, które spowijała biała mgła albo para wodna...

Trzy postacie stały naprzeciwko siebie. Jedną z nich był potężny mężczyzna ubrany w długi płaszcz. W jednej dłoni trzymał lekko zakrzywiony miecz, starą kawaleryjską szablę, a w drugiej śrutówkę ze spiłowaną lufą. Miał ciemną skórę i chociaż jego głowa nie była gładko ogolona jak ostatnim razem, gdy go widziałem, nie dało się go pomylić z nikim innym.

– Sanya – powiedziałem.

Jedyny Rycerz Krzyża na świecie stał naprzeciwko dwóch rozmazanych postaci. Obie były w ruchu, jakby szarżowały na niego. Jedna rozmiarami i kształtem przypominała dużego goryla. Drugą pokrywała gruba warstwa piór, które nadawały jego humanoidalnej sylwetce osobliwie zmierzwiony wygląd.

– Magog i Zmierzwione Pióra – wyszeptałem. – Na dzwony piekiel, Monety to podstępne bestie. Kiedy zrobiono te zdjęcia?

– Niecałe sześć godzin temu, przynajmniej tak twierdzi Gary Paranoik. Denarianie coś knują.

– Tak – zgodziłem się. – Deirdre mówiła, że Tessa miała być w Iranie. To ma sens.

– Dlaczego to ma sens?

– Nicodemus chce tutaj przeprowadzić akcję – odrzekłem. – Wie, że po świecie biega tylko jeden Rycerz. Dlatego posyła Tessę i jej załogę na drugą stronę kuli ziemskiej, żeby narobili tam zamieszania. Powiedzmy, że Gary ma rację i Iran dysponuje działającym reaktorem nuklearnym. Jeśli stanie się z nim coś złego, skutkiem będzie natychmiastowy kryzys, zarówno lokalny, jak i międzynarodowy. Oczywiście w celu jego zażegnania wyśle się Rycerza, który przez to nie będzie mógł na czas dotrzeć do Chicago.

Karrin w milczeniu myślała o moich słowach, a ja wróciłem do jedzenia.

– Więc chcesz powiedzieć, że jesteśmy zdani na siebie – odezwała się w końcu.

– A złoczyńców jest coraz więcej i więcej – dodałem.

– Masz na myśli Genoskę.

– Tak.

Karrin zadrżała.

– Tamta istota... to naprawdę Wielka Stopa?

– Raczej jakaś jej zmutowana mordercza odmiana – odrzekłem. – W ogóle nie przypomina zwykłego Leśnego Ludu.

– Nie wierzę – skrzywiła się Karrin.

– To wcale nie jest dziwniejsze od wielu innych...

– Nie o to chodzi – przerwała mi. – Nie wierzę, że spotkałeś Wielką Stopę i nigdy mi o tym nie powiedziałaś. Przecież to prawdziwe sławy.

– Są bardzo skryci – odrzekłem. – Kiedyś wykonałem kilka zleceń dla jednego z nich, nazywał się Rzeką w Ramionach. Polubiłem go. Nie puściłem pary z gęby.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Potem wstała i wyszła z kuchni, a po chwili wróciła z wyrzutnią rakiet i wielkim futerałem na pistolet. Odłożyła wyrzutnię.

– To bez problemu załatwi coś o rozmiarach Wielkiej Stopy – stwierdziła.

Otworzyłem i zamknąłem usta.

– No tak – przyznałem. – Dobrze.

Skinęła głową, co nie do końca oznaczało „A nie mówiłam?”.

– Lubię dysponować siłą ognia, która pozwoli mi sobie poradzić w każdej sytuacji. – Położyła futerał na blacie i pchnęła go w moją stronę. – A to dla ciebie.

Wziąłem futerał i otworzyłem go nieco niezdarnie, używając prawie wyłącznie jednej ręki. Wewnątrz znajdował się pękaty pistolet, który zbudowano z takiej ilości metalu, że skojarzył mi się z nafaszerowanym sterydami kulturystą o posturze gargulca. To cholerstwo można by osadzić na wieżyczce pojazdu pancernego. W środku tkwiło kilka pocisków, każdy wielkości mojego kciuka.

– Co to jest, do diabła? – spytałem, uśmiechając się promiennie.

– „Smith & Wesson” pięćset – odpowiedziała. – Krótka lufa, ale te pociski są przeznaczone do polowania na grubego zwierza. Jeśli ten wielki szary brzydal znów będzie chciał ci udzielić przyjacielskiej rady, ty udziel mu dwudziestopięciogramowej odpowiedzi.

Zagwizdałem, ważąc broń w dłoni i podziwiając jej masę.

– Złamałem już jeden nadgarstek, a ty dajesz mi coś takiego?

– Po prostu poddaj się odrzutowi – poradziła. – Dasz sobie radę. – Położyła dłoń na palcach mojej lewej dłoni wystających z temblaka. – Załatwimy to. Poradzimy sobie z Nicodemusem i wydobędziemy tego pasożyta z twojej głowy. Zobaczysz.

– No tak – odrzekłem. – Z tym będzie pewien problem.

– Jak to?

– Nie możemy zabić pasożyta. Musimy go ocalić.

Karrin popatrzyła na mnie z miną pozbawioną wyrazu.

– Co takiego?

– No, eee... Posłuchaj, on nie jest tym, za co go uważałem. Moja choroba także.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Nie? Więc co dokładnie ci dolega?

Powiedziałem jej.

– Chodź! – zawołałem. – Wstawaj.

Siedziała na podłodze, kołysząc się w tył i w przód i zanosząc się śmiechem. Talerz z pizzą wylądował obok niej, kiedy kilka minut temu spadła z krzesła.

– Przestań – powiedziała. – Nie rozśmieszaj mnie.

Byłem już nieco poirytowany, a także zażenowany. Moja twarz piekła, jakby poparzyło ją słońce.

– Cholera, Karrin, za dwadzieścia minut mamy być w rzeźni. Chodź, to nie jest aż takie śmieszne.

– Żebyś widział... – wydyszała, chichocząc – ...swoją wyraz... twarzy.

Westchnąłem, mruknąłem coś pod nosem i poczekałem, aż się uspokoi.

Zajęło jej to tylko dwie minuty, chociaż jeszcze kilka razy wybuchała śmiechem, zanim wreszcie podniosła się z podłogi.

– Skończyłaś? – spytałem, odwołując się do jej poczucia godności.

Niemal natychmiast rozchichotała się na nowo.

To było bardzo nieprofesjonalne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zanim wróciliśmy do rzeźni, zaszło słońce i nastał zimny, mroczny wieczór. Pojawiła się drobna mżawka, a temperatura spadła na tyle, że miasto zaczęło się pokrywać cienką warstwą lodu.

– Burza lodowa – zauważyła Karrin, gdy zaparkowała samochód. – Doskonale.

– Przynajmniej ludzie zostaną w domach – stwierdziłem.

– Jeśli źle nam pójdzie, ucierpi mniej niewinnych gapiów – zgodziła się. – Czy to Mab znów majstruje przy pogodzie?

Zmrużyłem oczy, wyglądając za okno.

– Nie – odrzekłem natychmiast, instynktownie pewny odpowiedzi. – To typowa zima w Chicago. Mab nie obchodzi niewinni gapie.

– Ale może chce zapewnić ci przewagę.

Parsknąłem.

– Mab pomaga tym, którzy pomagają sobie sami.

Karrin uśmiechnęła się niewyraźnie.

– To, co zrobiłeś przeciwko Genoskwie... Zaatakowałeś go magią.

– Tak.

– Chyba nie podziałało.

– Nie – przyznałem. – Trafiłem go swoją najlepszą bronią, którą otrzymałem od Mab. Wszystko spłynęło po nim na ziemię.

– Spłynęło? – zdziwiła się Karrin. – Jak po piorunochronie?

– Właśnie tak – odrzekłem. – Leśny Lud zna magię i jest absurdalnie potężny, ale rozumie ją inaczej niż ludzie. Osobnik, którego znałem, używał magii wody w sposób, o jakim nigdy nawet nie słyszałem. Z kolei Genoskwa... mam wrażenie, że używa w taki sam sposób magii ziemi. Na poziomie, o którym nie mam pojęcia.

– Udaj, że ja też nic nie wiem o magii ziemi, i wyjaśnij mi to w skrócie – poprosiła Karrin.

– Rzuciłem na niego najpotężniejsze bojowe zaklęcie, jakie znam, a on zneutralizował je bez najmniejszego problemu. Jestem pewien, że będzie

w stanie to robić na zawołanie.

– Jest odporny na magię? – spytała Karrin.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli wyczuje, że ta się zbliża, i zdąży zareagować – odrzekłem. – Co każe mi przypuszczać, że wcale nie jest taki bystry.

– Po co zdradzać taką tajemnicę, skoro nie zamierzał cię zabić?

– No właśnie – przyznałem. – Może mnie przecenił i założył, że o tym wiedziałem. Tak czy inaczej, teraz już wiem.

– Racja – przytaknęła Karrin. – A to ci daje przewagę. Następnym razem nie będziesz tracił czasu na atakowanie go magią.

Zadrzałem, myśląc o szybkości i sile tej istoty oraz o tym, jak mało się mnie obawiała. Dotknąłem rękojeści swojego nowego rewolweru, który załadowany spoczywał w kieszeni płaszcza.

– Przy odrobinie szczęścia nie będzie następnego razu.

Karrin odwróciła się gwałtownie w moją stronę z poważną miną.

– Harry – odezwała się cicho. – Ten stwór chce cię zabić. Wiem, jak to wygląda. Nie oszukuj sam siebie.

Skrzywiłem się i odwróciłem wzrok.

Zadowolona, że wyraziła swoje zdanie, Karrin pokiwała głową i wysiadła z samochodu. Zawiesiła jedną ze swoich kosmicznych spluw (nazwała ją Kriss) na uprząży pod płaszczem, tak że prawie nie było jej widać, gdy się poruszała. Podeszła do bagażnika, rozejrzała się na wszystkie strony, a następnie wyjęła wyrzutnię raket i zarzuciła ją sobie na ramię. W ciemności i deszczu broń przypominała ochronną tubę, jakich używają artyści, długą na około metra.

– Naprawdę sądzisz, że go z tego trafisz? – spytałem.

– Taka broń wystarczy, żeby go załatwić – odpowiedziała. – Jeśli to będzie konieczne.

Zmrużyłem oczy pod wpływem mżawki.

– Zaczynam mieć dosyć tej roboty. – Westchnąłem.

– No to doprowadźmy ją do końca – odpowiedziała Karrin.

Tym razem, gdy wkroczyliśmy do budynku, Jordana nie było na służbie. Może dostał wolne, żeby trochę się przespać. A może Nicodemus był pewny, że przewycięzę warunkowanie chłopaka i go przekabacę, więc przesunął go na mniej wrażliwy posterunek. Tak. Na pewno.

Kiedy weszliśmy, większość ekipy już czekała przy stole konferencyjnym. Nawet Genoskwa stał na widoku, chociaż krył się w plamie ciemności, która upodabniała go do olbrzymiego kudłatego cienia. Brakowało tylko Nicodemusa i Deirdre – zauważyłem tę drugą na kładce, skąd w milczeniu spoglądała na stół, przy którym Binder z ożywieniem opowiadał jakąś anegdotę albo żart.

Sprawiła wrażenie... niespokojnej. Nie zrozumcie mnie źle – dziewczynę, która odgryza facetom języki, trudno nazwać spokojną, ale teraz Denarianka wyglądała na szczerze zaniepokojoną lub zdenerwowaną.

Karrin zauważyła, na kogo patrzę.

– Nie możemy sobie pozwolić na kolejną niewiastę, Dresden – powiedziała.

– Nie o to chodzi – odparłem.

– Jasne.

– Tak naprawdę myślałem sobie, że ona wygląda na niepewną – ciągnąłem. – Może to dobry moment, żeby zapytać ją, jak zginął Harvey.

Karrin cmoknęła z namysłem.

– Będę przy stole.

– Dobrze.

Zeszła po schodach, a ja powoli ruszyłem kładką w stronę Deirdre.

Kiedy się do niej zbliżyłem, podniosła na mnie beznamiętny wzrok, ale po chwili znów spojrzała na pomieszczenie w dole.

– A wtedy spytałem... – Binder zachichotał, najwyraźniej zbliżając się do puenty – ...w takim razie po co się tak ubrałaś?

Hannah Ascher parsknęła serdecznym śmiechem, a Anna Valmont zawtórowała jej nieco ciszej. Nawet Grey się uśmiechnął, przynajmniej odrobinę. Wyglądało to osobliwie w zestawieniu z jego mało charakterystycznymi rysami twarzy.

Deirdre patrzyła na nich wszystkich z obojętną miną, jak naukowiec obserwujący bakterie. Na chwilę przeniosła wzrok na mnie i lekko zeszywniała.

– Dlaczego zabiłaś Harveya? – spytałem, jak przystało na wirtuoza przesłuchań.

Patrzyła na mnie przez kilka sekund, a następnie skupiła się na Karrin, która zbliżała się do stołu. Zapadła cisza, w której wszyscy przyglądali się jej uzbrojeniu. W końcu Grey wstał i żwawo zaproponował, że pomoże jej z wyrzutnią rakiet, jakby to był płaszcz. Karrin mu pozwoliła i posłała znaczący uśmiech w ciemność, w której czał się Genoskwa.

– Nie zabiłam księgowego – odpowiedziała Deirdre cicho. – Nicodemus zabronił.

To nieco mnie zaskoczyło. Gdyby chciała coś przede mną ukryć, nie musiała kłamać. Wystarczyło milczeć.

– Wszystkim nam to powiedział – odparłem. – Może tobie na osobności wydał inne instrukcje.

– Nie zrobił tego – odrzekła. – Moja matka zabiła go za pomocą zaklęcia, które nazywa Krwawym Skalpelem.

– Cięcia wyglądały jak twoje dzieło – odparowałem.

– Poderżnięte gardło to poderżnięte gardło, magu.

Trudno się nie zgodzić.

– A ty ruszyłeś za nią w pogoń.

– Owszem, chciałam jej... chciałam z nią porozmawiać.

– Co miała ci do powiedzenia?

– To sprawy osobiste – odparła Deirdre.

Zmrużyłem oczy.

Coś tu nie grało. Deirdre mówiła o matce bez żadnych emocji, a doświadczenie podpowiadało mi, że to niemal niemożliwe. Psiakrew, toksyczna relacja z matką wywierała ogromny wpływ nawet na Maeve. Jeśli Tessa naprawdę próbowała uprzedzić męża i córkę w wyścigu po Świętego Graala, powinno to wzbudzać w Deirdre jakieś uczucia. Frustrację, irytację, strach, złość, rezygnację, cokolwiek.

Na pewno nie taką obojętną, chłodną jasność umysłu.

Tessa wcale nie szukała Świętego Graala.

Co innego mogło nią kierować?

Deirdre podniosła wzrok i uważnie mi się przyjrzała.

– On wie, że zamierzasz go zdradzić.

– No to jesteśmy kwita – odparłem.

– Wcale nie – zaprzeczyła takim samym nieobecny tonem. – Nic z tego. Dziesiątki razy widziałam, jak rozrywa na kawałki mężczyzn i kobiety znacznie potężniejszych od ciebie. Nie masz szans, żeby go oszukać, przechytryć ani pokonać. – Oznajmiła to jak niepodważalny fakt. – Mab także zdaje sobie z tego sprawę.

– Więc po co mnie posłała?

– Pozbywa się ciebie, nie narażając się przy tym twoim sojusznikom. Niemożliwe, byś się łudził, że jest inaczej.

Jej słowa wywołały u mnie zimny dreszcz.

To... mogło mieć sporo sensu. Jeśli Mab postanowiła, że jednak nie będzie korzystała z moich usług, byłem jej niepotrzebny, jednak wielu ludzi dobrze o mnie myślało i mogło narobić jej kłopotów, gdyby postanowili mnie pomścić.

Oczywiście Mab inaczej grała w tę grę. Kiedy coś postanowiła, zawsze osiągała cel, niezależnie od okoliczności, i przejmowała kontrolę nad sytuacją. Zapewne chciała, żebym zrobił to, po co mnie posłała, ale nie wspomniała, że

moja ewentualna porażka nie zaboląaby jej za bardzo. Gdybym okazał się zbyt niekompetentny, by spełniać jej wolę, uznałaby mnie za kłopot, którego należy się pozbyć – najlepiej bez narażania się moim sojusznikom. Nicodemus wzięłby na siebie winę za moją śmierć, a Mab byłaby wolna i mogłaby wybrać nowego Rycerza.

Poczułem, że moja szczeka na zmianę zaciska się i rozluźnia. No cóż. Nie powinienem się spodziewać niczego innego. Mab przypominała matkę, która uczy dzieci pływać, wrzucając je do jeziora. Wszystkie nasze wspólne doświadczenia tak wyglądały – wóz albo przewóz.

– Zobaczmy – odrzekłem.

Uśmiechnęła się, bardzo łagodnie, a następnie odwróciła, by obserwować stół w dole. Grey siedział obok Karrin i coś do niej mówił z uśmiechem na twarzy, a ona mrużyła oczy, ale na jej ustach także czaił się uśmiech. Grey potrafił ją rozbawić.

Palant.

– Chciałbyś mnie zapytać o coś jeszcze? – spytała Deirdre.

– Tak – odrzekłem cicho. – Po co?

– O czym mówisz?

Powiodłem dookoła ręką.

– Po co to wszystko? Po co to robisz? Odgryzasz języki, mordujesz podwładnych i tak dalej? Dlaczego ktoś robi coś takiego?

Zamilkła. Cisza po chwili stała się uciążliwa.

– Powiedz mi, dziecko – odezwała się w końcu. – Jaka relacja w twoim życiu trwała najdłużej?

– Eee... – Zawahałem się. – Chodzi ci o to, kiedy się rozpoczęła? Czy jak długo trwała?

– Wszystko jedno.

– Może z moim mentorem w Białej Radzie – odrzekłem. – Poznałem go, kiedy miałem szesnaście lat.

– Widujesz się z nim codziennie? Rozmawiasz z nim, pracujesz?

– No nie.

– Aha – mruknęła. – A ktoś bardziej ci bliski? Kto dzieli z tobą życie.

– Miałem kilka dziewczyn. Mam kota.

Jej usta wykrzywił kpiący uśmieszek.

– Tymczasowe partnerki i kot. Jeden kot.

– Ale za to wspaniały.

– Z tego wynika, że nigdy nie dzieliłeś z nikim swojego życia przez dłuższy czas. Najbardziej zbliżyłeś się do tego, gdy ofiarowałeś dom i uczucia istocie, która jest ci całkowicie poddana i podlega twojej kontroli.

– Nie podczas kąpieli...

Nie zrozumiała żartu.

– Angażowałaś się tylko w krótkotrwałe relacje. Ja z kolei u boku Nicodemusa patrzyłam, jak powstają i upadają imperia. Nazywaś go moim ojcem, ale żadne słowa nie oddadzą tego, czym jesteśmy. Bo niby jak? Słowa śmiertelników nie są w stanie objąć czegoś, czego śmiertelnicy nigdy nie doświadczą ani nie poznają. Stuleci wiary, współdziałania i zaufania, pracy, życia i walki ramię w ramię. – Jej usta wykrzywił kpiący uśmiech. – Nie masz pojęcia, czym jest prawdziwe oddanie, dziecko. Dlatego nie jestem w stanie wytłumaczyć ci, dlaczego robię to, co robię.

– A do czego według ciebie razem dążycie? – spytałem.

– Walczymy, żeby ocalić świat – odpowiedziała z całkowitą szczerością.

Jeśli to była prawda, to tego dnia nie spotkało mnie nic dziwniejszego.

– Przed czym? – spytałem.

Uśmiechnęła się, bardzo delikatnie, a potem zamilkła.

Nie naciskałem. Zresztą nie miałem już ochoty jej słuchać.

Wycofałem się i dołączyłem do pozostałych przy stole.

– ...kolację – mówił Grey. – Oczywiście zakładając, że po wszystkim będziemy żywi i paskudnie bogaci.

– Z pewnością odmówię – odrzekła Karrin figlarnym tonem. – Czuję się przy tobie nieswojo, Grey.

– Goodman – poprawił ją Grey. – Powtórz za mną. „Goodman”.

– Byłam policjantką przez dwadzieścia lat, Grey – odparła Karrin. – Potrafię rozpoznać fałszywe nazwisko.

Usiadłem obok Karrin, wyjąłem z kieszeni nowy rewolwer i położyłem go na blacie w zasięgu ręki.

– Cześć – odezwałem się do Greya.

Grey popatrzył na mnie, a potem na broń.

– Czy on robi takie rzeczy dla ciebie? – zwrócił się do Karrin.

– Będziesz musiał bardziej się postarać i być mniej przewidywalny – odrzekła. – Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że trochę do ciebie postrzela. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak ktoś dostaje kulkę z tej bestii.

Grey usiadł na swoim krześle, zerkając na mnie kwaśno.

– Stary, wchodzisz mi w drogę.

W odpowiedzi wziąłem do ręki potężny rewolwer.

– Jeszcze nie – odparłem i odciągnąłem kurek kciukiem. Zamiast zwykłego szczęku rozległ się złowieszczy trzask. – Dopiero teraz.

Przy stole zapadła cisza. Anna Valmont zrobiła wielkie oczy.

– Poddaję się – odrzekł Grey, lekko kiwając głową. – No cóż, nie zaszkodziło zapytać, prawda?

– Jej z pewnością nie zaszkodziło – zgodziłem się grzecznie. – Murphy, mam go i tak zastrzelić?

Karrin z namysłem postukała się palcem w usta.

– Muszę przyznać, że jestem cholernie ciekawska. Ale to trochę nieprofesjonalne, skoro się wycofał.

– Słyszałeś? – spytałem Greya.

– Ale z was dzikusy. – Pokręcił głową, mruknął coś pod nosem i wstał od stołu, po czym zajął miejsce niedaleko Genoskwy, który się nie sprzeciwił. Skinęli do siebie głowami i zaczęli cicho rozmawiać w języku, którego nie rozpoznałem.

Ostrożnie opuściłem kurek i odłożyłem rewolwer. Przy stole długo panowała cisza, aż w końcu Binder odezwał się wesołym tonem, jakby nawet na chwilę nie przerywał.

– No więc byłem w Belize z trzydziestoma małpami, pandą i karłowatym słoniem...

Zaczął opowiadać historię, którą wszyscy przy stole uznali za wymyśloną, chociaż on sam upierał się, że każdy szczegół jest prawdą, gdy nagle Nicodemus wszedł do budynku awaryjnymi drzwiami na parterze, wpuszczając podmuch zimowego powietrza i zamarzającej mgły. Uzupełnił swój strój o długi płaszcz, który teraz upuścił na podłogę, zmierzając w naszą stronę. Jego cień sunął po posadzce obok niego, jak zwykle zbyt duży i nie do końca zsynchronizowany z sylwetką.

– Dobry wieczór – odezwał się i zasiadł u szczytu stołu. – Panie i panowie, proszę o uwagę. Magu Dresdenie, czy mógłbyś zapoznać nas pokrótce z naturą Ścieżek i sposobem ich otwierania?

Zamrugalem, gdy oczy wszystkich zwróciły się na mnie.

– Cóż, mówiąc najprościej, Ścieżki to przejścia między światem śmiertelników a niektórymi częściami Nigdynigdy, czyli świata duchów. W każdym miejscu w tym świecie można otworzyć jakąś Ścieżkę, jeśli ktoś wie, jak to zrobić. Ścieżka prowadzi do miejsca, które ma coś wspólnego z punktem wyjściowym w świecie śmiertelników. Na przykład, gdybyśmy chcieli otworzyć Ścieżkę do Piekła, musielibyśmy znaleźć najbardziej piekielne miejsce w tym świecie. Gdybyśmy natomiast zechcieli dotrzeć do najbardziej spokojnego zakątka Nigdynigdy, powinniśmy wyruszyć z jakiegoś spokojnego miejsca. To tyle. Chicago jest znakomitym punktem wyjściowym dla Ścieżek, ponieważ stanowi ogromne skrzyżowanie. Można się stąd dostać praktycznie wszędzie.

– Dziękuję – odrzekł Nicodemus. – Naszym celem jest otwarcie Ścieżki prowadzącej do chronionego obiektu, w którym znajduje się nasz cel. – Odebrał duży rulon papieru od jednego z giermków, który pośpiesznie do niego podszedł. – Mając to wszystko na uwadze, z pewnością zrozumiecie, dlaczego zaczniemy naszą akcję właśnie tutaj.

Szybkim ruchem nadgarstka rozwinął rulon.

Naszym oczom ukazał się arkusz z planem jakiegoś budynku. Zmarszczyłem czoło i wbiłem w niego wzrok, ale nie wyglądał znajomo.

Karrin się zakrztusiła.

– Murph? – spytałem.

– Ach – rzekł Nicodemus z uśmiechem. – Znasz to miejsce.

– To skarbiec – powiedziała Karrin, podnosząc na mnie wzrok. – Skarbiec, który należy do jednego z lordów podziemnego świata.

Poczułem ucisk w miejscu, które już i tak było napięte.

– Och – westchnąłem. – Na dzwony piekieł.

Binder wskazał mnie kciukiem.

– O co mu chodzi? – zapytała Karrin.

Karrin dotknęła palcem planów.

– To budynek Capristi – wyjaśniła. – Drugie najlepiej strzeżone miejsce w mieście. – Wzięła głęboki wdech. – To mafijny bank. Należy do Dzentelmena Johna Marccone, sprzymierzonego barona Chicago.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Obawiałem się, że stanie się coś takiego, chociaż miałem nadzieję, że Nicodemus wymyśli lepszy sposób dostania się do celu. Na przykład podpali budynek z nami w środku, licząc na to, że w ostatniej sekundzie otworzy się Ścieżka. To byłoby mniej ryzykowne.

Marcone był niebezpieczny.

„Dzentelmen” Johnnie Marcone wspiął się na szczyt struktur mafijnych w Chicago, kiedy po raz pierwszy przybyłem do miasta, i od tamtej pory rządził nimi żelazną ręką, starając się uczynić zorganizowaną przestępczość bezpieczniejszą i wydajniejszą, upodabniając ją do biznesu. Udało mu się. Nie brakowało gliniarzy, którzy uważali, że ma większe wpływy od rządzących, ale wszyscy milczeli, ponieważ Marcone miał na swoich usługach także mnóstwo policjantów.

Kilka lat temu zdobył tytuł lorda na włościach w ramach Przymierza, dokumentu, który stanowił podstawę cywilizowanych relacji między nadprzyrodzonymi narodami. Był pierwszą istotą ludzką, która tego dokonała, i jak dotąd zdołał utrzymać Chicago w garści jako jego baron.

Chociaż trzeba przyznać, że przez większość tego czasu nie było mnie w mieście.

Mimo wszystko uważałem, że lepiej z nim nie zadzierać, chyba że ktoś był gotowy na walkę na śmierć i życie. Marcone dowodził armią bandziorów i wynajętych zabójców, wśród których nie brakowało prawdziwych fachowców. Dysponował niewielkim oddziałem Einherjaren, nieumarłych wikingów, którzy potrafili skutecznie rozprawić się z najbardziej wrednymi twardzielami, jakich widziałem na oczy. Pracowała dla niego także co najmniej jedna walkiria, a on sam był bezwzględny, inteligentny i nieustraszony.

Uważałem, że wejście mu w drogę było niemal równie niebezpieczne jak wejście w drogę samemu Hadesowi. Ale powiedziałem tylko:

– O rany.

– Jakiś problem, panie Dresden? – spytał Nicodemus.

– Z Marcone’em lepiej nie zadzierać – odrzekłem. – Poza tym jest członkiem Przymierza.

– Ale ja nie jestem – odparł Nicodemus. – Już nie.

– A ja owszem – powiedziałem. – Podwójnie. Jako mag Białej Rady i Rycerz Zimy.

– Jestem pewien, że Biała Rada będzie oszołomiona i rozczarowana, jeśli sprzeciwisz się ich zasadom – zakpił Nicodemus. – A jeśli chodzi o Mab, to podczas tej akcji jesteś tylko moim narzędziem. Wszelkie zobowiązania wobec Przymierza możesz uzgadniać ze mną.

Miał rację w obu kwestiach, co mnie zdenerwowało.

– Chodzi mi o to, że Marcone’a nie wolno lekceważyć – dodałem. – Jeśli go zaatakujemy, to nam odda. Mocniej.

– Zaiste – zgodził się Nicodemus. – Cieszy się znakomitą reputacją. Jeszcze kilkaset lat temu byłby doskonałym monarchą.

Dobry król John Marcone? Zadrzałem na samą myśl.

– Powiedzmy, że uda nam się wbić do tego budynku. W porządku. To zapewne wykonalne. Nieco trudniej będzie się wydostać, ale nawet jeśli tego dokonamy, to jeszcze nie będzie koniec. On nam tego nie zapomni ani nie daruje.

– Dresden ma rację – wtrąciła się Karrin. – Marcone nie toleruje intruzów na swoim terytorium. Koniec kropka.

– Zrobimy to, co do nas należy – odpowiedział Nicodemus spokojnie. – Jeśli to będzie konieczne, po zakończeniu misji rozważymy rekompensatę dla barona. Myślę, że zdołam go przekonać, że przyjęcie zadośćuczynienia będzie dla niego korzystniejsze niż osobiste dochodzenie sprawiedliwości.

Wymieniłem spojrzenia z Karrin i zauważyłem, że pomyślała to samo co ja.

Nicodemus całkiem niedawno porwał Marcone’a, gdy wcielał w życie jedną ze swoich intryg. Byłem wtedy jeszcze winien kilka przysług Mab, więc posłała mnie, żebym wydostał barona na wolność. Zapamiętałem go jako bezbronnego więźnia. Ten obraz utkwiał mi w pamięci.

On nigdy tego nie zapomni. Niektórych rzeczy nie da się kupić. Jedną z nich jest uniknięcie zemsty Dżentelmena Johnniego Marcone’a.

Jeśli Karrin i ja weźmiemy w tym udział, wypowiemy wojnę baronowi Chicago.

– Co o tym sądzisz? – spytałem.

Karrin była bystra. Doskonale wiedziała, o czym mówię.

– Kiedyś musiało do tego dojść.

– Jasne – odrzekłem.

– Nie rozumiem – odezwał się Binder. – Jeśli to biznesmen, dlaczego po prostu nie zaproponujemy mu udziału w zyskach?

– Zasadna uwaga – przyznał Nicodemus. – Ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, w skarbcu znajdują się przedmioty należące nie tylko do naszego celu. Marcone słynie z neutralności w sprawach współczesnego nadprzyrodzonego świata. Svartalfheim, Biała Rada, Drakul i wiele innych potężnych podmiotów powierzyło mu część swojego majątku na przechowanie, a on dał słowo, że będzie strzegł tych dóbr.

– Otóż to – rzuciłem do Bindera. – Facet nie będzie się targował. Jest żądnym krwi dupkiem, ale dotrzymuje słowa.

Binder rozparł się na krześle ze zmarszczonym czołem.

– A drugi powód?

– Gdyby nas wpuścił, zmieniłoby to naturę tego miejsca – wyjaśniłem, zanim Nicodemus zdążył odpowiedzieć. – Próbuje otworzyć Ścieżkę prowadzącą do zazdrośnie strzeżonego skarbcu. Zapewne nie uda nam się tego zrobić w skarbcu, który jest powszechnie dostępny.

– No właśnie – zgodził się Nicodemus. – Niektóre systemy bezpieczeństwa będą wymagały zastosowania bardzo konkretnych środków, ale jestem przekonany, że uda nam się dostać do budynku. Inną kwestią będzie utrzymanie się w nim do czasu wykonania zadania i ujście cało, ale tutaj liczę na pana Bindera i jego współników.

Binder mruknął coś pod nosem i nachylił się nad mapą.

– Jak długo będę musiał utrzymać budynek?

– Najwyżej godzinę – odrzekł Nicodemus.

– Jeśli nikt nie będzie manipulował czasem, kiedy będziemy w drodze między światami – dodałem.

Nicodemus zrobił kwaśną minę.

– Tak czy inaczej, skończymy w ciągu godziny. – Wskazał jedną z części planu. – Oto drzwi do głównego skarbcu. To zadanie dla panny Valmont...

– Chwileczkę – wtrącił się Binder. – Jeśli zostawicie mnie w roli odźwiernego, to jak mam zgarnąć swój worek klejnotów? Nie mogę przejść do Nigdyngdy i zostawić tutaj swoich chłopaków. To zerwałoby łączność między nami. Nie zrobię tego za gołe honorarium.

– Niech pańska partnerka napełni dwa plecaki – zaproponował Nicodemus. – Obiecuję osobiście przynieść pańską część łupu i przekazać ją panu po powrocie. Jako że mam największe szanse na przetrwanie, może nie licząc pana Greya, taki układ zapewni panu największe szanse na otrzymanie wynagrodzenia.

Binder zmrużył oczy i wyprostował się na krześle, najwyraźniej rozważając propozycję.

– Co o tym sądzisz, Ash?

Hannah Ascher wzruszyła ramionami, co każdy pełnokrwisty heteroseksualny samiec uznałby za fascynujące. Nie tylko ja.

– Jeśli zaufasz mi, że zabiorę twoją część łupu, to nie mam nic przeciwko.

Binder mruknął i powoli pokiwał głową.

– Lubię te czerwone.

– Będę pamiętała – obiecała Ascher.

Leniwie podrapałem swędzący kark.

– Więc na czym polega to całe zamieszanie z otwarciem drzwi przez Valmont? No i po co wciągnęliśmy w to tego biedaka Harveya?

– Ten biedak Harvey był naszym głównym pomocnikiem w Chicago – odrzekł Nicodemus ze współczuciem lecącego pocisku. – Dysponował dostępem do skarbcza, który jest zabezpieczony najlepszymi dostępnymi na rynku drzwiami oraz tak zwanym skanem siatkówki. Skan siatkówki...

– Wiemy, co to jest skan siatkówki – przerwała mu Ascher zniecierpliwionym tonem. – Ale po co ci to potrzebne? Dlaczego nie wysadzisz skarbcza, tylko zmuszasz Greya, żeby podszył się pod tego gościa?

– Z tego samego powodu, o którym już wspomniałem – odrzekłem. – Staramy się dostać do pilnie strzeżonego skarbcza, a nie do takiego, który wyleciał w powietrze. Jeśli zbyt zmienimy to miejsce w naszym świecie, zakłócimy przebieg Ścieżki do Nigdy. – Zerknąłem na Nicodemusa i stuknąłem palcem w plan. – Nasz cel ma tutaj swój prywatny skarbiec?

– Właśnie. To zabezpieczone pomieszczenie wewnątrz głównego skarbcza. Jedna z kilku lokacji, w których gromadzi nowe elementy swojej kolekcji – dodał Nicodemus.

Musiałem to przyznać Nickowi: Dobrze przemyślał całą akcję i uporządkował wszystko, jak trzeba, by nasza magia zadziałała.

– Więc najpierw musimy się przedostać do głównego skarbcza?

– Przez dwie pary drzwi przeciwwłamaniowych, którymi panna Ascher zajmie się za pomocą nowo opanowanego zaklęcia – odrzekł Nicodemus. – Dzięki temu unikniemy uruchomienia czujników sejsmicznych w skarbcu, które mogą spowodować całkowite zamknięcie budynku, co zmusiłoby nas do zastosowania znacznie bardziej destrukcyjnych metod, by dostać się do środka.

Pokiwałem głową.

– Następnie Valmont otworzy drzwi do głównego skarbcza, a Grey dostanie się do prywatnego pomieszczenia zabezpieczonego skanerem siatkówki.

Zamrugąłem i popatrzyłem na Greya.

– Nawet jego siatkówkę, poważnie?

Grey podniósł na mnie wzrok ze swojego miejsca w cieniu i uśmiechnął się skromnie.

Zadrzałem.

– Bardzo dziwny z ciebie człowiek – powiedziałem i obejrzałem się na Nicodemusa. – Widzę tu potencjalny problem.

– Tak?

– Marcone nie jest tępy. Nieraz miał do czynienia z nadprzyrodzonymi zdolnościami. Wie, że wcześniej czy później stawię mu czoło. Rzadko popełnia błędy i zawsze się na nich uczy. Zabezpieczy się nie tylko przed fizycznym, ale także nadnaturalnym atakiem.

– W jaki sposób? – spytał Nicodemus.

– Na jego miejscu zainstalowałbym system, który wyłącza wszystkie elektroniczne gadzety i zamyka skarbonki, gdy tylko ktoś zakłóci układ elektryczny w budynku, co może się zdarzyć, kiedy Ascher i ja zaczniemy używać magii – odpowiedziałem. – Tan naprawdę postarałbym się, żeby reagował w ten sposób na nawet najmniejszą ilość magii.

– Bardzo sprytne – przyznał Binder. – Do tego niezbyt trudne do osiągnięcia. Wystarczy rozmieścić w całym budynku czułe układy elektroniczne, które łatwo popsuć.

– Na przykład takie jak w telefonach komórkowych – dodałem. – One rozpadają się na kawałki, kiedy mag chociaż na nie spojrzy.

– Tak – odrzekł Binder, kiwając głową. – Ja sam mogę z nich korzystać, ale z trudem. A odkąd zacząłem się zadawać z Ash, zawsze noszę wyłączoną komórkę.

– Zakładając, że taki... antymagiczny alarm istnieje, jak mamy sobie z nim poradzić? – spytał Nicodemus.

– Dla mnie to żaden problem – stwierdził Binder. – Nie aktywuję go. Ale w przypadku tej dwójki, musielibyśmy...

Posłałem Binderowi kwaśne spojrzenie i ponownie potarłem swędzący kark.

– Wybacz, stary – rzekł Binder. – Cierniowe kajdany – zwrócił się do Nicodemusa. – Wiesz, o czym mówię?

– Mam jakieś na składzie – odpowiedział Nicodemus. – Ale moje wyprodukowały ciemne elfy. Są stalowe. Myślę, że powinny wystarczająco stłumić zdolności pana Dresdena i panny Ascher. To prostsze niż trzymanie was obojga pod bieżącą wodą.

Uśmiechnął się kpiąco, gdy to mówił. Kiedyś trzymał mnie skutego łańcuchem pod lodowatym strumieniem, żeby uniemożliwić mi wykorzystanie moich talentów do ucieczki lub innych niecnych celów. Gdyby inny dobry człowiek nie oddał się w jego ręce w zamian za mnie, mógłbym tam umrzeć. Cierniowe kajdany były rzadko spotykanymi magicznymi pętami, które pełniły taką samą funkcję, tłumiąc moc maga i czyniąc go bezużytecznym.

Poza tym ich noszenie cholernie bolało. A jeśli kajdany Nicodemusa działały tak samo, ale były wykonane ze stali, to sprawiłyby mi o wiele większy ból, ze względu na sposób, w jaki funkcjonowały.

Odpowiedziałem na jego kpiący grymas lodowatym uśmiechem.

Binder mówił dalej, ignorując spojrzenia, które wymieniliśmy z Nicodemusem, albo ich nie zauważając.

– Kiedy oni dwoje dostaną się do środka, przed zdjęciem kajdan trzeba ich otoczyć kręgiem, żeby powstrzymać nadmiar energii. To powinno pomóc.

– Tak... – mruknął Nicodemus z namysłem. – Musimy zmienić plan dotyczący wejścia do skarbcza. Dresden nie będzie mógł odwrócić uwagi strażników. Konieczne będą bardziej... jawne metody – dodał, zerkając na Genoskwę.

W ciemności pod oczami olbrzyma pojawił się blady żółty blask.

Na dzwony piekieł, on się uśmiechał.

Karrin posłała mi spojrzenie. Pomyślała to samo co ja: Genoskwa nie odwróci niczyjej uwagi, najwyżej urwie temu komuś głowę. W zależności od tego, kiedy wejdziemy do banku, może tam przebywać dowolna liczba ludzi nieświadomych jego ukrytego przeznaczenia. Nawet ochroniarze zatrudnieni w budynku niekoniecznie muszą wiedzieć, dla kogo pracują. Zresztą nie miałem ochoty pozwolić, żeby coś takiego jak Genoskwa pożarło nawet najgorszego bandziora na rozkaz Nicodemusa.

Ponownie pomasaowałem szyję.

– Nie trzeba, poradzę sobie.

– Słucham? – zdziwił się Nicodemus.

– Hałaśliwe odwrócenie uwagi? Zajmę się tym. Nie ma sensu pokazywanie zbyt wcześnie naszej tajnej broni, jeśli to nie jest konieczne, prawda?

Nicodemus uśmiechnął się słabo.

– Jak to zrobisz, magu? Bez swoich zdolności?

– I tak nie miałem zamiaru ich używać – odparłem. – Komuś mogłaby się stać krzywda. Biała Rada niechętnie patrzy na stosowanie magii w takich okolicznościach, a ja muszę myśleć o swojej przyszłości. Chcesz czegoś głośnego i oczywistego? Żaden problem.

Z cienia dobiegł dudniący głos Genoskwy.

– To mięczak.

– Raczej bystrzak – odparłem ostro. – Im mocniej uderzymy, wchodząc, tym mocniej Marcone nam odda, gdy będziemy wychodzić. Poza tym, jeśli narobimy gnoju, pojawią się gliny. Po Chicago gania trzynaście tysięcy funkcjonariuszy, ale z pewnością nasza ósemka sobie z nimi poradzi, czyż nie?

Genoskwa nisko warknęła.

– Nie boję się ich.

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Właśnie dlatego przez ostatnie dwa dni krążyłeś wokół nas niewidzialny. Ponieważ nie bałeś się pokazać.

– Panowie – wtrącił Nicodemus nieco nerwowym głosem. Następnie zmarszczył czoło i przekrzywił głowę, jakby starał się rozpoznać jakiś odległy dźwięk.

Ascher nagle podniosła wzrok i zamarła w trakcie drapania się po rękę.

– Dresden? Czujesz to?

Swędzenie na karku zmieniło się w niepokojącą świadomość bycia obserwowanym. Zamknąłem oczy i sięgnąłem na zewnątrz swoimi pozostałymi zmysłami, starając się wyczuć magię w powietrzu. Niemal natychmiast odnalazłem ślad zaklęcia podsłuchu.

Ascher już nas wydała za sprawą swojego komentarza, więc nie było sensu owijać w bawełnę.

– Ktoś nas podsłuchuje – wyszeptalem, wstając z krzesła.

– Skąd? – rzucił Nicodemus.

Ascher wskazała przeciwległy koniec rzeźni.

– Jest tam, niedaleko. Chyba zaraz za ścianą.

Doznanie błyskawicznie ustąpiło, jakby zaklęcie przestało działać, ale zdążyłem odnaleźć jego źródło. Była to magiczna wersja pluskwy, którą ktoś podłożył, żeby nas podsłuchiwać.

– Binder! – czym prędzej zawołał Nicodemus.

Binder już wyjął z kieszeni marynarki drucianą obręcz. Przeszedł na pusty fragment hali, strzepnął nadgarstkiem i drut rozłożył się w okrąg o średnicy niemal metra. Upadł na posadzkę i wypełnił się bursztynowym światłem, gdy Binder wypowiedział kilka słów.

Binder był lichym czarownikiem, ale jedną sztuczkę opanował znakomicie – potrafił przyzwać z Nigdy nigdy niewielką armię istot, które z jakiegoś powodu były posłuszne jego woli. Przywołanie pierwszego oddziału zajęło mu niecałe dwie sekundy. Pojawiły się humanoidalne istoty ubrane w coś, co przypominało źle skrojone garnitury. Ich proporcje i rysy twarzy tylko na pierwszy rzut oka wydawały się normalne. Demoniczny sługa wyprysnął z kręgu jak akrobata wskakujący na arenę z zapadni, a Binder z idealnym wyczuciem nadepnął na krąg, uwalniając wypadającego stwora. Następnie podniósł stopę i zaczął nią rytmicznie tupać, wypuszczając kolejnych żołnierzy z Nigdy nigdy.

– Zaklęcie przestało działać – doniosła Ascher. – Usłyszał nas. Ucieka.

– Za dużo usłyszał – stwierdził Nicodemus i zwrócił się do Bindera. – Twoi współpracownicy potrafią go wytropić?

– Jak ogary – potwierdził Binder.

Nicodemus skinął głową.

– Zabijcie go.

Binder gwizdnął i wyciągnął palec w kierunku wskazanym przez Ascher. Istoty nie potrzebowały dalszej zachęty. Puściły się biegiem z nadludzką zręcznością.

Skinąłem głową na Karrin i odszedłem od stołu.

– Co? – syknęła.

W odpowiedzi wsunąłem palce pod bandaż na moim ręku i znalazłem przedmiot, który był przede mną ukryty, dopóki nie skupiłem na nim uwagi – zaokrąglony czarny kamień Pente, który umieszczono tam podczas zakładania nowego opatrunku. Na jego ciemnej powierzchni widniały znajome złote metaliczne runy. Sam niejednokrotnie używałem takiego wzoru, gdy uczyłem się, jak działa to zaklęcie.

– Co to jest? – spytała Karrin.

– Pluskwa – syknąłem cicho. – To za jej pomocą nas podsłuchiwał. Ktoś schował ją pod bandażem podczas ponownego opatrywania mojej ręki.

Wytrzeszczyła oczy.

– Ale...

– Tak – przyznałem, patrząc, jak kolejni ubrani w garnitury służdy wyskakują z Nigdynigdy i puszczają się w nocną pogoń. – To Butters. Zabiją go.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Idź – powiedziała Karrin. – Dogonię cię.

– Jak mnie znajdziesz?

Przewróciła oczami.

– Harry, daj spokój.

No tak. Karrin przez dwadzieścia lat była policjantką w Chicago. Potrafiła mnie znaleźć, nawet jeśli tego nie chciałem. Dotknąłem jej ramienia, przywołałem moc Zimy, po czym puściłem się biegiem, ściskając laskę w prawej dłoni.

Biegając, czułem, jak moc Zimy wypełnia moje ciało, zmysły i myśli. Słudzy Bindera pędzili za ofiarą całym stadem, poruszając się w instynktownie skoordynowany sposób. Ich przywódcy lekko zwalniali, pozwalając maruderom zrównać się z grupą, by skuteczniej dopaść cel.

Dogoniłem ostatnie szeregi i wyprzedziłem je jeszcze w budynku, co wzbudziło we mnie entuzjazm. Co za ślamazary. Ale byli mi potrzebni. Nie dam rady dopaść Buttersa na własną...

Zatoczyłem się i zmusiłem swój umysł do powtarzania tabliczki mnożenia. Przecież nie polowałem na Buttersa, tylko starałem się powstrzymać stwory. Musiałem wykombinować, jak to zrobić, by nie zwrócić się otwarcie przeciwko Nicodemusowi i spółce ani nie upokorzyć Mab.

Ten tok rozumowania zakłócił przepływ energii Zimy, która najwyraźniej nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zadaję sobie tyle trudu, by osiągnąć tak niezrozumiały cel.

„Butters jest jednym z nas”, warknąłem na nią, „więc nie pozwolimy, żeby ci frajerzy go zabili, dopóki sam tak nie postanowię”.

Terytorium i moc – na tym Zima mogła się oprzeć. Odzyskałem równowagę, gdy wypadliśmy z rzeźni na mieszaninę mżawki, deszczu i śliskiego zimna typowego dla burzy lodowej na Środkowym Zachodzie.

Grunt przed budynkiem już zamarzał. Nie pokrywała go jednorodna warstwa lodu, tylko zdradzieckie łaty niemal przezroczystej mazi o różnych konsystencjach, niewidocznego lodu i mokrego betonu, które trudno było od

siebie odróżnić. Światło ulicznych latarni wesoło odbijało się od podłoża, a stwory zaczęły się chaotycznie ślizgać, co jeszcze bardziej je spowolniło. Zmniejszyłem tempo biegu, starając się stawiać każdy krok na jak najmniej śliskiej powierzchni, ufając instynktowi Rycerza Zimy.

Butters biegł przez niewielki zwirowy parking, jakieś siedemdziesiąt metrów przed swoimi prześladowcami. Rozpoznawałem jego sylwetkę i ciemną czuprynę, chociaż miał na sobie długi, powiewający płaszcz oraz pękaty plecak i poruszał się wolniej, niż powinien. Pod nisko wiszącym niebem, pośród deszczu zmieszanego z grudkowatym śniegiem wszystkie dźwięki wydawały się stłumione i bliskie, jakbyśmy wciąż przebywali pod dachem. Słyszałem szybki, czysty oddech Buttersa, który dyszał z wysiłku i wyraźnie zwalniał, zbliżając się do ulicy.

Miałem nadzieję, że za chwilę wskoczy do podstawionego samochodu, ale tylko obrócił się komicznie, próbując odczepić coś od plecaka. Zawirował w stożku żółtego światła latarni i zobaczyłem, jak upuszcza na beton szeroką deskorolkę.

– To chyba jakiś żart – mruknąłem. – Cholerna deskorolka?

Stwory to zobaczyły i rzuciły się naprzód. Już kiedyś widziałem je w akcji i wiedziałem, że potrafią pędzić jak pумы. W ciągu kilku sekund znajdują się w zasięgu skoku.

Butters obejrzał się przez ramię; miał bladą twarz i wytrzeszczał oczy pod okularami. Mocno stanął na deskorolce i wprawił ją w ruch. Przykucnął i chwycił krótki pasek z przodu deski, jak narciarz wodny szykujący się do ruszenia z miejsca.

– Jedź, jedź, jedź! – wrzasnął.

Nagle spod kółek deskorolki wystrzeliły strumienie pomarańczowych iskier i cholerstwo ruszyło pustą ulicą z prędkością motocykla.

Poczułem, że opadła mi szczęka, a po chwili z mojej piersi wyrwał się bulgoczący chichot. Wyglądało na to, że Butters korzystał z moich dawnych zaklęć, których niewątpliwie nauczył się od Boba Czaszki. To konkretne zaklęcie bardzo przypominało czar, który opracowałem, gdy bezskutecznie próbowałem stworzyć magiczną klasykę: latającą miotłę. Prawie przypłaciłem tamten eksperyment życiem i tak się wystraszyłem, że postanowiłem do niego wrócić dopiero, gdy lepiej zrozumieję tajniki aerodynamiki, ale nigdy nie próbowałem użyć tego zaklęcia wobec czegoś, co nie wyrzuci mnie do góry nogami i nie wbije się w budynek z zabójczą prędkością. Dlaczego nigdy nie użyłem tej samej magii w stosunku do cholernego roweru?

Albo deskorolki.

Butters nie dysponował mocą niezbędną, by zostać poważnym magiem, ale ten niewysoki koleś przez ostatnie dwa lata zbudował wiele użytecznych magicznych narzędzi, także z pomocą Boba, i wyglądało na to, że ma prawdziwy talent do tworzenia magicznych gadżetów. Ale jak on je napędzał, do diabła? Tego typu magiczne zabawki potrzebowały zasilania, a przecież Butters nie posiadał mocy zdolnej naładować jakiegokolwiek większe urządzenie. Czego używał jako baterii?

Och. O, nie...

Stwory zawyły z podniecenia i wydłużyły krok. Nie zamierzały dać za wygraną i popędziły po łuku, przeskakując ogrodzenie okalające teren rzeźni oraz roślinność otaczającą pobliskie budynki. Pobiegłem za nimi, pokonując te same przeszkody. Jeden ze stworów poślizgnął się i wpadł na ścianę jednego z biurowców, ale było ciemno i padał deszcz ze śniegiem, więc nie byłem pewien, co dokładnie się wydarzyło. Nieważne.

Kiedy dotarliśmy do kolejnej prostopadłej ulicy, Butters machnął ręką. Znów zamigotały pomarańczowe iskry, tym razem w długiej linii, i z dłoni mężczyzny wystrzeliło jakieś ciemne włókno, które owinęło się wokół latarni. Butters uchwycił się go z piskliwym okrzykiem panicznego podniecenia i skręcił o dziewięćdziesiąt stopni, nawet nie zwalniając. Wzdłuż liny pojawiła się kolejna porcja pomarańczowych isker i włókno odczepiło się od latarni, podczas gdy Butters pomknął ulicą na północ.

Stwory wydawały rytmiczne okrzyki łowieckie i swobodnie pędziły ulicami, które wciąż były na tyle rozgrzane od słońca, że nie zamarzały. Wiedziałem, że Binder wypuścił już czterdzieści albo pięćdziesiąt tych przeklętych istot, które były wystarczająco bystre, by komunikować się i współdziałać. Musiałem liczyć na to, że Butters będzie miał na tyle rozsądku, by cały czas zmierzać w jednym kierunku – każdy skręt dawał licznym prześladowcom pole manewru i szansę zbliżenia się do ofiary, za którą mknęły jak ogary za wystraszoną króliką.

Butters wciąż uciekał wzdłuż ulicy, ale gładka powierzchnia, która pozwalała mu używać jego – nie wierzę, że użyję tego określenia – zaczarowanej deskorolki, jednocześnie dawała przewagę jego prześladowcom. Ulica wciąż była ciepła, a wczesnowieczorny ruch uliczny nie pozwalał opadom osadzać się na asfalcie, który był wolny od lodu. Zaczynaliśmy zmniejszać dystans, a ja nie mogłem nic zrobić, by przeszkodzić stworom, ponieważ w tak jasnym świetle ktoś mógłby mnie zauważyć.

Nagle stało się to, czego najbardziej się obawiałem. Dwa stwory, być może nieco smuklejsze i szybsze od swoich kompanów, dołączyły do pościgu z bocznej uliczki, koordynując atak w oparciu o okrzyki swoich pobratymców.

Rzuciły się naprzód, a Butters zdołał je zobaczyć tylko dlatego, że miał lewą nogę wysuniętą do przodu i był do nich skierowany przodem.

Muszę to facetowi przyznać: nie wpadł w panikę. Zamiast tego wsunął wolną dłoń pod płaszcz, chwycił jakiś przedmiot i cisnął go na ulicę za sobą, wykrzykując przy tym pojedyncze słowo. To była szklana kula, która rozbłysła światłem, po czym roztrzaskała się na betonie i wypuściła obłok gęstej szarej mgły tuż przed prześladowcami.

Dwa stwory wpadły w mgłę, gdyż pędziły zbyt szybko, by jej uniknąć, a kiedy wyłoniły się z drugiej strony, nagle zwolniły kroku, zatrzymały się chwajnie i rozejrzały nieprzytomnym wzrokiem, podczas gdy Butters mknął ulicą na sypiącej pomarańczowymi iskrami deskorolce.

Reszta stworów dotarła do tego miejsca i ominęła szary obłok, a dwie istoty, które się zatrzymały, popatrzyły na swoich towarzyszy z oszołomieniem, po czym z opóźnieniem dołączyły do pogoni, z trudem dotrzymując kroku grupie. Dopiero wtedy zrozumiałem, czego byłem świadkiem, i z szaleńczym chichotem minąłem obłok.

Mgła umysłu. Ponad dziesięć lat temu jeden z moich wrogów zasnuł zaczarowaną mgłą cały sklep Wal-Martu, chwilowo zaburzając pamięć wszystkim ludziom wewnątrz i wymazując z niej ostatnią godzinę doświadczeń. Bob i ja po fakcie odkryliśmy, w jaki sposób działało to zaklęcie. Najwyraźniej Butters i Bob wspólnie zdołali zapuszkować zaczarowaną mgłę.

Butters dalej gnał ulicą, ominął dwa wolno jadące samochody, dwukrotnie zaczepił się swoim lassem o mijane latarnie i skręcił w Michigan Avenue, zmiierzając w stronę śródmieścia, gdzie wieże i światła Chicago płonęły najjaśniej w zamarzającej mgiele.

To powstrzymało nawet demonicznych prześladowców. Miasta nie składają się tylko z ulic i budynków – są zbiorem czystej siły woli, determinacji wszystkich ludzi, którzy pomogli je zbudować, i wszystkich dusz, których praca i życie je podtrzymują. Dla istoty z Nigdyngdy śródmieście Chicago jest obcą cytadelą, źródłem mocy i grozy. Czymś w rodzaju Mordoru. (Nie można ot tak wkroczyć do Mordoru, chociaż właśnie tak zrobili wszyscy bohaterowie opowieści).

Ale Chicago Loop nie zrobiła na bandziorach Bindera aż takiego wrażenia, by powstrzymać ich przed pogonią za Buttersem. Przyśpieszyli i przez chwilę wydawało się, że mogą go dopaść, ale wtedy cisnął na ulicę kolejną szklaną kulę z mgłą zapomnienia, w odpowiedniej chwili zakłócając pościg. Butters wydał z siebie okrzyk przerażenia i sprzeciwu, po czym pogroził pięścią swoim prześladowcom, którzy zataczali się i zderzali ze swoimi towarzyszami.

Nagle na chodniku przed jedną z kawiarni znikąd pojawił się Genoskwa i kopnął w kierunku zbliżającego się Buttersa kamienną donicę wielkości wanny.

Buttersowi została ledwie sekunda na reakcję i nie miał szans na ominięcie donicy, którą Genoskwa posłał w jego kierunku ze spokojem i precyzją. Mógł zrobić tylko jedno: puścił pasek i wyskoczył w powietrze.

Nie miał ochraniaczy ani kasku. Deskorolka mknęła z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i czekało go lądowanie na zimnym asfalcie. Gdyby podróżował samochodem z poduszką powietrzną, z pewnością nic by mu się nie stało – ale tak nie było.

Zacisnąłem zęby i przygotowałem kulistą tarczę, by go złapać, ale chociaż ta mogła ochronić go przed upadkiem, to jednocześnie uwięziłaby go w środku do chwili wytracenia pędu. Bez deskorolki nie miał szans uciec przed stworami i Genoskwą, którzy dopadliby go w kilka chwil, a ja musiałbym go bronić, co doprowadziłoby moją misję do pechowego zakończenia.

Niech i tak będzie. Nie zostawia się przyjaciół na pastwę potworów, nawet jeśli ci przyjaciele nam nie ufają.

Jednakże Butters nie roztrzaskał się o ulicę ani nie wpadł w moją tarczę, co oznaczałoby śmierć dla nas obu. Jego powiewający płaszcz rozjarzył się pomarańczowymi iskrami i rozpostarł w kształt ogromnego zakrzywionego skrzydła. Butters z donośnym skrzykiem rozpaczliwie zamachał rękami i nogami, a następnie zwinął się w kłębek, podczas gdy pomarańczowe światło uformowało z płaszcza ochronną kulę, która odbiła się od podłoża i potoczyła, umożliwiając uciekinierowi stanięcie na własnych nogach.

Drobny mężczyzna puścił się biegiem, uciekając przed Genoskwą, za co nie mogę go winić, i wbiegł po schodach do pobliskiego budynku, którym był Instytut Sztuki w Chicago. Najbliższy ze stworów rzucił się w kierunku odsłoniętych pleców Buttersa.

Machnąłem laską i zawyłem „*Forzare!*” trafiając napastnika w powietrzu falą niewidzialnej energii i przerzucając go nad ramieniem Buttersa.

– Cholera! – krzyknąłem, z kiepskim skutkiem udając rozczarowanie. – Zejdźcie mi z linii strzału!

Butters obejrzał się na mnie z przerażeniem, zatoczył się i oparł o stojący po północnej stronie instytutu posąg lwa. Zerknął na niego, oblizał usta i syknął coś pod nosem.

Pomarańczowe światło wylało się z fałd jego płaszcza i wsączyło w brąz posągu, potwierdzając, w jaki sposób Butters dokonywał wszystkich swoich sztuczek.

Bob.

Bob Czaszka był na wolności i wcielał się w rolę pomocnika superbohatera.

To on napędzał deskorolkę. To on kierował linami, które wystrzeliwały z nadgarstków Buttersa. To on przekształcił płaszcz, by zapewnić uciekinierowi bezpieczne lądowanie.

Psiakrew. Bob był niesamowity.

Nie powinno mnie to dziwić. Chociaż był duchem, zawsze potrafił wpływać na materialne obiekty, a chociaż do tej pory robił to tylko z niewielkimi i lekkimi przedmiotami, takimi jak powieści o miłości czy własna czaszka, nie było powodu, dla którego nie mógłby zadziałać na większą skalę. Zawsze podejrzewałem, że po prostu brakowało mu motywacji.

Ale nie bez powodu tak rzadko wynosiłem Boba z laboratorium. By w ten sposób panować nad duchem, Butters potrzebował czaszki Boba. Musiał mieć ją przy sobie w tej chwili, zapewne w plecaku, a ich sojusz zależał od tego, czy uda mu się ją utrzymać. Gdyby ktoś taki jak Nicodemus wszedł w posiadanie czaszki, strach pomyśleć, do czego mógłby wykorzystać wieki doświadczeń i wiedzy mojego starego druha.

Oczywiście te rozważania zeszły na drugi plan, gdy tylko uświadomiłem sobie, co Butters rozkazał duchowi.

Pomarańczowe iskry trysnęły z oczu potężnego lwa z brązu. Posąg obrócił w moją stronę łeb, poruszając się identycznie jak żywe zwierzę, przysiadł na łapach i donośnie ryknął.

– O, cholera – mruknąłem.

– Zatrzymaj ich! – zawołał Butters.

Lew ponownie ryknął.

– Psiakrew, Butters – warknąłem pod nosem. – Ja ci pomagam!

A potem kilkutonowy drapieźnik z brązu, kierowany inteligencją i wolą najpotężniejszego ducha intelektu, jakiego kiedykolwiek spotkałem, rzucił się w kierunku mojej głowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wiele czasu minęło, odkąd rzucił się na mnie cholerny lew, a wtedy był to osobnik z krwi i kości, pochodzący z ogrodu zoologicznego. Jeszcze nigdy nie próbowało mnie zabić coś zbudowanego wyłącznie z metalu, jeśli nie liczyć okazjonalnie podejmowanych prób rozjechania mnie samochodem, choć nigdy nie uczestniczyły w tym dwa auta jednocześnie, więc było to dla mnie nowe doświadczenie.

A to istotne w pracy. Świeże wyzwania. Cóż bym bez nich uczynił?

Myślę, że gdyby nie moc Zimy, Bob mógłby urwać mi głowę. Ale zdołałem się uchylić, na tyle szybko i nisko, by uniknąć ciosu potężnej łapy, która usiłowała wyprzedzić mój ruch. Bob przeleciał nade mną z entuzjazmem i zderzył się z dwoma stworami Bindera, które wyleciały w powietrze jak kręgle. Zawrócił, zdecydowanie zbyt szybko jak na takiego molocha, po czym przysiadł, szykując się do kolejnego skoku.

Wtedy jedno ze złocisto-pomarańczowych ślepi lwa, którego nie było widać od strony ulicy, nieznacznie mrugnęło.

Bob nad tym panował.

– Giń, zdrajco! – zagrzemiał mój były asystent i ponownie zaryczał.

– Uważajcie, atakuje! – wrzasnąłem do najbliższego stwora, cofając się w jego stronę i z trudem powstrzymując uśmiech. – Rozerwie nas na kawałki!

– Rargh! – wrzasnął Bob i ponownie na mnie natarł.

W ostatniej chwili rzuciłem się w bok, dzięki czemu stwór nie zauważył Boba na czas. Lew z brązu wpadł na niego i wyrzucił go w powietrze w kłębowisku połamanych kończyn. Stwór uderzył o ścianę Instytutu Sztuki i eksplodował, zmieniając się w galaretowatą maź, gdyż jego ciało było zbyt zmasakrowane, by utrzymać ducha, którego przywołał Binder. Lew ryknął triumfalnie i zwrócił się w stronę najbliższego przeciwnika.

– Ja go załatwię! – zawołałem.

Wycelowałem w Boba laskę i warknąłem „*Fuego!*”. Z laski wystrzeliła kula czystego ognia, która ominęła o włos rozszalały posąg i trafiła dwa stwory,

podpalając je i wywołując u nich dziwaczne okrzyki frustracji i gniewu, gdy zobaczyły, że ogień pochłania ich ciała.

Rozwścieczone płonące stwory rzuciły się na Boba, a instynkt stadny popchnął resztę demonów do pójścia w ich ślady. Bob ryknął i z wesoło lśnjącymi ślepiami zaczął rozrzucać napastników na boki jak Mister, gdy bawi się przynętami z kocimiętki na sznurku.

Odskoczyłem w bezpieczne miejsce i zacząłem rozpaczliwie rozglądać się za Buttersem. Zerknąłem w kierunku, w którym ostatnio się przemieszczał, ale niczego tam nie zobaczyłem – poza pustą butelką po napoju dla sportowców, która powoli toczyła się po chodniku, popychana północnym wiatrem. Właśnie w takich naczyniach sam trzymałem magiczne napoje.

Butters rozpląnął się w powietrzu. Może nawet dosłownie. Już dawno nie warzyłem eliksiru ucieczki, który kiedyś uratował mnie przed ropuszym demonem, ale gdybym miał dwadzieścia dolców, mógłbym je postawić na to, że Butters skopiował mój dawny przepis i wykorzystał go, by zniknąć pośród zamieszania.

A zamieszanie było niemałe: wybuchy, ryki i hałasy spełniły taką funkcję, na jaką liczyłem, czyli zwróciły uwagę ludzi. Chociaż mżawka tłumiała dźwięki, okolica, w której przebywaliśmy, nie była całkowicie opustoszała. W oknach pobliskich budynków zaczęły się zapalać światła i pojawiły się twarze gapiów.

Jedną z podstawowych zasad nadprzyrodzonego świata jest unikanie konfrontacji z władzami. Przeciętny śmiertelnik (a nawet dwudziestu śmiertelników) nie stanowi dużego zagrożenia dla nadludzkiego drapieżcy. Jestem pewien, że najpotężniejsi złoczyńcy, tacy jak włochaty olbrzym stojący w cieniu po drugiej stronie ulicy, mogliby bez chwili wahania stawić czoło sporej grupie śmiertelników i oczekiwać zwycięstwa. Ale w takim mieście jak Chicago zadarcie z ludźmi nie oznaczało starcia z kilkudziesięcioma czy nawet kilkuset śmiertelnikami. Do walki stanęłyby tysiące ludzi, na tyle dobrze wyszkolonych i wyposażonych, by stanowić poważne zagrożenie.

Ludzie zaczęli wychodzić na ulicę z kawiarni i pobliskiej knajpki z kanapkami. Wyciągali komórki. A w promieniu kilometra znajdowało się co najmniej kilka posterunków policji.

– Na co czekasz?! – zawołałem w stronę Genoskwy i wskazałem ożywioną rzeźbę. – Pomóż trochę, wielkoludzie!

Genoskwa posłał mi surowe spojrzenie, a następnie popatrzył na szalejącego Boba. Mignęły brzydkie żółte kły, zalśniły złośliwe, wściekłe ślepia i istota rozpląnęła się w powietrzu, jednocześnie obracając się i ruszając w kierunku, w którym udał się Butters.

Co gorsza, w górze rozległ się szum wiatru i coś ciemnego szybko przemknęło pomiędzy mną a wyżej położonymi światłami, rzucając na ulicę mnóstwo rozkołysanych, migoczących cieni. Zmrużyłem oczy, próbując przeniknąć wzrokiem deszcz i mgłę, ale zobaczyłem tylko jakiś duży, skrzydlaty kształt, który błyskawicznie pędził w tę samą stronę.

Niech to szlag!

Nicodemus i Anduriel wzbili się w powietrze. Nie miałem wątpliwości, że Genoskwa potrafi wytropić Buttersa jak ogar, a wypity eliksir ucieczki, jeśli to z niego skorzystał mężczyzna, pozwoli mu się oddalić o najwyżej kilka przecznic. Było tylko kwestią czasu, kiedy Nicodemus zauważy Buttersa albo Genoskwa wpadnie na jego trop, a ścigany już nie mógł skorzystać z pomocy Boba, który napędzał jego deskorolkę i go ochraniał.

Zazgrzytałem zębami, a kolejny ze stworów Bindera przeleciał obok mnie ciśnięty przez Boba. Intuicja podpowiadała mi, że powinienem jak najszybciej ruszyć z miejsca. Kazałem jej się zamknąć. Mogłem puścić się biegiem w którąś ze stron, ale to niewiele by dało. Zamiast tego poświęciłem chwilę na wypchnięcie mocy Zimy ze swojego umysłu, co przywróciło mu jasność. Rycerz Zimy nie był tutaj potrzebny.

Podbiegłem do porzuconej plastikowej butelki i ją podniosłem. Kiedy tylko to zrobiłem, nadjechał jakiś mini-SUV, przeciął roztopiony śnieg pokrywający aleję i zahamował, wpadając w lekki poślizg. Karrin wysunęła głowę przez okno.

– Wskakuj!

Podbiegłem do pojazdu, a Karrin z fascynacją przypatrywała się kilkunastu sługom Bindera, którzy otoczyli i próbowali przewrócić ogromnego lwa, podczas gdy ten wił się i wirował jak derwisz z lśniącymi pomarańczowo ślepiami, usiłując odpędzić wrogów.

– Hmm, to coś nowego – odezwała się Karrin.

Zatrzasnąłem drzwi.

– To Bob – wyjaśniłem. – Butters spuścił go z łańcucha.

– Czy to dobrze? – spytała.

Wepchnąłem laskę na tylne siedzenie i zacząłem obracać butelkę w dłoniach.

– Na pewno ciekawie. Butters się wymknął, ale Nicodemus i Genoskwa są na jego tropie.

– Zostaliśmy zdemaskowani?

– Jeszcze nie. Wciąż jesteśmy złoczyńcami. A przynajmniej na tyle, by zadowolić Mab. Sama wiesz, jak chaotyczne potrafią być takie potyczki.

– No tak. Jaki mamy plan? – spytała Karrin.

– Musimy znaleźć Buttersa. Zawieź mnie gdzieś, gdzie będę mógł się schować przed deszczem i rzucić zaklęcie tropiące.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła i ruszyła. – Wiem, dokąd on się kieruje. Zamrugalem.

– Dokąd?

– Jesteś Buttersem. Wiesz praktycznie o wszystkim, co działo się w Chicago przez ostatnie kilkanaście lat. Ściga cię banda demonów i nadprzyrodzonych złoczyńców, wliczając Rycerzy Poczerniałego Denara. Dokąd byś uciekł?

Zmarszczyłem czoło i zamyśliłem się. Karrin miała rację. Jeżeli Butters blisko współpracował z Bobem, to dysponował taką samą wiedzą jak czaszka i zapewne rozpoznał Deirdre i Nicodemusa, co tłumaczyło jego brak zaufania. Nie powiedziałem mu o wszystkim, w co wplątałem Karrin, a on był świadkiem tego, jak spędzam dzień w towarzystwie nieludzkich przestępców i zasiadam przy jednym stole z Nicodemusem Archleone.

A jakie miejsce w tym mieście zapewnia najlepszą ochronę przed Upadłymi aniołami?

– Na dzwony piekiel – westchnąłem. – Uciekł do Michaela.

– Właśnie – zgodziła się Karrin rozgniewanym tonem. – Cholera, powinien mieć więcej rozsądku.

Zamrugalem i poczułem, że opada mi szczęka, gdy zbudziło się we mnie nagłe przeczucie.

– Przecież tam są Miecze. A Butters o tym wie.

Mięśnie jej szczęki się napięły. Popatrzyła na mnie i szybko skinęła głową.

– Chciałam, żeby jeszcze ktoś wiedział, na wypadek gdyby coś mi się przytrafiło. W moim mieszkaniu nie jest wystarczająco bezpiecznie, chociażby biorąc pod uwagę, do czego są zdolni spece od paranetu. A z pewnością nie zamierzam powierzyć Mieczy ludziom Marcone'a. Każda zła istota, która spróbuje dostać się do domu Michaela, wpadnie w poważne tarapaty. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Jeśli złapią Buttersa, zanim dotrze na miejsce, będzie po nim – stwierdziłem. – Podobnie, jeśli mylisz się co do celu jego ucieczki.

– A jeśli zatrzymamy się na kilka minut, żebyś skorzystał z magii, być może będzie za późno na cokolwiek – odparła i przygryzła wargę. Pędziła niewielkim SUV-em najszybciej, jak to było możliwe przy takiej pogodzie. Napęd na cztery koła rytmicznie postukiwał. – Co według ciebie powinniśmy zrobić?

To była moja wina. Gdybym wtajemniczył Buttersa, przynajmniej na tyle, żeby zrozumiał, co się dzieje, nie zaczęłyby nas szpiegować. Ale jak mogłem to zrobić bez...

Ech.

Nie znoszę sytuacji, w których nie mogę odkrywać kart.

Zresztą w ogóle nie umiem grać w karty. Wolę Monopol.

– Nie rozmawiałem z Michaeliem od lat – powiedziałem. – A teraz na dzień dobry posyłam w stronę jego domu bandę potężnych potworów.

– Nie da się ukryć – zgodziła się Karrin.

– Może to wcale nie przypadek.

Uniosła bladą brew.

– Wiara, Harry? U ciebie?

– Och, odczep się – odburknąłem, krzywiąc się. – Jedź.

Obnażyła zęby w szerokim uśmiechu.

– Zapnij pasy.

Tak zrobiłem, podczas gdy marznąca mżawka zaczęła się zmieniać w deszcz ze śniegiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Byliśmy oddaleni o dwie przecznice od domu Michaela w dzielnicy mieszkalnej, gdy w padającym deszczu ze śniegiem niespodziewanie zmaterializowała się pędząca zbyt szybko taksówka. Nie zatrzymała się na znaku STOP i zmusiła Karrin do wciśnięcia hamulca i skręcenia kierownicy w celu uniknięcia zderzenia.

Niewielki SUV zrobił, co mógł, ale i tak wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni, podskoczył na krawężniku, przebił drewniany płot i wpadł przednimi kołami do czyjegoś pustego basenu.

Karrin wrzuciła wsteczny bieg i próbowała cofnąć, ale tylne koła bezsilnie kręciły się na lodzie.

– Cholera! – warknęła. – Biegnij. Zaraz cię dogonię!

Chwyciłem swoją laskę i bez wahania wyskoczyłem na deszcz, po czym otuliłem się Zimą i puściłem biegiem przez burzę w mglistą niby-ciemność, kierując się prosto do domu Michaela. Przez chwilę pędziłem chodnikiem, a następnie zacząłem skracać sobie drogę przez podwórka, przeskakiwać ogrodzenia i zaparkowane samochody (parkour!).

Kiedy dotarłem do domu Carpenterów, taksówka, która spowodowała wypadek, właśnie zatrzymywała się kilka posesji dalej. Butters wyskoczył przez tylne drzwi, rzucił kierowcy kilka zgniecionych banknotów, a następnie spuścił głowę i pomknął w stronę domu Michaela. Był blady i roztrzęsiony. Współczułem mu. Po wypiciu tego eliksiru czułem się, jakbym przejechał się równocześnie kilkudziesięcioma kolejkami górskimi, i to zmagając się z solidnym kacem. Po zaledwie kilku krokach stracił równowagę na oblodzonym chodniku i runął na ziemię. Usłyszałem, jak uderza głową o beton, i zrobiło mi się go żal, gdy gwałtownie wypuścił powietrze z płuc ogłuszony upadkiem.

Zwolniłem dopiero, kiedy się do niego zbliżyłem. Rozejrzałem się po okolicy i upewniłem, że wokół panują cisza i spokój.

– Jezu! – wykrztusił Butters, kiedy do niego podbiegłem. Skrzywił się i uniósł jedną rękę, jakby zasłaniał się przed ciosem, a drugą sięgnął po coś, co chował pod płaszczem.

– Na dzwony piekieł, Butters – odezwałem się z wyrzutem. – Gdybym chciał cię skrzywdzić, zmiotłbym cię już z daleka.

– Próbowales... – wychrypiał, wciąż trzymając dłoń pod płaszczem. – Cofnij się... nie żartuję.

– Na dzwony piekieł, jesteś na to zbyt bystry. – Westchnąłem i wyciągnąłem rękę. – Chodź. Na pewno są już niedaleko. Nie możesz tutaj zostać. Pomogę ci wstać.

Przez chwilę wbijał we mnie wzrok, najwyraźniej wciąż nieco oszołomiony, a także wyraźnie przerażony.

Cmoknąłem ze zniecierpliwieniem i zbliżyłem się o krok.

Butters wyciągnął z wewnętrznej kieszeni coś, co przypominało choinkową ozdobę, i słabo cisnął tym przedmiotem w moją stronę.

Zima wciąż mnie otulała. Lekko ugiąłem kolana i złapałem obiekt, uważając, by go nie uszkodzić.

– Hej, tylko spokojnie, zabijako – rzuciłem. – Nie zapominajmy, dlaczego obaj tutaj stoimy na deszczu ze śniegiem.

Popatrzył na mnie, z trudem uspokajając oddech.

– Harry...

– Spokojnie – powtórzyłem. – Proszę. – Oddałem mu ozdobę.

Zamrugnął.

– Daj spokój. – Nachyliłem się, ująłem go pod rękę i podniosłem z ziemi. Od razu ponownie się poślizgnął i byłby upadł, gdybym go nie podtrzymał. Pomogłem mu utrzymać równowagę i przeprowadziłem go po zdradzieckim betonie na trawnik przed domem. – Tylko ostrożnie. Najpierw przejdźmy w jakieś ciepłe miejsce.

– Mój Boże, Harry – stęknął. – Nie jesteś... Nie byłeś... – Zrobiliśmy kilka chwiejnych kroków. – Ale ze mnie idiota. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać – odrzekłem, czujnie się rozglądając. – Po prostu się schowaj.

– Jak bardzo schrzaniłem? – spytał.

– Jeśli się pośpieszymy, wszystko jeszcze da się naprawić. – Zniecierpliwiony, pochyliłem się i objąłem go ramieniem pod pachą, po czym powlokłem ze sobą, tak że ledwie dotykał stopami ziemi.

Jeszcze dwadzieścia metrów.

Dziesięć.

Pięć.

Zerwał się wiatr. Coś przypominającego czarne żagle załopotowało pośród deszczu, z nieba opadł wirujący cień i nagle między nami a bezpiecznym

schronieniem pojawił się Nicodemus Archleone ze smukłym mieczem w opuszczonej prawej dłoni. Stał naprzeciwko mnie z delikatnym uśmiechem.

Jego cień rozciągnął się na dwadzieścia metrów w każdą stronę, kłębiąc się powolnymi falami.

Zatrzymałem się gwałtownie. Nogi Buttersa zadyndały w powietrzu.

Cofnąłem się o krok i obejrzałem przez ramię.

Genoskwa zmateriałizował się za zasłoną gęstego deszczu, w cieniu dużej sosny około sześciu metrów za nami, a chociaż jego potężna sylwetka stopiła się z ciemnością, widziałem błysk jego ślepi.

– Ach, Dresden – mruknął Nicodemus. – Złapałeś go. W ostatniej chwili.

Ostrożnie postawiłem Buttersa na ziemi, trzymając go przy sobie. Nie poruszał się ani nie odzywał, ale czułem, że drży z przerażenia, świadomy swojej sytuacji.

– Nasz doktor – odezwał się Nicodemus. – Całkiem zaradny z niego gość, czyż nie?

– Jest szybki – przyznałem. – Ale nie stanowi zagrożenia. Możemy go puścić.

– Nie bądź śmieszny – odparł Nicodemus. – Za dużo usłyszał, a według moich danych ma związki z sojuszem Marcone’a. Tylko idiota nie uznałby tego za śmiertelne zagrożenie dla bezpieczeństwa. – Przekrzywił głowę. – Musi umrzeć.

Genoskwa warknął pożądliwie.

Butters zeszywniał. Nie obejrzał się. Nie mogłem mieć mu tego za złe. Ja także nie miałem ochoty patrzeć w tamtą stronę. Nicodemus doskonale się bawił.

– Wygląda na to, Dresden, że nadszedł czas, by dokonać wyboru. Mam ci go ułatwić?

– Co masz na myśli?

– Kwestie praktyczne – odrzekł Nicodemus. – Oddaj mi go. Zabiorę go stąd. Wszystko odbędzie się szybko i bezboleśnie – Przeniósł wzrok na Buttersa. – To nic osobistego, młodzieńcze. Wplątałeś się w coś, co cię przerasta. Oto cena, którą musisz zapłacić. Ale nie mam do ciebie pretensji. Po prostu przestaniesz istnieć.

Butters wydał z siebie cichy odgłos przerażenia.

– Albo możesz złamać obietnicę Mab, magu. – Nicodemus się uśmiechnął. – W takim wypadku nie będziesz mi już potrzebny.

– Beze mnie nie przedostaniesz się przez drugą bramę – odparłem.

– Jestem pewien, że kiedy cię zabiję, Mab chętnie użyczy mi następnego Rycerza bądź innego sługi, jeśli w ten sposób będzie mogła dotrzymać danego słowa. Wybieraj.

– Zastanawiam się – odrzekłem.

Nicodemus rozpostarł dłoń, łaskawie dając mi czas do namysłu.

Oddanie mu Buttersa nie wchodziło w grę. Koniec kropka. Ale walka z Nicodemusem i Genoską również wydawała się kiepskim pomysłem. Pomimo mocy Rycerza Zimy nie byłem pewien, czy zdołałbym pokonać któregokolwiek z nich, a tym bardziej obu.

Gdybym oddał mu Buttersa, mógłbym przeżyć. W przeciwnym razie obu nas czekała śmierć, przed drzwiami domu Michaela.

Nie miałem wyjścia.

– Zajmij się gościem za nami – szepnąłem do Buttersa.

Drobny facet przełknął ślinę i lekko skinął głową, ostrożnie zaciskając dłoń na choinkowej ozdobie.

Nicodemus pokiwał głową, a jego ciemne oczy zamigotały. Czubek smukłego miecza uniósł się gwałtownie, giętki jak język węża, a jego pobudzony cień zaczął chwiać się i tańczyć. Genoska ponownie zagrzmiał i zbliżył się o krok. Zacisnąłem dłoń na lasce, a Butters przestał dygotać i znieruchomiał, pełen napięcia.

Wtedy Karrin wyłoniła się zza ściany deszczu, trzymając na ramieniu wyrzutnię rakiet wycelowaną prosto w Nicodemusa.

– Cześć – rzuciła. – Naprawdę mi się nie podobasz, Denarianinie.

– Ha – powiedziałem do Nicodemusa. – He, he.

Przeniósł wzrok na mnie i z powrotem na Karrin. Uśmiechnął się szerzej.

– Panno Murphy – odezwał się. – Oboje dobrze wiemy, że nie strzelisz.

– Dlaczego nie? – spytała pogodnie.

– Ponieważ to oczywiste, że go kochasz – odparł Nicodemus. – Przy wystrale z tej odległości wybuch zabije także maga oraz waszego przyjaciela, doktora. Niewykluczone, że ty również nie przeżyjesz.

Karrin dokładnie zastanowiła się nad jego słowami.

– Racja – powiedziała w końcu i zbliżyła się o kilka kroków. – Proszę bardzo. To powinno załatwić sprawę, prawda?

Nicodemus zmrużył oczy.

– Nie zrobisz tego.

– Ludzie są zdolni do różnych szaleństw z miłości – odezwała się Karrin cichym i spokojnym głosem. – Wolę zabić nas wszystkich niż pozwolić, żebyś go skrzywdził. – Szybko zbliżyła się do Nicodemusa. – Jeszcze jeden krok, wielki futrzaku, a za chwilę wszyscy wylecimy w powietrze.

Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że Genoska znieruchomiał w pół kroku. W jego przypominających jaskinie oczodołach lśniła wściekłość.

Karrin zrobiła kolejne dwa kroki w stronę Nicodemusa, patrząc na niego dziwnie żywym wzrokiem.

– Wielu różnych szaleństw. Nie prowokuj mnie.

Uśmiech Nicodemusa zmienił się w kpiący grymas.

– Opierasz się na fałszywym założeniu, że twoja zabawka naprawdę może zagrozić mnie albo mojemu towarzyszowi.

Facet mówił z sensem, nawet jeśli nie miałem ochoty tego przyznać. Dzięki Pętli, którą nosił wokół szyi, z pewnością mógłby zbyć kpiącym uśmiechem także miotacz płomieni albo olbrzymią maszynkę do mięsa.

– To raczej ty opierasz się na fałszywym założeniu – odparła Karrin równie zabójczo spokojnym głosem, cały czas zbliżając się z dziwnym błyskiem w oku. – Sądzisz, że trzymam wyrzutnię rakiet.

Po tych słowach zdjęła zamaskowaną zatyczkę z tylnej części lufy wyrzutni i wyciągnęła ze środka miecz.

Właśnie tak. Wyciągnęła miecz.

To była japońska katana ukryta wewnątrz drewnianej laski, tak samo jak apokryficzne ostrze Zatoichi. Wyrzutnia rakiet upadła na ziemię, a ostrze wyskoczyło z pochwy. *Fidelacchius*, Miecz Wiary, rozbłysnął wściekłym białym światłem.

Ale co ważniejsze, bliskość Miecza wypełniła wieczorne, przecinane deszczem powietrze poddźwiękowym pulsowaniem przypominającym wibrację struny gitary basowej. Nie dało się go wyraźnie usłyszeć, zobaczyć ani poczuć na skórze, ale jego obecność była absolutna i niezaprzeczalna. To była prawdziwa potęga, przenikająca do szpiku kości, solidna jak grunt pod stopami i straszliwa w swojej determinacji.

Myślę, że właśnie ta moc usunęła uśmiech z twarzy Nicodemusa.

Wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. Nawet jego cień nagle znieruchomiał jak posąg.

Karrin podczas rozmowy przez cały czas zmniejszała dystans i teraz była od niego oddalona o zaledwie kilka kroków. Zbliżyła się pewnym krokiem, jakby ledwie dotykała oblodzonego gruntu, a Nicodemus w ostatniej chwili zdążył unieść ostrze i sparować cios. Miecze zderzyły się ze szczękiem i wściekłym błyskiem, a Karrin wykorzystwała swój pęd, by wytrącić przeciwnika z równowagi.

– Uważaj na wielkoluda – syknąłem do Buttersa i ruszyłem w stronę Nicodemusa i Karrin, ale po chwili stanąłem jak wryty.

Nicodemus poślizgnął się na zdradzieckim podłożu, gdy Karrin go staranowała, ale zaraz cofnął jedną nogę i przyklęknął, broniąc się przed upadkiem. Karrin wykorzystwała uzyskaną przewagę i ostrza mieczy się zderzyły, napierając na siebie z zabójczą mocą.

Nie śmiałem się wmieszać. Najdrobniejsze poślizgnięcie lub błąd któregośkolwiek z nich oznaczałyby, że dwa ostre jak brzytwa ostrza opadłyby niczym skalpele na niechronione ciało.

Patrzyłem, jak zmagają się w milczeniu. Karrin nie polegała na sile rąk, ale trzymała je przyciśnięte do boków i napierała na Nicodemusa, wykorzystując swój ciężar oraz siłę nóg. Zaciskała obie dłonie na rękojeści *Fidelacchiusa*, co dawało jej wyraźną przewagę nad jednoręcznym chwytem Nicodemusa. Krawędź jej miecza z każdą pełną napięcia chwilą coraz bardziej zbliżała się do jego twarzy, aż w końcu na policzku mężczyzny pojawiła się cienka, jasna strużka szkarłatu.

Nicodemus wyszczerzył zęby, a całe jego ciało zadrżało z wysiłku. W końcu zdołał odepchnąć Miecz o bezcenny centymetr.

– Zatem wypalonej policjantce wydaje się, że znalazła nowe powołanie – syknął.

Karrin nie odpowiedziała. Nigdy nie lubiła niepotrzebnych słownych przepychanek ze złoczyńcami. Jest praktyczną osobą. Powoli odetchnęła i zwiększyła nacisk, jednocześnie lekko obracając miecz, dzięki czemu szczepione ostrza zaczęły powoli przesuwać się ku szyi Nicodemusa.

– Uważasz, że zasługujesz na włączenie w szeregi prawdziwych Rycerzy Miecza – odezwał się Nicodemus gładkim, pewnym siebie głosem. – Ty sponiewierana, poraniona, potrzaskana istoto. Przez stulecia nauczyłem się, jaki powinien być prawdziwy Rycerz. Nie nadajesz się do tej roli. Zresztą dobrze o tym wiesz. W przeciwnym razie już dawno przyjąłabyś Miecz.

Jej oczy zapłonęły jaskrawym błękitem na wystraszonej twarzy i Karrin nachyliła się, jeszcze bardziej zbliżając ostrze do jego szyi i pulsującej tętnicy. Widziałem, jak ostra jest katana. Kiedy ostrze dotknie gardła Nicodemusa, wystarczy muśnięcie piórka i ruch źdźbła trawy, by rozplątać skórę.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłaś – rzekł. – Nie byłaś tak blisko, w takim napięciu, w takim bezruchu. Zdajesz sobie sprawę, ile razy rozmawiałem z nowicjuszami takimi jak ty, w niemal identycznych sytuacjach? Wiem o prawdziwej szermierce więcej niż cały ten wyblakły współczesny świat.

Karrin go zignorowała. Nieznacznie przesunęła biodra, szukając innego kąta natarcia. Lśniący Miecz obniżył się o kolejny ułamek centymetra.

– Dresden – odezwał się Nicodemus. – Daję ci szansę odwołania swojego psa, zanim sam ją uspię. – Zerknął na mnie. – Załatwcie doktorka i wracajcie do bazy. Nie ma sensu zabijać całej waszej trójki.

Zazgrzytałem zębami. Śmierć w obronie Buttersa to jedno. Zabranie Karrin ze sobą to coś zupełnie innego. Ale znałem ją. Wiedziałem, jaką podejmie decyzję, i nie musiałem z nią o tym rozmawiać.

Karrin także nie pozwalała, by potwory zabierały jej bliskich.

Ale nie wiedziałem, jak wybrnąć z tej sytuacji. Genoskwa stał niedaleko i był cholernie szybki. Nawet gdyby Butters teraz pobiegł do bezpiecznego domu Michaela, nie zdążyłby do niego dotrzeć, a ja nie mogłem spowolnić olbrzymią magią.

Miałem tylko jedno wyjście.

– W porządku – wychrypiałem. – Psiakrew, niech ci będzie.

Chwyciłem Buttersa i pchnąłem go przed siebie, celując w niego laską i przywołując siłę woli. Runy rozjarzyły się zielono-białym światłem kryształów wydobytych spod Demonreach, skąd pochodziło drewno laski.

– Wybacz mi, Butters – powiedziałem. – To nic osobistego.

Nicodemus wytrzeszczył oczy. Karrin zerknęła na mnie, początkowo z niedowierzaniem, a potem z determinacją.

– Harry? – spytał Butters.

– *Forzare!* – zagrzmiałem i uwolniłem falę niewidocznej mocy.

Trafiła Buttersa prosto w pierś, niczym szarżujący byk, i wyrzuciła w przecinane deszczem powietrze. Doktor przeleciał nad białym płotkiem i upadł w najbliższym narożniku podwórka Carpenterów.

Wszystko wydarzyło się w tej samej chwili.

Nicodemus błyskawicznie poruszył lewą ręką i wydobył skądś pistolet o krótkiej lufie. Przycisnął ją do brzucha Karrin i kilkakrotnie pociągnął za spust.

Wydałem okrzyk protestu i wyszarpnąłem spod płaszcza potężny rewolwer, podczas gdy Genoskwa na mnie zaszarżował. Moc Zimy uczyniła mnie nadludzko szybkim, ale i tak miałem czas tylko na strzał z biodra. Genoskwa był ode mnie oddalony o metr, gdy pistolet huknął jak armata. Potem potężna istota wpadła na mnie niczym rozpędzony pociąg, uniosła mnie z ziemi, jakbym był śmieciem porwanym przez wiatr, i wbiła w bok minifurgonetki zaparkowanej po przeciwnej stronie ulicy.

Metal trzasnął i zachrząścił. Pękło szkło. Srebrna błyskawica przeszła moje ciało, nie zadając mi żadnego bólu. Smród włochatego mięsożercy wypełnił moje nozdrza. Uderzyłem ramionami o samochód, ale nie wypuściłem pistoletu z dłoni. Przycisnąłem lufę do tułowia stwora, jednak zanim zdążyłem wystrzelić, Genoskwa chwycił mnie za nadgarstek, obejmując dłonią moje przedramię, jakbym był niemowlęciem, po czym przygwoździł moją rękę do boku auta. Drugą dłoń położył mi na głowie i napał pazurami na skórę, a jego palce zacisnęły się na mojej czaszce jak dziadek do orzechów.

– Stój! – zawołał Nicodemus.

Genoskwa nisko warknął. Musiał obrócić ramiona i biodra, by się obejrzeć – jak mała o szyi zbyt muskularnej, by móc swobodnie kręcić głową. Dzięki temu

mogłem zobaczyć, co się dzieje za jego plecami.

Karrin, najwyraźniej cała i zdrowa, wciąż stała na nogach i przyciskała *Fidelacchiusa* do gardła Nicka.

Zamrugalem i poczułem nagły przyływ wścieklej dumy.

Pokonała go.

– Może i nie jestem prawdziwym Rycerzem – rzuciła Karrin, przerywając ciszę, a jej głos był naznaczony bólem. – Ale innego tutaj nie ma. Powiedz goryłowi, żeby puścił Dresdena, w przeciwnym razie odrąbię ci głowę i zwrócę Kościołowi Pętłę razem z twoją Monetą.

Nicodemus przez chwilę się jej przyglądał. Potem powoli rozwarł dłonie i upuścił miecz oraz pistolet na zmrożoną ziemię. Deszcz ze śniegiem grzechotał, uderzając o grunt.

– Poddaję się – powiedział cicho kpiącym tonem. Lekko przekrzywił głowę w stronę Buttersa. – I zrzekam się pretensji do krwi tego niewinnego. Okaż mi łaskę, o, Rycerzu.

– Powiedz Genoskwie, żeby go puścił – poleciła Karrin.

Nicodemus uniósł dłoń. Kłębiące się wokół niego cienie nagle stężały i pomknęły w jego stronę. Zgromadziły się w jego dłoni i po chwili zalśniła tam mała srebrna moneta naznaczona czarną smugą w kształcie jakiegoś magicznego znaku. Nie odwracając wzroku od Karrin, upuścił monetę, która spadła na oblodzony chodnik, nie odbijając się od niego, jakby była zrobiona z czegoś cięższego od ołowiu.

– Puść Dresdena – nie ustępowała Karrin.

Nicodemus się uśmiechnął, a jego oczy i dłonie wciąż się nie poruszały. W końcu sięgnął do szyi, poluzował Pętłę i upuścił ją na ziemię obok monety.

Karrin obnażyła zęby.

– Puść go. Nie będę prosiła powtórnie.

Nicodemus nie przestawał się uśmiechać.

– Zmiażdż mu czaszkę. Tak, żeby bolało.

Genoskwa zwrócił się w moją stronę, jego oczy zapłonęły pod masywnymi brwiami, a palce zacisnęły się mocniej na mojej czaszce. Upuściłem łaskę i próbowałem oderwać jego dłoń od mojej głowy, ale szybko zdałem sobie sprawę, że w porównaniu z nim jestem żałośnie słaby. Gdybym wytrzymał wszystkie siły, być może zdołałbym przesunąć jeden jego palec. Spróbowałem to zrobić. Uścisk przybrał na sile. Mój oddech stał się chrapliwy, a na srebrzystym pancerzu chroniącym mnie przed bólem pojawiły się pęknięcia.

– Ale ja się poddam – zapewnił Nicodemus. – To jasne, co musisz zrobić. – Uśmiechał się, a jego głos ociekał pogardą. – Ocal mnie, o, Rycerzu.

– Ty sukinsynu – warknęła Karrin, łapczywie chwytając powietrze. – Ty sukinsynu.

Ból w końcu zaczął się przebijać przez tarczę Zimy. Kiedy Genoskwa wzmocnił uścisk, z moich ust wyrwał się zwierzęcy odgłos. Olbrzym szybko i chrapliwie dyszał. Wyraźnie sprawiało mu to przyjemność.

Mój jęk wstrząsnął Karrin, której ciało zareagowało na ten dźwięk.

Przewidziałem, co zrobi Nicodemus. Próbowałem ją ostrzec, ale kiedy zacząłem mówić, Genoskwa uderzył moją głowę o bok samochodu i nie zdołałem wykrztusić ani słowa.

– Ocal mnie i patrz, jak on umiera – rzekł Nicodemus.

– Niech cię szlag! – warknęła Karrin.

Skreśliła biodra i ramiona, by zadać zabójczy cios.

Światło ostrza zgasło jak lampa odłączona od prądu. Pulsująca moc przeszywająca powietrze zniknęła.

Nicodemus przetoczył się po ziemi, zwinny jak wąż. Idealnie przewidział ruch Karrin i płynnym skreśleniem kręgosłupa i ramion oddalił się od Miecza. Brak oporu wytrącił Karrin z równowagi, a Nicodemus chwycił ją za nadgarstki.

Przez chwilę się zmagali, a potem *Fidelacchius* uniósł się wysoko nad głowę Karrin, która poblądła z przerażenia, widząc, że Miecz lśni tylko zwykłym blaskiem.

Kierowany dłonią Nicodemusa starożytny Miecz opadł na chodnik, uderzając płazem o zmarznięty kamień.

Ostrze pękło z wrzaskiem protestu, a okruchy metalu zalśniły w świetle latarni. Wirujące kawałki pofrunęły na wszystkie strony, migocząc odbitym blaskiem w ciemności. Karrin patrzyła na nie z niedowierzaniem.

– Ach – westchnął Nicodemus powoli i głęboko, z niekłamaną satysfakcją.

Zapadła potworna cisza.

Miecz Wiary przestał istnieć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Deszcz ze śniegiem grzechotał o ziemię.

Kilka przecznic dalej rozległo się zagubione i samotne wycie psa.

Karrin gwałtownie zaszlochała, wpatrując się szeroko otwartymi niebieskimi oczami w kawałki roztrzaskanego miecza.

– Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni, panno Murphy – zamruczał Nicodemus. A potem uderzył ją w twarz głową.

Zatoczyła się do tyłu pod wpływem ciosu, ale Nicodemus zatrzymał ją, zaciskając dłoń na jej ręce.

– Nie jest rolą Rycerza decydować, czy należy odebrać komuś dar życia – dodał. Zanim zdążyła dojsć do siebie, uderzył ją wściekle w szczękę wypukłą częścią nadgarstka. Rozległ się donośny chrzęst. – Nie do ciebie należy potępienie bądź skazywanie.

Karrin zdołała dojsć do siebie. Wyprowadziła szybki cios, celując w twarz Nicodemusa, zmuszając go do uchylenia się, a następnie ich dłonie wykonały złożony i błyskawiczny układ ruchów, który Karrin zakończyła, klęcząc na lodowatym chodniku z wyciągniętą przed siebie lewą ręką.

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby przegrała w walce na chwytach. Nigdy.

– Nie jestem pewien, co by się wydarzyło, gdybyś po prostu zadała cios, bez potępienia – ciągnął Nicodemus. – Ale wygląda na to, że w chwili prawdy twoje intencje nie były czyste. – Gwałtownie skręcił ramiona.

Karrin wrzasnęła, tracąc oddech.

Opierałem się miażdżącemu uściskowi Genoskwy, ale przeciwko niemu byłem bezbronny jak szczeniak. Przywołałem siłę woli i posłałem w jego stronę nie w pełni uformowane zaklęcie. Energia ponownie spłynęła po nim i wniknęła w grunt.

Byłem bezradny.

Nicodemus obrócił Karrin, przekrzywił głowę, a następnie z miażdżącą siłą uderzył piętą w jej kolano.

Usłyszałem pękające kości i ścięgna.

Karrin stłumiła kolejny okrzyk bólu i upadła na ziemię pokonana.

– Przez chwilę obawiałem się, że w ogóle nie użyjesz Miecza – rzekł Nicodemus. Nachylił się i podniósł Pętlę, po czym założył ją na szyję, swobodnie jak biznesmen wiążący krawat. – Ci, którzy przeżyli Chichén Itzá... a było ich więcej niż kilkoro, po części dzięki twoim wysiłkom... twierdzą, że miałaś imponujący wkład w tamten konflikt. To oczywiste, że tamtej nocy byłaś gotowa i stałaś po właściwej stronie. Ale nigdy nie było ci pisane osiągnąć więcej. Większość Rycerzy Krzyża służy krócej niż trzy dni. Wiedziałaś o tym? Nie zawsze zostają zabici – po prostu spełniają swoją rolę i odchodzą. – Nachylił się bliżej. – Szkoda, że nie miałaś na tyle klasy, by postąpić tak samo. Co cię skłoniło do chwycenia za Miecz, skoro wiedziałaś, że nie jesteś godna go dzierżyć? Czyżby pycha?

Karrin posłała mu wściekłe spojrzenie zmęczone przez ból i łzy, a potem zerknęła na mnie.

Nicodemus wyprostował się i uniósł brew.

– No tak, oczywiście – rzekł oschłym, ale zarazem jadowitym tonem. – Miłość. – Pokręcił głową, po czym jedną ręką podniósł miecz, a drugą monetę. – Miłość doprowadzi do zguby samego Boga.

Karrin warknęła cicho i cisnęła pękniętą rękojęć *Fidelacchiusa* w kierunku jego głowy. Nicodemus gwałtownie uniósł swój miecz i lekceważącym tonem odbił drewnianą rączkę, która spadła na podwórze Carpenterów.

Zbliżył się do Karrin, ponownie opuszczając czubek miecza w jej stronę. Kiedy to zrobił, czerń ześlizgnęła się po jego ciele na ziemię, a jego cień rozplątał się wokół niego jak plama ropy na czystej wodzie.

Karrin zatoczyła się do tyłu, ale z trudem się poruszała, ponieważ miała niesprawną jedną rękę i nogę. Pod wpływem deszczu ze śniegiem włosy przykleiły jej się do głowy, a przez sterczące uszy wyglądała na młodszą i młodszą.

Kopnąłem Genoskwę, patrząc na niego przez czerwoną mgłę zasnuwającą mi wzrok. Moc Zimy pozwalała mi bez trudu rozbijać w pył cegły. Teraz była bezużyteczna. Mój wróg składał się z samych mięśni powleczonych twardą jak skała skórą.

– Trzeba stawić czoło prawdzie, panno Murphy – rzekł Nicodemus, dotrzymując jej kroku. Jego cień kłębił się wokół jej stóp. – Miałaś serce... – wskazał je czubkiem miecza, żeby zilustrować swój argument – ...na niewłaściwym miejscu.

Zamilkł na chwilę, żeby mogła zobaczyć nadchodzące pchnięcie.

Stała naprzeciwko niego z wściekłymi, przerażonymi oczami i twarzą bladą z bólu.

Nagle otworzyły się drzwi domu Carpenterów.

Nicodemus skupił wzrok na werandzie.

Michael stanął w progu i przez chwilę obserwował całą sytuację, podpierając się laską. Potem pokuśtykał po schodkach na dróżkę prowadzącą od werandy do skrzynki na listy. Szedł ostrożnie i pewnie w padającym deszczu ze śniegiem, aż dotarł do furtki w białym ogrodzeniu.

Tam się zatrzymał, w odległości około metra od Nicodemusa, i wbił w niego wzrok.

Śnieg topił się na jego flanelowej koszuli.

– Puść ich wolno – rzekł Michael cicho.

Kącik ust Nicodemusa uniósł się lekko. Jego ciemne oczy lśniły groźnym blaskiem.

– Nie masz tutaj władzy, Carpenter. Już nie.

– Wiem – odpowiedział Michael. – Ale i tak puścisz ich wolno.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ponieważ wtedy wyjdę za tę furtkę – odparł Michael.

Nawet z miejsca, w którym się znajdowałem, widziałem ogień nienawiści buzujący w oczach Nicodemusa. Jego cień wpadł w obłąd, miotał się z boku na bok, nacierając na białe ogrodzenie jak fale przyływu podgryzające kamienne urwisko.

– Dobrowolnie? – spytał Nicodemus. – Z własnej nieprzymuszonej woli?

To była najważniejsza kwestia. Gdyby Michael świadomie zrezygnował z anielskiej ochrony, jego stróżowie nie mogliby nic zrobić. Aniołowie dysponują straszliwą mocą, ale nie mogą przewyciężyć wolnej woli. Michael stałby się bezbronny.

Tak samo jak kiedyś Shiro.

– Michaelu – wychrypiałem. Czuję potężny ucisk. Z moich ust trysnęło znacznie więcej śliny, niż się spodziewałem. – Nie rób tego.

Michael uśmiechnął się i powiedział karcącym tonem:

– Ależ Harry.

– To bez sensu, żebyś ty też umarł. – Karrin westchnęła. – On i tak później nas dopadnie.

– Zrobilibyście to samo dla mnie – odrzekł Michael i z takim samym uśmiechem podniósł wzrok na Nicodemusa.

Wtedy deszcz ze śniegiem po prostu się... zatrzymał.

Nie chodzi mi o to, że przestało padać. Na wpół zamrożone krople przestały się poruszać i zawisły w powietrzu jak miliony malutkich klejnotów. Ustał także wiatr. Wycie psa urwało się tak gwałtownie, jakby ktoś wyłączył je pilotem.

Jednocześnie przed furtką pojawił się mężczyzna. Był wysoki i szczupły, a ramiona miał szerokie jak zawodowy pływak. Jego rysy twarzy były delikatne

jak porcelana. Kręcone włosy lśniły czernią, skóra miała bogatą ciemnokarmelową barwę, a oczy lśniły srebrem i zielenią. Jego pojawieniu się nie towarzyszyły fanfary. W jednej chwili go nie było, a potem po prostu stanął obok nas.

Zjawił się nagle i całkowicie pochłonął naszą uwagę, jakby blask latarni oświetlał go wyraźniej od pozostałych. Nawet gdyby gwałtowne zatrzymanie się fizycznego świata nie stanowiło wystarczającej wskazówki, i tak poczułbym moc, która promieniowała z niego jak światło z gwiazdy.

Ukazywał mi się pod wieloma postaciami, ale nie sposób było pomylić go z kimkolwiek innym.

Pan Słoneczko. Archanioł Uriel.

Skupiał wzrok wyłącznie na Michaelu, a z jego oblicza dało się wyczytać rozpacz.

– Nie musisz tego robić – odezwał się cicho nagłym tonem. – Już dostatecznie wiele z siebie dałeś.

– Urielu – odrzekł Michael, nisko skłaniając głowę. – Wiem.

Anioł uniósł dłoń.

– Jeśli to zrobisz, nie będę mógł cię ochronić. A ta istota będzie mogła sprawić ci ból, jakiego nawet sobie nie wyobrażasz.

Twarz Michaela rozjaśnił pogodny uśmiech.

– Mój przyjacielu...

Uriel zamrugał i lekko się zachwiał, jakby te słowa dotknęły go cieleśnie.

– ...dziękuję – dodał Michael. – Ale ktoś ustanowił dla nas wzór postępowania.

Nicodemus postukał Uriela palcem w ramię.

– Przepraszam...

Anioł powoli się odwrócił. Miał skupioną twarz i beznamietne oczy.

– Mieszasz się w sprawy śmiertelników, aniele – rzekł Nicodemus. – Odsuń się.

Oczy Uriela zamigotały i zmrożona błyskawica przeszła obłoki w górze, a pod wpływem grzmotu znieruchomiałe krople zadrżały.

– Grozisz mi? – spytał Nicodemus, a pogarda wylewała się z jego słów jak krew z rany. – Może powinieneś ograniczyć straty. Obaj dobrze wiemy, że w tej sprawie nie masz nic do powiedzenia. Nie możesz mnie skrzywdzić.

Nicodemus uniósł rękę i spokojnie pstryknął palcem w czubek nosa anioła.

Uriel wytrzeszczył oczy, a straszliwe światło zgromadziło się wokół jego głowy i ramion. Patrzenie na niego sprawiało mi ból, paliło moje oczy, porażało umysł wspomnieniami wszystkich wstydliwych uczynków, jakich się dopuściłem, i paliło świadomością tego, jak łatwo mógłbym dokonać innych

wyborów. Światło aureoli Uriela przeganiało cienie i zmuszało każdego do odwrócenia wzroku.

Każdego oprócz Nicodemusa.

– Dalej, aniele – prowokował Nicodemus, a jego cień puchł i wił się powolnym, niespokojnym ruchem. – Powal mnie. Spuść na mnie swój gniew. Osądź mnie.

Uriel wpatrywał się w niego. Potem przeniósł wzrok na okruchy *Fidelacchiusa*. Na chwilę zamknął oczy i odwrócił twarz od Denarianina.

Blask jego aureoli zamigotał i zgasł. Pojedyncza łza spłynęła po jego policzku.

Odsunął się i zaczął odchodzić.

– Stary! – zaprotestowałem. Coraz trudniej było mi cokolwiek zobaczyć przez gęstniejącą czerwień. – Co z ciebie za anielski obrońca? Zrób coś.

Uriel się nie obejrzał.

– A więc dobrze – odezwał się Nicodemus do Michela. Przez cały czas celował czubkiem miecza w serce Karrin. – Jeśli wypuszczę tę dwójkę, wyjdiesz za furtkę?

Michael skinął głową.

– Tak zrobię. Masz moje słowo.

Oczy Nicodemusa zaśniły. Podniósł wzrok na Genoskę i pokiwał głową, a wtedy wylądowałem na ziemi, nietknięty, w cieniu potężnej istoty. Kudłaty olbrzym wpatrywał się w Uriela z nienawiścią, ale po chwili przeniósł dzikie spojrzenie na dom i podwórko, przeskakując wzrokiem od jednego punktu do drugiego, patrząc na coś, czego nie widziałem. Krew ponownie napłynęła mi do głowy, mocno pulsując, i chociaż Zima tłumiała ból, z każdym uderzeniem serca widziałem przed oczami jasne i ciemne plamy.

– Dalej, Dresden – odezwał się Nicodemus. – Zabierz ją do środka.

Dopiero po kilku próbach udało mi się wstać, ale w końcu to zrobiłem, wepchnąłem rewolwer z powrotem do kieszeni płaszcza i powłóczę nogami, zbliżyłem się do Karrin.

Była mocno sponiewierana i wyraźnie cierpiała. Z pewnością krzyknęłaby z bólu, kiedy ją podnosiłem, gdyby była w stanie złapać oddech. Michael otworzył nam furtkę i wniosłem Karrin na podwórze, gdzie jak najostrożniej położyłem ją na trawie.

Uriel tymczasem podszedł do Buttersa. Przykucnął i nim potrząsnął.

Butters ocknął się i usiadł, masując się po głowie.

Anioł przemówił do niego cicho i z naciskiem, wskazując głową dom. Butters przełknął ślinę i pokiwał głową. Oczy miał wielkie jak spodki. Wstał i potruczał na podwórze za domem.

Uriel popatrzył na mnie znacząco.

Czas, odezwał się głos w mojej głowie. *Daj mi trochę czasu.*

– Dotrzymałem słowa – powiedział Nicodemus do Michaela. – Teraz twoja ko...

– Jeszcze czego – wszedłem mu w słowo. – Przed chwilą rozkazałeś swojemu bandziorowi, żeby mnie zabił. Zerwałeś umowę z Mab.

Nicodemus przeniósł na mnie rozbawiony wzrok.

– Chodzi ci o to? – spytał. – A niech mnie, Dresden, nie potrafisz rozpoznać fortelu?

– Jakiego fortelu? – warknąłem.

– Musiałem trochę przycisnąć pannę Murphy – odrzekł Nicodemus. – Tak naprawdę nic ci nie groziło. Naprawdę uważasz, że Genoskwa potrzebowałaby więcej niż kilku sekund, żeby zgnieść czaszkę nawet tak twardą jak twoja? – Uśmiechnął się szeroko, wyraźnie dobrze się bawiąc. – Wcale nie próbowaliśmy cię zabić, tak jak ty nie próbowałeś złamać słowa danego Mab, gdy wzięłeś udział w pościgu za doktorkiem.

Psiakrew. Nie ma to jak oficjalny rewanż. Byłem pewien, że w oczach Mab Nicodemus i ja byliśmy kwita. Moje próby ochrony Buttersa można było wytłumaczyć pechem lub niekompetencją. Z kolei zamach na moje życie Nicodemus mógł przedstawić jako fortel mający doprowadzić do zniszczenia Miecza.

Zmrużył oczy.

– Oczekuję, że dalej będziesz wywiązywał się ze swoich obowiązków, Dresden, niezależnie od tego, co się wydarzy w ciągu następnych kilku godzin.

Zazgrzytałem zębami.

– Zaatakowałaś Murphy.

– Ostrzegałem cię, że nie mogę jej zagwarantować bezpieczeństwa – odrzekł rzeczowym tonem. – Zresztą, o ile pamiętasz, to ona zaatakowała jako pierwsza. Poza tym wciąż żyje. – Obnażył białe zęby. – Powiedziałbym, że postępuję wyjątkowo rozsądnie. Tak samo uzna twoja pani.

Znów miał rację – w opinii Mab Nicodemus był rozsądnym człowiekiem.

Uriel tymczasem stanął po prawicy Michaela. Ja zająłem miejsce po jego drugiej stronie.

– Zawarliśmy układ – zamruczał Nicodemus do anioła. – Dał mi swoje słowo. Nie możesz go powstrzymać przed jego dotrzymaniem.

– Zgadza się, ale mogę mu w tym pomóc – odparł Uriel.

Nicodemus przestał się uśmiechać.

Uriel spokojnie odwrócił się w stronę Michaela. Położył dłoń na jego ramieniu i delikatnie odebrał mu laskę.

Michael zamrugał i wyciągnął ręce, próbując utrzymać równowagę, napinając całe ciało, jakby spodziewał się, że bez laski runie na ziemię. Po chwili się odprężył. Oparł część ciężaru ciała na niesprawnej nodze, potem zwiększył nacisk, aż w końcu roześmiał się cicho i kilkakrotnie podskoczył na jednej nodze.

W tej samej chwili Butters wybiegł z za domu. W jego włosach wciąż tkwiła gałązka z mokrym brązowym liściem dębu, obtarte kolana miał umazane żywicą, a w rękach niósł smukły pakunek owinięty płótnem i taśmą klejącą, który długością niemal dorównywał jego wzrostowi. W biegu rozdarł opakowanie i wręczył zawartość Michaelowi.

Michael wytrzeszczył oczy, a następnie podszedł do Nicodemusa, wyprostował prawą rękę – nawet nie patrząc, ponieważ nie musiał – i wyciągnął z pakunku Miecz, lśniący kawałek prostej stali z rękojeścią w kształcie krzyża. Kiedy palce Michaela zacisnęły się na niej, Amoračius eksplodował białym światłem i po raz drugi tego wieczoru cicha, złowroga moc jednego z Mieczów wypełniła powietrze.

Nicodemus szerzej otworzył oczy.

– Ty oszuście! – warknął.

– Powiedziałem, że do ciebie wyjdę – odrzekł Michael.

Uniósł stopę w roboczym obuwiu i kopniakiem wyłamał białą furtkę z zawiasów. Furtka trafiła Nicodemusa w pierś i odepchnęła go na ulicę, a Michael Carpenter, Rycerz Krzyża, wyszedł na oblodzony chodnik, pod bacznym wzrokiem archanioła, którego srebrzysto-zielone oczy zapłonęły w odpowiedzi na światło Miecza w dłoniach Michaela.

– Wyszedłem – rzekł Michael. – *In nomine Dei*, Nicodemusie. Przyszedłem stawić ci czoło.

Nicodemus obnażył zęby.

Panicznie bałem się o Michaela.

Ale moje serce wypełniała radość.

– Ha-ha! – zawołałem, wskazując go palcem, jak Nelson w *Simpsonach*.

Potem wyszedłem przez furtkę i stanąłem u boku mojego przyjaciela. Wyciągnąłem palec w stronę mojej laski, która leżała na ziemi, w miejscu, w którym trzymał mnie Genoskwa, przywołałem siłę woli i zawołałem: „*Vantas servitas*”.

Zerwał się gwałtowny wiatr, który uniósł laskę w powietrze. Złapałem ją i nappełniłem mocą, przyzywając zielono-białe światło i srebrzysty ogień duszy do kanałów mocy przenikających jej runy.

Uriel uśmiechnął się z napięciem, jego spojrzenie stężało, a deszcz ze śniegiem znów zaczął padać z nieba. Krople trafiające w runy zmieniały się

w małe obłoczki pary.

– Jest was dwóch – odezwałem się do Nicodemusa. – Nas też. Co ty na to, Nick?

Michael stanął naprzeciwko niego, zaciskając obie dłonie na rękojeści Amoračiusa. Światło Miecza wypełniło powietrze, a cień Nicodemusa skulił się pod jego wpływem.

Nicodemus w końcu cofnął się o krok i opuścił ostrze.

– Dresden. O czwartej rano masz być w kwaterze głównej – powiedział. Następnie się odwrócił.

– Nie tak szybko, mądralo – odparłem.

Nicodemus znieruchomiał.

– Jeśli mam grać według twoich głupich zasad, to samo musi dotyczyć ciebie. Chcę, żeby ktoś dbał o moje bezpieczeństwo podczas tej akcji.

– Panna Murphy wciąż może pełnić tę rolę.

– Unieszkodliwiłeś ją – przypomniałem. – Nie musiałeś tego robić. Już była pokonana.

– Więc wybierz kogoś innego – odburknął Nicodemus.

Położyłem dłoń na ramieniu Michela.

– Już wybrałem. A ty będziesz musiał z tym żyć, w przeciwnym razie uznam, że jestem zwolniony z wszelkich zobowiązań, podobnie jak Mab.

Nicodemus po prostu stał na deszczu, nie przejmując się zimnem. Przez kilka sekund wbijał we mnie wzrok w ciszy.

– Niech będzie – odrzekł w końcu.

Cienie zebrały się wokół niego i rozpląnęły w burzowej nocy, zabierając go ze sobą. Rozejrzałem się i uświadomiłem sobie, że Genoskwa także się ulotnił.

Michael popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, opuszczając Miecz.

– No co? – spytałem.

– Charity nie będzie zachwycona – stwierdził.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Nick i Wielki Kudłacz odeszli, podbiegłem do Karrin. Leżała na plecach i dygotała, wpatrując się w pustkę.

Zwróciłem się do Uriela i wskazałem Karrin palcem.

– Uzdrów ją.

Uriel się skrzywił.

– Nie mogę. – Po chwili dodał: – Przykro mi.

– Jestem tobą bardzo rozczarowany, Panie Słoneczko – odparłem. – Butters.

– Tak, tak – odrzekł Butters, idąc w stronę Karrin. – Jezu. – Westchnął po chwili. – Chodź, musimy ją zabrać w jakieś ciepłe i suche miejsce. Natychmiast. Może dostać zapaści.

– Napaliłem w kominku – odezwał się Michael. – Przysuniemy do niego kanapę.

Zdjąłem płaszcz i rozłożyłem go na ziemi. Umieściliśmy na nim Karrin.

– Hej, Panie Słoneczko! – zawołałem, może nieco bardziej szorstko, niż powinienem. – Jakies kosmiczne ograniczenia nie pozwalają ci chwycić swojego końca płaszcza?

Uriel zamrugnął, ale po chwili dołączył do nas i chętnie chwycił jeden z narożników prowizorycznych noszy. Razem podnieśliśmy Karrin, starając się trzymać ją równo, a ona wydała nieartykułowany jęk bólu. Zanieśliśmy ją do domu, a Butters otworzył nam drzwi.

Michael przez cały czas uważnie przyglądał się mojej twarzy.

– No co? – spytałem.

– Nie jesteś wściekły – zauważył. – Z powodu tego, że stała jej się krzywda.

– Nic z tych rzeczy – odparłem. – Przyjdzie na to pora. Kiedy już się nią zajmiemy. W swoim czasie.

Michael stęknął.

– Nie jesteś bardziej wściekły, niż gdyby chodziło o mnie. Albo o Buttersa.

Mruknąłem pod nosem.

– Ona nie jest delikatną królowną – odrzekłem. – Jest wojowniczką. Wojownicy mają wrogów i czasami zostają ranni. – Poczulem, że moje szczęki

kurczowo się zaciskają. – A wtedy ich przyjaciele wyrównują rachunki.

– Jak cholera – zgodził się Butters.

Michael wpatrywał się w jeden punkt.

– Harry.

Wnieśliśmy Karrin do jego salonu i powoli ułożyliśmy ją na kanapie. Zgodnie z zapowiedzią w eleganckim kamiennym kominku płonął ogień. Kiedy Karrin spoczęła na kanapie, wspólnie z Urielem unieśliśmy mebel i postawiliśmy go przed kominkiem, by otoczyło ją ciepło.

– Ręczniki! – zawołał Butters. – Koce. Szybko.

– Przyniosę – zaproponował Uriel. Odwrócił się, znieruchomiał, a następnie odezwał się do Michaela: – Gdzie je znajdę?

Michael wskazał mu szafę z pościelą, a Uriel pośpiesznie do niej ruszył i po chwili wrócił z naręczem ręczników.

– Dobrze – powiedział Butters i odebrał je od niego. Zaczął osuszać ciało Karrin.

Ciepło ognia i dotyk ręczników nieco ją pobudziły i kilkakrotnie zamrugała.

– Michaelu – odezwała się. – Michaelu?

– Jestem tutaj – odpowiedział.

Karrin poniosła wzrok. Miała ściągniętą twarz i oczy pełne łez.

– Przepraszam. Tak mi przykro. Straciłam Miecz.

– Spokojnie – odrzekł Michael łagodnie. – Poradzimy sobie z tym. Teraz nie musisz się tym przejmować.

– Musimy zdjąć z niej te mokre ubrania – zauważył Butters. – Masz nożyczki?

– W przyborniku – odpowiedział Michael. – W kuchni.

– Ja przyniosę – zgłosił się Uriel.

Wyszedł i po chwili podał Buttersowi to samo czerwone pudełko, z którego Michael korzystał, gdy mnie opatrywał.

– Przepraszam, Karrin – odezwał się Butters. – Za twoją kurtkę.

Zaczął rozcinać ubranie nożyczkami, starając się nie poruszać jej ręką ani ramieniem. Mimo wszystko Karrin stęknęła z bólu.

– Nie wiedziałam, co robić – westchnęła. – Gdybym się od niego odwróciła, zaatakowałby mnie od tyłu. A gdybym nie ruszyła na pomoc Harry’emu, na pewno by z-zginał. – Wytrzeszczyła oczy. – Co z Harrym...?

– Jestem tutaj. – Chwycił jej prawą dłoń.

Przeniosła na mnie wzrok i nagle mocno ścisnęła moje palce. Miała lodowatą rękę i mocno dygotała.

– Harry – szepnęła. – Dzięki Bogu.

– Jasna cholera – odezwał się Butters. – W jej koszuli są dziury po kulach.

– Schrzaniłam, Harry – powiedziała. – Cholera, wszystko schrzaniłam. – Już nie kryła łez. – Oni są za silni. Jest ich zbyt wielu i są za silni.

– Karrin. – Ująłem jej twarz w obie dłonie i zmusiłem ją, żeby na mnie popatrzyła, podczas gdy Butters rozcinał jej koszulę. – Zamknij się. Nie mogłaś spieprzyć tego lepiej. Rozumiesz? Wszyscy wyszliśmy cało. Nic nam nie będzie. Prawda, Butters?

Butters posłał mi nerwowe spojrzenie.

– Ale Miecz – dodała Karrin.

Michael nachylił się w jej stronę.

– Nie trać wiary, panno Murphy – powiedział poważnym głosem. – Sprawy nie zawsze przybierają tak zły obrót, jak nam się wydaje. Czasami ciemność pozwala nam łatwiej dostrzec światło.

Podniosłem wzrok na Uriela, którego usta zacisnęły się w ponurą kreskę.

– Och, dzięki Bogu – odetchnął Butters. – Miała na sobie kamizelkę.

– Oczywiście, że miałam na sobie kamizelkę – odrzekła Karrin, a jej głos na chwilę stał się niezwykle wyraźny i nieco rozdrażniony. Zaczęła mocniej dygotać. – Boże, ale zimno.

Butters wydłubał kilka małych jaskrawych kawałków metalu i podał je Michaelowi.

– Cztery, pięć. Ile razy ją postrzelono?

– Pięć – natychmiast odpowiedział Uriel.

– Dwudziestki dwójki – zauważył Michael. – Może dwudziestki piątki.

– Żadnej krwi – poinformował Butters. – Kamizelka chyba zatrzymała je wszystkie. – Dalej rozcinał koszulę, aż zobaczył kontuzjowane ramię, które już zaczynało puchnąć. – Musimy zdjąć z niej kamizelkę.

– Dlaczego? – spytałem.

– Ponieważ kevlar się nie rozciąga, a ona będzie puchnąć. Poza tym powinna pojechać do szpitala, a wolałbym nie odpowiadać na pytania o uszkodzoną kamizelkę kuloodporną.

– To może nie być bezpieczne – odrzekłem. – Dlaczego nie możesz się nią zająć tutaj?

– Ponieważ nie mam niezbędnych narzędzi, a nawet gdybym miał, to nie potrafiłbym ich użyć – odrzekł Butters surowo. – Posłuchaj, Harry, nie każdy jest tak odporny na obrażenia jak ty. Karrin ma wybite ramię i to zapewne nie jedyna jej kontuzja. Jeszcze nie widziałem jej kolana, ale domyślam się po jego kształcie, że pewnie ma zerwane więzadło krzyżowe. Coś takiego samo nie przejdzie i jeśli nie zapewnimy jej fachowej opieki, i to szybko, może zostać kaleką na całe życie. Dlatego, kiedy tylko upewnię się, że nie grozi jej hipotermia, pojedziemy do szpitala. – Popatrzył na mnie z determinacją. – A jeśli

będziesz ze mną dyskutował, zadzwonię do jej przyjaciół z policji i powiem im, że potrzebuje pomocy.

Z wściekłości obraz zafalował mi przed oczami, warknąłem i zacisnąłem pięść, ale Butters nie ustąpił.

– Harry – odezwał się Michael. Stał pomiędzy nami i położył dłoń na mojej piersi. – Ona nie może tutaj zostać. Bardzo cierpi.

Zamrugąłem i zacząłem robić obliczenia w myślach, spychając Zimę w głąb umysłu. Gniew zelżał, pozostawiając zmęczenie i ból głowy.

– Jasne – odrzekłem. – Jasne... Wybacz, Butters. Hej, Panie Słoneczko. Możesz zapewnić jej ochronę, prawda?

– Nie mogę – odrzekł Uriel.

– Jesteś bezużyteczny – mruknąłem. Pulsujący ból przybierał na sile, pomimo kolczyka Mab. – Boże, moja głowa.

Ręka Michaela, która mnie powstrzymywała, teraz zapewniła mi oparcie.

– Harry? Nic ci nie jest? – spytał z niepokojem.

– Zaraz mi przejdzie. Po prostu... potrzebuję chwili odpoczynku.

– Urielu – odezwał się Michael łagodnym, ale przynaglającym tonem.

Pomieszczenie niespodziewanie się przechyliło i musiałem zamachać rękami, żeby utrzymać równowagę. Michael chwycił mnie za prawą rękę. Nos Uriela zderzył się z moją lewą ręką, trafiając w aluminiową szynę, ale archanioł zdołał mnie podtrzymać. Wspólnie dotarliśmy do krzesła, na którym siedziałem przez minutę, walcząc z zawrotami głowy.

Uriel miał zaszokowaną minę. Jego nos krwawił.

Byłem pewien, że to niemożliwe.

Dotknął twarzy palcami, po czym je cofnął. Popatrzył na szkarłatną krew, oszołomiony jak małe dziecko. Łzy napłynęły mu do oczu i kilkakrotnie zamrugął, jakby nie był pewien, co się dzieje.

Michael zauważył, na co patrzę, a jego szare oczy się rozszerzyły. Wyprostował się, ze zdziwieniem patrząc na Uriela.

– Coś ty zrobił? – spytał.

– Nie byliśmy władni uzdrowić cię z tego, co ci uczyniono – odezwał się Uriel. – Przykro mi. Krzywda, która cię spotkała, była skutkiem wyboru, nie przypadku.

Michael opuścił wzrok na nogę anioła.

– Coś ty zrobił? – powtórzył.

Uriel przeniósł wzrok ze swoich drżących, zakrwawionych palców na Michaela.

– Użytyłem ci swojej Łaski.

Oczy Michaela zrobiły się całkowicie okrągłe.

– Kurczę – odezwałem się. – Eee... czy to... czy to nie jest coś ważnego?
– Właśnie ona czyni mnie aniołem – odrzekł Uriel.
– Matko Boska. – Michael westchnął z zachwytem.
– Czy to nie... lekka przesada? – spytałem. – Przecież... Urielu, dysponujesz potęgą, która może niszczyć całe układy słoneczne.

– Galaktyki – poprawił mnie Uriel nieobecny głosem.
– Harry, co to mówisz? – spytał Michael.
– Dlaczego? – spytałem Uriela.
– Musiałem coś zrobić – wyjaśnił. – Nie mogłem tylko... bezczynnie stać. Ale mam ograniczone możliwości.

– Aha – odrzekłem. – Rozumiem. Chyba.
– Harry, o czym wy mówicie? – dopytywał Michael.
– Cóż... – mruknąłem, masując bolącą głowę. – Uriel chciał ci pomóc, ale nie mógł użyć swojej siły woli, by zmienić naszą sytuację. Zgadza się?

– Właśnie tak – potwierdził Uriel.
– Za to mógł zadziałać zgodnie z twoją wolą, Michaelu. A ty pragnąłeś wyjść naprzeciw Nicodemusemowi.

– Tak – odrzekł Michael.
– Nie mógł cię zmienić ani nie mógł zmienić otaczającego cię świata, przynajmniej nie z własnej woli. Ale mógł zmienić siebie. Dlatego dał ci swoją moc, żeby twoje ciało mogło funkcjonować tak jak dawniej. Dzięki temu to nie jego wola korzysta z tej potęgi, ale twoja. – Pulsowanie powoli ustępowało, więc podniosłem wzrok. – To znacznie więcej, niż potrzebujesz, ale dysponowałem tylko taką jednostką. To tak, jakby... pożyczył ci ogromny samolot pasażerski, ponieważ potrzebowałeś lampki do czytania. – Zerknąłem na anioła. – Mam rację?

Uriel pokiwał głową.

– Wystarczająco trafne porównanie.

Michael otworzył usta, gdy dotarła do niego prawda.

– Pożyczył – rzekł. – A więc to nie będzie trwało wiecznie.

Uriel pokręcił głową.

– To ważne zadanie. Potrzebujesz tej mocy. Korzystaj z niej.

Michael przekrzywił głowę.

– Ale... Urielu, jeśli wykorzystam ją do niewłaściwych celów...

– Wtedy Upadnę – cicho odrzekł Uriel.

Zakrztusiłem się powietrzem.

Jasna cholera.

Kiedy ostatnio doszło do Upadku archanioła, konsekwencje były poważne.

Uriel uśmiechnął się blado do Michaela.

– Jestem przekonany, że tego nie zrobisz. – Jego uśmiech stał się nieco krzywy. – Byłbym jednak wdzięczny, gdybyś... nie wciskał żadnych guzików ani nie pociągał za żadne dźwignie w moim ogromnym samolocie pasażerskim.

– Jak mogłeś to zrobić? – Michael westchnął.

– Potrzebujesz lampki do czytania – odrzekł Uriel. – Zasłużyłeś na każdą pomoc, jakiej mogę ci udzielić. Poza tym jesteś moim przyjacielem, Michaelu.

– Co się z tobą stanie, kiedy... będę korzystał z twojego samolotu? – spytał Michael.

– Transsubstancjacja – wyjaśnił Uriel. Pokazał zakrwawione palce.

Butters wreszcie zrozumiał.

– Jasna... cholera... On jest śmiertelny?

– I może umrzeć – dodałem cicho.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ogień trzaskał w kominku.

– Stawka najwyraźniej dotychczas była za mała – powiedziałem.

Uriel się uśmiechnął. Był to grymas pełen napięcia i bólu.

– Cofnij to – zażądał Michael. – Musisz to cofnąć, natychmiast.

– Mogę to zrobić – odparł Uriel. – Jeśli taki jest twój wybór, uszanuję go.

Coś w jego głosie wzbudziło we mnie złe przeczucia.

– Michaelu, zaczekaj. Zastanów się – poprosiłem.

– Nad czym tu się zastanawiać? – spytał Michael. – Archanioł Pana jest bezbronny.

– No właśnie – odrzekłem, rozkładając ręce. – Zupełnie jakby sądził, że to niezwykle istotne. Chyba że uważasz Uriela za kogoś, kto rozdaje swoją moc na lewo i prawo. – Popatrzyłem na anioła. – Mam rację?

Uriel pomógł Buttersowi okryć drżącą Karrin kolejnym kocem i popatrzył na nas bez słowa.

– Otóż to – dodałem. – Od razu wiadomo, kiedy jesteś na właściwym tropie, ponieważ wtedy się zamyka i za cholerę nic ci nie powie. Chodzi o Graala, prawda? O to, co Nicodemus chce z nim zrobić.

Uriel popatrzył na mnie znacząco, a ja poczerwieniałem.

– Wcale nie gram w otwarte karty – powiedziałem. – Wiem, że chodzi o coś więcej.

Anioł położył dłoń na głowie Karrin i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

Michael pokręcił głową i podszedł do miejsca, w którym odstawił Amoracchiusa po tym, jak wnieśliśmy Karrin do domu. Podniósł go z nieobecną miną i zaczął ostrożnie osuszać jednym z ręczników.

– Prosisz mnie o dokonanie bardzo poważnego wyboru.

– Tak – odrzekł Uriel.

– O potencjalnie straszliwych konsekwencjach.

Uriel popatrzył na niego ze współczuciem i pokiwał głową.

– Powiesz mi, o co toczy się gra, skoro mam podjąć takie ryzyko?

Uriel zmarszczył czoło, przez chwilę rozważając to pytanie.

– O duszę – odrzekł w końcu.

Michael uniósł brwi.

– Och, trzeba było tak mówić od początku. – Wyciągnął przed siebie Miecz i popatrzył wzdłuż ostrza. – W tej chwili nie jestem na emeryturze. Co z moją rodziną?

– Strażnicy przy nich pozostaną – zapewnił Uriel. – Zająłem twoje miejsce.

Michael odetchnął i trochę się rozluźnił.

– Dobrze. Chociaż to znów ściągnie na mnie uwagę.

– Niewykluczone.

– A strażnicy nie chronią przed zwykłymi śmiertelnikami – dodał Michael.

– Nie.

– Więc śmiertelnicy mogliby tutaj wejść i cię zabić. Tak samo jak ich.

– Potencjalnie – przyznał anioł.

– Słuchajcie, musimy ją zabrać do szpitala – wtrącił się Butters.

– Racja – odrzekłem. – Oto plan. Butters zawiezie Karrin na izbę przyjęć i powiadomi ludzi z Wydziału Dochodzeń, że trzeba się nią zająć.

– Oni nie powstrzymają kogoś takiego jak Nicodemus – zaprotestował Butters.

– Nie, ale mogą go zmusić do narobienia hałasu, jeśli będzie chciał ją dopaść, a Nick będzie chciał tego uniknąć przed akcją – powiedziałem. – Może posłać kilku giermków, ale z nimi WDS bez trudu sobie poradzi. Michaelu, pożyczysz Buttersowi samochód?

– Oczywiście – odrzekł Michael.

– Doskonale. Pomogą ci ją wysadzić przy izbie przyjęć.

– Jasne – zgodził się Butters. – Świetnie.

– Idę posprzątać przed domem – powiedziałem. – Pozbieram kawałki Miecza, łuski i tak dalej. Deszcz stłumił strzały, ale lepiej nie zostawiać śladów, bo jeszcze ktoś wścibski zadzwoni na policję.

– Czyli będę musiał sam porozmawiać z Charity – odrzekł Michael oschle.

– Tak się złożyło – przyznałem. – Gdzie ona jest?

– W schronie razem z Myszkiem i dziećmiakami – wyjaśnił Michael. – Mały Harry aż skakał po ścianach z podniecenia. Nie chciałem, żeby zobaczył... – Skinął głową w stronę Karrin. – Wypuszczę ich, kiedy Butters ją zabierze.

– Słusznie – pochwaliłem go.

– A co ja mam zrobić? – spytał Uriel.

– Siedzieć na miejscu – odparłem. – Zostań w domu. Nie wkładaj gwoździ do gniazdek, nie baw się zapalkami i nie biegaj z nożyczkami.

– Nie rozumiem – odrzekł Uriel.

– Nie ryzykuj – wyjaśniłem.

– Ależ oczywiście. – Zmarszczył czoło. – Tylko chciałbym jakoś pomóc.

– Więc siadaj – powiedziałem. – Siedzenie w ciszy jest bardzo pomocne.

Przysiadł na podłokietniku kanapy, wciąż nachmurzony.

– Myślę, że będzie najmniej bolało, jeśli zaniesie ją jedna osoba.

– Zgoda – odpowiedziałem, wstając, i zachwiałem się, gdy krew uderzyła mi do głowy.

– Harry – rzekł Michael i delikatnie wepchnął się przede mnie. Podszedł do kanapy i ją przesunął, żeby móc stanąć przed Karrin. Podał Buttersowi kluczyki od samochodu.

– Jest ranna w lewą rękę i nogę – pouczył Butters. – Oprzyj ją o siebie prawym bokiem i postaraj się podtrzymać jej lewe kolano.

– Będę ostrożny – odrzekł Michael i delikatnie podniósł Karrin, nie odwinąwszy jej z koców. Wyglądało na to, że nie sprawia mu to żadnych kłopotów. Nie miałem wrażenia, że stał się bardziej muskularny, ale z pewnością znów dysponował siłą Rycerza, a nie kiepskiego budowlańca i trenera małej ligi softballowej, czym ostatnio się zajmował.

Karrin cicho jęknęła z bólu i zamknęła oczy, miarowo oddychając przez nos.

– Jasne, jasne – powiedział Butters.

Wcześniej porzucił swój plecak, ale teraz go znalazł, po czym wyszedł z domu i wsadził Karrin do białego pickupa Michaela.

Zapięliśmy jej pasy, chociaż widzieliśmy, że sprawia jej to ból. Michael pośpiesznie wrócił do domu, żeby schować się przed deszczem. Karrin jeszcze raz otworzyła oczy i posłała mi delikatny uśmiech.

– Przepraszam, że nie będę mogła pilnować twoich tyłów – powiedziała.

– Dobrze sobie poradziłaś – odrzekłem. – Zadbamy o to, żebyś była bezpieczna.

– Martwcie się o siebie – odparła. – Mogę wykonać kilka telefonów. Michael to dobry człowiek, ale nie zawsze przewidujący.

Przygryzłem wargę, zastanawiając się, czy powinienem coś powiedzieć. Postanowiłem się powstrzymać. Jeśli nie będzie wiedziała, co nas czeka, nie będzie mogła nikomu zdradzić, że już częściowo poznałem plany Nicodemusa.

Muszę popracować nad swoją twarzą pokerzysty. Karrin zobaczyła moją minę i uśmiechnęła się półgębkiem.

– Nie muszę wiedzieć wszystkiego, rozumiem. – Z trudem wydobyła prawą dłoń spod koców i ścisnęła moją rękę. – Postaraj się, żeby ten cios z zaskoczenia był skuteczny.

Mrugnąłem do niej.

– Niedługo cię odwiedzę.

– Mam nadzieję – odrzekła.

Butters zatrzasnął drzwi po stronie kierowcy i uruchomił ośmiocylindrowy silnik pickupa. Najpierw włączył ogrzewanie na pełną moc i sprawdził pas Karrin. Potem ustawił lusterka i mruknął, że auto jest wielkie jak dom.

– Zajmijcie się resztą. Odezwę się, kiedy tylko będę coś wiedział.

Pokiwałem głową.

– Dzięki, Butters.

Skrzywił się.

– Podziękujesz mi, kiedy uratuję ci życie.

– Już to zrobiłeś – odrzekłem. – Wtedy w muzeum.

– Więc jesteśmy kwita?

– Od tamtej pory już nie musimy się z tego rozliczać, stary. Bezpiecznej drogi.

Ostrożnie zamknąłem drzwi i patrzyłem, jak Butters wyjeżdża tyłem na oblodzoną ulicę. Wrzucił pierwszy bieg, a opony powoli zachrzęściły na asfalcie.

Minęło może dwadzieścia sekund, odkąd opuścił podjazd, gdy nagle z pobliskiego drzewa opadł migoczący strumień iskier i przeniknął przednią szybę pickupa – Bob powrócił do czaszki w plecaku Buttersa.

Patrzyłem w ślad za nimi, dopóki nie odjechali. Wtedy pośpiesznie posprzątałem okolicę, zabrałem atrapę wyrzutni rakiet, kawałki Miecza, pochwę, rękojeść i łuski, po czym wróciłem do domu.

Zamknąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie. Na chwilę zostałem sam.

Już tęskniłem za Karrin. Rozsądek podpowiadał mi, że na razie nic jej nie grozi ze strony Nicodemusa i spółki, ale jakaś irracjonalna częśćka mnie żałowała, że to nie ja wiozę ją do szpitala, gdzie mógłbym zastraszyć lekarzy i zmusić ich do perfekcji, a następnie czuwać przy Karrin, gdy już zaśnie.

Wyglądała tak delikatnie, otulona kocami, z włosami przyklejonymi do głowy.

Nie spotkałoby ją to, gdybym nie zaprosił jej do udziału w tej akcji.

Owszem, to nie ja ją skrzywdziłem. Zrobił to Nicodemus. Ale za murami mojego umysłu kipiała fala gniewu, wściekłej furii spowodowanej tym, że stała jej się krzywda, a skoro nie miałem pod ręką nikogo, na kim mógłbym wyładować złość, głupsza część mojej natury uznała, że ja sam doskonale nadam się do tego celu.

Teraz wplątałem w ten bałagan także Michaela. A jeżeli on znajdzie się w takiej samej sytuacji jak Karrin, konsekwencje mogą być znacznie poważniejsze.

Wszystko dlatego, że okazałem się słaby i zawarłem układ z Mab.

Zazgrzytałem zębami i zmusiłem się do stanięcia na własnych nogach.

Co się stało, to się nie odstanie. Nie było sensu się zadręczać, zwłaszcza że takie samobiczowanie nie pomoże ochronić Michaela ani powstrzymać Nicodemusa przed zdobyciem jednej z najpotężniejszych relikwii na świecie.

Później będę miał mnóstwo czasu, by sobie to wyrzucać – zakładając, że tego dożyję.

Skup się na czekającym cię zadaniu, Harry. Resztą zajmiesz się, kiedy będziesz miał czas.

Tak, jasne. Ale czy to nie przez takie rozumowanie wpakowałem się w tarapaty?

Próbowałem przewidzieć przebieg gry na kilka ruchów naprzód. Między innymi dlatego ukrywałem przed Karrin swoje zamiary wobec Nicodemusa i spółki. Ale to była cholernie trudna gra.

Czarne myśli. Wyrwał mnie z nich odgłos kroków na schodach. Podniosłem wzrok.

Na szczycie schodów stały dwie postacie – olbrzymi pies i mała dziewczynka.

Pies był szary, kudłaty i wielki jak bantha. Stercząca kreza futra wokół głowy i ramion upodabniała go do lwa, ciemne oczy lśniły, a lekko zakrzywiony ogon merdał tak energicznie, jakby miał za chwilę przewrócić go na bok. Kiedy Myszek mnie zobaczył, radośnie sapnął i poderwał przednie łapy z podłogi, ale zaraz zerknął na stojącą obok dziewczynkę i pozostał na miejscu.

Mała zanurzała dłonie w gęstej grzywie Myszka, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, że nie może po prostu objąć go za szyję i taszczyć ze sobą jak pluszowego misia. Miała na sobie starą koszulkę Molly z napisem SPLATTERCON!!!, która wisiała jej poniżej kolan, a rękawy sięgały do nadgarstków. Jej brązowe oczy wydawały się duże jak piłki do tenisa, a ciemnobrązowe proste włosy sięgały drobnych ramion.

Twarz miała nieco pociągłą. Widziałem siebie w kształcie jej oczu i rysach podbródka. Ale miała także pełne usta i elegancki nos swojej matki.

Maggie.

Moja córka.

Serce zamarło mi w piersi, a potem gwałtownie przyśpieszyło pod wpływem czystej grozy.

Co powinienem zrobić? Co powinienem powiedzieć? Co prawda wiedziałem, że jestem ojcem i tak dalej, ale... ona teraz na mnie patrzy. Jest żywą osobą.

Przez kilka długich chwil przyglądała mi się trzeźwo ze szczytu schodów.

– Jesteś Harry Dresden? – spytała w końcu.

Brakowało jej górnej jedyńki i jednego z dalszych zębów. Wyglądała dzięki temu całkiem uroczo.

– Eee – odrzekłem. – Tak, to ja.

– Jesteś naprawdę duży.

– Tak uważasz?

Pokiwała głową z poważną miną.

– Większy niż pan Carpenter.

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Molly pokazała mi twoje zdjęcie – wyjaśniła Maggie. Poruszyła ramionami, jakby próbowała podnieść Myszka niczym ulubioną lalkę. – To mój pies, Myszek.

Myszek wściekle zamerdał ogonem i jakimś cudem nie przewrócił przy tym dziewczynki.

– Wiem – odrzekłem. – To ja ci go dałem.

Maggie pokiwała głową.

– Molly tak powiedziała. Podobno dałeś mi go, „bo mnie kochasz”.

– Tak – odpowiedziałem, czując, że mówię szczerze. – To prawda.

Zmarszczyła nos, jakby poczuła jakąś nieprzyjemną woń.

– Jesteś na mnie zły?

Zamrugąłem.

– Co takiego? Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego tak uważasz?

Wzruszyła ramionami i spuściła wzrok na grzywę Myszka.

– Bo cię tutaj nie ma. Nigdy.

Auć!

Moc Zimy jest imponująca, ale pewnych rodzajów bólu nie da się stłumić.

– No cóż – odezwałem się po chwili. – Mam bardzo ciężką pracę. Wiesz, czym się zajmuję?

– Walczysz z potworami – odrzekła Maggie. – Molly tak mi powiedziała. Z Draculami i tak dalej.

Czyżby Molly próbowała mnie zastąpić pod moją nieobecność? Coś takiego zazwyczaj robiła Mab, gdy byłem nieosiągalny – przejmowała część obowiązków swojego podwładnego.

Być może Molly poszła w jej ślady. Albo po prostu była sobą i starała się traktować małą z jak największą serdecznością. A może nie dało się wskazać pojedynczej przyczyny.

– Tak – odrzekłem. – Z Draculami i tak dalej. To bardzo niebezpieczne i zajmuje mi mnóstwo czasu.

– Pan Carpenter pracuje ciężiej od dwóch mężczyzn. Tak mówi pani Carpenter.

– To pewnie prawda – przyznałem.

– Ale każdego wieczoru wraca do domu. A ty nigdy... – Najwyraźniej coś przyszło jej do głowy i przywarła mocniej do Myszka. – Chcesz mnie zabrać?

– Eee... – Zamrugalem. Sytuacja rozwijała się błyskawicznie. – No...
Chciałabyś tego?

Wzruszyła ramionami, prawie ukrywając oczy w grzywie Myszka.

– Nie wiem. Tutaj są wszystkie moje zabawki. No i moje rolki.

– To prawda – zgodziłem się. – W każdym razie na pewno nie dzisiaj.

– Aha, w porządku. Molly mówi, że jesteś bardzo miły.

– Staram się.

– Czy on jest miły, Myszku?

Myszek, który wciąż wściekle merdał ogonem, cicho zaszczekał.

– Myszek jest mądry – powiedziała Maggie, kiwając głową. – Ma nadpsią inteligencję. Czytamy razem *Jakubka i brzoskwinie olbrzymkę*.

Zamrugalem. Chodziło jej o to, że czyta książkę psu, czy o to, że on także czyta? Wiedziałem, że Myszek jest równie bystry jak większość ludzi, ale nigdy nie zastanawiałem się, czy może opanować tak abstrakcyjną umiejętność jak czytanie. Wydawało mi się to bardzo osobliwe.

Z drugiej strony przecież chodził do szkoły. Do diaska, ja sam skończyłem tylko liceum. Gdyby Myszek dłużej pobyl w towarzystwie Maggie, mógłby zdobyć lepsze wykształcenie ode mnie. Wtedy przestałby mnie słuchać.

– Nie mów ludziom o Myszkach, dobrze? – poprosiła Maggie, nagle zmartwiona. – To tajemnica.

– Nie powiem – obiecałem.

– Dobrze. Chcesz zobaczyć mój pokój?

– Chętnie.

Wszedłem na górę, a Maggie puściła grzywę psa i zamiast tego chwyciła mnie za palec wskazujący prawej ręki, po czym poprowadziła mnie korytarzem.

W pokoju Maggie dawno temu znajdowała się pracownia szwalnicza Charity. Carpenterowie opróżnili i odnowili niewielkie pomieszczenie, używając fioletu, różu i jaskrawej zieleni. W pokoju stało dziecięce biurko z krzesłem, a także kilka pudeł z zabawkami. Wszystkie zabawki zostały starannie posprzątane. Na biurku leżały dwa podręczniki. Szafa była lekko uchylona i leżała w niej sterta ubrań, które nie zmieściły się do małego kosza na brudną bieliznę. Pod jedną ze ścian stało łóżko piętrowe, w którym nie było dolnego pościelenia. Zamiast niego na podłodze leżał duży materac. Ściany i sufit nad łóżkiem ozdobiono plakatami przedstawiającymi kolorowe rysunkowe kucyki.

Kiedy weszliśmy do pokoju, Myszek kilkakrotnie zapiszczał i wreszcie do mnie podszedł, szeroko się uśmiechając. Przez kilka minut drapałem go za uszami i po szyi oraz mówiłem mu, jak bardzo za nim tęskniłem i jak świetnie się spisuje. Myszek wiercił się, obśliniał mi dłonie i zachowywał się jak zwykły radosny pies, a nie mistyczny tybetański strażnik o nadprzyrodzonej mocy.

Maggie wspięła się po drabince na swoje posłanie i uważnie się nam przyglądała. Po minucie Myszek oparł się o mnie tak mocno, że prawie mnie przewrócił, a potem z zadowoleniem ułożył się na materacu pod łóżkiem dziewczynki.

– Pod moim łóżkiem mieszka potwór i jest nim Myszek – odezwała się z dumą. – Wcześniej mieszkał tam inny potwór, ale ja i Myszek go zakatrupiliśmy.

Uniosłem brew. W przypadku każdego innego dziecka uznałbym, że to tylko owoc bujnej wyobraźni. Ale z drugiej strony... Maggie należała do rodu Dresdenów. Może rzeczywiście mówiła całą prawdę i tylko prawdę.

– To najwspanialszy pies na świecie – powiedziałem.

Moje słowa ogromnie ją ucieszyły.

– Wiem! – Z namysłem przygryzła wargę, co tak bardzo skojarzyło mi się z Susan, że poczułem ukłucie bólu w piersi. – Eee, czy chciałbyś... ułożyć mnie do snu?

– Jasne – odrzekłem.

Pokiwała głową i opadła na poduszkę. Podeszedłem do łóżka i przez kilka sekund poprawiałem pościel oraz koc, żeby nakryć małą.

– Chciałbyś mi poczytać bajkę? – spytała, kiedy skończyłem.

Myszek entuzjastycznie zabębnił ogonem o ścianę.

– Jasne – odrzekłem.

Potem poczytaliśmy *Tam, gdzie żyją dzikie stwory*.

– Źle naśladowałaś głosy – stwierdziła, kiedy skończyłem.

– Hmm, może pójdzie mi lepiej następnym razem.

– Sama nie wiem – odparła z powątpiewaniem. – Chyba możesz spróbować. – Przez chwilę przyglądała się pytająco mojej twarzy, aż w końcu odezwała się cichym głosikiem: – Chcesz być moim tatą?

Na kilka chwil oślepiłem, ale w końcu udało mi się pozbyć łez.

– Jasne – wychrypiałem z trudem, a ona się uśmiechnęła.

Kiedy po raz drugi przeczytałem najsłynniejsze dzieło Sendaka, Maggie już spała.

Upewniłem się, że jest szczelnie okryta, pocałowałem ją w głowę, a potem usiadłem obok Myszka i go objąłem.

– Dziękuję, piesku – powiedziałem. – Dziękuję, że się nią opiekujesz.

Oparł się o mnie, merdając ogonem, i przycisnął potężny łeb do moich żeber. Jeszcze przez chwilę go głaskałem.

– Niedługo będę musiał odejść. Ale chciałbym, żebyś dalej się nią zajmował. Tak samo jak Carpenterami. Dobrze?

Sapnął i jeszcze mocniej się do mnie przytulił.

– Ja też za tobą tęskniłem, piesku – powiedziałem, targając go za uszy. – Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby to załatwić. Żeby odkryć, co będzie dalej.

Czy właśnie postanowiłem, że będę tatą dla Maggie? Zastanowiłem się nad tym i doszedłem do wniosku, że tak. Kiedy to się stało? No i dlaczego nikt nie informował mnie, co u niej słychać?

Doszedłem do wniosku, że to było przesądzone, gdy tylko ją zobaczyłem i zacząłem z nią rozmawiać.

Mój Boże.

To przerażające.

A także... podniecające?

Mimo wszystko nie byłem pewien, czy w tej chwili mogę zaufać swoim uczuciom. Ale jedno było pewne.

Jeśli chcę dotrzymać słowa danego córce, muszę wrócić. A to oznacza, że muszę przeżyć kolejny dzień.

Wstałem, po raz ostatni pogłaskałem i podrapałem Myszka, a potem po cichu wyszedłem na korytarz. Światła w pozostałych pokojach były zgaszone, nie licząc sypialni Michaela i Charity. Drzwi były lekko uchylone.

Charity siedziała na skraju łóżka we flanelowej piżamie – wysoka blondynka o idealnym wyglądzie, której włosy z wiekiem pokryły się elegancką siwizną. Ze smutną twarzą mokrą od łez rozmawiała z kimś, kto siedział obok niej. Zapewne ze swoim mężem, ale z tego miejsca go nie widziałem.

Michael oczywiście chciał, żeby ta rozmowa odbyła się bez świadków.

Odwróciłem się i zszedłem po schodach. Usiadłem na dolnych stopniach i próbowałem odzyskać jasność myśli.

Kilka minut później Charity do mnie dołączyła. Zrobiłem jej miejsce.

– Gdzie Michael? – spytałem.

– Modli się nad dziećmi – odpowiedziała. – Zawsze to robi, zanim wyjdzie. Na wypadek gdyby...

– Rozumiem – przerwałem jej.

– Miałam ochotę zdzielić cię pięścią w nos, i to dwa razy, gdy tylko cię zobaczyłam – wyznała. – Pierwszy raz, żeby go rozkrwawić, a drugi raz, żeby go złamać.

– Naprawdę?

– Mhm. Pierwszy raz za to, że próbowałeś się zabić. Drugi raz za to, że wykorzystałeś w tym celu moją córkę.

– A więc... wiesz o tym? Skąd?

– Patrzę. Słucham. Jej reakcja na wieści o twojej śmierci była... trudna do zniesienia. Dopiero z czasem odkryłam, dlaczego była na siebie tak wściekła.

– Możesz mnie uderzyć, jeśli uważasz, że to ci w czymś pomoże – odrzekłem.

– Nie – powiedziała ze znużeniem. – Chciałam tylko coś ci powiedzieć.

– Tak?

Pokiwała głową.

– Dzieci muszą wiedzieć, że ich ojciec bezpiecznie wróci do domu, Harry. Postaraj się o to.

– Sprowadzę go z powrotem do was albo zginę. Obiecuję.

Charity zerknęła na mnie i pokręciła głową ze zmęczonym uśmiechem.

– Nie mówiłam o Michaelu, Harry, ale o tobie. – Popatrzyła w górę schodów, w stronę pokoju Maggie. – Ta dziewczynka straciła wszystkich, których kiedykolwiek kochała. Zauważyłeś, jak blisko trzyma się Myszka? Bez niego pewnie w ogóle nie byłaby w stanie funkcjonować. Gdyby coś ci się stało...

– Ach – westchnąłem cicho.

– Maggie nie powinna znów doświadczać tego bólu. Nie zawieź jej.

Przygryzłem wargę i pokiwałem głową z zamkniętymi oczami pełnymi łez.

– Zgoda.

– A poza tym... pamiętaj, że Michael także ma dzieci, które go potrzebują.

Proszę.

– Sprowadzę go z powrotem albo zginę – powtórzyłem.

Charity westchnęła rozdzierająco i delikatnie dotknęła mojego ramienia.

– Dziękuję. Niech Bóg będzie z tobą i sprowadzi cię bezpiecznie do domu, Harry. Was obu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

O wpół do czwartej rano podjechaliśmy pod siedlisko zła naszym rodzinnym minivanem z naklejką MOJE DZIECKO STUDIUJE W... na zderzaku. Warto zauważyć, że jak na moje standardy nie było to aż tak niedorzeczne.

Michael zgasił silnik i przez chwilę przyglądał się rzeźni.

– To złe miejsce – powiedział w końcu.

– Tak – odrzekłem i pomasowałem się po karku.

Przed wyjściem przespałem kilka godzin na materacu pod łóżkiem Maggie. Myszek z przyjemnością się do mnie tulił. Ta niezdara wciąż lubiła udawać, że jest małym szczeniakiem, który zmieści mi się na kolanach, jeśli się postara, a ja byłem zbyt zmęczony, by się z nim kłócić. Na skutek tego musiałem ćwiczyć sztukę snu obronnego i teraz trochę dokuczał mi kark.

Z drugiej strony nawet najmniejsza dawka snu działała cuda i mogła przywrócić mi siły, a przynajmniej odnowić we mnie moc Zimy. Czułem się całkiem zwyczajnie, nie licząc złamanej ręki i rany postrzałowej.

Michael miał na sobie swoją starą kolczugę, którą nawet na emeryturze wciąż utrzymywał w czystości i chronił przed rdzą. Pod spód włożył kamizelkę kuloodporną, a na wierzch obszerną białą pelerynę z jaskrawoczerwonym krzyżem na lewej piersi.

– Na pewno nie mogłeś założyć czegoś czarnego? – spytałem. – Będziesz się wyróżniał na tle tych wszystkich złodziejskich wdzianek.

– Właśnie o to mi chodziło – odrzekł Michael.

– Nie rozumiesz, stary. Budynek, do którego się włamiemy, należy do Johna Marcone’a. Chcemy wejść do środka, nie uszkodzając systemów elektronicznych. To oznacza, że nagrają nas kamery. Nawet ślepy ochroniarz od razu cię rozpozna, a twoi aniołowie stróżowie nie ochronią cię przed ludźmi Marcone’a.

Michael pokręcił głową.

– Nie dojdzie do tego.

– Twierdzisz tak, bo nie znasz Marcone’a – odparłem.

– Być może, ale za to znam Wszechmogącego, a On nie dałby mi siłą niezbędnych do wykonania tego zadania, gdyby miała na tym ucierpieć moja rodzina.

Skrzywiłem się.

– Mam jednak wrażenie, że mądrze byłoby trochę się zabezpieczyć – na przykład wkładając ciemne ubranie i maskę – żeby Wszechmogący nie musiał specjalnie się angażować ze względu na ciebie.

Michael parsknął i uśmiechnął się smutno.

– Więc jednak mnie słuchałeś. – Pokręcił głową. – Nicodemus i jego ludzie działają w cieniu, w tajemnicy. Miecze mają inne przeznaczenie. Nie mam niczego do ukrycia.

– Hej – rzuciłem z udawanym rozdrażnieniem. – Jako ktoś, kto także działa w cieniu, czuję się urażony.

Michael się roześmiał.

– Niszczysz budynki, walczysz z potworami na ulicach miasta, współpracujesz z policją, piszą o tobie w gazetach, ogłaszasz się w książce telefonicznej i jeździsz na dinozaurze zombie po Michigan Avenue, a wydaje ci się, że działasz w ukryciu? Bądź rozsądny.

– Będę, jeśli i ty będziesz – odparłem. – Przynajmniej załóż kominiarkę.

– Nie – odrzekł Michael spokojnie. – Pan jest moim pomocnikiem i nie boję się tego, co może mi zrobić człowiek. Zaufaj Mu, Harry.

– Raczej nic z tego – odpowiedziałem.

Michael uśmiechnął się szerzej.

– Więc zaufaj mnie.

Wyrzuciłem w górę rękę.

– Dobrze. Niech będzie. Jesteś pewien, że twoi ludzie potrafią znaleźć bezpieczną kryjówkę dla Graala, jeśli go odzyskamy? Bo Monety tak szybko wracają do obiegu, jakby płacili nimi za przekąski w automacie.

– Naturą Monet jest bycie w obiegu, jak to ująłeś – odparł Michael. – Nie można ich bez przerwy ukrywać. Ale Graal to coś zupełnie innego. Znajdą dla niego bezpieczne miejsce.

– A ty znasz zasady, według których muszę grać, prawda? – spytałem.

– Musisz pomóc Nicodemusowi odzyskać Graala. Potem masz wolną rękę.

– Zgadza się. Uszanujesz to?

– Postąpię właściwie – odrzekł Michael.

Oblizałem usta.

– Tak, ale... czy nie mógłbyś zaczekać z tym właściwym postępowaniem, dopóki nie uwolnimy się spod ograniczeń nałożonych przez Mab?

– Tak się składa, że nie – odparł Michael. – Nie zamierzam ryzykować.

Tłumaczenie: Nie zamierzał zrobić niczego, co mogłoby narazić na szwank łaskę Uriela, niezależnie od okoliczności.

Dziękuję, Mab, za tę cudowną grę. Może następnym razem zagramy w przypinanie ogona magowi.

– Jestem przekonany, że Nicodemus będzie grał uczciwie, przynajmniej dopóki nie wrócimy do Chicago – stwierdziłem.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Ponieważ go ładnie poproszę.

Michael uniósł brew.

– Powiem to w jego ojczystej mowie – wyjaśniłem.

– Użyjesz siły?

– Otóż to.

Nicodemus nie ostrzegł swoich giermków, czego mają się spodziewać, więc kiedy Michael wszedł do hali u mojego boku, Jordan i jego towarzysze broni wpadli w panikę i wyciągnęli imponujący arsenał.

Michael tylko stał w miejscu z kciukami założonymi za pas i Amoraacchiusem spokojnie wiszącym u boku.

– Synu – odezwał się do Jordana – nie masz nic lepszego do roboty niż we mnie celować?

– Opuśćcie broń – warknąłem na tyle głośno, by usłyszano mnie w całej rzeźni. – Zanim zacznę dziesiątkować waszą organizację.

Nie opuścili broni, ale moja groźba sprawiła, że spora część giermków posłała mi nerwowe spojrzenia. Brawo ja.

– Hej, Nick! – zawołałem. – Twój chłopcy są strasznie roztrzęsieni. Uspokoisz ich czy mam to zrobić za ciebie?

– Panowie – odezwał się Nicodemus po chwili. – Wiem, kto towarzyszy Dresdenowi. Przepuście ich.

Jordan i pozostali opuścili spluwy z ostentacyjną niechęcią, ale wciąż trzymali je w pogotowiu, by móc w każdej chwili wziąć nas na cel. Michael nie poruszył się ani nie przybrał groźnej postawy, ale kolejno przyjrzał się każdemu z giermków.

Opuuszczali wzrok, gdy na nich patrzył. Wszyscy bez wyjątku.

Ruszyliśmy w stronę stołu.

– Żal mi tych mężczyzn – odezwał się Michael.

– Chodzi ci o ich języki? – spytałem.

– Usunięcie im języków to jeden ze sposobów na zagwarantowanie sobie ich lojalności.

– Jasne, uwielbiam ludzi, którzy mnie okaleczają.

Michael zmarszczył czoło.

– Dzięki temu mają pozostawać w izolacji. Tylko pomyśl, jak to na nich wpływa. Nie mogą mówić, więc o wiele trudniej jest im się porozumieć z innymi ludźmi. Zbudować więź, która mogłaby im pozwolić uwolnić się z tego kultu. Nie mogą smakować pokarmów, co wyklucza jedzenie dla przyjemności, a przecież wspólne posiłki są jednym z podstawowych narzędzi budowania prawdziwych relacji z innymi. Pomyśl, jak trudno jest im wejść w jakiegokolwiek interakcje z osobami z zewnątrz. Poza tym wspólne doświadczenie cierpienia sprawi, że pozostali giermkowie na zawsze pozostaną jedynymi, którzy naprawdę rozumieją ich ból. – Pokręcił głową. – Nie bez powodu jest to ostatni etap ich indoktrynacji. Od tamtej pory są pozbawieni własnego głosu.

– To nie oznacza, że nie mają wyboru – odparłem. – Sami za siebie zdecydowali.

– Owszem. Ale Nicodemus i Anduriel ich zmanipulowali, gdy byli jeszcze niemądrymi młodzieńcami. – Znów pokręcił głową. – Niektórzy ludzie sami upadają. Inni zostają popchnięci.

– Czy to nadal ma znaczenie, gdy pociągają za spust?

– Oczywiście, że tak, ale nie ma wpływu na to, co musimy zrobić. Żałuję tylko, że nie mogą w inny sposób wypełnić pustki, którą noszą w swoim wnętrzu.

Dotarliśmy do stołu konferencyjnego, przy którym drużyna oddawała się ostatnim przygotowaniom. Anna Valmont, Hannah Ascher i Binder mieli na sobie dopasowane ciemne stroje, a do ramion przypięli kabury. Valmont położyła przed sobą rozwijany skórzany przybornik z narzędziami i skrupulatnie przeglądała jego zawartość. Ascher popijała kawę, a na talerzyku przed nią leżał nietknięty bajgiel. Binder ponownie sprawdzał stan pistoletów maszynowych swojej bandy.

Drzwi załadunkowe na końcu hali uniosły się i do środka z dudnieniem wjechały dwie duże furgonetki. Giermkowie ustawili je w jednej linii i otworzyli tylne drzwi.

– Dzień dobry, Dresden – odezwała się Hannah Ascher. – Co się stało z twoją dziewczyną?

– Ona nie jest moją dziewczyną – odrzekłem. – Poróżniła się z Nicodemusem. Anna Valmont posłała mi surowe spojrzenie.

– Żyje – zapewniłem. – Ale nie była w stanie przyjść dzisiaj do pracy.

- Więc zamiast niej przyprowadziłeś Kapitana Krzyżowca? – spytała Ascher.
- Wygląda jakby się urwał z renesansowego jarmarku.
- Binder gwałtownie wstał i wytrzeszczył oczy.
- Jasna cholera, dziewczyno. Przecież to Rycerz Miecza.
- Ascher zmarszczyła czoło.
- Myślałam, że jest ich trzech na całym świecie.
- Obecnie dwóch – odrzekł Michael.
- Binder przyglądał mu się badawczo spod przymrużonych powiek.
- Psiakrew, Dresden, robisz coś takiego, bo Nicodemus poprzytykał się z twoją dziewczyną?
- Ona nie jest moją... – Potarłem grzbiet nosa. – Po prostu chcę, żeby miał na mnie oko ktoś, kogo znam i komu ufam. Murphy nie mogła tego zrobić, więc on ją zastąpi.
- Co za bzdury – zachnął się Binder. – Myślisz, że nie wiem, jak się nawzajem traktują Monety i Miecze? Nie sprowadziłeś go, żeby cię strzegł, ale żeby walczył.
- Powiedzmy po prostu, że nie przeszkadza mi towarzystwo kogoś, kto ma odstrasżające działanie – odrzekłem. – Jeśli Nicodemus dotrzyma danego słowa, ja również to zrobię i wszyscy się wzbogacimy.
- Binder się skrzywił i zerknął na Michaela.
- Tak będzie, Rycerzu?
- Harry z reguły jest bardzo uczciwym człowiekiem – odparł Michael. – Ale osobiście nie dbam o pieniądze.
- Binder i Ascher przekrzywili głowy, jak psy, które właśnie usłyszały jakiś nowy odgłos.
- Anna Valmont uśmiechnęła się i lekko pokręciła głową, po czym wróciła do oglądania swoich narzędzi.
- Więc co się wydarzyło wczoraj wieczorem? – spytała mnie Ascher. – Żołnierze Bindera narysowali lwa. To znaczy ci, którzy wrócili.
- No tak, sprawy trochę wymknęły się spod kontroli – przyznałem.
- Dopadliście tego gościa? – spytał Binder.
- Nie, zmył się – odrzekłem. – To nie była niczyja wina. Sprytny, podstępny drań.
- Binder zmierzył mnie wzrokiem.
- Tak. Jasne. Najpierw zapowiadasz, że dopadniesz mnie, jeśli skrzywdzę kogokolwiek w twoim mieście, a potem oboje rzucacie się w pogoń i Murphy wraca w takim stanie, że nie może dalej pracować po „nieporozumieniu” z Nicodemusem.
- Uśmiechnąłem się do niego błogo.

– Binder, wyluzuj. Akcja nie jest zagrożona. Upewniłem się, że on nikomu o tym nie powie. Przecież właśnie po to go ścigaliśmy, prawda?

Binder zmarszczył czoło.

– Myślałem, że Biała Rada nie pozwala ci używać magii umysłu.

Czego absolutnie nie zamierzałem robić i nawet bym nie potrafił, biorąc pod uwagę mój całkowity brak talentu w tej dziedzinie, ale Binder o tym nie wiedział.

– Zrobiłem to, co było konieczne – odrzekłem. – Pomyśl sobie, że dzięki temu teraz nie muszę dobrać ci się do skóry.

Binder sprawiał wrażenie sceptycznie nastawionego, ale nie naciskał, co było mądre z jego strony. Dysponował niezwykłymi zdolnościami, ale nie miał zbyt szerokiego repertuaru sztuczek. Dobrze wiedział, że nie może stawić czoła magowi Białej Rady.

Michael nalał sobie kawy i popatrzył na mnie pytająco. Skinąłem głową i przyniósł filiżankę także dla mnie.

– Bardzo duża zagroda jak na cztery kozy – zauważył.

To oznaczało, że Genoskwa przyszedł tutaj w nocy i spożył kolejne dwa posiłki. Cholera, ale miał apetyt. Jadł więcej, niż powinien ktoś jego rozmiarów, ale wiele nadprzyrodzonych istot ma także nadprzyrodzoną przemianę materii, dzięki czemu dysponuje niezwykłą szybkością i siłą. Ghoule potrafią zjeść na raz dwadzieścia kilogramów mięsa, a już następnego dnia znów są głodne. Może siłę fizyczną Wielkiego Kudłacza napędzał podobny nieekonomiczny silnik.

Sączyłem kawę i czekałem. Za kwadrans czwarta do sali nieśpiesznie wszedł Goodman Grey. Pospolicie wyglądający mężczyzna zatrzymał się trzy metry przed stołem i wbił wzrok w Michaela. Rycerz odwzajemnił spojrzenie zmiennokształtnego i swobodnym ruchem opuścił rozluźnioną dłoń na rękojęść Amoracchiusa.

– Co się stało? – spytałem.

– Ten człowiek mi się nie podoba – odrzekł Michael. – Dopuścił się straszliwych czynów.

– Oczywiście, że tak – odezwał się Goodman Grey ostrożnie. – Jestem potworem do wynajęcia. Ale dzisiaj nie mam z tobą na pieńku, panie Rycerzu.

– Może tak jest w istocie – odpowiedział Michael. – A może nie.

Grey zerknął na mnie.

– Naprawdę oczekujesz, że będę współpracował z kimś takim, magu?

– Tak – odrzekłem. – Zostałeś wynajęty, zgadza się? Okaż odrobinę profesjonalizmu.

Grey stęknął i nieco się rozluźnił.

– No cóż, nie dam mu żadnego pretekstu do ataku. Ale jeśli będzie mi sprawiał problemy, nie myśl, że nie rozerwę go na strzępy.

– Z pewnością nie byłbyś w stanie – odparłem. – Ale to mogłoby być całkiem zabawne.

Grey posłał mi cierpkie spojrzenie i podszedł do dzbanka z kawą.

Za pięć czwarta przybyli Nicodemus i Deirdre. Ona była w swojej demonicznej bojowej formie, pokryta fioletowymi łuskami i metalicznymi kosmykami włosów. Obie pary jej oczu czujnie wpatrywały się w Michaela. Nicodemus wyglądał jak zwykle, ale sprawiał wrażenie nieco bardziej zadowolonego z siebie.

– Dzień dobry wszystkim – rzucił. – Zapraszam do stołu.

W cieniu za plecami Nicodemusa czaiła się potężna postać Genoskwy.

Wszyscy zebraliśmy się wokół blatu, na którym Nicodemus rozłożył duży arkusz z wyraźnie nakreśloną mapą banku.

– Wejście będzie proste – zapowiedział i wskazał frontowe drzwi banku. – Użyjemy tych drzwi. W budynku będzie się znajdowało trzech do sześciu ochroniarzy. Binder i Dresden odwrócą ich uwagę, a następnie ich zneutralizują. Pozostali skierują się prosto do skarbców. Po drodze znajdują się dwie pary dużych drzwi przeciwwłamaniowych, ale nie będziemy się kłopotać ich otwieraniem. Panna Ascher przedostanie się przez ściany, tutaj i tutaj. – Zaznaczył właściwe miejsca czerwonym długopisem. – Potem panna Valmont i pan Grey przejdą do głównego skarbcza. Panna Valmont otworzy drzwi skarbcza, a pan Grey otworzy osobisty magazyn należący do celu. Kiedy obejdziemy system alarmowy i sforsujemy drzwi, będziemy mogli bezpiecznie wprowadzić magów do skarbcza. – Uśmiechnął się szeroko. – Wtedy zacznie się prawdziwa zabawa. Jakież pytania?

– Co się stanie, kiedy już dostaniemy się na miejsce? – spytałem. – Masz jakąś mapę?

– Niestety nie – odrzekł Nicodemus. – Sądziłem, że nasza trasa będzie oczywista. Nasz cel używa systemów bezpieczeństwa, żeby chronić swoje skarbcze, a nie mieszać nam w głowach.

– Żadnej mapy, tylko niejasne odniesienia do bram. – Westchnąłem.

– Nie da się zdobyć wielkiego łupu bez wielkiego ryzyka – odparł Nicodemus. – Po prostu będziemy musieli dostosować się do tego, co tam zastaniemy.

Nie wierzyłem w to, że Nicodemus nie wie niczego więcej o skarbcu Hadesa. Ale nie widziałem sensu w konfrontacji.

– Jeśli to już wszystko, to zaczniemy się pakować – rzekł Nicodemus. – Dresden i jego eskorta, Grey oraz Valmont pojedą furgonetką zaparkowaną po

lewej. Pozostali wsiądą do tej stojącej po prawej. Pozwoliłem sobie załadować do środka wytrzymałe plecaki dla każdego z was, abyście mieli do czego ładować łupy. Panie Binder, proponuję po dwudziestu twoich współników w każdej furgonetce.

– Załatwione – odrzekł Binder.

Wyjął swój druciany krąg i zaczął przywoływać stwory, którym od razu wręczał uzi i po dwa zapasowe magazynki. Jego słudzy entuzjastycznie wskakiwali do samochodów.

Michael patrzył na nich i kręcił głową.

– Po co ta smutna mina, panie Carpenter? – spytał Nicodemus. – Zanim wzejdzie słońce, każdy z was będzie bogatszy o dwadzieścia milionów dolarów.

– Mam rodzinę, więc jestem najbogatszym z ludzi – odparł Michael. – Ale nie spodziewam się, że to zrozumiesz.

Nicodemusa popatrzył na niego lodowatym wzrokiem.

Zwróciłem na to uwagę. Od początku nie widziałem, żeby tak zdecydowanie na coś zareagował. Słowa Michaela do niego przemówiły.

– Starczy gadania i planowania – powiedział. – Czas zacząć działać. Wszyscy do furgonetek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

W furgonetce panował tłok, ponieważ razem z naszą czwórką wpakowało się do niej dwudziestu żołnierzy Bindera oraz dwóch giermków, którzy pełnili rolę kierowców.

– W porządku, Dresden – odezwał się Grey. – Dawaj nadgarstki.

– Słucham? – zdziwiłem się. – A tak, kajdany.

– O czym on mówi? – spytał Michael.

– O cierniowych kajdanach – wyjaśniłem. – Blokują zdolności magiczne. Powinny znacznie ograniczyć ryzyko, że samą swoją obecnością uszkodzą systemy bezpieczeństwa w budynku. One muszą pozostać aktywne, dopóki nie otworzymy wszystkich drzwi.

– Dresden ma złamany nadgarstek – rzekł Michael do Greya. – Czy kajdany zmieszczą się na jego rękę?

Grey pokazał mu kajdany połączone grubym stalowym łańcuchem.

Wyglądały tak samo jak te, które widziałem wcześniej, tylko że cechował je stalowy połysk, a nie dziwaczny srebrzysty metaliczny blask, jak w przypadku kajdan używanych przez sidhe. Od wewnątrz pokrywały je krótkie i ostre stalowe ciernie, które po założeniu miały wbić się w ciało i rozbroić moc Zimy.

Wiedziałem, że to nie będzie przyjemne.

– To bez znaczenia – powiedziałem, przyglądając się kajdanom. – Wystarczy, że jedna z obręczy będzie działać, a nie będę mógł używać magii. Załóż je obie na jeden nadgarstek i owiń rękę łańcuchem, żeby mi nie przeszkadzał.

– Na pewno nie chcesz, żebym ja to zrobił? – spytał Grey.

– Nie, już i tak cię nie lubię. Sam je założę. – Wziąłem kajdany od Greya i zerknąłem na Michaela, by dać mu do zrozumienia, że ma się skupić. Zmarszczył czoło i zrobił, o co go prosiłem.

Rozepchnąłem się łokciami, żeby zyskać trochę przestrzeni i móc owinać sobie nadgarstek łańcuchem. Potem na chwilę zamknąłem oczy, wziąłem kilka głębokich wdechów i skoncentrowałem się. Już dawno nauczyłem się tłumić ból i byłem w tym całkiem dobry, jeśli miałem czas, by się przygotować. Złoczyńcy zazwyczaj nie uprzedzają, że zamierzają zrobić mi krzywdę, ale tym razem to ja

byłem złoczyńcą i postanowiłem dać sobie fory. Potrzebowałem dwóch minut, żeby wznieść mentalne bariery. Potem otworzyłem oczy, podwinąłem rękaw płaszcza i zapiąłem obie obręcze kajdan na prawym nadgarstku, zamykając je na kluczyk.

Stał wbiła się w moją skórę setką ząbków, a moc Zimy zniknęła. Jak za pstryknięciem przełącznika, moje ciało natychmiast zaczęło donosić o doznanych obrażeniach.

Moja ręka była w paskudnym stanie, a plecy zmieniły się w jedną potężną kontuzję, gdy Genoskwa uderzył mną o zaparkowany samochód. Łydka miarowo paliła bólem w miejscu postrzału. Stopy także dawały mi się we znaki. Co, u diabła? Czyżbym nosił za małe buty? Poza tym bolały mnie kolana i jakimś cudem skaleczyłem się w język oraz wargę, czego dotychczas nie zauważyłem.

A moja głowa... och, moja obolała głowa. Srebrny kolczyk Mab był zimny jak samochód z lodami na Antarktydzie, ale stał tłumiało jego wpływ, więc miałem wrażenie, że za chwilę pęknie mi czaszka i wyleją się z niej strumienie roztopionego ołowiu.

Wyregulowałem mentalne tarcze, gdy już wiedziałem, co dokładnie mam blokować, a następnie powoli się wyprostowałem.

– Harry – odezwał się Michael. – Nagle pobladłeś.

– Boli – odpowiedziałem krótko. – Nic mi nie będzie. – Schowałem do kieszeni kluczyk od kajdan, a potem podniosłem duży marynarski worek i zacząłem w nim grzebać. Wcześniej przywiązałem skórzany pasek do swojej laski maga i teraz mogłem zarzucić ją na ramię jak karabin. – Grey, kiedy znajdziemy się w środku, wywołam mnóstwo świateł i hałasów. Jeśli zamierzasz coś zrobić ze strażnikami, postaraj się, żeby przeżyli.

– A jeśli nie? – spytał Grey.

– To zdejmę kajdany i bardzo się na ciebie pogniewam – odparłem.

– Może po prostu pozwolę, żeby cię zastrzelili.

Posłałem mu serdeczny uśmiech.

– Jeśli to zrobisz, kto otworzy Ścieżkę do skarbcza, co? Potrzebowałem wielu lat nauki, żeby opanować tę umiejętność. Gwarantuję ci, że Ascher nie da rady tego zrobić. – Zmrużyłem oczy. – Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Dlaczego bierzesz pieniądze za coś takiego? Ktoś o twoich zdolnościach może je zdobyć w dowolny sposób.

Grey wzruszył ramionami.

– To żadna tajemnica. Każdy musi płacić Czynn – odrzekł, a w jego głosie wyczytałem wielką literę na początku ostatniego słowa.

– Nie rozumiem – odparłem.

– Wiem – rzekł Grey łagodnie. – To nie mój problem.

– Jeśli można, panowie – odezwała się Valmont, po raz pierwszy odkąd wsiedliśmy do furgonetki. – Może uważacie, że wasza część zadania jest łatwa, ale moja jest niemal niewykonalna. Przydałoby mi się trochę spokoju.

Zerknąłem na Valmont, stęknąłem i umilkłem, jednocześnie starając się uporządkować zawartość marynarskiego worka.

Wkrótce dotarliśmy do celu. Furgonetka się zatrzymała i Jordan otworzył tylne drzwi.

Budynek Capristi, który stoi naprzeciwko Lincoln Park, to jeden z ostatnich drapaczy chmur w północnej części Chicago. Wznosząca się w deszczowe niebo budowla z białego betonu i szkła stanowiła nieciekawą przykładową pozbawioną duszy współczesnej architektury, którą cechują monotonne bryły i kąty proste.

Ze względu na pogodę i wczesną porę ulice były niemal opustoszałe, co odrobinę mnie niepokoiło. W takich okolicznościach nasze furgonetki rzucały się w oczy. Wsiadłem, poślizgnąłem się na oblodzonym gruncie i pewnie bym upadł, gdybym nie przytrzymał się samochodu. No tak. Bez mocy Zimy byłem zdany na siebie.

Wszystkie powierzchnie w zasięgu wzroku pokrywała centymetrowa warstwa przejrzystego lodu. Kable elektryczne ugięły się pod jego ciężarem. W parku za moimi plecami drzewa zgięły się wzdłuż, a niektóre gałęzie złamały się i spadły na ziemię. Ulice były w fatalnym stanie i tylko dzięki ostrożnej jeździe i ciężkiemu ładunkowi nasze furgonetki nie traciły przyczepności.

Na parterze wieżowca widniał szyld VERITY TRUST BANK OF CHICAGO. Dobra nazwa dla mafijnego banku. Na parterze mieścił się główny hol, a na niższych poziomach znajdowały się zamknięte piętra. Budynek od zewnątrz co najmniej w połowie składał się ze szkła, więc zobaczyłem ochroniarza, który ze środka przyglądał się furgonetkom.

– Michaelu! – zawołałem, ruszając w stronę strażnika i wyciągając sprzęt z worka. – Drzwi.

Michael zastąpił mi drogę.

– Ten budynek należy do przywódcy przestępczej organizacji i pomaga mu w jego niecznych poczynaniach – odezwał się, jakby sam sobie o tym przypominał. Następnie dobył Amoracchiusa, wykonał dwa zamaszyste cięcia i szyba natychmiast wypadła z drzwi przede mną.

Wyjąłem przedmioty, które kupiłem poprzedniego dnia: butanowy palnik z samozapłonem oraz pęk dwudziestu czterech dużych ogni rzymskich owiniętych taśmą klejącą. Kiedy włożyłem fajerwerki pod pachę i zapaliłem ich lonty palnikiem, Michael odskoczył na bok. Zanim strażnik zdążył wstać

z krzesła, dwadzieścia cztery dwudziestozrzałowe rzymskie ognie wypuściły hałaśliwe pociski, które zaczęły wybuchać z ogłuszającym hukiem.

Biedny strażnik nie miał pojęcia, jak zareagować na ten nieprzerwany strumień ognia i hałasu. Właśnie niezdarnie sięgał po pistolet, gdy pierwszy z pocisków eksplodował kilkadziesiąt centymetrów od jego nosa, a zanim mężczyzna się otrząsnął, pozostałe fajerwerki zaczęły wybuchać wokół niego.

Nie miałem ochoty tego przyznać, ale... poczułem sporą satysfakcję. Czuję się, jakbym miał własny pirotechniczny karabin maszynowy plujący ogniami rzymskimi, wypełniającymi powietrze wonią spalenizny i siarki oraz gęstym dymem, który miał zakłócić działanie kamer monitoringu.

W ciągu kilku sekund strażnik został trafiony dwudziestoma albo trzydziestoma skwierczącymi fajerwerkami i rzucił się na podłogę za swoim biurkiem, a ja posłałem kolejną hałaśliwą salwę w ścianę za jego plecami. Kiedy to zrobiłem, Grey wpadł do budynku, tanecznym krokiem ominął ostatnie kilka pocisków i z potężną siłą zdzielił strażnika pięścią w szczękę.

Strażnik z jękiem runął na ziemię.

Grey zajrzał za jego biurko.

– Dostał się do cichego alarmu – oznajmił.

– No tak – odrzekłem.

Odrzuciłem pierwszy pęk fajerwerków i z worka wyjąłem kolejny. Ruszyłem w stronę schodów prowadzących do skarbcza, jednocześnie podpalając lonty. Po chwili zasypałem klatkę schodową kolejną porcją pocisków, w tej samej chwili, gdy po schodach wbiegli dwaj mężczyźni w identycznych uniformach.

Nie byli tak powolni jak pierwszy strażnik i mieli w rękach śrutówki. Mimo wszystko niewiele można zdziałać, gdy niczego się nie widzi ani nie słyszy, a fajerwerki wybuchają tuż przed twoją twarzą i parzą ci ręce. Strażnicy kilkakrotnie wystrzelili na oślep, ale już po chwili Deirdre, w swojej demonicznej formie, ominęła ich, krocząc na kosmykach włosów, jakby to były odnóża jakiegoś morskiego skorupiaka. Dwie nogi opadły ze świstem i przecięły śrutówki na pół, a strażnicy pośpiesznie uciekli w dół schodów.

Grey pomknął za nimi, nie dotykając schodów stopami, i po chwili z dołu dobiegły odgłosy przemocy, słyszalne ponad wyciem i dudnieniem fajerwerków.

– Droga wolna! – zawołał Grey.

Stałem na ostatnim stopniu i popatrzyłem w dół. Obaj strażnicy leżeli u podnóża schodów przed pierwszymi drzwiami przeciwwłamaniowymi. Grey właśnie skuwał ich ze sobą kajdankami.

Obsypałem go kilkoma ostatnimi rzymskimi ogniami. Przewrócił oczami i posłał mi zniesmaczone spojrzenie.

– Ojej – zawołałem i odrzuciłem zużyte fajerwerki.

Nicodemus pojawił się obok mnie i również popatrzył na Greya. Uniósł brew.

– Wszyscy trzej żyją. Robisz się miękki, Grey?

– Uruchomili cichy alarm – poinformował Grey. – To znaczy, że policja już tu jedzie. Binderowi łatwiej będzie ich skłonić do rozmów i zniechęcić do szturm, jeśli będziemy mieli zakładników, a nie trupy.

– To pewnie prawda – przyznał Nicodemus. – Panie Binder, czas przywołać współników i przygotować się do obrony budynku. Panno Ascher, jesteśmy gotowi.

Zgasilem palnik, schowałem go do worka, a następnie zarzuciłem sobie laskę na ramię. Nicodemus uważnie mi się przyglądał.

– Fajerwerki – powiedział w końcu.

– Myślisz, że tylko ty potrafisz coś załatwić bez nadprzyrodzonych gadżetów? – spytałem.

Rozwiął dłonią dym unoszący się przed jego twarzą.

– Miejmy nadzieję, że systemu przeciwpożarowego nie wyposażono w... – zaczął łagodnym tonem.

Zawył alarm i na całym piętrze uruchomiły się spryskiwacze, zalewając wszystko chłodną, nieco zatęchłą wodą.

– ...spryskiwacze – dokończył z westchnieniem.

Hanna Ascher weszła do budynku szybkim krokiem i popatrzyła na mnie z obrzydzeniem.

– Fajerwerki? Poważnie?

– Hałas i odwrócenie uwagi, pamiętasz?! – zawołałem za nią, gdy ruszyła po schodach. – Jestem królem hałasu i odwracania uwagi.

– Nie tylko muszę przepalić ścianę na wylot – mruknęła. – Teraz muszę to zrobić w ulewie.

– Bądź twarda. To powinno stłumić nadmiar magicznej energii – odrzekłem, może nieco naburmuszonym tonem.

Ascher obejrzała się na mnie i wskazała spryskiwacze.

– Zrobiłeś to specjalnie?

– Cóż. Czasami, kiedy się nudzę, lubię chwilę pomyśleć.

Uniosła niewielki aerozol.

– Jak mam zaznaczyć krąg na podłodze, skoro stoi na niej woda? O tym też pomyślałeś?

– Deirdre – odezwał się Nicodemus.

Deirdre pośpiesznie zeszła do połowy schodów i po chwili rozległo się kilka ostrych metalicznych odgłosów, gdy jej włosy uderzyły o podłogę wokół Ascher. Płaskie kosmyki rozpostarły się i przesunęły po marmurze jak zbierak do wody, osuszając posadzkę.

Ascher wyglądała, jakby za chwilę miała dostać zawału, i posłała surowe spojrzenie Denariance. Ale po chwili chwyciła puszkę i pokryła podłogę warstwą jakiegoś plastiku albo gumy. Nakreśliła wokół siebie obszerny krąg, który zachodził na ścianę i sięgał na kilkanaście centymetrów ponad jej głowę. Rysunek był nieco krzywy, ale magiczne kręgi nie muszą być idealne, by działać. Po prostu są wtedy skuteczniejsze, no i wyglądają bardziej profesjonalnie.

Ascher, która wyglądała cholernie atrakcyjnie w mokrym ubraniu (psiakrew, nawet nie mogłem obwiniać za tę reakcję Zimy, skoro blokowały ją kajdany), poprawiła krąg, upewniając się, że równie gruba warstwa plastiku pokrywa złączenia podłogi ze ścianą. Potem pokiwała głową, pochyliła się i przekreśliła nadgarstek, tak że kilka kropli krwi skapnęło z kajdan na krąg. Ten natychmiast się aktywował, tworząc ekran niewidzialnej energii, a Ascher bezzwłocznie otworzyła swoje kajdany i upuściła je na podłogę. Potem zmrużyła oczy, dotknęła palcem ściany wewnątrz kręgu i wyszeptała jakieś słowo.

Ostre światło wystrzeliło z opuszki jej palca, a krople wody opadające na jej dłoń lub ścianę zaczęły parować. Powoli przesuwając palec, a marmur, płyta gipsowa, beton i metal pękały, czerniały i rozszczepiały się. Lśniące drobinki i iskry wzlatywały w powietrze i grubą warstwą opadały na jej dłoń i rękę, a następnie czerniały i sypały się na podłogę. Wypalały dziury w rękawie, ale z tego, co widziałem, pozostawiały ciało nienaruszone.

Uniosłem brwi ze zdziwieniem. Owszem, ja też zapewne potrafiłbym zmienić swój palec w lutownicę, ale to nie uchroniłoby mojej dłoni przed spalaniem na skwarkę. Taka niewrażliwość na żywioły wymagała talentu o zupełnie innej skali – talentu, jakim dysponowało bardzo niewielu magów.

Kurczę. Kiedy Ascher powiedziała, że pracuje głównie z ogniem, nie żartowała.

Tymczasem Binder ze swoimi oddziałami wszedł do banku. Od razu rozejrzał się po wnętrzu i zaczął rozstawiać grupy stworów w obronnych pozycjach. Kiedy to robił, Anna Valmont bezgłośnie do mnie podeszła. Spojrzała na cierniowe kajdany na moim nadgarstku.

– Nie mogę na nie patrzeć – odezwała się. – Na pewno cię boli.

Powstrzymałem się przed ostrą ripostą. Nie szukała zaczepki, kiedy obok mnie stała.

– Tak, całkiem mocno.

Sprawdziła swój sprzęt i oblizwała usta.

– Jak sądzisz, kiedy będziesz mógł je zdjąć?

– Nie mam pojęcia – odrzekłem. – To pewnie zależy od Ascher.

Z dołu dobiegł donośny trzask i jęk rozdzielanego metalu.

– A masz, suko – warknęła Ascher i spokojnie zaczęła zakładać kajdany.

Potrzebowała niecałych trzech minut, żeby wyciąć otwór wystarczająco duży, by potężny mężczyzna mógł przejść na drugą stronę wzmocnionej ściany.

Rozmazała krąg stopą, a nadmiar energii pozostały po zakłęciu rozplątał się w powietrzu, gdzie stłumiła go opadająca woda. Następnie położyła dłoń na rozcięciu i zaczęła pchać.

Grey wślizgnął się przed nią.

– Lepiej pójde przodem, panno Ascher. – Napiął ramiona i niemal bez wysiłku przepchnął odcięty fragment ściany, który z satysfakcjonującym hukem wpadł do korytarza po drugiej stronie. Zaraz potem w korytarzu zagrzmiał wystrzał ze śrutówki.

Grey runął na ziemię, gdzie dał początek rosnącej kałuży krwi.

Ascher zakrztusiła się i rozpaczliwie przywarła do krawędzi otworu, chowając się po osłoniętej stronie klatki schodowej.

Śrutówka huknęła jeszcze dwukrotnie, a potem przez otwór przeszła Deirdre. Rozległ się kolejny strzał, a po nim wrzask.

Zapadła cisza.

Warknąłem pod nosem. Zbiegłem po schodach, by sprawdzić, co z Ascher, a następnie wyjrzałem przez otwór w ścianie. Deirdre przysiadła na podłodze jak czujna kotka, a jej włosy rozpostarły się wokół niej i powoli falowały, niczym wodorosty poruszane łagodnym prądem. Czwarty strażnik leżał przed nią, niewątpliwie martwy, ze śrutówką w dłoni.

– Grey – odezwał się Nicodemus napiętym głosem.

Oczywiście, że martwił się o Greya, ponieważ ten jeszcze nie uporał się z czytnikami siatkówki.

Ascher była roztrzęsiona, ale cała. Ścisnąłem jej ramię, a potem zwróciłem się w stronę Greya, próbując sobie przypomnieć, co wiem o pierwszej pomocy i opaskach uciskowych.

Niepotrzebnie. Grey już siadał o własnych siłach. Miał potargane włosy, ale pomimo zakrwawionego ubrania wyglądał na nietkniętego. Zrobił rozdrażnioną minę.

– Cholera, to boli.

– Mięczak – rzuciłem. – Jedna mała porcja śrutu w klatkę piersiową. – Wyciągnąłem do niego rękę.

Przez chwilę wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem, jakby nie pamiętał, co ten gest oznacza. Potem chwycił moją dłoń, a ja pomogłem mu wstać. Zatoczył się, ale zaraz potrząsnął głową i odzyskał równowagę.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

Wskazał kałużę krwi na podłodze.

– Trafił mnie w serce. Za chwilę dojdę do siebie.

– Stary. – Byłem pod wrażeniem. – Dostaje strzała, ale wciąż działa.

Grey wyszczerzył zęby, a potem odwrócił się, znów opanowany i spokojny, i poszedł za Deirdre.

Hannah Ascher powoli wstała i popatrzyła na rozmazaną kałużę krwi na podłodze. Przełknęła ślinę i zaczęła się wspinać po schodach.

Wyciągnąłem rękę i ją zatrzymałem.

– Policja potrzebuje czasu, żeby się tu dostać, ale kiedy to zrobią, lepiej nie być na parterze – stwierdziłem.

– Otóż to – zgodził się Binder, podchodząc do Valmont, która wciąż stała na szczycie schodów, i popychając ją w dół jak buldog popędzający niezdecydowane dziecko. – Pociski nie mają względu na osoby. No dalej, dziewczyno. I jeszcze jedno, Ash, kochanie, nie zapomnij napełnić mojego plecaka.

Ascher niosła na ramieniu dwa puste czarne plecaki.

– Wiem, wiem. Czerwonymi kamieniami.

Nicodemus zbliżył się do szczytu schodów, ciągnąc nieprzytomnego strażnika, i zaczął schodzić, niezbyt delikatnie wlekąc go za sobą. Kiedy znalazł się na dole, splótł kajdanki mężczyzny z kajdankami strażników leżących na podłodze i skuł całą trójkę razem.

– Dobra robota, panno Ascher – odezwał się Nicodemus. – Zabezpieczymy korytarz, a ty powtórz swój wyczyn na piętrze. Panno Valmont, zapraszamy z nami – kiedy tylko uzyskamy dostęp do drzwi głównego skarbcza, trzeba się nimi zająć.

Anna Valmont zeszywniała, jej palce przesuwają się po powierzchni przybornika, bezustannie ścierając z niego krople wody.

– Michaelu – odezwałem się. – Może pójdziesz z nimi i upewnisz się, że Valmont ma wszystko, czego potrzebuje?

Michael uniósł brew, ale pokiwał głową i zszedł po schodach, dołączając do Anny. Uśmiechnął się do niej zachęcająco, a ona niechętnie odwzajemniła uśmiech, po czym razem poszli śladem pozostałych.

– Dresden – zwrócił się do mnie Nicodemus rozbawionym tonem. – Chyba nie sądzisz, że zrobiłbym coś tej kobiecie tylko dlatego, że już odegrała swoją rolę?

– Nie zrobisz tego, jeśli chcesz, żebym otworzył Ścieżkę – odparłem.

Nicodemus się uśmiechnął. Przy pasie nosił długie ostrze, którego używał wcześniej, oraz zakrzywiony beduiński sztylet.

– No widzisz. Jednak potrafisz grać w tę grę.

Zniknął za drzwiami. Po chwili potężny cień przemknął przez wąską klatkę schodową. Nie widziałem przechodzącego Genoskwy, ale poczułem muśnięcie

szorstkiego futra na skórze prawej dłoni, w powietrzu rozniósł się słaby smród, a kiedy olbrzymia bestia przeciskała się przez otwór, dotarły do mnie drobinki popiołu i woń przypalonego futra.

– Coś tu śmierdzi – odezwał się Binder cichym głosem kilka chwil później. – Coś tu śmierdzi jak cholera.

– Ha, może to tylko ten futrzak – odparłem.

Parsknął i zaczekaliśmy w milczeniu kolejne kilka minut, aż pojawiła się Ascher, ubrudzona popiołem i sadzą po wypaleniu dziury w drugiej ścianie, ponownie skrepowana kajdanami.

– Ten wielkolud przyprawia mnie o dreszcze – oznajmiła.

– Racja – zgodził się Binder. – Ciekawe po co takiej istocie klejnoty.

Miał sporo racji.

– Słusznie – przyznałem. – Coś tu śmierdzi.

Ascher wymieniła przeciągłe spojrzenia z Binderem.

– Powinniśmy odejść?

Binder się skrzywił.

– I pozwolić, żeby Stary Nick nie mógł się przedostać przez swoją ognistą bramę? Myślę, że potraktowałby to jako osobistą zniewagę. Jak brzmi Druga Zasada Wujka Bindera?

– Skup się na pieniądzach – odpowiedziała Ascher.

– Właśnie – odrzekł Binder. – Nie bierz niczego do siebie, nie ulegaj emocjom. Jesteśmy zawodowcami, kochanie. Wykonaj zadanie, odbierz zapłatę, wynoś się.

– Ta gra może się toczyć o coś więcej niż pieniądze – wtrąciłem cicho.

– Chodzi ci o Nicka i jego kielich? – spytał Binder. – Było wielu złych ludzi i mnóstwo potężnych artefaktów, odkąd ta kula zaczęła się kręcić. Będzie się kręciła dalej.

– Być może – odrzekłem. – A być może nie. Nicodemus ma wyjątkowe wpływy. A gdybym ja złożył wam ofertę?

– Gotówka? – spytał Binder.

Skrzywiłem się.

– No cóż. Niedokładnie.

Cmoknął z niezadowoleniem i zerknął na Ascher.

– Jak brzmi Pierwsza Zasada Wujka Bindera?

– Tylko forsa – odpowiedziała. – Wszystko inne zbyt wiele kosztuje.

Pokiwał głową.

– Więc nie proponuj mi przysług, magu, pobłażliwości Białej Rady ani mocy Królowej Elfów. To żadna zapłata. To jedynie błyskotki, które są jak przynęta, przez którą wcześniej czy później wpadamy w sidła. Liczy się tylko forsa.

– A co z wolnością? – spytałem. – Kiedy wrócimy, bank będzie otoczony przez policję. Sądzisz, że przebijesz się przez armię funkcjonariuszy?

Binder zaśmiał się chrapliwie.

– Tylko popatrz na siebie, Dresden. Cholera, ale z ciebie harcerzyk. To mafijny bank, który należy do lokalnego barona złodziei. Minęło osiem minut od uruchomienia cichego alarmu, więc dlaczego nie słyszę syren? Gdzie są mundurowi?

Skrzywiłem się. Także to zauważyłem.

– Naprawdę uważasz, że alarm wzywa żandarmów? – Pokręcił głową. – Założę się, że w pierwszej kolejności zawiadamia jego ludzi. Oni następnie decydują, czy chcą wezwać gliny, czy załatwić sprawę samodzielnie.

Właśnie. Ludzie Marcone'a.

Z trudem przełknąłem ślinę.

Binder upewnił się, że pojękujący, drgający strażnicy nie mają broni ani kluczyków do swoich kajdanek.

– A teraz wybacz, ale jeśli ten twój Marcone jest taki sprytny, to ktoś będzie próbował mnie przechytryć. Muszę być gotowy. – Wskazał palcem Ascher.

– Po raz setny, czerwone klejnoty – odezwała się, uśmiechając się nieznacznie.

– Kupię nam tropikalną wyspę ze śliczną plażą, a dla ciebie nowy kostium kąpielowy – odrzekł, mrugając.

– Wątpię – odparowała Ascher.

– Przytrzymam wam drzwi. Pośpieszcie się. – Binder wspiął się po schodach. Jego podobne do paciorków oczy lśniły entuzjastycznie.

– Hmm – mruknąłem.

– Co? – spytała Ascher.

– Ty i Binder... nie jesteście parą?

Ascher uśmiechnęła się z goryczą.

– Starania na razie nie przyniosły skutku.

– Trudno go winić – odparłem. – Jesteś cholernie atrakcyjna.

– To nie on się stara, tylko ja – odrzekła. – Dał mi kosza. – Popatrzyła na schody i westchnęła. – Pierwsza Zasada. Nie lubi się wiązać.

– Aha – odrzekłem, próbując sobie wyobrazić, jak Ascher stara się uwieść Bindera i zostaje odrzucona. Owszem, ja też ją odrzuciłem. Co, patrząc na to z perspektywy czasu, na pewno nie wpłynęło najlepiej na jej samoocenę.

Nieważne, jak jesteś urodziwy. Ważne, jak urodziwy się czujesz. Nikt nie uważa się za pięknego, gdy często słyszy „nie”.

– Nie zrozum mnie źle, ale nie uwierzysz, jak wiele razy zalecały się do mnie ładne dziewczyny, które chciały mnie zjeść – dosłownie. Po czymś takim można

stać się nieufnym.

Ascher podrapała się po nosie, pobrzękując kajdanami. Skrzywiła się, gdy ciernie wbiły się w jej nadgarstki.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że jestem zbyt ładna, żeby być atrakcyjna?

– W przypadku kogoś z naszej branży to możliwe – odrzekłem. – Ktoś tak pociągający jak ty wzbudza nieufność. Binder sprawia wrażenie ostrożnego człowieka.

– Więc gdybym była nieco starsza i odrobinę bardziej przysadzista, tak jak Murphy, być może też by mi się z tobą poszczęściło – odezwała się z namysłem.

Skrzywiłem się.

– Murphy nie składa się z samych mięśni. Po prostu nie widać tego przez ubranie i kamizelkę kuloodporną. Poza tym wcale jej się ze mną nie poszczęściło.

Ascher przez chwilę mi się przyglądała, powoli mrugając.

– Mówisz... poważnie, prawda?

– Sprawy między nami są skomplikowane.

– Ponieważ jesteś nieufny?

– A ona jest po dwóch rozwodach. Poza tym jej były chłopak mnie postrzelił.

– Słucham?

– Poprosiłem go o to – wyjaśniłem pośpiesznie.

– Co takiego?

Usta mi się nie zamykały.

– Do tego doszedł rytuał inicjacyjny z Mab, chociaż to chyba wydarzyło się tylko w mojej głowie. Traumatyczne przeżycie – jakbym zadał się z huraganem. Po tym chyba zniechęciłem się do seksu.

Ascher jeszcze przez chwilę mi się przypatrywała, a potem pokręciła głową i się odwróciła.

– Rany. – Westchnęła. – Nie zrozum mnie źle, Dresden, ale dziękuję, że mnie odepchnąłeś. Uniknęłam sporych tarapatów.

– Ejże – zaprotestowałem.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Twoje życie jest zbyt emocjonujące dla normalnego człowieka.

– Wcale nie mam emocjonującego życia – odparłem. – Po prostu to...

– Skomplikowane? – Pokręciła głową. – Wcale nie. Wystarczy się otworzyć i wpuścić drugą osobę. A kiedy pojawiają się trudności, stawiacie im czoło wspólnie.

– To nie takie proste.

– A właśnie że tak. Miałeś szansę na coś takiego i to odrzuciłeś? Jesteś pieprzonym idiotą. Ja nie popełnię tego samego błędu.

W korytarzu za drzwiami rozległy się kroki i pojawił się Michael z Amoracchiusem w dłoni. Miecz lśnił wściekłym białym światłem.

– Harry – odezwał się Michael. – Kłopoty.

– Co się dzieje?

– Nicodemus chce zabić Annę Valmont.

– A ty jesteś tutaj?

– Jest ich czworo, a ja jeden – wyjaśnił.

Wyjąłem kluczyk do swoich kajdan i upewniłem się, że jest pod ręką.

– Dresden – odezwała się Ascher nerwowym głosem. – Jeśli uszkodzisz elektronikę, spieprzysz całą akcję!

– Uwielbiam, kiedy eleganckie kobitki świntuszą! – zawołał Binder wesoło z wyższego piętra.

Zazgrzytałem zębami i chwyciłem laskę prawą ręką.

– Chodź! – zawołałem do Michaela.

Pobiegłem korytarzem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Korytarz za pierwszymi drzwiami miał niecałe sto metrów, a ja poczułem, że mentalne tarcze chroniące mnie przed bólem zaczynają słabnąć, gdy zmusiłem swoje ciało do wysiłku. Zacisnąłem zęby i jakoś dotarłem na drugą stronę, podczas gdy Michael poruszał się bez wysiłku i z gracją, a nawet podtrzymał mnie, kiedy się zachwiałem.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi przeciwwłamaniowe, a obok nich dziura wypalona w ścianie. Ponownie poczułem smród przypalonego futra Genoskwy.

Zanurkowałem w dziurę, a Michael podążył za mną. Znalazłem się w pomieszczeniu, gdzie pod dwiema ścianami stały rzędy szafek, w których po chwili rozpoznałem skrzynki depozytowe. Po ich wielkości zgadywałem, że ludzie przechowywali w nich kopie ważnych dokumentów.

Trzecią ścianę zbudowano z wytrzymałej, jednolitej stali. Znajdowały się w niej duże stalowe drzwi ze stosunkowo niewielkim, nierzucającym się w oczy panelem kontrolnym na środku, który nie wyglądał na zbyt nowoczesny. Mieściły się na nim zwykła klawiatura, duże kółko zamka szyfrowego oraz niewielki wyświetlacz LED.

Anna Valmont stała przed panelem, a u jej stóp leżał rozwinięty przybornik z narzędziami gotowymi do pracy. W dłoni trzymała niewielką latarkę. Zwracała się nie w stronę drzwi, ale w stronę Nicodemusa.

Przywódca Denarian stał nieco z boku i celował do Valmont z niewielkiej broni automatycznej. Deirdre zajęła miejsce po jego prawej, a Grey po lewej stronie. Potężna rozmyta sylwetka Genoskwy majaczyła na tle ściany za nimi, wypełniając powietrze smrodem.

– Wciąż nie rozumiem, w czym problem – odezwał się Nicodemus.

– Problem polega na tym – odrzekła Valmont, nerwowo na mnie zerkając – że to nie są drzwi z planu, który mi dałeś.

– Moje źródło jest nieomyślne – zaoponował Nicodemus. – Zapewnia mnie, że drzwi, które ci pokazałem, zainstalowano podczas budowy banku.

– Najwyraźniej jednak nie jest takie mądre, jak ci się wydaje – ostro odparła Valmont. – Marcone zapewne potajemnie zamontował inne drzwi.

– A więc je otwórz – rzekł Nicodemus, wskazując je pistoletem. – Natychmiast.

– Niczego nie rozumiesz – zachnęła się Valmont. – Być może zdołałabym to zrobić, gdybym miała ich plany i cały dzień na przygotowanie. Ale tylko być może. To także Fernucci, ale robiony na zamówienie, więc mógł zostać zupełnie inaczej zaprojektowany. Poza tym te drzwi...

Ogarnęło mnie straszliwe przeczucie.

– Na dzwony piekieł. Są zaminowane, prawda?

Grey się skrzywił.

– Skąd wiesz?

Ponieważ dziewczyna mojego brata kilka lat temu widziała na własne oczy, jak Marcone broni jednej ze swoich twierdz przed wściekłym magiem Fomorów. W całym budynku rozmieścił miny, punkty obronne i pułapki. Thomas mi o tym opowiadał. Ale odpowiedziałem tylko:

– Skąd? W końcu jestem cholernym magiem.

Valmont skinęła głową z ponurą miną i wskazała otwór w ścianie, przez który weszliśmy.

– Mamy szczęście, że Ascher niczego nie zdetonowała, kiedy tutaj wchodziła.

Podszedłem do ściany i uważnie się jej przyjrzałem. Na skrajach wypalonych dziur zobaczyłem stopione plastikowe krawędzie przedmiotów, z którymi już miałem do czynienia w innych paskudnych okolicznościach – min przeciwpiechotnych Claymore. Umieszczono je w ścianie, pomiędzy betonem a płytą gipsową, i skierowano do wnętrza pokoju.

Przełknąłem ślinę. Jedna taka mina wyrzuca setki metalowych kulek, niczym potężna śrutówka. Naliczyłem osiem takich urządzeń, rozmieszczonych jedno nad drugim w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie. Każda mina miała około trzydziestu centymetrów szerokości.

No dobrze. Załóżmy, że Marcone chciał zmienić w krwawą miazgę każdego, kto spróbuje włamać się do jego skarbcza. Załóżmy też, że wiedział, jak trudno jest zranić nadprzyrodzone istoty. Jak by to rozwiązał?

Postawiłby na ilość.

Podejrzewałem, że zainstalował miny w całej ścianie. Przyjmijmy dla wygody, że w każdej minie znajduje się trzysta metalowych kulek. To wystarczy, żeby rozerwać nas na strzepy. Kulki będą odbijały się od stalowych ścian jak śrut grzechoczący wewnątrz blaszanej puszki, zmieniając każdą cielesną istotę w mielonkę.

– Niezła zabawa – odezwałem się. Zwróciłem się w stronę Nicodemusa. – Wygląda na to, że przyjęcie się skończyło. Nie byłeś wystarczająco dobrze przygotowany.

– Nie zrezygnujemy teraz – odparł Nicodemus, wpatrując się w Valmont. – Otwórz skarbiec.

– To byłoby głupie – odrzekła Anna. – Myślę, że dałabym radę otworzyć pierwsze drzwi, ale o tych niczego nie wiem. Nawet jeśli zrobię wszystko poprawnie, mogę uruchomić detonator, ponieważ nie wiem, gdzie on jest.

– Daję ci trzy minuty na otwarcie skarbca. Potem cię zabiję.

– Oszalałeś? – spytała Valmont.

– Na dzwony piekiel, człowieku – wtrąciłem się. – Uspokój się. Nasz cel nigdzie się nie wybiera. Ty się nie starzejesz. Po co ten pośpiech?

Obnażył zęby.

– Czas jest względny, Dresden. W tej chwili zaczyna go nam brakować. Otworzymy ten skarbiec dzisiaj. Panna Valmont to zrobi albo zginie.

– Albo zdetonuje miny i wszyscy umrzemy? – odburknąłem. – Postradałeś zmysły?

– Możesz poczekać na zewnątrz, jeśli się boisz – odpowiedział spokojnie.

Zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście mogę to zrobić. Mogę wycofać się ze skarbca razem z Michaeliem. Valmont wtedy znalazłaby się pod ścianą, a ja doskonale wiedziałem, co by zrobiła w obliczu pewnej śmierci – wysadziłaby system w powietrze, licząc na to, że zabierze Nicodemusa i Deirdre ze sobą. Albo może dokonałaby małego cudu i otworzyła drzwi, dzięki czemu moglibyśmy dalej realizować nasz plan. Gdyby zginęła, akcja zakończyłaby się fiaskiem, Mab już nie miałaby żadnych zobowiązań wobec Nicodemusa, przynajmniej na razie, a przy odrobinie szczęścia za jednym zamachem pozbylibyśmy się kilkorga złoczyńców. Z kolei gdyby Valmont przeżyła, moja sytuacja nie uległaby pogorszeniu.

Wystarczyło rzucić tę kobietę na pożarcie. Czysta matematyka podpowiadała, że to rozsądny ruch.

– Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną – mruknąłem pod nosem. – Michaelu, wyjdź.

Zacisnął zęby, ale współpracował ze mną już od dawna, więc nauczył się mi ufać w trudnych sytuacjach – zresztą obaj wiedzieliśmy, że nawet Amoračius i najczystsze intencje nie ochroniłyby go przed wybuchem pułapki zastawionej przez Marcone'a. Wyszedł.

– Nie boję się – odezwał się Grey. – Chcę, żeby to było jasne. – Potem również opuścił pomieszczenie.

– Co ty robisz, Dresden? – spytał Nicodemus.

– Pomagam. Przestań grozić i pozwól nam pracować. – Upewniłem się, że kajdany są mocno zatrzaśnięte na moich nadgarstkach, i podszedłem do Anny Valmont. – No dobrze, zrobmy to.

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Co ty wyprawiasz? Odsuń się.

– Pomagam ci – odrzekłem. – Pomagam ci otworzyć te drzwi bez wysadzania wszystkich w powietrze. Zwłaszcza ciebie. No i mnie.

Podniosła małą latarkę i oświetliła podłogę pod moimi stopami.

– Stój!

To był ultrafiolet. Ledwie zdążyłem zatrzymać stopę, zanim nadepnałem na krąg jakichś staroskandynawskich runów wymalowanych na kamiennej podłodze, niewidocznych w normalnym świetle.

– Na gwiazdy i kamienie – westchnąłem. – To osłona.

Valmont poświeciła na posadzkę przed drzwiami skarbcza. Znajdowało się tam kilkanaście osłon, każda wielkości talerza.

– Dlatego te drzwi są inne – zgadłem. – Wypełnili całe pomieszczenie biernymi zaklęciami.

– Nie zauważyłam ich, dopóki nie wpakowałam się na pierwsze – odpowiedziała. – To każe mi przypuszczać, że nie jestem właściwą osobą, by je zdetonować.

– Poświeć jeszcze raz – poprosiłem, a ona skierowała snop światła pod moje stopy. Nachyliłem się i uważnie przyjrzałem osłonie. – Masz rację. Zbudowano je tak, by reagowały na kogoś praktykującego magię. Nie są zbyt silne – nie mają solidnego oparcia. Ale są w stanie wyzwolić ładunek magicznej energii.

– To wystarczy, by przerwać obwód?

– Na pewno.

– Więc osoba praktykująca magię staje na jednej z nich i... – Valmont eleganckim gestem rozwarła lewą dłoń. – Bum!

Z góry dobiegł terkot broni automatycznej – któryś ze sług Bindera strzelał z uzi. Valmont i ja wzdrygnęliśmy się pod wpływem gwałtownego dźwięku.

– Chryste – westchnęła Anna.

– Nie mamy czasu – odezwał się Nicodemus. – Drzwi, panno Valmont.

Przełknęła ślinę i popatrzyła na mnie.

– Świeć mi pod nogi, żebym widział drogę – poprosiłem.

Kiedy to zrobiła, podszedłem do niej, klucząc między osłonami.

– W porządku – powiedziałem. – Trzy sprawy. Po pierwsze, nie zamierzam uciec i zostawić cię tutaj samej. Po drugie, nie zamierzam pozwolić, żeby on cię zastrzelił. No i po trzecie – dasz sobie radę.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała szeptem. – A jeśli te drzwi są bardziej złożone niż pierwsze?

– Niemożliwe – odparłem.

– Tego nie wiesz.

– Owszem, wiem. Ze względu na to, jak magia działa na technologię. Marcone otoczył drzwi słabymi zaklęciami osłaniającymi. Im bardziej złożone układy elektroniczne lub mechaniczne się w nich znajdują, tym szybciej magia w tym pomieszczeniu je uszkodzi i zamknie obwód. – Wskazałem palcem. – Te drzwi muszą być zbudowane z prostszych części i znacznie mniej złożonych układów elektronicznych niż oryginał. Właśnie dlatego zainstalowano je potajemnie – nie po to, żeby postawić jeszcze trudniejszą do sforsowania przeszkodę, ale żeby ukryć fakt, że nowe drzwi są prostsze niż poprzednie.

Valmont przez chwilę mi się przypatrywała, marszcząc czoło.

– Jesteś pewien?

– Tak – odrzekłem. – To znaczy, no wiesz, teoretycznie.

– Boże, Dresden. A jeśli się mylisz?

– No cóż, w takim wypadku oboje nawet się o tym nie dowiemy. Ponieważ nigdzie się nie wybieram.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Gdzie się podziała tamta zuchwała kobieta, która ukradła mi płaszcz i samochód po tym, jak uratowałem ją przed pewną śmiercią? Pamiętam, że kiedyś byłaś bardziej śmiała.

W jej oczach pojawił się błysk buntu albo rozbawienia, a może jednego i drugiego.

– Inaczej to pamiętam.

– Przed możliwą śmiercią – przyznałem, czując, że szczerzę się jak wariat. – Bardzo możliwą śmiercią. Posłuchaj, Anno, obrabowałaś Watykan, kiedy zgarnęłaś Całun. Jak trudne może być włamanie się do chaty jakiegoś nędznego gangstera z Illinois?

Powoli odetchnęła.

– Masz mnóstwo racji – odrzekła poważnie i nachyliła się nad swoimi narzędziami.

Poruszała się szybko i precyzyjnie, jak na profesjonalistkę przystało. W pół minuty zdjęła pokrywę panelu i przyjrzała się znajdującym się pod nią przewodom.

– Miałaś rację – doniosła. – Żadnych mikroprocesorów ani mikroobwodów.

– Umiesz je otworzyć? – spytałem.

– Jeśli nie popełnię żadnych błędów. Tak. Chyba. A teraz bądź cicho.

Na górze znów rozległy się strzały. Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, ale byłem pewien, że bandziory Bindera nie strzelałyby dla zabawy.

Grey wślizgnął się do pomieszczenia.

– Używają tłumików – poinformował swobodnym tonem. – Jest ich wystarczająco wielu, by wywrócić do góry nogami naszą akcję, ale na razie tylko nas sondują.

– Poczujesz ich sondę? – odezwałem się.

– Magu – odrzekł Grey, nieco zniecierpliwionym tonem. – Na pewno chcesz mnie prowokować?

– Chyba tak.

– Grey, daj spokój – odezwał się Nicodemus. – Kiedy Valmont otworzy skarbiec, zajmiesz się skanerem.

Grey stęknął.

– W takim razie muszę ładnie wyglądać.

Ponownie jakby zadrżał w miejscu, tak szybko, że trudno było nadążyć za nim wzrokiem, i już po chwili w miejscu Greya stał biedak Harvey i nerwowo zerkał na otwór wypalony w drzwiach. Rozległy się strzały i Grey-Harvey się wzdrygnął, po czym pośpiesznie obejrzał przez ramię.

Hmm.

– Psiakrew – szepnęła Valmont, sięgając po kolejne ze swoich narzędzi. Zaczęła kręcić kółkiem zamka szyfrowego, jednocześnie obserwując drgającą wskazówkę jakiegoś czujnika. – Nie da się pracować w takim hałasie.

– Jeśli chcesz, mogę go zagłuszyć – odrzekłem z uśmiechem. – Kszszszszszszszszszszsz...

– Dziękuję, Dresden, że dodatkowo mnie rozpraszasz... – Nagle wytrzeszczyła przerażona oczy i wstrzymała oddech.

Poczułem, że sztywnieję ze zdenerwowania. Gdyby miny wybuchły, mój płaszcz nie ochroniłby mnie przed taką ilością latającego żelastwa. Zacisnąłem zęby.

Valmont podniosła wzrok i uśmiechnęła się jak tygrysica.

– Mam cię. – Potem pewnym ruchem wcisnęła ostatni guzik, a w drzwiach skarbca coś złowrogo szcęknęło. Przekreśliła okrągłą kłamkę i olbrzymie drzwi nieśpiesznie się otworzyły. – Rzeczywiście, nędzny gangster z Illinois.

– Poświeć ultrafioletem na osłony – poprosiłem.

– Już się robi.

– Grey – odezwał się Nicodemus.

Grey-Harvey zwinnie przeskoczył nad oświetlonymi osłonami i przeszedł przez drzwi.

Podążyłem za nim, wyęzając zmysły, by wyczuć inne magiczne zagrożenia, które mogły na nas czekać w skarbcu Johnniego Marccone'a.

Skarbiec był olbrzymi. Piętnaście metrów szerokości. Trzydzieści metrów długości. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy zakratowanych drzwi, które mogłyby powstrzymać King Konga. Na każdych drzwiach znajdowała się stalowa tabliczka z numerem i imieniem. Na pierwszej tabliczce po prawej przeczytałem: LORD RAITH – 00010001. W pomieszczeniu za drzwiami piętrzyły się pudła, które mogły pomieścić duże obrazy, wzmacniane skrzynie, a także palety z plikami studolarowych banknotów, poukładanymi w metrowe sześciiany i owiniętymi przezroczystą folią.

Schówek po przeciwnej stronie oznaczono tabliczką z napisem: FERROVAX – 00010002 i wypełniały go rzędy zamkniętych ognioodpornych sejfów.

Po obu stronach skarbcza znajdowało się jeszcze po jedenaście takich pomieszczeń.

Pomiędzy kratami stały szafki depozytowe, regały pełne cennych dzieł sztuki oraz kolejne ogromne pakunki banknotów, które miałem wielką ochotę przeliczyć.

Takiej fortuny nie powstydziliby się niewielkie państwo. Zresztą nie tylko niewielkie.

Jedynie drzwi zabezpieczone skanerem znajdowały się na samym środku ściany po przeciwnej stronie skarbcza. Oto magazyn Podziemnego Świata.

– To chyba one – zauważyłem.

Grey-Harvey przez chwilę się nie odzywał. Popatrzyłem na niego. Powoli rozglądał się po pomieszczeniu.

– To tylko pieniądze – powiedziałem. – Skoncentruj się.

– Wypatruję strażników i pułapek – odrzekł.

– Aha – stęknąłem. – Nie przeszkadzaj sobie.

– Nie powinienem tutaj być – wyszeptał Grey tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – To głupota. Złapią mnie. Złapią mnie. Ktoś mnie dopadnie. Te istoty mnie dopadną.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie.

– Eee, co takiego? – spytałem.

Zamrugnął i zerknął na mnie.

– Co?

– O czym ty mówisz?

Lekko zmarszczył czoło. Potem skrzywił się i je rozmasował.

– O niczym.

– Akurat.

– W tej chwili jestem także Harveyem – odpowiedział. – A jemu ta sytuacja niezbyt się podoba.

– Co to znaczy, że jesteś „także Harveyem”? – spytałem.

– Tak głęboka przemiana nie jest dla mięczaków – odpowiedział. – Ale nie musisz się niczym przejmować. Zaufaj mi.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ponieważ jestem zmiennokształtnym i wiem, o czym mówię – zachnął się. – Lepiej tutaj zaczekaj. Co prawda masz kajdany, ale skanery siatkówki są cholernie czułe.

– Nie będę podchodził za blisko – odrzekłem i ruszyłem w stronę przeciwległego końca skarbca.

Nie wątpiłem, że Grey ma rację w kwestii skanera, ale musiałbym być wyjątkowo łatwowierny, żeby spuścić z oka kogoś takiego jak on. Zatrzymałem się jakieś dziesięć metrów przed ścianą, a Grey-Harvey podszedł do panelu. Uniósł dłoń i błyskawicznie, jakby odruchowo, wpisał na klawiaturze ciąg kilkunastu cyfr. Kiedy skończył, panel się obrócił i pojawiła się niewielka rurka. Nachylił się i w nią popatrzył, a wtedy mignęło czerwone światło. Wyprostował się, mrugając, i po chwili rozległ się cichy trzask.

– Chwila prawdy – odezwał się i przekręcił klamkę.

Drzwi ziemskiego skarbcza boga Podziemnego Świata (podpisane HADES – 00000013) otworzyły się bezgłośnie. Więcej siły wymagałoby dobranie się do lodówki Michaela.

Grey odwrócił się w moją stronę, powracając do swojej własnej postaci, a jego usta wykrzywił doskonale zamaskowany kpiący uśmiech.

– Psiakrew, niezły jestem w te klocki.

– No dobrze – powiedziałem. – Idź po pozostałych. Ja przygotuję Ścieżkę.

Grey ruszył do wyjścia, ale po chwili znieruchomiał i zmierzył mnie wzrokiem.

– Gdybym chciał storpedować tę akcję, mogłem to zrobić wielokrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu minut – powiedziałem. – Palamino rusza na drugą stronę.

– *Czarna dziura?* – spytał Grey z niedowierzaniem. – Nikt na świecie nie pamięta tego filmu, Dresden.

– Bzdury. Ernest Borgnine, Anthony Perkins i Roddy McDowall razem na ekranie? To nieśmiertelny klasyk.

– Roddy McDowall tylko podkładał głos pod robota.

– Tak. A roboty były super.

– Tania podróbka *Gwiezdnych Wojen* – zakpił Grey.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odparłem.

– Nie martwiłem się, że pokrzyżujesz nam szyki – rzekł Grey. – Raczej sądziłem, że możesz zabawić się w Robin Hooda, żeby zaszkodzić Marccone’owi.

– Wątpię, żeby mógł się wściec jeszcze bardziej. Ale obrabowanie tego skarbcza nie jest częścią planu.

Grey przez chwilę mi się przyglądał, a potem pokiwał głową.

– Jasne. Przeprowadzę drużynę. – Odwrócił się i potruchtał w stronę wejścia...

...a wtedy jakaś potężna siła nagle porwała go i wyciągnęła ze skarbcza.

– To nie wygląda najłe... – zacząłem.

Zanim zdążyłem dokończyć, do skarbcza wpadła Tessa w postaci modliszki, fantastycznie szybka i przerażająco silna. Zatrzasnęła za sobą drzwi, a jej tylne odnóża obróciły mechanizm zamka – umożliwiającego zamykanie pomieszczenia od środka – który szczęknął złowieszczo.

Jedynym źródłem światła były teraz małe lampki rozmieszczone w podłodze wzdłuż ścian, które odbijały się jaskrawo w wielopłaszczyznowych oczach modliszki.

– Ty – rozległ się jej brzęczący, dwuwarstwowy głos, ociekający nienawiścią. – To twoja wina.

– Co takiego? – spytałem.

Sięgnąłem do cierniowych kajdan na nadgarstku i zamarłem. Michael i pozostali byli na zewnątrz, w zaminowanym pomieszczeniu. Gdybym zaczął czarować, nawet z tej odległości niewątpliwie uruchomiłbym antymagiczne zabezpieczenia, które zainstalował Marccone.

– Nieważne – syknęła Tessa. – Twoja śmierć zakończy ten łańcuch wydarzeń jeszcze skuteczniej niż śmierć księgowego.

Po tych słowach rozwścieczona Denarianka rzuciła się na mnie z owadzią szybkością, a ja wiedziałem, że jeśli będę chciał walczyć za pomocą magii, wysadzę swoich przyjaciół w powietrze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Skrzydła Tessy rozmasały mi się przed oczami, gdy na mnie skoczyła, unosząc do ciosu zakrzywione kosy odnóży.

Głos w mojej głowie wrzeszczał piskliwie jak dziewczyna i przez chwilę myślałem, że zmoczę spodnie. Nie miałem czasu na zabawy, nie miałem dokąd uciec, a bez nadludzkiej mocy Zimy byłem trupem. Chyba że...

Jeśli Butters miał rację, siła, którą dysponowałem jako Rycerz Zimy, była we mnie od zawsze – uśpiona i gotowa, abym z niej skorzystał. Powstrzymywały mnie jedynie inhibitory wbudowane w moje ciało. Poza tym dysponowałem jeszcze jedną przewagą – przez ostatnie półtora roku, odkąd umarłem i doszedłem do siebie, szaleńczo trenowałem. Po pierwsze, żeby wrócić do formy i w razie potrzeby móc stanąć do walki, a po drugie, ponieważ pozwalało mi to wyładować napięcie kryjące się pod powierzchnią.

Trening ma to do siebie, że przesuwa granice naszych możliwości, a to cholernie boli. Drobne kontuzje nawarstwiają się, odbierając nam impet, zmniejszając skuteczność, zaburzając równowagę i uwypuklając słabości.

Ale nie w moim przypadku.

Przez cały czas trwania treningu moc Zimy chroniła mnie przed bólem. Nie tylko czyniła mnie fizycznie silniejszym, ale pozwalała mi ćwiczyć dłużej i intensywniej, niż byłoby to możliwe bez niej. Nie stałem się szybszy i silniejszy wyłącznie z powodu mocy Zimy, ale także dlatego, że wypruwałem z siebie żyły.

Nie musiałem pokonać Tessy. Wystarczyło, bym przetrwał jej atak. Anna Valmont już była przy drzwiach i je otwierała, a skoro raz tego dokonała, teraz powinno jej to pójść jeszcze szybciej. Ile czasu potrzebowała za pierwszym razem? Czterech minut? Pięciu? Byłem przekonany, że zrobi to w trzy minuty. A wtedy Michael wpadnie do skarbcza i sytuacja drastycznie się zmieni.

Trzy minuty. To jedna bokserska runda. Musiałem przetrwać tylko jedną rundę.

Kiedy Tessa się zbliżyła, cisnąłem w nią niemal pustym marynarskim workiem, udałem, że ruszam w prawo i rzuciłem się w lewo. Tessa dała się

oszukać i minęła mnie, sunąc po gładkiej posadzce. Wskoczyłem na sześcian z banknotów i, nie wytracając pędu, dałem susa na górną półkę regału z dziełami sztuki. Stałem mocno na nogach i obróciłem się z laską wzniesioną nad głowę w chwili, gdy Tessa przecięła powietrze, rzucając się w moją stronę.

Wydałem z siebie okrzyk i zamachnąłem się ciężką laską, wkładając w cios wszystkie swoje siły. Trafiłem Tessę w trójkątną głowę, na tyle mocno, że fala uderzeniowa wstrząsnęła moimi ramionami. Być może moja przeciwniczka była szybka i silna jak obłąkany anioł, ale nawet w swojej demonicznej formie nie miała zbyt dużej masy. Cios zatrzymał ją w powietrzu i runęła w dół.

Ale zamiast spaść na posadzkę, wbiła haczykowane odnóża w metalową półkę, przebijając stal, jakby to była tektura. Wrzasnęła wściekle i zaczęła wspinać się w moją stronę.

To mi się nie spodobało. Dlatego skoczyłem jej na twarz oboma ciężkimi buciorami.

Siła uderzenia oderwała jej nogi od półki i oboje poleciliśmy na podłogę. Wylądowałem na wierzchu, moje kostki przeszył ostry ból, a Tessa wrzasnęła chrapliwie. Próbowałem wykorzystać siłę pędu, by przetoczyć się po podłodze, ale tylko częściowo mi się udało. Odsunąłem się na czworakach tuż przed tym, jak Tessa wbiła kosę w miejsce, w którym przed chwilą było moje krocze. Upadła na plecy i przez chwilę wymachiwała odnóżami jak robak.

Upuściłem laskę, chwyciłem jedną z podpór stalowego regału i szarpnąłem.

Ciężki regał pełen dzieł sztuki spadł Tessie na głowę ze straszliwym hukiem i ogłuszającym trzaskiem pękającego marmuru. Złapałem laskę i zacząłem się cofać w stronę wejścia do skarbca.

Tessa nie podnosiła się przez około półtorej sekundy. Potem odrzuciła regał i stanęła na nogach z okrzykiem wściekłości. Odwróciła się i pomknęła w moją stronę.

Zatrzymałem się, wyciągnąłem swój potężny rewolwer z kieszeni płaszcza, starannie wycelowałem i czekałem, aż Tessa będzie zbyt blisko, bym mógł spudłować. Pociągnąłem za spust, gdy była oddalona o niecałe dwa metry.

W zamkniętym wnętrzu skarbca pistolet huknął jak armata, a masywny pocisk trafił Tessę w klatkę piersiową, przebijając egzoszkielet i rozbryzgując krew. Tessa zachwiała się, a sterta pieniędzy za jej plecami eksplodowała, wyrzucając banknoty w powietrze.

Cofnąłem się o dwa albo trzy kroki, a następnie ponownie wycelowałem i wpakowałem w nią kolejny pocisk. Potem znów się cofnąłem i wypaliłem po raz trzeci. Znów do tyłu i czwarta kulka. Po piątej skończyła mi się amunicja, a Tessa wciąż szła w moją stronę.

Pociski zdołały ją tylko spowolnić, ale zapewniły mi to, czego potrzebowałem najbardziej – czas.

Wycofałem się do skarbca Hadesa i zatrzasnąłem okratowane drzwi, gdy tylko Tessa na mnie zaszarżowała. Wściekle uderzyła o kratę i szarpnęła ją odnóżami, ale ta wytrzymała. Tessa ponownie wrzasnęła i spróbowała dźgnąć mnie między prętami. Zdążyłem się cofnąć, unikając przebiccia, i uderzyłem ramionami o ścianę.

– Na dzwony piekiel! – rzuciłem. – Przynajmniej powiedz, dlaczego?!

Hakowate odnóża modliszki zaczepiły o dwa pręty i próbowały je rozgiąć. Metal jęknął i zaczął się odkształcać, a ja nagle poczułem się znacznie mniej sprytny. Tessa nie była zbyt duża, więc nie musiała mocno rozgiąć krat, by się przedostać, jednocześnie nie pozwalając mi na ucieczkę. Gdyby rozwarła je na tyle, by przejść na drugą stronę, czekałaby mnie krwawa śmierć. Sekundy powoli płynęły, podczas gdy demoniczna modliszka drżała z wysiłku i czystej nienawiści.

– Dlaczego? – spytałem nieco piskliwym głosem. – Po cholere mieszasz się do tej misji?

Nie odpowiedziała. Pręty z jękiem rozgięły się o kilka centymetrów, ale były wyjątkowo grube, jakby zaprojektowano je w celu powstrzymania kogoś o nadludzkiej sile, i zapewne tak było. Tessa odrzuciła do tyłu owadzią głowę i wydała z siebie boleśnie przeszywający wrzask.

Nagle głowa modliszki rozplynęła się i wrzask przerodził się w bardzo ludzki, pełen wściekłości krzyk. Pojawiła się głowa Tessy z dwiema parami szeroko otwartych, dzikich oczu.

– Nie poświęciłam piętnastu wieków, by teraz patrzeć, jak ktoś wszystko niweczy! – zaskrzeczała.

Wpatrywałem się w nią bezradnie, a serce tłukło mi się w piersi. Próbowałem wymyślić coś mądrego, zajmującego lub rozbijającego, co mógłbym powiedzieć, ale tylko bezradnie machnąłem rękami i wykrztusiłem:

– Pogięło cię?

Skupiła się na mnie i wypluła kilka wściekłych słów, które mogły być jakimś rodzajem zaklęcia, ale ogarniająca ją furia nie pozwalała jej się dostatecznie skupić, by użyć czarów. Zamiast tego ponownie wydała z siebie wrzask, który nie mógł pochodzić z ludzkich płuc, gdyż ciągnął się bez końca, wylewając się z jej ust razem z cząsteczkami śliny, jakimiś ciemniejszymi grudkami, a w końcu także większymi kawałkami materii, które, jak zorientowałem się po kilku sekundach, miały nogi i wiły się w powietrzu.

Potem wrzask zmienił się w gulgot i Tessa zaczęła wymiotować rojem latających owadów, które wlewały się przez kratę i atakowały mnie niemal

nieprzerwanym strumieniem, jak woda tryskająca z węża pod dużym ciśnieniem.

Siła uderzenia odebrała mi oddech i nie byłem w stanie ponownie złapać powietrza. Owady, które opadły moje ciało, karaluchy, żuki i jakieś bezimienne pełzające robactwo, pomknęły w górę mojej szyi, w stronę nosa, ust i uszu, jakby kierowała nimi zła wola.

Kilka z nich dostało się do moich otwartych ust, zanim zdążyłem je zamknąć i zasłonić twarz dłonią. Zmiażdżyłem je zębami, słysząc ich obrzydliwy chrzęst i czując smak krwi. Reszta owadów zaatakowała moje oczy i uszy oraz wtargnęła pod ubranie, by gryźć moją skórę.

Zachowywałem spokój przez dwadzieścia sekund, strzepując insekty ze swojej głowy i chwytając niewielkie hausty powietrza przez lekko rozchyłone palce, ale potem owady jednocześnie przedostały się do moich oczu i uszu, a ja zacząłem panicznie krzyczeć. Palący ból rozplątał się po moim ciele, gdy rój zaczął mnie napastliwie kąsać, a ostatnim, co zobaczyły moje piekące oczy, było ciało Tessy, opróżnione niczym flaczejący balon. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że już jesteśmy w jednym pomieszczeniu.

Pod wpływem paniki moje mentalne tarcze osłabły, a ból rzucił mnie na kolana, tak że zagłębiłem się po pas w niezliczonych tysiącach dotkliwie gryzących istot.

Rozpaczliwie szukałem kluczyka do cierniowych kajdan, ponieważ bez magii czekała mnie wyjątkowo paskudna śmierć, ale moje dłonie paliły jak ogień i nie mogłem wymacać swoich przeklętych więzów oraz dziurek od klucza pod warstwami kłębiących się diabelskich robaków, które najwyraźniej postanowiły za wszelką cenę ukryć je przede mną.

Kilka sekund później rój wypełnił moje nozdrza i zaczął kąsać moje wargi. Musiałem zamknąć oczy, by ich nie stracić, ale i tak czułem, jak owady skubią moje powieki i szarpią rzęsy.

Większość ludzi nawet sobie nie wyobraża, jak doskonale wyszkolony jest mój umysł, a tym bardziej nie byłaby w stanie mi dorównać. Bez mrugnięcia oka stawiałem czoło najbardziej przerażającym sytuacjom. Ale nigdy nie przeżyłem czegoś takiego.

Straciłem panowanie nad sobą.

Myśli uleciały z mojej głowy. Ból przebił moje osłony. Groza i rozpaczliwa chęć przeżycia wypełniły mój umysł, a ślepy instynkt przejął kontrolę. Miotalem się, pełzałem i wiałem, próbując uciec przed rojem, ale równie dobrze mógłbym trwać w bezruchu, a po chwili brak powietrza zmusił mnie do położenia się na podłodze w pozycji płodowej i skupienia na osłanianiu oczu, nosa i ust. Wszystko poczerniało i poczerwieniało.

W moich uszach rozbrzmiewały głosy. Tysiące szeptów syczących obsceniczne, nienawistne słowa, złośliwe tajemnice, trujące kłamstwa i straszliwe prawdy w pięćdziesięciu językach jednocześnie. Czułem nacisk tych głosów, które wbijały się w moją głowę jak szpikulce do lodu, dziurawiąc moje myśli i emocje, a ja nie mogłem zrobić niczego, by je powstrzymać. Czułem, jak rośnie we mnie krzyk, który za chwilę rozewrze moje usta i napęlni je malutkimi napastliwymi ciałkami. Wiedziałem, że nie zdołam go powstrzymać.

A potem czyjaś szeroka dłoń opadła na czubek mojej głowy i donośny głos zagrział:

– *Lava quod est sordium!*

Palące światło przeniknęło moje zaciśnięte powieki i pokrywające je warstwy owadów, a wściekłe gorąco spłynęło z czubka głowy, gdzie spoczywała dłoń. Rozprzestrzeniło się po moim ciele, nie poruszając się ani szybko, ani wolno, a w każdym miejscu, w którym dotykało mojej skóry, gorące jak wrzątek ciekący z kranu, rój natychmiast zniknął.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Michael klęczy nade mną z Amorracchiusem w lewej dłoni i prawą dłonią spoczywającą na mojej głowie. Miał zamknięte oczy i poruszał ustami, z których płynął nieprzerwany strumień rytualnej łaciny.

Czysty biały ogień rozprzestrzenił się po moim ciele, a ja przypomniałem sobie, że kiedyś już widziałem coś podobnego – gdy wampiry próbowały obezwładnić Michaela, wiele miesięcy temu, a on spalił je i okaleczył takim samym płomieniem. Kiedy światło mnie ogarnęło, rój się rozproszył, zewnętrzne warstwy owadów opadły, a wolniejsze spodnie warstwy spłonęły. Bolało, ale był to szczerzy i oczyszczający ból. Przetoczył się przeze mnie, a kiedy ogień zgasł, byłem wolny, a rój umknął w stronę malutkich otworów wentylacyjnych rozsianych po pomieszczeniu.

Ciężko dysząc, podniosłem wzrok na Michaela, a potem pochyliłem głowę. Przez chwilę ból i strach wciąż mi towarzyszyły i nie mogłem się ruszyć. Leżałem na podłodze, dygocząc.

Michael przesunął dłoń z mojej głowy na ramię.

– Panie Zastępów, bądź z tym dobrym człowiekiem i udziel mu siły do dalszego działania – wyszeptał.

Nie doświadczyłem niczego mistycznego. Nie doznałem przypływu magicznej mocy, nie zobaczyłem rozbłysku światła. Po prostu poczułem cichą, pewną siłę Michaela i usłyszałem szczerą wiarę w jego głosie.

Michael wciąż uważał, że jestem dobrym człowiekiem.

Zacisnąłem zęby, tłumiąc głośny szloch, który chciał się wyrwać z moich ust, i odepchnąłem od siebie wspomnienie tych straszliwych słów – to musiał być

głos Imariela. Zmusiłem się do uspokojenia oddechu, pomimo palącego bólu skóry i płuc, pomimo piekących łez i kropelek krwi w moich oczach. Ponownie postawiłem osłony, odsuwając ból na bezpieczną odległość. Były mniej stabilne i przepuszczały więcej bólu, ale jakoś mi się udało.

Potem podniosłem wzrok na Michaela i pokiwałem głową.

Uśmiechnął się z mocą i wstał, po czym wyciągnął do mnie rękę.

Przyjąłem ją i podniosłem się, spoglądając na Greya, który właśnie po raz ostatni przemieniał się z Harveya w siebie samego. Za nim pojawiła się reszta drużyny, nie licząc Bindera, a niewyraźna postać Genoskwy zamknęła drzwi skarbcza z głuchym hukiem wypartego powietrza.

– Przedarła się błyskawicznie w czasie wymiany ognia – odezwał się Michael. – Nie mogłem jej powstrzymać.

Palilo mnie podrażnione gardło, ale zdołałem wychrypieć:

– Udało się. Dzięki.

– Zawsze możesz na mnie liczyć.

Nicodemus podszedł do nas z całkowicie neutralnym wyrazem twarzy i popatrzył na Michaela.

– Nie musimy się obawiać kolejnych problemów ze strony Tessy. Będzie potrzebowała czasu, by się pozbierać. Jak to zrobiłeś? – spytał ostro.

– To nie ja – odrzekł Michael.

Nicodemus i Deirdre wymienili niespokojne spojrzenia.

– Posłuchajcie mnie wszyscy – odezwał się Michael cicho. Odwrócił się i stanął pomiędzy nimi – upadłymi aniołami, potworami, łajdakami i śmiertelnymi wrogami – a mną. – Sądzicie, że to wasza moc kształtuje świat, w którym żyjecie. Ale to złudzenie. Kształtują go wasze wybory. Uważacie, że wasza moc obroni was przed konsekwencjami tych wyborów. Mylicie się. Sami sprowadzacie na siebie konsekwencje. Istnieje Sędzia. W tym świecie działa Sprawiedliwość. Pewnego dnia otrzymacie to, na co zasłużyliście. Wybierajcie ostrożnie.

Jego słowa odbijały się osobliwym echem w skarbcu; nie były głośne, ale przenikały do głębi, naznaczone czymś spoza tego świata, świadomością wykraczającą poza czasoprzestrzeń. W tej chwili Michael był Posłańcem, a nikt, kto go usłyszał, nie mógł w to wątpić.

W skarbcu zapadła cisza; nikt się nie poruszał ani nie odzywał.

Nicodemus odwrócił wzrok od Michaela.

– Dresden – odezwał się spokojnym głosem. – Jesteś w stanie otworzyć Ścieżkę?

Uspokoilem oddech i poszukałem wzrokiem kluczyka do kajdan. Upuściłem go, gdy owady jednocześnie pożerały mnie, dusiły i doprowadzały do

szaleństwa. Psiakrew, miałem szczęście, że nie doznałem szoku anafilaktycznego.

A może, biorąc pod uwagę to, co się stało, szczęście nie miało z tym nic wspólnego.

Michael zauważył kluczyk i go podniósł. Wyciągnąłem rękę, a on zaczął otwierać kajdany.

– Co to znaczyło? – spytałem go szeptem.

– Słyszałeś tak samo jak ja – odrzekł, nieznacznie wzruszając ramionami. – Podejrzewam, że to było przesłanie do nas.

Kiedy zdejmował mi kajdany, powoli popatrzyłem na pozostałych i doszedłem do wniosku, że tak mogło być w istocie.

Uriel, pomyślałem. Ty cwany draniu. Nie powiedziałeś mi niczego, czego już nie podejrzewałem.

Cierniowe kajdany opadły i lodowata moc zimy znów mnie wypełniła. Ból zniknął. Podrażniona, pokąsana skóra przestała mi dokuczać. Zmęczenie ustąpiło i wziąłem głęboki oczyszczający wdech.

Potem przywołałem siłę woli, okręciłem się na pięcie, przeciąłem powietrze laską i krzyknąłem: „*Aparturum!*”.

Poczułem przyływ woli i mocy, a w powietrzu nagle pojawiło się ciemnoczerwone świetliste rozdarcie prowadzące do Podziemnego Świata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Światła zgasły pośród deszczu iskier, za nami rozległa się donośna eksplozja, a zamknięte drzwi skarbcza zadźwięczały jak potężny dzwon. Grube stalowe ściany mogły wytrzymać wybuch min przeciwpiechotnych, ale nawet nie chciałem myśleć o tym, jak dużo metalu odbiło się od nich i poleciało we wszystkie możliwe strony. Zastanawiałem się, czy ktoś właśnie przez to zginął.

Rozległ się głośny chrzęst, jakby część budynku poza skarbcem powoli się zawałiła. W słabym czerwonym blasku rozdarcia w strukturze rzeczywistości ledwie widziałem otaczające mnie twarze.

– Na dzwony piekieł – odezwałem się do Michaela. – Binder? Jego jeńcy?

– Pomogłem mu ich przenieść – od razu odrzekł Michael. – Między innymi dlatego tak późno do ciebie dotarłem. Kiedy dowiedzieliśmy się o minach, wyprowadziliśmy wszystkich z korytarza z powrotem na parter.

– Gdzie w powietrzu latały pociski – dodał oschle Grey.

Skrzywiłem się, ale nie mogłem nic na to poradzić. To Marcone podłożył te miny, nie ja, więc mogłem tylko mieć nadzieję, że pierwsze uderzenie metalowych kulek o ściany pozbawiło je większości siły.

Świetliste rozdarcie w powietrzu rozszerzyło się i przed nami otworzyła się Ścieżka do Podziemnego Świata. Czerwony blask wlał się do pomieszczenia i zobaczyłem po drugiej stronie tańczące szkarłatne płomienie oraz poczułem woń siarki. Kilka chwil później zerwał się nagły gorący wiatr, który przyniósł jeszcze silniejszy smród i zwał mi włosy z czoła.

Za drgającymi płomieniami poruszonymi wiatrem, w odległości około czterdziestu metrów majaczył jakiś ciemny kształt – mur, w którym znajdowało się łukowate przejście wypełnione jaskrawym ogniem, tak intensywnym, że nie widziałem tego, co znajduje się po drugiej stronie.

Nicodemus stanął obok mnie i zajął do Podziemnego Świata. Jego ciemne oczy lśniły szkarłatnymi refleksami.

– Brama Ognia – szepnął. – Panno Ascher, zapraszam.

– Hmm – odezwała się Hannah Ascher i przełknęła ślinę. – Nikt nie wspominał, że to ja pierwsza wejść do Podziemnego Świata.

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek inny mógłby tam przetrwać dłużej niż kilka chwil – odparł Nicodemus. – Dresden?

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w szalejące płomienie za Ścieżką.

– Bardzo trudno dyskutować z ogniem. Dlatego magowie lubią go używać jako broni. Mogę wytrzymać takie gorąco przez jakieś dziesięć, może dwadzieścia sekund – jeśli pozwolicie mi się zdrzemnąć i coś zjeść, zanim poprosicie mnie o poradzenie sobie z kolejną bramą. – Przyjrzałem się dokładniej. – Popatrzcie na tamten łuk. Na prawej ścianie, na wysokości około półtora metra.

Hannah Ascher stanęła obok mnie i mrużąc oczy, zajrzała w głąb Ścieżki.

– Czy to dźwignia?

– Na to wygląda – odrzekłem. – Przejdź na drugą stronę, pociągnij dźwignię. Wydaje się, że to proste.

– Nieco za proste – zauważyła i zaczęła zdejmować cierniowe kajdany.

– Oczywiście, że tak – odrzekłem. – Jeśli jesteś odporna na ogień, to bułka z masłem. – Odetchnąłem głęboko. – Mogę tam dobiec, zanim moje osłony przestaną działać. Chyba. Jeśli się nie potknę i nie upadnę. Nie widzę podłoża.

– Cholera – mruknęła Ascher. – Nie. Najwyższa pora, żebym zapracowała na swoją część łupu.

Popatrzyła na Ścieżkę i upuściła dwa puste plecaki, które niosła na jednym ramieniu. Potem szybko zaczerpnęła powietrza i jednym płynnym ruchem zdjęła czarny sweter, odsłaniając czarny sportowy biustonosz.

– Kurczę – odezwał się Grey. – Nieźle.

Ascher przewróciła oczami i rzuciła mu przelotne spojrzenie, a następnie podała mi sweter.

– Potrzyмай.

– W porządku – odrzekłem. – Dlaczego?

Następnie zdjęła buty i robocze spodnie, a Michael roztropnie odwrócił się, by popatrzeć na ścianę skarbcza.

– Ponieważ moje ubrania by tego nie przetrwały, a wolałabym nie odbywać reszty wędrówki nago.

– Mnie by to nie przeszkadzało – rzekł Grey.

– Grey, przestań – rzuciłem.

– Tracimy czas – wtrącił się Nicodemus.

Ascher przez chwilę patrzyła mi w oczy, co wymaga nie lada śmiałości w przypadku magów, a jej policzki lekko poróżowiały. Potem szybko i swobodnie ściągnęła skarpetki i bieliznę. Podała mi resztę ubrań.

– Nie rób z nimi niczego dziwnego.

– Zamierzałem je polakierować, przerobić na serwis obiadowy i podawać w nich czterodaniowe posiłki, ale jeśli zamierzasz marudzić, to chyba po prostu je dla ciebie przechowam.

Ascher zerknęła na mnie z ukosa.

– Czyżbyś właśnie zaprosił mnie na obiad?

Poczułem, że się uśmiecham. Uwielbiam śmiałe kobiety.

– Obiecuję, że jeśli oboje wyjdziemy z tego cało, pokażę ci, gdzie w mieście można kupić najlepszą kanapkę ze stekiem – odrzekłem. – Powodzenia.

Uśmiechnęła się nerwowo i zwróciła w stronę Ścieżki. Wpatrywała się w nią przez kilka sekund, oblizła usta, nerwowo poruszyła dłońmi, a potem zacisnęła zęby i ruszyła naprzód, nago, prosto w płomienie Podziemnego Świata.

Owszem, jeszcze nigdy nie widziałem kogoś, kto z taką precyzją i mocą praktykowałby piromancję, ale i tak skrzywiłem się, gdy dotarła do pierwszej ściany ognia. Płomienie ruszyły jej naprzeciw, jakby były świadome i pragnęły ją pożreć, ale miały tyle samo szczęścia, co fala rozbijająca się o kamienisty brzeg. Ogień spowił Ascher i natychmiast się cofnął, zmieniając się w miniaturowe cyklony, które targały jej włosy. Ognisty wiatr ryczał i wiał na tyle mocno, by pozbawić ją równowagi. Wyciągnęła ręce na boki, jakby szła po lodzie, i ostrożnie kroczyła naprzód. Widziałem, że pod wpływem koncentracji wyprostowała i napięła plecy i nie, wcale nie patrzyłem na jej tyłek. Przynajmniej nie w niewłaściwy sposób.

Zdałem sobie sprawę, że Grey stoi obok mnie i intensywnie wpatruje się w Ascher z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Po chwili domyślił się, że na niego patrzę, chociaż widzieliśmy się tylko kątem oka.

– Uwielbiam śmiałe kobiety – odezwał się.

– Za dużo gadasz.

– Jak ona to robi? – spytał. – Znam podstawy, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Przekierowuje energię – wyjaśniłem. – Widzisz, jak fale odbijają się od niej i wirują?

Stęknął.

– Zmienia gorąco docierające do jej aury w energię kinetyczną. Cholernie imponujące.

– Na razie – odrzekł Grey. – Ale dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ trudno jest poradzić sobie z taką ilością ciepła, gdy otacza cię ono ze wszystkich stron. Musi odpierać ataki z każdego możliwego kierunku i rzucać to samo zaklęcie po kilkanaście razy, by powstrzymać kolejne warstwy ognia.

– To takie trudne?

– Spróbuj zagrać jednocześnie w kalambury, inteligencję, warcaby, szachy, pasjansa, Monopol, sudoku, Cluedo, Risk, kółko i krzyżyk, pokera i blackjacka, przy okazji licząc do dwudziestu tysięcy samymi liczbami pierwszymi, stojąc na jednej nodze i utrzymując na głowie styropianowy kubek z gorącą kawą. A kiedy ci się uda, będziesz mógł zaryzykować przejście przez niewielkie ognisko.

– Potrafię grać w pokera – odpowiedział Grey poważnym tonem. – A więc ona jest nie tylko śmiała, ale także świetna w tym, co robi.

– Właśnie.

– Dobrze mieć kogoś takiego w swojej drużynie.

– Zdecydowanie lepiej niż w przeciwnej – odrzekłem.

Przeniósł na mnie wzrok. Niemal odczułem ciężar jego spojrzenia.

– Co masz na myśli?

Pokręciłem głową.

– Nic takiego.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i znów spojrzał na Ascher. Któż by się powstrzymał?

Z najgęstszego skupiska płomieni pod bramą wyłoniło się z rykiem coś, co wyglądało jak waran zbudowany z materii pochodzącej z powierzchni gwiazdy. Stwór poruszał się szybko jak jaszczurka i Ascher ledwie zdołała usunąć mu się z drogi. Salamandra syknęła z niezadowoleniem, hucząc jak rozpalony piec, a światło wokół niej jeszcze bardziej się rozjarzyło. Ognista burza otaczająca Ascher przybrała na sile i kobieta zatoczyła się do tyłu z napiętą twarzą. Płomienie zawirowały i zgęstniały wokół jej odsłoniętego ciała niczym miniaturowy huragan.

Salamandra ponownie ryknęła i ruszyła do ataku.

– Cholera – syknąłem.

Michael stanął u mojego boku.

– Ona nie ma broni.

– Możesz się do niej dostać? – spytałem swojego przyjaciela.

Pokręcił głową i popatrzył na mnie z troską.

– Nie jest niewinną osobą w niebezpieczeństwie. Robi to z wyboru.

– Grey?

– Nie mogę jej pomóc – odparł. – Nie wytrzymałbym tam dłużej od ciebie.

Odwróciłem się w stronę Nicodemusa.

– Pomóż jej.

Zerknął na mnie i pokiwał głową. Potem dobył miecza, zmrużył oczy, zrobił dwa szybkie kroki i rzucił ostrzem.

Miecze nie są do tego przeznaczone. Ale lecące kawałki metalu o długich, ostrych krawędziach i spiczastych czubkach zawsze są groźne, a Nicodemus

zapewne co kilka dekad spędzał leniwe popołudnie na rzucaniu mieczem dla czystej rozrywki. Dzięki temu po dwóch tysiącach lat dobrze wiedział, co robi.

Obracając się ostrze trafiło Salamandrę w pysk, znacząc rozpalone ciało linią stopionego ognia i posyłając w powietrze strumień szkarłatnych iskier. Stwór ryknął, oszołomiony bólem, i zatoczył się o kilka kroków w bok, a następnie błyskawicznie odwrócił się w stronę Ścieżki, wymachując ogonem. Podmuch gorącego siarkowego wiatru załopotał połami mojego płaszcza i wycisnął mi łyżę z oczu. Michael osłonił twarz dłonią, a jego biała peleryna wyduła się jak balon.

– Dźwignia! – wrzasnąłem. – Biegnij do dźwigni!

Nie wiem, czy Ascher mnie usłyszała, czy po prostu doszła do tego samego wniosku, ale kiedy tylko potwór się od niej odwrócił, puściła się biegiem w stronę bramy i znajdującej się w niej dźwigni. Salamandra to zobaczyła i spróbowała złapać ją szczękami za nogi, ale Ascher zdołała zwinnie ominąć stwora. Rzuciła się w stronę dźwigni i ją pociągnęła, jednocześnie wrzeszcząc z bólu.

Rozległ się potężny szum, a po nim głośny metaliczny zgrzyt i wszystkie płomienie nagle zmniejszyły się i zmieniły odcień na ciemniejszy. Od razu zrozumiałem, co się dzieje. Taki ogień zużywa ogromne ilości tlenu, a pociągnięcie dźwigni ograniczyło jego dopływ.

Ciało Salamandry zmieniło się z żółto-białego na ciemnopomarańczowe, a stwór ponownie zionął żarem z pyska, po czym powędrował, znacznie wolniej niż jeszcze przed chwilą, w stronę nisko położonej dziury w jednej ze ścian łukowato sklepionego przejścia. Jego ognisty blask wypełnił wąski tunel, a potem zgasł, a wraz z nim pożar wokół Bramy Ognia, po którym pozostały tylko pojedyncze płomyki.

– Jeszcze nie! – wydyszała Ascher pełnym napięcia głosem, kiedy Nicodem ruszył w stronę Ścieżki. – Zaczekajcie dwie minuty, aż wszystko ostygnie!

Odczekałem czterdzieści pięć sekund, a potem wyszeptałem zaklęcie kulistej osłony, przepuszczając strumień mocy przez laskę. Wolałbym mieć swoją starą bransoletkę z tarcz, ale wyposażenie porządnego warsztatu do obróbki metalu wymaga pieniędzy i czasu, których obecnie mi brakowało, zwłaszcza że nie mogłem korzystać ze swojego dawnego laboratorium.

Zaklęcia, które wyrzeźbiłem na nowej lasce, przypominały tamte na bransoletce, a chociaż były mniej skuteczne i nie pozwalały na tak dokładne skupienie przepływu mocy, i tak wspomagały moją koncentrację i wystarczały, by ochronić mnie podczas wędrówki po tłącym się gruncie.

Przejście ze śmiertelnego świata do Nigdy nigdy jest zarazem bardziej i mniej dramatyczne, niż wam się zdaje. Nie towarzyszą temu żadne konkretne doznania, nie licząc lekkiego mrowienia skóry podczas wchodzenia na Ścieżkę,

podobnego do wydłużonych dreszczy. Ale kiedy wkroczyłem do Podziemnego Świata, wiedziałem, że właśnie pokonałem niewyobrażalny dystans. Moje ciało stało się nieco cięższe, jakby panowała tutaj inna grawitacja niż na Ziemi. Powietrze było gorące, skażone siarką oraz innymi minerałami i zupełnie obce dla moich nozdrzy i ust. Z kamiennego gruntu sterczały kawałki wciąż jarzącego się węgla oraz stopione kikuty wapiennych stalagmitów, które przypominały ogarki świec. Potrzaskane, na w pół stopione pozostałości stalaktytów, które pospadały ze skrytego w mroku stropu, leżały na granicy mojego pola widzenia.

Oczywiście. Trafiliśmy do jaskini. Niewyobrażalnie wielkiej jaskini, której końca nie widzieliśmy w blasku Ścieżki za naszymi plecami, i którą przecinała ściana o wysokości co najmniej dwunastu metrów z łukowato sklepioną bramą.

Pospiesznie podszedłem do Ascher. Moja osłona wystarczyła, by powstrzymać ogień, ale zapewne nie dorównywała nawet jednej z ochronnych warstw, którymi otaczała się Hannah.

– Cześć – odezwałem się. – Wszystko w porządku?

– Spociłam się – odpowiedziała, krzywiąc się z bólu, i uniosła dłonie, pokazując bąble w miejscach, które zetknęły się z dźwignią. Sama dźwignia wciąż nie ostygła i świeciła na czerwono. – Cholera. Pot zmienił się w parę i uszkodził ostatnie kilka warstw osłony.

– Chwyciłaś rozpalony metal gołymi rękami i masz tylko kilka bąbli – zauważyłem. – Ale czad.

Uśmiech na chwilę przebił się przez bolesny grymas.

– No tak, rzeczywiście. To była salamandra?

– Na pewno – przyznałem.

– Są znacznie większe niż w księgach Xanth.

– Co ty nie powiesz – odrzekłem. – Może Ha... nasz klient zafundował jednej terapię hormonalną. – Wręczyłem jej ubranie, które trzymałem w złamanej ręce. – Żadnego lakieru.

Przyjęła je ode mnie z kolejnym grymasem bólu.

– Dzięki.

Podszedł do nas Grey. Nawet jeśli wysoka temperatura mu przeszkadzała, nie dawał tego po sobie poznać.

– Potrzebujesz pomocy?

Ascher uniosła brew.

– Od ciebie? Mam więcej rozumu.

– Mówisz tak, ponieważ uważasz, że interesuje mnie wyłącznie twoje ciało.

– To oczywiste.

– Jesteś niesprawiedliwa – odparł Grey z rozbijającym uśmiechem. – Interesuje mnie także, co postanowisz z nim zrobić – dodał bardziej trzeźwym

tonem. – Z takimi palcami nie uporasz się z tymi wszystkimi sprzączkami i guzikami. Wiem o tym.

Ascher zmrużyła oczy. Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Pewnie masz rację – przyznała.

Ubrała się. Grey jej pomógł, nie robiąc niczego niestosownego, a po chwili dołączyła do nas reszta drużyny.

– Może powinnam była pozwolić, żebyś ty się tym zajął, Dresden – powiedziała Ascher. – Zamienić się z tobą na lodową bramę. Zazwyczaj, kiedy atakuje mnie jakaś poczwara, używam ognia. Tutaj był on bezużyteczny.

– Zrobiło się jeszcze bardziej gorąco, więc nie przedostałbym się na drugą stronę – odrzekłem. – Ale gdybyś chciała zastąpić mnie przy mojej bramie, to bardzo proszę.

– Może to zrobię – odparła z buńczucznym uśmiechem.

– Chodźcie – rzekł Nicodemus. Znów trzymał swój miecz. Jedna z jego krawędzi była poczerniała i wyraźnie stępiona, a stal bulgotała jak naleśnik na rozgrzanej blasze. – Pokonanie salamandry z pewnością ostrzegło kogoś, że tu jesteśmy. Im mniej zmarnujemy czasu, tym lepiej.

A zatem wszyscy przeszliśmy przez Bramę Ognia i powędrowaliśmy dziesięciometrowym tunelem, który przywołał we mnie niepokojące wspomnienie Morderczych Dziur Ognia, ale nie pojawiło się żadne niebezpieczeństwo. Przeszliśmy pod łukowatym sklepieniem i znaleźliśmy się w kolejnej rozległej kamienistej jaskini.

Ale tę pokrywał lód.

Stalagmity i stalaktyty były nienaruszone, a do tego rozmieszczone w podejrzanie regularny, niemal geometryczny sposób na przestrzeni dwustu metrów dzielących nas od następnej bramy. Pokrywała je gruba warstwa bardzo starego lodu, który łączył stalaktyty ze stalagmitami, tworząc potężne kolumny, które grubością dorównywały mojemu wzrostowi. Lód migotał i połyskiwał różnymi barwami w świetle rzucanym przez dogasającą Bramę Ognia. Na posadzce również lśniła lodowa pokrywa zaczynająca się w odległości około trzech metrów od Bramy Ognia. Powietrze było suche i lodowate. Ascher wzięła szybki wdech i znieruchomiała.

Popatrzyłem na migoczącą zmrożoną katedrę, która oddzielała nas od Bramy Lodu, i lekko spocily mi się dłonie. Oblizałem usta i uspokoiłem oddech, patrząc na szlak ciągnący się przed nami.

Michael stanął obok mnie.

– Nie wygląda tak źle – stwierdził.

– Właśnie to mnie niepokoi – odrzekłem.

– Dresden – odezwał się Nicodemus. – Przyszedł czas, żebyś dotrzymał słowa danego przez Mab.

– Wstrzymaj swoje demoniczne konie – odparłem z rozdrażnieniem.

Na chwilę wyciągnąłem przed siebie dłoń, przymknąłem oczy i sięgnąłem w dal magicznymi zmysłami. Powietrze było zimne jak na Biegunie Południowym, ale nie dokuczało mi bardziej niż październikowy wieczorny chłód w Chicago. Nie wyczułem żadnych zaklęć, co o niczym nie świadczyło w Nigdyngdy, gdzie czary mogą być częścią samej struktury rzeczywistości, równie naturalną jak grawitacja czy powietrze w świecie śmiertelników.

Zrobiłem kilka ostrożnych kroków naprzód i postawiłem palce lewej stopy na skraju lodowej posadzki.

Zupełnie jakby jakaś potężna maszyna zbudziła się do życia, bryła lodu o rozmiarach niewielkiego domu runęła z góry i uderzyła o ziemię półtora metra przede mną, zachowując swój regularny kształt. Po chwili zakręciła się w miejscu i przewróciła na bok, a wtedy druga, równie olbrzymia bryła pomknęła poziomo po lodzie i zderzyła się z pierwszą. Na chwilę się rozdzieliły, a potem znów uderzyły o siebie i rozpadły na dziesiątki mniejszych kawałków, które zawirowały niezależnie od siebie z szybkością i energią zderzających się samochodów, co kilka sekund układając się w przypadkowe sterty, a każdej takiej kolizji towarzyszył donośny chrzęst.

Wpatrywałem się z rozpaczą w pole kłębiących się i miażdżących nawzajem lodowych kryształów i zobaczyłem, że kolejne olbrzymie bryły wysuwają się z cieni z boku jaskini oraz spadają spod stropu.

Były ich całe dziesiątki.

Wkrótce na każdym metrze posadzki dzielącej mnie od Bramy Lodu ścierały się i zgniatały tysiące lodowych brył. Powietrze wypełniły ogłuszające odgłosy zderzeń, zupełnie jakby lodowiec zbudził się do życia i zaczął wygłaszać groźby.

Nawet najmniejsze z tych brył mogły przerobić połowę mojego ciała na pastę pomidorową.

– Dresden – odezwała się Ascher i przełknęła ślinę. – Eee, doszłam do wniosku, że może jednak ty powinieneś zająć się tą bramą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Olbrzymie, rozszalałe, miazdzące bryły lodu – są.

Bóstwo ze starożytnego świata, które za chwilę solidnie się wkurzy – jest.

Banda zaciętych złoczyńców, którzy za chwilę bardzo się mną rozczarują – a jakże.

Ale po kolei.

Odwróciłem się od Bramy Lodu, skierowałem laskę w stronę odległego blasku otwartej Ścieżki, uwolniłem siłę woli i zagrzałem: „*Disperdorius!*”.

Z laski wystrzeliła magia, destrukcyjna i chaotyczna, włócznia zielonkawego światła opleciona spiralami zielono-białej energii. Zaklęcie rozproszenia trafiło w Ścieżkę i rozdarło ją na strzępy, zamykając przejście między krainą śmiertelników a Podziemnym Światem, jak dynamit, który niszczy tunel.

Podziemny Świat natychmiast pograżył się w ciemności, którą rozpraszają tylko kilka tłących się pozostałości po Bramie Ognia, ledwie widocznych na drugim końcu tunelu.

Rozległo się kilka głośnych westchnień, zanim drobnym wysiłkiem woli udało mi się przywołać światło ze swojej laski oraz pięcioramiennego amuletu matki – zielony i biały blask, który rozświetlił okolicę, sięgając zaskakująco daleko, i odbił się w Bramie Lodu oraz tysiącu jej ruchomych elementów.

W świetle ukazały się surowe, wąskie oczy Nicodemusa.

– Dresden – warknął. – Wy tłumacz się.

– Oczywiście – odrzekłem. – Otóż uważam, że kiedy już przeprowadzę was przez tę bramę, stanę się dla was bezużyteczny. To będzie idealna chwila, by wbić mi nóż w plecy.

– Nie taki był plan – odparł Nicodemus.

– Jasne, prawdziwy z siebie harcerz, Nick, i masz szlachetne intencje. Ale załóżmy teoretycznie, że tak nie jest. Powiedzmy, że jesteś zdrazieckim draniem, którego ucieszy moja śmierć, i doszedłeś do wniosku, że tutaj, w najpilniej strzeżonej części Podziemnego Świata, we włościach jednej z głównych Potęg, Mab nie będzie mogła zobaczyć, co robisz. Powiedzmy, że od początku planowałeś, że mnie zabijesz i zostawisz w Podziemnym Świecie,

a może nawet spróbujesz zrzucić na mnie całą winę. Dzięki temu później nie będziesz musiał przejmować się naszym klientem, tylko napuścisz go na Mab, a sam usiądziesz na swoim wrednym dupsku i będziesz się zaśmiewał do rozpuku.

Coś paskudnego zamigotało w oczach Nicodemusa. Nie wiedziałem, czy udało mi się rozszyfrować każdy szczegół jego planu, ale na pewno byłem blisko.

– Być może jeszcze ci się uda – dodałem. – Ale w takim wypadku będziesz musiał znaleźć inny środek transportu. Jeżeli nie przetrwam do końca, nie zdołacie otworzyć Ścieżki powrotnej i wszyscy tutaj zostaniemy.

Zacisnął zęby, ale poza tym wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

– Chryste, Dresden – zachnął się Grey. – A jeśli zginiesz, próbując przez to przebiec? Jak wtedy mamy się stąd wydostać?

Też mnie to niepokoiło, ale nie miałem wyjścia. Poza tym, jeśli miałem wybierać pomiędzy szaleńczo niebezpiecznym, miażdżącym kości torem przeszkód a czającym się za moimi plecami Nicodemusem, któremu nie byłem potrzebny żywy, doskonale wiedziałem, co jest dla mnie groźniejsze. A kiedy Nicodemus już mnie unieszkodliwi, z pewnością nie pozostawi przy życiu moich przyjaciół, którzy będą świadkami jego zdrady.

– Ojejku, Goodman. W takim razie wszyscy macie dodatkową motywację, by trzymać za mnie kciuki i życzyć mi szczęścia – odrzekłem, po czym zwróciłem się w stronę potężnej rozmytej sylwetki Genoskwy. – Poczynając od ciebie, wielkoludzie. Podejdź tutaj. Muszę się temu lepiej przyjrzeć.

W powietrzu zagrzmiał podziemny ryk, który zagłuszył nawet chrzęst Bramy Lodu.

– Ejże – odezwałem się, rozkładając ręce. – Jeśli nie chcesz, nie musisz współpracować. Przecież nie utkniesz przez to na zawsze w Podziemnym Świecie. Zresztą słyszałem, że udało się stąd wydostać dwóm albo trzem osobom. W całej historii.

Genoskwa wynurzył się spod swojej zasłony i ruszył w moją stronę. Na pewno tylko mi się przywidziało, że jego kroki wstrząsały ziemią pod moimi stopami, ale i tak ogarnęło mnie nagłe pragnienie rzucenia się do ucieczki z panicznie wyciągniętymi przed siebie rękami i nogami wirującymi w powietrzu jak wiatrak. Ale pozostałem na miejscu, nie spuszczać wzroku z olbrzyma, a kiedy się zbliżył, wyzywająco wysunąłem do przodu szczękę.

Michael położył dłoń na mieczu i odgrodził Annę Valmont od reszty grupy, patrząc na mnie pytająco. Skinąłem głową. Gdyby Michael dobył *Amoracchiusa* przeciwko swojej drużynie, wywiązałyby się walka na śmierć i życie. Nie

miałem nic przeciwko walce, ale wolałbym, żeby doszło do niej w bardziej sprzyjających okolicznościach i korzystniejszym miejscu.

– Nick – odezwałem się, nie odrywając wzroku od Genoskwy. – Przeanalizuj sytuację, zanim twój goryl zrobi coś głupiego.

Nicodemus skinął głową w bok, a wtedy Deirdre wślizgnęła się pomiędzy mnie a Genoskwę i zwróciła się w jego stronę, unosząc obie dłonie w uspokajającym geście.

– Stój – powiedziała cichym głosem. – Mag jest nieznośny, ale ma rację. Potrzebujemy go.

Genoskwa mógłby odtrącić Deirdre jak pustą puszkę po piwie, ale zamiast tego zwolnił, popatrzył na nią z góry, a potem wbił wzrok we mnie.

– Aroganckie dziecko – zagrzmiał. Spojrzał na Bramę Lodu, a następnie na zamkniętą Ścieżkę. – Uważasz się za spryciarza.

– Po prostu chcę wrócić żywy do domu – odrzekłem. – Gdybym wierzył, że jesteście w stanie przez pięć minut zachowywać się rozsądnie, coś takiego nie byłoby konieczne. Zamknij się i graj w tę grę, a jeśli zaczniesz przegrywać, nie przychodź do mnie z płaczem. Podnieś mnie. Muszę obejrzeć całe pole.

– Jakby to mogło ci w czymś pomóc. – Uniósł gumowatą wargę, odsłaniając kły, i zwrócił się do Deirdre. – Wolę tutaj zgnić niż mu pomagać. – Potem odwrócił się do mnie szerokimi, kudłatymi plecami i odszedł.

Deirdre stanęła przede mną; ostrza jej włosów szeleściły i ocierały się o siebie. Pokręciła głową z lekkim obrzydzeniem.

– Wygrałeś tę rundę, chłopcze. Ale daruj sobie taniec zwycięstwa.

– Wciąż chcę, by wielkolud mnie podniósł – nalegałem.

– Po co? – spytała ostro.

Wskazałem kciukiem Bramę Lodu.

– One poruszają się według jakiegoś schematu. Jeśli zobaczę całe pole i prześledzę ten schemat, będę mógł się przedostać. Ale w tej chwili widzę tylko pierwszy rząd bloków, więc muszę się dostać wyżej.

Deirdre wbiła we mnie spojrzenie obu par oczu, a ja pośpiesznie spuściłem wzrok. Ostatnie, czego mi było trzeba, to przypadkowe spojrzenie w duszę upadłego anioła lub psychotycznej morderczyni, która miała na sumieniu stulecia mrocznych czynów.

– Dobrze – odrzekła. – Ja cię podniosę.

– Jak?

Jej włosy nagle ożyły i uderzyły o posadzkę jaskini, wzbijając snopy iskier w miejscach, w których stalowe kosmyki wbiły się głęboko w kamień. Pewnie odskoczyłbym do tyłu, gdyby to nie groziło zmiążdżeniem przez lodowe bryły. Po chwili kolejne ostrza ześlizgnęły się na posadzkę i ułożyły na płask w kilku

warstwach. Miałem wrażenie, że patrzę na płytkę podłogową zbudowaną z brzytw.

– Stań tutaj – poleciła Deirdre. Wiele kosmyków wciąż poruszało się swobodnie. – Podniosę cię.

Uniosłem brew.

– Chyba żartujesz? A jeśli mnie upuścisz? Równie dobrze mógłbym wpaść do wielkiego miksera.

– Ojejku, Dresden – odrzekła beznamiętnie. – W takim razie masz dodatkową motywację, by utrzymać równowagę i myśleć pozytywnie.

– Ha – odezwał się Grey.

Posłałem mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Dobrze. – Stanąłem na włosach Deirdre, lekko uginając kolana.

Włosy poruszyły się i powoli mnie uniosły, podczas gdy pozostałe ostre jak brzytwa kosmyki szeleściły i szurały wokół mnie. W ich ruchu było coś planowego, jakby Deirdre musiała nieprzerwanie się koncentrować, by powstrzymać się przed pocięciem mnie na konfetti. Postanowiłem, że nie wspomnę o rozszczepionych końcówkach ani używaniu smaru do pił łańcuchowych jako odżywki.

Oto prawdziwa dyplomacja.

Podniosła mnie o jakieś trzy metry, co wystarczyło, żebym mógł zobaczyć całe dwustumetrowe pole. Uniosłem łaskę, szepnąłem zaklęcie i siłą woli przywołałem więcej światła. Powietrze wypełniały kropelki wody i małe okruchy lodu odłupane od zderzających się brył, więc wszystko okrywała migocząca mgiełka, ale i tak wyraźnie widziałem ruch brył, a także kolejną dźwignię skrytą pod łukiem, identyczną jak ta przy Bramie Ognia.

Sytuacja wydawała się prosta. Przedostać się przez maszynkę do mięsa. Dopaść do dźwigni. Wypatrywałem lodowych salamander, ale niczego takiego nie zobaczyłem. Nie znałem istot, które byłyby zdolne przeżyć w takim młynie, ale to nie oznaczało, że one nie istnieją.

Wyobraźnia od razu podsunęła mi obraz lepkiego, bezkształtnego potwora, który potrafi niezauważenie rozpląszczyć się na posadzce, nie boi się uderzeń brył lodu i może roztopić moją twarz, gdy tylko jej dotknie. Potem w myślach zobaczyłem siebie bez skóry, miotającego się jak ofiara w horrorze, chlapiącego wokół krwią. Trwało to dwie sekundy. Potem wyobraziłem sobie, jak dwie bryły rozbijają mnie na galarete, którą można wchłonać na drodze osmozy.

Moja wyobraźnia wymaga leczenia.

Na chwilę zamknąłem oczy i odrzuciłem te fantazje. Nie były mi teraz potrzebne. Musiałem odkryć schemat ruchu lodowych bloków pomiędzy mną

a bramą, żeby wyznaczyć szlak, który zaprowadzi mnie na drugą stronę. Otworzyłem oczy i patrzyłem.

Potrzebowałem kilku minut, żeby dostrzec początek schematu. Ruchy najbliższych bloków zaczęły się powtarzać po jakichś siedemdziesięciu pięciu sekundach. Następny rząd poruszał się według podobnego wzoru, ale w odrębnym cyklu. Podobnie jak wszystkie kolejne.

W skupieniu przyglądałem się poszczególnym rzędom przez dobre piętnaście minut, zapamiętując wszystkie ruchy, tak jak zapamiętuje się najbardziej złożone zakłęcia. Uświadomiłem sobie, że dla uproszczenia mogę potraktować każdy z modeli ruchu jak kółko zębate pozbawione jednego trybu. Jeśli tylko uda mi się wejść do danego rzędu w momencie, gdy to puste miejsce zrówna się ze mną, powinienem sprawnie przedostać się na drugą stronę. Wszystko zależało od właściwej synchronizacji, która umożliwi mi przebiegnięcie przez otwierające się luki. Teoretycznie.

Obserwowałem bloki przez kolejne dziesięć minut, aż w końcu upewniłem się, że zapamiętałem układ umożliwiający przejście przez ciąg luk.

– Harry? – odezwał się Michael.

Uniosłem dłoń, żeby go uciszyć, i lekko nią zakołysałem w rytm zaobserwowanego schematu. Przejście otworzy się... teraz.

Zeskoczyłem na ziemię i puściłem się biegiem.

Pokonałem pięć kroków po lodzie i przebiegłem przez lukę w pierwszym rzędzie bloków, gdy przyszło mi do głowy, że mogłem się pomylić w obliczeniach, a w takim wypadku nie natrafię na lukę w przedostatnim rzędzie.

Nie mogłem nic na to poradzić. Luka za moimi plecami już się zamknęła. Będę musiał wprowadzić poprawki po drodze.

Parłem naprzód, przemknąłem między dwiema bryłami wielkości domów, zanim zdążyły mnie zmiażdżyć. Dwa rzędy pokonałem po skosie, czując, że powietrze staje się coraz zimniejsze. Mógłbym stanąć w sercu lodowej jaskini wewnątrz lodowca, nagi i mokry po wzięciu prysznicą, i nawet bym nie zadrzał, ale to zimno zaczynało dawać mi się we znaki. Mój oddech zmienił się w duży obłok widoczny w powietrzu, a unoszące się okruchy lodu osiadały na moich rzęsach, przez co obawiałem się, że jeśli zamrugam, moje powieki zamarzną.

Biegłem przed siebie, przeskakując przez mniejsze bloki jak uczestnik biegu z przeszkodami, a zimno wnikało we mnie coraz głębiej. Chociaż Rycerz Zimy nie musiał się obawiać poślizgnięcia na zwykłym lodzie, drobny lodowy pył opadający na posadzkę jaskini ze zderzających się brył mógł utrudnić życie nawet komuś takiemu jak ja.

Do stu osiemdziesięciu metrów szło mi względnie gładko. Potem okazało się, że rzeczywiście popełniłem błąd w obliczeniach.

Popędziłem w stronę miejsca, w którym powinna się znajdować luka między wirującymi, chaotycznie zderzającymi się blokami, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że ta się nie pojawi.

Wycelowałem laską w najbardziej strzaskany lodowy blok, skupiłem siłę woli i zawołałem: „*Forzare!*”.

Niewidoczna siła trafiła w blok, który poleciał do tyłu, wściekle wirując. Bryła, w którą miał uderzyć, pomknęła w ślad za nim, jakby pociągnięta siłą grawitacji. Pobiegłem za nimi, patrząc, jak wpadają na bloki w kolejnym rzędzie, wyrzucając w powietrze mgiełkę i obłok lodowych okruchów. Coś uderzyło mnie w brzuch i w dłoń. Odłupany kawałek bloku potoczył się w moją stronę, a ja wybiłem się na prawie dwa metry w górę, głową do przodu, wołając: „*Parkour!*”.

Przedostałem się między bryłami i bezpiecznie wylądowałem pod łukiem.

W tym miejscu zimno było jak żywa istota, która natychmiast zmusiła mnie do zgięcia się w pół. Dygotałem i czułem mrowienie na całym ciele. Musiałem wyteńczyć wszystkie siły, żeby podnieść rękę, chwycić dźwignię gołymi palcami i ją pociągnąć.

Rozległ się donośny chrzęst, jakby wiekowych, oblodzonych kół zębatach, a potem potężne dudnienie, które przypominało odgłos detonacji ładunków wybuchowych gdzieś w oddali. Straszliwe zimno niemal natychmiast złagodniało do ledwie arktycznych temperatur, a ja opadłem na jedno kolano i obejrzałem się za siebie.

Bloki znieruchomiały i opadły na ziemię w tym samym miejscu, w którym właśnie wirowały bądź się zderzały.

Przedostałem się.

Wstałem i pomachałem na boki rozświetloną laską. Potem przyjrzałem się sobie.

Miałem zakrwawioną koszulę i prawą dłoń. Uniosłem koszulę, żeby obejrzeć brzuch i znalazłem tam niewielką ranę. Po minucie udało mi się wymacać krawędź lodowego odłamka o rozmiarach małego gwoździa i wyciągnąć go z ciała, które trysnęło parującą czerwoną krwią. Wyglądało to paskudnie, ale lód nie przebił mięśni ani ściany brzucha. Nic mi nie groziło. Obejrzałem swoją prawą dłoń. Wbił się w nią podobny okruch lodu, ale nieco mniejszy i ciepło mojej krwi najwyraźniej go roztopiło. Nie było źle. Zmrożony metal dźwigni pozbawił mnie kilku warstw skóry, ale nic więcej mi się nie stało.

Mimo wszystko cieszyłem się, że nie mogę popatrzeć w lustro.

Kiedy reszta drużyny do mnie dotarła, powietrze było jedynie chłodne, a ja już stałem na własnych nogach i nawet użyłem drobnego zaklęcia ognia, by stopić zakrwawiony okruch lodu razem z krwią.

Michael podszedł do mnie z szeroko otwartymi oczami.

– Dobry Boże, Harry. To było niesamowite. Nigdy nie widziałem, żebyś ruszał się tak szybko.

– No tak, bycie Rycerzem Zimy nie ma zbyt wielu zalet, ale to jest jedna z nich – odrzekłem.

– Wołałeś „Parkour”? – spytał Michael.

– Jasne – przyznałem. – To trochę przypominało parkour.

Michael z trudem powstrzymał uśmiech.

– Harry, jestem przekonany, że nikt tak naprawdę nie woła „Parkour”. To się po prostu robi.

– A czy ja krytykuję twoje łacińskie okrzyki bojowe? Nie zdarzyło mi się ani razu.

– To prawda – przyznał Michael poważnie. Wskazał głową mój brzuch. – Nic ci nie jest?

– Powierzchnowa rana – odrzekłem. – Spryskam bactine'em, kiedy wrócimy. Albo pozwolę, żeby Charity wyciągnęła swoją butlę z jodyną.

– To jej się spodoba – przytaknął Michael.

– Uch – sapnęła Ascher, przechodząc pod łukiem i obejmując się rękami. – Nienawidzę zimna.

– Noś luźniejsze ubrania – poradziła jej Valmont tak beznamietnym tonem, że nikt nie zdołałby się w nim dopatrzeć uszczypliwości. – Nieźle się ruszasz, Dresden.

– Dzięki – odrzekłem. – Za tydzień biorę udział w przesłuchaniu do kontynuacji *Froggera*.

Nicodemus, Grey, Genoskwa i Deirdre po chwili razem weszli pod łuk. Nie było to ani odrobinę podejrzanego.

Michael odwrócił się w ich stronę z pytającym wyrazem twarzy i już chciał coś powiedzieć, gdy Genoskwa ze wściekłą szybkością skoczył w moją stronę, chwycił mnie za tułów, przyciskając kciuki do mojej klatki piersiowej i przygważdżając moje ręce do boków.

Michael zaklął i sięgnął po miecz, ale Grey nagle chwycił Valmont za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Palce zakończone orlimi szponami lekko przekłuły skórę na jej gardle, upuszczając kilka kropel krwi.

– Spokojnie, panie Rycerzu. Nie chcemy niepotrzebnego rozlewu krwi.

Genoskwa nachylił się ku mnie.

– Proszę, stawiaj opór – zagrzmiał. – Ja marzę o niepotrzebnym rozlewie krwi.

– Nicodemusie – odezwała się Ascher surowym tonem. – Co to ma znaczyć?

Nicodemus podszedł do nas, trzymając Deirdre pod rękę.

– Dotarliśmy do Bramy Krwi, moje dzieci – odezwał się, wyciągając zza pasa beduiński sztylet, którego damasceńskie ostrze zalśniło w blasku laski i amuletu.
– Najwyższy czas, żeby jedno z was umarło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Miecz Michaela wyskoczył z pochwy, a srebrzysto-biały ogień Amoraacchiusa wypełnił łukowato sklepione przejście. Michael nic nie powiedział. Nie musiał. Chwycił miecz oburącz i stanął rozluźniony, w pełnej gotowości.

Deirdre i Nicodemus natychmiast się rozdzielili, zmuszając Michaela do rozproszenia uwagi. Ona przypadła do ziemi, a on zmrużył oczy i znieruchomiał. Grey beznamiętnie obserwował Michaela, a Anna Valmont, którą przytrzymał, pobladła i zastygła w bezruchu. Palce Genoskwy, grube jak kiełbasy, boleśnie zaciskały się na moim ciele.

– Spokojnie, panie Rycerzu – odezwał się Nicodemus głosem przypominającym warczenie. – Nie ma potrzeby, żeby to się przerodziło w ogólny chaos, prawda?

– Nie pozwolę, żebyście ich skrzywdzili – odparł Michael.

– Opuść Miecz – polecił Nicodemus. – W przeciwnym razie rozkażę Greyowi zabić Valmont.

– Jeśli to zrobisz, Dresden i ja będziemy walczyli na śmierć i życie – odpowiedział Michael spokojnie.

Poczułem, że oczy lekko mi się rozszerzają, a mój głos nie był tak donośny i pewny jak zwykle, ale zdołałem powiedzieć:

– Właśnie. Będziemy walczyli z tobą, nie ze sobą nawzajem. Gdyby to nie było jasne.

– Jesteś pewien zwycięstwa? – spytał Michael Nicodemusa. – Ile razy w ciągu wieków Amoraacchius pokrzyżował twoje plany?

– Nigdy mnie nie pokonałeś, Rycerzu – odparł Nicodemus.

– Niech Bóg Wszechmogący będzie mi świadkiem, ponieważ to On udziela mi łaski – odrzekł Michael. – Jeśli skrzywdzisz tę kobietę, polegiesz z mojej ręki.

– Właśnie – dodałem. – I z mojej.

Nicodemus posłał mi zniecierpliwione spojrzenie i znów skupił uwagę na Michaelu.

– Powinieneś być zostać w swoim domku i cieszyć się emeryturą – powiedział. – Tam nie miałeś żadnego znaczenia. Już się tobą nie przejmowałem. Jeśli teraz zaczniesz walkę, nigdy nie zobaczysz swojej rodziny.

Michael uśmiechnął się blado.

– I tutaj się mylisz. Potrwa to wiele lat, ale, jak Bóg da, znów ich zobaczę.

– Pomyśl o tym, gdzie jesteś, Rycerzu – odparł Nicodemus, a jego usta wykrzywił kpiący uśmiech. – Podziemny Świat jest więzieniem dusz. Sądzisz, że twoja jest na tyle potężna, by stąd uciec?

– Nie jestem potężny – cicho odpowiedział Michael. – Ale Bóg owszem.

Uśmiech Nicodemusa przywodził na myśl rekina.

– Jednym z większych rozczarowań związanych z zabiciem Rycerza jest świadomość, że on, albo ona, nie cierpi. Ale teraz jesteś w Podziemnym Świecie, chrześcijaninie. W tym miejscu twoja wieczność będzie się znacznie różniła od tego, co ci obiecano.

– Na jednej szali mam twoje słowo – rzekł Michael. – Na drugiej – słowo mojego Ojca. Dobrze wiem, którego głosu powinienem słuchać.

– Znajdujemy się w krainie Śmierci – odparł Nicodemus. – Śmierć jest niezbędną ofiarą, żebyśmy mogli przejść dalej. Skoro byłeś gotów oddać życie, panie Rycerzu, być może zrobisz to ponownie, zamiast zmuszać mnie do zgładzenia kogoś innego.

Michael zmrużył oczy.

– Nie sądzę. Nie przymusza cię żadna siła poza ambicją, Nicodemusie. Możesz świadomie zrezygnować – a ja nie pozwolę ci zniszczyć czyjś życia w pogoni za twoim celem.

– Nawet jeśli to będzie oznaczało konieczność doniesienia na Dresdena i jego kochankę? – spytał Nicodemus. – Wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli ośmieszysz Mab, nie dotrzymując danego przez nią słowa. Jeśli przerwiesz tę misję, Dresden zawiedzie Mab. Podejrzewam, że czeka go wtedy straszliwa śmierć.

Zapadła przerażająca cisza.

– Michaelu, nie – odezwałem się. – Dźwigasz już zbyt duże brzemię.

Popatrzył na mnie udręczonym wzrokiem. Już teraz moralnie staliśmy na niepewnym gruncie, a teren przed nami stawał się coraz bardziej grząski. Oddanie życia za przyjaciela stanowi definicję bezinteresowności, lecz zrobienie tego po to, by jakiś potwór mógł położyć ręce na niezwykle potężnej nadprzyrodzonej broni, całkowicie zmienia kontekst i to w niezbyt korzystny sposób. Zwłaszcza w przypadku człowieka, który nosi w sobie łaskę archanioła, kruchą jak bezcenna porcelana.

– Zaczekajcie – odezwała się Ascher, wychodząc naprzód i unosząc otwarte dłonie. – Ludzie, zaczekajcie. To nie jest pora na zwracanie się przeciwko sobie. Jesteśmy tak blisko celu. Twój bezcenny kielich, Nicodemusie. Po dwadzieścia milionów na głowę. Jeśli teraz pozwolicie, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli, żadne z nas niczego nie dostanie, jedynie utknijemy tu na dole. A podejrzewam, że nasz klient nie okaże się serdecznym i gościnnym gospodarzem, zważywszy na to, po co tutaj przyszliśmy.

Nicodemus zerkał to na Ascher, to na Michaela. W końcu na dłużej wbił wzrok w Rycerza.

– Deirdre, narada – zarządził i obejrzał się przez ramię na Greya i Genoskwę. – Jeśli zaczną się sprzeciwiać, zabijcie ich.

Cofnął się o krok od Michaela, a następnie odwrócił i spokojnym krokiem ruszył w stronę drugiego końca przejścia. Deirdre do niego dołączyła.

Ascher głośno syknęła.

– Dlaczego religijni ludzie tacy są?

– Nazywasz się Hannah Ascher i nie jesteś żydówką? – spytałem.

– To co innego – westchnęła.

Parsknąłem i skupiłem się na śledzeniu ruchów Nicodemusa i Deirdre. Dotarli do końca tunelu, za którym otwierał się kolejny fragment jaskini zakończony kamienną ścianą. W kamieniu wyrzeźbiono coś na podobieństwo łuku, ale nie było pod nim przejścia. Ścianę spowijał gęsty cień. Nicodemus i jego córka zatrzymali się półtora metra przed ścianą i zaczęli cicho rozmawiać.

Czułem, że Genoskwa aż drży z żądy krwi. Wiedziałem, że jeśli stawię mu jakikolwiek opór, weźmie się za mnie. Może mnie nie zabije – z braku innej drogi powrotnej – ale chętnie połamie mi żebra, oderwie kilka palców lub wyłupie oko. Jeśli sprawy przybiorą dramatyczny przebieg, być może będę musiał zapłacić taką cenę, ale na razie rozsądek nakazywał mi się nie ruszać i mieć oczy szeroko otwarte.

– Grey – odezwałem się. – Miałem cię za zawodowca.

– Bo nim jestem – odrzekł spokojnie. – Przecież spodziewałeś się, że coś takiego się wydarzy, magu. – Delikatnie napiął palce na krtani Valmont, demonstrując swoją przewagę. – Naprawdę chcesz, żeby wszystko się teraz rozsypało?

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Jeszcze nie. Posłuchaj, zrobiłem to, żeby się zabezpieczyć, ale on chce zabić jedno z nas...

Chwileczkę.

Jeśli Nicodemus postanowił zwrócić się przeciwko nam, wbrew rozsądkowi, to dlaczego, u diabła, w ogóle z nami negocjuje? Atak na mnie od początku nie

miał sensu, zwłaszcza że tylko ja mogłem umożliwić mu ucieczkę. Jeszcze mniej sensu miało wszczynanie afery, by po chwili się wycofać. Znałem go dobrze i wiedziałem, że nie rzuca słów na wiatr. Kiedy Nicodemus postanawiał, że ktoś powinien umrzeć, zabijał go, po czym przechodził do kolejnego punktu na liście.

Najwyraźniej coś knuł. To nie ulegało wątpliwości. Ale co?

Nicodemus był niepoprawnym kłamcą.

To było tylko przedstawienie. Na pewno.

W nagłym przebłysku natchnienia zrozumiałem jego plan: nie kazał Greyowi i Genoskwie nas pochwycić, ponieważ chciał nas zdradzić i zabić. Zrobił to, by skłonić Michaela do pozostania przy nas i uniemożliwić mu interwencję w innym miejscu.

Teraz stał blisko Deirdre i trzymał dłoń na jej ramieniu. Zobaczyłem, jak dziewczyna, wciąż w demonicznej postaci, patrzy mu w oczy z niepewną i bezbronną miną, i skupiłem się wyłącznie na ich rozmowie. Wytężyłem słuch.

– ...żeby było inne wyjście – mówił Nicodemus cicho. – Ale tylko tobie mogę zaufać.

– Wiem, ojcze – odrzekła Deirdre. – Nie przejmuj się.

– Tutaj będziesz bezpieczna przed Wrogiem.

Deirdre uniosła podbródek; miała wilgotne oczy.

– Wybrałam swoją ścieżkę. Niczego nie żałuję.

Nicodemus nachylił się i pocałował córkę w czoło.

– Jestem z ciebie taki dumny.

Łza spłynęła po policzku Deirdre, która uśmiechnęła się i porzuciła demoniczną formę, zmieniając się w chudą jak patyk dziewczynę wpatrującą się w Nicodemusa.

– Kocham cię, ojcze.

Szorstki głós Nicodemusa nieco się załamał.

– Wiem – odrzekł łagodnie. – Właśnie w tym problem.

A potem zadał cios zakrzywionym beduińskim sztyletem.

Pchnął pod kąt, tak że ostrze weszło pod mostkiem i wbiło się prosto w serce. Deirdre nawet na chwilę nie zerwała kontaktu wzrokowego i nie drgnął jej ani jeden mięsień. Sztylet zagłębił się w ciele po rękojeść, a ona tylko lekko westchnęła. Potem przybliżyła się do Nicodemusa i pocałowała go w usta.

Ugięły się pod nią nogi i powoli upadła na ziemię. Nicodemus uklęknął obok niej, delikatnie ją podtrzymując, a wysadzana klejnotami rękojeść sztyletu ostro sterczała z jej ciała.

– Matko Boska – szepnął Michael. – On tak po prostu...

Nicodemus przytulał ją przez jakieś dwie minuty, trwając w bezruchu. Potem, bardzo ostrożnie, ułożył ją na posadzce jaskini. Równie delikatnie wyciągnął

sztylet. Zanurzył dwa palce w ranie, przez chwilę w niej grzebał, aż w końcu wydobyl coś małego, zakrwawionego i lśniącego. Srebrną monetę. Oczyszczył ją z krwi swojej córki i wytarł ostrze chusteczką. Schował monetę do kieszeni, wsunął sztylet do pochwy, spokojnie wstał i ruszył w naszą stronę. Jego twarz była obojętna jak kamień pod jego stopami. Wszyscy wpatrywali się w niego z oszołomieniem. Nawet Grey sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Matko Boska, człowieku – wyszeptał Michael. – Coś ty zrobił?

Nicodemus posłał Michaelowi niewzruszone spojrzenie i odezwał się z pogardą:

– Sądziłeś, że tylko ty na całym świecie jesteś gotowy umrzeć za swoje przekonania, panie Rycerzu?

– Ale ty... – Michael sam był bliski łez. – Ona pozwoliła ci to zrobić. Była twoim dzieckiem.

– Czy twój własny bezcenny Bóg nie zażądał tego samego od Abrahama? Czy nie pozwolił Lucyferowi zniszczyć dzieci Hioba? Ja przynajmniej mam powód. – Machnął ręką w stronę Greya i Genoskwy. – Puśćcie ich.

Grey od razu puścił Valmont. Genoskwa uwolnił mnie niechętnie i pchnął przy tym, tak że prawie upadłem na ziemię.

Michael otworzył i zamknął usta.

– Mogłem z nią porozmawiać – odezwał się.

– Gdyby dał ci taką szansę – odrzekłem. – Właśnie taki był cel tej całej szopki z braniem zakładników. Chciał się upewnić, że skupisz się na czymś innym.

Nicodemus wbił we mnie lodowate spojrzenie.

– Martwił się, że coś zrobisz, Michaelu. Że na sekundę przed śmiercią Deirdre straci wiarę. Zwłaszcza jeśli ktoś taki jak ty zaproponuje jej inne wyjście.

Nicodemus lekko skłonił głowę.

– Nigdy mnie nie pokonałeś, panie Rycerzu – rzekł. – I nigdy tego nie zrobisz.

– Oszalałeś – odpowiedział Michael cichym, smutnym głosem.

Nicodemus zaczął się odwracać, ale nagle znieruchomiał.

– Być może – odparł, patrząc w dal. – A może jako jedyny nie popadłem w obłąd.

Podeszła do mnie Anna Valmont.

– Popatrz – odezwała się cicho.

Popatrzyłem.

Zwłoki Deirdre drgnęły.

Nie, to nie tak. Coś działo się przy zwłokach, ale one pozostawały nieruchome. Promieniował z nich słaby srebrzysty blask. Potem coś się

poruszyło i światło przybrało humanoidalną postać, która po chwili nabrała wyrazistości i zmieniła się w przejrzysty srebrny cień w kształcie Deirdre. Postać usiadła, oddzielając się od zwłok, a następnie wstała. Obróciła się i znieruchomiła, ze zmarszczonym czołem patrząc na ciało. Potem podniosła dłoń i uważnie się jej przyjrzała.

Za nią taki sam srebrzysty blask, jaki otaczał ciało, zapłonął wzdłuż łuku wyrzeźbionego na kamiennej ścianie. Rozprzestrzenił się aż do jego krawędzi, gdzie pojawiła się srebrna przejrzysta dźwignia, w tym samym miejscu, w którym znajdowały się dźwignie przy poprzednich dwóch bramach.

Cień Deirdre obejrzał się na ojca. Dziewczyna uśmiechnęła się smutno. Potem popłynęła w powietrzu w stronę dźwigni. Chwyła ją widmowymi dłońmi i powoli pociągnęła. Światło na ścianie przybrało na sile, a potem gwałtownie rozbłysło i zgasło, zabierając ze sobą cień Deirdre oraz kamień, pozostawiając w ich miejscu otwarte łukowato sklepione przejście.

Światło wylało się z bramy.

Złociste światło.

– Panie i panowie – odezwał się Nicodemus spokojnym głosem. – Udało nam się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Przez chwilę tylko stałem oszołomiony tym, co zrobił Nicodemus.

Zastanawiałem się, co musiałyby się zdarzyć, bym zrobił coś takiego Maggie. Bezskutecznie. Nie cofnąłbym się przed niczym, żeby chronić swoje dziecko.

„Ale byłeś gotów poderżnąć gardło jej matce”, odezwał się pełen goryczy głosik w mojej głowie. „Czy jesteś lepszy?”

Tak. Jestem lepszy. To, co zrobiłem Susan, przynajmniej częściowo było jej wyborem, a poza tym w ten sposób ocaliliśmy Maggie oraz dziesiątki albo setki tysięcy, a może nawet miliony istnień, które w przyszłości padłyby ofiarą Czerwonego Dworu.

A w imię czego Nicodemus skazał swoją córkę na śmierć? Pokoju wypełnionego złocistym blaskiem, który...

No dobrze.

Nie jestem chciwym gościem, ale...

Wszyscy zrobiliśmy kilka kroków w stronę tego złotego światła. Nawet Michael.

– Jesteśmy na miejscu – cicho odezwała się Anna Valmont.

Ascher przełknęła ślinę i roześmiała się nerwowo.

– Jak sądzicie, co tam jest?

– Sława i bogactwo, dzieciaku – odrzekłem. – Sława i bogactwo.

– Dresden, Ascher – odezwał się Nicodemus. – Sprawdźcie, czy po drodze nie ma dodatkowych magicznych zabezpieczeń. Valmont, miej oko na mechaniczne pułapki. Genoskwa pójdzie z tobą i pomoże, gdyby pojawił się jakiś strażnik.

– Myślałem, że po pokonaniu trzech bram będziemy mieli wolną drogę – powiedziałem.

– Od tego miejsca moja wiedza ogranicza się do zawartości skarbca – odrzekł Nicodemus. – Ale właśnie w tym momencie spodziewałem się interwencji bardziej mitycznych sił, jeśli te w ogóle się pojawiają.

– On ma rację – odezwała się Valmont. – Nigdy nie należy zakładać, że ma się wolną drogę, dopóki nie zdobędziesz łupu, nie uciekniesz z nim i go nie

spieniężysz.

– Michaelu, chodź ze mną – poprosiłem. – Na wypadek gdyby coś wielkiego, wrednego i cuchnącego próbowało mnie zabić.

Genoskwa wydał z niebie niemal roztargnione warknięcie. Jego paciorkowate oczy lśniły odbitym złotym światłem.

– Oczywiście – odrzekł Michael. Nie schował Amoraacchiusa do pochwy, ale niósł go przed sobą, jedną dłonią w rękawiczce lekko przytrzymując ostrze, a drugą ręką rękę.

– Grey, pilnuj tyłów – polecił Nicodemus. – Jeśli zobaczysz, że coś się zbliża, daj nam znać.

– Trudno mi będzie zbierać łupy – zauważył Grey.

– Zwolnię cię, kiedy znajdę Graala.

Grey pokiwał głową, ale bez entuzjazmu.

– W porządku.

– Dresden – odezwał się Nicodemus.

Ruszyłem przodem, z Ascher po prawej i Valmont po lewej stronie, a Michael i Genoskwa podążyli za nami. Przypominali parę niedopasowanych podpórek do książek, ale zauważyłem, że olbrzym powstrzymuje się od groźnych odgłosów i gestów wobec posiadacza Amoraacchiusa. Miecze potrafią uspokoić prawdziwych złoczyńców.

Potrząsnąłem głową i skupiłem się na swoim zadaniu, idąc powoli, sięgając wokół siebie magicznymi zmysłami, szukając śladu osłon, zaklęć, nieznanymi energiami lub istot. Czułem, że Ascher robi to samo obok mnie, chociaż dostrajała się do innej magicznej częstotliwości. Tropiła bardziej wyszukane pułapki, iluzje, parapsychiczne miny. Nie była w stanie wykryć tak wielu rzeczy jak ja, ale zapewne lepiej sobie radziła w swojej dziedzinie. Valmont wyjęła z plecaka staroświecką latarkę, która nie gasła w naszej obecności, chyba że użylibyśmy potężnych czarów. Ostrożnie oświetlała grunt i ściany przed nami, wypatrując cieni rzucanych przez żyłki pułapek, płyt naciskowych i innych podstępnych urządzeń, na których się znała.

Powoli zbliżyliśmy się do bramy i weszliśmy do tunelu. Wytężyłem wszystkie zmysły.

Pusto.

A potem wkroczyliśmy do skarbcza Hadesa.

...który...

...eee...

Wyobraźcie sobie skarb Smauga. A teraz wyobraźcie sobie skarb Smauga, który cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i ma obłędnie dobry gust.

To nieudolny opis, który nie jest w stanie zastąpić osobistego doświadczenia, ale tylko na tyle mnie stać. Patrząc na skarbiec Hadesa, poczułem się jak brudny szczur, który wygryzł sobie drogę do spiżarni. Serce zadudniło mi w piersi i jestem pewien, że źrenice moich oczu zniknęły zastąpione przez symbole dolara.

Głównym źródłem światła były wyciągnięte dłonie dwóch sześciometrowych złotych posągów stojących na środku pomieszczenia. Odbiłem w bok, żeby dokładniej się im przyjrzeć. Każda z rzeźb przedstawiała trzy kobiety wsparte o siebie plecami, które wyciągały ręce w górę, kierując otwarte dłonie ku sufitowi. Jedna z kobiet była staruchą. Kolejna była dojrzałą kobietą w kwiecie wieku. Trzecia niedawno przestała być dzieckiem. Płomienie na dłoniach jednego z posągów miały złocisto-zielony kolor. Pozostałe emanowały zimnym zielono-niebieskim blaskiem.

Kiedy to zobaczyłem, moje serce znów szybciej zabiło.

Ponieważ spotkałem każdą z tych kobiet. Rozpoznałem ich twarze.

– Czy to Hekate? – szepnęła Ascher, z podziwem podnosząc wzrok na posągi.
– Potrójna bogini rozstajów, prawda?

Przełknąłem ślinę.

– Eee, no... Tak, możliwe.

Albo mogły to być babcie Lato i Zima, Mab, Tytania, Sarissa i Molly Carpenter. Ale tego nie powiedziałem.

Oderwałem wzrok od posągów i zmusiłem się do rozejrzenia po skarbcu.

Pomieszczenie miało rozmiary boiska futbolowego. Ściany jak okiem sięgnąć pokrywały platynowe i złote trójkątne płyty. Posadzkę wykonano z gładkiego białego marmuru przecinanego żyłami czystego, lśniącego srebra. W skarbcu znajdowało się mnóstwo osobnych galerii o dachach rodem ze starożytnych Aten, podpartych korynckimi kolumnami. Niektóre z nich wznosiły się na ponad dwa metry nad podłogę i trzeba było się do nich wspiąć po marmurowych schodach. Inne zagłębiały się w podłożu i otaczały je rzędy spiralnie obniżających się trybun, niemal jak w greckim amfiteatrze.

Popatrzyłem na najbliższy... relikwiarz. Albo galerię. Albo cokolwiek to było.

Przestrzenie między kolumnami wypełniały ściany zbudowane ze sztabek czystego złota. A to było tylko tło. *Tło.*

Najbliższą galerię wypełniały obrazy włoskich mistrzów Renesansu, z których wszystkie podejmowały temat boskości, ukazując wizerunki świętych, Marii Panny i Chrystusa. Veneziano. Donatello. Botticelli. Rafael. Castagno. Michał Anioł. Nawet cholerny da Vinci. W sumie jakieś pięćdziesiąt malowideł, każde wystawione z dbałością o szczegóły godną Luwru, w ochronnych

gablotach, podświetlone przez dziwacznie ukształtowane latarnie, być może wykonane z brązu, które nie wydzielają ani odrobiny dymu.

Obrazy otaczały ramy o roślinnych kształtach, lecz po bliższym przyjrzeniu się dostrzegłem, że nie wykonano ich z prawdziwych roślin, tylko ze szmaragdów. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób je wyrzeźbiono. Trudno było poznać, że nie są żywe. Fontanna cicho tryskała wodą do lśniącego zbiornika na środku galerii, ale po chwili zorientowałem się, że to wcale nie woda, tylko diamenty, małe i błyszczące, które sypały się strumieniami i wyglądały jak płyn.

Fontanna mogłaby napełnić wszystkie plecaki, które przynieśliśmy, a także prowizoryczne worki, jakie moglibyśmy sporządzić ze swoich ubrań. Mniejsza ze szmaragdami. Mniejsza z tonami złota. Mniejsza z wartymi setki milionów dolarów dziełami sztuki, obrazami, które zapewne uznano za bezpowrotnie zaginione.

A to była tylko jedna z wystaw. I to dosyć skromna, co uświadomiłem sobie, rozglądając się po skarbcu.

– Okej. – Ascher westchnęła, szeroko otwierając oczy. – Nie wiem, czy za chwilę zemdleję, czy dostanę orgazmu.

– Tak – wychrypiałem. – Ja też.

Valmont jako pierwsza otrząsnęła się z oszołomienia. Podeszła do fontanny diamentów, rozpięła plecak i spokojnie podstawiała go pod kranik, jakby napełniała wiadro.

– Serio? – spytała Ascher. – Nawet się nie rozejrzysz?

– Najwyższa wartość za kilogram – odpowiedziała Valmont rzeczowo. – Poza tym są na tyle małe, że łatwo będzie je upłynnić. Nie ma sensu zabierać czegoś, czego nie da się sprzedać po powrocie do domu.

– Ale tu jest tak dużo rzeczy – wyszeptała Ascher.

– Ascher – odezwałem się, a po kilku sekundach zawołałem głośniej: – Hannah.

– Eee, tak?

– Powiedz Nicodemusowi, że droga wolna. Zabierajmy to, po co przyszliśmy, i wynośmy się.

– No tak – odrzekła. – No tak. Wynośmy się. – Odwróciła się i pośpiesznie wyszła z pomieszczenia.

Zwróciłem się do Michaela i Genoskwy.

– Na wszelki wypadek zrobimy z Valmont szybki obchód skarbcza. Nie oddalajcie się, dopóki nie dam wam sygnału.

Michael powoli pokiwał głową. Nie istniał plecak wystarczająco duży dla Genoskwy, ale olbrzym nawlekł kilka worków marynarskich na linę, jaką

zabezpiecza się ładunek na ciężarówkach.

– Chodź, Anno – odezwałem się. – Poszukajmy kolejnych pułapek.

Ruszyłem przed siebie. Valmont zarzuciła plecak na ramię i podążyła za mną. Po drodze uniosłem laskę i przywołałem więcej światła, tak że Valmont musiała zmrużyć oczy. W końcu znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku pozostałych. Nasze cienie pod wpływem potężnego blasku zmieniły się w cienkie paski.

– Po co te fajerwerki? – spytała.

– Zaufaj mi – odpowiedziałem szeptem, nachylając się do jej ucha. – Kiedy się zacznie, trzymaj się blisko mnie. Ochronię cię.

Otworzyła szerzej oczy i bez słowa skinęła głową.

Przytaknąłem z zadowoleniem, a potem oparłem laskę o kolejną koryncką kolumnę, wcześniej wławszy w nią wystarczająco dużo siły woli, by światło nie zgasło. Następnie przyłożyłem palec do ust i gestem zachęciłem Valmont, żeby poszła za mną.

Błyskawicznie minąłem galerie i dotarłem do amfiteatru, po czym zszedłem w stronę sceny, która znajdowała się u stóp dwóch ogromnych posągów.

Valmont obejrzała się na jaskrawo świecącą laskę i nagle zrozumiała.

Patrzcie wszyscy, Dresden i Valmont są tam, widzicie? A nie niedaleko serca zbiorów.

Scena amfiteatru, w odróżnieniu od pozostałych galerii w skarbcu, nie była pełna oszałamiających bogactw, fantastycznych klejnotów ani drogocennych metali. Była surowa i pusta, nie licząc pojedynczego bloku marmuru przecinanego srebrnymi żyłkami, który wznosił się niecałe półtora metra nad jej środkiem.

A na marmurze spoczywało pięć prostych przedmiotów.

Starożytna drewniana tabliczka, tak wyblakła, że nie dało się odczytać namalowanych na niej symboli.

Okrag upleciony z ciemnych gałązek.

Gliniany kielich.

Złożony kawałek materiału.

Nóż o drewnianej ręczce i ostrzu w kształcie liścia.

Po co zabierać jedną bezcenną relikwię, gdy można zabrać pięć? Wiedziałem dokładnie, na której z nich najbardziej zależy Nicodemusowi.

Odwróciłem się do Anny i odezwałem bezgłośnie: „Sprawdź je”.

Pokiwała głową i nachyliła się, żeby zbadać blok, ostrożnie obchodząc go dookoła. Ja tymczasem sięgnąłem zmysłami ku relikwiom, poszukując ochronnych zaklęć.

To był błąd. Przedmiotów nie zabezpieczono pułapkami, ale aura ich łącznej mocy poraziła moją świadomość, jakbym wcisnął widelec do gniazdka

elektrycznego. Syknąłem i odchyliłem się do tyłu, a w moich myślach zapłonęła energia tych artefaktów, przy której pulsująca moc rozbudzonego Amoračiusa była jak niskiej mocy żarówka.

– Mój Boże. – Westchnąłem. – One są bronią. – Powoli się rozejrzałem. – To nie jest skarbiec. To zbrojownia.

Anna Valmont nie odpowiedziała.

Przestała się poruszać.

Okrzyżłem blok i znalazłem ją po drugiej stronie, wpatrującą się w niego ze skupioną miną. Była jak skamieniała.

Po chwili uświadomiłem sobie, że barwa światła uległa zmianie, i podniosłem wzrok na płomienie na wyciągniętych dłoniach dwóch posągów Hekate. Ogień przestał migotać. Nie zgasł – po prostu znieruchomiał.

Włoski na moim karku nie stanęły dęba, ale cicho jęknęły i zaczęły drżeć razem z resztą mojego ciała.

– Oczywiście masz rację – zagrzemiał jakiś basowy głos za moimi plecami. – To jest zbrojownia.

Powoli się odwróciłem.

Na scenie amfiteatru stał mężczyzna ubrany na czarno. Miał ponad dwa metry wzrostu, proporcje zawodowego sportowca i szlachetne rysy wojowniczego króla. Burza ciemnych włosów opadała mu na kark. Jego broda była równie czarna, chociaż na podbródku znaczył ją pojedynczy siwy kosmyk. Jego oczy...

Oderwałem wzrok od tych jaskiń nocnego mroku, zanim zdołały mnie wciągnąć. Żołądek podszedł mi do gardła i musiałem wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie wymiotować. Albo nie upaść. Albo się nie rozpłakać.

– K... – wykrztusiłem. – K... kim... ty...

– Tak się składa, że to moja zbrojownia, śmiertelniku.

– Mogę wyjaśnić – rzuciłem.

Zanim zdążyłem spróbować, Hades, władca Podziemnego Świata, grecki bóg śmierci, chwycił mnie za poły płaszcza, a wtedy otoczył mnie obłok czarnego ognia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Kiedy czarny ogień się rozwiął, stałem przykucnięty i obejmowałem rękami głowę. Niewykluczone, że także panicznie krzyczałem, ale natychmiast umilkłem, gdy tylko uświadomiłem sobie, że płomienie mnie nie poparzyły, nie pochłonęły ani w żaden inny sposób nie skrzywdziły.

W uszach słyszałem łomot własnego serca. Zdołałem uspokoić oddech i się wyprostować. Przerazenie nie zniknęło, ale osłabło tak, że mogłem nad nim zapanować. W końcu skoro nie byłem martwy, to Hades najwidoczniej tego nie chciał.

Wyglądało jednak na to, że miał ochotę porozmawiać ze mną w innym pomieszczeniu, ponieważ już nie byliśmy w skarbcu.

Stałem w komnacie, która mogłaby należeć do spartańskiego króla. Wystrój był skromny i prosty, ale wszystkie przedmioty wykonano z niezwykłą starannością i z najlepszych materiałów. Na drewnianym panelu wokół kominka, poplamionym przez szlachetny dym i czas, wyrzeźbiono wizerunki greckich bogów i bogiń rozsianych po zboczach Olimpu. Przed kominkiem stały dwa duże fotele z ciemnej polerowanej sekwoi z czarnymi skórzanymi siedziskami, a między nimi znajdował się niski drewniany stół, również wypolerowany do czerwonego połysku. Na blacie stała porcelanowa butelka. Obok niej zobaczyłem prosty pusty kieliszek do wina.

Rozejrzałem się po komnacie. Pod każdą ze ścian stał regał ze starannie uporządkowanymi książkami, których grzbiety opisano w oszałamiającej mnogości języków. Nigdzie nie było drzwi.

Nie byłem sam.

Hades siedział na jednym z foteli przed kominkiem, swobodnie trzymając w dłoni drugi kieliszek. Jego ciemne oczy lśniły, gdy wpatrywał się w płomienie. Było tutaj jaśniej niż w skarbcu. Widziałem kilkadziesiąt małych obiektów, krążących miarowo mniej więcej dwadzieścia centymetrów od jego głowy. Każdy wyglądał jak małe skupisko cienia, za którym ciągnęły się czarne kosmyki i ciemnofioletowy dym albo mgiełka...

Na dzwony piekieł. To był mordyt. Substancja tak śmiercionośna, że jej dotknięcie mogło zniszczyć każdą żywą istotę, wysysając z niej energię życiową jak miniaturowa czarna dziura. Hades sporządził sobie z niej koronę.

Na podłodze obok Hadesa spoczywała góra futra i mięśni. Bestia leżała na płask, ale jej ramiona i tak sięgały powyżej podłokietników fotela, a psie łapy pozostawiałyby ślady wielkości talerzy. Jeden z łbów dyszał, jak zwykły pies, któremu coś się śni. Pozostałe dwie głowy cicho chrapały. Futro psa było gładkie i czarne, nie licząc pojedynczej kępki srebrzysto-białych włosów na szerokiej piersi.

– Sir Harry – zagrzmiął Hades. – Rycerz Zimy. Witam w swojej komnacie.

Zamrugalem. Tym powitaniem Hades właśnie udzielił mi gościny. W nadprzyrodzonym świecie nie ma zbyt wielu sztywnych reguł, ale role gościa i gospodarza są niemal święte. Zdarzało się, że gość zdradził zaufanie gospodarza i odwrotnie, ale takie osoby zazwyczaj spotykał straszliwy los, a każdy, kto uszedł z życiem po dopuszczeniu się takiej zdrady, miał nieodwracalnie zszarganą reputację.

Hades właśnie zaproponował mi swoją ochronę, z którą wiązały się obowiązki dobrego gościa, a jednym z nich było nieokradanie swojego gospodarza. Musiałem postępować bardzo ostrożnie. Spotkałoby mnie coś bardzo złego, gdybym pogwałcił te zasady. Ale nie mogłem opędzić się od myśli, że coś bardzo złego spotka mnie znacznie szybciej, jeśli obrażę greckiego boga, odrzucając jego zaproszenie.

Prawie nie pamiętałem ojca, ale wiem, że zawsze powtarzał mi, że bym był grzeczny. To nic nie kosztuje, a może ci uratować życie.

No co, nie patrzcie tak na mnie. Jestem mądrałą tylko wobec potworów.

Oraz ludzi, którzy tego naprawdę potrzebują.

A także wtedy, gdy mi to pasuje.

No tak, miałem być bardzo, bardzo ostrożny.

– Dziękuję, Lordzie Hadesie – odezwałem się po chwili. Mój głos tylko lekko zadrżał.

Skinął głową, nie odwracając wzroku od ognia, i leniwym gestem wskazał drugi fotel.

– Proszę, dołącz do mnie.

Zbliżyłem się nieśmiało i powoli usiadłem.

Hades posłał mi uśmiech. Nalał wina z porcelanowej butelki do drugiego kieliszka, a ja go przyjąłem, kiwając głową z wdzięcznością. Upiłem łyk. Nie przepadam za winem, ale ów trunek, ciemny i aromatyczny, smakował jak coś drogiego.

– Chciałbym... – zacząłem, ale rozmyśliłem się i umilkłem.

Hades popatrzył na mnie z ukosa i skinął głową.

– Chciałbym spytać cię o upływ czasu – powiedziałem. – Możliwe, że w tej chwili jakieś wydarzenia zachodzące w czasie dzieją się bez twojej wiedzy.

– W ciągu ostatnich kilku dni bardzo niewiele w życiu twoim i twoich towarzyszy działo się bez mojej wiedzy – odrzekł Hades.

Ogarnęła mnie nerwowość, która przypominała mi sytuację, gdy w szkole średniej byłem wzywany do gabinetu dyrektora.

– A więc... wiesz?

Posłał mi nieco zniecierpliwione spojrzenie.

– No tak – odezwałem się cicho. – To twoja kraina. Oczywiście, że wiesz.

– Otóż to – potwierdził. – Ale przy Bramie Lodu świetnie się spisałeś. Niewielu z tych, którzy próbują się przedostać, poświęca czas na obserwację.

– Eee, dziękuję? – odrzekłem.

Uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się czasem – powiedział. – Obecnie płynie bardzo powoli dla twoich towarzyszy w skarbcu.

– Aha, w porządku. To dobrze.

Pokiwał głową. Upił łyk wina, ponownie popatrzył w płomienie i przesunął palcami dłoni po najbliższej głowie psa śpiącego obok jego fotela.

– Według współczesnych standardów nie jestem „towarzyską osobą” – odezwał się, marszcząc czoło. – Nigdy nie przepadałem za ludźmi. Gdybym tylko potrafił, powiedziałbym ci coś, co by cię uspokoiło i zapewniło, że w tej chwili nie grozi ci mój gniew.

– Twoje działania już to sprawiły – odpowiedziałem.

W kąciakach jego oczu pojawiły się ledwie dostrzegalne zmarszczki.

– Ach, zatem jesteś całkiem spostrzegawczy.

– Tak sądziłem, ale kiedy zacząłem się starzeć, zrozumiałem, jak niewiele wiem.

– To początek mądrości, przynajmniej według Sokratesa – odrzekł Hades. – Powtarza to za każdym razem, gdy jemy razem drugie śniadanie.

– Kurczę, Sokrates jest tu na dole? – spytałem.

Hades zmarszczył czoło. Potem podniósł wolną rękę dłonią do góry.

– No tak – zreflektowałem się. – Przepraszam. Eee, czy mogę spytać...?

– O jego los w Podziemnym Świecie? – dokończył moje pytanie Hades.

Pokiwałem głową.

Kącik ust Hadesa drgnął.

– Ludzie zadają mu pytania.

Pies zauważył, że już nie jest głaskany, i wcisnął najbliższy łeb pod rękę Hadesa. Władca Podziemnego Świata z nieobecną miną zaczął drapać zwierzaka

za uchem, jak zwykły człowiek robi ze swoim psem.

Druga głowa otworzyła jedno oko i popatrzyła na mnie spod kudłatej brwi. Potem ziewnęła i znów zasnęła.

Wypiłem jeszcze łyk wina, czując się lekko wytrącony z równowagi.

– Dlaczego, hmm, zainterweniowałeś podczas naszego... najścia?

Hades przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może po to, by pokrzyżować wam plany i was ukarać. Czy złoczyńcy nie postępują w taki sposób?

– Tylko że ty nie jesteś złoczyńcą – odparłem.

Ciemne oczy zwróciły się na mnie. Ogień skwierczał i trzaskał.

– Owszem, opieram się na klasycznych opowieściach – dodałem. – Które mogą być czystym folklorem, zostały pozbawione wielu szczegółów lub mijają się z prawdą. Ale nie jesteś grecką wersją diabła.

– Z telewizji można się dowiedzieć czegoś innego – odrzekł Hades łagodnie.

– Telewizja rzadko oddaje sprawiedliwość materiałom źródłowym – stwierdziłem. – Ale historie podkreślają, że wcale nie jesteś taką okropną osobą. To twoi bracia zawsze knują jakieś intrygi. Zresztą wyjątkowo niezdrowe. Zmieniają się w byka, żeby uwieść dziewicę? Jak zblazowanym trzeba być, żeby uznać coś takiego za dobrą zabawę?

– Ostrożnie – odrzekł Hades bardzo łagodnym tonem. – Nie zaprzeczam twoim słowom, ale w końcu to rodzina.

– No tak, racja. W każdym razie chodzi mi o to, że każdy z nich odpowiadał za jakąś dziedzinę, a jednak wszyscy spędzali mnóstwo czasu na zaniedbywaniu swoich obowiązków. Oczywiście nie mam prawa ich osądzać, ale są ku temu poważne przesłanki.

Hades poruszył palcami, przyznając mi rację.

– Ale tak się składa, że nie krążą żadne takie opowieści o tobie. Pozostali czasami wykazywali się kapryśną naturą i sprawiali ludziom mnóstwo cierpienia. Ty nie. Słyniesz ze sprawiedliwości, a nie okrucieństwa. Może poza... tą historią z twoją żoną.

Ogień na chwilę rozbłysnął w jego ciemnych oczach.

– Chodzi ci o porwanie Persefony?

– Zrobiłeś to? – spytałem.

Od razu zrozumiałem, że popełniłem błąd. Przez chwilę serdecznie żałowałem, że nie znam zaklęcia, które pozwoliłoby mi rozplątać się w żalną kałużę błagającą o życie.

Hades długo wpatrywał się we mnie bez słowa, a potem wydał z siebie wyrafinowane parsknięcie i upił łyk wina.

– Przyszła do mnie z własnej woli. Jej matka sobie z tym nie poradziła. Syndrom opuszczonego gniazda.

Nachyliłem się, nie mogąc powstrzymać fascynacji.

– Naprawdę? A co z... owocem granatu?

– To akurat political fiction – odrzekł Hades. – Pomysł Hekate, na który przystał mój brat. Kompromis, z którego żadne nie było zadowolone.

– Podobno to właśnie cecha dobrego kompromisu – odrzekłem.

Hades się skrzywił.

– Wtedy to było konieczne.

– Opowieści przedstawiają to nieco inaczej – ciągnąłem. – Pamiętam, że Hekate poprowadziła Demeter na poszukiwania córki.

Ten komentarz skłonił go do odsłonięcia białych zębów.

– To akurat prawda. Hekate rzeczywiście ją poprowadziła. Bardzo daleko. To był jej prezent ślubny dla nas.

Powoli zamrugąłem.

– Miesiąc miodowy bez teściowej.

– Wart więcej od złota czy klejnotów – przyznał Hades. – Ale jak już mówiłem, nigdy nie byłem zbyt rodzinną osobą. Nigdy nie prosiłem muz, by inspirowały ludzi do śpiewania pieśni o mnie, ani nie objawiałem prawdy swoim wyznawcom, których zresztą nie miałem wielu. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem sensu w tym, by śmiertelnicy mnie czcili. Wcześniej czy później i tak musieli trafić do mojej krainy, niezależnie od swoich czynów. Czy sądzili, że dzięki temu łagodniej osądzę ich cienie? – Pokręcił głową. – Nie działałem w taki sposób.

Przez chwilę przyglądałem mu się z poważną miną i zmarszczonym czołem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Słowa nie są moją mocną stroną – odrzekł. – Czy zadałeś najlepsze pytanie? Rozparłem się na fotelu i zamieszałem wino w kieliszku.

Hades wiedział, że się zbliżamy, a jednak udało nam się wejść. Wiedział, kim jestem. Poza tym najwyraźniej istniała jakaś więź między nim a Królowymi Elfów. Napiliśmy się wina. Kiedy połączy się wszystkie fakty...

Niemal się zakrztusiłem.

To sprawiło, że na ustach mojego gospodarza zagościł szczery uśmiech.

– Ach, coś ci świta.

– To ty pozwoliłeś, żeby Nicodemus dowiedział się o tym miejscu – zgadłem.

– I co jeszcze?

– Mab. To podstęp Mab, prawda?

– A po co miałyby robić coś takiego? – spytał mnie z udawanym oburzeniem.

– Broń – odrzekłem. – Wojna z Intruzami. Mab potrzebuje więcej broni. Dlaczego miałyby ograniczyć się do zemsty, skoro może przy okazji wybrać się na zakupy?

Hades sączył wino z błyskiem w oku.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie.

– Chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że mam zabrać stąd te rzeczy?

– To znacznie lepsze pytanie – pochwalił Hades. – Moja zbrojownia służy do przechowywania najstraszniejszych broni w czasach, gdy nie są potrzebne. Kolekcjonuję je, żeby ich moc nie była niewłaściwie wykorzystywana w czasach pokoju.

– Ale po co je zamykać w miejscu, do którego może się dostać każdy, kto dysponuje odpowiednimi środkami? – spytałem.

– Żeby nie używał ich ani nie posiadał nikt, komu brakuje umiejętności i poświęcenia – odrzekł. – Nie jest moim zadaniem ukrywanie ich przed całą ludzką rasą, tylko przed niekompetentnymi osobami.

W końcu zrozumiałem, a wtedy aż skręciło mnie w żołądku.

– To wcale nie była złodziejska akcja. Całe to zamieszanie było... przesłuchaniem do roli?

– Kolejne dobre pytanie. Ale nie najistotniejsze.

Zacisnąłem usta i spróbowałem zmusić swój mózg do wysiłku. Wydawało się to zbyt proste, ale czemu nie miałbym wybrać najbardziej bezpośredniej drogi?

– Więc jakie jest najistotniejsze pytanie?

Hades rozparł się na fotelu.

– Dlaczego ja, Hades, miałbym tak bardzo się tobą interesować, Harry Dresdenie?

Na dzwony piekieł. To mi się w ogóle nie spodobało.

– No dobrze – odrzekłem. – Dlaczego?

Sięgnął ręką do środkowego łba i podrapał psa pod brodą. Jedna z tylnych łap bestii zaczęła gwałtownie uderzać o podłogę. Brzmiało to jak odgłosy dobiegające z maszynowni.

– Znasz imię mojego psa?

– Cerber – odpowiedziałem pośpiesznie. – Ale każdy je zna.

– Wiesz, co ono oznacza?

Otworzyłem usta, a potem je zamknąłem. Pokręciłem głową.

– Pochodzi od starożytnego słowa *kerberos*, które oznacza „łaciaty”.

Zamrugąłem.

– Jesteś prawdziwym greckim bogiem. Jesteś władcą Podziemnego Świata i nazwałś swojego psa... Łatek?

– Kto jest dobrym pieskiem? – odezwał się Hades, drapiąc trzeci łeb pomiędzy uszami, tak że bestia otworzyła pysk w psim uśmiechu. – Łatek jest dobrym pieskiem. Właśnie tak.

Nie potrafiłem powstrzymać śmiechu.

Hades uniósł brwi. Nie uśmiechnął się, ale wyglądał na zadowolonego.

– To nietypowy dźwięk w moim królestwie. – Pokiwał głową. – Jestem strażnikiem podziemnej krainy wypełnionej straszliwą mocą, więziennego państwa cieni. Moim zadaniem jest chronienie go, dogłębne i dbanie o to, by było właściwie wykorzystywane. Większość ludzi mnie nie rozumie, większość się mnie boi, wielu mnie nienawidzi. Staram się jak najlepiej wykonywać swoją pracę, niezależnie od opinii innych, a chociaż moi towarzysze zaniedbują swoje obowiązki lub skupiają się na trywialnych grach w obliczu poważniejszych problemów, nie zmienia to zasad mojej służby, nawet gdy sprawia mi ona wielki ból. No i mam bardzo dużego i bardzo grzecznego psa...

Ogon Łatka uderzył w fotel Hadesa jak ogromny obity futrem kij baseballowy.

– ...którego inni ludzie czasami uznają za groźnego. – Odwrócił się w moją stronę, odstawił kieliszek i popatrzył na mnie. – Uważam, że mamy ze sobą wiele wspólnego. – Stał przede mną i wyciągnął prawą rękę. – Jesteś tutaj, ponieważ chciałem poświęcić chwilę, by uścisnąć twoją dłoń i życzyć ci szczęścia.

Wstałem nieco chwiejnie i podałem mu rękę. Uścisk jego dłoni był...

Nie da się uścisnąć dłoni góry. Nie da się uścisnąć dłoni trzęsienia ziemi. Nie da się uścisnąć dłoni straszliwej ciszy i całkowitej ciemności na dnie oceanu.

Ale gdyby się dało, mogłoby to przypominać uścisk dłoni władcy Podziemnego Świata i jego błogosławieństwo.

– Życzyć mi szczęścia? – szepnąłem, gdy już odzyskałem oddech. – Nie pomożesz mi?

– To nie należy do moich obowiązków – odrzekł Hades. – Życzę ci wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że zatriumfujesz. Ale nawet gdybyśmy żyli w czasach, w których moja wola mogłaby pokierować twoim przeznaczeniem, Pan Śmierci nie powinien stawać po jednej ze stron w tym konflikcie. Los tej broni powinien zależeć od tych, którzy ją odnaleźli.

– Przecież już mi pomogłeś – odparłem. – Mówiąc mi, co się dzieje.

Hades nie uśmiechnął się, ale kąciki jego ust się zmarszczyły.

– Ja jedynie zadałem ci kilka pytań. Jesteś gotowy?

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziałem.

– To typowe u śmiertelników.

– Co się stanie z Deirdre?

Hades zaczerpnął powietrza. Jego twarz stała się pozbawiona wyrazu. Przez chwilę sądziłem, że nie odpowie, ale potem przerwał milczenie.

– Obecnie stosunkowo niewiele cieni przybywa do mojej krainy. Większość z nich stanowią ludzie, którzy tracą życie przy bramach, zwłaszcza Bramie Krwi. Dziewczyna zostanie pod moją opieką.

– Wyrządziła tyle zła – odrzekłem cicho. – Skrzywdziła tylu ludzi. A teraz wymknie się sprawiedliwości?

Oczy mojego gospodarza upodobniły się do twardych kawałków węgla.

– To moja kraina – odparł, a jego głos zabrzmiał jak zgrzyt płyt tektonicznych.

Za nim Łatek warknął ostrzegawczo. Jego warknięcie, wzmacnione przez trzy krtanie i rozbrzmiewające w potężnej piersi, przypominało odgłos maszynierii w rzeźni.

Nie odpowiedziałem. Przynajmniej miałem na tyle rozumu, by wreszcie się przymknąć. Jak najpokorniej pochyliłem głowę.

Hades machnięciem dłoni uspokoił Łatka, a jego głos znów złagodniał.

– Jeśli przetrwasz najbliższą godzinę, sięgnij do klasyków, Sir Harry, oraz powróć do pytania, które nosisz w myślach.

Pokiwałem głową i pomyślałem o innych w Podziemnym Świecie. Tantal. Syzyf. Sępy wyrywające wątroby, woda, którą można przenosić tylko sitem, niepowstrzymane ogniste koła, kary przygotowane z myślą o konkretnej duszy.

Nie wiedziałem, co się stanie z Deirdre, ale na pewno jej się nie upiecze.

– Rozumiem – odrzekłem cicho.

Hades pokiwał głową.

– Powrócisz do tej samej chwili, w której spowolniłem czas, i znajdziesz się w tym samym położeniu. Jesteś gotowy?

Powoli zaczerpnąłem powietrza.

– Chyba nie mam wyjścia.

Jego oczy zamigotały i skinął głową, być może z uznaniem.

Potem znów pochłonął mnie czarny ogień.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

– Jeśli jest w to wbudowane jakieś urządzenie, to ja go nie widzę – poinformowała Valmont szeptem i się podniosła.

Rozejrzałem się nieco rozpaczliwie, a moje oczy potrzebowały kilku sekund, by przyzwyczać się do słabszego światła. Tak jak zapowiedział Hades, znalazłem się w tym samym miejscu, a od mojego zniknięcia upłynął zaledwie ułamek sekundy.

Pięć relikwii. Mab obiecała Nicodemusowi, że pomożę mu zdobyć Graala. Nie wspomniała ani słowem o pozostałych przedmiotach. To oznaczało, że mogę ukryć przed nim cztery artefakty. Nick jeszcze ich nie widział, więc nie będzie wiedział, że tutaj były. Musiałem je zdobyć i za wszelką cenę przed nim ukryć. To oznaczało, że powinienem w miarę możliwości rozdzielić je i gdzieś schować.

Ale to nie wszystko. Stawką było zwycięstwo w grze, którą przygotowała dla mnie Mab.

A raczej, co teraz zrozumiałem, w grze, którą Mab dla mnie ustawiła. Zadbala o to, żebym nie mógł spudłować. Cel nie był zbyt zachęcający, ale nie każde zadanie, jakiego się podejmowałem, było czyste i przyjemne.

Wiedziałem, jak zwyciężyć zgodnie z oczekiwaniami Mab. Sztuczka polegała na tym, żeby wygrać i jednocześnie przeżyć.

W myślach przejrzałem karty, które ukrywałem w dłoni.

Jeśli zrobię z nich dobry użytek, powinienem wygrać tę partię.

– No tak – odezwałem się cicho.

Podszedłem do ołtarza i zacząłem zabierać święte przedmioty. Tabliczkę. Koronę.

– Zabierz je – szepnąłem, podając je Valmont. – Schowaj się gdzieś i włóż je do plecaka. Jeśli się nie zmieszczą, ukryj je gdzieś indziej.

Valmont popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego?

– Nie mogą wpaść w niepowołane ręce – wyjaśniłem.

– Dresden, robię to dla pieniędzy i dla zemsty, jeśli nadarzy się taka okazja. Nie dla idei.

Zacisnąłem zęby i popatrzyłem na nią ze szczerą miną.

– Anno, czy kiedykolwiek cię oszukałem? – spytałem. – Potrzebuję twojej pomocy. Komu bardziej ufasz? Nicodemusowi czy mnie?

Przez ułamek sekund patrzyła na mnie surowym wzrokiem, a potem skinęła głową i zabrała relikwie. Zaczęła wpychać je do swojego plecaka. Nie napełniła go diamentami nawet w połowie, więc się zmieściły.

– Hej, czy to Całun?

– Wygląda na starszy i bardziej zaniedbany niż ten, który ukradł Kościołowi – odrzekłem, zwijając wiekową tkaninę i wpychając ją do kieszeni płaszcza. Była straszliwie cienka i zajmowała mniej miejsca, niż można się było spodziewać. – Psiakrew, może tamci badacze rzeczywiście mieli rację i Kościół ma podróbkę.

– Ale myślałam, że on ma cudowną moc? – zdziwiła się Valmont.

– Owszem, ale nie tak silną jak ten. – Palce wciąż mnie mrowiły po dotknięciu tkaniny. – Poza tym mówimy o mocy wiary. Może jeśli wystarczająco dużo osób wierzy, że to rzeczywiście Całun, on nabiera mocy.

– To trochę oszustwo.

– Czepiasz się – odparłem.

Nagle podniosła głowę i wytrzeszczyła oczy.

– Dresden – syknęła.

Po chwili usłyszałem zbliżające się kroki. Serce załomotało mi w piersi. Udało mi się chwycić nóż i wsunąć go do rękawa płaszcza, a następnie przesunąć kielich na środek ołtarza. Nawet lekki kontakt przypominał porażenie prądem. Zdrętwiała mi ręka, a wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba.

Powstrzymałem ogarniające mnie drżenie, a pół sekundy później pojawił się Nicodemus, za którym szli Michael, Hannah Ascher i Genoskwa. Ascher niosła moją laskę, na której runy stopniowo przygasały. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale zadowolonej z siebie. Dźwigała na ramieniu jeden plecak pełen bogactw, a drugi ciągnęła za sobą jak przeładowany bagaż na lotnisku.

– Są – odezwał się Michael, kiedy mnie zobaczył. Wyglądał na uspokojonego i chyba niczego nie zabrał. – Dzięki Bogu.

Pomachałem ręką do grupy, dzięki czemu nóż wślizgnął się głębiej do rękawa.

– Tutaj. Znalazłem go.

Wszyscy zeszli do sceny. W oczach Nicodemusa tliła się podejrzliwość.

– Dresden. Znalazłeś Graala?

– Najpierw poprosiłem Valmont, żeby sprawdziła, czy na ołtarzu nie ma pułapek. Twierdzi, że jest czysty – odrzekłem, nie do końca kłamiąc. – Sam też go sprawdziłem.

– Dlaczego zostawiłeś tam laskę? – spytał Nicodemus szorstkim głosem. – Żeby odwrócić uwagę?

– Uznałem, że przyda się wam jakiś punkt orientacyjny, żeby nas znaleźć – skłamałem beczelnie. Odsunąłem się na bok i wskazałem kielich efektownym gestem. – Ta-da!

Nicodemus przyglądał mi się surowo przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na kielich stojący na marmurowym ołtarzu. Widziałem, jak w jego głowie obracają się trybiki. Michael wytrzeszczył oczy.

– To on? – spytał. – To naprawdę on?

– Jest tak potężny, że czuję mrowienie w zębach – odrzekłem. – Tak, myślę, że to on. – Popatrzyłem na Nicodemusa. – Masz swój przeklęty kielich. Pakujmy się, zabierzmy dolę Greya i wynośmy się stąd.

Nicodemus powoli okrążył ołtarz, uważnie mu się przyglądając. Jego cień wił się i kłębił niecierpliwie. Odsunąłem się o krok, żeby mnie nie dotknął, ponieważ to obrzydliwe.

– Wiem, że bardzo chciałaś położyć ręce na mojej lasce – odezwałem się do Ascher, kiedy Nicodemus przyglądał się ołtarzowi. Wyciągnąłem rękę. – Ale wolę sam zająć się swoim sprzętem. Magowie już tak mają.

– Kurczę – odpowiedziała, posyłając mi uśmiech i czerwieniąc się z podniecenia. – Nie zostawiłeś mi żadnego pola manewru. Nie mam nic do dodania.

– Po prostu jestem taki dobry.

Rzuciła mi laskę, ale niedokładnie, tak że prawie ją upuściłem. Nie było łatwo złapać ją prawą ręką, jednocześnie nie prostując lewej ręki, by nóż nie wysunął się z rękawa.

Mosiężna rękojeść noża stuknęła o aluminiową szynę na mojej lewej ręce.

Nicodemus gwałtownie podniósł głowę.

Przez chwilę nie odrywał ode mnie ciemnych, matowych oczu.

– Panno Valmont – odezwał się cicho. – Cofnij się do wejścia. Stań na straży i powiedz Greyowi, żeby przyszedł po swoją część łupu.

Valmont się zawahała i popatrzyła na mnie.

Tutaj tylko mi przeszkadzała. Gdyby udało mi się ją odesłać, Nicodemusowi trudniej byłoby wykorzystać ją przeciwko mnie. Poza tym, im bardziej rozproszymy relikwie, tym lepiej.

Pokiwałem głową, a Valmont bezgłośnie oddaliła się w stronę wejścia do skarbcza.

Michael stanął obok mnie i gwałtownie przekrzywił głowę, podnosząc wzrok na posągi.

– Harry, czy ta rzeźba nie przypomina ci Molly? – spytał.

Cholera. Lepiej, żebyśmy się teraz nie rozpraszali czymś takim.

– Pffft – prychnąłem. – Co takiego? Nie, to absurd. Może trochę. Ktoś mógłby tak pomyśleć. Ona ma... pospolitą twarz.

Michael zacisnął usta i zerknął na mnie.

– Możesz się skupić? – syknąłem. – Jesteśmy uwięzieni w Podziemnym Świecie, gdzie mogą na nas czyhać epickie greckie niebezpieczeństwa. Skoncentruj się, proszę.

Michael zmierzył mnie wzrokiem.

Psiakrew, naprawdę wolałbym teraz tego uniknąć. Anna pewnie już była w bezpiecznej odległości. Przez kolejne kilka chwil Grey będzie zajęty zabieraniem skarbów, zatem pozostają Nick i Genoskwa przeciwko mnie i Michaelowi.

Byłem gotów na taką walkę.

Ale co robi Hanna Ascher? Strona, którą wybierze, zyska przewagę. Ascher co prawda mnie lubiła, ale z drugiej strony Nicodemus uratował ją przed salamandrą, a ona przyłączyła się do jego drużyny, nie do mojej. Jeśli pozostanie wierna kodeksowi najemników Bindera, poprze Nicodemusa. Rozpaczliwie zastanawiałem się, co mogę zrobić, żeby przeciągnąć ją na swoją stronę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Kurczę.

Może nie powinienem był odrzucać jej zalotów. Zwłaszcza że już czuła się odrzucona przez Bindera. Może to miałyby istotne znaczenie.

Ale któż może to wiedzieć? Dawno już tego nie robiłem. Niewykluczone, że jeszcze bardziej bym się pograżył.

Coś nie dawało mi spokoju, jakieś przeczucie dotyczące Ascher, ale zbyt niewyraźne, żebym mógł je zrozumieć.

Za chwilę Nicodemus rozluźni się i wyzbędzie niepewności. Jeśli się nie pośpieszę, przegram. Czas naglił.

– Może trochę szybciej – rzuciłem do Nicodemusa. – Nie chcę, żeby mnie pożarł trójgłowy pies albo dopadł cień Meduzy tylko dlatego, że zaczęłaś się pysnić jak każdy Zły Władca. Mówiłem ci, że już go sprawdziliśmy.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chcę się upewnić samodzielnie – odrzekł Nicodemus, nie przerywając oględzin.

– A niech to, chyba sobie żartujesz – zachnąłem się. – Mab to cwana suka, ale dotrzymuje słowa. Obiecała, że pomogę ci znaleźć i wynieść kielich, jeśli nie

będziesz próbował żadnych sztuczek, i właśnie to zamierzam zrobić. Jest bezpieczny. Masz moje słowo.

Nicodemus dalej powoli okrążał ołtarz.

– Teraz zrobiłeś się ostrożny? – spytałem. Ułożyłem laskę w zgięciu lewej dłoni i sięgnąłem po Graala.

Nicodemus przesunął dłoń na rękojeść miecza i zmrużył oczy, ale ja tylko podniosłem kielich i z namysłem zważyłem go w dłoni.

– Widzisz? Żadnych pułapek. To nie film o Indianie Jonesie, człowieku.

Nicodemus pozostał na miejscu, nieruchomy, ale jego cień rozlał się po scenie amfiteatru i wspiął do połowy wysokości tylnej trybuny. Jego krawędzie dziko falowały, jak kaptur potwornej kobry. Ta reakcja mówiła sama za siebie.

Skreśliło mnie w żołądku, ale gdy zacząłem mówić, nie dałem tego po sobie poznać.

– Właśnie po to przyszedłeś, prawda? – spytałem cicho. – Twoja córka umarła, żeby ci to dać. Hej, myślisz, że by się rozbił, gdybym go upuścił?

– Dresden – odezwał się Nicodemus. Jedwabisty ton głosu zniknął, pozostała tylko chrapliwość.

– Grawitacja wydaje się tutaj nieco silniejsza, zauważyłeś? Może na tyle, żeby coś takiego się stłukło po upuszczeniu. Wtedy okaże się, że ona umarła na darmo.

– Daj mi Graala – wyszeptał. – Natychmiast.

– Jasne. Chodź go sobie wziąć – odparłem.

Ruszył w moją stronę, okrążając ołtarz, a ja odwzorowałem jego ruchy, tak że marmurowy blat stale znajdował się między nami.

– Deirdre wczoraj opowiedziała mi o waszej relacji – powiedziałem. – Wiedziałaś o tym?

Przełknął ślinę. Jego cień drgnął, ruszając w moją stronę, okrążając nas po dużym łuku. Światło bijące od uniesionych dłoni dwóch potrójnych posągów nieco osłabło. Miałem wrażenie, że nagle osłoniły nas potężne cieniste skrzydła.

– Mówiła o stuleciach, które spędziliście razem – rzuciłem swobodnie. – O tym, że nie istnieją słowa na opisanie waszej bliskości, ponieważ żaden śmiertelnik nie mógłby jej zrozumieć. Do licha, to prawda. Ponieważ pozbyłeś się jej, jakby była śmieciem. Nie znajduję słów na opisanie ojca, który zrobił coś takiego.

Nicodemus ponownie znieruchomiał.

– Daj mi Graala – wyszeptał. – I zamknij tę niedouczoną gębę.

– Zanim ją zamordowałeś, powiedziałaś, że tylko jej ufasz – ciągnąłem konwersacyjnym tonem, nieco mocniej akcentując czasowniki. – Może zwariowałem, ale mam wrażenie, że teraz czeka cię kilka tysięcy zimnej

puszki. To dopiero syndrom opuszczonego gniazda. Moneta, którą masz w kieszeni, pewnie bardzo ci teraz ciąży.

Nicodemus zaczął oddychać szybciej.

Miał tysiące lat. Był złoczyńcą, który lekką ręką zabił więcej ludzi niż najskuteczniejsi seryjni zabójcy. Nie wątpiłem, że karał śmiercią znacznie mniejsze przewinienia. Był światowej klasy specjalistą od zadawania cierpienia i śmierci. Najgroźniejszym wrogiem, jakiemu stawiałem czoło.

Ale gdzieś w głębi tego potwora kryło się coś niemal ludzkiego. Coś, co odczuwało stratę. Coś, co odczuwało ból.

Właśnie to doprowadzało go do wściekłości.

Zaczynał tracić panowanie nad sobą.

To najlepszy plan, jaki kiedykolwiek obmyśliłeś, Harry, pomyślałem.

– Z pewnością nie było to łatwe dla kogoś, kto przywykł do dzierżenia takiej potęgi – powiedziałem. – Zdałeś sobie sprawę, że na skutek tego, jakie wiodłeś życie, nikt nie zechce z własnej woli pójść za tobą, dać ci się zabić, a następnie pociągnąć tę dźwignię. Na pewno rozmyślałeś nad tym problemem całymi latami. Czy cierpiełeś, gdy w końcu dotarło do ciebie, co musisz poświęcić?

Pierś Nicodemusa zaczęła falować, a oczy się rozszerzyły.

Kątem oka zauważyłem Michaela, który stał z mieczem w rękach i zerkał w bok, nie skupiając wzroku na niczym konkretnym. Genoskwa górował nad nim. Michael ułożył palce prawej dłoni w szermierczy chwyt na rękojeści Amoraacchiusa i powoli zaczerpnął tchu.

– Najzabawniejszy był tekst o tym, że jest chroniona przed piekłem – ciągnąłem. – Sprowadziłeś ją tutaj i oczekiwałeś, że nie zostanie osądzona? Czytałeś grecką mitologię? Zdajesz sobie sprawę, na jakie kary skazuje ludzi Hades? W piekle przynajmniej wszyscy cierpią tak samo. Tutaj pokuta jest osobista. Chciałeś w ostatniej chwili sprzedać jej pocieszające kłamstwo, by upewnić się, że pociągnie za dźwignię?

Nicodemus błyskawicznie dobył miecza.

– Oddaj mi Graala albo cię zabiję.

Na dzwony piekieł. Sprawilem mu ból.

Popatrzyłem na kielich i poczułem wstyd, ale nie zawahałem się nawet przez sekundę. Istnieją bronie, które nie mają nic wspólnego ze stalą, wybuchami czy potężnymi zaklęciami, a ja właśnie z takiej korzystałem.

– Pamiętasz? – spytałem bardzo cicho. – Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłeś? Kiedy po raz pierwszy na ciebie popatrzyła? Pamiętasz tamtą zmianę? Jakby cały wszechświat nagle się poruszył? Pamiętasz, jak spojrzaleś na nią i zrozumiałeś, że już nigdy nie będziesz taki sam? Myślisz, że ten kielich da ci coś takiego?

Rzuciłem Graala w jego stronę po delikatnym łuku.

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, ale złapał go zręcznie, a całe jego ciało zadrżało pod wpływem przenikającej go mocy.

Popatrzyłem na niego, na jego twarz i sylwetkę, po czym odezwałem się z czystą pogardą w głosie.

– Nie wiem, jak mówiło się w tamtych czasach, ale założę się, że jej pierwszym słowem było „tata”.

Coś w nim pękło.

Jego pierś przestała falować.

Pojawiła się pojedyncza łza.

Kiedy się odezwał, jego głos był beznamiętny i martwy.

– Zabij ich.

W tej chwili gra dobiegła końca.

Wygrałem?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Tymi słowami Nicodemus zerwał układ zawarty z Mab i zwolnił mnie z obowiązku udzielenia mu pomocy w zdobyciu Graala. Wypełniłem obietnicę w każdym szczególe, przynajmniej w granicach oczekiwań Mab. Psiakrew, nawet wręczyłem mu Graala. A jeśli nie był w stanie zaakceptować trudnej prawdy, to już jego problem.

A w zasadzie jego i mój. Ponieważ poważną wadą planu polegającego na doprowadzeniu do wściekłości emocjonalnie niezrównoważonego psychopaty po to, by spróbował mnie zabić, było to, że rzeczywiście postanowił to zrobić.

To nie było złe miejsce na potyczkę. Niewielu walczących i znikomy wpływ otoczenia. Gdybym zaczekał, aż wrócimy do Chicago, Nick dysponowałby praktycznie nieograniczoną liczbą cywili, których mógłby zabić lub wykorzystać jako zakładników. Co więcej, ja także mógłbym przypadkiem kogoś skrzywdzić, a podczas walki z przywódcą Denarian nie mogłem sobie pozwolić na finezję. Co więcej, gdybyśmy zmierzyli się w Chicago, musiałbym się martwić, po czyjej stronie stanie Binder, nie wspominając o ryzyku przyłączenia się giermków oraz o tym, że wysłannicy Marcone'a niewątpliwie spróbowaliby zamordować nas wszystkich.

Tutaj, w Podziemnym Świecie, nie musiałem się ograniczać. Walka będzie czysta, na ile to możliwe, a ja nie będę musiał się martwić o niewinne ofiary.

Tylko o Michaela i siebie.

Jednakże abstrakcyjne rozważania na temat decyzji, które doprowadziły do tej walki, musiały poczekać, ponieważ rzeczywista potyczka rozegrała się tak szybko, że praktycznie nie miałem czasu do namysłu.

Genoskwa skoczył w moją stronę, co stanowiło głupi błąd – powinien był rzucić się na Michaela.

Rycerz Krzyża wspiał się na palce, a Amoracchius zapłonął wściekłym światłem. Michael nie poruszał się z osłepiającą szybkością. Jego atak opierał się na doskonałym wyczuciu czasu. Kiedy Genoskwa go minął, Michael zawirował, powiewając peleryną, i zadał cios z obrotu, prowadząc ostrze oburącz od

poziomu swoich kostek, aż nad głowę. Miecz naznaczył świetlistą linią tylną część jednego z grubych, włochatych kolan Genoskwy.

Usłyszałem odgłos rozcinanych ścięgien, grubych jak liny, które pękły niczym cięciwa łuku, a noga olbrzyma ugięła się pod nim w pół kroku.

W tej samej chwili Nicodemus wyrzucił przed siebie obie ręce, a na mnie runęła straszliwa, dusząca ciemność.

Rozwahałem dwie potencjalne reakcje na jego agresję – i musiały to być reakcje, a nie mój własny atak. Kiedy już będzie po wszystkim, chciałem, by Mab nie miała najmniejszych wątpliwości, że to on zwrócił się przeciwko mnie, a nie odwrotnie. Mógł zaatakować mnie mieczem – z tego, co miałem okazję zaobserwować, tak zazwyczaj załatwiał sprawy. W takim wypadku powstrzymałaby go tarcza, przynajmniej na jakiś czas.

Albo, w przyływie wściekłości, mógłby uwolnić przeciwko mnie pełną złowrogą moc Anduriela. Co właśnie uczynił.

To nie było typowe zachowanie dla Nicodemusa.

Zdażyłem przygotować odpowiednią obronę.

– *Lumos!* – krzyknąłem, gdy ciemność zamknęła się wokół mnie, i wlałem swoją wolę w takie samo zakłęcie światła, jakiego używałem wcześniej, tylko że dodałem do niego porcję Ognia Duszy.

Światło wystrzeliło do przodu w postaci kuli, która eksplodowała w deszczu iskier, gdy zderzyła się z czymś, co ją pożarło i wciągnęło w nicość. Od środka wyglądało to dziwnie. Pełzająca wokół mnie ciemność obejmowała płynące światło, cofała się przed iskrami, a następnie ruszała w ślad za nimi, wściekle pobudzona, ale nie była w stanie zbliżyć się bardziej niż na odległość wyciągniętej ręki.

Usłyszałem, jak Nicodemus woła coś w języku, którego nie rozumiałem, a Genoskwa zawył z wściekłości i bólu. Coś ciężkiego sprawiło, że ziemia zadrżała mi pod stopami, i rozległ się potężny trzask.

Głos Michaela zabrzmiał jak srebrna trąba.

– *In nomine Dei! Lux et veritas!*

Stal brzęknęła o stal, a ja zdałem sobie sprawę, że pomyliłem się w obliczeniach. To nie było starcie między Nickiem i Genoskwą a mną i Michaeliem. Po ich stronie był także *Anduriel*, z którym właśnie się potykałem.

Genoskwa ryknął i domyśliłem się, że na mnie zaszarżował. Gdybym się poruszył, wkroczyłbym w kłębiący się mrok, co było fatalnym pomysłem, więc zamiast tego skrzyżowałem ręce na piersi i mruknąłem pod nosem:

– Zobaczmy, czy zmiażdżysz to, brzydalu.

Następnie przywołałem moc Zimy i krzyknąłem: „*Arctispinae!*”.

Gwałtownie rozłożyłem ręce, a wtedy okruchy Zimy zamroziły wodę w powietrzu, tworząc setki lodowych igieł, które poleciały w ciemność. Nie były zaczarowanymi przedmiotami, ale zwykłymi ostrymi kawałkami rozpedzonej materii. Byłem przekonany, że niezależnie od tego, jaka moc pozwala Genoskwie neutralizować skutki stosowanych przeciwko niemu czarów, musi ona podlegać prawom magii.

Wykorzystałem dźwięk jako punkt odniesienia i zamachnąłem się laską po obszernym łuku, a zielono-srebrzyste światło naznaczone Ogniem Duszy odepchnęło istotę Upadłego anioła, która wciąż na mnie napierała. Na końcu laski skryzalizowała się nieregularna bryła lodu Zimy; miała rozmiary mojej głowy i była twardsza od kamienia. Wycelowałem w źródło dźwięku i wykrzyknąłem: „*Forzare!*”.

Promień czystej kinetycznej energii wystrzelił lodową bryłę z końca mojej laski i posłał ją w ciemność jak kulę armatnią. Rozległ się potężny mięsisty trzask twardego lodu zderzającego się z muskularnym ciałem. Zapewne trafiłem go w żołądek, ponieważ zamiast ryku Genoskwa wydał z siebie gniewny syk.

Stał ponownie brzęknęła o stal i usłyszałem zbliżający się tupot roboczych butów na marmurze.

– *Omnia vincit amor!* – zawołał Michael i oślepiający biały ogień Amoracchiusa rozbił otaczającą mnie ciemność, jakby była wysuszoną skorupką jajka.

Odzyskałem wzrok. Nicodemus biegł za Michaeliem z mieczem w dłoni, ale po pęknięciu Anduriela wrzasnął, zachwiał się i przyklęknął na jedno kolano. Zdołał obronić się przed upadkiem tylko dzięki temu, że wyciągnął przed siebie lewą rękę.

Niedaleko od nas Genoskwa podnosił się z ziemi. Bryła lodu, którą przywołałem, odrzuciła go do tyłu ponad marmurowym ołtarzem na środku sceny. Jedna strona jego klatki piersiowej sprawiała wrażenie zniekształconej. Stwór opierał się na trzech kończynach, ciągnąc za sobą jedną nogę, i patrzył na mnie z obnażonymi żółtymi kłami.

– Wystarczy, Nicodemusie! – zagrzmiął Michael, a jego głos odbił się echem od marmuru i bogactw zgromadzonych w skarbcu. – Wystarczy!

Oszło miła mnie sama siła jego głosu. Oparłem się o niego plecami, nie spuszczać Genoskwy z oczu.

– Czy nie wystarczy ci to, co się dzisiaj wydarzyło? – spytał Michael niemal błagalnym tonem. – Na Boga, człowieku, jeszcze nie otworzyły ci się oczy?

– Michaelu – warknąłem przez zaciśnięte zęby. – Co ty robisz?

– To, co do mnie należy – odpowiedział, równie cicho. – Nicodemusie Archleone – odezwał się delikatnym głosem do powalonego Denarianina. –

Popatrz na siebie. Popatrz na swoją furję. Popatrz na swoją ścieżkę. Zobacz, do czego cię doprowadziły, człowieku. Twoje własne dziecko.

Nicodemus podniósł wzrok na Michaela, a na jego twarzy pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej tam nie widziałem.

Znużenie. Napięcie. Niepewność.

– Oto, do czego doszło, Nicodemusie – rzekł Michael cicho. – Do tego doprowadziła cię podróż w ciemność chciwości i ambicji. Stoisz pośród niespotykanych, niewyobrażalnych bogactw, ale z ich powodu straciłeś jedyną rzecz, która miała dla ciebie znaczenie. A wszystko przez kłamstwa i intrygi Upadłego.

Nicodemus się nie poruszał.

Podobnie jak Genoskwa. Ale na wszelki wypadek przywołałem kolejną bryłę lodu na końcu laski.

Michael opuścił miecz, a gniewny ogień Amoračiusa stał się nieco mniej gwałtowny i gorący.

– Jeszcze nie jest za późno. Nie rozumiesz, co się tutaj wydarzyło? Wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce, byś mógł znaleźć się w jedynym miejscu, w którym mogą ci się otworzyć oczy. W którym możesz otrzymać szansę – być może ostatnią – aby zawrócić ze ścieżki, którą kroczysz od tak dawna. Ścieżki, która przyniosła tobie i wszystkim wokół ciebie wyłącznie cierpienie i smutek.

– Naprawdę wierzysz, że to jest to? – odezwał się Nicodemus beznamiętnym tonem. – Moja szansa na odkupienie?

– To nie jest kwestia wiary – odparł Michael. – Widzę to na własne oczy. Właśnie dlatego sięgnąłem po Miecz. Aby ocalić ciebie i innych takich jak ty, których wykorzystali Upadli. Dlatego otrzymałem łaskę ponownego stanięcia do walki – by dać ci szansę.

– Na przebaczenie? – parsknął Nicodemus.

– Na nadzieję – odrzekł Michael. – Na nowy początek. Na pokój. – Przełknął ślinę. – Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby coś stało się mojej córce. Żaden ojciec nie powinien patrzeć na śmierć dziecka. – Głos Michaela pozostał pewny, cichy i szczery. – Chociaż wiele nas różni, pod względem czasu i wiary, wciąż jesteś człowiekiem. Wciąż jesteś moim bratem. Bardzo mi przykro, że cierpisz. Proszę. Pozwól sobie pomóc.

Nicodemus zadrżał i spuścił wzrok.

Zamrugalem.

Przez chwilę sądziłem, że Michaelowi się uda.

Ale potem Nicodemus pokręcił głową i cicho się roześmiał. Wstał, a jego cień rozrósł się mu za plecami, gromadząc ciemność z całego pomieszczenia

i tworząc z niej mglistą kałużę u stóp.

– Ty świętoszku – odezwał się pogardliwie. – Wydaje ci się, że wiesz, czym jest poświęcenie. Wiara. Ale w porównaniu z moją wiarą twoja jest rojeniem dziecka.

– Nie rób tego – powiedział Michael niemal błagalnym tonem. – Proszę, nie daj im wygrać.

– Nie dać im wygrać? – zachnął się Nicodemus. – Nie tańczę, jak mi zagrają Upadli, Rycerzu. Owszem, kroczymy razem, ale to ja wybieram muzykę. To ja ustalam rytm. Od niemal dwóch tysięcy lat krocę swoją ścieżką, pokonując wszystkie zdradzieckie zakręty i opierając się pokusom, by ją porzucić. Dzięki stuleciom wysiłków, badań, planów i zwycięstw to one podążają za moim przewodnictwem, a nie odwrotnie. Mam zejść ze swojej ścieżki? To ja wypaliłem ten szlak wiodący poprzez wieki historii ludzkości, poprzez wojnę, zarazę, szaleństwo, chaos i oddanie. Jestem swoją ścieżką, a ona jest mną. Nie ma odwrotu.

Cień u jego stóp pociemniał i pulsował w rytmie słów, a ja zadrżałem, widząc jego dumną postawę i jasność wzroku oraz słysząc całkowitą i szczerą pewność w głosie.

Właśnie tak musiał wyglądać Lucyfer, zanim wszystko diabli wzięli.

Wciąż stałem oparty plecami o Michaela, więc poczułem, jak ramiona opadają mu pod wpływem rozczarowania. Ale kiedy znów uniósł miecz, w jego głosie nie było żalu ani słabości.

– Mimo wszystkiego, co z siebie dałeś w ich służbie, teraz stoisz samotnie przed Amorcchiusem. Szczerze żałuję twojej duszy, bracie, ale musisz odpowiedzieć za swoje czyny.

– Sam – zamruczał Nicodemus. – Sądzisz, że jestem sam?

Wyszczrzył się do nas jak głodny rekin, a mój żołądek wywinął koziołka.

Genoskwa także uśmiechnął się za kamiennym blokiem. Wyglądałoby to wyjątkowo paskudnie, gdyby nie fakt, że po chwili nad jego przepastnymi oczodołami otworzyła się druga para lśniących zielonych oczu, a na środku czoła blado zapłonął jakiś wijący się magiczny symbol, co sprawiło, że stał się istotą rodem z koszmaru. Na moich oczach z czaszki Genoskwy gwałtownie wysunęły się zakręcone baranie rogi i olbrzym zaczął się jeszcze bardziej rozrastać. Jego futro zgęstniało, a z boków wyrosła dodatkowa para kończyn. W ciągu kilku uderzeń serca na miejscu Genoskwy pojawił się stwór przypominający prehistorycznego niedźwiedzia, tylko z rogami oraz dodatkowymi nogami i oczami. Był ogromny.

– Ursiel – szepnąłem. Upadły anioł tak potężny, że kiedy pojawił się poprzednio, pokonało go dopiero trzech Rycerzy Krzyża. A tym razem nie był

związany z chudym, wyniszczonym ciałem obłąkanego poszukiwacza złota. – O, cholera.

– To jeszcze nie koniec – rozległ się czyjś głos.

Popatrzyłem za plecy Ursiela i Genoskwy i zobaczyłem, że Hannah Ascher wspina się po schodach na scenę. Odrzuciła plecaki i szła z leniwą, zamierzoną zmysłowością, a kiedy znalazła się na szczycie, wyciągnęła ręce nad głowę i jej ubranie po prostu... rozwiało się jak dym w kłębiące się kosmyki fioletowej mgiełki, która unosiła się wokół niej i zakrywała najbardziej intymne miejsca, bardziej dla efektu niż ze skromności – jak pióra w kostiumie tancerki. Hannah uśmiechnęła się powoli, nad jej brwiami otworzyła się druga para lśniących fioletowych oczu, a na czole rozjarzył się symbol nieco przypominający klepsydrę.

Znałem go.

Przez lata był wytrawiony na moim ciele.

– Lasciel – szepnąłem.

– Witaj, kochanku – odezwał się gardłowy, figlarny głos, który nie przypominał głosu Ascher. – Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam.

Nachyliłem głowę w stronę Michaela.

– Będziemy musieli poważnie porozmawiać z Kościołem na temat tego, co według nich znaczy „bezpiecznie przechować”.

Michael zerknął na mnie, lekko marszcząc czoło, żeby dać mi do zrozumienia, że to nie jest właściwa chwila.

Lasciel roześmiała się melodyjnie, co było czystą rozkoszą dla uszu.

– Och, Harry. Naprawdę sądziłeś, że można zawinąć zepsucie w czystą chusteczkę i zamknąć je w pudełku? Oczywiście, że nie. Śmiertelnicy nie są w stanie utrzymać takich potęg jak my, mój ukochany. Jesteśmy częścią was wszystkich.

Michael skłonił ku mnie głowę.

– Ukochany? – spytał.

Wzruszyłem jednym ramieniem.

– To skomplikowane.

– O rany.

Zwróciłem się w stronę Lasciel.

– Cześć, Hannah. Zaufaj komuś, kto się na tym zna. Naprawdę nie powinnaś tego robić.

Ludzkie oczy Ascher się zwężyły.

– Jasne – odrzekła własnym głosem. – Ponieważ moralne życie jest takie wspaniałe. Strażnicy Białej Rady próbowali mnie zabić przez większość mojego

doroślego życia, ponieważ kiedy miałam siedemnaście lat postawiłam się trzem mężczyznom, którzy próbowali mnie zgwałcić.

– Nie bronię ich – odparłam. – Ale zabiłaś ludzi za pomocą magii, Hannah. Złamałaś Pierwsze Prawo.

– A ty niby nie – warknęła. – Hipokryto.

– Ejże, chwileczkę – zaprotestowałam. – Znamy się z Lasciel nie od dziś, ale chociaż stoimy po różnych stronach prawa, nigdy nie byliśmy ze sobą skłócenii.

– Akurat – parsknęła. – Po kilku latach ucieczki trafiłam do Bractwa Świętego Idziego. Pamiętasz ich, prawda? Goście, którzy walczyli z Czerwonym Dworem? Wyszkolili mnie i zapewnili bezpieczne schronienie. Psiakrew, przez sześć lat mieszkałam na plaży w Belize. Żyłam pełną piersią. Miałam przyjaciół. Nawet walczyłam po stronie dobra.

– Brawo – odrzekłam, starając się nie okazywać oszołomienia. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Wszystko! – wrzasnęła, a fioletowa mgiełka wokół niej nagle rozjarzyła się posępnymi płomieniami.

Wbrew sobie przełknęłam ślinę.

– Kiedy zniszczyłeś Czerwony Dwór, uśmierciłeś jednocześnie większość członków Bractwa. Wszystkie pół-wampiry, które miały więcej niż kilkadziesiąt lat, po prostu rozplynęły się w powietrzu przed naszymi oczami. Ludzie, którzy obdarzyli mnie zaufaniem. Szacunkiem. Moi przyjaciele. – Pokręciła głową. – Ty arogancki sukinsynu, założę się, że nawet o nich nie pomyślałeś, zanim to zrobiłeś, prawda?

– Gdybym wiedział, że tak się stanie, i tak bym to zrobił – odrzekłam. – W przeciwnym razie Maggie nie przeżyłaby tamtej nocy.

– Mój świat się rozpadł – syknęła Ascher. – Finanse, koordynacja, komunikacja. Znalazłam się na ulicy. Gdyby Binder mnie nie znalazł... – Pokręciła głową.

– Tak, Binder i jego Pierwsza Zasada – odrzekłam. – Nie wie, co zrobiłaś, prawda?

Zmrużyła oczy, a jej głos stał się nieco bardziej żarliwy.

– Nicodemus i Lasciel oraz pozostali Denarianie zawsze traktowali mnie z szacunkiem – odparła. – Rozmawiali ze mną. Ufali mi. Współpracowali ze mną. Uczynili mnie bogatą. Kiedy jedna strona traktuje cię jak żalosną dziwaczkę i zwierzynę łowną, a druga jak kogoś równego sobie, wybór staje się bardzo prosty.

Trudno się z tym spierać. Mimo wszystko spróbowałam.

– To nie znaczy, że musisz robić wszystko, czego on od ciebie chce.

Roześmiała się chrapliwie.

– Ale ja też chcę to zrobić – odparła. – Marzyłam o tym. Za każdym razem, gdy na mnie patrzyłeś, flirtowałeś ze mną albo rozmawiałeś.

– Ja też – odezwała się Lasciel tymi samymi ustami. – Jeszcze nikt mnie nie odrzucił, Harry. Nigdy. I pomyśleć, że cię lubiłam.

– Nic by z tego nie wyszło, mała – odrzekłem.

– Może tak, a może nie. W każdym razie możesz być pewien, że chyba nikt we wszechświecie równie dobrze jak ja nie wie, co znaczą słowa: „Niebo nie zna wściekłości takiej, jak miłość w nienawiść zmieniona, ni piekło nie zna furii takiej, jak kobieta wzgardzona”.

Ach. Więc to przed tym usiłowała mnie przestrzec moja podświadomość. Lasciel była tuż pod moim nosem i pragnęła zemsty.

– Co to znaczy? – spytałem.

– To znaczy, że skoro szept do ucha, który powinien był cię zabić, najwyraźniej nie zadziałał, zamierzam dać sobie spokój z subtelnościami. Po prostu rozerwę ci czaszkę i zabiorę nasze dziecko. Jest zbyt cenna, żebym pozwoliła jej umrzeć razem z tobą.

Wytrzeszczyłem oczy.

– A więc wiesz o tym.

– Dziecko? – spytał zbity z tropu Michael.

– To skomplikowane – syknąłem przez zaciśnięte zęby.

No cóż, przynajmniej już wiedziałem, po której stronie stanie Ascher.

– Poprosiłbym cię, żebyś oddał mi nóż, Dresden – odezwał się Nicodemus, nie przestając się uśmiechać. – Ale w odróżnieniu od twojego przyjaciela nie daję ludziom drugiej szansy. Zresztą za chwilę już nie będziesz go potrzebował.

Ursiel wydał z siebie odgłos, który do tej pory kojarzył mi się wyłącznie z ciągnikami siodłowymi, a który mógł być pomrukiem głodu. Potem bez trudu zrobił krok nad półtorametrowym blokiem i bezgłośnie przemieścił się w moją lewą stronę. Lasciel przesunęła się nieco w moje prawo, a Nicodemus zajął trzeci wierzchołek koślawego trójkąta, tak że byliśmy otoczeni ze wszystkich stron.

Ten dzień popsuł się nieco szybciej, niż się spodziewałem. Prawdę mówiąc, przemknął obok moich najgorszych prognoz, zasypując je żwirem spod kół.

Nagle rozległy się kroki i do amfiteatru wkroczył Grey, swobodnie dźwigając na ramieniu plecak Anny Valmont.

Była na nim krew, podobnie jak na palcach Greya.

– Ach, Grey – odezwał się Nicodemus. Wyraźnie rozkoszował się odzyskaną przewagą po spektaklu, jaki wcześniej przed nim odegrałem. – I co?

– Valmont nie żyje, tak jak rozkazałeś – odrzekł Grey spokojnie. Rozejrzał się po scenie i z uznaniem zatrzymał wzrok na Lasciel. – Skończyliście już?

– Zostało kilka szczegółów do dopięcia – odpowiedział Nicodemus. – Rozważyłeś moją propozycję?

– Monetę? – spytał Grey. Wzruszył ramionami i ponownie zerknął na Lasciel. – To daje sporo możliwości. Ale mam kilka pytań. Dokończmy zadanie i porozmawiajmy o tym przy kolacji.

– Doskonale – odrzekł Nicodemus. – Czy mógłbyś?

Nie spuszczałem wzroku z Greya, który zajął miejsce na czwartym wierzchołku kwadratu, w którego centrum znajdowałem się razem z Michaeliem. Położył na ziemi plecak z diamentami i relikwiami, po czym z uśmiechem wyłamał palce.

– Nigdy nie udawałem, że jestem kimś więcej niż złoczyńcą – rzekł do mnie, jakby zdziwiło go moje surowe spojrzenie. – Powinieneś był to przewidzieć, magu.

– Naprawdę ją zabiłeś? – spytałem.

– Nie widziałem powodu, żeby tego nie robić. To się stało szybko.

– Ty zdradziecki sukinsynu.

Przewrócił oczami.

– Może w takim razie to ty powinieneś być mnie wynająć.

Jego odpowiedź sprawiła, że zazgrzytałem zębami.

Tym razem nie będzie żadnego kuszenia ani żadnych propozycji układów, a kawaleria nie nadjedzie zza horyzontu. Nicodemus zamierzał nas zabić.

Nie mieliśmy szans wygrać tej walki.

Usłyszałem, jak Michael bierze głęboki wdech i zaczyna szeptać słowa modlitwy. Stanął szerzej na nogach i uniósł miecz.

Zacisnąłem prawą dłoń na lasce, trzymając ją w poprzek ciała i opierając na kilku palcach uszkodzonej lewej ręki. Przywołałem siłę woli oraz moc Zimy, przygotowując się do beznadziejnej bitwy.

Lasciel uniosła otwarte dłonie, na których zapłonęły punkty fioletowego światła. Fale gorąca zamigotały wokół Hannah i Ascher.

Anduriel kłębił się jak mroczna peleryna utkana z fal rozbijających się o brzeg, pieniać się wokół smukłego ciała Nicodemusa, gdy ten uniósł miecz i ruszył naprzód.

Ursiel wydał z siebie poddźwiękowe dudnienie, które wstrząsnęło moją klatką piersiową, a paciorkowate ślepie Genoskwy rozbłysły nienawiścią ponad pyskiem prehistorycznego demonicznego niedźwiedzia.

Grey napiął się i lekko przykucnął, wyraźnie odprężony i rozbawiony.

A ja już dłużej nie potrafiłem powstrzymać obłąkanego uśmiechu, który wyrwał się na moje usta, gdy odkryłem ostatnią kartę.

– Gra skończona, stary – powiedziałem. – Gra skończona.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Dobre oszustwo nigdy nie jest kwestią przypadku.

Wymaga przygotowania.

Cofnijmy się w czasie.

Ustawmy wehikuł czasu na poranek przed trzema dniami, gdy wyszedłem z pierwszego spotkania z Nicodemusem i Deirdre w hotelu Hard Rock, po czym wsiadłem do limuzyny razem z Mab.

Powiedziałem jej, z kim chcę się zobaczyć.

Przez chwilę nie reagowała. Wpatrywała się w jakiś punkt poza dachem limuzyny i powoli obracała głowę, jakby wciąż widziała Nicodemusa i Deirdre w ich apartamencie. Miała obojętną minę, ale temperatura w samochodzie spadła o kilka stopni pod wpływem tego, co buzowało w jej wnętrzu.

– Nabierasz mądrości, mój Rycerzu – stwierdziła po chwili, odwracając głowę. – Może niezbyt szybko, ale się rozwijasz. Skonsultowanie się z nim to logiczny krok. Już umówiłam spotkanie.

– Aha – odrzekłem, bezmyślnie macając kolczyk, nienawykły do obecności czegoś metalicznego w moim uchu. – Dobrze.

– Przestań się nim bawić – odezwała się Mab. – Im mniej uwagi na niego zwracasz, tym lepiej.

Skrzywiłem się i jeszcze przez chwilę obracałem go w palcach, tylko po to, by jej pokazać, że mogę to robić, ale wiedziałem, że ma rację. Jest szansa, że ludzie wezmą ten kolczyk za zwykłą ozdobę. Gdyby Nicodemus zdał sobie sprawę, że usuwając go może mnie unieszkodliwić, sytuacja mogłaby szybko wymknąć się spod kontroli, kiedy już staniemy do walki. Opuściłem więc ręce i starałem się panować nad sobą przez resztę drogi na spotkanie, skupiając się na zaakceptowaniu tego nowego doznania i wyrzuceniu go ze swoich myśli.

Kiedy limuzyna się zatrzymała, znów zacząłem bawić się kolczykiem, a Mab westchnęła.

Pub McAnally's to najlepsza knajpa dla nadprzyrodzonych istot w Chicago. Mieści się w piwnicy, tak jak pub w serialu *Zdrówko*, ale na tym podobieństwa się kończą. Urządzono go przy użyciu bejcowanego i polerowanego drewna,

a pod sufitem zainstalowano leniwie obracające się toporne elektryczne wiatraki rodem z lat trzydziestych. Sufit znajduje się dosyć nisko, więc wirują kilka centymetrów nad moją głową, a ja za każdym razem, gdy wchodzę do lokalu, muszę pamiętać, żeby nie podskakiwać.

Mac zazwyczaj ma pełne ręce roboty, ale dzisiaj na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZAREZERWOWANE NA PRYWATNE PRZYJĘCIE. Na drugiej tabliczce, drewnianej, która znajdowała się za drzwiami, elegancko wypalono słowa WYZNACZONY TEREN NEUTRALNY. Oznaczało to, że pub stanowił oficjalne neutralne terytorium zgodnie z postanowieniami Przymierza, które było odpowiednikiem Konwencji Genewskiej w nadprzyrodzonym świecie. Mab napisała treść Przymierza, a sygnatariusze, którzy zdecydowali się złamać jego zasady, narażali się na antypatię całego nadprzyrodzonego establishmentu, a co gorsza, także na jej osobiste niezadowolenie.

Jeden z narożników tabliczki był osmalony i popękany, co stanowiło ślad bitwy z Intruzami, którzy nie są zbyt prospołeczni.

Mac, łysy, szczupły i milczący, stał za barem w charakterystycznej dla niego białej koszuli i nieskazitelnym fartuchu. Kiedy Mab weszła, odłożył ścierkę, którą polerował drewniany bar, i pokłonił się w pas, jakimś cudem nadając temu gestowi znamię kurtuazji, a nie uniżoności.

– Karczmarzu – odpowiedziała Mab i skłoniła głowę, znacznie wyraźniej niż kilka minut temu przed Nicodemusem. – Niech twoi klienci będą zamożni i uczciwi.

Mac z reguły odpowiadał pojedynczymi sylabami, ale dziś odrzekł:

– Niech twoje szalki zawsze wracają do równowagi.

Kącik ust Mab drgnął.

– Pochlebca – odrzekła.

Mac uśmiechnął się i skinął do mnie głową.

– Harry.

– Mac. Nie jadłem nic dobrego od kilku miesięcy. Niestety, mam pewne braki finansowe. Chętnie zapłacę ci we wtorek za kanapkę i piwo.

Pokiwał głową.

– Dzięki.

Mab zwróciła się w stronę stolika stojącego przy drzwiach i popatrzyła na mnie. Dopiero po chwili zrozumiałem, czego chce, i odsunąłem dla niej krzesło. Pociągnęła nosem i usiadła, splatając dłonie na podolku. Zapatrzyła się w przestrzeń, wyrzucając nas ze swojego świata, jakby zamknęła się w osobnym pokoju.

Mój kontakt czekał na mnie przy stoliku w przeciwległym kącie. Był potężnym mężczyzną w każdym znaczeniu tego słowa – wysokim, silnym

i masywnym, z piersią jak beczka i brzuchem jak baryłka. Jego włosy i broda były srebrzystobiałe, chociaż różowe, gładkie policzki nie wskazywały na zaawansowany wiek, a oczy lśniły błękitem. Miał na sobie kolczugę oraz skórzany strój myśliwski, a na stojącym obok niego krześle wisiał długi czerwony płaszcz z kapturem obszyty białym futrem. U boku przypasał prosty, szeroki miecz noszący ślady zużycia, a na podłodze u jego stóp leżał duży, pękaty skórzany worek, który pasował do niego jak torba do listonosza.

– Panie Rycerzu – powiedział.

– Przyszedłeś jako Kringle, serio? – spytałem.

Kringle do mnie mrugnął.

– Rycerz Zimy wezwał mnie jako oficjalny przedstawiciel Zimowego Dworu. Mab ma prawo wezwać Kringle'a. Gdyby zażądała Vadderunga, kazałbym jej się ustawić w kolejce.

Donar Vadderung był prezesem Monoc Securities, firmy ochroniarskiej, która dostarczała informacje i doskonale wyszkolonych specjalistów osobom dysponującym dużymi pieniędzmi. Nie znałem nikogo, kto dysponowałby lepszym dostępem do informacji niż Vadderung, może z wyjątkiem Starszych Białej Rady, tylko że on wykorzystywał tę wiedzę w znacznie mądrzejszy sposób. Oprócz tego byłem przekonany, że jest Odynem. Tym Odynem. A jeśli nie, to mógłby go doskonale udawać. Aha, był także Świętym Mikołajem.

Vadderung to skomplikowany facet.

– Ale ty i Kringle to ta sama osoba – zauważyłem.

– Pod względem prawnym Kringle i Vadderung to dwie zupełnie różne osoby, które po prostu zamieszkują to samo ciało – odrzekł.

– To fikcja – odparłem. – Protokolarna gra.

– Protokolarne gierki pozwalają okazać szacunek, zwłaszcza tym, z którymi nie najlepiej się dogadujemy. To bywa uciążliwe, ale zazwyczaj jest mniej kłopotliwe niż pojedynki.

Mac postawił na barze dwa domowej roboty piwa. Przyniosłem je do stolika i umieściłem obie butelki na środku blatu. Kringle wybrał jedną z nich, wskazał głową krzesło stojące naprzeciwko, a ja na nim usiadłem.

– Na początek założę, że wiesz wszystko to, co ja – odezwałem się.

Kąciki jego oczu się zmarszczyły, gdy wypił łyk.

– Mądre podejście.

Skinałem głową i również się napiłem. Kurczę. Piwo Maca stanowi doskonały argument za tym, że Bóg istnieje, a co więcej pragnie naszego szczęścia. Rozkoszowałem się nim przez kilka sekund, a potem ponownie skupiłem się na interesach.

– Przedstawię ci kilka moich podejrzeń, a ty powiedz, czy według ciebie mają sens.

– Bardzo proszę.

– Po pierwsze, Nicodemus szuka czegoś potężnego. Nie wiem, co to jest, ale jeśli skłonię go do powiedzenia nam, co chce zdobyć, z pewnością skłamię. Za nic w świecie nie zdradzi, jaki jest jego prawdziwy cel.

– Zgadza się – odrzekł Kringle.

Pokiwałem głową.

– Zgromadzi drużynę. Wejdą w jej skład jego ludzie, a także specjaliści z zewnątrz, ale jestem pewien, że przynajmniej jedna osoba zostanie podstawiona. Sprawiając wrażenie niezależnej, będzie miała przy sobie jedną z Monet, a któryś z Upadłych będzie szeptał jej do ucha.

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne – przyznał Kringle.

– Po trzecie, w pewnym momencie mnie zdradzi. Lubi działać i ma obsesję na punkcie kontroli, więc będzie chciał jako pierwszy wbić mi nóż w plecy. Zdaje sobie sprawę z ograniczeń, które nałożyła na mnie Mab, więc spróbuje to zrobić po tym, jak już doprowadzę go tam, dokąd chce się dostać, ale zanim wykonamy zadanie, żeby nie tracić efektu zaskoczenia.

– To także brzmi rozsądnie – rzekł Kringle.

– Psiakrew – mruknąłem. – Miałem nadzieję, że się pomyliłem. Jeśli mam trzymać się zasad Mab, nie będę miał dużego pola manewru.

Kringle zerknął na smukłą postać siedzącą obok drzwi.

– Czy mogę służyć ci pewną radą w oparciu wyłącznie o moją znajomość natury Królowej?

– Oczywiście.

– Mab działa w tajemniczy sposób – rzekł, oglądając się na mnie z uśmiechem. – Wredny, zaskakujący, podstępny, cierpliwy i tajemniczy. Chyba jeszcze nigdy nie posłała kogoś tak wartościowego jak ty na pewną zgubę. Szukaj jakiejś szansy, słabości. Na pewno coś się znajdzie.

– Widziałeś tego gościa w akcji? – spytałem. – Nicodemus Archleone jest... Lepszy ode mnie. Sprytny, niebezpieczny, bezwzględny i doświadczony. Nawet sam byłby groźnym przeciwnikiem. Nigdy nie widziałem, żeby siadał na ławce rezerwowych. Wszyscy pozostali Denarianie chętnie wykorzystują swoich Upadłych kompanów, ale Nicodemus, z tego co mi wiadomo, przeważnie wykorzystuje swojego jedynie w roli szofera. Nie mam pojęcia, do czego jest zdolny Anduriel, ponieważ Nick jeszcze nigdy nie musiał na nim polegać.

– Może dlatego, że rozumie równie dobrze jak ty, skąd pochodzi prawdziwa moc – odrzekł Kringle.

Uniosłem brew.

– Z wiedzy – odrzekłem. Zastanawiałem się nad tym, kiedy dopasowywałem elementy układanki. – Chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że on nie korzysta z pomocy Anduriela podczas walk, ponieważ Anduriel nie jest wojownikiem?

– Wszyscy Upadli są śmiertelnie niebezpieczni podczas bitwy – odparł Kringle surowym tonem. – Nawet kiedy mają ograniczone ruchy. Ale Pan Cieni rzeczywiście woli działać w inny sposób.

Kontrola Nicodemusa nad bandą szaleńców o nadprzyrodzonych zdolnościach zaczęła mieć więcej sensu.

– Pan Cieni. To dawne określenie asa wywiadu.

– Właśnie – przytaknął Kringle. – Nicodemus wie niemal równie wiele co ja. Anduriel może usłyszeć wszystko, co zostało wypowiedziane w zasięgu cienia dowolnej żywej istoty, a czasami może przez niego także patrzeć.

Wytrzeszczyłem oczy i popatrzyłem na swój własny cień na blacie.

– Nie – uspokoił mnie Kringle. – Właśnie po to Mab tutaj została, żeby zabezpieczyć tę rozmowę przed Andurielem. Ale podczas tej całej operacji musisz zachowywać najwyższą dyskrecję. Istnieją miejsca, do których Anduriel nie ma dostępu – na przykład dom twojego przyjaciela Carpentera albo twoja wyspa, odkąd ją przebudziłeś. Poza tym Upadły musi wiedzieć, że powinien skupiać się na danym cieniu, w przeciwnym razie słyszy tylko niewyraźny szum. Ale możemy założyć, że Anduriel będzie bacznie wsłuchiwał się w twój cień. Nicodemus dowie się o wszystkim, co powiesz. Nawet zapisywanie informacji może nie być bezpieczne.

– Na dzwony piekieł. – W takim razie, komunikując się z przyjaciółmi, tylko wpakuję ich w pułapkę. Kurczę, nic dziwnego, że Nicodemus zawsze wyprzedzał wszystkich o krok. – Będę musiał... bardzo się pilnować, żeby nie odkrywać kart.

– Na twoim miejscu na wszelki wypadek trzymałbym je pod stołem. – odrzekł Kringle.

Pociągnąłem łyk piwa i zabębniłem palcami po blacie.

– No tak. W porządku. Dobrze wiedzieć. Ale to nie wystarczy. Potrzebuję jeszcze jakiejś przewagi.

– Przewag nigdy za wiele – przyznał Kringle.

– Idealnie byłoby mieć własnego agenta – stwierdziłem. – Kogoś, kogo Nicodemus się nie spodziewa. Ale w tym celu muszę wiedzieć, kogo już planuje zwerbować.

Kringle przybrał wyraz twarzy profesora, który zachęca płaczącego się podopiecznego.

– Jak miałbyś współpracować z tą osobą, nie mogąc z nią rozmawiać ani koordynować działań?

- Za pomocą jakiegoś szyfru, ukrytego na widoku, udającego coś innego.
- Ciekawe. Mów dalej.

– Eee... Ta osoba korzystałaby z moich wskazówek, więc to głównie ona zadawałaby pytania. Niech przed zadaniem mi pytania dotyczącego naszej sytuacji nazwie mnie „magiem”. Potem możemy udawać, że nasza rozmowa dotyczy zupełnie innego tematu. Będziemy się do tego stosować, dopóki nie przyjdzie pora wykonać ruchu. Wtedy użyję hasła „gra skończona” i zaatakujemy.

Kringle pociągnął łyk piwa.

– Niezłe. Nie idealne, ale nic takie nie jest. – Odstawił butelkę i sięgnął do torby, która stała obok jego stóp. Przez chwilę w niej grzebał, po czym wyjął dużą kopertę.

Przyjrzałem się jej uważnie. Wśród nadprzyrodzonych istot podarunki niosą za sobą ogromne zobowiązania, a ja i Kringle należeliśmy do Zimowego Dworu.

– Ja niczego ci nie kupiłem – powiedziałem.

Machnął ręką lekceważąco.

– Potraktuj to jako spóźniony prezent pod choinkę, bez zobowiązań. Na wyspę ciężko coś dostarczyć.

– Udowodnij – odrzekłem. – Powiedz „ho, ho, ho”.

– Ho, ho, ho – odrzekł przyjaznym tonem.

Uśmiechnąłem się i przyjąłem kopertę. W środku znalazłem zdjęcie oraz krótki opis.

– Kto to jest?

– Tajny agent, najemnik – wyjaśnił Kringle. – Jeden z najlepszych.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Kringle uniósł brew.

– Ponieważ jest tajnym agentem?

Skinąłem głową, przyznając mu rację.

– Dlaczego patrzę na jego zdjęcie?

– Czterech agentów może odegrać rolę, którą Nicodemus musi obsadzić w swoim przedsięwzięciu. Dwaj obecnie są zatrudnieni gdzie indziej, a trzeci przebywa w więzieniu. To pozostawia Nicodemusowi tylko jedną możliwość, a ja wiem, że zdecyduje się na nią dopiero w ostatniej chwili. Tymczasem ten facet jest niedaleko.

– Uważasz, że jeśli dotrę do niego pierwszy, zdołam go zwerbować?

– Jeśli cię przedstawię i nawiążemy komunikację pod egidą Mab? Tak.

– Ale skoro on jest najemnikiem, to można go kupić. Co może powstrzymać Nicodemusa przed przebicciem mojej oferty?

Kringle odchylił się do tyłu na krześle, rozważając moje pytanie.

– Jeśli kupisz tego człowieka, pozostanie na twoich usługach. Taki już jest. Uniosłem brew.

– Chcesz, żebym zaufał etyce zawodowej nieznanego człowieka?

– Tego bym nie zrobił – odrzekł Kringle. – Chcę, żebyś zaufał mojej etyce zawodowej.

Powoli wypuściłem powietrze. Wypiłem duży łyk piwa.

– A co tam – mruknąłem. – Do czego zmierza świat, jeśli nie można zaufać Świętemu Mikołajowi? – Nachyliłem się nad zadrukowaną kartką. – Zatem spotkajmy się z Goodmanem Greyem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Zanim wybrzmiała ostatnia głoska w „gra skończona”, Grey pokonał dzielące nas kilkanaście metrów i rzucił się na Ursiela i Genoskwę.

W jednej chwili Grey stał w miejscu, zadowolony z siebie i wyczekujący, a potem coś mignęło w powietrzu i jakaś istota wspięła się po grzbiecie Ursiela. Wielkością i kształtem przypominała goryla, ale jej łeb mógłby należeć do paskudnej hybrydy wilkołaka z buldogiem, a z palców wyrastały groteskowo wydłużone pazury. Miała dziwaczne złote oczy Greya. Zanim Ursiel zorientował się, że jest atakowany, stwór usiadł okrakiem na jego plecach i zatopił kły w potężnym garbie mięśni, zaciskając przerośnięte szczęki. Ogromny niedźwiedź stanął na tylnych łapach, a wtedy Grey wyciągnął długie łapy i wbił mu w oczy dwudziestocentymetrowe sztylety pazurów.

Ursiel i Genoskwa wydali rozdzierający ryk bólu.

Machnąłem końcem laski w stronę Nicodemusa i warknąłem „*Forzare!*”. Bryła lodu pomknęła w jego stronę jak pocisk, ale chociaż szok wywołany zdradą Greya był wciąż widoczny na jego twarzy, Nicodemus nie stracił wyborczego refleksu, więc przetoczył się po ziemi, unikając trafienia.

– Harry! – krzyknął Michael i pociągnął mnie w bok, a kula białego ognia pojawiła się w miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się moja głowa.

Wybuch był tak potężny, że osmalił mi włosy. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak Ascher i Lasciel podnoszą drugą rękę, przygotowując się do ciśnięcia we mnie kolejną kulą.

– Zajmij się Nickiem – wydyszałem.

– Uczciwy układ – odrzekł Michael.

Ursiel wciąż miotał się i ryczał. Nie widziałem, jak idzie Greyowi, ale niedźwiedź runął ze sceny na galerię z kilkunastoma figurkami rozmaitych świętych, rozbijając je w proch i rozrzucając na wszystkie strony bajecznie kosztowne klejnoty.

Nadleciała druga kula, a ja obroniłem się, unosząc laskę i wołając „*Defendarius!*”. Pojawiła się przede mną migocząca ściana mocy, a kula uderzyła w nią i wybuchła w obłoku ognia, który rozpostarł się wzdłuż i wszerz

bariery, jakby starał się ją ominąć. Żar był niezwykle intensywny i gdyby kula była większa, zdołałaby przepalić tarczę, ale Ascher stawiała na precyzyjne strzały. Przeciwwstawiłem jej surową moc, przywołując osłonę na tyle rozległą, by rozproszyć płomień i zmniejszyć ich siłę.

Ascher warknęła z frustracją i wystrzeliła kolejną kulę. Miała prosty plan – uznała, że jeśli będzie bombardowała mnie ogniem i zmuszała do utrzymywania tarczy, w końcu albo się przez nią przedrze, albo pozbawi mnie sił. Byłem gotów przyjąć taką walkę przeciwko większości praktyków magii. Niewielu magów w Białej Radzie mogło mi dorównać pod względem czystej mocy. Ale chociaż wielu z nich dostałoby zadyszki, próbując przedrzeć się przez moje osłony, podejrzewałem, że Ascher będzie w stanie miotać we mnie ogniem, dopóki nie padnę na ziemię ze zmęczenia, zwłaszcza że mogła korzystać z wiedzy i doświadczenia Lasciel. Co gorsza, Lasciel znała mnie na wylot.

A przynajmniej kiedyś tak było. Zatem nadszedł czas, by użyć kilku sztuczek, których nauczyłem się już po naszym rozstaniu.

W przeszłości nosiłem pierścienie, które miały za zadanie gromadzić nadmiar energii kinetycznej za każdym razem, gdy poruszałem ręką. Później w razie potrzeby mogłem jednocześnie uwolnić całą zachowaną energię z druzgocącym efektem. Nie miałem środków, by sporządzić nowe pierścienie, ale wyrzeźbiłem takie samo zaklęcie na swojej nowej lasce.

Siedemdziesiąt siedem razy.

Nie było to tak wygodne, jak korzystanie z wielowarstwowych pierścieni – energia zaklęcia nie była rozdzielona, ale zmagazynowana w pojedynczym zbiorniku, co oznaczało, że dysponowałem tylko jednym strzałem.

Ale za to jakim.

Kiedy więc kolejna rozpalona biała kula rozbiła się na mojej tarczy, obróciłem laskę nasadą – gdzie wyrzeźbiłem zaklęcia gromadzące energię – w stronę Ascher, skupiłem się na tarczy, stanąłem mocniej na nogach i zawołałem „*Arietius!*”.

Laska podskoczyła w moich dłoniach jak żywa istota i przesunęła moje buty o kilka centymetrów po podłodze, gdy uwolniona energia trafiła w wewnętrzną stronę tarczy. Przez chwilę obawiałem się, że laska pęknie – nigdy nie próbowałem wystrzelić tak dużego ładunku energii i istniało ryzyko, że przekroczy wytrzymałość zaklęcia. W takim wypadku znalazłbym się w samym środku spektakularnej eksplozji odłamków. Ale wykonałem dobrą robotę i laska zadziałała idealnie. Utrzymałem tarczę w całości, a fala energii pchnęła ją w stronę Ascher. Potężna, twarda i niezwykle masywna niewidzialna ściana nagle pomknęła na nią jak pociąg towarowy, pozostawiając za sobą ślad ognia.

Nawet na chwilę nie opuściłem tarczy, a pełzające po niej płomienie skutecznie mnie zasłaniały, więc Ascher nie zauważyła niebezpieczeństwa na czas i doszedł do głosu jej brak doświadczenia. Dysponowała prawdziwą potęgą i talentem w posługiwaniu się ogniem, ale podczas walki nie ma czasu na obmyślanie zakłęb i przeciwwzakłęb. Albo odrobięś pracę domową, albo nie, a pomimo wsparcia Lasciel Ascher nie była przygotowana na coś takiego. Skupiała się wyłącznie na ataku, a nie na chronieniu siebie, więc nie zdążyła skontrolować mojego ciosu.

Ściana uderzyła ją z siłą nadjeżdżającej śmieciarki i wytrąciła z obłoku fioletowej mgiełki, który otaczał jej nagie ciało. Runęła ze sceny, rozpaczliwie wymachując kończynami, i wpadła na wystawę wyjątkowo eleganckich kościelnych szat, z których większość natychmiast zapłonęła pod wpływem żaru migoczącego wokół jej sylwetki.

Wtedy gra świateł w ogromnym skarbcu uległa zmianie. Płomienie na dłoniach dwóch potrójnych posągów zmieniły się w potężne, groźnie wyglądające szkarłatne ogniska, które naznaczyły wszystko krwistymi odcieniami. Podniosłem wzrok na posągi i zobaczyłem, że ich usta się poruszają. Nie wydobywały się z nich żadne głosy, ale te cholerstwa mówiły i instynkt podpowiedział mi, co się stało. Zniszczenie części zbiorów uruchomiło jakiś rodzaj alarmu.

A my wszyscy w pewnym sensie znajdowaliśmy się w jednym wielkim więzieniu dla cieni umarłych.

Michael i Nicodemus tymczasem prowadzili wściekłą wymianę ciosów. Amoracchius lśnił jak latarnia morska, a jego moc wypełniała powietrze brzęczeniem. Cień Nicodemusa tańczył groźnie i przysłał jego sylwetkę, poruszając się jak jakiś oleisty, trujący płyn, a Nick wymachiwał mieczem – ale to wszystko już kiedyś widziałem.

Nigdy za to nie widziałem, jak Michael daje z siebie wszystko.

Był potężnym facetem, szerokim w barkach i silnym, więc kontrast między nim a Nicodemusem był uderzający. Stara zasada głosi, że dobry rosły wojownik zawsze pokona dobrego drobnego wojownika. Przewaga wzrostu, zasięgu, a także masy i siły ma niezaprzeczone znaczenie, a ja po raz pierwszy zobaczyłem, jak Michael używa ich wszystkich.

Na Nicodemusa spadały kolejne wściekłe ciosy i mniejszy z mężczyzn musiał ugiąć się pod tym atakiem. Cofał się krok za krokiem pod wpływem natarcia Rycerza Miecza. Zdołał kilkakrotnie uderzyć lżejszym ostrzem, ale Michael za każdym razem obracał się i przyjmował cios na kolczugę, słusznie ufając osłonie zbroi, którą wykuła dla niego Charity. Parł naprzód, a żaden z jego ciosów nie miał za zadanie jedynie zranić ani obezwładnić przeciwnika. Amoracchius

opadał na głowę Nicodemusa, jego gardło, brzuch i serce, a każde z tych trafień mogło zadać śmiertelną ranę.

Zerknąłem w stronę Ascher, która być może właśnie płonęła. Chciałem podejść, by się upewnić, że się nie podniesie, ale zrobiło mi się niedobrze na samą myśl i pomyślałem, że jeszcze tak nisko nie upadłem. Poza tym, chociaż była niebezpieczna, nie mogła się równać z Nicodemusem. Michael panował nad sytuacją. To była nasza szansa, żeby załatwić tego potwora.

Michael zapędził Nicodemusa w narożnik sceny, tak że Denarianin musiał się obrócić i zeskoczyć z niej z wściekłym warknięciem. Przetoczył się po ziemi i natychmiast wstał, zwinnie jak akrobata.

A ja trafiłem go kolejną bryłą lodu, zanim zdążył się odwrócić i ją zauważyć.

Nie miałem czasu zgromadzić tak masywnej porcji lodu jak podczas poprzednich dwóch ataków, ale bryła, którą go trafiłem, miała rozmiary bardzo dużego jabłka i poruszała się wyraźnie szybciej od piłki rzuconej przez zawodowego baseballistę. Nie pękła po uderzeniu. Ale Nicodemus owszem. Rozległo się wilgotne grzmotnięcie, gdy pocisk trafił go w lewy bok, poniżej żeber, a Archleone wspiął się na palce i wygiął z bólu. Potem zatoczył się w bok i padł na jedno kolano.

Michael zrobił dwa kroki i zeskoczył ze sceny z Mieczem uniesionym nad głową, a następnie ciął nim od góry jak katowskim toporem. Żadna demoniczna potęga ani Upadły anioł nie były w stanie ocalić Nicodemusa przed tym ciosem, zadany przez tego człowieka i tą bronią.

Uratowała go zimna krew.

Kiedy Amorracchius opadł, Nicodemus ze zboląłym wyrazem twarzy zasłonił się nie swoim mieczem, ale Świętym Graalem.

Michael krzyknął i skręcił biodra, w ostatniej chwili ściągając ostrze w bok, tak że minęło Nicodemusa, nawet go nie musnąwszy. Rycerz stracił równowagę i przetoczył się ciężko po podłodze, a Nicodemus pchnął smukłym ostrzem, zatapiając je od tyłu w udzie wroga. Michael krzyknął z bólu i niezdarnie wstał, oszczędzając ranną nogę.

Nicodemus podniósł się z błyskiem w ciemnych oczach, trzymając się lewą ręką za żebra, w które trafiłem go bryłą lodu. Błyskawicznie się obrócił, by widzieć nas obu, lecz sprawiło mu to wyraźny kłopot. Był ranny.

Na mój gust niewystarczająco.

Przywołałem kolejną bryłę lodu. Uniosłem laskę i wycelowałem.

Nicodemus ponownie uniósł Graala, z uśmiechem odgradzając się nim od nas jak zakładnikiem.

– Ostrożnie, Dresden – powiedział. – Jesteś gotów pogodzić się z taką stratą?

– Owszem – odrzekłem i warknąłem „*Forzare!*”, posyłając w jego stronę kolejny lodowy pocisk.

Nicodemus wytrzeszczył oczy, ale obrócił się, osłaniając Graala własnym ciałem, a bryła trafiła go w prawą łopatkę. Krzyknął, tracąc dech, a potem zanurzył się w czerni i porwała go fala cienia.

– Michaelu. – Pośpiesznie dopadłem do swojego przyjaciela.

Michael rozglądał się czujnie, wypatrując Nicodemusa. Obrócił się, tak że mogłem zobaczyć ranę po ostrzu. Była wąska, ale głęboka. Nogawka jeansów nie była mocno zakrwawiona, więc pchnięcie zapewne ominęło tętnicę.

– Co się stało? – spytałem. – Czy on zniknął?

– Nie... nie jestem pewien – odrzekł Michael. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby został zmuszony do ucieczki.

– Powinniśmy go wykończyć.

– Zgoda – przytaknął Michael. – Ale jak? Właśnie zbiegł.

– Daj mi chwilę. – Poczułem, że szczerzę zęby w uśmiechu. – Jak noga?

– Bywało gorzej – odrzekł Michael napiętym głosem. Przeniósł ciężar ciała i syknął z bólu, ale ranna kończyzna go utrzymała. – To powierzchowna rana.

– Tak – odrzekłem. – To tylko draśnięcie. Wstawaj, pedziu.

Zamrugnął i popatrzył na mnie.

– Pedziu?

– Och, więc nie cytowałeś filmu? Wybacz.

– Filmu?

– *Świętego Graala*?

– Nicodemus wciąż go ma.

Westchnąłem.

– Nieważne.

Po drugiej stronie amfiteatru rozległ się ryk walących się kamieni, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak dwie korynckie kolumny wywracają się przy akompaniamencie wściekłych ryków Ursiela.

– Czyli żebyśmy mieli jasność – odezwał się Michael. – Grey jest po naszej stronie?

– Tak. Zatrudniłem go, zanim to wszystko się zaczęło.

– Przecież on zabił pannę Valmont!

– Nic z tych rzeczy – odrzekłem. – Okłamał Nicodemusa. Anna na pewno czeka na nas poza skarbcem.

Michael sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Ale mimo wszystko nie obchodzi mnie jego los.

– Hej, przecież żyjemy.

– To prawda. – Głęboko odetchnął. – A skoro on dotrzymał danego ci słowa, to powinniśmy mu pomóc.

W tym momencie Ursiel wspiął się na tylne łapy. Grey wciąż był w takiej samej nieludzkiej formie i kurczowo się go trzymał. Prawdziwe ślepią Genoskwy zmieniły się w krwawą ranę, ale zielone oczy Ursiela płonęły wściekłością. Olbrzymi niedźwiedziowaty stwór wydał z siebie potworny ryk, a ja wiedziałem, że z pewnością będzie on nawiedzał moje koszmary, jeśli tylko ujdę z życiem. Potem przewrócił się do tyłu, wpadając na kolejną kolumnę, usiłując zmiażdżyć o nią Greya. Obaj runęli na ziemię z donośnym hukiem, wyrzucając w powietrze migoczące klejnoty. Odgłos ich upadku był... cholernie głośny. Czegoś takiego można się spodziewać podczas wyburzania budynku, a nie bijatyki.

Przełknąłem ślinę.

– Tak, chyba pow...

Urwałem, gdy poczułem na plecach zimno, które nie miało nic wspólnego z ruchem cząsteczek.

Znałem to uczucie. Już wcześniej go doświadczyłem, kiedy okrążyły mnie wrogie widma, po mojej śmierci. To było niesamowite i paskudne doznanie, które promieniowało z nich jak ciepło z ciał żywych istot.

W fizycznym świecie to nic wielkiego. Widma nie mogą wchodzić w reakcje z materialną rzeczywistością, nie licząc bardzo konkretnych i ograniczonych przypadków. Tyle że teraz nie znajdowaliśmy się w fizycznym świecie. To było Nigdy, Podziemny Świat, a tutaj duchowe formy były równie rzeczywiste i śmiertelne jak cielesni wrogowie – a nawet bardziej.

Prawdę mówiąc, biorąc pod uwagę to, jak wiele straszliwych potworów zgładzili rozmaici greccy herosi, Hades mógł dysponować wyjątkowo paskudną drużyną strażników. Niewykluczone, że ten gość jako jedyny we wszechświecie może rozkazać: „Uwolnić krakena”. Ale dlaczego te istoty miałyby się do nas zbliżać? Przecież facet dobrze mi życzył. Owszem, nie wtrącał się w naszą walkę, ale...

Podniosłem wzrok na poruszające się usta posągów i skrzywiłem się.

– Psiakrew.

– Co się stało? – spytał Michael.

– Chyba uruchomiliśmy jakiś automatyczny system bezpieczeństwa – odrzekłem. – Obawiam się, że zmierza ku nam cała masa niebezpiecznych duchów.

– Więc powinniśmy uciekać.

– I to natychmiast. Bierzmy Greya i w nogi.

Pomknęliśmy w stronę Greya – Michael mógł tylko truchtać – ale zanim pokonaliśmy dziesięć kroków, za moimi plecami rozległ się okrzyk czystej furii.

– Dresden! – zawyła Lasciel ustami Ascher.

Obejrzałem się i zobaczyłem, jak jakaś postać powstaje z płomieni trawiących wystawę ubrań. Jej fioletowe oczy lśniły paskudnym blaskiem. Mocniej stanęła na nogach i wciągnęła powietrze, a otaczający ją ogień nagle przygasł i upodobnił się barwą do jej oczu. Powietrze wypełnił smród siarki.

– Psiakrew – westchnąłem.

A potem w moją stronę z rykiem pomknęła włócznia czystego Żaru Piekieł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Nie było czasu do namysłu. Kierowałem się instynktem.

Nie mogłem osłonić się przed płomieniami napełnionymi Żarem Piekieł, demoniczną wersją Ognia Duszy. Żar Piekieł znacznie zwiększał niszczący potencjał magii. Korzystałem z niego, kiedy nosiłem w sobie cień Lasciel. Gdybym miał przy sobie ostatnią bransoletkę z tarcz, mógłbym odbić większość płomieni, ale nawet ona nie pozwoliłaby mi całkowicie powstrzymać ataku.

Nie mogłem skontrolować mocą Zimy. Gdybym rzucił lód przeciwko ogniewi, powstałaby para, a Żar Piekieł przedostałby się na drugą stronę. Skutek byłby taki sam, tylko ugotowałbym się na parze, zamiast się upiec.

Kilka razy w życiu udało mi się otworzyć przed sobą Ścieżkę, na tyle szybko, by skierować wrogie natarcie do Nigdy nigdy albo do innego miejsca w śmiertelnym świecie. Ale nie miałem szansy zrobić tego w zabezpieczonym skarbcu – dopiero po wyjściu za pierwszą bramę.

Już ze zwykłym ogniem trudno sobie poradzić, a Żar Piekieł czyni go niemal niepowstrzymalnym.

Dlatego nawet nie próbowałem go powstrzymać.

Zamiast tego zmieniłem jego kierunek.

Kiedy pomknął w moją stronę, uniosłem laskę prawą ręką, nakreśliłem nią ósemkę w powietrzu i z okrzykiem „*Ventas cyclis!*” posłałem przez drewno swoją siłę woli wzmocnioną Ogniem Duszy, by zneutralizować Żar Piekieł Upadłego anioła.

Z mojej laski wystrzelił potężny podmuch, który z wyciem zawirował na drodze Żaru Piekieł. Błysnęło światło, huknął grzmot i w powietrzu rozeszła się ostra woń ozonu, gdy obie przeciwstawne siły starły się ze sobą. Wir pochwycił fioletowy ogień i skierował go w stronę dalekiego stropu skarbcza, miotając nim na wszystkie strony, tworząc tryskający gejzer nieziemskich płomieni.

Zapanowanie nad tym wiatrem wymagało ogromnego wysiłku, ale chociaż płomienie zbliżyły się do mnie na odległość metra, podmuch ochronił mnie przed upieczeniem przez termiczny wykwit. Moja obrona skierowała całą siłę

ataku w górę, a płomienie zatańczyły pod stropem jaskini i przetoczyły się po nim krągłymi falami.

Prawdę mówiąc, wyglądało to cholernie pięknie.

Ascher parsknęła z frustracji, gdy jej atak został odparty. Cofnąłem zakłęcie wiatru, ale wciąż powoli kręciłem laską, przygotowując się do odbicia kolejnego natarcia. Ascher wciąż była pełna gniewu i sięgnęła do jego pokładów, by przywołać kolejną porcję ognia.

– Nie rób tego, Hannah! – zawołałem. – Nie pokonasz mnie. Nie masz tego, czego potrzebujesz.

– Ty przemądrzały sukinsynu – odparła. – Mam wszystko, czego potrzebuję, żeby sobie z tobą poradzić, Strażniku. Boże, ależ byłam naiwna, sądząc, że jesteś inny niż pozostali.

– Oto różnica – odparłem. – Wycofaj się. Odejdź. Pozwolę ci.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

– Ego Białej Rady nie zna granic, prawda? – spytała. – Myślicie, że możecie decydować, kto przeżyje, a kto umrze. Ustanowić zasady, według których wszyscy inni będą żyć.

– Te zasady istnieją z jakiegoś powodu, Hannah – odparłem. – W głębi duszy zdajesz sobie z tego sprawę. Ale tutaj nie chodzi o Prawa Magii czy Białą Radę. Chodzi o ciebie i o mnie oraz o to, czy wyjdziemy żywi z tego skarbcza. – Próbowałem przemawiać łagodniej, by sprawić wrażenie mniej wystraszonego i rozgniewanego. – Ta istota w twoim wnętrzu gra na twoich emocjach. Manipuluje tobą. Może pokazywać ci iluzje tak prawdziwe, że nie da się ich odróżnić bez użycia Wejrzenia. Powiedziała ci o tym?

Ascher wpatrywała się we mnie bez słowa. Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała.

Niech to szlag. Jeśli Lasciel znajdowała się w jej głowie i zaburzała jej percepcję za pomocą iluzji, być może Hannah rzeczywiście mnie nie słyszała.

– Na pewno od niedawna masz jej monetę. Od dwóch tygodni? Od miesiąca? Zgadza się?

– Nie udawaj, że mnie znasz – odburknęła.

– Masz rację, nie znam cię. Ale znam Lasciel. Też kiedyś miałem jej monetę. Nosilem ją w głowie przez lata. Wiem, jaka jest, jak potrafi kręcić.

– To nieprawda – odparła Ascher. – Nie wobec mnie. Dała mi moc i wiedzę. Nauczyła mnie więcej o magii w ciągu ostatnich kilku tygodni niż jakikolwiek mag przez całe moje życie.

Pokręciłem głową.

– Magia ognia opiera się na pasji, Hannah, a ja wiem, że nosisz w sobie mnóstwo gniewu. Ale musisz na to popatrzeć z szerszej perspektywy. Ona nie

uczyniła cię silniejszą. Po prostu wzmocniła twój gniew, żeby podsycić ogień. Nie ma niczego za darmo.

Ascher roześmiała się z goryczą.

– Boisz się, Dresden. Przyznaj to. Mam dostęp do mocy, która czyni mnie niebezpieczną, a ty boisz się, co mogę zrobić.

W tej chwili pokazała mi zasadniczą różnicę między nami.

Ja pokochałem magię bezwarunkowo. Ona nie.

Sztuka magiczna bywa pracochłonna, żmudna, a nawet bolesna, ale mimo wszystko ją uwielbiam. Kocham związane z nią skupienie, dyscyplinę, równowagę. Kocham pracować z energią i badać, do czego można je wykorzystać. Kocham wzbierające napięcie towarzyszące rzucaniu zaklęcia oraz niemal bolesną jasność umysłu wymaganą do przekucia tego napięcia w konkretny efekt. Kocham praktykę tak samo jak teorię, badania, eksperymentowanie z nowymi zaklęciami, nauczanie innych o magii. Kocham zaklinanie rozmaitych elementów swojego magicznego ekwipunku, a przede wszystkim uwielbiam, kiedy mogę użyć swojego talentu, by coś zmienić w świecie, chociaż jakiś drobiazg.

Ascher... lubiła wysadzać rzeczy w powietrze i je spalać. Była w tym dobra. Ale nie kochała swoich zdolności i nie uznawała ich za cud.

Po prostu podobało jej się, co może z nimi zrobić.

Takie podejście sprawiło, że dysponowała potężną mocą, lecz nie potrafiła zrozumieć konsekwencji i permutacji związanych z jej używaniem – a przynajmniej nie przychodziło jej to instynktownie. By skutecznie korzystać z takiej mocy, należy ją przyswoić tak dogłębnie, by jej wykorzystywanie stało się naszą drugą naturą.

Właśnie dlatego w ciągu ostatnich kilku dni używała magii wyłącznie po to, by coś zniszczyć lub chronić własną skórę przed bezpośrednimi konsekwencjami swojej mocy. To dlatego nie ćwiczyła wystarczająco dużo, by móc się przeciwstawić komuś o szerokiej gamie umiejętności. Dlatego przed chwilą skupiła się wyłącznie na atakowaniu mnie, a zaniedbała obronę. Dlatego dała wolną rękę Upadłemu, który teraz doprowadzał ją do emocjonalnego szału.

Z tego samego powodu nie przemyślała skutków uwolnienia niszczącej potęgi żywiołu w dużej, ale jednak zamkniętej przestrzeni.

Ascher miała talent, jednakże brakowało jej wykszolenia, praktyki oraz nastawienia, wymaganych, by pokonać zawodowca.

– Boję się – powiedziałem. – Boję się o ciebie. Los ciężko cię doświadczył i cholernie mi przykro, że cię to spotkało. Proszę, po prostu się wycofaj. Proszę.

Zmrużyła oczy, poczerwieniała na twarzy i odezwała się urywanym głosem:

– Protekcyjnalny... draniu. Zachowaj swoje... współczucie dla siebie.

A potem krzyknęła i posłała w moim kierunku kolejną włócznię Żaru Piekieł, tym razem dwukrotnie silniejszą.

Ponownie przechwyciłem ją za pomocą wyczarowanego cyklonu napełnionego Ogniem Duszy, chociaż kosztowało mnie to jeszcze więcej wysiłku. Posłałem ogień w stronę sufitu, ale tym razem skupiłem go w jednym punkcie.

Jeszcze zanim resztką Żaru Piekieł trafiła w strop, opadłem na jedno kolano, uniosłem laskę i rozpostarłem między sobą a Ascher najsilniejszą tarczę, jaką byłem w stanie stworzyć. W ten sposób rozmyślnie odwróciłem jej uwagę, robiąc coś, czego nie była w stanie zignorować.

Wrzasnęła na mnie i z wściekłością w oczach przywołała więcej ognia, widząc tylko bierny cel, osłabiony i klęczący, który mogła rozbić na kawałki za pomocą trzeciego i ostatecznego uderzenia – ale ja dostrzegłem, jak lśniące oczy Lasciel nagle rozszerzają się rozpaczliwie, gdy Upadła o ułamek sekundy za późno i zrozumiała, co się stanie.

Po chwili kilkaset ton stopionej i rozpalonej skały, wyrwanej ze stropu przez Żar Piekieł, spadło jej na głowę.

Hałas był potworny. Zniszczenia szokujące. Rozżarzone kamienie odbijały się od mojej tarczy, a potem zaczęły się na niej piętrzyć, napierając na mnie i pchając do tyłu. Stermta głazów przemieściła mnie o dobre sześć metrów po scenie amfiteatru, a Michael rozpaczliwie podskakiwał metr przede mną, chowając się pod moją tarczą.

Po kilku sekundach lawina kamieni nieco osłabła i stała się mniej chaotyczna, a ja opuściłem tarczę z westchnieniem wysiłku. Pozostałem na miejscu, wciąż opierając się na jednym kolanie, i zgiąłem się w pasie, z trudem łapiąc oddech, wyczerpany wysiłkiem, jaki podjąłem w kilku ostatnich chwilach. Skarbiec wirował mi przed oczami. Kiedy zaczął to robić?

W powietrzu było pełno pyłu, żaru i smrodu siarki. Spadające kamienie pogrzebały połowę cholernego amfiteatru. Jeden z potężnych posągów był zasłonięty aż do ud.

Hannah Ascher i Lasciel zniknęły.

Spadły ostatnie kamienie i z grzechotem potoczyły się po rumowisku. Zauważyłem na wpół przytomnie, że trajektoria ich lotu wyglądała dziwnie. Grawitacja w tym miejscu rzeczywiście działała silniej niż w świecie fizycznym. Do tego stopnia, że miałem ochotę zamknąć oczy i nie wstawać z podłogi.

– Harry – westchnął Michael.

– Przepraszam, Hannah – wyszeptałem. – Przepraszam.

Michael położył dłoń na moim ramieniu.

– Harry? Wszystko w porządku?

Pokręciłem głową i jedną ręką wskazałem stertę kamieni.

– Na dzwony piekieł, Michaelu. To nie była walka, tylko zwykłe morderstwo. Ona nie była potworem. Po prostu podjęła błędną decyzję. Wpuściła do swojego wnętrza tę istotę, a ona... po prostu przejęła nad nią kontrolę. Kierowała nią.

– One właśnie tak działają – odrzekł Michael cicho.

– To mogłem być ja... Pochyliłmy głowy nad tragicznym losem Harry'ego Dresdena.

Michael okrążył mnie, kuśtykając, stanął przede mną i lekko klepnął mnie w policzek.

– Nie mamy na to czasu. Później się nad tym zastanowisz. Później o tym porozmawiamy. Wstawaj.

Uderzenie nie bolało, ale nieco mnie zaskoczyło i pokręciłem głową. Wyczerpanie spowodowane manipulowaniem tak potężną mocą zaczęło ustępować i otrząsnąłem się z letargu. Paskudne kłujące zimno wciąż się zbliżało.

– Harry, jesteś przytomny? – odezwał się Michael.

– Boli mnie głowa – mruknąłem i zrozumiałem, co to oznacza. Kolczyk Mab płonął jak mała zamrożona gwiazda, a głowa wściekle pulsowała.

Kończył mi się czas. A jeśli nie uda mi się zabrać wszystkich do pierwszej bramy i otworzyć Ścieżki powrotnej do Chicago, pozostali również będą go mieli niewiele. Podparłem się laską i wstałem z posadzki. Chwiałem się na nogach, byłem ociężały i zmęczony, ale nie mogłem pozwolić, żeby to miało jakieś znaczenie.

Odzyskałem jasność umysłu i otarłem z oczu coś gorącego i wilgotnego.

– W porządku – powiedziałem. – W porządku. Zabierzmy Greya i wynośmy się stąd.

W tej samej chwili coś niewyraźnego i smukłego, co miało skrzydła nietoperza, nadleciało w naszą stronę z przeciwległego końca amfiteatru. Jedno ze skrzydeł odmówiło posłuszeństwa i istota spadła, po czym poturlała się po marmurowej posadzce. Przetoczyła się kilkakrotnie, a kiedy znieruchomiała, zobaczyliśmy oszołomionego Greya. Dolna połowa jego twarzy, a także dłonie i przedramiona były zalane szkarłatną krwią.

– Michaelu – odezwałem się.

Podeszliśmy razem, postawiliśmy Greya na nogi i ruszyliśmy w stronę wejścia do skarbcza, omijając piekielnie rozżarzone rumowisko.

– Grey, co się stało? – spytałem.

– Poszedł po rozum do głowy i się zmniejszył – odrzekł Grey. – Wyślizgnął mi się ze szczęk, ale coś wpadło mu do oczu i zdążyłem odskoczyć, zanim mnie pochwycił.

Zza naszych pleców dobiegł wściekły ryk Genoskwy i huk kolejnej wywracanej kolumny. Potem usłyszeliśmy nowy ryk, pełen bólu i wyraźnie niższy, gdy Genoskwa ponownie przyjął demoniczną formę Ursiela. Olbrzym stanął na tylnych łapach i nas zauważył. Jego łeb wznosił się na prawie sześć metrów nad ziemię, a chociaż byliśmy już za połową schodów, lśniące ślepie Ursiela i zmasakrowane krwawe oczodoły Genoskwy znajdowały się na poziomie mojego wzroku. Demoniczny niedźwiedź rozwarł szczęki i ryknął z furją.

– Wygląda na wkurzonego – pisałem.

– Mam nadzieję – odrzekł Grey nieco bełkotliwie. Ledwie trzymał się na nogach i wciąż miał rozbiegany wzrok. – Za chwilę wrócę do siebie.

Ursiel opadł na sześć łap i ruszył w naszą stronę. Utykał na jedną łapę, którą skaleczył Michael, ale kończyła nie była bezwładna, czego się spodziewaliśmy. Na dzwony piekieł, szybko wracał do sił.

– Valmont – odezwałem się do Greya. – Gdzie ona jest?

– Odesłałem ją do pierwszej bramy – odrzekł Grey. – Z twoimi magicznymi artefaktami... zabawkami.

– No dobrze – zwróciłem się do Michaela. – Jesteś ranny. Grey jest w rozsypce. Jak najszybciej odprowadź go do pierwszej bramy.

Michael zacisnął zęby.

– Nie możesz sam walczyć z Ursielem, Harry. Nie wygrasz.

– Nie muszę z nim walczyć. Wystarczy, że dam wam czas na ucieczkę. Zaufaj mi, zaraz do was dołączę.

Michael na chwilę zamknął oczy, a potem skinął głową i mocniej podtrzymał Greya.

– Bóg z tobą, przyjacielu.

– Przyjmę każdą pomoc – odpowiedziałem i zatrzymałem się na szczycie schodów amfiteatru, podczas gdy Michael ruszył w stronę wyjścia, prawie niosąc Greya.

Głowa pulsowała mi bólem. Wytrząsnąłem nóż z rękawa i schowałem go do kieszeni płaszcza razem z przerośniętym rewolwerem, a potem sprawdziłem, czy Całun jest bezpieczny.

Z drugiego końca skarbca dobiegł mnie niepokojący okrzyk przypominający podmuch wiatru, a wrażenie chłodu przybrało na sile, niosąc ze sobą irracjonalną parapsychologiczną grozę. Po chwili kolejne okrzyki dołączyły do pierwszego i zalała mnie fala niewyobrażalnej paniki. Moje serce rozpaczliwie przyśpieszyło, a kończyny zadrżały i osłabły.

Nadciągały cienie.

Ursiel ponownie ryknął, a następnie sześciometrowy rogaty niedźwiedź o rozmiarach czołgu puścił się biegiem w moją stronę, wspinając się po schodach z obnażonymi kłami, szykując się do dzieła zniszczenia.

Zamiast rzucić się do ucieczki, co zrobiłby każdy normalny człowiek, jedną ręką chwyciłem laskę, drugą pokazałem mu środkowy palec i wrzasnąłem:

– Hej, Yogi! Tutaj jestem! Chodź po mnie!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Ursiel był zbyt potężny, by z nim walczyć.

Ludzie, którzy powtarzają, że rozmiar to nie wszystko, a im ktoś jest większy, tym ciężiej upada, zapewne nigdy nie musieli stanąć naprzeciwko szarżującego demonicznego niedźwiedzia, wielkiego jak na kinowym ekranie. Pod względem zdolności obronnych duży rozmiar jest pożądanym. Nie ma co do tego wątpliwości. Spytajcie słonia.

Ale.

Podczas polowania duży rozmiar przydaje się tylko wtedy, gdy twoja ofiara również jest ogromna. Skuteczni drapieżcy nie muszą być więksi od zwierzyny, którą zabijają – wystarczy, że są lepiej uzbrojeni i wystarczająco masywni, by wykorzystać swoje umiejętności. Zbyt duża masa umożliwi zwinnej ofierze ucieczkę, a myśliwy nie będzie w stanie poradzić sobie z większą liczbą celów.

Grey wykazał się geniuszem, oślepiając Genoskwę, ponieważ zmusił go do polegania wyłącznie na oczach Ursiela. To oznaczało, że olbrzym musiał pozostawać w postaci niedźwiedzia, by cokolwiek widzieć. Gdyby mógł mnie ścigać w swojej pierwotnej formie, szybko by mnie dogonił i rozerwał na strzępy – widziałem, jaki jest szybki. Niedźwiedź był niepowstrzymaną masą mięśni, pazurów i kłów, ale miałem nieco doświadczenia z ogromnymi istotami w ruchu i nauczyłem się jednego ważnego faktu.

Kiepsko skręcają.

Ursiel zbliżył się i przygotował do skoku, na ile to możliwe u istoty tych rozmiarów, a wtedy rzuciłem się w bok. Harry Dresden, mag, mógłby w tym miejscu zakończyć żywot. Ale Sir Harry, Rycerz Zimy, uniknął o włos miażdżących łap i kłapiących szczęk, odskoczył o kilka metrów i zawołał:

– Olé! Toro!

Ursiel ponownie ryknął, ale jednocześnie obejrzał się za oddalającymi się sylwetkami Michaela i Greya. Z tego, co widziałem, nie był taktycznym geniuszem, ale zarówno on, jak i Genoskwa byli drapieżnikami, a Michael i Grey byli ranni i wystawieni na atak. Olbrzym mógł ich bez trudu dogonić

i zabić, a potem spokojnie zapolować na mnie, jak kot, który próbuje rozprawić się z kłopotliwymi myszami.

Dlatego uniosłem laskę, wycelowałem w demonicznego niedźwiedzia i zawołałem „*Fuego!*”.

Uderzenie ognia nie było silne. Nie miałem zamiaru zemdleć z wysiłku, zresztą Genoskwa i Ursiel wykazali się niepokojącą odpornością na moją magię. Nie o to chodziło. Płomienie trafiły niedźwiedzia w bok pyska i chociaż nie przypaliły mu ciała, osmałiły futro i z pewnością cholernie zapiekły.

Potwór gwałtownie obrócił łeb w moją stronę i zbliżył się o krok. Potem lśniące oczy się rozjarzyły i Ursiel ponownie skierował się ku rannym mężczyznom uciekającym ze skarbcza. Konflikt woli między Genoskwą a Upadłym aniołem był wyraźnie widoczny.

– Raaany – odezwałem się przeciągle jak najbardziej irytującym tonem. – Jesteś do dupy, Gen. Założę się, że Rzeka w Ramionach nie byłaby tak rozdarty na twoim miejscu.

To podziałało.

Wielki niedźwiedź okręcił się i rzucił w moim kierunku dzikim pędem, a ja ponownie uskokczyłem w ostatniej chwili, unikając zmiżdżenia. Oddaliłem się o kilka metrów w bok, chowając się za jedną z galerii. Ursiel nie kłopotał się jej okrążaniem, tylko ją staranował, rozrzucając na wszystkie strony złoto i klejnoty, a ja prawie zarobiłem w łeb przewracającą się marmurową kolumną. Poślizgnąłem się, odzyskałem równowagę i ruszyłem dalej, zmuszając olbrzyma do ciągłego skręcania.

Miałem wrażenie, że ścigamy się tak przez półtora wieku, chociaż minęło może trzydzieści sekund. Kilka zbroi runęło na ziemię i rozsypało się na kawałki, gdy ciężka łapa rozbiła marmurową kolumnę podtrzymującą galerię, w której były wystawione. Kilka dzieł sztuki, które wyglądały jak jaja Fabergé w delikatnych złotych osłonkach, zostało rozgniecionych na placek, gdy potężny cios minął mnie o kilka centymetrów. W pewnej chwili podniosłem brylant wielkości swojej pięści, zawołałem „A masz!” i cisnąłem go w nos Ursiela, po czym schowałem się za kolejną wystawą, na której tym razem leżały rzadkie święte teksty, wliczając tuzin Biblii Gutenberga.

A potem stało się coś przerażającego.

Ryk się urwał.

Natychmiast zamarłem. Zapadła całkowita cisza, nie licząc szumu płomieni na dłoniach olbrzymich posągów oraz przybierającej na sile fali jęków, straszliwego zawodzenia, które nadciągało z głębi skarbcza.

Coś metalicznie brzęknęło. Jakby ktoś ślepy potrącił potężną stopą klejnot, który wpadł na coś zrobionego ze szlachetnego metalu.

Psiakrew.

Obejrzałem się i zauważyłem, że w promieniu piętnastu metrów we wszystkich kierunkach posadzkę szczelnie pokrywają gruzy. Zapomniałem, że muszę się mierzyć nie tylko ze zwierzęcą naturą Ursiela. Intelkt Genoskwy również nie próżnował i właśnie mnie przechytrzył.

Genoskwa oczywiście próbował mnie schwytać i zabić, ale jednocześnie rozmyślnie zasypywał posadzkę wokół nas gruzem, żebym nie mógł się przemieszczać bezgłośnie.

Dzięki temu nie potrzebował oczu, by mnie złapać.

– Malutki magu – zagrzmiął dziwnie modulowanym głosem, który być może dobiegał zza jakiejś zasłony, przez co nie mogłem rozszyfrować jego źródła. – Ukręć ci głowę na tej chudej szyi. Spraw mi to radość.

Miałem gotową ripostę, ale nie odważyłem się odezwać. Zresztą mój głos byłby pełen grozy. Wycie i niepokojąca obecność cieni coraz bardziej się zbliżały, a moje serce wyrywało się z piersi. Spróbowałem się obejrzeć, nie poruszając przy tym stopami i nie szeleszcząc ubraniem. Nigdzie nie widziałem Genoskwy, ale jego głos dobiegał z bliska.

Wiedziałem, że będę miał tylko jedną szansę. Jeśli zrobię fałszywy krok, olbrzym mnie dopadnie i zrobi to, co zapowiedział, a na samą myśl o tym czułem mrowienie na karku. Musiałem się dowiedzieć, gdzie on jest.

– Ukręć ci głowę, malutki magu – zadudnił Genoskwa, milknąc po każdym zdaniu, by nasłuchiwać. – Wypiję twoją krew. Jak napój z butelki.

Była to tak obrazowa wizja, że prawie nerwowo zachichotałem. Powstrzymałem się w porę i zamknąłem oczy, wyęzając słuch. Wychwytywałem drobne, niewyraźne dźwięki. Chrzęst gruzu. Stopa przesuwająca się na szczycie sterty rozsypanych klejnotów. Ale wszystkie odgłosy były równie zniekształcone jak głos Genoskwy i nie dało się zlokalizować ich pochodzenia.

Przestań się zachowywać jak zwierzyna łowna, Harry, i użyj mózgu.

Jasne.

Genoskwa mnie nie słyszał i nie mógł wiedzieć, gdzie dokładnie jestem, ale wcześniej czy później mnie znajdzie, jeśli będę stał w miejscu. Gdybym wyszeptał zakłęcie zasłony, by zamaskować swoje ruchy, również by to usłyszał. Moja obolała głowa była już wystarczająco obciążona i nie śmiałem rzucić czaru niewerbalnie. Mógłbym to zrobić, ale wiązało się to z druzgocącym odbiciem magii, a ostatnie, czego potrzebowałem, to pozbawienie samego siebie świadomości. Samo użycie magicznych zmysłów mogło zdradzić moją pozycję – Genoskwa również praktykował magię i mógłby wyczuć, że rozciągam wokół siebie aurę w poszukiwaniu źródeł energii.

Cienie się zbliżyły, a w skarbcu zrobiło się nieprzyjemnie ciepło za sprawą żaru stopionych skał. Gorące powietrze unosiło się, podsycając huczące płomienie na dłoniach posągów.

Przeciąg.

Powietrze poruszyło włoskami na grzbiecie mojej dłoni. Płynęło delikatnie od wyjścia ze skarbcza w stronę rozgrzanych kamieni na środku komnaty.

Nie myśl jak człowiek, Harry. Myśl jak drapieżnik. Zignoruj wzrok. Zapomnij o słuchu. W jakim kierunku ruszy drapieżnik tropiący ofiarę?

Z wiatrem. Genoskwa ruszy z wiatrem i zlokalizuje mnie po zapachu. Nie znałem jego dokładnego położenia, ale teraz miałem o nim wystarczająco dobre pojęcie.

Oczywiście zakładając, że rozumię właściwie. Jeśli nie, wpakuję się w pułapkę i stanę się ludzkim napojem.

Nie miałem energii na kolejne zaklęcia, ale musiałem zaryzykować.

Dlatego przywołałem moc Zimy, przepuściłem siłę woli przez laskę i zawołałem „*Glacivallare!*”.

Lodowate zimno buchnęło z laski i utworzyło ścianę lodu, długą na około sześciu metrów i grubą na trzydzieści centymetrów, lekko zakrzywioną w moją stronę. Modląc się, by Genoskwa był po jej drugiej stronie, odwróciłem się i puściłem się biegiem, od którego zależało moje życie.

Kiedy pokonałem zaledwie kilka metrów, usłyszałem, że coś uderzyło o ścianę i rozbiło ją z trzaskiem. Błyskawicznie obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Genoskwę w rozmytej humanoidalnej postaci ukrytej za zasłoną, która osłabła, gdy okruszki lodu wylądowały na jego ciele i stopniały. Zasłona zamigotała i zgasła, a olbrzym nie starał się jej przywrócić. W ciągu pół sekundy odzyskał równowagę i rzucił się w moją stronę, odpychając się od ziemi zarówno potężnymi rękami, jak i nogami.

Gdyby Michael go nie okaleczył, Genoskwa mógłby już odebrać depozyt za mojego trupa. Ale chociaż szybko wracał do zdrowia, wciąż nie poruszał się z pełną prędkością, więc mogłem utrzymywać między nami dystans kilku kroków. Jego smród wypełnił moje nozdrza, a ciężki oddech budził grozę, gdy potwór biegł za mną, podążając za rozpaczliwym tupotem moich stóp i ciężkim dyszeniem.

Nie mogłem walczyć z tym gościem.

Ale to nie oznaczało, że nie mogłem go zabić.

Wypadliśmy ze skarbcza i pokonaliśmy Bramę Krwi, a ja sięgnąłem do ostatnich zapasów magicznej energii. Przywołałem światło do swojej laski i pobiegłem tunelem, który pojawił się przy Bramie Lodu, a kiedy ją mijałem,

użyłem mocy Zimy, by podnieść dźwignię i tym samym dzikim szarpnięciem odłamać ją u nasady.

Potem rzuciłem się w głąb dwustumetrowego pola śmierci, podczas gdy bryły lodu wielkości domów zaczęły spadać, miażdżyć, ślizgać się, turlać i zderzać, jak w olbrzymiej, szalonej zgniatarce do śmieci.

– Parkour! – wrzasnąłem i prześlizgnąłem się pod lecącym w poziomie blokiem lodu o rozmiarach ciężarówki, po czym zerwałem się na nogi i pobiegłem dalej.

– Parkour! – zawołałem ponownie, odbiłem się od niewielkiej lodowej bryły i jednym susem przeskoczyłem pomiędzy kilkoma kolejnymi, zręcznie unikając zderzenia.

Cały czas nerwowo oglądałem się na Genoskę, który coraz bardziej się zbliżał, a jego ogromne ciało poruszało się z irytującą zwinnością, gdy pokonywał przeszkody łatwiej ode mnie, mimo braku oczu.

A potem zimno zaczęło dawać mu się we znaki.

Początkowo tylko nieznacznie. Został w tyle o jeden krok. Ale kiedy mijaliśmy kolejny rząd przeszkód, jedna z brył lodu zahaczyła o jego potworne ramię. Szybko odzyskał równowagę i popędził dalej, a kiedy zbliżaliśmy się do końca pola, postanowiłem zagrać nieczysto.

Przeskakując nad dwiema niskimi bryłami, obróciłem się w powietrzu, wycelowałem palec w ziemię za sobą i warknąłem „*Infriga!*”.

Nie użyłem dużej dawki mocy. To był zaledwie szept, który pokrył kilkumetrowy fragment gruntu gładkim lodem Zimy.

Genoska się poślizgnął.

Nie stracił całkowicie równowagi, ale za sprawą zimna miał stępiony refleks, więc się zachwiał. Tylko trochę – w końcu biegł na czworakach. Ale to wystarczyło. Zatoczył się i ponownie zwolnił kroku.

Nagle przede mną wyrosła trzymetrowa lodowa ściana z nieregularnie wirujących, zderzających się i koziołkujących lodowych bloków, a ja wrzasnąłem i przeskoczyłem nad nią jak skoczek wzwyż. Otarłem się o nią plecami i zobaczyłem kolejny lodowy sześcian wielkości domu, który spadał na mnie ze stropu, ale zdołałem odbić się od szczytu ściany i wylądowałem w bezpiecznym miejscu.

Genoska chwycił się górnej krawędzi ściany i bez trudu ją przeskoczył, lekko przerzucając na drugą stronę swoje włochate cielsko. W jakiś sposób wyczuł jej obecność. Zapewne usłyszał mój okrzyk i wybicie, a także to, że otarłem się o szczyt. A może Ursiel pomagał mu w tej ślepej pogoni, tak jak Lasciel kiedyś prowadziła mnie w całkowitej ciemności.

Jednakże ani Genoskwa, ani Upadły anioł nie wyczuli, co bezgłośnie opada ku nim.

Blok lodu wielkości budynku spadł niczym młot Boga Wszechmogącego i rozgniółł Genoskwę jak puszkę po piwie.

Przetoczyłem się po ziemi i znieruchomiałem, całkowicie wyczerpany, dysząc jak parowóz. Miałem jednak wystarczająco dużo energii, żeby odwrócić głowę i zobaczyć obrzydliwe szczątki miotane jak szmaciana lalka między ostatnim rzędem lodowych brył.

– Parkour, frajerze – syknąłem.

A potem przez minutę tylko oddychałem.

Po chwili usłyszałem kroki i poczułem, że podnoszą mnie czyjeś ręce. Michael schował Amoracchiusa do pochwy i pomógł mi się wyprostować. Grey przez chwilę patrzył na zmiażdżone zwłoki olbrzyma, a potem pokręcił głową.

– Faj – powiedział.

– Prawda? – odrzekłem.

Anna Valmont zadrżała i zwróciła ku mnie bladą twarz.

– Nic ci nie jest, Harry?

– Nic, czego nie wyleczą dwa miesiące snu w wygodnym łóżku – odparłem.

Nagle dotarł do nas chór jęków, zupełnie jakby cienie zalewające skarbiec osiągnęły masę krytyczną i popłynęły naprzód. Wciąż ich nie widziałem i wcale nie miałem na to ochoty. Miałem w głowie niewyraźny obraz skarłowaciałych ożywionych truposzy z filmu *Władca Pierścieni* i byłem przekonany, że taka wizja nadciągającego niebezpieczeństwa mi wystarczy.

– Co to było? – spytała Anna.

– Bramkarze – odrzekłem. – Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy się pojawią. Uciekajmy do pierwszej bramy, ludzie.

Tak też zrobiliśmy, pędząc tunelem do miejsca, w którym pierwotnie otworzyłem Ścieżkę. Wziąłem głęboki wdech i przygotowałem się do wysiłku, oby ostatniego tego dnia.

– Michaelu – odezwałem się.

– Tak?

– Podejrzewam, że Nicodemus zamierzał wykorzystać Lasciel i Ascher jako awaryjną Ścieżkę powrotną. – Ascher potrafiła miotać wokoło Żarem Piekieł. Dwa tygodnie szkolenia pod okiem dobrego nauczyciela, na przykład Upadłego anioła, który mógł podsuwać jej odpowiednie obrazy i komunikować się z nią telepatycznie, przy jej talencie mogły wystarczyć, by nauczyła się korzystać ze Ścieżek – ale raczej nie mogła tego zrobić spod kilkuset ton stopionej skały. – Może Genoskwa mogłaby tego dokonać. Ale oboje wypadli z gry. Zatem pozostała mu tylko jedna możliwość powrotu.

Michael mruknął pod nosem i dobył miecza, a Grey zmarszczył czoło i stał się jeszcze bardziej czujny.

– Nie nadajemy się do walki, Harry – rzekł Michael.

– On także – odpowiedziałem. – Miejcie oczy szeroko otwarte. Jak najszybciej przedostaniemy się na drugą stronę Ścieżki, a ja zamknę ją za nami. Nick niech sam szuka drogi do domu. – Potem skupiłem siłę woli, nakreśliłem laską kreskę w powietrzu i powiedziałem „*Aparturum*”.

Świetlista linia ponownie rozszczepiła powietrze, a w powstałym otworze ujrzałem wewnątrz skarbcza w banku Marcone’a.

Oparłem się ciężko na lasce, dumny, że nie przewróciłem się i nie zasnąłem na posadzce.

– Michaelu – odezwałem się. – Idź.

Michael ruszył pierwszy z mieczem w dłoni, bacznie wypatrując zagrożeń.

– Anno – zachęciłem.

Valmont przeszła na drugą stronę, wciąż dźwigając plecak, jeden z identycznych egzemplarzy, które Nicodemus wręczył wszystkim członkom drużyny, a które ja zignorowałem. Grey używał jego duplikatu jako przynęty w amfiteatrze.

– Mój Boże – westchnął Grey, spoglądając na mnie. – Nie powinieneś zabrać jakiegoś łupu? Jak zamierzasz mi zapłacić, do diabła?

– Coś wymyślę – odparłem.

Grey uśmiechnął się kpiąco.

– Wiem, że się śpieszymy, ale powinieneś zdać sobie z czegoś sprawę.

– Z czego?

– Nikt nie zabrał części łupu należącej do Bindera. Wszyscy jesteśmy mocno poturbowani, a on ma armię demonów, którą może na nas napuścić. Myślę, że warto się nad tym zastanowić. – Następnie wszedł na Ścieżkę.

– Psiakrew – mruknąłem.

Miałem tylko ochotę gdzieś się położyć. Dlaczego nic nie może być proste?

Wkroczyłem na Ścieżkę i wróciłem do świata śmiertelników, a wtedy niemal natychmiast poczułem się lepiej – lżejszy i bardziej swobodny. Zmiana grawitacji. Uporządkowałem rozbiegane myśli, ponieważ musiałem się skupić. Nicodemus nawet w tej chwili mógł pędzić w stronę Ścieżki, razem z kilkoma milionami rozwścieczonych cieni. Wątpiłem, żeby Hades pozwolił swoim więźniom zalać świat śmiertelników, ale z tymi typami nigdy nic nie wiadomo.

Przynajmniej popsucie zaklęcia było łatwiejsze niż jego utkanie.

– Michaelu, osłaniaj mnie – poprosiłem.

Staął u mojego boku z Mieczem w dłoni. Zwróciłem się w stronę Ścieżki, potwornie zmęczony, uniosłem laskę i wyszeptałem „*Disperd...*”.

Wtedy jakiś czarny cień wypadł ze Ścieżki i uderzył we mnie jak ciężarówka.

Wypatrywałem kłopotów i byłem gotowy. Michael też był gotowy. Albo obaj byliśmy bardziej zmęczeni, niż nam się wydawało, albo cień poruszał się z taką szybkością, że nie dał nam szans na reakcję. Albo jedno i drugie.

Siła uderzenia obróciła mnie w powietrzu i cisnęła na ziemię. Wszystko mnie bolało, a moje łokcie splątały się z łopatkami.

Nieprzytomnie poderwałem głowę i zasłoniłem się rękami, a wtedy zobaczyłem rozmazany cień, który przemknął do drzwi skarbcza Marcone'a.

Nicodemus wyłonił się ze skłębionego cienia. Był blady i wyglądał strasznie; miał oczy zapadnięte z bólu, ale trzymał się prosto. Schował miecz do pochwy i wciąż niedbale trzymał w ręku Świętego Graala. Poruszając się sztywno i z wyraźnym cierpieniem, przekręcił klamkę na drzwiach wejściowych, a one otworzyły się pod wpływem jego pchnięcia.

Potem popatrzył prosto na mnie i ze spokojem odłamał klamkę u nasady.

– Dresden – odezwał się. W jego oczach płonęła straszliwa furia – widziałem to nawet z daleka. – Między nami ojcami – zawołał. – Dobra robota.

Poczułem, że moje oczy się rozszerzają.

– Powstrzymajcie go! – rzuciłem i zerwałem się na nogi.

Michael puścił się biegiem. Grey pomknął w głąb skarbcza z szybkością nisko lecącego samolotu.

Żaden z nas nie zdążył powstrzymać Nicodemusa, który roześmiał się chrapliwie i z goryczą, po czym zatrzasnął potężne drzwi.

Mimo wszystko pobiegłem na drugą stronę pomieszczenia, a przynajmniej się starałem, ciężko przy tym dysząc. Anna Valmont trzymała się u mojego boku, wciąż niosąc swój przybornik z narzędziami.

– Boże! – jęknąłem. Próbowałem chwycić pozostałość klamki, ale nie mogłem zacisnąć na niej dłoni. Drzwi skarbcza były zamknięte, a my zostaliśmy uwięzieni w środku. Staranowałem je ramieniem, ale nawet nie drgnęły, a zresztą nie byłem pewien, czy zdołałbym je wyważyć, nawet gdybym był w pełni sił. – Michaelu, słyszałeś, co on powiedział?

– Słyszałem – przyznał Michael ponuro.

– Skąd mógł wiedzieć?

– Ty mu powiedziałaś – cicho odparł Michael. – Kiedy drażniłeś się z nim w sprawie Deirdre. Powiedziałeś rzeczy, o jakich może wiedzieć tylko inny ojciec.

Jęknąłem głośno, ponieważ Michael miał rację. Kiedy Nicodemus uświadomił sobie, że jestem ojcem, nie miał większych problemów ze zidentyfikowaniem ciemnowłosej, ciemnokokiej dziewczynki, która nagle pojawiła się w domu Michaela. Powinienem być się domyślić, że Nicodemus

weźmie to miejsce pod lupę, nawet jeśli nie mógł w tym celu wykorzystać swojego tresowanego cienia. Co więcej, dziewczynka pojawiła się tam zaraz po moim szaleńczym ataku na Czerwony Dwór oraz rzekomej śmierci. Nietrudno było domyślić się prawdy.

Nicodemus nie dałby rady osobiście wejść do posiadłości Michaela, ale dysponował całą dysfunkcyjną drużyną giermków z karabinami automatycznymi i śrutówkami, którzy mogli go wyręczyć. Przepęłniał go ból spowodowany utratą córki.

Maggie tam była. A także dzieci Michaela. Podobnie jak bezbronny archanioł.

– On kieruje się do twojego domu – wyszeptałem. – Zamierza zaatakować nasze rodziny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

– Cofnijcie się – ostro odezwała się Anna Valmont i przyklękła, żeby rozwinąć swój przyborek na podłodze obok odłamanej klamki. – Dresden, zejź mi z drogi.

Odsunąłem się.

– Szybko, szybko, szybko – zawołałem.

Zaczęła gwałtownie wyciągać narzędzia z przybornika.

– Wiem.

– Pośpiesz się.

– Wiem.

– Nie możesz po prostu ich rozciąć?

– To drzwi do skarbcza, Dresden, a nie łańcuch od roweru – odburknęła Valmont. Popatrzyła rozpaczliwie na Michaela i wskazała mnie głową.

Michael wyglądał, jakby też chciał ją ponaglić, ale się powstrzymał.

– Daj jej spokojnie pracować, Harry – skarcił mnie.

– To nie potrwa długo – obiecała.

– Cholera – zakląłem, przestępując z nogi na nogę.

– Dresden – odezwał się Grey.

– Co?

W skarbcu odbił się echem chór jęków, które dobiegały jakby z olbrzymiej odległości.

Grey zacisnął usta.

– Czy ta Ścieżka powinna pozostawać otwarta?

Gwałtownie się obejrzałem. Jedyнным źródłem światła po drugiej stronie była sama Ścieżka, ale to wystarczyło, żebym zobaczył potężną postać zbliżającą się do przejścia. Jej włochate kolano sięgało mi do obojczyka. Potem olbrzym przyklękł i ogromna, brzydka humanoidalna twarz o pojedynczej brwi popatrzyła na mnie łakomie.

Chwyciłem laskę i przywołałem siłę woli.

– Chociaż raz chciałbym zrobić coś zgodnie z planem – warknąłem. – *Disperdorius.*

Energia wypłynęła ze mnie, wywołując falę zawrotów głowy, a zarys Ścieżki zwinął się i zniknął, zabierając ze sobą cyklopa. Odwróciłem się od zamykającej się Ścieżki w stronę drzwi skarbcza, jeszcze zanim zgasło światło.

Rozległo się ciche pyknięcie, a następnie syk i zobaczyłem w ręku Valmont miniaturową spawarkę podpiętą gumowymi wężykami do dwóch niewielkich pojemników. Anna podała Greyowi wkrętak o stalowym grocie.

– Potrzebuję kształtu litery L.

Grey stęknął, chwycił narzędzie obiema rękami i przymknął oczy. Potem jednym gwałtownym ruchem przedramion zgiął wkrętak, otrzymując kąt prosty.

– Wsuń go do gniazda w miejscu złamania i przytrzymaj.

Grey jej posłuchał. Valmont wsunęła do otworu metalowy pasek, uniosła kwadratowy kawałek ciemnego plastiku, żeby ochronić oczy przed jaskrawym światłem spawarki, i po chwili z drzwi trysnęły iskry. Pracowała nad nimi przez jakieś pięćset lat, które zapewne trwały kilka minut, aż w końcu spawarce skończyło się paliwo i zgasła.

– Trzymaj równo – poleciła Valmont. – Dobrze, możesz puścić.

Grey puścił rączkę wkrętaka, która sterczała z otworu w drzwiach w taki sam sposób, jak wcześniej klamka.

– Do dzieła. Chodźmy – niecierpliwiłem się.

– Nie – odburknęła Valmont. – To nie są właściwe materiały i nie jestem pewna co do jakości spawu. Musimy poczekać, aż ostygnie, w przeciwnym razie się złamie, a nie mam paliwa na powtórkę. Sześćdziesiąt sekund.

– Psiakrew – rzuciłem, spacerując tam i z powrotem. – Dobrze, kiedy się wydostaniemy, jak najszybciej popędzę do domu. Michaelu, zdobądź telefon i...

– Idę z tobą – odparł Michael.

Odwróciłem się w jego stronę i przemówiłem brutalnie beznamiętnym, rzeczowym tonem.

– Masz niesprawną nogę. Będziesz mnie spowalniał.

Zacisnął zęby aż zadrżały mięśnie. Ale pokiwał głową.

– Poza tym będziesz musiał pomóc pozostałym wydostać się z banku. Najlepiej tak, żeby po drodze nikt was nie podziurawił kulami. Ucieknijcie, znajdźcie telefon i ostrzeżcie Charity. Może zdąży zabrać ich do schronu.

– On spali dom z nimi w środku – rzekł Michael cicho.

– Nie ma mowy – odparłem. – Podążaj za nami najszybciej, jak potrafisz.

Pokiwał głową. Potem bez słowa wyciągnął w moją stronę rękojęść Amoracchiusa.

– Nie mogę go wziąć od ciebie – powiedziałem.

– On nie należy do mnie, Harry – odrzekł. – Po prostu trafił do mnie na przechowanie.

Dotknąłem palcem rękojeści, a potem pokręciłem głową i odepchnąłem miecz w jego stronę. To była potężna broń, ale należało jej używać niezwykle ostrożnie, a ja nie dysponowałem odpowiednimi cechami ani usposobieniem.

– Murphy wiedziała, że nie powinna używać *Fidelacchiusa*, a jednak wczoraj to zrobiła i straciliśmy go bezpowrotnie. Nie jestem geniuszem, ale potrafię się czegoś nauczyć.

Michael lekko się uśmiechnął.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Harry. Ale popełniasz ten sam błąd co Nicodemus, a także Karrin.

– Jaki błąd?

– Wszyscy myślicie, że najważniejszą częścią określenia „Miecz Wiary” jest „miecz”.

Zmarszczyłem czoło.

– Świat zawsze uważa, że zniszczenie fizycznego naczynia stanowi zwycięstwo – ciągnął cicho. – Ale Zbawiciel nie był tylko komórkami, tkanką i związkami chemicznymi, a *Fidelacchius* jest czymś więcej niż drewno i stal.

– Jego już nie ma, Michaelu – odparłem cicho. – Czasami źli ludzie wygrywają.

– Czasami może się tak wydawać. Ale tylko chwilowo.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Nie mogę wiedzieć – odrzekł, a jego twarz rozjaśnił niespodziewany uśmiech. – Właśnie dlatego nazywa się to wiarą, Harry. Zresztą zobaczysz.

Zauważyłem, że Grey intensywnie wpatruje się w Michaela.

– Już czas – odezwała się Valmont. Uniosła rękę i chwyciła palcami grot śrubokręta. Potem bardzo delikatnie przekręciła klamkę.

Drzwi skarbcza głośno szcęknęły i stanęły otworem.

– Ruszmy się! – zawołałem.

– Jeśli Binder nam pozwoli – dodał Grey.

Wyszliśmy ze skarbcza do bankowego schowka, który był całkowicie zrujnowany. Zewnętrzna strona skarbcza znaczyły wgniecenia o głębokości centymetra. Kolejne wgniecenia oraz smugi znajdowały się na skrytkach depozytowych wzdłuż bocznych ścian. Ściana, w której tkwiły miny, po prostu zniknęła. Pozostał po niej tylko goły beton podziurawiony przez odbijające się kulki, z których część wciąż tkwiła w murze. Podłogę pokrywały żwir i gruz.

Drzwi skarbcza okrążała trzydziestka bandziorów Bindera, blokując drogi ucieczki. Wszyscy celowali do nas z uzi.

– Kurczę! – zawołałem, mocniej ściskając laskę. – Binder, zaczekaj!

– Jeszcze krok, a zmienisz się w sito! – odezwał się Binder z korytarza. Jakimś cudem drzwi wciąż wisiły na zawiasach, a drobny najemnik się za nimi

chował. – Gdzie Hannah?

W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć, że partnerka Bindera idzie tuż za nami, ale coś mi podpowiedziało, że to byłby zły pomysł. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Nie żyje.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Binder znów się odezwał, tym razem bardziej szorstko.

– Co się stało?

– Zapomniała o Pierwszej Zasadzie – odrzekłem. – Zabrała jedną z Monet. Nie miałem wyjścia.

– Nie miałeś wyjścia. Chłopcy z Białej Rady często tak mówią – odparł Binder bardzo łagodnym głosem, który brzmiał o wiele groźniej niż wcześniejszy surowy ton. – Nicodemus powiedział, że twoja ekipa nas zdradziła, zabiła Deirdre, Hannah i wielką małpę oraz chce zagarnąć cały łup.

– Powiedział ci część prawdy – odrzekłem. – Ale kłamie w kwestii tego, kto jako pierwszy spróbował wbić drugiej stronie nóż w plecy. Postępowaliśmy uczciwie. To on nas zdradził.

Binder częściowo wychylił się zza drzwi i stęknął. Potem wskazał podbródkiem Michaela.

– Panie Rycerzu, czy właśnie tak się stało?

– Twoja partnerka przyjęła Monetę Lasciel – stanowczo odrzekł Michael. – Nicodemus zabił własną córkę, żeby otworzyć Bramę Krwi. Kiedy znaleźliśmy się w środku, rozkazał panie Ascher i Genoskwie, żeby zwrócili się przeciwko nam. Rozpętała się walka. Oni przegrali.

Binder popatrzył spod przymrużonych powiek na Greya, a na jego twarzy pojawił się krytyczny grymas.

– A więc zmieniłeś front?

– Dresden skontaktował się ze mną wcześniej niż Nicodemus. Zrobiłem to, do czego mnie wynajął.

Binder uniósł brew.

– Aha. To wszystko tłumaczy.

Grey wzruszył ramionami.

– Hannah – ciągnął Binder, zwracając wzrok na mnie. – Zabiliście ją?

– Ja to zrobiłem – odrzekłem. – Dałem jej szansę wycofania się. Nie chciała tego zrobić. Przykro mi. Była zbyt silna, żebyśmy mogli inaczej sobie z nią poradzić.

Binder wypluł ciche, jadowite przekleństwo i odwrócił wzrok.

– Głupi dzieciak. Była niezłą partnerką, ale nie miała za grosz rozsądku.

– Z czystej ciekawości – odezwał się Grey. – Chcesz nas zastrzelić czy co?

– Słucham? – Binder zerknął na swoich oprychów, a oni opuścili broń i zaczęli wychodzić. – Ach, nie, chłopcom skończyła się amunicja dobre dwadzieścia minut temu. Od tamtej pory walczyli wręcz, ale potem pojawili się gliniarze i ludzie Marcone’a wycofali się, żeby sobie wszystko przemyśleć.

– Raczej po to, żeby ściągnąć na pomoc Einherjaren – mruknąłem. Oprychy Bindera były groźne, ale nie miały szans przeciwko drużynie autentycznych wikingów z tysiącletnim doświadczeniem w walce, na których śmierć nie zrobiła wrażenia już za pierwszym razem. – Jak wygląda sytuacja?

Oczy Bindera jakby na chwilę zaszły mgłą.

– Tuzin radiowozów odgrodził okolicę – doniósł. – Przyjechało kilka wozów strażackich. Kilka części budynku nad nami się pali. Zapewne jedzie tutaj kolejny milion pojazdów, ale ulice pokrywa lód, więc gliny na razie tylko pilnują wyjść. Pogoda się popsowała. Znad jeziora nadciąga gęsta mgła.

– Lód i mgła – odrzekłem. – To mi się podoba.

– Słońce jeszcze nie wzeszło – wyjaśnił Binder. – A jakiś podły, przystojny staruszek zaklął wszystkie latarnie uliczne i reflektory punktowe. Jeśli teraz wyjdziemy, być może uda nam się ujść cało.

– Co się stało z Nicodemusem? – spytał Michael.

– Odleciał – burknął Binder. – Powiedział mi, że zabiliście Hannah i zostawiliście mnie tu na pastwę losu.

Stęknąłem.

– A ten fragment o pieniądzach? – spytał Binder. – Ile jest w nim prawdy?

– Mamy jeden plecak – odrzekła Valmont cicho. – Małe klejnoty, łatwe do upłynnienia. Będziemy musieli się nimi podzielić, kiedy już uciekniemy.

Zamrugąłem i popatrzyłem na nią.

Posłała mi spokojne, trudne do odszyfrowania spojrzenie.

– Wszyscy za jednego – dodała. – Ja też chcę się stąd wydostać.

Miała rację. Byłem na skraju wytrzymałości. Binder również wyglądał na wyczerpanego. Gdybyśmy po prostu na oślep wybiegli z budynku, o naszym losie zdecydowałby czysty przypadek. Ciemność i mgła były po naszej stronie, chicagowscy policjanci byli ciężko uzbrojeni i podejrzewali, że mają do czynienia z atakiem terrorystycznym. Najpierw zaczną strzelać, a pytania będą zadawać dopiero w przerwach na przeładowanie broni.

Kulka w głowie nie zwiększy moich szans na szybkie dotarcie do domu Carpenterów, a byłem winny Valmont i Michaelowi znacznie więcej niż wyprowadzenie ich pod lufy policjantów podczas ucieczki z miejsca przestępstwa. Przede wszystkim chciałem ruszyć w stronę domu Michaela, ale w tym celu musiałem wyprowadzić nas w jednym kawałku z tego budynku. Było to możliwe tylko dzięki współpracy.

– Binder – odezwałem się. – Nicodemus oszukał nas wszystkich. Ale proponuję ci nowy układ, dla obustronnego przetrwania. Kiedy się wydostaniemy, podzielimy zawartość plecaka na pięć równych części. To nie są czerwone kamienie, ale dwadzieścia procent z nich będzie należało do ciebie, jeśli pomożesz nam się stąd zabrać.

– Dajesz słowo?

– Daję słowo – potwierdziłem.

– Sam nie wiem – odrzekł Binder. – Obiecywałeś, że mnie zabijesz, kiedy znów mnie tutaj zobaczysz...

Storpedowałem go wzrokiem.

– Panie Rycerzu? – spytał Binder. – A ty dasz mi swoje słowo?

– Masz je – odrzekł Michael.

– Wchodzisz w to czy nie? – spytałem.

Binder przez chwilę przyglądał się Michaelowi, a potem skinął głową.

– Oczywiście, że tak. Jaki mam wybór?

– A wszyscy inni?

Rozległy się zgodne pomruki.

– No dobrze. Zatem słuchajcie – powiedziałem, czując w każdej cząsteczce ciała chęć pobiegnięcia za Nicodemusem. Ale postanowiłem posłuchać głowy. Wszystko po kolei. Najpierw wydostaniemy się ze śmiertelnej pułapki, w której się znaleźliśmy, a dopiero potem uratujemy Maggie. – Oto plan.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Realizacja planu nie wymagała dużo czasu.

Wyjścia horda oprychów Bindera wylała się z banku, przebijając się przez okna i wybiegając przez drzwi. Popędzili prosto pod grad kul policjantów z kilkunastu radiowozów otaczających budynek. Nie było łatwo ich zabić, ale po trafieniu kilkoma pociskami w końcu umierali. Wskakiwali na samochody. Groźnie wymachiwali rękami. Złowrogo celowali z pozbawionych amunicji uzi.

Ale nikomu nie zrobili krzywdy. Gdyby tak się stało, Binder straciłby prawo do swojej części łupu. Kiedy padali martwi, zmieniali się w ekto plazmę, z której zostali uformowani – przejrzystą galaretkę, gwałtownie parującą i pozostawiającą po sobie tylko rozładowaną broń i konsternację.

Większość oprychów wybiegła z zachodniej strony budynku. Nasza niewielka drużyna wyszła kilka sekund po nich, skryta pod moją najlepszą zasłoną – czyli nieco bardziej rozmazana i przejrzysta niż zazwyczaj.

Zasłony nie są moją specjalnością, jasne? Zwłaszcza ukrywające tylu ludzi jednocześnie.

W tym świetle, przy takiej pogodzie, pośród chaotycznego wycia i pozornej agresji demonów w eleganckich wdziankach moja nędzna zasłona okazała się wystarczająca. Ruszyłem przodem, Michael zamykał pochód i wszyscy trzymaliśmy się za ręce, jak dzieci podczas szkolnego spaceru. Musieliśmy – w przeciwnym razie zasłona zakrywałaby tylko mnie.

Poza kręgiem radiowozów stały inne pojazdy uprzywilejowane – wozy strażackie, karetki i tym podobne, zaparkowane na nierównych połaciach mokrego śniegu pokrywającego lód. Zaczęli się pojawiać także dziennikarze, podczas gdy zbyt mała liczba pozostałych policjantów usiłowała zamknąć dostęp do budynku Capristi. Każdy wyteżał wzrok, by zobaczyć cokolwiek w gęstej mgle i zrozumieć, co się dzieje, pośród chaotycznego wycia i strzelaniny. Utrzymałem wokół nas zasłonę, gdy kuśtykaliśmy pośród zamieszania, dostosowując się tempem do Michaela. Ludzie zauważali, że ktoś ich mija, ale przynajmniej nie byli w stanie nas rozpoznać.

Niesprawna noga Michaela wytrzymała do kolejnej przecznicy, a potem Rycerz wypadł z naszego łańcucha i ciężko dysząc, oparł się o budynek.

Kiedy nas puścił, moja zasłona zamigotała i opadła, a cała nasza piątka stała się widoczna.

– No dobrze – odezwałem się. – Wy troje jak najszybciej ruszajcie dalej, zanim ludzie Marccone’a zorientują się, co się dzieje. Czym prędzej znajdźcie telefon.

– Powinniśmy się rozdzielić – zaproponował Binder. Był blady i roztrzęsiony. Przyszedł na świat w czasach przed wynalezieniem treningu kardio, a przez całą noc przywoływał demony.

Valmont przytaknęła w milczeniu.

– Kiedy łamiesz prawo, słuchaj zawodowców – odrzekłem. – Zabierzcie swoją część łupu i dajcie resztę Michaelowi.

– Bóg z tobą, Harry – odezwał się Michael.

– Grey, chodź ze mną – poleciłem.

Odwróciłem się, przywołałem moc Zimy i puściłem się biegiem.

Grey dogonił mnie dopiero po kilku sekundach, ale zrobił to z łatwością. Westchnął zniecierpliwiony.

– Postaraj się nie napinać mięśni – powiedział.

– Co takiego? – rzuciłem.

– Parkour – odrzekł, a potem chwycił mnie w pasie i wyrzucił w powietrze.

Wzniosłem się, wymachując rękami i nogami, a kiedy popatrzyłem w dół, zobaczyłem coś niemożliwego.

Grey zręcznie opadł na czworaki, jego sylwetka się rozmyła i nagle pode mną galopował duży, długonogi siwy koń, a ja opadłem na jego grzbiet. Udało mi się osłonić najbardziej wrażliwe sfery i przyjąć większość siły uderzenia na uda, ale przez to niemal spadłem na ziemię i musiałem rozpaczliwie zamachać rękami, by utrzymać równowagę.

Udało mi się i poprawiłem pozycję. Nie jeździłem konno od czasów, gdy przebywałem w gospodarstwie Ebenezara na Wyżynie Ozark, ale tam robiłem to codziennie, więc wciąż mogłem liczyć na pamięć mięśniową. Jazda na oklep nie jest łatwa, gdy wciąż jesteś oszołomiony po tym, jak ktoś na twoich oczach całkowicie zignorował prawa fizyki i magii.

Zmiana postaci to nie problem, ale Grey właśnie zrobił coś znacznie istotniejszego – zmienił swoją masę. Dobrze wiem, jak działa przekształcanie ciała za pomocą magii. Wystarczy pozamieniać kilka rzeczy miejscami, ale masa zawsze pozostaje niezmienną. Owszem, widziałem, jak Ursiel zmienia się w niedźwiedzia i staje się znacznie potężniejszy, więc zdawałem sobie sprawę, że to możliwe, ale podejrzewałem, że to może być właściwość Upadłych

aniołów. Choć w ich przypadku to również nie miało sensu. Widziałem, jak Słuchający Wiatru znacznie zmniejsza swoją masę podczas bitwy zmiennokształtnych z naag-loschii, ale podejrzewałem, że uczynił niektóre części swojego ciała gęstszymi i cięższymi, gromadząc więcej materii na mniejszej przestrzeni.

Grey nie tylko się powiększył. Stał się siedmio- albo ośmiokrotnie większy, a wszystko w mgnieniu oka. Bolesne pulsowanie w głowie utrudniało mi myślenie, ale wcisnąłem łaskę pod pachę, żeby móc trzymać się grzywy sprawną ręką, i zdałem sobie sprawę, że mówię do siebie.

– Aha, ektoplazma – tłumaczyłem sobie. – Przywołuje masę tak samo jak oprychy Bindera.

Grey parsknął, jakbym powiedział coś oczywistego.

A potem pokręcił głową i zaczął biec.

Dzięki mocy Zimy potrafię biegać całkiem szybko, równie szybko jak najsprawniejszy człowiek, tylko że dłużej. Powiedzmy, że rozwijam prędkość czterdziestu do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Koń czystej krwi podczas wyścigu pędzi z prędkością około pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Z kolei konie odmiany quarter horse na krótkich dystansach potrafią rozwijać prędkość prawie dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Grey pogalopował właśnie z taką prędkością, może nawet wyższą, i nie zwalniał. Próbowałem się utrzymać na jego grzbiecie.

Burza lodowa sparaliżowała Chicago, ale na ulicach wciąż pozostało nieco samochodów oraz ludzi. Grey musiał między nimi lawirować, ponieważ nie byli wystarczająco szybcy, by usunąć mu się z drogi. Kiedy dostrzegali we mgle zbliżającego się Greya, było już za późno na reakcję, a ja mogłem tylko kurczowo się trzymać, żeby nie spaść. Przy takiej prędkości miałyby to skutki wypadku samochodowego, tylko że nie chroniłaby mnie karoseria. To doświadczenie pozwoliło mi bardziej docenić Karrin i jej harleya, chociaż on podczas jazdy nie przeskakiwał nad skrzynkami pocztowymi, pieszymi ani tymi śmiesznymi elektrycznymi autkami.

W pewnym momencie zauważyłem, że Greyowi również przeszkadza śliski lód pokrywający ulice i chodniki. Czasami bardziej się ślizgał, niż biegł, choć radził sobie z niesamowitą gracją.

Gdyby to nie zmniejszyło moich szans przeżycia, zamknąłbym oczy.

Przemieszczałyśmy się we właściwym kierunku i dopiero, kiedy byliśmy prawie na miejscu, uświadomiłem sobie, że nie mówiłem Greyowi, gdzie mieszka Michael.

Kiedy dotarliśmy do celu, Grey sapał jak parowóz, a jego rozpaloną skórę pokrywały pot oraz piana. Z rozszerzonych nozdrzy kapała krew. Pomimo jego

niezwykłych zdolności błyskawiczne przemieszczanie tak dużej masy przez tak długi czas potwornie obciążało metabolizm. Z hukiem kopyt minęliśmy niewielkiego SUV-a Karrin – który wciąż tkwił w miejscu, w którym się rozbił poprzedniego dnia – ale kiedy Grey próbował skrócić w ulicę Michaela, wyczerpane ciało go zawiodło i ugięły się pod nim nogi.

Nadepnął na połąć lodu i pomknęliśmy bokiem w stronę domu na rogu.

Poczułem, że odrywamy się od podłoża i obracamy w powietrzu. Nie wyglądało to dobrze. Bezsilnie czekałem, aż ponad pół tony konia oraz ponad sto kilogramów maga potoczą się razem po zmrożonym gruncie i uderzą o budynek.

Ale stało się inaczej.

Gdy tak koziolkowaliśmy w powietrzu, koń nagle się rozplynał i przemienił w Greya oraz górę śliskiej, parującej ektoplazmy. Grey chwycił mnie w locie i przycisnął moje ręce do swojego tułowia, a kiedy spadliśmy na ziemię, jego ciało przyjęło na siebie siłę uderzenia, chroniąc moją czaszkę. Bolesnie odbiliśmy się od gruntu, gwałtownie zawirowaliśmy, a potem grzmotnęliśmy o ścianę domu, ćwierć sekundy po ektoplazmicznej mazi. Grey ponownie mnie osłonił, a ja usłyszałem trzask pękających kości. Dzięki niemu, gęstym zaroślom rosnącym pod ścianą oraz poduszce ze śluzu zdołałem przeżyć zderzenie, choć poczułem je we wszystkich kościach.

Podniosłem się i sprawdziłem, w jakim jest stanie. Leżał bezwładnie z zamkniętymi oczami oraz zakrwawionymi ustami i nosem, ale wciąż oddychał. Jego klatka piersiowa była groteskowo zniekształcona, ale na moich oczach zaczerpnął powietrza, a wtedy jego żebra rozszerzyły się i przybrały bardziej naturalny kształt. Na dzwony piekiel, co za odporny facet. Z moich ust to nie lada komplement.

– Czego człowiek... nie robi... – zacharczał – dla... pieniędzy na czynsz.

Podniosłem głowę i jak przez mgłę zobaczyłem, jak zza zakrętu wyjeżdżają duże nieoznakowane furgonetki, którymi Nicodemus transportował nas na początku naszej akcji. Powoli zbliżały się do domu Michaela.

Grey dostarczył mnie do celu w ostatniej chwili.

Pytanie brzmiało: co mam teraz zrobić?

Wstałem, ponownie przywołując zasłonę. Być może niewiele mi dawała, ale przynajmniej nie pochłaniała dużo energii. Zacząłem powoli przemieszczać się w stronę wroga. Stopy Rycerza Zimy nie robiły żadnego hałasu na lodzie.

Moja głowa miarowo pulsowała potwornym bólem. Podobnie ręka, pomimo izolacji, jaką zapewniała mi moc Zimy. Mięśnie pleców stały się twarde jak kamień od wysiłku i nie wiedziałem, ile jeszcze zdołam rzucić zaklęć, zanim się przewrócę.

Dlaczego więc szedłem w stronę furgonetek, szykując się do walki?

Obwinałem moc Zimy, która stale pobudzała moją naturę drapieżnika, popychając mnie na drogę walki, polowania i zabijania. Takie rozwiązania miały swoje miejsce i czas, ale kiedy patrzyłem, jak furgonetki zwalniają na oblodzonych ulicach, rozsądek podpowiadał mi, że to nie jest właściwa chwila. Być może udałoby mi się rzucić wybuchowe zakłęcie ognia na furgonetki, ale eksplozje rzadko bywają tak eleganckie i skuteczne, jak chcieliby ich autorzy, a ja z wysiłku mógłbym paść nieprzytomny na zaśnieżoną ziemię. Mógłbym leżeć bez zmysłów, podczas gdy ocaleli z wybuchu wrogowie mordowaliby moją córkę.

Zbyt wiele zmiennych. Po co walczyć ze złoczyńcami, skoro mogę zabrać Carpenterów oraz Maggie i wyślizgnąć się z domu?

Dlatego, zamiast narobić hałasu, utrzymałem zasłonę i biegiem okrążyłem dom na rogu, po czym zacząłem przeskakiwać ogrodzenia, przemieszczając się podwórzami w stronę domu Carpenterów. Dotarłem do tylnych drzwi i przekręciłem gałkę. Drzwi nawet nie drgnęły, a ja zaryzykowałem i lekko zapukałem w szybę w zewnętrznych drzwiach.

– Charity! – szepnąłem ponagląjąco. – Charity, to ja!

Zerknąłem w stronę narożników domu, na wypadek gdyby giermkowie posłali ludzi na sąsiednie podwórka. A kiedy znów popatrzyłem na wejście, ciężkie drzwi przeciwwłamaniowe otworzyły się i popatrzyłem prosto w podwójną lufę śrutówki.

Pośpiesznie zrzuciłem zasłonę i podniosłem rękę. Chyba powiedziałem coś mądrego, jak „Glark!”.

Charity opuściła broń i wytrzeszczyła niebieskie oczy. Była ubrana w piżamę oraz jedną z własnoręcznie uszytych kamizelek kuloodpornych – tytanową kolczugę umieszczoną pomiędzy dwiema kilkuwarstwowymi powłokami kuloodpornej tkaniny. W kaburze na biodrze miała colta model 1911.

– Harry! – zawołała i szybko otworzyła zewnętrzne drzwi.

Pośpiesznie wszedłem do środka.

– Idą tutaj – ostrzegłem.

– Michael właśnie dzwonił – odrzekła, kiwając głową, i zamknęła drzwi na kilka rygli.

– Gdzie dzieci?

– W schronie na górze.

– Musimy je wydostać – stwierdziłem.

– Za późno – rozległ się jakiś głos w salonie. – Już tu są.

Ruszyłem w tamtą stronę i przy frontowym oknie znalazłem przykucniętego Waldo Buttersa wyglądającego zza zasłony. Ubrał się w swoją kamizelkę

Batmana ze wszystkimi magicznymi gadżetami i ostrożnie trzymał w rękach karabin powtarzalny, jakby nie do końca wiedział, jak się nim posługiwać.

W drzwiach kuchni stał Uriel. Miał na sobie fartuch. Na jego koszuli zobaczyłem ślady mąki. Nie wyglądał groźnie ani bezwzględnie, jak na archanioła przystało; był chudy, nieco zmęczony i osłabiony. Nie miał broni palnej, ale trzymał w zręcznych dłoniach długi nóż kuchenny, a jego sylwetkę cechowała spokojna równowaga, która mogłaby mnie przekonać, że jest niebezpieczny, gdybym go nie znał.

Obok niego siedział Myszek i wyglądał niezwykle poważnie. Kiedy mnie zauważył, dwukrotnie uderzył ogonem o nogę bezsilnego archanioła.

– A niech... – zaczęła Charity, kiedy zobaczyła Uriela. – A niech to – dokończyła rozdrażnionym tonem. – Miałeś siedzieć na górze z dziećmi.

– Walczyłem w wojnach, gdy ta planeta była jeszcze chmurą rozszerzających się gazów – odrzekł Uriel.

– Ale wtedy nie krwawiłeś i nie umierałeś, gdy ktoś zrobił w tobie dziurę – zauważyłem.

Anioł zmarszczył czoło.

– Mogę pomóc.

– W czym? – spytałem, wyciągając z kieszeni płaszcza potężny rewolwer. – W krojeniu bananów do naleśników? To będzie strzelanina.

– Harry – odezwał się Butters nagłym tonem.

– Ennghk – stęknąłem z frustracją i do niego podszedłem. – Myszek, piesku, zostań z nim.

– Hau – odpowiedział Myszek poważnie.

Właśnie taki miał plan, ale gdzieś przeczytałem, że dobry dowódca nigdy nie wydaje rozkazów, o których wie, że nie zostaną wykonane. Dlatego wydawało się logiczne, że powinien także wydawać rozkazy, które zostaną wykonane w każdych okolicznościach.

– Zgaś światła – poleciłem Charity.

Pokiwała głową. Większość świateł już była zgaszona, ale w gniazdkach pozostało kilka lampek, które po odłączeniu mogły posłużyć jako latarki. Odłączyła je kolejno i w domu zrobiło się ciemniej niż na zewnątrz, gdzie nastał zimowy przedświt.

Podszedłem do Buttersa i wyjrzałem przez przejrzyste zasłony, jednocześnie przeładowując rewolwer. Widziałem giermków, którzy wysiadali z dwóch furgonetek zaparkowanych przed domem. Byli uzbrojeni w śrutówki i karabiny, tak jak poprzednio.

– Dziewięciu – policzył Butters. – Dziesięciu. Jedenastu. Jezu.

– Licz dalej – zachęciłem. – To może się przydać.

Butters pokiwał głową.

– Czternastu. Piętnastu. Szesnastu? Szesnastu.

– Nie podnoście się – poleciłem wszystkim. – Nie zbliżajcie się do okien. Niech się niczego nie domyślają.

Ktoś przemieścił się w ciemności i cicho przykucnął obok mnie.

– Już zadzwoniłam po policję – powiedziała Charity.

– Są zajęci dużą akcją – odrzekłem. – Trochę potrwa, nim tutaj dotrą. – Zauważyłem, że dwaj uzbrojeni mężczyźni odłączyli się od grupy i zaczęli okrążać budynek z dwóch stron. – Obchodzą dom.

– Popilnuję tylnych drzwi – zaproponowała Charity.

– Ty też umiesz strzelać? – spytałem.

Jej zęby zalśniły w ciemności.

– Wolę młotki i siekiery. Ale za chwilę się przekonamy.

– Powodzenia – szepnąłem, a ona zniknęła w głębi domu.

Dom Michaela został zabezpieczony tak samo jak mój, za pomocą ciężkich drzwi przeciwwłamaniowych, które mogły oprzeć się wszystkiemu poza ładunkami wybuchowymi albo uporczywymi ciosami tarana. Przy odrobinie szczęścia intruzi spróbują otworzyć drzwi, nie poradzą sobie i zmarnują nieco czasu na rozpracowywanie tego problemu.

Ale Nicodemus nie pozostawiał w swoich planach marginesu dla szczęścia. Ośmiu mężczyzn ostrożnie ruszyło poprzez trawnik w stronę frontowych drzwi. Dwaj nieśli niewielkie ładunki wybuchowe. Oczywiście Nicodemus już wcześniej przyjrzał się domowi. A może zamierzał wysadzić drzwi z zawiasów, nawet gdyby były zbudowane z papieru.

Psiakrew, nie byłem żołnierzem. Nie miałem taktycznego wyszkolenia. Ale na jego miejscu, gdybym chciał dostać się do budynku i spodziewał się oporu, spróbowałbym wtargnąć z dwóch stron jednocześnie. Być może kazałbym większości swoich ludzi podejść od frontu, a kilku wysłałbym na tyły, żeby zmniejszyć ryzyko przypadkowej masakry pośród własnych oddziałów. Może także ustawiłbym kilku ludzi przy tylnych drzwiach, żeby łapali uciekinierów.

Oczywiście cała idea wtargnięcia do budynku polega na wykorzystaniu elementu zaskoczenia. A my się ich spodziewaliśmy. To dawało nam chociaż niewielką przewagę, prawda?

Jasne, że tak.

– Zamierzają wysadzić drzwi – poinformowałem Buttersa. – Może dorzucą też kilka granatów hukowo-błyskowych, a potem wpadną do środka i zaczną strzelać. Schowajcie się za kanapą i czekajcie na nich. Kiedy tylko otworzą się te drzwi, otwórzcie ogień.

Butters przełknął ślinę i gwałtownie skinął głową. Jego bladą twarz pokrywały kropelki zimnego potu.

– Dobrze – odpowiedział i wczuł się za kanapę.

Ja tymczasem podszedłem do ściany obok schodów prowadzących na piętro. Wysadzone drzwi po prostu się otworzą albo wypadną z zawiasów. Postanowiłem schować się za schodami, zza których wystawię tylko rękę z bronią i głowę. Zająłem pozycję i położyłem pistolet na podłodze, gdzie mogłem go łatwo odnaleźć.

Czekałem.

Dziesięć sekund później rozległ się huk przypominający odgłos olbrzymiego młota uderzającego w płaski kamień i poczułem, jakby w moją pierś uderzyła morska fala, choć mniej materialna. Drzwi gwałtownie się otworzyły. Ledwie zdołałem wypuścić powietrze z płuc, ale machnąłem dłonią w kierunku wejścia i szepnąłem „*Vantas servitas*”.

Potężny podmuch wiatru uderzył w drzwi od wewnątrz w tej samej chwili, gdy wpadło przez nie kilka niewielkich przedmiotów, które teraz cofnęły się na werandę przy wtórze głuchych stuknięć. Po chwili dotarły do mnie fale światła oraz dźwięku, które odebrałyby mi wzrok, gdybym nie osłonił twarzy dłonią. Giermkowie wzniesli okrzyki konsternacji, a moje oczy ze zmęczenia przeszły na widzenie tunelowe. Zobaczyłem jakiś ruch w drzwiach, a wtedy Butters wypalił ze śrutówki.

Chwyciłem pistolet, wycelowałem w wejście i czym prędzej dwukrotnie strzeliłem. Jeden z mężczyzn padł na ziemię i chociaż chciałbym uchodzić za wyborczego rewolwerowca, prawdopodobnie stało się tak za sprawą Buttersa i jego śrutówki.

Nie było czasu na nic więcej. Mieliśmy do czynienia z fanatykami, ale nie idiotami. W ciągu kilku sekund napastnicy wycofali się z werandy i zeszli nam z linii strzału. Nawet powalony facet odczołgał się, pozostawiając za sobą smugę krwi.

Przestałem strzelać, sfrustrowany brakiem celów, ale Butters dalej posyłał pocisk za pociskiem w puste wejście. Przestał dopiero, gdy pozbawiona amunicji śrutówka kilkakrotnie szczęknęła.

Zerknąłem na niego i zobaczyłem, że wpatruje się w drzwi i wyraźnie dygocze, blady jak prześcieradło.

– Stary! – zawołałem. – Przeładuj.

Wytrzeszczył na mnie oczy, a potem skinął głową i zaczął grzebać w kieszeni. Zaczekałem, aż przeładuje śrutówkę.

– Pilnuj drzwi – powiedziałem. – Zajrzę do Charity.

– Zgoda.

Odwróciłem się i ruszyłem w głąb domu, próbując sobie przypomnieć, gdzie są ściany, żeby się z nimi nie zderzyć, a kiedy skręciłem za róg, prawie wszedłem na giermka ze śrutówką.

Nie miałem czasu do namysłu. Machnąłem laską z lewa na prawo, uderzając w jego broń. Osłabiony uchwyt lewej dłoni nie dawał mi silnego oparcia, ale kiedy lufa zagrziała i plunęła ogniem, nie umarłem, tylko zatoczyłem się, oszołomiony hukami, który rozległ się tak blisko mojego ucha. Giermek wytrącił mi laskę z ręki ciosem lufy.

Strzeliłem mu dwukrotnie w brzuch ze swojego potężnego rewolweru.

Sapnął i upadł, a ja kopniakiem pozbawiłem go broni.

Jego partner celował we mnie z karabinka szturmowego. Miał mnie na muszce. Poczulem ukłucie grozy. Próbowałem odskoczyć, chociaż wiedziałem, że to nic nie da.

Uriel wyłonił się z cienia za plecami drugiego giermka i pojedynczym cięciem kuchennego noża otworzył obie tętnice oraz tchawicę mężczyzny. Giermek runął na ziemię, a Uriel przypadł do niego i przytrzymał jedną ręką jego broń, dopóki intruz nie przestał się ruszać.

Anioł popatrzył na mnie z obrzydzeniem.

Przyjrzałem się dwóm giermkom. Weszli od tyłu.

Charity.

Kiedy dotarłem do tylnych drzwi, były otwarte, a jedna ich strona wygięła się i poczerniała od wybuchu ładunku. Śrutówka Charity leżała na podłodze, a obok niej spoczywały dwa zużyte granaty hukowo-błyskowe. Smuga krwi ciągnęła się po oblodzonym chodniku za drzwiami.

Charity zniknęła.

Nietrudno było się domyślić, co się stało. Bandziory wysadziły tylne wejście, a kobieta nie miała wsparcia maga, który mógłby powstrzymać granaty. Wpadły do środka, oszołomiły ją i straciła przytomność, zanim zdążyła otworzyć ogień.

Dostrzegłem jakiś ruch za drzwiami i odskoczyłem do tyłu w tej samej chwili, w której ryknął wystrzał. Giermek spudłował, ale minimalnie, a kawałek płyty gipsowej rozmiarów mojej pięści zniknął ze ściany za moimi plecami.

– Harry! – zawył Butters.

Pośpiesznie wróciłem do frontowej części domu, gdzie Butters wyglądał zza zasłony z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

Nicodemus stał na chodniku przed domem Carpenterów, otoczony kłębiącym się cieniem.

Obok niego stała Tessa w ludzkiej postaci, ubrana w czarne spodnie i czarną koszulę. Miała nieobecny, udręczony wyraz twarzy. Wyglądała strasznie, była chuda i wyniszczona, jak ludzie uwolnieni z obozów koncentracyjnych, ale w jej

oczach płonęły jakieś mroczne emocje, których nie dało się opisać słowem „nienawiść”.

Na moich oczach dwaj giermkowie na wpół zawlekli, na wpół zanieśli Charity do Nicodemusa. Rzucili ją na ziemię u jego stóp. Sprawiała wrażenie oszołomionej. Krew pokrywała jej nogę. Kolczuga ponad zranionym udem, która powstrzymała większość śrutu, była nadszarpnięta i rozdarta.

Nicodemus chwycił Charity za włosy i podniósł ją, żeby mogła widzieć swój dom.

Serce ścisnęło mi się w piersi i wypełniła mnie wściekłość. Nicodemus zamierzał zostawić wiadomość dla Michaela. Nie wystarczyło mu zabicie dzieci Rycerza, skoro oprócz tego mógł zostawić zwłoki Charity w takim stanie, by stało się jasne, że musiała patrzeć na ich śmierć.

– Proszę patrzeć, pani Carpenter – syknęła Tessa. – Śmiało.

Nicodemus obejrzał się na trzech giermków, którzy trzymali w garści koktajle Mołotowa. Szmaki przy butelkach już płonęły.

Jego chrapliwy głos zabrzmiał cicho i surowo.

– Spalcie go.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Podszedłem do drzwi w chwili, gdy trzech mężczyźni cisnęli butelki z wódką, wycelowałem laskę i warknąłem „*Infriga!*”.

Mroźne powietrze wrzasnęło. Butelki poszybowały ku domowi i uderzyły o dach z głuchym stukotem, a potem stoczyły się na trawnik i popękały. Ich zawartość była zamrożona na kamień.

Wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Tessa piekielnie zaskrzeczała. Uniosła dłoń w moją stronę, gromadząc moc, ale kiedy ją uwolniła, Nicodemus chwycił ją za rękę i skierował wyładowanie w niebo.

Giermkowie zaczęli do mnie strzelać. Jeden z pocisków trafił w mój płaszcz tuż ponad lewym płucem, a moje ciało skręciło się, jakbym dostał cios pięścią.

Myszek pobiegł na tył domu.

Kiedy padałem, kolczyk Mab pękł, a dwie połówki pofrunęły w różne strony i odbiły się od ścian w przedsionku. W jednej chwili spadł na mnie cały ból wszechświata.

Niewyraźnie usłyszałem, jak Butters woła mnie po imieniu. Pociski trafiły w przedsionek i drzwi, ominęły mnie z nienawistnym sykiem i trafiły w schody za moimi plecami. Leżałem otępiąły bólem, gdy kolejny pocisk trafił w mój płaszcz, a potem Butters siłą odciągnął mnie od wejścia.

Starąłem się przejąć tym, co się dzieje, ale tak naprawdę tylko bezskutecznie próbowałem znaleźć w sobie dość siły, by zwinąć się do pozycji płodowej.

– Harry! – wrzasnął Butters, sadzając mnie pod ścianą. – Harry, wstawaj! Oni wracają!

– Spalcie go! – skrzeczała Tessa. – Spalcie ich! Spalcie ich wszystkich!

– Harry! – zawył Butters. – Zrób coś!

Nie miałem siły nawet się skrzywić.

– O Boże – jęknął Butters. – BożeBożeBoże...

I wtedy zobaczyłem, jak Waldo Butters postanawia zostać bohaterem.

Popatrzył w górę schodów, gdzie kryły się dzieci. Potem wyjrzał na intruzów na zewnątrz. Mięśnie jego szczęki się zacisnęły.

Zręcznymi ruchami zdjął ze mnie skórzany płaszcz. Włożył go. Rękawy były za długie i cały strój okazał się groteskowo wielki, ale musiałem przyznać, że osłaniał go znacznie lepiej niż mnie.

– Bob – odezwał się.

Kilka świateł wydobyło się z jednej z kieszonek na jego kamizelce Batmana i nerwowo zatańczyło w blasku nadchodzącego świtu.

– Tak, szefie?

– Wchodzimy.

– Eee...

– Jeśli cokolwiek mi się stanie, masz wrócić do czaszki – rzekł Butters. – Opowiedz Andi o wszystkim, co widziałeś. Powiedz, że ma cię zabrać do kogoś odpowiedzialnego. No i przekaż jej, że ją kocham. Dobrze?

– Szefie – odezwał się Bob markotnym głosem. – Jesteś pewien?

– Nikogo innego nie ma – odrzekł cicho Butters. – Pokonali Harry’ego. Schwytali Charity. Nie możemy ryzykować śmierci Uriela. A jeśli będziemy beczynnie czekać na pomoc, spalą dzieciaki.

– Ale ty... nie dasz rady. Nie możesz ich pokonać.

– Muszę spróbować – odparł Butters.

– Zginiesz, a to i tak niczego nie zmieni – stwierdził Bob.

– Muszę wierzyć, że będzie inaczej – upierał się Butters. – Może zdołam ich spowolnić, dopóki nie przybędzie prawdziwe wsparcie.

– Aha – westchnął Bob.

– Gotowy? – spytał Butters. – Masz dostęp do płaszcza?

– Jasne. To ja nauczyłem Harry’ego tych zaklęć.

– Osłaniaj mnie przed pociskami najdłużej, jak się da – polecił Butters.

– Jasna sprawa – odrzekł Bob. – Dajmy im popalić, szefie.

– To mi się podoba. – Butters wziął głęboki wdech i położył mi dłoń na ramieniu. – Nie przejmuj się, Harry. Już wystarczająco dużo zrobiłeś. Ja się tym zajmę.

Chciałem do niego wrzeszczeć, żeby tego nie robił, żeby nie poświęcał życia, tylko zabrał dzieci i spróbował uciec. Nie mieliby szans, ale może Butters nie zdawał sobie z tego sprawy. Przynajmniej zginęliby od kul, a nie spłonęli żywcem. Ale nie mogłem się poruszać, myśleć ani robić niczego innego. Ból był zbyt silny. Nie ograniczał się do głowy. Bolał mnie cały świat. Już nie miałem złamanej ręki – w ogóle nie miałem ciała. Miałem tylko cierpienie.

Zacząłem płakać, kiedy Waldo Butters wstał, podwinął rękawy płaszcza, tak że wystawały z nich jego dłonie, zabrał kilka przedmiotów ze swojej kamizelki, rzucił coś na werandę i wyszedł za drzwi.

Pierwsza ciśnięta przez niego kula wypuściła kłęby nieprzezroczystego dymu, które potoczyły się we wszystkie strony, a na zewnątrz rozległy się strzały.

Nie, psiakrew.

Nie.

To nie mogło się tak skończyć. Butters był moim przyjacielem i zbyt dobrym człowiekiem, abym po prostu pozwolił mu zginąć, bezsilnie rozciągnięty na podłodze.

Spróbowałem wstać, ale ręce i nogi nie chciały mnie słuchać z powodu bólu. Ponowiłem próbę, blokując ból za pomocą wszystkich dostępnych mentalnych osłon, i tym razem udało mi się poruszyć i ciężko upaść na bok. Leżałem policzkiem na podłodze i patrzyłem wzdłuż korytarza, w stronę jadalni, gdzie walczyłem z giermkami, którzy próbowali wtargnąć do środka... i gdzie na stole starannie ułożono pozostałości *Fidelacchiusa*.

Stół przemieścił się podczas walki. Odłamana rękojeść Miecza Wiary spadła i potoczyła się w stronę frontowej części domu. Znajdowała się zaledwie metr ode mnie.

Czy to możliwe?

Kiedy Rycerze Poczerniałego Denara wyruszali nieść światu zagładę, zadaniem Mieczy było ich powstrzymywanie. Miecz Wiary przestał istnieć. Ale to nie oznaczało, że moc kierująca Mieczami nie może wyrazić się w inny sposób. Już wcześniej widziałem, jak Charity Carpenter opiera się na swojej wierze, gdy Molly była w tarapatkach. O ile silniejsza będzie ta moc teraz, gdy jej domowi i rodzinie grozi niebezpieczeństwo?

Może Michael miał rację co do Miecza. Jeśli tak, wciąż istniała szansa.

Musiałem w to uwierzyć. Ludzie, których kocham, zaraz zginą. Musiałem uwierzyć, że jest nadzieja.

Nadzieja pozwala nam robić rzeczy, do jakich w innym wypadku nie bylibyśmy zdolni, daje siłę w najczarniejszych momentach. W tej chwili być może pomogła i mnie, ponieważ zmusiłem swoje zakończenia nerwowe do reakcji i powlokłem się w stronę rękojeści Miecza, zaciskając zęby w akcie sprzeciwu wobec upośledzającego bólu. Miałem wrażenie, że minęły całe wieki, zanim moje palce spoczęły na drewnianej rączce, ale kiedy wreszcie jej sięgnąłem i odwróciłem się w stronę drzwi, Butters był dopiero przy bramie. Mój płaszcz wirował i kłębił się wokół niego jak żywa istota, a pomarańczowe światło tańczyło na zazwyczaj niewidocznych czarnych runach, które wytatuowałem na skórzanych połach. Ubiór lśnił wściekle jak kaptur kobry.

Sześciu giermków stało oszołomionych pośród rozwiewających się oparów mgły pamięci, a z pozostałych, którzy byli w ruchu, tylko jeden miał Buttersa na muszce. Waldo wyciągnął rękę, z której wleciała pomarańczowa iskra, i cienka

lina mocno owinęła się wokół lufy broni giermka. Butters szarpnął i wyrwał karabin z ręki strzelca. Linka cofnęła się przy wtórze pomarańczowego migoczącego światła i schowała w rękawie płaszcza.

Zanim rozbici giermkowie zdolali wycelować, Butters przeskoczył nad płotkiem Carpenterów i staranował Tessę.

Nie imponował siłą fizyczną, ale poruszał się cholernie dynamicznie.

Uderzenie oderwało drobną Tessę od Charity, a wychudzona Denarianka krzyknęła gniewnie i przewróciła się pod naporem Buttersa.

Nicodemus dobył miecza i spróbował pchnąć Buttersa w plecy, ale powiewające poły mojego skórzanego płaszcza odbiły ostrze w bok. Butters nie znał się na walce, ale był pełen zapału. Wrzasnął i uderzył Tessę głową.

Kobieta uniosła dłoń i coś wykrzyknęła, a potem rozległ się huk i błysnęło światło.

Butters poleciał do tyłu i runął ogłuszony na oblodzoną ulicę dwa metry dalej. Widziałem, że z jednego ucha płynie mu krew. Wykonał niejasny, obszerny gest dłonią, a wtedy iskry trysnęły z płaszcza jak z ogniska i Bob poszybował w kierunku jego mieszkania.

– Co to było? – spytała Tessa z wściekłością, podnosząc się z ziemi.

– Drobiazg – odrzekł Nicodemus szorstko. – Głupi, ale dzielny człowieczek. Niezła próba. – Podszedł do Buttersa i uniósł miecz.

Butters zacisnął zęby i bezradnie zasłonił się ręką. Wiedział, co się zaraz wydarzy – co musiało się stać. Ale chociaż był blady jak ściana, nawet nie mrugnął.

Dokonał wyboru i był gotów przyjąć konsekwencje.

Przez tę jedną chwilę wszyscy patrzyli na Nicodemusa i Buttersa, a nikt na żonę Michaela Carpentera.

Nadzieja wzbudziła we mnie ostatni przypływ sił.

– Charity! – wychrypiałem.

Obejrzała się gwałtownie i zamrugła.

Jak najmocniej rzuciłem odłamana rękojęć *Fidelacchiusa*.

Są w naszym życiu chwile, które z perspektywy czasu wydają się idealne. By zaistniały, jednocześnie musi wydarzyć się milion różnych rzeczy, tak że trudno nam uwierzyć, że mogło się to stać przypadkiem.

To była jedna z takich chwil.

Odłamana rękojęć Miecza poleciała po idealnym łuku. Wzniosła się, a następnie przeleciała kilka centymetrów nad płotkiem ogradzającym podwórze. Obróciła się precyzyjnie jak obiekt podrzucony przez zonglera i wylądowała dokładnie na dłoni Charity.

Ale ta nie zdołała jej chwycić.

Drewniana rękojeść, z której sterczał samotny kawałek ostrza, odbiła się od oblodzonego chodnika i wyskoczyła w powietrze. Zawirowała jeszcze kilkakrotnie, otarła się o ramię Nicodemusa...

...po czym znalazła się w uniesionej dłoni Waldo Buttersa.

Jego palce zacisnęły się na rękojeści złamanego Miecza Wiary, a gdybym nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłbym w to, co się stało.

Błysnęło światło.

Zagrały święte trąby wsparte przez śpiew chóru.

Nagle z odłamanej rękojeści *Fidelacchiusa* wysunęło się metrowe ostrze ze srebrzysto-białego światła i załśniło w złotym blasku świtu. Moc Miecza zabrzmiała jeszcze głośniejsze, jeszcze bardziej melodyjnie i tym razem była fizycznie słyszalna.

Nicodemus już zadawał cios swoim mieczem, a kiedy ten zderzył się ze świetlistym ostrzem, rozległ się rozpaczliwy wrzask metalu, trysnęły iskry, a Archleone cofnął się o trzy kroki, z niedowierzaniem wpatrując się w swoją broń.

Fidelacchius przeciął ją tak łatwo, jakby była wykonana z papieru. Krawędź skróconego ostrza była rozpalona do białości.

– Ach – odezwał się ktoś obok mnie głosem pełnym satysfakcji, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem przykucniętego Uriela, który patrzył na to wszystko z wyszczerzonymi zębami i lśniącymi oczami.

Butters wstał i opadła mu szczęka. Przez chwilę wpatrywał się w brzęczące ostrze w swojej dłoni, a potem uśmiechnął się radośnie, a zarazem zajadle.

Skierował wzrok na Nicodemusa.

Nagle zza jednej z furgonetek dobiegł nieartykułowany krzyk, a pojazd zakołysał się, jakby uderzyło w niego coś potężnego. Po chwili zza samochodu wyłonił się Myszek, który wykorzystywał go jako osłonę przed wracającymi do siebie giermkami. Pies miał nisko opuszczony łeb, przyczajone i naprężone ciało, najeżone futro na karku i obnażone lśniące, ostre, świeżo zakrwawione kły. Znajdował się nieco ponad metr za plecami Nicodemusa, a na jego widok cień Anduriela wpadł w szal i zaczął się miotać, jak spanikowane zwierzę przyparte do muru.

– Niezła próba? – odezwał się Butters. – Tam, skąd pochodzę, niczego nie robimy na próbę.

Potem uniósł Miecz nad głowę i zaszarżował, a płaszcz efektownie wokół niego powiewał, choć nie powinno to być możliwe.

Myszek szczeknął chrapliwie i skoczył naprzód, a na jego futrze oraz wokół grzywy i szczęk zebrało się srebrzysto-niebieskie światło.

Zobaczyłem furję, gniew i oszołomienie na twarzy Nicodemusa, gdy nowo pasowany Sir Butters na niego natarł. Dostrzegłem tam coś jeszcze.

Strach. Wściekły blask odtworzonego Miecza Wiary napełnił go grozą.

Krzyknął z frustracji i wyskoczył w powietrze, gdzie cień Anduriela otoczył go bezkształtną płynną ciemnością, po czym zniknął w rozświetlonej światłem świtu mgłę.

Butters natychmiast zwrócił się w stronę Tessy, ale Denarianka też już czmychnęła przy wtórze okrzyku frustracji, który, zanim wybrzmiał, zmienił się w ostry wrzask jej demonicznej formy.

Butters, z Myszkiem przy boku, odwrócił się ku pozostałym giermkom. Najbliższym z nich był Jordan, który z oszołomioną miną kurczowo ścisnął śrutówkę.

Kiedy się rozejrzałem, stwierdziłem, że taki sam wyraz twarzy mają wszyscy giermkowie. Byli całkowicie zbici z tropu, jakby właśnie byli świadkami czegoś, co nie może być możliwe. Zobaczyli, jak ich niepokonany pan i władca został upokorzony i musiał uciec przed drobnym Rycerzem w okularkach, który ważył jakieś pięćdziesiąt kilogramów i to po deszczu.

– Już po wszystkim – rzekł Butters. Złowrogi pomruk *Fidelacchiusa* w przerażający sposób podkreślał jego słowa. – Tutaj to zakończymy. Już po wszystkim, panowie.

Jordanowi, który miał łzy w oczach, gwałtownie opadły ręce, jakby był wyczerpanym dzieckiem. Upuścił broń na ziemię. W ciągu następnych kilku sekund pozostali zrobili to samo.

Miecz Wiary miał obusieczne ostrze.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że znów dotykam policzkiem podłogi, a moje oczy przestały działać. Były otwarte, ale nie pokazywały mi żadnych obrazów. W końcu wiara bywa ślepa. Ha. Jestem przezabawny, kiedy umieram.

Po chwili usłyszałem jakiś odgłos – dalekie wycie północnego wiatru, które gwałtownie przybierało na sile.

– Spokojnie, Harry – usłyszałem głos Uriela w ciemności. – Molly tutaj jest. Spokojnie.

Potem odpłynąłem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Obudziłem się w łóżku. Na suficie nade mną znajdował się kolorowy rysunkowy kucyk.

Bolało mnie całe ciało. Ból nie miał granic. Nawet oddychanie naciągało nadwerżone mięśnie.

Byłem potwornie głodny i spragniony, a biorąc pod uwagę protesty mojego pęcherza, zapewne długo leżałem nieprzytomny.

Rozejrzałem się, nie poruszając głową. Byłem w pokoju Maggie. Sądząc po bursztynowym świetle, które wpadało przez okno i pokrywało jedną ze ścian, był wieczór. Ciekawe, czy tego samego dnia. Piętrowe łóżko Maggie górowało nade mną i zrozumiałem, że leżę na materacu na podłodze. Coś ciężkiego przygniatało jedną z moich stóp, przez co całkiem zdrętwiała. Poruszyłem głowę, by zobaczyć, co to takiego, i zaraz tego pożałowałem. Miałem wrażenie, że ktoś zaczął okładać moją czaszkę młotkiem.

Skrzywiłem się i pomimo niewygody skupiłem wzrok. Myszek spał na podłodze obok łóżka, a jego masywny pysk spoczywał na mojej kostce. Strzygł uszami, chociaż miał zamknięte oczy i miarowo oddychał.

– Hej – wychrypiałem. – Stracę stopę, jeśli będziesz dalej to robił. Zejdź ze mnie.

Myszek parsknął i uniósł łeb. Przez chwilę nieprzytomnie mrugał ślepiami, jak każda rozsądna osoba po obudzeniu, a potem otworzył pysk w psim uśmiechu. Zaczął merdać ogonem, wstał, podszedł do mojej głowy i zaczął mnie witać mokrymi psimi pocałunkami, wydając przy tym radosne odgłosy.

– Faj! – Zamachałem rękami bez entuzjazmu, po czym podrapałem go pod brodą i za uszami. – Spokojnie, superpsie. Zaraz zlizesz ze mnie skórę.

Myszek wesoło sapnął, nie przestając merdać ogonem. Potem odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Po chwili wrócił, prowadząc Molly.

Zrobiła duże wrażenie, wchodząc do pokoju. Przywykłem do oglądania Molly w starych jeansach, sandałach i wyblakłym T-shircie. Teraz miała na sobie materiałowe spodnie i granatową bluzkę, która wyglądała jak uszyta na miarę.

Jej włosy, które miałem okazję oglądać w każdym możliwym odcieniu, były długie, proste i miały kolor księżycowego blasku na kłosach kukurydzy. Wciąż sprawiała wrażenie nieco zbyt kanciastej i chudej. Kiedy spotkałem ją ostatnio, miała udręczone i zmęczone oczy. Teraz patrzyła na mnie z powagą, jakiej wcześniej u niej nie widziałem, a w kącikach jej oczu zauważyłem kilka nowych zmarszczek, ale była spokojna.

Bez słowa przyklęła i objęła mnie mocno za szyję.

– Faj – powtórzyłem, ale znów się uśmiechnąłem. Chociaż zaboląły mnie od tego wszystkie mięśnie, podniosłem jedną rękę i pogłaskałem ją po włosach. – Cześć, nowicjuszek.

– Tak mi przykro – powiedziała i ścisnęła mnie nieco mocniej. – Tak mi przykro, że nie dotarłam tutaj wcześniej.

– Hej, wszystko dobrze się skończyło – odrzekłem. – Nic mi nie jest.

– Oczywiście, że nic ci nie jest – odparła, a pomimo buńczuczności tonu jej głosu odniosłem wrażenie, że pociąga nosem. – To ja się tobą zajmowałam.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Ten pasożyt. To nie jest jakaś wroga istota...

Pokiwała głową, a jej włosy otarły się o moje.

– Wiem. Wiem. Facet w czerni wszystko mi opowiedział, kiedy tam byłam.

– Z duchem wszystko w porządku? – spytałem.

Uwolniła mnie z uścisku/chwytu i skinęła głową z uśmiechem, a jej oczy stały się podejrzanie wilgotne.

– Oczywiście, że pierwsze, o co pytasz, to czy komuś innemu nie stała się krzywda. – Sięgnęła po coś leżącego obok mojej głowy, czego nie mogłem zobaczyć. To była drewniana czaszka, którą wyrzeźbiłem dla Boba.

– Poród był ciężki – rzekła Molly. – Jest bardzo zmęczona.

Stęknąłem i ująłem drewnianą czaszkę w palce.

W jej oczodołach natychmiast pojawiło się zielonkawe światło, a mały duch wydał cichy oszołomiony dźwięk.

– Ciii – szepnąłem. – To ja. Odpocznij. Później porozmawiamy.

– Och – odezwał się duch. – Cześć. Dobrze. – Potem iskry światła zniknęły z cichym, zmęczonym pyknięciem.

– Zazwyczaj do adopcji przybłąd biorą się ludzie, którzy mają własny dom – odezwała się Molly z uśmiechem.

Położyłem drewnianą czaszkę w zgięciu ręki.

– Dom jest tam, gdzie można powiedzieć innym, żeby się wynosili, a oni muszą posłuchać.

Wyszczrzyła zęby i odgarnęła mi włosy z czoła.

– Cieszę się, że wracasz do siebie.

Odpowiedziałem słabym uśmiechem.

– Wzajemnie. Jak się trzymasz?
Jej oczy rozbliły.
– Jest... bardzo ciekawie. Ze środka wszystko wygląda zupełnie inaczej.
– Tak to zazwyczaj działa – odrzekłem. – Opowiesz mi o tym?
– Nie mogę, całkiem dosłownie – odpowiedziała wesoło i machnęła ręką. –
Mistyka elfów i tak dalej.
– No tak. Podoba ci się?
– Nie zawsze – stwierdziła bez goryczy. – Ale... to niezbędna praca. Warto ją wykonywać.
– A jednak nie powiedziałaś o niej rodzicom.
Po raz pierwszy nieco się zdenerwowała. Jej policzki poróżowiły.
– No... tak, jeszcze się na to nie zdobyłam. – Nagle wytrzeszczyła oczy. –
O Boże, chyba nie...
– Nie – uspokoiłem ją. – W ostatniej chwili się zreflektowałem. Ale niewykluczone, że przy okazji zasugerowałem twojemu ojcu, że my, eee... no wiesz.
Z jej ust wyrwał się cichy zduszony śmiech, świadczący zarazem o rozbawieniu i śmiertelnym przerażeniu.
– Aha. O Boże. Więc dlatego tak na mnie patrzy. – Pokręciła głową.
– Powinnaś im powiedzieć – stwierdziłem.
– Powiem – odrzekła nieco zbyt pewnym głosem. – Kiedy wymyślę, jak poruszyć ten temat. – Przygryzła dolną wargę, być może nieświadomie. – Bo... pozwolisz mi na to, prawda?
– Jeśli taki jest twój wybór, uszanuję go. Już nie jesteś moją uczennicą, Molls.
Po tych słowach przez chwilę mi się przypatrywała, a ja zobaczyłem na jej twarzy błysk cierpienia i zrozumienia. W końcu pokiwała głową.
– Chyba nie, prawda?
Zebrałem siły i pogłaskałem ją po dłoni.
– Wszystko się zmienia – powiedziałem. – Nie trzeba się z tego powodu smucić.
– Nie – przyznała, po czym ścisnęła moje palce i zmusiła się do uśmiechu. – Oczywiście, że nie.
– Mał się pojawia? – spytałem.
Pokręciła głową.
– Wie, że będę chciała z nią porozmawiać o tym, jak wyprowadziła mnie w pole. Ale wyczuwam, że jest w mieście. Dlaczego pytasz?
– Ponieważ ja też będę miał z nią do pomówienia.

Właśnie zapadł zmierzch, gdy, po kolejnej godzinie odpoczynku, prysznicu i potężnej porcji środków przeciwbólowych, zdołałem się ubrać i samodzielnie zejść po schodach. Myszek ostrożnie za mną podążał. Molly nie do końca wyglądała jak agentka Secret Service gotowa zasłonić mnie własnym ciałem przed kulą, ale prawie.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze? – spytałem, kiedy dotarłem na parter.

– Co? – spytała Molly.

– Że nie ma policji – odrzekłem. – Wszędzie powinni być gliniarze. Policyjna taśma. Kajdanki. – Uniosłem nadgarstki. – Tutaj.

– Tak, ja też zwróciłam na to uwagę – przyznała.

Popatrzyłem na nią i uniosłem brew.

– To twoja sprawka?

Pokręciła głową.

– Nawet bym nie wiedziała, jak się zabrać do wręczania łapówek władzom. Poza tym nie jestem pewna, czy Mab rozumie, jak to działa.

Na parterze domu Carpenterów zawsze panowało zamieszanie, nawet w spokojnych czasach. Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem.

– Uciekaj! – wrzasnęła młoda kobieta o kręconych blond włosach ubrana w szkolny mundurek, która była nieco wyższa od Molly i zapewne przyprawiała o kontuzję karku tabuny oglądających się za nią chłopców. Przemknęła u podnóża schodów, strzelając za siebie z pistoletu na piankowe strzałki. Po drodze pomachała mi z uśmiechem. – Cześć, Bill!

– Na dzwony piekiel – odezwałem się nieco oszołomiony. – Czy to była Amanda?

– Wciąż nosi mundurek – odrzekła Molly, kręcąc głową. – Nawet po szkole. Dziwaczka.

– Rargh! – ryknął młodzieniec, którego głos wahał się między wysokim tenorem a niskim barytonem. Miał chłopięco chudą sylwetkę oraz ciemne włosy i szare oczy Michaela. Biegł za Amandą zgięty wpół, przyciskając do piersi dłonie, które zapewne miały udawać pazury dinozaura. Od razu rozpoznałem „małego” Harry’ego. Sprawiał wrażenie bardzo wyrosniętego jak na swój wiek, jakby wcześniej zaczął dojrzewać. Rozrósł się w barkach, a jego dłonie i stopy były niemal komicznie duże w porównaniu z resztą ciała.

Maggie jechała na jego plecach, przytrzymując się nogami i jedną ręką, którą otaczała jego szyję. Udusiłaby go, gdyby nie była tak drobna. W wolnej dłoni ścisnęła zabawkowy pistolet, z którego strzelała na oślep, chichocząc wniebogłosy.

– Kowbojka na dinozaurze znów wygrywa! – oznajmiła dumnie, gdy Harry ją minął.

Po chwili pojawiła się kolejna blondynka, która zaczęła spokojnie zbierać strzałki. Była starsza od Harry'ego, ale młodsza od Amandy i niższa od pozostałych Carpenterów. Uśmiechnęła się do mnie.

– Cześć, Harry.

– Hope – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Hobbit – poprawiła mnie, mrugając. – Molly, mama kazała przekazać, że nasi goście muszą się zbierać.

Maggie, jej rumak oraz jej ofiara pobiegli w przeciwną stronę w odwrotnej kolejności.

– Nikt nie złapie kowbojki na dinozaurze! – piszczała moja córka. – Bierz ją, Myszek!

Myszek szaleńczo merdał ogonem i podskakiwał w miejscu. W końcu obejrzał się na mnie.

– Idź się bawić – powiedziałem.

Popędził za dziećmi.

Przez chwilę patrzyłem, jak wesoło odbiegają. Potem wyczułem, że Molly na mnie patrzy.

– Kurczę – odezwałem się cicho. – Czy ona... czy to zawsze tak wygląda?

– Są też trudne chwile – odrzekła cicho tonem kogoś, kto wygłasza upomnienie. – Ale... przeważnie tak. Mama i tata mają dosyć zdecydowane poglądy, ale... wiedzą, jak zbudować rodzinę.

Kilkakrotnie zamrugałem.

– Kiedy ja byłem dzieckiem... – Umilkłem, żeby się nie rozkleić, i uśmiechnąłem się w ich stronę. Kiedy byłem w sierocińcu, oddałbym rękę i oko, żeby mieć coś takiego. Powoli odetchnąłem. – Twoja rodzina zapewniła mojej córce dom.

– To fajny dzieciak – odrzekła Molly. – Jawowie bywają różni, ale ona jest super. Łatwo ją pokochać. No idź. Czekają na ciebie.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie Charity siedziała przy stole. Miała lekko zamglony wzrok za sprawą środków przeciwbólowych, ale wyglądała na czujną, a zranioną nogę oparła na poduszce leżącej na drugim krześle. Michael siedział obok niej, a jego świeżo zraniona noga również spoczywała na krześle. Trzymali się za ręce i wyglądali jak swoje lustrzane odbicia.

Zauważyłem, że Michael znów korzysta z laski. Leżała w zasięgu jego ręki.

Binder i Valmont siedzieli naprzeciwko nich przy stole i wszyscy popijali z parujących kubków. Na blacie stało pięć nowiutkich metalowych kasetek na gotówkę kupionych w sklepie z artykułami biurowymi.

Binder właśnie opowiadał jakąś historię, gestykulując dłońmi o grubych palcach.

– Więc popatrzyłem na nią i powiedziałem: „To nie jest mój długopis, kochana”.

Michael zamrugał, a potem poróżowił na twarzy, a Charity odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się donośnie. Anna Valmont z uśmiechem sączyła herbatę. To ona pierwsza zauważyła, że wszedłem, a jej twarz na chwilę się rozpromieniła i pojawił się na niej szczerzy uśmiech.

– Dresden.

Binder obejrzał się przez ramię.

– Najwyższy czas, stary. Wyglądasz fatalnie.

– A czuję się jeszcze gorzej – odparłem i pokuśtykałem do stołu. – Gdzie Grey?

– Nie chce wejść na podwórko – odrzekł Michael.

Uniosłem brew i popatrzyłem na niego pytająco.

Michael rozpostarł ręce.

– Powiedział, że będzie czekał w pobliżu, aż dostarczysz mu jego zapłatę.

– Nie chciał swojej części łupu – dodał Binder z niedowierzaniem. – Twierdzi, że ty mu zapłacisz.

– Hmm... – mruknąłem z zaskoczeniem.

– Niektórzy są zawodowcami, a inni po prostu dziwakami – stwierdził Binder.

– Nie każdego motywują wyłącznie pieniądze – odrzekła Valmont, uśmiechając się nad kubkiem.

– Świat miałby znacznie więcej sensu, gdyby tak było – odparł Binder.

– Podzieliłam klejnoty według wagi – odezwała się Valmont. – Wszystkie kasetki mają taką samą zawartość. Niech każdy wybierze sobie jedną, a ja wezmę tę, która zostanie.

– Rozsądne i profesjonalne – rzekł Binder z uznaniem. – Dresden?

– Jasne. – Postukałem w jedno z pudełek i je podniosłem. Było ciężkie. W końcu diamenty to kamienie.

Binder również zabrał jedną kasetkę. Michael zmarszczył czoło z namysłem.

– Michaelu? – spytałem.

– Nie... nie jestem pewien, czy mogę przyjąć...

Charity stanowczym ruchem podniosła jedną ze skrzynek i postawiła ją sobie na kolanach.

– Musimy sfinansować jeszcze co najmniej dwadzieścia trzy lata college’u – stwierdziła. – A jeśli pewnego dnia urodzą nam się wnuki? Wziąłeś pod uwagę, jak wiele dobrego możemy zrobić dzięki tym pieniądzom?

Michael otworzył usta i ponownie je zamknął.

– Ale jak mamy sprzedać brylanty?

– Anna zapewnia mnie, że to bardzo proste.

– Owszem – potwierdziła Valmont. – Zwłaszcza jeśli robi się to dyskretnie i stopniowo. Wszystko wam wytłumaczę.

– Aha – odrzekł Michael.

– No i mamy dodatkową porcję brylantów do podziału, skoro Grey nie chce swojej doli – dodała Valmont.

– Mam pomysł – rzekł Binder. – Dajcie je mnie.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – zdziwiła się Valmont.

– Ponieważ zaniósę je do Marcone’a i go przekupię, żeby nas nie pozabijał za to, że zrujnowaliśmy jego śliczny bank. Bogactwo to piękna sprawa, ale chcę mieć okazję się nim nacieszyć.

– Daj mi je – powiedziałem. – Ja się tym zajmę.

– Harry? – spytał Michael.

– Znam Marcone’a, a on zna mnie. Zadbam o to, żeby dał nam wszystkim spokój. Macie moje słowo.

Michael wypuścił powietrze nosem. Potem pokiwał głową.

– Mnie to wystarczy. Panno Valmont?

Anna przyjrzała mi się i przytaknęła.

– Zgoda.

– Lepiej, żebyś to był ty niż ja, stary – stwierdził Binder. – Tylko nas ostrzeż, jeśli cię zabije, gdy do niego pójdziesz.

– Postaram się – odparłem i wziąłem drugą kasetkę. Valmont podniosła ostatnią.

Wszyscy przez chwilę milczeli.

W końcu Binder wstał.

– Panie i panowie, to był prawdziwy zaszczyt walczyć o przetrwanie u waszego boku. Z Bogiem. – Ruszył w stronę drzwi.

Valmont także wstała, uśmiechając się. Podeszła i mnie uściskała.

Zmierzyłem ją wzrokiem. Potem ostentacyjnie sprawdziłem zawartość kieszeni.

To ją rozśmieszyło i ponownie mnie przytuliła, tym razem nieco dłużej. Następnie stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek.

– Zostawiłam twoje rzeczy w szafie w pokoju, w którym spałeś.

Lekko skinąłem głową.

Cofnęła się i uśmiechnęła do Charity.

– Daj mi trzy dni – poprosiła. – Potem zadzwoń do mnie na numer, który ci dałam.

– Tak zrobię – odrzekła Charity. – Dziękuję.

Anna uśmiechnęła się do niej, skinęła głową do Michaela i wyszła.

Michael leniwie otworzył swoją kasetkę. Wylało się z niej światło odbite od sterty brylantów.

– No, no – mruknął Michael.

Charity ostrożnie podniosła jeden z kamieni i pokręciła głową z zakłopotaniem.

– No, no.

– Popilnujecie mojej części łupu? – spytałem. – Muszę porozmawiać z Greyem.

Znalazłem Greya na chodniku przed domem, gdzie opierał się o latarnię z rękami skrzyżowanymi na piersi i pochyloną głową. Podniósł wzrok, kiedy wyszedłem z domu i powłócząc nogami, podszedłem dróżką do furtki.

– Dresden – odezwał się.

– Grey. Naprawdę mnie nie zawiodłeś.

– Po to mnie wynająłeś – odrzekł, jakbym był nieco tępy.

– To prawda – przytaknąłem. – Ale mogłeś się wycofać. Mogłeś przyjąć pieniądze Nicka.

Popatrzył na mnie, jakbym zaczął mówić językami.

– Widzę, że Vadderung nie mylił się co do ciebie.

Na jego ustach pojawiło się coś, co prawie przypominało uśmiech.

– Ha, akurat on wie, o czym mówi, prawda?

– Dlaczego nie chcesz wejść na podwórko? – spytałem, wychodząc do niego przez popsutą furtkę.

Grey popatrzył na mnie matowymi oczami. Obejrzał się na dom Carpenterów, a potem powiódł wzrokiem po podwórku, jakby odnotowywał pozycję niewidzialnych wartowników. Potem znów popatrzył na mnie.

Jego ciało lekko się rozluźniło. Oczy zamigotały i zmieniły się z brązowych kulek o osobliwym złotym połysku w coś jaśniejszego, niemal żółtego. Kolor rozlał się szerzej niż w ludzkich oczach, pionowe źrenice kojarzyły się ze ślepiami kota. Już kiedyś widziałem takie same oczy.

Serce podeszło mi do gardła i zatrzasnąłem furtkę.

– Na dzwony piekieł – wykrztusiłem. – Naagloshii? Jesteś cholernym naagloshii?

Grey przymknął oczy, które powróciły do ludzkiej brązowej barwy. Przez chwilę milczał.

– Nie miałeś wpływu na to, że jesteś synem Margaret LeFey. Nie wybrałeś dziedzictwa, które pozostawiła ci wraz z twoją krwią. A był z niej niezły numer. Znałem ją.

Zmarszczyłem czoło i nic nie odpowiedziałem.

– Ja też nie wybrałem swojego ojca – rzekł Grey. – A z niego również był nie lada numer. Ale mogę decydować o tym, jakie prowadzę życie. A więc zapłać mi.

Powoli pokiwałem głową.

– Ile mnie to będzie kosztować?

Odpowiedział.

– Co? – zdziwiłem się. – Właśnie tyle?

– Wyłącznie gotówka. Od ręki.

– Nie mam takiej sumy przy sobie – odparłem.

Parsknął.

– Wierzę ci. Będziemy mieli problem?

– Nie – zapewniłem. – Pójdę po pieniądze.

– Jasne – odrzekł i skłonił głowę, jakby był gotów czekać aż do Sądu Ostatecznego.

Powlokłem się z powrotem do domu i podszedłem do Michaela.

– Pożyczysz mi dolara? – spytałem.

Patrzyłem, jak Grey oddala się chodnikiem i skręca za róg. Dzień był na tyle ciepły, że lód stopniał i nastał mglisty, chłodny i wilgotny wieczór. Ulice lśniły. Było bardzo cicho. Przez chwilę stałem samotnie.

– Jeśli masz chwilę – rzuciłem w pustkę.

Uriel nagle stanął obok mnie.

– No proszę – powiedziałem. – Odzyskałeś swój odrzutowiec.

– I to nieuszkodzony – odrzekł. – Michael to dobry człowiek.

– Najlepszy, jakiego znam – potwierdziłem. – Naprawdę załatwiłbyś Greya, gdyby wszedł na podwórko?

Uriel przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– No cóż, cieszę się, że nie spróbował. Zrobiłoby się niezręcznie.

– Chyba zaczynam dostrzegać szerszą perspektywę – powiedziałem. – Widzę, kto tak naprawdę kierował tym bałaganem.

– Podejrzywałem, że się domyślisz.

– Ale nie rozumiem, jaką ty odgrywasz w tym rolę – dodałem. – O co ci chodziło?

– O odkupienie – wyjaśnił.

– Dla Nicodemusa? – spytałem. – Ryzykowałeś tak wiele – łaskę, Miecz, Michaela, mnie – dla tego błazna?

– Nie tylko dla niego – odrzekł Uriel.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

– Jordan – zgadłem.

– Oraz pozostali giermkowie – przyznał Uriel.

– Dlaczego? – spytałem. – Przecież sami dokonali wyboru.

Uriel przez jakiś czas rozważał tę kwestię.

– Niektórzy ludzie sami upadają – rzekł powoli. – Inni zostają popchnięci.

Mruknąłem pod nosem.

– Butters.

Uriel się uśmiechnął.

– Kiedy Cassius Wężolud zamierzał mnie wypatroszyć, pomyślałem, że żaden Rycerz Krzyża nie pojawi się, żeby mnie ocalić.

– Cassius kiedyś był Rycerzem Poczerniałego Denara – odrzekł Uriel. – Wydaje się właściwe, by przeciwstawił mu się nowo mianowany Rycerz Krzyża. Nie uważasz?

– A co z pęknięciem Miecza? – spytałem. – To też zaplanowałeś?

– Ja niczego nie planuję – odparł Uriel. – Tak naprawdę niczego nie robię. Przynajmniej dopóki któryś z Upadłych nie przekroczy granicy.

– Nie? Więc na czym polega twoja praca?

– Po prostu umożliwiam śmiertelnikom dokonywanie wyborów – wyjaśnił. – Pani Murphy postanowiła postąpić w sposób, który doprowadził do pęknięcia Miecza. Pan Butters zdecydował się działać z bezinteresownością i odwagą, które uczyniły go godnym zostania prawdziwym Rycerzem. A ty postanowiłeś uwierzyć, że zniszczony, pęknięty miecz może coś zmienić. Suma tych działań stworzyła Miecz, który pod pewnymi względami jest potężniejszy niż to, co zostało złamane.

– Wcale nie postanowiłem, żeby Miecz tak się zachował – odparłem. – Serio. Możliwe, że mamy tu do czynienia z naruszeniem praw autorskich.

Uriel ponownie się uśmiechnął.

– Muszę przyznać, że w swojej obecności nie spodziewałem się ekspresji akurat takiego rodzaju wiary.

– Wiary w cholerny film? – spytałem.

– Wiary w opowieść o walce dobra ze złem, świetle pokonującym ciemność, miłości przewyciężającej nienawiść. – Przekrzywił głowę. – Czy nie od tego

zaczyna się wszelka wiara?

Mruknałem pod nosem i przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Hmm...

Uriel się uśmiechnął.

– Na świecie jest mnóstwo fanów *Gwiezdnych Wojen* – zauważyłem. – Może więcej niż katolików.

– Podobała mi się muzyka – przyznał.

Zabrałem ponadplanową kasetkę z brylantami i poszedłem odwiedzić Marcone'a.

Molly wybrała się ze mną, ale nie potrzebowałem jej intuicji, by domyślić się, kogo tam zastanę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, popatrzyła na budynek i powiedziała:

– Ta suka.

– Zgadza się.

Zapukałem do drzwi siedziby Towarzystwa Lepszej Przyszłości. To był niewielki, ale prawdziwy zamek, który Marcone sprowadził do Chicago. Nie uszło mojej uwagi, że postawił to cholerstwo na miejscu pensjonatu, w którym przez lata wynajmowałem piwnicę. Palant.

Otworzyły się drzwi i popatrzył na mnie z góry mężczyzna wysoki i szeroki jak most zwodzony. Miał długie włosy, brodę jak szalony zamachowiec i wystarczająco dużo mięśni, żeby wykarmić tysiąc głodnych sępów.

– Nazywasz się Skaldi Skheldson – powiedziałem. – Wiesz, kim jestem. Przyszedłem zobaczyć się z Marcone'em i jego gościem.

Skaldi zmarszczył czoło. Wyglądałoby to groźnie, gdybym nie spędził ostatnich kilku dni w towarzystwie Genoskwy.

Uniosłem brew.

– No i?

Na twarzy olbrzyma pojawił się grymas, ale odsunął się i mnie przepuścił.

– Dzięki – rzuciłem i ruszyłem do sali konferencyjnej.

Doskonale wiedziałem, gdzie ona jest. Odwiedziłem to miejsce jako duch. Skaldi próbował dotrzymać mi kroku. Najwyraźniej nieco zaniepokoiło go, że wiem, dokąd idę.

Magowie.

Przemierzając budynek, mineliśmy kilku innych Einherjaren, aż w końcu bez pukania otworzyłem drzwi sali konferencyjnej.

Mab siedziała przy jednym końcu stołu z nieobecną i nieodgadnioną miną, wyprostowana jak struna. Sukienkę i włosy miała czarne jak smoła, podobnie jak oczy, łącznie z twardówkami. A zatem była tutaj w roli Sądu.

Kiedy Mab pojawia się odziana w czerń, ludzie umierają. Ostatnim razem, gdy widziałem ją w takim stroju, dwie Królowe Elfów wykrwawiły się na grunt Demonreach.

Po jej prawej stronie, ubrany w grafitowy garnitur, siedział Gentleman Johnnie Marcone, który zgodnie z ustaleniami Przymierza był baronem Chicago, a stał się nim, przynajmniej częściowo, za sprawą mojego podpisu. Na jego skroniach było nieco więcej siwizny niż ostatnim razem, gdy go widziałem, ale to tylko czyniło go bardziej dystyngowanym. Oprócz tego wyglądał tak samo jak zwykle: spokojny, czujny, nieskazitelnie zadbany i miłosierny jak ostrze kosiarki do trawy.

– Mogłaś mi od razu powiedzieć – odezwałem się do Mab.

Popatrzyła na mnie beznamiętnymi czarnymi oczami i przekrzywiła głowę jak ptak.

– Wyrównywałaś rachunki z Nicodemusem – dodałem. – Ale wcale nie chodziło o odwzajemnienie przysługi. Nie chodziło także o pokrzyżowanie mu planów. To była pełnoprawna polityczna zemsta.

Mab bardzo powoli uniosła dłonie i położyła je na blacie przed sobą. Jej czarne paznokcie wyglądały na wystarczająco ostre, by przecinać jedwab.

– Od początku wrabialiście Nicodemusa – ciągnąłem. – Ty, Hades i Marcone.

Marcone przekrzywił głowę z jednej strony na drugą i nic nie powiedział.

– To jedyne sensowne rozwiązanie. Dlatego odesłałaś Molly – ponieważ wiedziała, że coś knujesz. Dlatego plany skarbcza Marcone’a były dostępne. Dlatego ktoś sprzątnął ciała, a policja nie zajęła się tym zamieszaniem, gdy już było po wszystkim. Cholera, pewnie przedstawiają strzelaninę i wybuchy jako zamach terrorystyczny. Założę się także, że giernkowie otrzymali propozycję nowej pracy, po tym, jak ich półbóg wypadł z łask. Zgadza się?

Na ustach Marcone’a zamajaczył cień uśmiechu.

– Nicodemus pogwałcił twoje Przymierze – odezwałem się do Mab. – Porwał Marcone’a. Uprowadził wysłannika wyznaczonego zgodnie z zasadami Przymierza. To była twoja zemsta. Postarałaś się, żeby zdobył szczegóły dotyczące skarbcza Hadesa. – Zwróciłem się w stronę Marcone’a. – A ty zbudowałaś swój skarbiec w taki sposób, żeby umożliwić połączenie za pomocą Ścieżki. Wszystko po to, by wrobić Nicodemusa, całe lata po tym, jak wam się naraził. – Popatrzyłem w niewzruszone oczy Mab. – Sprawiałaś mu najgorszy ból, jaki można sobie wyobrazić. Odebrałaś mu córkę. A nawet gorzej – skłoniłaś go, by sam to zrobił.

Oboje milczeli.

Kruczoczarne paznokcie Mab zagłębiły się o ułamek centymetra w drewnianym blacie, a jej puste czarne oczy zamigotały.

– Teraz stracił swojego porucznika – ciągnąłem. – Stracił swoich giermków. Kiedy jego zdrada wyjdzie na jaw, straci także dobre imię. Nikt już nie będzie chciał z nim współpracować. Nikt nie będzie robił z nim interesów. Zgotowaliście mu los gorszy od śmierci. Zraniliście go, stłamsiliście jego władzę i pozostawiliście go w odmętach cierpienia.

Zapadła długa cisza.

Zwróciłem się do Marcone'a.

– A co ty z tego masz? Wybudowałeś skarbiec i zdobyłeś klientów, którzy z niego korzystają. Założę się, że Hades był twoim pierwszym depozytariuszem. Kiedy on wykonał ten gest zaufania, inni poszli za jego przykładem i teraz roztaczasz pieczę nad największym skarbcem w nadprzyrodzonym świecie. A jeśli przy okazji udało ci się odegrać na Nicodemusie, to tym lepiej. Poza tym masz wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić komuś za jego upolowanie, skoro został osłabiony.

Oczy Marcone'a, które miały zielony odcień banknotów, skupiły się na mnie z sympatią. Ale gangster wciąż się nie odzywał.

W końcu Mab przerwała milczenie, a jej głos zabrzmiał, jakby dobiegał z grobowca.

– Zmierzasz do czegoś, mój Rycerzu?

– Chciałem dać wam do zrozumienia, że wiem – odrzekłem. Potem zwróciłem się do Marcone'a. – We włamaniu brali udział pewni ludzie, którzy nie są zaangażowani w tę sprawę.

– A jednak naruszyli moje terytorium – odparł cicho Marcone.

– Pomogli ci się zemścić – zauważyłem. – Zrób z Nicodemusem, co chcesz, ale zostaw pozostałych w spokoju. Niczego ci nie odebrali.

– Odebrali życie jednemu z moich pracowników.

– Kobieta, która to zrobiła, już nie żyje – odrzekłem. Potem rzuciłem na stół kasetkę. Wylądowała z imponującym hukiem.

Mab zmarszczyła czoło.

Marcone na chwilę uniósł brwi.

– Co to ma być?

– Głównszczyzna – wyjaśniłem. – Znasz to słowo?

– Prawo salickie – odparł natychmiast. – Odszkodowanie.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Dla rodziny twojego pracownika. Zaopiekuj się nimi. Ale moich ludzi do tego nie mieszaj. Ta sprawa kończy się tu i teraz.

Marcone przyjrzał się kasetce.

– A jeśli odrzucę twoje warunki?

– Wtedy będziemy mieli poważny problem. – Spojrzałem na Mab. – Tu i teraz.

Mab szerzej otworzyła oczy.

Gdybym zaatakował Marcone'a, mogłoby się wydarzyć wiele rzeczy, ale z pewnością byłaby to hańba dla Mab. Była gościem pod dachem Marcone'a. Gdyby jej Rycerz zdradził to zaufanie, jej reputacja ległaby w gruzach, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Ależ baronie – odezwała się gładkim, uspokajającym głosem. – Weź pod uwagę, jak wiele zyskałeś. Doprowadziłeś do ruiny człowieka, który naprawdę cię skrzywdził. Jakie to ma znaczenie, że jego najemnicy ujdą z życiem? W końcu pewnego dnia możesz potrzebować ich usług. To rozsądna propozycja. – Po tych słowach otworzyła kasetkę.

Z twarzy Marcone'a rzadko dawało się coś wyczytać, ale jego oczy na chwilę się rozszerzyły, gdy zobaczył kamienie.

Patrzyłem na niego, nie mrugając ani nie odwracając wzroku.

W końcu Marcone oderwał wzrok od brylantów i popatrzył mi w oczy.

Oparłem dłoń na blacie i nachyliłem się w stronę jego twarzy.

– Pamiętaj, kto wyciągnął twoje dupsko z ognia, kiedy tamci szaleńcy cię porwali. Jesteś mi coś winien.

Marcone przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Zrobiłeś to w ramach przysługi wyświadczanej Mab – odrzekł cicho. – Nie ze względu na mnie. – Płynnym ruchem zamknął kasetkę, a następnie przysunął ją do krawędzi blatu. Głos miał gładki jak jedwab, ale między jego fałdami kryło się ostrze. – Nie zmienia to faktu, że mam wobec ciebie dług, a nie chciałbym, żeby z tak dziecinnego powodu ucierpiało dobre imię Mab, która zawsze we mnie wierzyła. Dlatego przyjmuję twoją propozycję, Dresden. To wyrównuje nasze rachunki. Rozumiesz, co mam na myśli?

Doskonale rozumiałem. To oznaczało, że kiedy następnym razem mu się narażę, będzie mógł mnie swobodnie załatwić.

Nie miałem nic przeciwko. Odwzajemniałem to uczucie.

Mab była zbyt opanowana, by zareagować w jakikolwiek sposób na to, jak rozwiązaliśmy sytuację, nie licząc lekkiego skinięcia głową do Marcone'a. Mimo wszystko popatrzyła na mnie z niezadowoleniem, które zwiastowało późniejsze problemy. Wiem, bo sam czasem spoglądałem w ten sposób na Molly.

Ale wątpię, żeby moja była uczennica kiedykolwiek wyglądała na bardziej upokorzoną niż ja.

– ...sensu trzymania szwadronu aniołów, skoro nie zamierzają zrobić niczego, by go chronić – powiedziała Molly z irytacją.

Zbliżaliśmy się do sali szpitalnej Karrin. Godziny odwiedzin już prawie się skończyły, ale chciałem ją jeszcze zobaczyć, zanim skończy się ten dzień.

– Gdyby chodziło o nadprzyrodzone zagrożenie, rzuciłyby się do akcji – odrzekłem. – Nick oczywiście o tym wiedział. Dlatego posłał samych śmiertelników ze zwykłą bronią.

Molly się skrzywiła.

– Chcę tylko zauważyć, że to cholernie wielka luka.

– Więc zrób coś z tym – odrzekłem.

– Już zrobiłam. Dom Michaela jest pod stałą obserwacją, a ja kupuję inny przy tej samej ulicy.

– Możesz sobie na to pozwolić? – spytałem. – Mab tak dobrze płaci?

– Mam na koncie dziewięciocyfrową sumkę. Gdybym chciała, mogłabym kupić całą dzielnicę. Poza tym ktoś będzie przez całą dobę miał oko na dom moich rodziców, na wszelki wypadek.

– Ochroniarze Unseelie – mruknąłem. – Nie jestem pewien, czy im się to spodoba.

– Nie musi – odparła Molly. – Tak naprawdę nawet nie muszą o tym wiedzieć.

– Wchodzi ci to w krew, Molly.

Zerknęła na mnie i przez chwilę widziałem w jej oczach niepokój.

– Harry... gdyby nie było cię tu dzisiaj... – Przełknęła ślinę. – Oni są moją rodziną. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ich ochronić.

Przez kilka chwil szedłem w milczeniu, pogrążony w myślach.

– Tak, musisz – przyznałem.

Kiedy zbliżyliśmy się do sali Karrin, uśmiechnęła się słabo i zwolniła kroku.

– Idź pierwszy – powiedziała. – Muszę jeszcze załatwić kilka spraw. Przyjdę wieczorem.

– Dobrze – odrzekłem i wyciągnąłem w jej stronę zaciśniętą pięść.

Pokręciła głową.

– To ci nie przystoi, panie Rycerzu.

Poruszyłem wyciągniętą ręką.

– No dalej. Wiesz, że tego chcesz.

Roześmiała się radośnie. Stuknęła pięścią w moją pięść i odwróciła się, a kiedy się oddalała, wyjęła z kieszeni telefon i go włączyła.

To sprawiło, że stanąłem jak wryty.

Komórki należały do sprzętów najbardziej wrażliwych na niestabilne pola energii otaczające śmiertelnych magów. Kiedy jeden z nas zbliżał się do

naładowanego telefonu, ten najczęściej od razu kończył swój żywot.

Z kolei magowie, którzy nie byli ludźmi, nie mieli podobnych problemów.

Nagle zacząłem bardzo bać się o Molly.

Ukrywała przed swoimi rodzicami mnóstwo rzeczy. A teraz zacząłem się zastanawiać, co ukrywa przede mną.

W przyszłości będę musiał zwrócić na nią baczniejszą uwagę.

Przywitałem się z Rawlinsem i wszedłem do sali Karrin, gdzie zastałem Buttersa, który siedział na krześle przy jej łóżku z nogami na siedzisku i tyłkiem na oparciu. Wymachiwał rękami i coś opowiadał.

– ...a ja popatrzyłem na niego i powiedziałem: „Drogi panie, tam, skąd pochodzę, niczego nie robimy na próbę”. Potem rzuciłem się na niego, a ten wredny sukinsyn uciekł.

Karrin wyglądała, jakby ktoś wychłostał ją gumowym węzem na mecie podwójnego triathlonu, ale siedziała, i chociaż sprawiała wrażenie zmęczonej, była też opanowana. Jedną z rąk miała obandażowaną i unieruchomioną na temblaku. Jej włosy były w nieładzie, a do zdrowej ręki miała podłączoną kroplówkę.

– Opowiadasz mi same kłamstwa, Waldo Buttersie – powiedziała. Odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła jeszcze szerzej. – Cześć, Harry. Wyglądasz okropnie.

– Zatem jestem w dobrym towarzystwie – odrzekłem i na chwilę z uśmiechem położyłem dłoń na jej głowie.

– Powiedz jej – odezwał się Butters. – Przecież tam byłeś, prawda? Powiedz jej. – Mrugnął. – O Boże, przecież byłeś nieźle poturbowany. Nie mów, że nie pamiętasz.

– Pamiętam. Butters zmienił się w prawdziwego Rycerza Jedi. Miecz. *Wum. Wrum, krszum, kazark, skriau.*

Karrin posłała mi podejrzliwe spojrzenie, a potem popatrzyła kolejno na nas obu.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Masz go przy sobie? – spytałem Buttersa.

– Żartujesz? – odparł z uśmiechem. – Chyba nigdy więcej go nie odłożę.

– Więc jej pokaż – zachęciłem.

– Myślisz, że to... no wiesz.... w porządku? Popisywać się w taki sposób?

– Nie popisujesz się – odrzekłem. – Utwierdzasz ją tylko w wierze.

Butters się skrzywił.

– A więc dobrze.

Sięgnął pod płaszcz i wyjął rękojeść *Fidelacchiusa*. Kiedy tylko go wydobył, świetlne ostrze z sykiem wysunęło się na pełną długość, przeganiając wszystkie

cienie z pomieszczenia i brzęcząc potężnie.

Karrin wytrzeszczyła oczy.

– Matko Boska – westchnęła. – I on... po prostu uciekł?

– Nie od razu – odrzekłem. – Najpierw zamachnął się na Buttersa. A wtedy to coś przecięło miecz Nicka, jakby był zrobiony z makaronu.

– Właśnie – potwierdził Butters. – Wyglądało na to, że całkiem go zaskoczyłem. Ale nawet gdyby wciąż miał swoją broń, chyba niewiele by mu to pomogło. Przecież to miecz świetlny. Prawdę mówiąc, to było trochę niesprawiedliwe.

– Facet sobie nagrabił – zauważyłem.

– Butters – odezwała się Karrin, kręcąc głową. – To... to naprawdę niesamowite. Jestem z ciebie taka dumna.

Gdyby Butters mógł wlecieć pod sufit, słowa Karrin by to sprawiły.

– No tak... dzięki, Murph.

Murph.

Tylko popatrz na siebie, Butters. Jesteś jednym z chłopaków.

– Zasłużyłeś – zapewniła go. – Ale... – Jej twarz nagle spochmurniała. – Nie musisz go zatrzymywać, jeśli nie chcesz.

Butters zmarszczył czoło i schował rękojeść pod płaszcz. Ostrze samo zniknęło.

– Dlaczego miałbym go nie zatrzymać?

– Z dzierzeniem takiego miecza wiąże się ogromna odpowiedzialność – odrzekła Karrin.

– No i mnóstwo podróży – dodałem równie poważnym tonem.

– Złoczyńcy – zauważyła Karrin.

– Beznadziejne sytuacje, z których będziesz musiał się wyplątać – powiedziałem.

– Potwory, duchy, ghoule, wampiry – wyliczała Karrin.

– A wszyscy Rycerze Poczerniałego Denara będą chcieli cię wypchać i powiesić na ścianie – uzupełniłem bardziej surowym głosem. – Butters, zaatakowałeś Nicodemusa z zaskoczenia podczas najgorszego dnia, jaki miał od dwóch tysięcy lat, gdy jego jedynym wsparciem była kobieta na tyle pokręcona, by zostać jego żoną, która przez poprzednie dwa dni starała się pokrzyżować mu plany. Wycofał się, ponieważ stanął w obliczu nowego, nieznanego zagrożenia i tak mu nakazywał rozsądek. Kiedy znów go spotkasz, nie ucieknie. Będzie chciał cię zabić.

Butters popatrzył na mnie niepewnie.

– Czy... czy uważacie, że sobie nie poradzę?

Wbiłem w niego odpowiednio posępny wzrok. Karrin również.

– Michael i Charity obiecali, że mnie wyszkolą – rzekł poważnie. – Poza tym Michael powiedział, że pokaże mi, jak należy ćwiczyć, właściwie się odżywiać, oraz pomoże mi odkryć, co potrafi Miecz. To znaczy... wiem, że jestem tylko zwykłym facetem, ale... – Wziął głęboki wdech. – Mogę coś zrobić. Coś zmienić. Pomóc ludziom. Większość osób nigdy nie otrzymuje takiej szansy. Chcę tego.

Karrin zerknęła na mnie.

– Co o tym sądzisz?

Mrugnąłem do niej i oboje szeroko się uśmiechnęliśmy.

– Poradzi sobie. W końcu przegonił Nicholasa Archleone. To chyba coś znaczy.

– Właśnie – potwierdziła Karrin. – To coś znaczy.

Butters uśmiechnął się z widoczną ulgą.

– Och, jest tylko jedna rzecz, z którą... mam pewien problem – rzekł.

– To znaczy? – spytałem.

Rozłożył ręce.

– Żydowski Rycerz Krzyża?

Z ust Karrin wydobyło się coś, co podejrzenie przypominało chichot. Później przekonywała, że to wpływ leków.

Butters wkrótce zostawił Karrin i mnie samych. Mieliśmy kilka minut, zanim jakaś grzeczna pielęgniarka przyjdzie mnie wykopać.

– Teraz będziesz musiał o siebie zadbać – powiedziała Karrin cicho. – Przez następne kilka tygodni wypocznij. Daj sobie szansę na wyzdrowienie. Czyść ranę na nodze. Idź do lekarza i załóż porządny gips na tę rękę. Wiem, że nie czujesz bólu, ale to ważne, żebyś...

Wstałem, pochyliłem się nad łóżkiem i pocałowałem ją w usta.

Jej słowa rozplynęły się w cichy dźwięk, który zawibrował na moich ustach. Potem objęła mnie za szyję zdrową ręką i wszelkie dźwięki ucichły. To był długi pocałunek. Powolny. Dobry. Nie cofnąłem się, dopóki nie dobiegł końca. Jeszcze przez chwilę nie otwierałem oczu.

– ...och... – westchnęła niemal bezgłośnie. Jej palce ześlizgnęły się po mojej ręce i spoczęły na dłoni.

– Jesteśmy zdolni do różnych szaleństw z miłości – powiedziałem cicho i obróciłem dłoń, zaciskając ją na jej palcach.

Przełknęła ślinę. Jej policzki poróżwiały. Spuściła wzrok.

– Ja też chcę, żebyś wypoczęła i wydobrzała – dodałem. – Mamy parę rzeczy do zrobienia.

– Na przykład? – spytała.

Poczułem, że się uśmiecham. Być może było w tym uśmiechu coś drapieżnego.

– Rzeczy, o których tylko śniłem.

– Aha – westchnęła, a jej niebieskie oczy zamigotały. – Takie rzeczy. – Przekrzywiła głowę. – A więc to byłam... ja?

– To byłaś ty – odrzekłem. – Nic dziwnego. Spałem w twoim łóżku.

Mocniej ścisnęła moją dłoń i szeroko się uśmiechnęła. Uniosłem jej dłoń i kolejno pocałowałem każdy z palców.

– Czuję się jak naćpana – powiedziała.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że nie mówi o kroplówce.

Pielęgniarka weszła, kiedy znów się całowaliśmy. Odchrząknęła znacząco. Dwa albo trzy razy. Pozwoliłem jej. Pocałunek jeszcze się nie skończył. W końcu wyszła na korytarz, żeby poskarżyć się Rawlinsowi, który grzecznie jej wysłuchał.

Karrin zakończyła pocałunek z kolejnym cichym wybuchem śmiechu.

Nawet nie zauważyła, kiedy podrzuciłem jej połowę swoich brylantów zawiniętą w dwie skarpety.

Około dziesiątej wieczorem wróciłem do domu Carpenterów. Pogoda zrobiła się niezwykle łagodna, chociaż było nieco parno. Siedziałem na werandzie z Michaeliem, na jednym z bujanych foteli, które sam zbudował. Trzymaliśmy po butelce pale ale Maca, a u naszych stóp stała para opróżnionych flaszek.

Maggie siedziała z nogami na moich kolanach. Pół godziny wcześniej zasnęła oparta głową o moją pierś i nie obudziłbym jej za nic na świecie. Nawet za trzecie piwo. Myszek drzemał u moich stóp, zachwycony, że może znajdować się tak blisko dwóch osób, które miał największą ochotę obślinić.

– Czyli operacja Karrin się udała? Wróci do siebie? – spytał Michael.

– Zapewne nie w stu procentach – odrzekłem. – Ale lekarze powiedzieli jej, że może liczyć na dziewięćdziesiąt procent dawnej sprawności.

– To cudownie – powiedział Michael. Widziałem, że zerknął na swoją uszkodzoną nogę opartą na kuchennym krześle, które Molly w tym celu dla niego przyniosła. Niemal słyszałem, jak się zastanawia, jak by to było wrócić do

choć pięćdziesięcioprocentowej sprawności. Nicodemus przynajmniej dźgnął go w nogę, która już była niesprawna.

– Jakże to było uczucie? – spytałem go. – Ponownie stanąć do walki?

– Przerazające – odrzekł z uśmiechem. – Ale przez chwilę... znów poczułem się młody. Pełen energii i oczekiwań. Coś niesamowitego.

– Żałujesz czegoś? – spytałem.

– Nie. – Po chwili zmarszczył czoło. – Tylko jednego.

– No tak – przyznałem. – Nick uciekł z Graalem.

Pokiwał głową, a jego oblicze spochmurniało.

– Hej, zdobyliśmy cztery z pięciu relikwii – powiedziałem. – To niezły wynik.

– Nie jestem pewien, czy ten wynik powinien trafić do rejestru – odrzekł.

– Jak sądzisz, co on z nim zrobi?

Michael wzruszył ramionami i z namysłem pociągnął łyk piwa.

– Graal jest najpotężniejszym symbolem Bożej miłości i smutku na świecie, Harry. Nie wiem, jak może go wykorzystać, by wyrządzić komuś krzywdę, ale skoro poświęcił tak wiele, by go zdobyć, podejrzewam, że ma jakiś pomysł.

– Podejrzewam, że Graal był celem pobocznym – stwierdziłem. – Tak naprawdę pragnął czegoś innego.

Nóż wciąż spoczywał w kieszeni mojego płaszcza, który ze względu na wieczorne ciepło wisiał na oparciu krzesła.

Michael zerknął na płaszczyk i pokiwał głową.

– Co zrobisz z pozostałą czwórką?

– Zbadam je. Dowiem się o nich czegoś więcej i w końcu odkryję, kiedy i jak należy ich używać.

– A do tego czasu?

– Ukryję je w bezpiecznym miejscu. – Podejrzewałem, że najgłębsze tunele Demonreach dobrze się do tego nadadzą.

Pokiwał głową i przyjrzał się trzymanej butelce.

– Brałeś pod uwagę zwrócenie ich Kościołowi?

– Biorąc wszystko pod uwagę, absolutnie nie.

Skrzywił się i skinął głową.

– Obawiam się, że masz rację – odezwał się po dłuższej chwili.

Gwałtownie podniosłem na niego wzrok.

– Monety, które zdobyliśmy, nie powinny tak szybko i łatwo wydostać się z magazynu – rzekł powoli. – A to wskazuje, że...

– Że ktoś w Kościele sprawił, że wróciły do obrotu – dokończyłem.

– Obawiam się, że doszło do korupcji – przyznał Michael.

Pomyślałem o sytuacji w Białej Radzie oraz o komórce Molly i zadrzałem.

– Tak, ostatnio mamy jej pod dostatkiem.

– W takim razie zrozumiesz, co zamierzam zrobić. – Michael odchylił głowę do tyłu. – Hank!

Po chwili w drzwiach pojawił się mały Harry. Dźwigał Amoracchiusa, razem z pochwą i szarfą. Podał Miecz Michaelowi, który zmierzwił chłopcu włosy i odesłał go do domu.

– Proszę – rzekł Michael i po prostu oparł Miecz o moje krzesło. – Kiedy będziesz chował relikwie, jego też zabierz. Znów jesteś jego opiekunem.

Zmarszczyłem czoło.

– Ponieważ ostatnim razem tak wspaniale się spisałem?

– Prawdę mówiąc, poradziłeś sobie doskonale – odparł Michael. – Obroniłeś Miecze przed tymi, którzy chcieli je zabrać, po czym wręczyłeś je ludziom, którzy właściwie z nich skorzystali.

– Murphy nie do końca – odrzekłem cicho. – Tak, wiem, jak to się skończyło, ale najwyraźniej błędnie ją oceniłem.

– Przecież nie pasowałaś jej na Rycerza, a jedynie powierzyłeś Miecz w konkretnym celu – by pomogła uratować twoją córeczkę z Chichén Itzá. Po twojej rzekomej śmierci Murphy ogłosiła się opiekunką Miecza. A dziś rano przekazałaś Miecz Wiary właściwej osobie we właściwym czasie.

– To był przypadek.

– Nie wierzę w przypadki – zaproponował Michael. – Nie w kwestii Mieczy.

– A jeśli go nie chcę?

– Oczywiście to twój wybór – przyznał Michael. – Na tym to polega. Ale Uriel poprosił mnie, żebym ci go przekazał. A ja ci ufam.

Westchnąłem. Bezwładne ciepłe ciało Maggie promieniowało jakimiś mniejszymi od atomów cząsteczkami, które czyniły mnie sennym. Pewnie senonami. Myszek chrapał cicho, generując własne pole senonowe. Łagodna pogoda nie polepszała sytuacji. Podobnie jak moje obrażenia.

Dźwigałem już wystarczająco ciężkie brzemie.

– Problem w tym, że opiekun Miecza musi mieć wyjątkowo trzeźwy osąd sytuacji – powiedziałem cicho. – Nie jestem pewien, czy wciąż jestem do tego zdolny.

– Dlaczego nie? – spytał Michael.

– Ze względu na moc Zimy. Ze względu na Mab. Jeśli przyjmę Miecz, mogą wydarzyć się straszne rzeczy.

– Oczywiście, że tak – przyznał Michael – Ale nie wierzę, że wydarzą się z powodu twojego wyboru.

– Właśnie to mam na myśli – odparłem. – A co, jeśli... jeśli Mab w końcu się do mnie dobierze? – Machnąłem ręką. – Na gwiazdy i kamienie, właśnie spędziłem weekend na współpracy z Denarianami w imieniu Marcone'a.

Wykonuję tę robotę od... jak dawna? Dwóch lat? Kim będę za pięć lat? A za dziesięć? A za sto pięćdziesiąt?

– Nie wierzę w to – odrzekł Michael. – Znam cię.

– Obawiam się, że ja sam już się nie znam, i cholernie mnie to przeraża. Co się stanie, jeśli ona to zrobi? Jeśli zmieni mnie w jednego ze swoich osobistych potworów? Co wtedy ze mną będzie?

– Och, Harry – westchnął Michael. – Zadajesz niewłaściwe pytanie.

– Co masz na myśli?

Popatrzył mnie z poważną, a może nawet ze zmartwioną miną.

– Co ona z tobą robi, jeśli jej się to nie uda?

Na myśl o tym poczułem łaskotanie w żołądku. Zapadła cisza. Wieczór był ciemny, spokojny i mglisty. Gdzieś tam w ciemności Mab działała i knuła. W jej planach, mrocznych, krwawych i brutalnych, było miejsce także dla mnie.

Maggie, przytulona do mojego serca, była ciepła i miękka. Myszek drgnął, położył wielki kudłaty łeb na mojej stopie i znów zasnął. Za moimi plecami domostwo Carpenterów promieniowało spokojną, stabilną energią rodziny, która zgodnie z codziennym rytuałem szykuje się do snu.

Czasami zdajemy sobie sprawę, że stoimy na rozdrożu. Rozciągają się przed nami dwie ścieżki i musimy wybrać jedną z nich.

Bez słowa chwyciłem Amoraacchiusa i położyłem go w takim miejscu, by łatwo po niego sięgnąć, gdy będę wstawał.

O AUTORZE

Jim Butcher, entuzjasta sztuk walki, w którego CV można znaleźć wiele umiejętności, które stały się bezużyteczne w ciągu ostatnich dwustu lat, rozpoczął karierę pisarza, ponieważ każdy inny zawód zapewne doprowadziłby go do szaleństwa. Mieszka w Independence w stanie Missouri, z żoną, synem i srogim psem obronnym. Możesz odwiedzić jego stronę internetową pod adresem www.jim-butcher.com.